

Kazuo Ishiguro

# Niepocieszony

*THE UNCONSOLED*

Z angielskiego przełożył

TOMASZ SIKORA

*Dla Normy i Naomi*

# CZEŚĆ I

# Rozdział 1

Kierowca taksówki wydawał się zakłopotany tym, że nikt – nawet recepcjonista – nie czeka na mnie z powitaniem. Przemierzył opustoszały hol, jakby w nadziei, że za jednym z kwiatów lub foteli odkryje jednak kogoś z personelu. W końcu postawił moje walizki przy drzwiach windy i mamrocząc pod nosem jakieś usprawiedliwienie, zostawił mnie samego.

Hol był na tyle przestronny, że bez trudu mieściło się w nim kilka stolików, a i tak pozostawało sporo wolnego miejsca. Sufit natomiast był niski i wyraźnie wybrzuszony ku dołowi, co sprawiało, że w pomieszczeniu panowała nieco klaustrofobiczna atmosfera. Chociaż na dworze świeciło słońce, wewnątrz tonęło w półmroku. Tylko w pobliżu recepcji na ścianie kładła się jasna smuga światła, oświetlająca fragment boazerii z ciemnego drewna oraz stojak wypełniony niemieckimi, francuskimi i angielskimi czasopismami. Dostrzegłem też srebrny dzwonek na kontuarze; właśnie miałem do niego podejść i potrząsnąć, gdy otwały się za mną jakieś drzwi i pojawił się w nich młody człowiek w uniformie.

– Dzień dobry panu – powiedział zmęczonym głosem i przeszedł za kontuar, po czym przystąpił do wypełniania rejestracyjnych formalności. Choć przeprosił zdawkowo za swoją nieobecność, przez jakiś czas obchodził się ze mną dość bezceremonialnie. Dopiero gdy wymieniłem swoje nazwisko, otrząsnął się nagle i wyprostował.

– Bardzo pana przepraszam, panie Ryder, nie poznałem pana. Pan Hoffman, kierownik hotelu, pragnął powitać pana osobiście, lecz właśnie musiał się udać na ważne spotkanie.

– Nic nie szkodzi. Będziemy jeszcze mieli okazję się spotkać.

Recepcjonista pospiesznie dokończył wypełniać formularze, cały czas mamrocząc, jak bardzo niezadowolony będzie kierownik, gdy się dowie, że przegapił mój przyjazd. Dwa razy napomknął o nawale spraw związanych z przygotowaniem do „czwartkowego wieczoru”, które zmuszają szefa do częstszego niż zwykle przybywania poza hotelem. W odpowiedzi kiwałem tylko głową niezdolny zebrać dość siły, by go zapytać, jaki ma charakter ów „czwartkowy wieczór”.

– Aaa, pan Brodsky świetnie sobie dziś radzi – powiedział recepcjonista z nagłym ożywieniem. – Naprawdę świetnie. Rano przeprowadził czterogodzinną próbę z orkiestrą. Teraz też go słychać. Wciąż ciężko pracuje, sam szuka rozwiązań.

Wskazał ręką tylną część holu. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że gdzieś w budynku gra fortepian, ledwo słyszalny przez dobiegające z zewnątrz stłumione odgłosy ulicy. Uniosłem głowę i wyteżyłem słuch. Ktoś grał w kółko jedną krótką frazę z drugiej części *Pionowości* Mullery'ego, powoli i w skupieniu.

– Oczywiście, gdyby kierownik był na miejscu – kontynuował recepcjonista – być może wywołałby pana Brodsky'ego z pokoju, aby go panu przedstawić. Choć nie jestem pewien... – Zaśmiał się. – Nie wiem, czy należy mu przeszkadzać. Widzi pan, przy tak głębokiej koncentracji...

– Tak, oczywiście. Innym razem.

– Gdyby kierownik był na miejscu... – Urwał i znowu się zaśmiał. Nagle nachylił się i powiedział cicho: – Niektórzy goście mieli czelność się skarżyć, że zamykamy salon, tak jak teraz, za każdym razem, gdy pan Brodsky potrzebuje fortepianu. Da pan wiarę? Doprawdy, niektórzy ludzie myślą dziwnymi kategoriami! Dwie różne osoby skarżyły się wczoraj panu Hoffmanowi. Może pan być pewien, że natychmiast im pokazano gdzie ich miejsce.

– Rozumiem. Brodsky, mówi pan... – Zastanowiłem się, lecz nazwisko to z niczym mi się nie kojarzyło. Nagle zauważyłem, że recepcjonista patrzy na mnie z wyraźnym zakłopotaniem, więc powiedziałem szybko: – Tak, tak. Z przyjemnością poznam pana Brodsky'ego, w odpowiednim czasie.

– Gdyby tylko był kierownik, proszę pana...

– Proszę się nie martwić. Jeśli to już wszystko, chciałbym teraz...

– Oczywiście, proszę pana. Musi pan być bardzo zmęczony po tak długiej podróży. Oto pański klucz. Gustav zaprowadzi pana do pokoju.

Odwrociłem się i ujrzałem boya hotelowego w starszym wieku, który czekał na mnie po drugiej stronie holu. Stał przy otwartych drzwiach windy, wpatrując się w jej wnętrze z wyrazem skupienia na twarzy. Drgnął, gdy do niego podeszedłem. Następnie podniósł moje walizki i pospieszył za mną do windy.

Kiedy ruszyliśmy do góry, wciąż trzymał moje walizki, choć od wysiłku krew zaczęła nabiegać mu do twarzy. Ponieważ obie były bardzo ciężkie, poważna obawa, że mógłby przede mną zemdleć, kazała mi powiedzieć:

– Powinien je pan postawić.

– Cieszę się, że pan o tym wspomniał – rzekł, a z jego głosu trudno było odgadnąć, ile wysiłku kosztuje go utrzymanie walizek. – Kiedy wiele, wiele lat temu rozpoczynałem pracę w tym zawodzie, zazwyczaj kładłem torby na podłozie. Dźwigałem je tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. W ruchu, by tak rzec. Prawdę mówiąc, metodę tę stosowałem tutaj

przez pierwszych piętnaście lat pracy. Wielu młodych boyów hotelowych w tym mieście wciąż tak postępuje. Ale na pewno nie ja, już nie. Poza tym nie jedziemy wysoko, proszę pana.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Więc pracuje pan w tym hotelu już jakiś czas – odezwałem się.

– Dwadzieścia siedem lat, proszę pana. Wiele w tym czasie widziałem. Ale oczywiście hotel stał tu już na długo przed moim przybyciem. Podobno w osiemnastym wieku jedną noc spędził w nim Fryderyk Wielki, a już wtedy musiała to być karczma z długą tradycją. O tak, w ciągu tych lat dochodziło tu do wydarzeń o ogromnym znaczeniu historycznym. Później, kiedy pan odpocznie, chętnie panu opowiem o niektórych z tych wydarzeń.

– Lecz nie wyjaśnił mi pan jeszcze, dlaczego nie uznaje pan stawiania bagażu na podłodze – powiedziałem.

– Ach tak – przyznał. – To ciekawa sprawa. Jak się pan zapewne domyśla, w mieście takim jak nasze jest dużo hoteli. Znaczy to, że wielu jego mieszkańców próbowało kiedyś swoich sił w zawodzie boya hotelowego. Niestety, wielu miejscowych myśli, jak się zdaje, że wystarczy włożyć liberię i człowiek zaraz staje się zdolny do wykonywania tego zawodu. Jest to złudzenie szczególnie w tym mieście hołubione. Można to nazwać lokalnym mitem. Muszę przyznać, że był czas, gdy sam bezmyślnie się z tym zgadzałem. Pewnego jednak razu, a było to wiele lat temu, pojechałem z żoną na krótkie wczasy do Lucerny w Szwajcarii. Moja żona już nie żyje, ale zawsze, gdy o niej myślę, wracam pamięcią do tamtych krótkich wakacji w pięknym zakątku nad jeziorem. Na pewno zna pan to miejsce. Po śniadaniu pływaliśmy łódką. Ale wracając do tematu, podczas naszego pobytu zauważyłem, że mieszkańcy tamtego miasta patrzą na swoich boyów zupełnie inaczej niż ludzie tutejsi. Jak by to ująć? Boye hotelowi cieszą się tam dużo większym szacunkiem. Najlepsi mają w mieście pewną renomę, a najbardziej luksusowe hotele walczą między sobą o ich usługi. Muszę powiedzieć, że otworzyło mi to oczy. Lecz w naszym mieście dawne przekonanie utrzymuje się już od wielu, wielu lat. Czasami się zastanawiam, czy kiedykolwiek uda się je wykorzenić. Nie twierdzę, że ludzie są dla nas niemili. Skądże, zawsze traktowano mnie tutaj grzecznie i z szacunkiem. Ale widzi pan, zawsze wyczuwa się pewne przekonanie, że przecież ten zawód mógłby wykonywać każdy, gdyby tylko miał na to ochotę, gdyby miał taką fantazję. Jak przypuszczam, wynika to stąd, że każdy w tym mieście miał okazję przenosić bagaż z miejsca na miejsce. Ci, którzy to robili, zakładają że na tym właśnie polega praca boya hotelowego. W ciągu tych lat zdarzało się, że ludzie jadący ze mną w tej windzie mówili: „Czasami myślę,

że mógłbym porzucić swój zawód i zatrudnić się jako boy hotelowy”. Tak, proszę pana, tak. Pewnego dnia, niedługo po naszym krótkim pobycie w Lucernie, jeden z ważniejszych radnych tego miasta odezwał się do mnie tymi słowy: „Kiedyś chciałbym się tym zająć”. Mówiąc to, wskazał na torby. „Oto życie dla mnie. Wolne od wszelakich trosk”. Przypuszczam, że próbował być dla mnie miły, sugerując, że można mi zazdrościć mojej pozycji. Byłem wtedy dużo młodszy, nie trzymałem toreb w rękach, lecz stawiałem je na podłodze, tu, w tej windzie, toteż rzeczywiście mogłem wówczas sprawiać takie wrażenie. Wie pan, że jestem wolny od trosk, jak sugerował tamten dżentelmen. To przeważało. Nie, nie znaczy to, że słowa tamtego pana same w sobie tak bardzo mnie rozżłościły. Ale kiedy je wypowiedział, naraz jakby wszystko mi się ułożyło w głowie. Wszystko, co od pewnego czasu zaprzętało moje myśli. Jak już wspominałem, niedawno wróciłem z czasów w Lucernie, gdzie miałem okazję spojrzeć na sprawy z innej perspektywy. Pomyślałem więc sobie: nadszedł czas, żeby boye hotelowi w tym mieście zmienili wreszcie to powszechne wśród miejscowych nastawienie. Widzi pan, w Lucernie widziałem coś zupełnie innego i czułem, że tutaj nasza sytuacja naprawdę nie jest dobra. Po długim namyśle zdecydowałem się przedsięwziąć osobiście pewne środki zaradcze. Oczywiście, już wtedy zapewne wiedziałem, jak trudne zadanie sobie stawiam. Może się nawet domyślałem, że moje pokolenie nie doczeka owoców tych starań, że sprawy posunęły się za daleko. Ale, myślałem, gdyby udało mi się choć trochę poprawić stan rzeczy, ułatwiłoby to zadanie tym, którzy przyjdą po mnie. A zatem przyjąłem pewne reguły postępowania i trwam przy nich od dnia, gdy ów radny miejski wypowiedział tamte pamiętne słowa. Z dumą mogę oświadczyć, że kilkunastu innych boyów hotelowych w tym mieście poszło w moje ślady. Nie znaczy to, że obrali oni dokładnie tę samą strategię co ja. Przyjęli, powiedzmy, porównywalną.

– Rozumiem. Jedną z owych reguł zabrania panu stawiać walizki na podłodze i każe trzymać je przez cały czas w rękach.

– Otóż to. Widzę, że bez trudu podąża pan za tokiem mojego rozumowania. Muszę, niestety, przyznać, że kiedy przyjmowałem te reguły, byłem dużo młodszy i silniejszy i nie brałem pod uwagę postępującego z wiekiem osłabienia. To zabawne, proszę pana, ale zwykle nie bierze się tego pod uwagę. Inni boye mówią to samo. Mimo wszystko staramy się zachowywać nasze dawne postanowienia. Po latach tworzymy dość zwartą, dwunastoosobową grupę, tylu nas bowiem pozostało spośród tych, którzy wiele lat temu próbowali coś zmienić. Gdybym miał się dziś z czegoś wycofać, czułbym, że zdradzam innych. I gdyby ktoś z pozostałych wyrzekł się teraz którejś ze swoich dawnych reguł, czułbym to samo. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, zatem w mieście naszym dokonał

się pewien postęp. Wprawdzie przed nami jeszcze daleka droga, często jednak dyskutujemy na ten temat. W każdą niedzielę po południu spotykamy się w kawiarni Węgierskiej na Starym Mieście... mógłby pan przyjść i do nas dołączyć, byłby pan mile widzianym gościem... Tak więc często omawiamy te sprawy i wszyscy jesteśmy zgodni, bez cienia wątpliwości, że stosunek mieszkańców tego miasta do boyów hotelowych znacznie się poprawił. Młodszy, którzy przyszli po nas, uważają to za oczywiste, lecz my, grupa z kawiarni Węgierskiej, dobrze wiemy, że to dzięki nam coś się zmieniło, choćby tylko w niewielkim stopniu. Gdyby zechciał pan do nas dołączyć, czuliśmyby się zaszczytzeni, a ja miałbym przyjemność przedstawić pana pozostałym członkom grupy. Nasze spotkania nie mają już tak oficjalnego charakteru jak dawniej i od pewnego czasu w szczególnych okolicznościach zapraszamy do naszego stolika gości z zewnątrz. O tej porze roku przyjemnie jest siedzieć w łagodnych promieniach popołudniowego słońca. Mamy stół w cieniu markizy, z widokiem na Stary Rynek. To bardzo przyjemne miejsce, proszę pana. Jestem pewien, że się panu spodoba. Ale wracając do mojego wyводу: często dyskutujemy na ten temat w kawiarni Węgierskiej. Mam na myśli nasze dawne postanowienia, przyjęte wiele lat temu. Widzi pan, żaden z nas się nie zastanawiał, co będzie, gdy się zestarzejemy. Przypuszczam, że byliśmy zbyt pochłonięci pracą, by myśleć o przyszłości dalszej niż następny dzień. A być może nie przewidzieliśmy, jak wiele trzeba będzie czasu, by zmienić te głęboko zakorzenione postawy. No i proszę, mam tyle lat, ile mam, i z każdym rokiem jest mi coraz ciężej.

Boy hotelowy przerwał na chwilę i zdawało się, że pomimo wysiłku fizycznego głęboko się nad czymś zastanawia.

– Będę z panem szczerzy, po co udawać – rzekł w końcu. – Kiedy byłem młodszy, kiedy po raz pierwszy ustanowiłem dla siebie owe reguły, zawsze podnosiłem do trzech walizek naraz, bez względu na ich wielkość czy ciężar. Jeśli gość miał czwartą, stawiałem ją na podłodze. Ale z trzema nigdy nie miałem kłopotu. Niestety, cztery lata temu trochę zaniemogłem i było mi coraz ciężej. Po dyskusji w kawiarni Węgierskiej ustaliliśmy, że nie muszę być dla siebie aż tak surowy. Przecież chodzi tylko o to, przekonywali mnie, by pokazać gościom coś z prawdziwej natury naszej pracy. Dwie czy trzy torby, efekt będzie ten sam, mogę więc bez obaw zmniejszyć swoje minimum z trzech walizek do dwóch. Zgodziłem się z nimi, chociaż wiem, że to nie do końca prawda. Widzę przecież, że wrażenie, jakie sprawiam, nie jest już takie samo. Przyzna pan, że nawet najmniej wprawny obserwator zauważy znaczną różnicę między boyem hotelowym dźwigającym trzy torby a tym, który dźwiga tylko dwie. Zdaję sobie z tego sprawę i nie zamierzam przed panem ukrywać, że trudno mi się z tym pogodzić. Wróćmy jednak do tematu. Mam nadzieję, że rozumie pan

teraz, dlaczego nie chcę postawić pańskich walizek. Ma pan tylko dwie. Jeszcze przynajmniej przez kilka lat nie będzie to przekraczać moich możliwości.

– Tak, wszystko to jest niezwykle chwalebne – powiedziałem. – Może być pan pewien, że wywarł pan na mnie pożądane wrażenie.

– Chcę, aby pan wiedział, że nie jestem jedynym, który musiał dokonać pewnej korekty. Sprawy te są ciągle przedmiotem naszych dyskusji w kawiarni Węgierskiej. Prawdę mówiąc, każdy z nas musiał coś zmienić. Proszę jednak nie myśleć, że pozwalamy sobie na zaniżanie własnych standardów. Gdyby tak było, nasz wieloletni trud poszedłby na marne. Szybko stalibyśmy się pośmiewiskiem miasta. Przechodnie szydziłoby z nas, widząc, jak siedzimy przy naszym stoliku w niedzielne popołudnia. O nie, jesteśmy dla siebie twardzi i, co bez wątplenia potwierdzi panna Hilde, społeczność miasta zaczęła szanować nasze niedzielne zebrania. Jak już mówiłem, pańska obecność wśród nas byłaby bardzo mile widziana. Zarówno kawiarnia, jak i rynek są w te słoneczne popołudnia niezwykle przyjemne. Od czasu do czasu właściciel kawiarni zamawia cygańskich skrzypków, aby grali na rynku. Czuje on dla nas najwyższy szacunek. Kawiarnia nie jest duża, lecz właściciel zawsze dba o to, by nie zabrakło miejsca i by każdy z nas mógł się wygodnie usadowić przy naszym stoliku. Nawet wówczas, gdy w pozostałej części lokalu panuje duży ruch, pilnuje, by tłum na nas nie napierał ani nam nie przeszkadzał. Nawet w najruchliwsze popołudnia, gdyby wszyscy przy naszym stoliku rozpostarli jednocześnie ramiona, nikt by się nie dotykał. Tak wielki szacunek czuje dla nas właściciel. Jestem pewien, że panna Hilde potwierdzi moje słowa.

– Przepraszam – wtrąciłem – kim jest panna Hilde, na którą wciąż się pan powołuje?

Wypowiedziawszy te słowa, zauważyłem, że boy hotelowy, spoglądając ponad moim ramieniem, wpatruje się w jakiś punkt za mną. Odwróciłem się, by ze zdumieniem stwierdzić, że nie jesteśmy w windzie sami. W rogu stała drobna młoda kobieta w prostym i gustownym kostiumie urzędniczki. Widząc, że wreszcie ją zauważyłem, uśmiechnęła się i postąpiła krok do przodu.

– Przepraszam – powiedziała do mnie – proszę nie myśleć, że podsłuchiwałam, ale też nie mogłam nie słyszeć, co panowie mówili. Wysłuchawszy Gustava, muszę, niestety, stwierdzić, że jest trochę niesprawiedliwy wobec nas, mieszkańców tego miasta, gdy mówi, że nie cenimy naszych boyów hotelowych. Oczywiście, że cenimy, a najbardziej obecnego tu Gustava. Wszyscy go kochamy. Sam pan widzi, że nawet w tym, co przed chwilą panu opowiedział, przeczy sam sobie. Czym bowiem, jeśli jesteśmy wobec nich aż tak obojętni, wyjaśnić szacunek, z jakim się do nich odnoszą w kawiarni Węgierskiej? Doprawdy,

Gustavie, bardzo brzydko z twojej strony, że wszystkich nas przedstawiasz panu Ryderowi w tak fałszywym świetle.

Choć kobieta powiedziała to z wyraźną czułością w głosie, boy hotelowy wydawał się srodze zawstydzony. Odwrócił się do nas bokiem, objając sobie nogi ciężkimi walizkami, i skierował zakłopotane spojrzenie w inną stronę.

– To mu powinno wystarczyć – rzekła kobieta z uśmiechem. – Należy do najlepszych. Wszyscy go kochamy. Jest niezwykle skromny, więc sam nigdy by panu nie zdradził, że inni boye w tym mieście patrzą na niego z podziwem. Można nawet bez przesady powiedzieć, że otaczają go prawdziwą czcią. Niekiedy można zobaczyć, jak siedzą przy swoim stoliku w niedzielne popołudnie i nie śmia nic powiedzieć, póki nie przybędzie Gustav. Mają poczucie, że rozpoczynanie debaty bez niego byłoby nietaktem. Często siedzą w milczeniu nad kawą, w dziesięciu lub jedenastu, i czekają. Co najwyżej wymieniają pojedyncze szeptki, jak gdyby byli w kościele. Dopiero z chwilą przybycia Gustava rozluźniają się i zaczynają rozmawiać. Warto pójść do kawiarni Węgierskiej tylko po to, żeby być świadkiem przybycia Gustava. Muszę panu powiedzieć, że różnica w zachowaniu przedtem i potem jest bardzo wyraźna. W jednej chwili widzi się posępne, stare twarze, zgromadzone w milczeniu wokół stołu, po czym zjawia się Gustav i wszyscy zaczynają się śmiać i krzyczeć. Szturchają się w żartach, poklepują po plecach. A niekiedy nawet tańczą, tak, na stole! Mają swój taniec, Taniec Boyów Hotelowych, czyż nie, Gustavie? Naprawdę świetnie się bawią. Ale to wszystko dopiero po jego przybyciu. Oczywiście on sam nigdy by panu tego nie powiedział, jest zbyt skromny. Wszyscy go tutaj bardzo kochamy.

W trakcie tej wypowiedzi Gustav musiał coraz bardziej się od nas odwracać, bo gdy spojrzałem w jego stronę, stał tyłem do nas, zwrócony do przeciwległego rogu windy. Jego nogi ugięły się pod ciężarem walizek, ręce drżały. Głowę zwiesił tak nisko, że stała się dla nas prawie niewidoczna, trudno jednak było zgadnąć, czy wynikało to z jego wstydlivosti, czy też po prostu z wysiłku.

– Przepraszam, panie Ryder – powiedziała kobieta – jeszcze się panu nie przedstawiłam. Jestem Hilde Stratmann. Polecono mi dopilnować, by w czasie pańskiego pobytu u nas wszystko przebiegało gładko. Bardzo się cieszę, że wreszcie pan dotarł. Zaczynaliśmy się już lekko niepokoić. Wszyscy czekali na pana rano, póki mogli, lecz wielu miało ważne spotkania i musiało odejść. Zatem to właśnie mnie, skromnej pracownicy Obywatelskiego Instytutu Sztuk Pięknych, przypadło w udziale oznajmić panu, jak wielkim zaszczytem jest dla nas wszystkich pańska wizyta.

– Bardzo się cieszę, że tu jestem. Ale powiedziała pani przed chwilą, że rano...

– Proszę się nie przejmować rankiem, panie Ryder. Nikt nie poczuł się urażony. Najważniejsze, że jest pan z nami. Wie pan, w jednym na pewno mogę się zgodzić z Gustavem, a mianowicie w sprawie Starego Rynku. To naprawdę bardzo atrakcyjne miejsce i zawsze radzę przyjezdnym, by się tam przeszli. Panuje tam wspaniała atmosfera: mnóstwo kawiarenek, sklepów rękodzielniczych, restauracji. To niedaleko stąd, więc powinien pan skorzystać z okazji, gdy tylko pozwoli panu na to program pobytu.

– Postaram się pójść za pani radą. A skoro już mowa o moim programie, panno Stratmann... – Przerwałem umyślnie, oczekując, że młoda kobieta przeprosi mnie za zapominalstwo i być może wyjmie z walizeczki jakiś papier lub broszurkę.

Ale choć rzeczywiście wpadła mi w słowo, powiedziała tylko:

– To bardzo napięty program, ale mam nadzieję, że możliwy do zrealizowania. Staraliśmy się ograniczyć go wyłącznie do spraw najważniejszych. Oczywiście zewsząd posypały się propozycje: z towarzystw, lokalnych środków przekazu i tak dalej. Cieszy się pan tutaj wielką popularnością, panie Ryder. Wielu mieszkańców miasta wierzy, że jest pan nie tylko najwybitniejszym żyjącym pianistą świata, ale i największą osobistością naszych czasów. Sądzimy, że ostatecznie udało się nam ograniczyć pański program do rzeczy najistotniejszych. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał powodów do niezadowolenia.

W tym momencie drzwi windy się rozsunęły i boy hotelowy ruszył korytarzem. Z powodu obciążenia szurał nogami po dywanie, ja zaś i panna Stratmann, idąc za nim, także musieliśmy przyjąć podobne tempo, aby go nie wyprzedzić.

– Chyba jednak nikt się nie obraził – odezwałem się po drodze – że w moim programie zabrakło dla niego miejsca?

– Ach nie, proszę się nie martwić. Wszyscy wiemy, po co pan tutaj przyjechał, i nikt nie chce się narażać na zarzut, że panu przeszkadza. W gruncie rzeczy wszystko w pańskim programie, z wyjątkiem dwóch dość ważnych uroczystości, wiąże się mniej czy bardziej bezpośrednio z czwartkowym wieczorem. Oczywiście zdążył się pan już zapoznać z programem wizyty.

Tę ostatnią uwagę wypowiedziała tonem, który nie pozwolił mi odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Wymamrotałem tylko:

– Tak, oczywiście.

– Tak, to bardzo napięty program. Przede wszystkim kierowaliśmy się pańskim życzeniem, by mógł pan jak najwięcej ujrzeć na własne oczy. Bardzo chwalebne podejście, jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię.

Boy hotelowy zatrzymał się przed drzwiami do jednego z pokoi. Opuścił wreszcie

moje walizki na podłogę i zaczął majstrować przy zamku. Kiedy go dogoniliśmy, znów podniósł bagaże i wtoczył się do pokoju ze słowami:

– Proszę za mną.

Już miałem to uczynić, gdy panna Stratmann położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie zatrzymam pana długo – powiedziała. – Chciałabym tylko zapytać, czy w pańskim programie znalazło się coś, z czego nie jest pan zadowolony.

Drzwi się zatrzasnęły i zostaliśmy sami na korytarzu.

– Cóż, panno Stratmann – odezwałem się – ogólnie mówiąc, wydał mi się bardzo... bardzo dobrze ułożony.

– Na pańską prośbę zostało zorganizowane spotkanie z Obywatelską Grupą Wzajemnego Wsparcia. Do grupy należą osoby różnych profesji, które czują się poszkodowane przez obecny kryzys. Będzie pan miał okazję dowiedzieć się z pierwszej ręki, przez co musieli przejść niektórzy ludzie.

– Ach tak. Niewątpliwie będzie to bardzo przydatne.

– Jak pan zapewne zauważył, uszanowaliśmy także pańską wolę spotkania się z panem Christoffem. W tych okolicznościach doskonale rozumiemy, dlaczego chciał się pan z nim spotkać. Jak się pan domyśla, pan Christoff jest zachwycony. Naturalnie ma on własne powody, dla których chciałby się z panem spotkać. Chodzi mi o to, że on i jego przyjaciele będą się usilnie starali przekonać pana do własnej oceny sytuacji. Oczywiście wszystko to będą bzdury, ale na pewno pomoże to panu zdobyć ogólne rozeznanie w naszej obecnej sytuacji. Wygląda pan na bardzo zmęczonego, panie Ryder. Nie chcę już pana dłużej zatrzymywać. Oto moja wizytówka. Jeżeli będzie pan miał jakieś pytania lub kłopoty, proszę dzwonić.

Podziękowałem jej i przez chwilę patrzyłem, jak oddala się korytarzem. Kiedy wszedłem do pokoju, w myślach wciąż jeszcze rozważałem różne aspekty naszej rozmowy i dopiero po chwili zauważyłem stojącego przy łóżku Gustava.

– Ach, jest pan.

Przywykłem już do boazerii z ciemnego drewna, która dominowała w całym budynku, nie spodziewałem się więc, że ujrzę tak jasny i nowoczesnie urządzone pokój. Ściana naprzeciwko prawie w całości była ze szkła. Przez pionowe żaluzje przyjemnie sączyło się słońce. Moje walizki stały jedna przy drugiej obok szafy.

– Pozwoli pan, że mu wyjaśnię, jak korzystać z wygód – powiedział Gustav. – Dzięki temu spędzi pan tutaj czas tak wygodnie, jak to możliwe.

Chodziłem za Gustavem po pokoju, podczas gdy on demonstrował mi różne

przełączniki i inne udogodnienia. W pewnym momencie zaprowadził mnie do łazienki, gdzie kontynuował wyjaśnienia. Już chciałem mu przerwać, jak to zwykle robię w podobnych sytuacjach, lecz zapał, z jakim wypełniał swoje obowiązki, próba nadania osobistego charakteru czemuś, co musiał wielokrotnie powtarzać każdego dnia, poruszyły mnie i kazały mi słuchać dalej. Ale gdy tak wyjaśniał, machając ręką w stronę różnych części pokoju, przyszło mi na myśl, że mimo całego swojego profesjonalizmu, mimo autentycznego pragnienia, by zapewnić mi wygodę, pewna sprawa, która przez cały dzień zaprzętała jego umysł, ponownie wypłynęła na powierzchnię. Znowu martwił się o swoją córkę i jej synka.

Kiedy kilka miesięcy wcześniej zaproponowano mu ten układ, Gustav nie przypuszczał, że może mu on przynieść cokolwiek oprócz niczym niezakłóconej radości. Raz w tygodniu miał poświęcać kilka godzin po południu na spacer z wnukiem po Starym Mieście, by zapewnić Sophie trochę czasu dla siebie. Co więcej, układ natychmiast zdał egzamin i już po paru tygodniach dziadek i wnuk wypracowali pewien porządek dnia, z którego obie strony były nad wyraz zadowolone. Kiedy nie padało, zaczynali spacer od placu zabaw, gdzie Boris miał okazję demonstrować swoje ostatnie wyczyny. W razie deszczu spacer zaczynał się w muzeum łodzi i żaglówek. Następnie przechadzali się uliczkami Starego Miasta, zaglądając do niektórych sklepów z upominkami, niekiedy zatrzymywali się na Starym Rynku, aby popatrzeć na mima lub akrobatę. Ponieważ stary boy hotelowy był w tej okolicy znaną postacią, co chwila ktoś ich pozdrowiał i Gustav wysłuchiwał licznych komplementów na temat wnuka.

Następnie szli na stary most obserwować przepływające pod nim łódki. Ich wędrowka kończyła się w ulubionej kawiarence, gdzie zamawiali ciastko albo lody i czekali na powrót Sophie.

Początkowo te małe wycieczki sprawiały Gustawowi ogromną przyjemność. Ale większy kontakt z córką i wnukiem unaoczniał mu fakty, które dawniej odsuwał od siebie, do chwili, gdy nie mógł już dłużej udawać, że wszystko gra. Przede wszystkim chodziło o ogólny nastrój Sophie. W pierwszych tygodniach opuszczała ich wyraźnie uradowana, spiesząc do centrum miasta, by zrobić zakupy lub spotkać się z przyjaciółką. Ale ostatnio zaczęła się ociągać, jakby nie miała co ze sobą zrobić. Ponadto pojawiły się wyraźne oznaki, że owe kłopoty – cokolwiek to było – zaczynają wyciskać piętno na Borisie. Wprawdzie zazwyczaj jego wnuk nadal był radosny jak zawsze, Gustav jednak zauważył, że od czasu do czasu, zwłaszcza na wzmiankę o jego życiu rodzinnym, przez oblicze chłopca przeciąga chmura. Dwa tygodnie temu zaś wydarzyło się coś, o czym boy hotelowy nie mógł przestać myśleć.

Kiedy przechodził z Borisem obok jednej z wielu kawiarni na Starym Mieście, nagle zauważył w środku swoją córkę. Ponieważ okno ocieniała markiza, całe wnętrze kawiarni było doskonale widoczne. Sophie siedziała samotnie przy stoliku nad filiżanką kawy i wyglądała na zupełnie przygnębioną. Odkrycie, że nie zdobyła się nawet na opuszczenie Starego Miasta, nie mówiąc już o wyrazie jej twarzy, wywarło na Gustavie piorunujące wrażenie – tak wielkie, że dopiero po chwili zaświtało mu w głowie, by odwrócić uwagę Borisa. Było już jednak za późno – podążając za wzrokiem dziadka, Boris rzucił przelotne spojrzenie w stronę matki, ale natychmiast odwrócił głowę i obaj ruszyli w dalszą drogę, ani słowem nie komentując tego zdarzenia. Boris odzyskał dobry humor już po kilku minutach, niemniej jednak epizod ten poważnie wzburzył umysł boya hotelowego i od tej pory wielokrotnie powracał do niego w myślach. Wspomnienie tamtego incydentu było przyczyną jego zamyślenia w holu i pochłonęło go znowu, kiedy oprowadzał mnie po pokoju.

Polubiłem tego staruszka i poczułem dla niego współczucie. Długo już nad tym wszystkim rozmyślał i istniało niebezpieczeństwo, że te zmartwienia nabiorą w jego oczach wyolbrzymionych rozmiarów. Miałem nawet zamiar porozmawiać z nim na ten temat, ale gdy skończył, znowu opadło mnie znużenie, które czułem od opuszczenia samolotu. Postanowiłem, że poruszę ten temat innym razem, i odprawiłem go, wręczając mu suty napiwek.

\* \* \*

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zwałem się w ubraniu na łóżko i przez chwilę gapiłem się bezmyślnie w sufit. Z początku moje myśli krążyły wokół Gustava i jego problemów, ale po pewnym czasie wróciłem myślami do rozmowy z panną Stratmann. Nie ulegało wątpliwości, że miasto oczekiwało ode mnie czegoś więcej niż zwykłego recitalu. Gdy jednak próbowałem przypomnieć sobie jakieś szczegóły dotyczące tej wizyty, moja pamięć zawodziła. Zdałem sobie sprawę, jak niemądrze postąpiłem, nie wyjawiając pannie Stratmann całej prawdy. Jeśli nie dostałem programu wizyty, wina leżała po jej stronie, nie po mojej, więc moje asekurantwo było całkowicie nieuzasadnione.

Znowu skupiłem się na nazwisku Brodsky i tym razem nasunęło mi się nieodparte wrażenie, że nie tak dawno coś o nim słyszałem lub czytałem. Potem przypomniałem sobie pewien moment z mojej długiej, dopiero co zakończonej podróży. Siedziałem w zaciemnionej kabinie i przy włączce wątlęgo światła studiowałem program swojej wizyty. Inni pasażerowie spali. W pewnej chwili siedzący obok mnie mężczyzna się obudził i po paru minutach rzucił jakąś żartobliwą uwagę. A właściwie, o ile dobrze pamiętam, nachylił się i zadał mi jakieś kwizowe pytanie, coś na temat piłkarzy biorących udział w mistrzostwach świata. Aby

uniknąć rozproszenia uwagi, zbyłem go niezbyt uprzejmą odpowiedzią. Wszystko to wróciło teraz do mnie. Pamiętałem gruby, szary papier, na którym wydrukowany był program, bladożółtą plamę padającego z góry światła, warkot silników – ale za nic nie potrafiłem sobie przypomnieć, co owa kartka zawierała.

Po kilku minutach poczułem przyływ znużenia i uznałem, że dopóki się nie prześpię, dalsze rozważania nie mają większego sensu. Wiedziałem z doświadczenia, że po wypoczynku wszystko przedstawia się o wiele jaśniej. Później mogę się udać do panny Stratmann, wytłumaczyć jej całe nieporozumienie, poprosić o program wizyty i wypytać ją o wszystko, co będzie wymagało wyjaśnienia.

Właśnie zaczynałem zapadać w sen, gdy nagle coś kazało mi na nowo otworzyć oczy i spojrzeć na sufit. Przyglądałem mu się dobrą chwilę, a następnie usiadłem na łóżku i rozejrzałem się dokoła, czując, jak z każdą sekundą narasta we mnie przeświadczenie, że widok ten nie jest mi obcy. Uprzytomniłem sobie, że pokój, w którym się znajdowałem, był dokładnie tym samym pokojem, który służył mi jako sypialnia w ciągu dwóch lat spędzonych z rodzicami w domu mojej ciotki na pograniczu Anglii i Walii. Ponownie rozejrzałem się po pokoju, po czym opadłem z powrotem na łóżko i jeszcze raz przyjrzałem się sufitowi. Niedawno otynkowano go i pomalowano, zwiększono jego rozmiary, usunięto gzymsy, całkowicie zmieniono dekoracje wokół lampy. Bezspornie jednak był to ten sam sufit, który w owych czasach tyle razy oglądałem ze swojego wąskiego, skrzypiącego łóżka.

Przewróciłem się na bok i spojrzałem na podłogę przy łóżku. W miejscu, gdzie stawia się nogi, leżał ciemny dywanik. Przypomniłem sobie, że niegdyś w tym samym miejscu podłoga przykryta była zieloną, wytartą matą, na której kilka razy w tygodniu ostrożnie rozmieszczałem formacje moich plastikowych żołnierzyków; w sumie miałem ich ponad sto i przechowywałem je w dwóch puszkach po biszkoptach. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem dywanik, co obudziło we mnie wspomnienie pewnego popołudnia, gdy – zatopiony w świetle swoich plastikowych żołnierzyków – usłyszałem z dołu odgłosy gwałtownej kłótni. Głosy naładowane były furją, toteż nawet jako sześcioletnie dziecko wiedziałem, że nie jest to zwykła sprzeczka. Powiedziałem sobie jednak, że to nic takiego, i ponownie kładąc policzki na zielonej macie, dalej snułem swoje plany wojenne. W pobliżu środka maty była wyszarpana dziura, która zawsze bardzo mnie drażniła. Lecz tamtego popołudnia, przy wtórze dobiegających z dołu wrzasków, po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że dziurę tę można wykorzystać, traktując jako teren pokryty krzewami, przez które muszą się przedzierać moi żołnierze. Odkrycie to – że skaza, która zawsze zagrażała integralności mojego wymyślanego świata, może się w istocie stać jego częścią – wywołało we mnie

podniecenie i odtąd „krzew” ów wielokrotnie odgrywał niebagatelną rolę w bitwach, które potem aranżowałem.

Wszystko to przypomniało mi się, kiedy leżałem z oczyma wlepionymi w sufit. Oczywiście przez cały ten czas miałem świadomość, że wygląd pokoju został gruntownie zmieniony. Ale myśl, że po tylu latach znów się znalazłem w świątyni mojego dzieciństwa, wzbudziła we mnie poczucie głębokiego spokoju. Zamknąłem oczy i przez chwilę zdawało mi się, że znów otaczają mnie wszystkie znane mi sprzęty. W rogu po prawej stronie wysoka, biała szafa z ułamanym uchwytem. Obraz katedry w Salisbury na ścianie nad moją głową. Przy łóżku szafka z dwoma szufladami pełnymi moich małych skarbów i sekretów. Wszystkie napięcia tego dnia – długi lot, nieporozumienia wokół programu mojej wizyty, troski Gustava – powoli odpływały i czułem, jak zanurzam się w głęboki sen człowieka wyczerpanego.

## Rozdział 2

Kiedy obudził mnie telefon, miałem wrażenie, że dzwonił już dłuższą chwilę. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem czyjś głos:

– Halo, pan Ryder?

– Tak, to ja.

– Mówi Hoffman. Kierownik hotelu.

– Aha. Bardzo mi miło.

– Panie Ryder, jesteśmy tacy szczęśliwi, że wreszcie pan do nas zawitał. Jest pan tu bardzo mile widziany.

– Dziękuję.

– Bardzo mile. Proszę się nie przejmować swoim spóźnieniem. Jak przypuszczam, panna Stratmann zdążyła już panu donieść, że wszyscy okazali całkowite zrozumienie. W końcu jeśli ma się do przebycia takie odległości i tyle zobowiązań na całym świecie... ha, ha... nie zawsze można tego uniknąć.

– Ale...

– Doprawdy, nie ma o czym mówić. Jak wspomniałem, wszyscy byli bardzo wyrozumiali. Zapomnijmy więc już o tym. Ważne, że jest pan z nami. Już choćby za to jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni.

– Bardzo dziękuję, panie Hoffman.

– Jeśli nie jest pan teraz zbyt zajęty, bardzo chciałbym w końcu powitać pana osobiście. Wyrazić wdzięczność, że zgodził się pan na wizytę w tym mieście i tym hotelu.

– To bardzo miło z pańskiej strony – powiedziałem – ale właśnie uciałem sobie drzemkę...

– Drzemkę? – W jego głosie zabrzmiała nagła irytacja, lecz zaraz dodał uprzejmym tonem: – No tak, oczywiście. Na pewno jest pan bardzo zmęczony. Ma pan za sobą szmat drogi. Umówmy się, że da pan znać, kiedy będzie pan gotów.

– Chętnie się z panem spotkam, panie Hoffman. Na pewno nie każę panu długo na siebie czekać.

– Proszę przyjść w najdogodniejszej dla pana chwili. Będę na pana czekał, tu, w holu, dopóki nie zejdzie pan na dół. Więc proszę się nie spieszyć.

Po chwili namysłu powiedziałem:

- Przecież ma pan na pewno wiele innych spraw na głowie.
- Ma pan rację, to bardzo pracowita pora dnia. Ale chętnie poczekam na pana tak długo, jak to konieczne.
- Nie chcę, by z mojego powodu marnował pan swój cenny czas, panie Hoffman. Za chwilę będę na dole i pana znajdę.
- To żaden kłopot, panie Ryder. Szczerze mówiąc, to dla mnie zaszczyt, że mogę na pana zaczekać. Tak jak mówię, proszę wybrać dogodną dla siebie porę. Zapewniam pana, że będę tu stał, póki się pan nie zjawi.

Podziękowałem mu raz jeszcze i odłożyłem słuchawkę, po czym usiadłem na łóżku i się rozejrzałem. Sądząc po świetle, było już późno po południu. Mimo ogromnego zmęczenia nie pozostawało mi nic innego, jak zejść do holu. Wstałem, podszedłem do jednej z walizek i odszukałem marynarkę mniej wymiętą niż ta, którą wciąż miałem na sobie. Gdy się przebierałem, naszała mnie przemożna ochota na kawę i chwilę potem pospiesznie opuściłem pokój.

\* \* \*

Kiedy wyszedłem z windy, hol tętnił życiem. Wszędzie dokoła siedzieli rozparci w fotelach goście hotelowi, przeglądali gazety lub gawędzili między sobą przy kawie. Obok recepcji kilku Japończyków wymieniało radosne pozdrowienia. Lekko oszołomiony tą przemianą nie zauważyłem, kiedy podszedł do mnie kierownik hotelu.

Miał koło pięćdziesiątki i był większy i cięższy, niż sobie wyobrażałem, sądząc po jego głosie słyszonym przez telefon. Z promiennym uśmiechem na twarzy wyciągnął do mnie rękę. Zauważyłem, że brakuje mu tchu, a na jego czole perli się pot.

Kiedy ściskaliśmy sobie dłonie, kilkakrotnie powtórzył, jakim to zaszczytem dla miasta, a w szczególności dla jego hotelu, jest moja wizyta. Potem nachylił się i powiedział tonem zwierzenia:

– Mogę pana zapewnić, że wszelkie przygotowania do czwartkowego wieczoru przebiegają zgodnie z planem. Naprawdę, nie musi się pan o nic martwić.

Czekałem, aż powie coś więcej, ale on uśmiechał się tylko, więc odrzekłem:

– Miło mi to słyszeć.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Hoffman miał już coś na końcu języka, powstrzymał się jednak, zaśmiał i klepnął mnie po ramieniu, co uznałem za gest niczym nieuzasadnionej poufałości. W końcu powiedział:

– Panie Ryder, jeśli w jakikolwiek sposób mogę uprzyjemnić panu pobyt w moim

hotelu, proszę mnie o tym niezwłocznie powiadomić.

– Jest pan bardzo uprzejmy.

Znow zapadło milczenie. Potem powtórnie się zaśmiał, potrząsnął nieznacznie głową i znowu klepnął mnie po ramieniu.

– Panie Hoffman – odezwałem się – czy jest coś, o czym szczególnie chciał pan ze mną porozmawiać?

– Ach nie, o niczym w szczególności, panie Ryder. Pragnąłem po prostu pana powitać i upewnić się, że nie ma pan żadnych zastrzeżeń. – Po czym dość nieoczekiwanie wykrzyknął: – Ależ tak! Skoro już pan o tym wspomniał... tak, miałem coś konkretnego na myśli. Właściwie to tylko drobiazg. – Po raz kolejny się zaśmiał i potrząsnął głową. – Chodzi o albumy mojej żony.

– Albumy pańskiej żony?

– Moja żona, panie Ryder, to bardzo wykształcona kobieta. Oczywiście jest gorącą wielbicielką pana talentu. Z dużym zainteresowaniem śledzi pańską karierę, a od paru lat zbiera wycinki prasowe na pański temat.

– Naprawdę? Jak to miło z jej strony.

– Zapełniła już dwa albumy wycinkami poświęconymi wyłącznie panu. Poszczególne pozycje ułożone są chronologicznie, najwcześniejsze zaś pochodzą sprzed wielu lat. Przejdę do sedna sprawy. Moja żona zawsze miała nadzieję, że któregoś dnia pan przejrzy te albumy. Naturalnie, wiadomość o pańskim przyjeździe do naszego miasta na nowo ożywiła te nadzieje. Wiedziała jednak, jak bardzo będzie pan zajęty, nalegała więc, by nie zawracać panu tym głowy. Ale ja, odgadując jej skrywane pragnienia, obiecałem jej, że przynajmniej poruszę przy panu ten temat. Gdyby znalazł pan choć chwilę, by rzucić na nie okiem... nawet nie wyobraża pan sobie, jak wiele by to dla niej znaczyło.

– Proszę przekazać małżonce wyrazy wdzięczności, panie Hoffman. Chętnie zajrzę do jej albumów.

– Jak to miło z pańskiej strony, panie Ryder! Doprawdy, niezwykle miło. Prawdę mówiąc, przyniosłem albumy tu, do hotelu, żeby w każdej chwili były pod ręką. Domyślam się jednak, jak bardzo jest pan zajęty.

– Rzeczywiście, mój program jest dość napięty. Z pewnością jednak znajdę trochę czasu na albumy pańskiej żony.

– Pan jest niezwykle uprzejmy, panie Ryder. Ale podkreślam, że w żadnym razie nie chciałbym sprawiać panu dodatkowych kłopotów. Mam zatem następującą propozycję. Kiedy tylko będzie pan gotów dokonać przeglądu albumów, da mi pan znać. Do tego czasu nie będę

się naprzykrzał. Jeśli pan uzna, że nadszedł właściwy moment, proszę mnie odszukać, bez względu na porę dnia lub nocy. Zwykle nietrudno mnie znaleźć, a teren hotelu opuszczam dość późno. Przerwę każde zajęcie, by przynieść panu albumy. Takie rozwiązanie wydaje mi się bardzo korzystne. Doprawdy, nie zniósłbym myśli, że również ja wywieram na pana presję.

– Dziękuję za troskę, panie Hoffman.

– Właśnie przyszła mi do głowy pewna myśl, panie Ryder. W ciągu kilku najbliższych dni mogę sprawiać wrażenie osoby gorączkowo pogrążonej w pracy. W związku z tym chciałbym pana zapewnić, że żadna praca nie przeszkodzi mi w zajęciu się tą sprawą. A zatem nawet jeśli wydam się panu bardzo zajęty, proszę się tym nie zniechęcać.

– Dobrze, będę o tym pamiętał.

– Moglibyśmy ustalić jakiś umowny sygnał. Może się przecież zdarzyć, że szukając mnie, dojrzy mnie pan w drugim końcu zatłoczonego pokoju. Przekiskanie się przez zwartą masę ludzką jest dość uciążliwe. A poza tym, kiedy dotrze pan do miejsca, w którym mnie pan ujrzał, może mnie tam już nie być. Dlatego wskazany byłby jakiś sygnał, łatwo rozpoznawalny i widoczny nad głowami ludzi.

– To rzeczywiście dobry pomysł.

– Doskonale. Pańska uprzejmość i życzliwość podnoszą mnie na duchu, panie Ryder. Szkoda, że nie o wszystkich znanych osobistościach, które tu gościliśmy, można powiedzieć to samo. Więc pozostaje nam tylko ustalić sygnał. Jeśli mogę zaproponować... powiedzmy coś takiego. – Podniósł rękę, dłonią do przodu i z rozwartymi palcami, po czym wykonał ruch podobny do mycia okna. – To tylko przykład – powiedział, szybko chowając rękę za siebie. – Być może woli pan inny sygnał.

– Nie, ten mi odpowiada. Użyję go, gdy tylko będę gotów zajrzeć do albumów pańskiej żony. To naprawdę miło z jej strony, że zadała sobie tyle trudu.

– Wiem, że sprawiło jej to wiele radości. Jeśli później zechce pan zmienić umówiony sygnał, proszę do mnie zadzwonić ze swojego pokoju lub też przekazać wiadomość przez któregoś z moich pracowników.

– Jest pan niezwykle uprzejmy, lecz sygnał, który pan przed chwilą zaproponował, wydaje mi się bardzo elegancki. Czy zechciałby mi pan teraz powiedzieć, gdzie podają dobrą kawę? Czuję, że mógłbym wypić kilka filiżanek naraz.

Kierownik hotelu zaśmiał się nieco sztucznie.

– Dobrze znam to uczucie. Pokażę panu drogę do atrium. Proszę za mną.

Ruszył w stronę rogu holu, gdzie znajdowały się ciężkie drzwi wahadłowe.

Wyszliśmy przez nie na długi, ponury korytarz, po obu stronach wyłożony boazerią z ciemnego drewna. Dochodziło tam tak mało naturalnego światła, że nawet o tej porze dnia na ścianach świecił blado rząd lampek. Hoffman szedł przede mną żwawym krokiem, odwracając się co kilka kroków, by rzucić mi przez ramię uśmiech. Mniej więcej w połowie drogi minęliśmy dość okazałe drzwi wejściowe i Hoffman, który widocznie zauważył, że spojrzałem w tę stronę, powiedział:

– Tak, zwykle kawę podaje się tam, w salonie. To piękny pokój, panie Ryder, i bardzo wygodny. Od niedawna zdobią go wykonane ręcznie stoły, sprowadzone specjalnie z Florencji, gdzie ostatnio bawiłem. Na pewno by się panu spodobały. Ale teraz salon jest zamknięty na użytek pana Brodsky’ego.

– Ach tak. Był tam już, kiedy tu przyjechałem.

– I wciąż tam jest, proszę pana. Moglibyśmy wejść do środka, aby się panowie poznali, ale, hm... czuję, że nie jest to odpowiednia chwila. Pan Brodsky może... powiedzmy, że to nie byłby właściwy moment. Ha, ha! Ale bez obaw, będzie jeszcze wiele okazji, by mogli się panowie poznać.

– Pan Brodsky jest teraz w tamtym pokoju?

Spojrzałem za siebie w stronę drzwi i zapewne zwolniłem kroku, gdyż kierownik hotelu chwycił mnie za ramię i jął stanowczo popychać do przodu.

– Tak, jest w środku. Wprawdzie teraz siedzi cicho, ale zapewniam pana, że w każdej chwili może znowu zacząć. A dziś rano przez bite cztery godziny ćwiczył z orkiestrą. Tak więc wszystko jest na jak najlepszej drodze. Naprawdę, nie ma powodów do obaw.

W końcu dotarliśmy do zakrętu, za którym zrobiło się dużo jaśniej. W tej części korytarza w jednej ze ścian znajdował się rząd okien, przez które kładły się na podłogę słoneczne plamy. Dopiero gdy uszliśmy spory kawałek, Hoffman puścił moje ramię. Kiedy zwolniliśmy kroku, kierownik zaśmiał się, by ukryć zakłopotanie.

– Zbliżamy się do atrium, proszę pana. Właściwie jest to bar, ale bardzo wygodny. Dostanie pan tam kawę i co tylko pan zechce. Tędy, proszę. – Opuściliśmy korytarz i przeszliśmy pod łukiem. – Ten aneks oddaliśmy do użytku przed trzema laty – powiedział Hoffman, wprowadzając mnie do środka. – Nazywamy go atrium i jesteśmy z niego dumni. Zaprojektował go dla nas Antonio Zanotto.

Weszliśmy do jasnej, przestronnej sali. Z powodu szklanego sufitu można było odnieść wrażenie, że wychodzi się na dziedziniec. Rozległą podłogę pokrywały białe płyty, a pośrodku, górując nad wszystkim dokoła, stała fontanna – płatanina nimfopodobnych marmurowych figur tryskających wodą. Uderzyło mnie, że jej ciśnienie było dość duże;

gdziekolwiek spojrzeć, w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka. Mimo to szybko zdołałem ustalić, że w każdym rogu atrium znajdował się oddzielny bar, z własnymi stołkami, fotelami i stolikami. Po sali uwijali się kelnerzy w białych liberiach. Gości było sporo, lecz ogrom przestrzeni sprawiał, że prawie się ich nie zauważało.

Widziałem, że kierownik obserwuje mnie z zadowoloną miną, oczekując wyrazów uznania dla wystroju aneksu. W tym momencie jednak poczułem tak silną potrzebę kawy, że po prostu odwróciłem się i ruszyłem w kierunku najbliższego baru.

Zdażyłem się już usadowić na jednym ze stołków, z łokciem opartym na kontuarze, gdy dogonił mnie kierownik. Strzelił palcami na barmana, który i tak miał mnie właśnie obsłużyć, i powiedział:

– Pan Ryder życzy sobie kawy, Kenyan! – Po czym zwrócił się do mnie: – Miałbym wielką ochotę panu potowarzyszyć, pogawędzić o muzyce i sztuce. Niestety, jest kilka ważnych spraw, których nie mogę odłożyć. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy.

Choć utwierdzałem go w przekonaniu, że doceniam jego usłużność, pożegnanie zabrało mu jeszcze kilka minut. W końcu spojrzął na zegarek, wydał okrzyk zgrozy i pospiesznie się oddalił.

Kiedy zostałem sam, szybko zatopiłem się we własnych myślach i nie zauważyłem nawet powrotu barmana. Musiał jednak wrócić, bo już wkrótce sączyłem kawę, wpatrując się w duże lustro za bufetem, w którym widziałem nie tylko własne odbicie, ale i dużą część sali za moimi plecami. Po chwili uświadomiłem sobie, że nie wiadomo dlaczego odtwarzam w pamięci decydujące momenty pewnego meczu, który oglądałem wiele lat wcześniej – spotkania między Niemcami i Holandią. Poprawiłem się na stołku, zauważyłem bowiem, że zbyt się garbię, i spróbowałem sobie przypomnieć ówczesny skład drużyny holenderskiej. Rep, Kroi, Haan, Neeskens. Po kilku minutach przypomniały mi się wszystkie nazwiska z wyjątkiem dwóch, które jednak miałem na końcu języka. Gdy tak wysiłałem pamięć, szum fontanny za moimi plecami, który z początku działał dość kojąco, zaczął mnie irytować. Miałem wrażenie, że gdyby tylko ustał, moja pamięć natychmiast by się odblokowała i przypomniałbym sobie wreszcie dwa brakujące nazwiska.

Z tych rozważań wyrwał mnie nagle jakiś głos z tyłu:

– Przepraszam, pan Ryder, jeśli się nie mylę?

Odwróciłem się i ujrzałem młodego człowieka o świeżej cerze, który nie mógł mieć wiele ponad dwadzieścia lat. Kiedy go pozdrowiłem, skwapliwie podszedł do bufetu.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – rzekł – ale gdy przed chwilą pana zobaczyłem, poczułem nieprzepartą chęć, by do pana podejść i powiedzieć, jak wielkim

przeżyciem jest dla mnie pańska obecność tutaj. Bo widzi pan, ja sam jestem pianistą. To znaczy pianistą amatorem. I cóż, zawsze strasznie pana podziwiałem. Kiedy do ojca nadeszło w końcu potwierdzenie pańskiej wizyty, nie mogłem opanować wzruszenia.

– Ojca?

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Nazywam się Stephan Hoffman i jestem synem kierownika hotelu.

– Ach tak, rozumiem. Miło mi.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym przysiadł się do pana na minutkę? – Młody człowiek wdrapał się na sąsiedni stół. – Zresztą dla ojca także jest to wielkie przeżycie, może nawet większe niż dla mnie. O ile go znam, pewnie się panu nie przyznał jak wielkie. Ale proszę mi wierzyć, to dla niego sprawa najwyższej wagi.

– Doprawdy?

– Ależ tak, wcale nie przesadzam. Pamiętam, jak ojciec czekał na pańską odpowiedź. Zawsze gdy padało pańskie nazwisko, nachodziło go to szczególne milczenie. A później, kiedy napięcie wzrosło, zaczynał mrużyć pod nosem: „Jak długo jeszcze? Jak długo musimy czekać na odpowiedź? Na pewno odmówi. Czuję to”. Zadawałem sobie wiele trudu, żeby podtrzymać go na duchu. Może więc pan sobie wyobrazić, jak wiele dla niego znaczy pańskie przybycie. A jaki z niego perfekcjonista! Kiedy organizuje wydarzenie takie jak czwartkowy wieczór, wszystko, absolutnie wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. Wielokrotnie analizuje w myślach każdy najmniejszy szczegół. Czasem staje się to uciążliwe, ta jego monotematyczność. Ale sądzę, że bez tej cechy nie byłby sobą i nie osiągnąłby nawet połowy tego, co zdołał osiągnąć.

– Istotnie, wydaje się, że jest go za co podziwiać.

– Szczerze mówiąc, panie Ryder – rzekł młody człowiek – chciałem pana o coś prosić. Jeśli nie będzie pan mógł spełnić mojej prośby, proszę mi o tym powiedzieć. Nie poczuję się urażony.

Stephan Hoffman przerwał na moment, jakby chciał sobie dodać odwagi. Upiłem łyk kawy i zerknąłem na nasze odbicie w lustrze.

– To także wiąże się z czwartkowym wieczorem – podjął. – Widzi pan, ojciec poprosił mnie, żebym zagrał podczas tego koncertu. Ćwiczyłem i jestem gotowy. Nie chodzi o to, że się tym martwię, ale... – Gdy to mówił, opuściła go na chwilę dotychczasowa pewność siebie, odsłaniając młodzieńczą nerwowość. Ale prawie natychmiast odzyskał samokontrolę i nonszalancko wzruszył ramionami. – Chodzi o to, że wiedząc, jak ważnym wydarzeniem jest czwartkowy wieczór, nie chciałbym go zawieść. Przechodząc do sedna sprawy, chciałem

pana zapytać, czy znalazłby pan trochę czasu, żeby posłuchać, jak gram swój kawałek. Postanowiłem zagrać *Dalię* Jean-Louisa La Roche'a. Jestem tylko amatorem, tak więc musiałby pan okazać wielką wyrozumiałość. Ale pomyślałem sobie, że gdyby posłuchał pan mojej gry, mógłby mi pan udzielić kilku pomocnych wskazówek.

– Więc zamierza pan wystąpić w czwartek? – spytałem po chwili zastanowienia.

– Naturalnie to tylko drobny przyczynek do całego wieczoru – zaśmiał się – zważywszy na pozostałe punkty programu. Mimo to chciałbym zagrać swój kawałek najlepiej, jak potrafię.

– Tak, doskonale pana rozumiem. Cóż, z przyjemnością zrobię dla pana, co w mojej mocy.

Młody człowiek pojaśniał na twarzy.

– Nie wiem, jak panu dziękować! Właśnie tego mi trzeba...

– Jest jednak pewien problem. Jak się pan domyśla, mój czas jest bardzo ograniczony. Będę musiał znaleźć jakąś wolną chwilę.

– Naturalnie. Kiedy tylko będzie pan gotów, panie Ryder. Mój Boże, jak mi to schlebia. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że mi pan kategorycznie odmówi.

Gdzieś w zakamarku jego ubrania zaczął pisać elektroniczny alarm. Stephan podskoczył raptownie na stołku i sięgnął za połę marynarki.

– Bardzo pana przepraszam, ale to pilny sygnał. Właściwie już dawno powinienem być gdzie indziej, ale kiedy pana zobaczyłem, nie mogłem się oprzeć pokusie, by do pana podejść. Mam nadzieję, że wkrótce powrócimy do tematu. Lecz teraz proszę pana o wybaczenie.

Zszedł ze stołka, ale jeszcze przez chwilę się wahał, jakby chciał zacząć rozmowę na nowo. Potem znowu rozległ się pisk alarmu i młodzieniec oddalił się pospiesznie z uśmiechem zakłopotania na twarzy.

Odwróciłem się do swojego odbicia w lustrze za kontuarem i dalej sącyłem kawę. Nie mogłem jednak wskrzesić nastroju błogiej kontemplacji, którym się delectowałem przed pojawieniem się młodego człowieka. Po raz kolejny natomiast naszła mnie myśl, że wiele tu ode mnie oczekują, a jeśli chodzi o oparcie, na które mógłbym liczyć, sytuację trudno uznać za zadowalającą. Najrozsądniej byłoby odszukać pannę Stratmann i raz na zawsze wyjaśnić pewne sprawy. Postanowiłem ją znaleźć, gdy tylko dopiję kawę. Nie widziałem powodów, dla których spotkanie to miałoby być niezręczne. Wystarczyłoby po prostu wyjaśnić, co zaszło podczas naszego poprzedniego spotkania. „Panno Stratmann – mógłbym powiedzieć – wcześniej byłem bardzo zmęczony i kiedy spytała mnie pani o program wizyty, źle panią

zrozumiałem. Otóż myślałem, że pyta pani, czy miałbym czas do niego zajrzeć, gdyby mi go pani wówczas dała do ręki”. Mógłbym też przyjąć postawę ofensywną, mówiąc z naganą w głosie: „Panno Stratmann, muszę przyznać, że jestem trochę zaniepokojony i, doprawdy, lekko rozczarowany. Zważywszy na ciężar odpowiedzialności, którą pani i jej ziomkowie tak ochoczo mnie obarczają, mam chyba prawo oczekiwać wsparcia administracyjnego na odpowiednio wysokim poziomie”.

Coś poruszyło się obok mnie. Spojrzawszy do góry, zobaczyłem, że przy moim stołku stoi Gustav, boy hotelowy. Kiedy odwróciłem się do niego, uśmiechnął się i powiedział:

– Dzień dobry panu. Przypadkiem pana dojrzałem. Mam nadzieję, że się tu panu podoba.

– Jak najbardziej. Choć, niestety, nie zdążyłem jeszcze zwiedzić Starego Miasta, jak mi pan radził.

– Wielka szkoda, bo jest to naprawdę bardzo ładna część naszego miasta, do tego całkiem niedaleko stąd. Rzekłbym też, że pogoda jest teraz idealna. Lekki chłodek w powietrzu, lecz słonecznie. Akurat na tyle ciepło, żeby usiąść gdzieś na świeżym powietrzu, choć radziłbym włożyć kurtkę albo lekki płaszcz. To najlepsza pora, żeby obejrzeć Stare Miasto.

– A wie pan – powiedziałem – może właśnie potrzeba mi teraz świeżego powietrza.

– Doradzam to panu. Byłoby szkoda, gdyby opuścił pan nasze miasto, nie odbywszy nawet krótkiej przechadzki po Starym Mieście.

– Chyba tak właśnie zrobię, zaraz wybiorę się na spacer.

– Gdyby znalazł pan czas, by usiąść w kawiarni Węgierskiej na Starym Rynku, jestem pewien, że by pan nie żałował. Polecam kawę i strudel z jabłkami. A przy okazji, może mógłby pan... – Urwał na chwilę, po czym ciągnął: – Chciałem zapytać, czy mógłby mi pan wyświadczyć drobną przysługę. Normalnie nie proszę gości o wyświadczenie przysługi, ale tym razem czuję, że znamy się już dość dobrze.

– Chętnie panu pomogę, jeśli tylko zdołam – powiedziałem.

Boy hotelowy stał przez chwilę bez słowa.

– To nic wielkiego – odezwał się wreszcie. – Widzi pan, o tej porze w kawiarni Węgierskiej powinna być moja córka. Ma ze sobą małego Borisa. To bardzo miła młoda kobieta, na pewno poczułby pan do niej sympatię, tak jak większość ludzi. Może trudno ją nazwać piękną, ale wygląda dość atrakcyjnie. W głębi serca jest bardzo zycziwa. Obawiam się jednak, że zawsze miała pewną drobną wadę charakteru. Możliwe, że zawiniło jej wychowanie, któż to może wiedzieć? Ale zawsze taka była. Otóż czasami zbyt łatwo daje

się przygnieść ciężarowi kłopotów, nawet jeśli umiałyby bez trudu sobie z nimi poradzić. Kiedy pojawia się jakiś mały problem, miast podjąć kilka prostych działań, które załatwiłyby sprawę, ona zaczyna nadmiernie go analizować. Tym sposobem, jak pan wie, małe problemy nabierają coraz większych rozmiarów. Wkrótce sytuacja zaczyna jej się wydawać bardzo poważna i ogarniają rozpacz. A wszystko bez powodu. Nie wiem, czym się obecnie zdręcza, ale jestem przekonany, że to nic poważnego. Już tyle razy zdarzyło mi się zauważyć u niej podobne zachowanie. Ale, widzi pan, tym razem także Boris zaczął to dostrzegać. Jeśli w najbliższym czasie Sophie nie opanuje sytuacji, obawiam się, że chłopiec zacznie się tym poważnie martwić. A jest teraz takim radosnym dzieckiem. Otwartym i ufnym. Wiem, że nie będzie taki wiecznie, może nawet jest to niewskazane, w jego wieku jednak, jak sądzę, powinien jeszcze przez kilka lat żyć w przekonaniu, że świat jest miejscem pełnym radości i słońca. – Ponownie zamilkł i zatonął w myślach. Po chwili jednak podniósł wzrok i mówił dalej: – Wiem, że gdyby tylko Sophie spojrzała jasno na sytuację, umiałyby sobie poradzić. W głębi serca jest bardzo sumienna, gotowa uczynić wszystko dla tych, na których najbardziej jej zależy. Chodzi o to, że gdy pogrzy się już w tym stanie, ktoś musi pomóc jej odzyskać poczucie rzeczywistości. W tym celu wystarczy z nią poważnie porozmawiać. Posiedzieć z nią parę minut i pokazać jej, jak się sprawy mają. Pomóc jej ustalić prawdziwą naturę jej problemów i zastanowić się, jak je przezwyciężyć. Tylko tego jej trzeba, proszę pana, poważnej rozmowy. Dalej sama da sobie radę. Jeśli chce, potrafi być bardzo rozsądna. I stąd moja prośba. Gdyby szedł pan teraz na Stare Miasto, może zgodziłby się pan zamienić z nią parę słów. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że może to być dla pana pewien kłopot, ale skoro i tak idzie pan w tamtym kierunku, pomyślałem sobie, że zapytam. Nie musiałby pan z nią długo rozmawiać. Chodzi o krótką pogawędkę, tak by ustalić, co ją gryzie, i przywrócić jej wyczucie proporcji.

Boy hotelowy przerwał i popatrzył na mnie błagalnym wzrokiem.

– Naprawdę cieszyłbym się, gdybym mógł panu pomóc – powiedziałem po chwili z westchnieniem. – Ale z tego, co pan mówi, odnoszę wrażenie, że kłopoty Sophie, czymkolwiek są wywołane, mogą równie dobrze dotyczyć spraw rodzinnych. A jak pan wie, problemy tego rodzaju są bardzo zawikłane. Ktoś z zewnątrz, jak ja, może po szczerzej rozmowie dotrzeć do sedna jednej sprawy po to tylko, by odkryć, że wiąże się ona z innym kłopotem. I tak dalej, bez końca. Jeśli mam być szczerzy, wydaje mi się, że to właśnie pan najlepiej nadaje się do przedyskutowania całej tej gmatwaniny spraw rodzinnych. W końcu jako ojciec Sophie i dziadek Borisa ma pan u nich naturalny autorytet, którego mnie po prostu brakuje.

Boy hotelowy jakby od razu poczuł na sobie ciężar tych słów, tak że omal nie pożałowałem, że padły one z moich ust. Widocznie trafiłem w czuły punkt. Odwrócił się lekko i przez chwilę patrzył obojętnie w stronę fontanny. W końcu odrzekł:

– Rozumiem pański punkt widzenia. Słusznie, to ja powinienem z nią porozmawiać, zdaję sobie z tego sprawę. Cóż, będę szczery... choć nie bardzo wiem, jak to panu wyjaśnić... będę z panem zupełnie szczery. Prawda jest taka, że Sophie i ja nie rozmawiamy ze sobą już od wielu lat. Właściwie od czasów jej dzieciństwa. Sam więc pan rozumie, że w tej sytuacji niełatwo byłoby mi dokonać tego, co trzeba.

Spuścił wzrok i zdawało się, że czeka na moją reakcję jak na wyrok.

– Przepraszam – odezwałem się – ale nie jestem pewien, czy pana dobrze rozumiem. Chce pan powiedzieć, że przez cały ten czas nie widział się pan ze swoją córką?

– Nie, nie o to chodzi. Jak pan wie, widuję ją regularnie, za każdym razem, gdy zabieram od niej Borisa. Chodzi o to, że nie rozmawiamy ze sobą. Może zrozumie pan lepiej, gdy to panu opiszę. Proszę sobie wyobrazić, jak czekamy na nią z Borisem po jednej z naszych małych przechadzek po Starym Mieście. Powiedzmy, że siedzimy w kawiarence pana Krankla. Boris jest wesoły, mówi głośno, ze wszystkiego się śmieje. Ale gdy tylko dojrzy w drzwiach matkę, natychmiast milknie. Nie ze zdenerwowania. Po prostu się powstrzymuje. Chce uszanować rytuał, rozumie pan. Potem Sophie podchodzi do naszego stolika i zwraca się do niego. Czy dobrze się bawiliśmy? Gdzie byliśmy? Czy dziadkowi nie było za zimno? Zawsze o mnie pyta. Martwi się, że przez te piesze wędrówki mogę się rozchorować. Ale jak mówię, Sophie i ja nie rozmawiamy ze sobą bezpośrednio. „Pożegnaj się z dziadkiem”, mówi w końcu do Borisa i razem odchodzą. Tak wyglądają nasze stosunki już od wielu lat i nie widzę potrzeby, aby cokolwiek teraz zmieniać. Ale, widzi pan, w podobnych sytuacjach powstaje kłopot. Jestem przekonany, że potrzeba jej szczerej rozmowy. Myślę, że ktoś taki jak pan idealnie by się do tego nadawał. Parę słów, nic więcej. Żeby pomóc jej zrozumieć, jaki ma problem. Gdyby tylko się pan na to zgodził, resztą zajmie się już sama, zapewniam.

– Dobrze więc – odparłem po namyśle. – Zobaczą, co da się zrobić. Ale powtarzam z naciskiem, że sprawy te są często zbyt skomplikowane dla osoby z zewnątrz. Może jednak będę mógł pomóc.

– Byłbym panu wielce zobowiązany. O tej porze powinna być w kawiarni Węgierskiej. Rozpozna ją pan bez trudu. Ma długie, ciemne włosy i jest trochę podobna do mnie. A gdyby miał pan wątpliwości, zawsze może pan poprosić właściciela albo kogoś z obsługi, żeby ją panu wskazał.

– Doskonale. Zaraz się tam wybiorę.

– Będę panu ogromnie wdzięczny. Zresztą nawet jeśli z jakiegoś powodu nie będzie pan mógł z nią porozmawiać, jestem pewien, że spacer po tej okolicy sprawi panu dużą przyjemność.

Zsunąłem się ze stołka.

– Gdy wrócę, opowiem panu, jak mi poszło – obiecałem.

– Z całego serca dziękuję.

## Rozdział 3

Droga z hotelu na Stare Miasto – jakieś piętnaście minut piechotą – nie wyglądała zachęcająco. Ze względu na wzmożony o tej porze dnia ruch samochodów przez większą jej część zmuszony byłem iść hałaśliwymi ulicami, nad którymi pochylały się groźnie wielkie szklane biurowce. Kiedy jednak dotarłem do rzeki i wkroczyłem na garbaty most prowadzący na Stare Miasto, poczułem, że atmosfera zaraz się zmieni. Na drugim brzegu rzeki wyłoniły się kolorowe markizy i kawiarniane parasole. Dostrzegłem krążących pod nimi kelnerów i biegające w kółko dzieci. Jakiś malutki piesek poszczekiwał zawzięcie na nadbrzeżu, być może na mój widok.

Parę minut później znalazłem się na Starym Mieście. Wąskie, brukowane kocimi łbami uliczki roiły się od spacerowiczów. Przez jakiś czas błąkałem się bez celu, przechodząc obok licznych sklepów z upominkami, cukierni i piekarni. Minałem też kilka kawiarenek i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie będę miał trudności z odnalezieniem tej, którą miał na myśli boy hotelowy. Ale gdy doszedłem do dużego placu w samym sercu dzielnicy, kawiarnia Węgierska od razu rzuciła mi się w oczy. Stoliki, zajmujące cały przeciwległy róg placu, skupione były wokół małego wejścia osłoniętego markizą w paski.

Zatrzymałem się na chwilę, by nabrać tchu i rozpoznać teren. Nad placem zaczynało właśnie zachodzić słońce. Tak jak ostrzegwał Gustav, od czasu do czasu dawał się odczuć chłodny powiew wiatru, któremu towarzyszył trzepot parasoli otaczających wejście do kawiarni. Mimo to większość stolików była zajęta. Wielu klientów wyglądało na turystów, ale dostrzegłem też sporo osób sprawiających wrażenie miejscowych, którzy wcześniej skończyli pracę i teraz zażywali odpoczynku przy kawie i gazecie. Przechodząc przez plac, minąłem wielu urzędników, którzy stali w grupkach, każdy z walizką w ręku, i radośnie gawędzili.

Kiedy dotarłem do stolików, przez kilka minut krążyłem między nimi, szukając kobiety, która mogłaby być córką boya hotelowego. Dwóch studentów rozmawiało o jakimś filmie. Turysta czytał „Newsweeka”. Staruszka rzucała kawałki chleba gołębiom, które gromadziły się u jej stóp. Ale nigdzie nie mogłem dostrzec młodej kobiety o długich, ciemnych włosach, w towarzystwie małego chłopca. Wszedłem do kawiarni. W małej, dość ponurej sali mieściło się zaledwie pięć czy sześć stolików. Boy hotelowy miał rację – podczas

chłodniejszych miesięcy mogło tu być naprawdę tłoczno, ale teraz jedynym klientem był starszy mężczyzna siedzący w głębi sali. Rezygnując z dalszych poszukiwań, wróciłem na zewnątrz i właśnie rozglądałem się za kelnerem, by zamówić kawę, gdy ktoś zawołał mnie po imieniu.

Odwróciłem się. Przy pobliskim stoliku siedziała kobieta z małym chłopcem i machała do mnie ręką. Para ta dokładnie odpowiadała opisowi boya hotelowego i nie mogłem pojąć, dlaczego wcześniej umknęli oni mojej uwagi. Poza tym byłem nieco zaskoczony, że się mnie spodziewali, toteż dopiero po chwili odmachalem im i ruszyłem w ich kierunku.

Choć boy hotelowy nazywał ją „młodą kobietą”, Sophie była raczej we wczesnym wieku średnim, gdzieś koło czterdziestki. Mimo to okazała się trochę powabniejsza, niż to sobie wyobrażałem: dość wysoka, szczupła, ciemne włosy nadawały jej z lekka cygański wygląd. Chłopiec u jej boku był dość okrągły i patrzył teraz na matkę z zagniewaną miną.

– Więc? – Sophie spojrzała na mnie z uśmiechem. – Nie usiądziesz?

– Tak, oczywiście – powiedziałem, uświadomiwszy sobie, że wciąż stoję w pozycji wyrażającej niezdecydowanie. – Jeśli tylko nie macie nic przeciwko temu. – Rzuciłem w stronę chłopca szeroki uśmiech, ale spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Pewnie, że nie mamy nic przeciwko temu. Prawda, Boris? Boris, przywitaj się z panem Ryderem.

– Czołem, Boris – rzekłem, sadowiąc się przy stoliku.

Chłopiec wciąż patrzył na mnie nieprzychylnie.

– Czemu pozwoliłaś mu usiąść? – zapytał matkę. – Przecież właśnie próbowałem ci coś wytłumaczyć.

– To jest pan Ryder – wyjaśniła Sophie. – Nasz niezwykle przyjaciel. Ma się rozumieć, że może z nami usiąść, jeśli ma na to ochotę.

– Ale tłumaczyłem ci właśnie, jak leciał Voyager. Zauważyłem, że nie słuchasz. Powinnaś być uważniejsza.

– Przepraszam, Boris. – Sophie wymieniła ze mną szybki uśmiech. – Bardzo się starałam, ale cała ta nauka jest nie na moją głowę. Może jednak przywitasz się z panem Ryderem?

Boris posłał mi gniewne spojrzenie.

– Dzień dobry – wycedził i odwrócił ode mnie wzrok.

– Nie chcę być źródłem niesnasek między wami – rzekłem. – Proszę, Boris, mów dalej. Sam z ciekawością posłucham, co masz do powiedzenia o tym statku powietrznym.

– To nie jest statek powietrzny – oznajmił Boris znużonym głosem. – To pojazd do

podróży przez układy planetarne. I tak nie zrozumie pan więcej niż mama.

– Tak? Skąd wiesz? Być może mam umysł naukowca. Nie należy osądzać ludzi zbyt pochopnie, Boris.

Westchnął ciężko, nie przestając patrzeć w inną stronę.

– Pan jest jak moja mama – powiedział. – Brakuje panu koncentracji.

– Starczy już, Boris – ucięła Sophie. – Powinieneś być nieco bardziej uprzejmy. Pan Ryder to nasz bardzo wyjątkowy przyjaciel.

– I nie tylko wasz – dodałem. – Przyjaźnię się również z twoim dziadkiem. Zatrzymałem się w jego hotelu.

Boris popatrzył na mnie badawczo.

– Boris – powiedziała Sophie – czemu nie przywitasz się grzecznie z panem Ryderem? Zachowujesz się okropnie. Nie chcesz przecież, aby sobie pomyślał, że jesteś źle wychowanym młodym człowiekiem.

Boris przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, po czym dość niespodziewanie rzucił się na blat stołu, wtulając głowę w ramiona. Jednocześnie zaczął machać nogami, bo słyszałem, jak uderza nimi o metalową nogę stołu.

– Przepraszam – rzekła Sophie. – Jest dzisiaj nieco kapryśny.

– Prawdę mówiąc – powiedziałem cicho – chciałem z tobą o czymś porozmawiać. Ale, hmm... – Wskazałem oczyma na Borisa.

Sophie spojrzała na mnie, a potem odezwała się do chłopca:

– Boris, muszę porozmawiać z panem Ryderem. Może byś poszedł obejrzyć łabędzie? Tylko na chwilę.

Boris wciąż trzymał głowę wtuloną w ramiona, jakby spał, lecz jego stopy uderzały rytmicznie o stolik. Sophie delikatnie potrząsnęła go za ramię.

– No, idź już – ponagliła go. – Jest tam jeden czarny łabędź. Jeśli staniesz przy balustradce, gdzie teraz stoją zakonnice, na pewno go zobaczysz. Za parę minut wrócisz i opowiesz nam, co widziałeś.

Przez kilka sekund Boris nie reagował. Następnie się wyprostował, wydał kolejne ciężkie westchnienie i ześlizgnął się z krzesła. Z przyczyn sobie tylko znanych zaczął naśladować ruchy człowieka kompletnie pijanego i szedł, zataczając się od stołu do stołu.

Kiedy oddalił się dostatecznie, odwróciłem się do Sophie. Uświadomiłem sobie jednak, że nie bardzo wiem, od czego zacząć, i przez chwilę siedziałem bez słowa, nie mogąc się zdecydować. Sophie się uśmiechnęła i przemówiła pierwsza:

– Mam dobrą wiadomość. Pan Mayer dzwonił w sprawie domu. Dzisiaj wystawiono

go na sprzedaż. Brzmi to dość zachęcająco, cały dzień o tym myślę. Coś mi podpowiada, że może to być właśnie to, czego od dawna szukamy. Obiecałam, że pójde go obejrzeć jutro wczesnym rankiem. Naprawdę, mam przecucie, że to jest to. Mniej więcej pół godziny piechotą od wioski, stojący samotnie na wzgórzu, trzypiętrowy. Pan Mayer mówi, że od lat nie widział ładniejszego widoku na las. Wiem, że jesteś teraz bardzo zajęty, ale jeśli dom okaże się choć w części tak atrakcyjny, jak wynika z opisów, zadzwonię do ciebie i może uda ci się wyrwać. Boris też powinien pojechać. Może się okazać, że jest dokładnie taki, jakiego szukamy. Wiem, że trwało to dość długo, ale chyba w końcu znalazłam.

– Ach tak. Dobrze.

– Pojadę tam pierwszym porannym autobusem. Musimy się pospieszyć. Dom może zostać szybko sprzedany.

Zaczęła mnie zasypywać szczegółami na temat domu. Milczałem, ale tylko po części dlatego, że nie wiedziałem, jak zareagować. Im dłużej bowiem siedzieliśmy razem, tym bardziej znajome wydawały mi się rysy jej twarzy, aż w końcu ogarnęło mnie wrażenie, że przypominam sobie niejasno wcześniejsze rozmowy na temat zakupu takiego domu w lesie. Tymczasem na moim obliczu musiał odmalować się wyraz troski, bo w pewnej chwili przerwała i powiedziała innym, mniej pewnym tonem:

– Przepraszam za ten ostatni telefon. Mam nadzieję, że już się na mnie nie gniewasz.

– Gniewam się? Nie, skąd.

– Nie mogę przestać o tym myśleć. Nie powinnam była ci mówić tego wszystkiego. Mam nadzieję, że nie wzięłeś sobie tego do serca. W końcu, jak można oczekiwać, że właśnie teraz będziesz siedział w domu? W jakim domu? Jeszcze ta kuchnia! A ja tak długo ociągałam się ze znalezieniem czegoś dla nas. Ale jestem pełna nadziei, że jutro się uda.

Znów zaczęła mówić na temat domu, podczas gdy ja próbowałem sobie przypomnieć rozmowę telefoniczną, o której dopiero co wspomniała. Po chwili powróciło do mnie echo tego samego głosu – czy raczej jego sroższej, gniewniejszej wersji – słyszanego w słuchawce telefonu w niezbyt odległej przeszłości. W końcu zdało mi się, że pamiętam pewne zdanie, które krzychałem do słuchawki: „Żyjesz w takim małym świecie!”. Ona wysuwała kolejne argumenty, ja zaś powtarzałem tylko wzgardliwie: „Taki mały świat! W jakim małym świecie żyjesz!”. Niestety, nie mogłem sobie przypomnieć ani słowa więcej.

Kiedy tak przetrząsałem pamięć, musiała zauważyć, że się jej intensywnie przyglądam, bo zapytała z wyraźnym zażenowaniem w głosie:

– Myślisz, że przytyłam?

– Ależ skąd. – Odwróciłem się ze śmiechem. – Wyglądasz cudownie.

Naraz uświadomiłem sobie, że nie poruszyłem jeszcze sprawy, która niepokoiła jej ojca, i po raz kolejny zacząłem się zastanawiać, jak to zrobić. Właśnie wtedy coś szarpnęło od tyłu moim krzesłem i domyśliłem się, że wrócił Boris.

Chłopiec biegał w kółko nieopodal naszego stolika, kopiąc przed sobą niczym piłkę jakiś pusty karton. Gdy zauważył, że go obserwuję, przerzucił karton z jednej nogi na drugą i mocnym kopnięciem posłał go między nogi mojego krzesła.

– Dziewiątka! – wykrzyknął, trzymając ręce w górze. – Piękny gol Dziewiątki!

– Boris – powiedziałem – czy nie byłoby rozsądniej, gdybyś wrzucił karton do kosza?

– Kiedy idziemy? – zapytał, zwracając się do mnie. – Spóźnimy się. Zaraz zrobi się ciemno.

Spojrzałem ponad jego głowę. Rzeczywiście, słońce zaczęło zachodzić nad placem i wiele stolików zdążyło już opustoszeć.

– Przepraszam, Borisie. Jakie miałeś plany?

– Pospiesz się – chłopiec pociągnął mnie za rękaw – bo nigdy tam nie dotrzemy!

– Dokąd on chce iść? – spytałem jego matkę ściszonego głosem.

– Na plac zabaw, oczywiście. – Sophie westchnęła i podniosła się z krzesła. – Chce się przed tobą pochwalić swoimi postępami.

Nie pozostawało mi nic innego, jak również wstać, i po chwili wszyscy troje ruszyliśmy przez plac.

– Tak więc – zwróciłem się do idącego obok mnie Borisa – pokażesz mi parę sztuczek?

– Kiedy byliśmy tam wcześniej – powiedział, chwytając mnie za rękę – to taki jeden chłopak nie umiał nawet zrobić torpedy, chociaż był większy ode mnie! Mama uważa, że był ode mnie starszy o co najmniej dwa lata. Pięć razy pokazałem mu, jak to się robi, ale on i tak stchórzył. Wchodził na górę, ale nie dał rady tego zrobić!

– Co ty powiesz. Oczywiście ty się nie boisz robić tej swojej torpedy.

– Pewnie, że nie! To takie proste!

– To dobrze.

– Stchórzył! Ale miałem ubaw.

Opuściliśmy rynek i zaczęliśmy przemierzać brukowane kocimi łbami uliczki Starego Miasta. Boris musiał dobrze znać tę drogę, bo często niecierpliwie wybiegał parę kroków naprzód. Za którymś razem, gdy zrównał się ze mną, zapytał:

– Znasz dziadka?

– Tak, już mówiłem. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Dziadek jest bardzo silny. To jeden z najsilniejszych ludzi w tym mieście.

– Naprawdę?

– I umie się bić. Kiedyś był żołnierzem. Jest już stary, ale i tak bije się lepiej niż większość ludzi. Uliczni chuligani czasem nie zdają sobie z tego sprawy i potem spotyka ich niemiła niespodzianka. – Boris wykonał gwałtowny wypad do przodu. – Zanim się spostrzegą, dziadek powala ich wszystkich na ziemię.

– Poważnie? Ciekawe.

W tym momencie, pośrodku jednej z wąskich, starych uliczek, przypomniał mi się większy fragment mojej kłótni z Sophie, którą odbyliśmy tydzień temu lub coś koło tego. Byłem w jakimś pokoju hotelowym, nie pamiętam gdzie, i słyszałem, jak krzyczy do mnie z drugiego końca linii:

– Jak długo jeszcze będziesz tak żyć? Nie jesteśmy już tacy młodzi! Ty już swoje zrobiłeś! Teraz niech robi to ktoś inny!

– Posłuchaj – mówiłem spokojnym jeszcze głosem – ludzie naprawdę mnie potrzebują. Przyjeżdżam na miejsce i najczęściej odkrywam góry problemów, głęboko zakorzenionych i pozornie nie do rozwiązania. Ludzie są mi wtedy naprawdę wdzięczni, że się zjawiłem.

– Ale jak długo jeszcze możesz to robić dla ludzi? A co z nami? Myślałeś o Borisie? Czas nie stoi w miejscu. Zanim się spostrzeżesz, Boris dorośnie. Przecież nikt nie może od ciebie oczekiwać, że będziesz tak żyć bez końca. Czy ci wszyscy ludzie sami nie mogą rozwiązywać swoich problemów? Na pewno wyszłoby im to na dobre.

– Co ty możesz wiedzieć?! – wtrąciłem ze złością. – Nie masz o tym wszystkim bladego pojęcia! Tam, dokąd jeżdżę, ludzie czasami nic nie wiedzą. Muzyka współczesna to dla nich czarna magia! Jeśli nikt się tym nie zajmie, będą się coraz bardziej pogrążyć w swoich problemach! Jestem potrzebny, dlaczego tego nie pojmujesz? Jestem im potrzebny! Nawet nie wiesz, o czym mówisz! – Wtedy właśnie krzyknąłem do niej: – Taki mały świat! W jakim małym świecie żyjesz!

Doszliśmy do małego placu zabaw, ogrodzonego żelaznym parkanem. W środku nie było żywego ducha, co nadawało mu nieco melancholijną atmosferę. Ale Boris z zapalem wprowadził nas przez niewielką bramę.

– Patrz, to proste – rzucił w moją stronę i pobiegł ku drabinkom.

Sophie i ja staliśmy przez chwilę obok siebie w dogasającym świetle dnia, obserwując, jak chłopiec wspina się coraz wyżej i wyżej. Po chwili Sophie powiedziała cicho:

– Wiesz, to dziwne. Kiedy słuchałam, jak pan Mayer opisuje salon w tym domu,

nachodziły mnie obrazy naszego mieszkania, kiedy byłam mała. Przez cały czas, kiedy mówił, mnie nachodziły te obrazy. Nasz stary salon. I mama, i tata, jacy wtedy byli. Ten na pewno wygląda zupełnie inaczej, nie mam co do tego wątpliwości. Jutro tam pojedę i okaże się, że jest zupełnie niepodobny. Ale to obudziło we mnie nadzieję. No wiesz, to jakby palec boży. – Zaśmiała się i dotknęła mojego ramienia. – Czemu jesteś taki ponury?

– Naprawdę? Przepraszam. To wszystko przez te podróże. Zdaje się, że jestem bardzo zmęczony.

Boris wdrapał się na samą górę drabinki, ale w skąpym świetle zmierzchu jego sylwetka była ledwie widoczna na tle nieba. Zawołał coś do nas, po czym trzymając się ostatniego szczebla, okręcił się wokół niego.

– Jest taki dumny, że to potrafi – powiedziała Sophie. I zawołała do niego: – Boris, jest zbyt ciemno. Zejdź już!

– To proste. A w ciemności jeszcze prostsze.

– Zejdź zaraz.

– To wszystko przez te podróże – ciągnąłem. – Hotel za hotelem. A wszędzie sami obcy ludzie. To bardzo męczące. Nawet tutaj, w tym mieście, mam tyle spraw na głowie. Ci ludzie. Na pewno wiele ode mnie oczekują. To znaczy na pewno...

– Posłuchaj – przerwała łagodnie Sophie, kładąc mi rękę na ramieniu – może byśmy tak zapomnieli teraz o tym wszystkim? Później będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby o tym pomówić. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Wrócimy razem do mieszkania, to tylko parę minut stąd, zaraz za średniowieczną kaplicą. Na pewno wszyscy mamy ochotę na dobrą kolację i odpoczynek.

Mówiła cicho, z ustami przy moim uchu, tak że czułem na skórze jej oddech. Znów ogarnęła mnie fala znużenia i myśl o odpoczynku w jej ciepłym mieszkaniu – powiedzmy, ja i Boris leżymy beczynn timer na dywanie, podczas gdy Sophie przygotowuje kolację – wydała mi się nagle bardzo nęcąca. Tak bardzo, że być może na chwilę zamknąłem nawet oczy i stałem z błogim uśmiechem na twarzy. Z tego rozmarzenia wyrwał mnie dopiero głos Borisa.

– To proste w ciemności.

Zauważyłem, że Borisowi jest zimno i że jest lekko zdenerwowany. Cała jego niedawna energia gdzieś się ulotniła i domyśliłem się, że ten pokaz zręczności musiał go sporo kosztować.

– A teraz wszyscy razem wracamy do mieszkania – oznajmiłem. – Zjemy coś dobrego.

– Chodźmy – powiedziała Sophie, ruszając. – Czas ucieka.

Zaczęło mżyć, a ponieważ nie było już słońca, powietrze wyraźnie się ochłodziło. Boris znów wziął mnie za rękę i podążając za Sophie, wyszliśmy z placu zabaw na cichą, opustoszałą uliczkę.

## Rozdział 4

Wreszcie opuściliśmy Stare Miasto. Wznoszące się po obu stronach obskurne ceglane mury nie miały okien i wyglądały jak tyły magazynów. Sophie szła równym, zdecydowanym krokiem i wkrótce wyczułem, że Boris ledwo za nią nadaża. Kiedy jednak zapytałem go, czy nie idziemy za szybko, spiorunował mnie wzrokiem.

– Mogę iść dużo szybciej! – zawołał i puścił się truchtem, ciągnąc mnie za rękę. Ale prawie natychmiast zwolnił i przybrał obrażoną minę. Po chwili, chociaż utrzymywałem niezbyt szybkie tempo, usłyszałem, że z trudem łapie oddech. Potem zaczął coś do siebie szeptać. Z początku nie zwróciłem na to uwagi, myśląc, że po prostu próbuje dodać sobie otuchy. Ale potem usłyszałem jego szept:

– Dziewiątka... To Dziewiątka...

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem. Był zmarznięty i przemoczony, pomyślałem więc sobie, że powinienem podtrzymać rozmowę.

– Ta dziewiątka – powiedziałem – to piłkarz?

– Najlepszy piłkarz świata.

– Dziewiątka. No tak, oczywiście.

Daleko z przodu sylwetka Sophie zniknęła za rogiem i Boris mocniej ścisnął moją dłoń. Dotąd nie uświadamiałem sobie, jak bardzo daliśmy się jej wyprzedzić, a choć przyspieszyliśmy, dotarcie do rogu zabrało nam jeszcze sporo czasu. Kiedy w końcu wzięliśmy zakręt, z irytacją stwierdziłem, że Sophie oddaliła się od nas jeszcze bardziej.

Znów zaczęliśmy iść wzdłuż brudnych murów; na niektórych widać było rozległe zacieki wilgoci. Chodnik był nierówny i przed nami w świetle latami błyszczały kałuże.

– Nie martw się – pocieszyłem Borisa. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

Boris w kółko szeptał do siebie w rytm przyspieszonego oddechu:

– Dziewiątka... Dziewiątka...

Od samego początku Dziewiątka Borisa budziła we mnie jakieś dalekie skojarzenia. Przysłuchując się teraz jego szeptom, przypomniałem sobie, że Dziewiątka nie jest prawdziwym piłkarzem, ale jedną z figurek w jego stołowej grze futbolowej. Poruszani za pomocą przytknięć piłkarze z alabastru, obciążeni u dołu, mogą dryblować i podawać sobie malutką plastikową piłeczkę oraz strzelać do bramki. Gra przeznaczona jest dla dwóch osób, z

których każda ma własną drużynę, ale Boris zawsze grał w nią sam, godzinami leżąc na brzuchu i rozgrywając mecze pełne dramatycznych zwrotów i pasjonujących wejść. Miał sześć kompletnych drużyn, a także miniaturowe bramki z prawdziwą siatką i prostokątny kawałek zielonego filcu, który po rozwinięciu służył jako boisko. Zgodnie z intencją producenta, drużyny miały udawać prawdziwe kluby piłkarskie, takie jak Ajax Amsterdam czy AC Milan, Boris jednak pogardzał tym pomysłem i nadał drużynom własne nazwy. Nigdy natomiast nie wymyślił nazwisk dla poszczególnych graczy, choć tak dokładnie poznał mocne i słabe strony każdego z nich; z jakichś względów wolał używać ich numerków. Przez nieznamość zasad numerowania w prawdziwym futbolu, a być może z czystej fantazji, ponadawał swoim piłkarzom numery, które nie miały żadnego związku z przypisaną im pozycją w polu. I tak Numer Dziesięć w jednej drużynie mógł być legendarnym środkowym obrońcą, a Numer Dwa młodym, obiecującym skrzydłowym.

Dziewiątka należał do ulubionej drużyny Borisa i był zdecydowanie najbardziej uzdolnionym z jego graczy. Ogromnym umiejętnościom Dziewiątki towarzyszył jednak nadzwyczaj kapryśny charakter. Na boisku jego pozycją było pole środkowe, lecz często podczas meczu zaszywał się na dłuższy czas w jakimś niewidocznym miejscu, najwyraźniej niepomny na tragiczną sytuację swej drużyny. Ten apatyczny stan Dziewiątki trwał niekiedy ponad godzinę, tak że jego drużyna przegrywała czterema, pięcioma, sześcioma golami, a sprawozdawca – bo i tego nie brakowało – mówił z zakłopotaniem: „Numer Dziewięć nie nabrał jeszcze formy. Nie bardzo wiem, co mu jest”. Potem, może na dwadzieścia minut przed końcem spotkania, Dziewiątka dawał wreszcie pokaz umiejętności, zdobywając dla swojej drużyny bramkę w pięknym stylu.

„Już lepiej!”, wołał sprawozdawca. „Nareszcie widać, na co go stać!”. Od tej chwili Dziewiątka był w coraz lepszej formie, by już wkrótce strzelać jednego gola za drugim, podczas gdy drużyna przeciwna starała się za wszelką cenę uniemożliwić mu przejęcie piłki. Ale prędzej czy później Dziewiątka przechwytywał piłkę i – bez względu na to, ilu przeciwników zagrażało mu drogę do bramki – zdobywał gola. Wkrótce rezultat przechwycenia piłki przez Dziewiątkę stawał się tak nieuchronny, że sprawozdawca mówił tonem zrezygnowanego podziwu „Gol” nie wtedy, gdy piłka rzeczywiście lądowała w bramce, ale gdy przejmował ją Numer Dziewięć, nawet jeśli znajdował się na własnej połowie boiska. Także kibice – bo ich również nie brakowało – zaczęli ryczeć triumfalnie, gdy tylko piłka trafiała do Dziewiątki, i ryk ten towarzyszył mu z niezmiennym natężeniem, kiedy z wdziękiem torował sobie drogę wśród przeciwników, wsadzał piłkę do bramki i odwracał się, by przyjąć od kolegów wyrazy bezgranicznego podziwu.

Kiedy wróciły do mnie wszystkie te obrazy, przypomniałem sobie niejasno, że ostatnio powstał jakiś problem w związku z Dziewiątką, przerwałem więc szeptany monolog Borisa i zapytałem:

– Jak się miewa Dziewiątka? W dobrej formie?

Boris przeszedł parę kroków w milczeniu, po czym powiedział:

– Nie zabraliśmy pudełka.

– Jakiego pudełka?

– Dziewiątce urwał się spód. To im się często zdarza, nietrudno to naprawić. Włożyłem Dziewiątkę do specjalnego pudełka, aby go naprawić, gdy tylko mama kupi odpowiedni klej. Włożyłem go do pudełka, do specjalnego pudełka, żebym nie zapomniał, gdzie jest. No i nie zabraliśmy pudełka.

– Rozumiem. Zostawiliście go w poprzednim mieszkaniu.

– Mama zapomniała go zapakować. Ale powiedziała, że niedługo po niego wrócimy. I że on tam będzie. Mogę go teraz naprawić, mamy już odpowiedni klej. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy.

– Rozumiem.

– Mama mówi, żebym się nie martwił, bo ona się wszystkim zajmie. Dopilnuje, żeby nowi mieszkańcy nie wyrzucili go przez pomyłkę. Obiecała, że niedługo po niego wrócimy.

Odniosłem wrażenie, że Boris wyraźnie stara się dać mi coś do zrozumienia, i kiedy skończył, powiedziałem:

– Jeśli chcesz, mogę cię zabrać do starego mieszkania. Tak, moglibyśmy tam wrócić i odebrać Dziewiątkę. Możemy to zrobić w najbliższym czasie. Może nawet jutro, jeśli tylko znajdę wolną chwilę. Mówisz, że masz klej. Raz-dwa wróci do najlepszej formy, zobaczysz. Nie martw się. Już wkrótce.

Znów straciliśmy Sophie z oczu, tym razem nagle, co nasunęło mi przypuszczenie, że weszła do któregoś z budynków. Boris pociągnął mnie za rękę i pospieszyliśmy ku miejscu, w którym zniknęła.

Wkrótce odkryliśmy, że tak naprawdę Sophie skręciła w boczny zaułek. Wejście do niego wyglądało jak zwykła dziura w murze. Zaułek schodził stromo w dół i był tak wąski, że wydawało się niemożliwością przejść przez niego, nie ocierając sobie łokcia o jedną z chropowatych ścian biegnących po obu stronach. Ciemność rozpraszały tylko dwie latarnie, jedna w połowie drogi, druga na samym dole.

Kiedy puściliśmy się naprzód, Boris zacisnął kurczowo palce na mojej dłoni, a po chwili znowu zaczęło brakować mu tchu. Zaraz potem zauważyłem, że Sophie zeszła już na

dół i najwidoczniej zdała sobie w końcu sprawę z naszego położenia, bo stała teraz pod latarnią i patrzyła w górę z lekko zaniepokojonym wyrazem twarzy. Kiedy w końcu dotarliśmy do niej, odezwałem się ze złością:

– Nie widzisz, że nie możemy za tobą nadażyć? Boris i ja mieliśmy ciężki dzień.

Sophie uśmiechnęła się z rozmarzeniem, po czym objęła Borisa i przytuliła go do siebie.

– Nie martw się – powiedziała łagodnie. – Wiem, że nie jest tu zbyt przyjemnie, a do tego zimno i wilgotno. Ale nie przejmuj się, niedługo wszyscy znajdziemy się w domu. Będzie nam bardzo ciepło, już my się o to postaramy. Tak ciepło, że jeśli zechcemy, będziemy mogli chodzić w samych podkoszulkach. I są tam nasze nowe, wielkie fotele, na których możesz zwinąć się w kłębek. Taki mały chłopczyk jak ty może się nawet zgubić w takim wielkim fotelu. Poczytasz swoje książki lub obejrzysz film na wideo. Jeśli wolisz, wyjmemy z szafy jakąś grę planszową. Mogę wyjąć wszystkie i będziesz mógł zagrać z panem Ryderem, w którą tylko zechcesz. Położyłbyś te duże czerwone poduchy na dywanie i rozłożył grę na podłodze. A ja w tym czasie przygotuję kolację i nakryję do stołu w rogu. Myślę sobie, że zamiast jednego dużego dania mogę przyrządzić kilka różnych drobiazgów. Kotleciki z mięsa, babeczki serowe, ciasteczka. Nie martw się, nie zapomnę o żadnym z twoich ulubionych dań i wszystkie postawię na stole. Potem zasiądziemy razem do kolacji, a gdy zjemy, wszyscy troje możemy wrócić do gry. Oczywiście, jeśli nie będziesz miał ochoty, wcale nie musimy grać. Może będziesz wolał porozmawiać z panem Ryderem o piłce nożnej. A potem, ale dopiero gdy poczujesz się bardzo zmęczony, pójdziesz spać. Masz malutki pokoik, ale sam powiedziałeś, że bardzo przytulny. Dziś w nocy na pewno będziesz spał jak suseł. Do tego czasu zapomnisz o tym zimnym, nieprzyjemnym spacerze. A właściwie zapomnisz o nim zaraz za progiem, gdy poczujesz miłe ciepło. Więc nie trać otuchy. Już niedaleko.

Mówiąc to, tuliła Borisa do siebie, lecz nagle uwolniła go ze swoich objęć, odwróciła się i popędziła dalej. Nagłość tego manewru bardzo mnie zaskoczyła, sam bowiem dałem się ukołysać jej słowom i na moment zamknąłem oczy. Boris również zdawał się oszołomiony i zanim wziąłem go za rękę, jego matka oddaliła się o już kilkanaście kroków.

Stanowczo nie chciałem dopuścić, by po raz kolejny zostawiła nas daleko w tyle, ale akurat w tym momencie usłyszałem za nami odgłos kroków i nie mogłem się oprzeć pokusie, by chwilę zamarudzić i obejrzeć się za siebie. Kiedy to uczyniłem, człowiek ów znalazł się właśnie w zasięgu światła dolnej latarni i wtedy uświadomiłem sobie, że go znam. Nazywał się Geoffrey Saunders i był ze mną na tym samym roku w szkole w Anglii. Nie widziałem go

od czasów szkolnych, nic więc dziwnego, że przede wszystkim uderzyło mnie, jak bardzo się postarzał. Wątle światło latami i zimna mżawka musiały działać na jego niekorzyść, ale tak czy owak, wyglądał na człowieka wielce zubożałego. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, który jednak stracił wszystkie guziki, i musiał jego poły przytrzymywać rękoma. Właściwie nie bardzo chciałem się do niego przyznać, ale kiedy ponownie ruszyliśmy z Borisem, Geoffrey Saunders zrównał się z nami.

– Cześć, stary – powiedział. – Domyśliłem, że to ty. Ohydna pogoda.

– Tak, paskudna – przyznałem. – A za dnia było tak przyjemnie.

Uliczka zaprowadziła nas na mroczną, opustoszałą drogę. Wiał silny wiatr i wydawało się, że jesteśmy z dala od miasta.

– Twój syn? – zapytał Geoffrey Saunders, wskazując głową na Borisa, i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: – Miły chłopak. Gratuluję. Sprawia wrażenie bystrego. Sam nigdy się nie ożeniłem. Zawsze miałem zamiar, ale czas szybko zleciał i teraz, jak sędzę, jest już za późno. Szczerze mówiąc, myślę, że chodzi tu o coś więcej. Ale nie chcę zanudzać cię opowieściami o paskudnym pechu, który prześladował mnie przez te wszystkie lata. Zdarzały się i dobre chwile. Mniejsza o to. Gratuluję. Miły chłopak.

Geoffrey Saunders nachylił się i zsalutował Borisowi, ale ten – albo zbyt zdenerwowany, albo zbyt przejęty – nie zareagował.

Droga prowadziła teraz w dół. Idąc przez mrok, wróciłem pamięcią do czasów szkolnych, kiedy to Geoffrey Saunders był najlepszym uczniem na roku, wyróżniającym się zarówno w nauce, jak i w sporcie. To właśnie jego nauczyciele stawiali zawsze za wzór, ganiąc całą resztę za brak pilności. Powszechnie uważano, że z czasem zostanie kapitanem szkolnej drużyny, jak sobie jednak przypominałem, nigdy do tego nie doszło, z powodu jakiegoś kryzysu, który na piątym roku zmusił go nagle do opuszczenia szkoły.

– Dowiedziałem się z gazet, że przyjeżdżasz – mówił. – Myślałem, że się odezwiesz. No wiesz, żeby mnie powiadomić, kiedy wpadniesz. Kupiłem parę ciastek, żeby mieć cię czym poczęstować przy herbacie. Może mój pokój wygląda dość ponuro, ale wciąż jeszcze się spodziewam, że od czasu do czasu ktoś mnie odwiedzi, i wydaje mi się, że mogę godnie przyjąć swoich gości. Więc kiedy się dowiedziałem, że przyjeżdżasz, zaraz pobiegłem do piekarni i kupiłem kilka rodzajów herbatników. To było przedwczoraj. Wczoraj uznałem, że nadają się jeszcze do podania, chociaż lukier zdążył już lekko zeschnąć. Ale dzisiaj, skoro wciąż nie miałem od ciebie wiadomości, wyrzuciłem je. Myślę, że z dumy. Tobie tak świetnie się powodzi... nie chciałem, żebyś sobie pomyślał, że wiodę nędzny żywot po wynajętych pokojach, a dla gości mam tylko wyschnięte ciastka. Więc poszedłem do piekarni i kupiłem

świeże. I trochę uprzątnąłem pokój. Ale nie zadzwoniłeś. Cóż, nie mogę mieć ci tego za złe. Hej tam – pochylił się i spojrzął na Borisa – wszystko w porządku? Sapiesz jak lokomotywa.

Boris, który rzeczywiście z trudem łąpał oddech, nie dał po sobie poznać, że cokolwiek do niego dotarło.

– Lepiej zwolnijmy kroku ze względu na tego małego marudera – powiedział Geoffrey Saunders. – A wszystko dlatego, że kiedyś tam nieszczęśliwie się zakochałem. Mnóstwo ludzi w tym mieście myśli, że jestem homoseksualistą, tylko dlatego, że mieszkam samotnie w wynajętym pokoju. Z początku się tym przejmowałem, ale teraz już nie. W porządku, biorą mnie za homoseksualistę. I co z tego? Tak się składa, że moje potrzeby zaspokajają kobiety. No wiesz, takie, którym trzeba płacić. W sam raz dla mnie. Rzekłbym, że niektóre z nich to całkiem przyzwoite osoby. Mimo to po jakimś czasie i tak zaczynasz nimi pogardzać, a one tobą. Nie ma na to rady. Znam większość dziwki w tym mieście. Wcale nie twierdzą, że spałem ze wszystkimi. Bynajmniej! Ale one znają mnie, a ja je. Wiele z nich znam z widzenia. Myślisz pewnie, że to nędzne życie. Nieprawda. Zależy, jak na to spojrzeć. Czasami odwiedzają mnie znajomi. Potrafię ich jeszcze zabawiać przy herbacie. Nieźle mi to idzie, bo często dziękują mi za udany wieczór.

Przez moment droga biegła dość ostro w dół, ale potem się wyrównała i znaleźliśmy się na czymś, co wyglądało jak podwórze opuszczonego gospodarstwa. Wokół nas w blasku księżycy majaczyły ciemne kształty stodół i szop. Sophie nadal wskazywała nam drogę, ale była teraz dość daleko z przodu i często łapałem na nią tylko wtedy, gdy znikwała za załomem muru jakiegoś zrujnowanego budynku.

Na szczęście Geoffrey Saunders musiał dobrze znać tę drogę, bo poruszał się w ciemnościach niemal bez namysłu. Gdy tak szedłem krok w krok za nim, naszło mnie pewne wspomnienie z czasów szkolnych w Anglii. Był rześki, zimowy poranek, pochmurne niebo, pod stopami szron. Miałem czternaście albo piętnaście lat i stałem z Geoffreyem Saundersem przed pubem gdzieś na zapadłej wsi w Worcestershire. Mieliśmy wspólnie znaczyć trasę biegu przełajowego, czyli wskazywać zawodnikom właściwą drogę przez pobliskie pole, kiedy wynurzali się z mgły. Tego ranka byłem jakoś szczególnie podenerwowany i mniej więcej po piętnastu minutach milczącego wypatrywania zawodników, mimo usilnych starań, by się powstrzymać, wybuchnąłem płaczem. Wówczas nie znałem jeszcze zbyt dobrze Geoffreya Saundersa, chociaż, jak wszyscy inni, zawsze starałem się zrobić na nim dobre wrażenie. Toteż czułem się w najwyższym stopniu upokorzony i kiedy wreszcie opanowałem emocje, zdawało mi się, że Geoffrey Saunders pogardliwie mnie lekceważy. Po chwili jednak Saunders przemówił, początkowo nie patrząc w moją stronę, a dopiero później zwracając się

ku mnie. Nie mogłem sobie przypomnieć, co mi wtedy powiedział, ale dobrze pamiętałem wrażenie, jakie wywarły na mnie jego słowa. Przede wszystkim, choć przepełniała mnie litość nad sobą, nie omieszkałem zauważyć, jak wielką okazuje mi wspaniałomyślność, za co byłem mu głęboko wdzięczny. Ale jednocześnie uświadomiłem sobie, że w tym szkolnym geniuszu jest jakiś słaby punkt, jakaś ułomność, która nigdy nie pozwoli mu spełnić pokładanych w nim nadziei. Kiedy tak szliśmy razem przez mrok, jeszcze raz spróbowałem sobie przypomnieć, co mi powiedział tamtego ranka, ale na próżno.

Ponieważ teren się wyrównał, Boris częściowo odzyskał oddech i zaczął ponownie szeptać do siebie. Myśl, że wkrótce dotrzemy na miejsce, musiała mu dodać otuchy, bo w nagłym przyplýwie energii kopnął kamyk, wołając przy tym głośno: „Dziewiątka!”. Kamyk potoczył się w podskokach po nierównej nawierzchni i wylądował gdzieś w wodzie, niewidocznej w ciemności.

– No, już lepiej – powiedział Geoffrey Saunders do Borisa. – Dziewiątka to twoja pozycja?

Ponieważ Boris nie odpowiadał, wyjaśniłem szybko:

– Nie, to jego ulubiony piłkarz.

– Naprawdę? Oglądam sporo futbolu w telewizji. – Znów nachylił się do Borisa. – O którą dziewiątkę chodzi?

– To jego ulubiony piłkarz – powtórzyłem.

– Bo jeśli chodzi o środkowych napastników – ciągnął Geoffrey Saunders – to podoba mi się ten Holender z AC Milan. Niezły gość.

Już miałem powiedzieć coś więcej, by wyjaśnić kwestię Dziewiątki, ale w tym momencie się zatrzymaliśmy. Zobaczyłem, że stoimy na brzegu rozległego, porośniętego trawą pola. Jak dużego, nie potrafiłem dokładnie stwierdzić, ale podejrzewałem, że w blasku księżyca widzę zaledwie jego niewielki skrawek. Gdy tak staliśmy, po trawie przeleciał szorstki wiatr i zniknął w ciemnościach.

– Zdaje się, że zgubiliśmy drogę – odezwałem się do Geoffreya Saundersa. – Wiesz, jak iść dalej?

– Tak, mieszkam niedaleko stąd. Niestety, nie mogę was teraz zaprosić do siebie, bo jestem bardzo zmęczony i koniecznie muszę się położyć. Ale możecie odwiedzić mnie jutro, powiedzmy o dowolnej porze po dziewiątej.

Spojrzałem na pole, spowite nieprzeniknionym mrokiem.

– Prawdę mówiąc, jest pewien kłopot – powiedziałem. – Szliśmy do tej kobiety, którą wcześniej widziałeś przed nami. Wygląda na to, że się zgubiliśmy, a ja nie znam jej adresu.

Napomknęła, że mieszka w pobliżu średniowiecznej kaplicy.

– Średniowieczna kaplica? To w centrum miasta.

– Aha. Czy dojdziemy tam przez to pole? – zapytałem, wyciągając rękę.

– Nieee, tam dalej nic nie ma. Szczera pustka. Tam mieszka tylko ten Brodsky.

– Brodsky – powiedziałem. – Hmm. Słyszałem, jak ćwiczył dziś w hotelu. Zdaje się, że całe miasto zna tego Brodsky’ego.

Geoffrey Saunders spojrział na mnie tak, jakbym powiedział coś strasznie głupiego.

– Cóż, mieszka tu już od wielu lat. Czemu mielibyśmy go nie znać?

– No tak, oczywiście.

– Trochę trudno uwierzyć, że ten stary wariat potrafi dyrygować orkiestrą. Chętnie poczekam, żeby się przekonać na własne oczy. Pogorszyć już się raczej nie pogorszy. A jeśli uznasz, że Brodsky jest coś wart... cóż, nie mnie się z tobą spierać.

Nie bardzo wiedziałem, jak odpowiedzieć. Ale Geoffrey Saunders odwrócił się nagle w drugą stronę ze słowami:

– Nie, nie, miasto jest tam. Jeśli chcecie, mogę was pokierować.

– Będziemy wdzięczni – powiedziałem, czując chłodny powiew wiatru.

– Niech pomyślę. – Geoffrey Saunders zastanawiał się przez chwilę. – Właściwie najlepiej pojechać tam autobusem. Piechotą zabrałoby to wam mniej więcej pół godziny. Tamta kobieta wmówiła wam pewnie, że mieszka niedaleko. Zawsze tak robią. To jedna z ich sztuczek. Nigdy nie należy im wierzyć. Ale autobus rozwiąże problem. Pokażę wam, gdzie wsiąść.

– Będziemy bardzo wdzięczni – powtórzyłem. – Borisowi robi się chłodno. Mam nadzieję, że do przystanku nie jest daleko.

– Skądże, bardzo blisko. Za mną, stary druhu.

Geoffrey Saunders odwrócił się i poprowadził nas z powrotem w stronę opuszczonego gospodarstwa. Wydawało mi się jednak, że nie wracamy tą samą drogą. Istotnie, wkrótce znaleźliśmy się na wąskiej uliczce niezbyt chyba zamożnej dzielnicy podmiejskiej. Po obu stronach ciągnęły się rzędy małych szeregowców. Tu i ówdzie w oknie paliło się światło, ale w większości domków mieszkańcy już spali.

– Wszystko w porządku – powiedziałem cicho do Borisa, wyczuwając, że jest już bliski wyczerpania. – Zaraz będziemy w domu. Zanim się zjawimy, twoja mama zdąży już wszystko przygotować.

Minęliśmy kilka kolejnych domków. Boris zaczął ponownie mamrotać: – Dziewiątka... To Dziewiątka...

– O którą dziewiątkę ci chodzi? – zapytał Geoffrey Saunders Borisa. – Masz na myśli tego Holendra, co?

– Dziewiątka to najlepszy piłkarz wszech czasów – oznajmił Boris.

– No dobrze, ale którą dziewiątkę masz na myśli? – W głosie Geoffreya Saundersa zaczęło pobrzmiwać zniecierpliwienie. – Jak się nazywa? W jakiej gra drużynie?

– Boris woli go nazywać...

– Kiedyś strzelił siedemnaście goli w ciągu ostatnich dziesięciu minut! – zawołał Boris.

– Brednie. – Geoffrey Saunders wydawał się wielce zirytowany. – Myślałem, że mówisz poważnie. A ty wciskasz kit.

– A właśnie, że to prawda! – zawołał Boris. – To był rekord świata!

– Racja! – wtrąciłem. – Rekord świata! – A potem zaśmiałem się i już nieco spokojniejszym tonem dodałem: – To przecież musiał być rekord świata, jakżeby inaczej? – Uśmiechnąłem się porozumiewawczo do Geoffreya Saundersa, ale ten nie zwracał na mnie uwagi.

– Ale o kim mówisz? Masz na myśli tego Holendra? Zresztą musisz zrozumieć, chłopcze, że zdobywanie goli to nie wszystko. obrońcy są tak samo ważni. Naprawdę wielcy piłkarze często są obrońcami.

– Dziewiątka to najlepszy piłkarz wszech czasów! – powtórzył Boris. – Kiedy jest w dobrej formie, żadna obrona nie zdoła go powstrzymać!

– To prawda – poparłem go. – Dziewiątka nie ma sobie równych. W środku, w ataku, wszędzie. Potrafi wszystko. Naprawdę.

– Co za brednie. Żaden z was nie wie, o czym mówi.

– Wiemy doskonale. – Już od jakiegoś czasu wzbierała we mnie złość na Geoffreya Saundersa. – To, co mówimy, jest powszechnie uznaną prawdą. Kiedy Dziewiątka jest w dobrej formie, w naprawdę dobrej formie, sprawozdawca krzyczy „Gol!”, gdy tylko widzi, że Dziewiątka przejął piłkę, nieważne, w której części boiska się znajduje...

– Wielkie nieba! – Geoffrey Saunders odwrócił się z niesmakiem. – Jeśli nabijasz mu głowę takimi bzdurami, niech Bóg ma go w swojej opiece.

– Posłuchaj. – Zbliżyłem twarz do jego ucha i wyszeptałem ze złością: – Czy ty nie możesz pojąć, że...

– To wszystko brednie, stary. Nabijasz mu głowę bredniami.

– Ale to tylko chłopiec, mały chłopiec. Nie rozumiesz, że...

– To nie powód, żeby mu nabijać głowę bzdurami. A poza tym nie jest już wcale taki

mały. Chłopak w jego wieku powinien się już zająć czymś pożytecznym. Niech się uczy życia. Mógłby na przykład nauczyć się tapetować albo kłaść kafelki. A nie te wszystkie bzdury o nieistniejących piłkarzach...

– Zamknij się, idioto! Słyszysz?!

– Czas najwyższy, żeby chłopak zaczął się uczyć życia...

– To mój syn i ja zadecyduję, kiedy powinien zacząć...

– Tapetowanie, kafelkowanie, coś w tym rodzaju. Moim zdaniem to właśnie...

– A cóż ty o tym możesz wiedzieć? Co ty, nędzny stary kawaler, o tym wiesz? No co?

Pchnąłem go szorstko w ramię. Geoffrey Saunders nagle posmutniał. Powłócząc nogami, szedł parę kroków przed nami, z głową lekko spuszczoną, nadal przytrzymując poły płaszcza.

– Wszystko w porządku – powiedziałem cicho do Borisa. – Zaraz będziemy na miejscu.

Boris nie odpowiedział. Zauważyłem, że wpatruje się w pochyloną sylwetkę Geoffreya Saundersa.

Po jakimś czasie moja złość na starego szkolnego kumpla zaczęła opadać. Poza tym nie mogłem przecież zapominać, że byliśmy od niego całkowicie uzależnieni, skoro to on miał nam pokazać drogę do przystanku autobusowego. Zbliżyłem się do niego, nie całkiem pewien, czy zechce ze mną rozmawiać. Ze zdziwieniem usłyszałem, że Geoffrey Saunders mamrocze do siebie:

– Tak, tak, jak wpadniesz do mnie na herbatkę, o wszystkim sobie pogadamy. Przegadamy godzinę albo dwie, z nostalgią powspominamy szkolne czasy i starych przyjaciół. Posprzątam pokój i zasiądziemy w fotelach przed kominkiem. Tak, mniej więcej tak mógłby wyglądać pokój wynajęty w Anglii. Przynajmniej jeszcze parę lat temu. Dlatego go wzięłem. Przypominał mi dom. No więc posiedzimy sobie przed kominkiem i pogadamy o różnych sprawach. O nauczycielach, o chłopakach, wymienimy informacje o wspólnych znajomych, z którymi utrzymujemy kontakt. O, jesteśmy.

Znaleźliśmy się na placu, który wyglądał jak rynek małego miasteczka. Było tam kilka sklepików – wszystkie zamknięte i z założonymi na noc kratami – w których mieszkańcy tej dzielnicy zaopatrywali się zapewne w artykuły spożywcze. Na środku znajdował się trawnik, niewiele większy od ulicznej wysepki. Geoffrey Saunders wskazał na samotną latarnię przed sklepami.

– Tam powinniście poczekać. Co prawda, nie ma żadnego znaku, ale nic nie szkodzi, to uznany przystanek. Obawiam się, że teraz muszę was opuścić.

Boris i ja popatrzyliśmy we wskazanym przez niego kierunku. Deszcz ustał, ale u podstawy latami kłębiły się opary mgły. Dookoła panował całkowity bezruch.

– Jesteś pewien, że będzie jakiś autobus?

– Tak, tak. Naturalnie, o tak późnej porze może to trochę potrwać. Ale autobus na pewno w końcu przyjedzie. Po prostu musicie cierpliwie poczekać. Do tego czasu może się wam zrobić trochę zimno, ale wierzcie mi, na ten autobus warto poczekać. Wyłoni się nagle z mroku, cały jasno oświetlony. A kiedy do niego wsiądziecie, przekonacie się, że jest tam ciepło i wygodnie. No i zawsze podróżują nim bardzo weseli pasażerowie. Będą się śmiać i żartować, dzielić się napojami i przekąskami. Przyjmą was bardzo miło. Poprosicie kierowcę, żeby wysadził was przy średniowiecznej kaplicy. Autobusem to tylko kawałek drogi.

Geoffrey Saunders życzył nam dobrej nocy, po czym odwrócił się i odszedł. Patrzyliśmy z Borisem, jak znika w przejściu między dwoma domkami, po czym ruszyliśmy w stronę przystanku.

## Rozdział 5

Przez kilka minut staliśmy pod latarnią otoczeni ciszą. W końcu objąłem Borisa ramieniem, mówiąc:

– Pewnie ci zimno.

Przytulił się do mnie bez słowa, a kiedy spojrzałem na niego, zauważyłem, że wpatruje się uważnie w mroczną ulicę. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Staliśmy tak jakiś czas, aż powiedziałem:

– Przepraszam, Boris. Powinienem być wszystko lepiej ułożyć. Przepraszam.

Po chwili milczenia chłopiec odparł:

– Nie martw się, autobus zaraz przyjedzie.

Widziałem, jak przed krótkim rzędem sklepów po drugiej stronie placu unosi się mgła.

– Nie jestem wcale pewny, czy autobus przyjedzie, Boris – odezwałem się wreszcie.

– Wszystko będzie dobrze. Trzeba cierpliwie poczekać. Znow minęła dłuższa chwila.

– Boris, nie jestem wcale pewny, czy on przyjedzie – powtórzyłem.

Chłopiec odwrócił się do mnie i westchnął ciężko.

– Przestań się martwić – rzekł. – Nie słyszałeś, co powiedział tamten pan? Po prostu musimy poczekać.

– Nie wszystko w życiu dzieje się po naszej myśli, Boris. Nawet jeśli ktoś cię o czymś zapewnia.

Boris westchnął ponownie.

– Przecież tamten pan tak powiedział, może nie? Zresztą mama poczeka na nas.

Zastanawiałem się, co mu odpowiedzieć, lecz raptem przestraszył nas obu odgłos kasłania. Odwróciłem się i tuż za kręgiem światła latarni dostrzegłem stojący samochód, z którego wychylała się jakaś postać.

– Dobry wieczór, panie Ryder. Przepraszam, ale przejeżdżałem obok i przypadkiem was zauważyłem. Wszystko w porządku?

Postąpiłem parę kroków w stronę samochodu i rozpoznałem Stephana, syna kierownika hotelu.

– Tak, dziękuję – powiedziałem – wszystko gra. Właśnie... właśnie czekamy na autobus.

– Jeśli chcecie, mogę was podwieźć. Akurat mam do załatwienia pewną sprawę, dość delikatnej natury, którą powierzył mi ojciec. Musi wam być chłodno. Może wsiądziecie?

Młody człowiek wysiadł i otworzył przednie i tylne drzwi dla pasażerów. Dziękując mu, pomogłem Borisowi wdrapać się na tylne siedzenie, a sam usiadłem z przodu. Po chwili samochód ruszył.

– A więc to jest pański synek – powiedział Stephan, kiedy pędziliśmy przez opustoszałe ulice. – Bardzo miło mi go poznać, choć zdaje się, że jest teraz trochę zmęczony. Dajmy mu chwilę wytchnienia. Uścisnę mu dłoń innym razem.

Zerknąłem do tyłu i zobaczyłem, że Boris właśnie zasypia, z głową na miękkim podłokietniku.

– Domyślam się – ciągnął Stephan – że chce pan wrócić do hotelu.

– Niezupełnie. Szliśmy z Borisem do czyjegoś mieszkania. W centrum miasta, koło średniowiecznej kaplicy.

– Koło średniowiecznej kaplicy? Hm.

– Czy to dla pana kłopot?

– Ach nie, żaden kłopot. – Stephan wziął ostry zakręt z jednej wąskiej uliczki w drugą.

– Chodzi o to, jak już mówiłem, że muszę załatwić pewną sprawę. Jestem umówiony na spotkanie. Niech no pomyślę...

– Czy to ważne spotkanie?

– Cóż, panie Ryder, dość ważne. Dotyczy pana Brodsky'ego, sam pan rozumie. Właściwie od niego wszystko zależy. Hm.

Jeśli pan i Boris zgodzicie się łaskawie poczekać tych parę minut, kiedy będę wypełniał swoje zadanie, później będę mógł was odwieźć, dokąd tylko sobie zażyczycie.

– Naturalnie, najpierw musi pan załatwić swoje sprawy. Byłbym jednak panu wdzięczny, gdyby nie trwało to zbyt długo. Widzi pan, Boris nie jadł jeszcze kolacji.

– Zrobię, co w mojej mocy, by maksymalnie skrócić tę wizytę, panie Ryder. Bóg mi świadkiem, jak bardzo chciałbym odwieźć was natychmiast, ale nie ośmieliłbym się spóźnić. Jak już mówiłem, to dość delikatna misja...

– Oczywiście, najpierw musi pan wypełnić swoją misję. Chętnie poczekamy.

– Postaram się załatwić to jak najszybciej. Choć, jeśli mam być szczerzy, nie bardzo wiem, jak mogę to przyspieszyć. Jest to sprawa z rodzaju tych, którymi normalnie zająłby się mój ojciec albo któryś z panów, ale ponieważ panna Collins zawsze miała do mnie słabość...

– Młody człowiek urwał zażenowany. – Postaram się wrócić jak najszybciej.

Przejeżdżaliśmy teraz przez przyjemniejsze okolice – zapewne bliżej centrum miasta.

Ulice były o wiele lepiej oświetlone i spostrzegłem, że obok biegną tory tramwajowe. Gdziekolwiek mogłem zauważyć pojedynczą kawiarnię lub restaurację, zamkniętą na noc, lecz dominowały tu okazałe budynki mieszkalne. We wszystkich oknach było ciemno i zdawało się, że tylko nasz pojazd zakłóca ciszę i spokój. Stephan powiedział nagle, jakby przez jakiś czas się do tego zbierał:

– Wiem, że zabrzmiało to impertynencko, ale czy jest pan pewien, że nie chce pan wracać do hotelu? Pragnę tylko powiedzieć, że skoro czekają na pana ci wszyscy dziennikarze i w ogóle...

– Dziennikarze? – Wlepiłem oczy w mrok za szybą. – No tak, dziennikarze.

– Mam nadzieję, że nie uzna pan tego za zbyt dużą zuchwałość z mojej strony. Po prostu wychodząc, zwróciłem na nich uwagę. Siedzieli w holu, trzymając teczki i walizki na kolanach, i wydawali się bardzo podnieceni myślą o spotkaniu z panem. Cóż, to nie moja sprawa i na pewno wszystko pan sobie należycie zaplanował.

– Istotnie – powiedziałem cicho, nie odrywając wzroku od okna.

Stephan umilkł, uznawszy zapewne, że nie powinien mnie już dłużej naciskać w tej sprawie. Ale myśl o dziennikarzach nie dawała mi spokoju i po chwili odniosłem wrażenie, że w istocie pamiętam o takim spotkaniu. Z całą pewnością obraz nakreślony przez Stephana – ludzie z teczkami i walizkami – wywołał we mnie pewne skojarzenia. Ponieważ jednak nie mogłem sobie dokładnie przypomnieć takiego punktu w moim programie, postanowiłem o całej sprawie zapomnieć.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Stephan. – Niestety, teraz muszę was na chwilę opuścić. Proszę się wygodnie rozsiąść. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Zatrzymaliśmy się przed dużym, białym budynkiem mieszkalnym, wysokim na kilka pięter. Ciemne balkony z kutego żelaza na każdej kondygnacji nadawały mu z lekką hiszpański charakter.

Stephan wysiadł z samochodu i podszedł do wejścia. Pochylił się nad rzędem przycisków domofonu, wdusił jeden z nich i z widocznym zdenerwowaniem czekał na odpowiedź. Po chwili na klatce zapaliło się światło.

Drzwi otworzyła starsza, siwowłosa kobieta. Była szczupła i delikatna, lecz gdy z uśmiechem wprowadzała Stephana do środka, jej ruchom nie można było odmówić pewnego wdzięku. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, odkryłem, że odchylając się do tyłu na swoim fotelu, mogę ich obserwować przez wąską szybę przy drzwiach frontowych. Stephan wycierał buty o wycieraczkę, mówiąc:

– Przepraszam, że zjawiam się, nie zapowiedziawszy się odpowiednio wcześniej.

– Już tyle razy ci mówiłam, Stephan – powiedziała kobieta – że gdy musisz coś omówić, zawsze jestem do twojej dyspozycji.

– Właściwie, panno Collins, nie o to... Nie chodzi o to co zwykle. Chciałem pomówić z panią o czymś zupełnie innym. To dość ważna sprawa. Gdyby mój ojciec nie był tak bardzo zajęty, na pewno sam by się pofatygował...

– Ach tak – przerwała mu z uśmiechem. – Kolejna sprawa, którą twój ojciec zrzuca na ciebie. Wciąż jeszcze cię wykorzystuje do brudnej roboty.

Powiedziała to lekko żartobliwym tonem, ale wyglądało na to, że Stephan tego nie zauważył.

– Skądże znowu – odparł z przejęciem. – Wręcz przeciwnie, to niezwykle delikatna i trudna misja. Powierzył mi ją ojciec i z radością ją przyjąłem...

– Więc stałam się misją! A w dodatku delikatną i trudną!

– Ależ nie, miałem na myśli... – Stephan urwał stropiony.

Starsza kobieta uznała widocznie, że już dość mu nadokuczała, powiedziała bowiem:

– Dobrze więc. Wejźmy do środka i omówmy to jak należy, przy sherry.

– To bardzo miło z pani strony, panno Collins, ale, niestety, nie mogę długo zostać. Ktoś czeka na mnie w samochodzie. – Wskazał w naszym kierunku, ale starsza kobieta otwierała już drzwi swojego mieszkania.

Patrzyłem, jak przeprowadza Stephana przez mały, schludny pokój frontowy, następnie przez drugie drzwi i ciemny korytarz, którego ściany zdobiły niewielkie, oprawione w ramki akwarele. Korytarz prowadził do pokoju gościnnego panny Collins – dużego pomieszczenia w kształcie litery L w głębi budynku. W miłym, przytłumionym świetle widać było kosztownie urządzone, elegancki pokój w starym stylu. Przyjrawszy się jednak dokładniej, zauważyłem, że większość mebli jest poważnie sfatygowana, a to, co z początku brałem za antyki, właściwie można uznać za stare rupiecie. W krąg stały rozpadające się – dawniej luksusowe – sofy i fotele, a długie, aksamitne zasłony były spłowiałe i wytarte. Stephan usadowił się ze swobodą zdradzającą dobrą znajomość miejsca, wciąż jednak wydawał się spięty, podczas gdy panna Collins krzątała się przy barku. Kiedy wreszcie podała mu szklanekę i usiadła obok niego, młody człowiek wypalił natychmiast:

– Chodzi o pana Brodsky'ego.

– Ach tak – powiedziała panna Collins. – Nietrudno było się domyślić.

– Panno Collins, chcieliśmy panią zapytać, czy zgodziłaby się pani nam pomóc. A właściwie pomóc jemu... – Stephan się zaśmiał i odwrócił wzrok.

Panna Collins pochyliła głowę w zamyśleniu.

– Chcecie, żebym pomogła Leo? – zapytała.

– Nie chcemy narażać pani na jakiegokolwiek przykrości bądź... bądź bolesne przeżycia. Ojciec doskonale rozumie, co musi pani czuć. – Znowu się zaśmiał. – Chodzi o to, że pani pomoc mogłaby się okazać czynnikiem decydującym na tym etapie... uzdrawiania pana Brodsky'ego.

– Rozumiem. – Panna Collins pokiwała głową; zdawało się, że się nad tym zastanawia. – Czy z tego wszystkiego – powiedziała po chwili – mam rozumieć, że starania twojego ojca są tylko po części skuteczne?

Kpiarski ton w jej głosie wydał mi się tym razem bardzo wyraźny, ale Stephan znów nie zwrócił na niego uwagi.

– Skądże znowu! – zaprzeczył żarliwie. – Wręcz przeciwnie, ojciec dokonał prawdziwych cudów, poczynił ogromne postępy! Było to możliwe tylko dzięki jego ogromnej wytrwałości, budzącej podziw nawet w tych, którzy zdążyli się już przyzwyczaić do jego sposobu postępowania w różnych sprawach.

– Może jednak nie był dość wytrwały.

– Myli się pani, jakże się pani myli! Czasem, po szczególnie męczącym dniu w hotelu, wracał do domu tak wyczerpany, że musiał iść prosto na górę do łóżka. Wtedy mama przychodziła do mnie na skargę, szedłem więc na górę, do ich pokoju, gdzie ojciec leżał na plecach w poprzek łóżka i głośno chrapał. Jak pani wie, od lat obowiązuje między nimi niepisana umowa, że ojciec śpi po swojej stronie i broń Boże na plecach, bo wtedy strasznie chrapie, może więc sobie pani wyobrazić oburzenie mamy, gdy widzi go w tym stanie. Ież się muszę namęczyć, żeby go obudzić, ale nie mam innego wyjścia, bo inaczej mama za nic nie wejdzie do sypialni. Będzie tak krążyć po korytarzu z rozgniewaną miną i nie wejdzie tam dopóty, dopóki go nie obudzę, nie rozbiorę, nie przebiorę w szlafrok i nie zaprowadzę do łazienki. Ale chciałem powiedzieć, że nawet jeśli ojciec jest skrajnie zmęczony, czasem odzywa się telefon, dzwoni ktoś z personelu, aby powiedzieć, że pan Brodsky jest na skraju załamania, że domaga się drinka i, o dziwo, mój ojciec nie wiadomo skąd dobywa jeszcze resztek energii, bierze się w garść, w jego oczach znowu pojawia się ten błysk, ubiera się i znika gdzieś na parę godzin. Obiecał sobie, że doprowadzi Brodsky'ego do formy, i teraz daje z siebie absolutnie wszystko, żeby dopiąć swego.

– To mu się chwali. Ale na jakim dokładnie jest etapie?

– Zapewniam panią, że postępy są wprost zadziwiające. Twierdzi tak każdy, kto widział ostatnio pana Brodsky'ego. W jego oczach widać niezwykłą głębię. Także jego uwagi z dnia na dzień stają się coraz sensowniejsze. A co najważniejsze, nie ma wątpliwości, że

wraca jego talent, jego wielki talent! Dotychczasowe próby mogą napawać jedynie optymizmem. Całkowicie podbił orkiestrę. A kiedy nie ma próby w sali koncertowej, pracuje nad materiałem samodzielnie. W hotelu często widuje się go przy fortepianie. Dźwięk fortepianu tak bardzo podnosi mojego ojca na duchu, że natychmiast gotów jest poświęcić każdą ilość snu.

Młody człowiek urwał i spojrzał na pannę Collins. Przez chwilę wydawało się, że błądzi myślami gdzieś daleko. Przechyliła głowę w bok, jakby mogła pochwycić z oddali kilka tonów fortepianu. Potem na jej twarz powrócił łagodny uśmiech i znów spojrzała na Stephana.

– Słyszałam – powiedziała – że twój ojciec sadza go w salonie przed fortepianem niby jaki manekin, Leo zaś siedzi godzinami, kołysząc się lekko na stolku, nie tknąwszy ani jednego klawisza.

– To bardzo niesprawiedliwa opinia, panno Collins! Być może zdarzało się tak początkowo, ale teraz jest już zupełnie inaczej. Zresztą nawet jeśli czasami siedzi cicho, to jak zapewne pani pamięta, nie znaczy to wcale, że nic się nie dzieje. Cisza może przecież świadczyć o formowaniu się doniosłych koncepcji, o sięganiu do najgłębszych pokładów energii. Ostatnio, na przykład, mój ojciec, zaniepokojony przeciągającą się ciszą, zdecydował się wejść do salonu. Pan Brodsky siedział ze wzrokiem utkwionym w klawiaturze. Po chwili podniósł oczy na ojca i powiedział: „Skrzypce powinny brzmieć szorstko. Muszą brzmieć szorstko”. Tak właśnie powiedział. Choć na zewnątrz pogrążony jest w ciszy, w jego głowie rozbrzmiewają całe muzyczne światy. W czwartkowy wieczór dopiero nam pokaże, na co go stać! Jeżeli przedtem nie zdarzy się coś, co wyprowadzi go z równowagi.

– Ale, ale, na początku wspominałeś, że chcieliście prosić mnie o pomoc.

Młody człowiek, który ożywał się coraz bardziej, zebrał się w sobie.

– Tak – powiedział. – O tym właśnie chciałem z panią porozmawiać. Jak mówię, pan Brodsky szybko odzyskuje wszystkie swoje dawne władze. Naturalną kolejną rzeczą wraz z talentem powraca do niego wiele innych zdolności. Dla tych z nas, którzy nie znali go za dawnych czasów, ma to pewne cechy objawienia. Ostatnio stał się taki rozmowny, taki układny. Chodzi o to, że pomijając wszystko inne, zaczęły go nachodzić wspomnienia. Powiem wprost: wciąż mówi o pani. Bez przerwy myśli i mówi o pani. By dać pani przykład... wiem, że to krępujące, lecz mimo wszystko powiem... wczoraj wieczorem całkowicie się rozkleił. Płakał i płakał, wylewając wszystkie swoje uczucia do pani. Powtórzyło się to już trzeci czy czwarty raz, ale wczoraj ze szczególnym natężeniem. Zbliżyła się północ, pan Brodsky nie wychodził z salonu, więc ojciec stanął pod drzwiami i usłyszał

jego łkanie. Wszedł do środka i oto w ciemności ujrzał, jak pan Brodsky stoi pochylony nad fortepianem i płacze. Na górze był wolny pokój, więc ojciec zaprowadził go tam, kazał przynieść z kuchni wszystkie ulubione zupy pana Brodsky'ego... właściwie on je wyłącznie zupy... i poił go na siłę sokiem pomarańczowym oraz napojami bezalkoholowymi, ale mówiąc szczerze, wczoraj sytuacja wisiała na włosku. Rzucił się łapczywie na kartony z sokiem pomarańczowym i kto wie, gdyby nie było przy nim ojca, być może by się załamał, choć to przecież końcowy etap. i cały czas mówił o pani. Zmierzam do tego... och, zaraz muszę uciekać, ktoś czeka na mnie w samochodzie... że skoro przyszłość naszego miasta w dużej mierze zależy od niego, musimy uczynić wszystko, by pomóc mu pokonać ten końcowy okres. Doktor Kauffman zgadza się z ojcem, że zbliżamy się do ostatniej przeszkody. Sama pani widzi, o jak wielką stawkę toczy się gra.

Panna Collins wciąż patrzyła na Stephana z tym samym nieobecny półśmiechem, ale i teraz nic nie powiedziała.

– Panno Collins – odezwał się po chwili młody człowiek – zdaję sobie sprawę, że moje słowa mogą jąrzyć dawne rany, wiem również, że już od wielu lat nie rozmawia pani z panem Brodskym...

– No, niezupełnie. Nie dalej jak w tym roku obrzucił mnie sprośnościami, kiedy przechadzałam się po Volksgarten.

Stephan zaśmiał się niezręcznie, nie całkiem pewien, jak powinien zareagować na ton panny Collins. W końcu, nieco przejęty, podjął swoją przemowę:

– Panno Collins, nikt nie zamierza pani namawiać do dłuższego z nim kontaktu. Uchowaj Boże! Wiemy, że nie chce pani wracać do przeszłości, a ojciec i wszyscy pozostali panowie doskonale to rozumieją. Chodzi doprawdy o coś łahego, od czego jednak wiele może zależeć, co mogłoby podnieść go na duchu i mieć dla niego ogromne znaczenie. Mieliśmy nadzieję, że raczy pani przynajmniej wysłuchać naszej prośby...

– Zgodziłam się już wziąć udział w bankiecie.

– Tak, naturalnie, ojciec wspominał mi o tym, jesteście pani niezmiernie wdzięczni...

– Pod warunkiem że nie dojdzie do bezpośredniego kontaktu...

– To zupełnie jasne, tak zostało ustalone. Tak, bankiet. Ale jest jeszcze coś, panno Collins, o co chcieliśmy panią prosić, jeśli tylko zgodzi się pani nas wysłuchać. Otóż grupa dżentelmenów, wśród nich pan von Winterstein, zabiera jutro pana Brodsky'ego do zoo. Zdaje się, że choć mieszka tu już od tylu lat, nigdy jeszcze tam nie był. Oczywiście, jego pies nie może tam z nim pojechać, ale pan Brodsky zgodził się go oddać na parę godzin w dobre ręce. Wycieczkę zorganizowano w nadziei, że pomoże mu ona odzyskać równowagę ducha.

Naszym zdaniem zwłaszcza żyrafy mogą mieć na niego zbawienny wpływ. Przejdę do sedna. Otóż panowie zastanawiali się, czy nie zgodziłaby się pani przypadkiem towarzyszyć im w czasie wycieczki do zoo. Może nawet zamienić z nim jedno lub dwa słowa. Nie musiałyby pani być z nimi od początku, mogłaby pani dołączyć do grupki później, tylko na parę minut, powiedzieć mu coś miłego, rzucić kilka budujących uwag, to może o wszystkim zadecydować. Tylko na parę minut, potem mogłaby pani odejść w swoją stronę. Proszę to łaskawie rozważyć, panno Collins. Tak wiele od tego zależy.

Gdy mówił, panna Collins podniosła się i powoli podeszła do kominka. Kiedy skończył, przez kilka sekund stała nieruchomo, opierając się ręką o kominek, jakby dla podtrzymania równowagi. Wreszcie odwróciła się do Stephana, a w jej oczach błyszczały łzy.

– Widzisz, to nie takie proste – powiedziała. – Owszem, kiedyś byłam jego żoną. Ale przez te wszystkie lata, za każdym razem, gdy go spotykałam, obrzucał mnie obelgami. Sam więc rozumiesz, że nie bardzo wiem, jakiego rodzaju rozmowa mogłaby mu sprawić przyjemność.

– Panno Collins, przysięgam, że to już nie ten sam człowiek. Stał się taki grzeczny, taki uprzejmy... na pewno jeszcze pani pamięta. Gdyby chociaż zechciała się pani nad tym zastanowić. To sprawa ogromnej wagi.

Panna Collins w zamyśleniu popiła swoją sherry. Właśnie miała coś odpowiedzieć, gdy usłyszałam, że Boris poruszył się na tylnym siedzeniu. Spojrzałam na niego i domyśliłam się, że nie śpi już od jakiegoś czasu. Gapił się przez okno na cichą, pustą ulicę i wyczułam w nim jakiś smutek. Już miałem coś powiedzieć, ale widocznie zauważył, że go obserwuję, bo zapytał cicho, nie ruszając się:

– Czy umiesz remontować łazienki?

– Czy umiem remontować łazienki?

Boris westchnął ciężko i dalej wpatrywał się w ciemność za oknem.

– Jeszcze nigdy nie kładłem kafelków – powiedział. – Stąd wszystkie moje błędy. Gdyby ktoś mi pokazał, umiałbym to robić.

– Tak, niewątpliwie. Masz na myśli łazienkę w waszym nowym mieszkaniu?

– Gdyby ktoś mi pokazał, zrobiłbym to jak należy. Mama byłaby wtedy zadowolona z łazienki. Wtedy łazienka by się jej podobała.

– Aha. Czyli teraz nie jest z niej zadowolona.

Boris popatrzył na mnie tak, jakbym powiedział coś potwornie głupiego, po czym z druzgoczącą ironią w głosie powiedział:

– Gdyby była zadowolona, to niby dlaczego by nad nią płakała?

– Słusznie. A więc płacze z powodu łazienki. Ciekawe dlaczego.

Boris odwrócił głowę do okna i w niejednolitym świetle dochodzącym z zewnątrz dostrzegłem, że powstrzymuje się od łez. W ostatnim momencie zdołał zamaskować wzruszenie ziewnięciem i potarł twarz pięściami.

– W końcu uda się nam rozwiązać wszystkie te problemy – pocieszyłem go. – Zobaczysz.

– Zrobiłbym to jak należy, gdyby tylko ktoś mi pokazał. A wtedy mama przestałaby płakać.

– Tak, na pewno świetnie byś sobie poradził. Ale nie martw się, niebawem wszystko naprawimy. – Wyprostowałem się w fotelu i spojrzałem na zewnątrz. Na całej ulicy nie było prawie okna, w którym paliłoby się jeszcze światło. – Borisie, musimy się zastanowić – powiedziałem po chwili. – Słuchasz mnie?

Nie odpowiedział.

– Borisie – ciągnąłem – musimy podjąć decyzję. Przedtem mieliśmy zamiar dołączyć do twojej mamy. Ale jest już bardzo późno. Borisie, słuchasz, co mówię?

Zerknąłem do tyłu i zobaczyłem, że Boris wciąż wpatruje się bezmyślnie w ciemność. Siedzieliśmy w milczeniu przez kolejnych parę chwil.

– Chodzi o to, że jest już bardzo późno – wyjaśniłem. – Gdybyśmy wrócili do hotelu, zobaczylibyśmy się z twoim dziadkiem. Ucieszyłby się na twój widok. Dostałbyś własny pokój lub, jeśli wolisz, moglibyśmy poprosić o wstawienie dodatkowego łóżka do mojego pokoju, specjalnie dla ciebie. Zamówilibyśmy coś dobrego do jedzenia, a potem poszedłbyś spać. Jutro przy śniadaniu zastanowilibyśmy się, co robić dalej.

Boris nie reagował.

– Powinienem lepiej to zorganizować – powiedziałem. – Przepraszam. Po prostu... dziś wieczorem nie umiałem jasno myśleć. To był bardzo męczący dzień. Ale obiecuję, że jutro to nadrobimy. Będziemy mieli dużo czasu. Jeśli chcesz, pojedziemy do starego mieszkania po Dziewiątkę. Co ty na to?

Boris nadal milczał.

– To był ciężki dzień dla nas obu. Co ty na to, Borisie?

– No to chyba lepiej jechać do hotelu.

– Myślę, że tak będzie najrozsądniej. A więc postanowione. Kiedy wróci tamten pan, powiemy mu o naszym nowym planie.

## Rozdział 6

W tym momencie kątem oka dostrzegłem jakiś ruch i spojrzawszy w stronę kamienicy, zobaczyłem, że drzwi wejściowe są otwarte. Panna Collins odprowadzała Stephana do drzwi, a choć żegnali się po przyjacielsku, coś w ich zachowaniu świadczyło o tym, że spotkanie nie zakończyło się najlepiej. Po chwili drzwi się zamknęły i Stephan pospiesznie wrócił do samochodu.

– Przepraszam, że kazałem wam tak długo na siebie czekać – powiedział, siadając. – Mam nadzieję, że Boris ma się dobrze. – Kiedy kładł ręce na kierownicy, z jego piersi wyrwało się pełne udręki westchnienie, ale zaraz potem uśmiechnął się z przymusem i oznajmił: – No to jedziemy.

– W czasie pańskiej nieobecności odbyliśmy z Borisem poważną rozmowę. Ustaliliśmy, że jednak lepiej będzie wrócić do hotelu.

– To słuszna decyzja, jeśli wolno mi się wypowiedzieć. Więc jedziemy do hotelu. Doskonale. – Spojrzał na zegarek. – Zaraz dotrzemy na miejsce. Dziennikarze nie będą mieli powodu do narzekań. Najmniejszego powodu. – Stephan zapalił silnik i samochód ruszył. Kiedy przejeżdżaliśmy przez puste ulice, znowu zaczęło padać, więc Stephan włączył wycieraczki. – Panie Ryder – odezwał się po chwili – być może wydam się panu natrętny, ale czy pamięta pan jeszcze naszą wcześniejszą rozmowę? No wie pan, dziś po południu, w atrium.

– Ach, rzeczywiście – powiedziałem. – Mówiliśmy o pańskim czwartkowym recitalu.

– Był pan łaskaw powiedzieć, że być może znajdzie pan dla mnie kilka minut i posłucha, jak gram La Roche’a. Zapewne jest to zupełnie niemożliwe, ale chyba nie ma pan nic przeciwko temu, że zapytam. Bo właśnie dziś w nocy zamierzam jeszcze trochę poćwiczyć, zaraz po powrocie do hotelu. Przyszło mi na myśl, że może kiedy skończy pan z tymi dziennikarzami, wiem, że to dla pana kłopot, ale może mógłby pan przyjść, posłuchać choćby przez parę minut i wyrazić swoje zdanie... – Urwał i zaśmiał się nerwowo.

Widać było, że ma to dla niego niebagatelne znaczenie i kusiło mnie, żeby spełnić jego prośbę. Niemniej po chwili namysłu powiedziałem:

– Przykro mi, ale jestem tak zmęczony, że gdy tylko będzie to możliwe, bezwzględnie udam się na spoczynek. Ale proszę się nie martwić, w najbliższym czasie na pewno nadarzy

się do tego sposobność. A może umówimy się tak: ponieważ nie mogę z góry przewidzieć, kiedy będę miał trochę wolnego czasu, przy najbliższej okazji zadzwonię do recepcji i poproszę, by pana odszukano. Jeśli akurat nie będzie pana w hotelu, spróbuję następnym razem, gdy będę wolny, i tak dalej. Tym sposobem na pewno wkrótce znajdziemy czas dogodny dla nas obu. Ale dzisiaj, proszę mi wierzyć, naprawdę muszę dobrze się wyspać.

– To zupełnie zrozumiałe, panie Ryder. Zgadzam się na pańską propozycję. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. A zatem będę czekać na sygnał od pana.

Stephan powiedział to nienagannie grzecznym tonem, sprawiał jednak wrażenie przesadnie rozczarowanego, być może dlatego, że uznał moją odpowiedź za rodzaj łagodnej odmowy. Widać tak bardzo przejmował się swoim czwartkowym występem, że jakakolwiek przeszkoda, choćby niewielka, łatwo mogła wywołać w nim panikę. Przejęty współczuciem powiedziałem pocieszająco:

– Proszę się nie martwić, wkrótce nadarzy się odpowiednia chwila.

Jechaliśmy przez pogrążone w nocnym mroku ulice, podczas gdy za oknem nieustannie zaciągał deszcz. Młody człowiek nie odzywał się dłuższą chwilę i już zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem się na mnie nie obraził. Lecz potem w przelotnym świetle dojrzałem jego profil i zdałem sobie sprawę, że roztrząsa w myślach pewne wydarzenie sprzed wielu lat. Wielokrotnie już do niego wracał, często w bezsenne noce albo podczas samotnej jazdy samochodem. Teraz – pod wpływem obawy, że moja pomoc okaże się niemożliwa – epizod ten na nowo odżył w jego pamięci.

Zdarzyło się to w dniu urodzin jego matki. Kiedy zatrzymał samochód na znajomym podjeździe, nastawiał się na kilka przykrych godzin. Ale ojciec otworzył mu drzwi, szepcząc w podnieceniu: „Jest dziś w dobrym humorze. W bardzo dobrym humorze”. Następnie odwrócił się i zawołał w głąb domu: „Przyjechał Stephan, kochanie. Trochę późno, ale jest”. Po czym dodał szeptem: „W bardzo dobrym humorze. Najlepszym od wielu lat”.

Młody człowiek przeszedł do salonu i ujrzał matkę usadowioną wygodnie na sofie, z drinkiem w ręku. Miała na sobie nową suknię i Stephan po raz kolejny mógł się przekonać, jaka to elegancka kobieta. Ponieważ nie wstała, żeby się z nim przywitać, pochylił się nad sofą i pocałował matkę w policzek. Serdeczność, z jaką zaprosiła ruchem ręki, by siadł naprzeciwko niej w fotelu, całkowicie go jednak zaskoczyła. Ojciec, który stał za nim, wyraźnie zadowolony z takiego obrotu spraw, zachichotał cicho, po czym wskazał na fartuch, który miał na sobie, i pobiegł z powrotem do kuchni.

Kiedy Stephan został sam na sam z matką, w pierwszej chwili ogarnął go paniczny strach. Bał się, że powie lub zrobi coś, co zepsuje jej dobry nastrój, obracając wniwecz

wielogodzinne, a może nawet wielodniowe starania ojca. Toteż na jej pytania dotyczące życia w college'u początkowo dawał krótkie, ogólnikowe odpowiedzi, ale widząc, że jej nastawienie pozostaje niezmiennie pozytywne, zaczął odpowiadać coraz pełniej i bardziej szczegółowo. W pewnym momencie napomknął, że jeden z profesorów przypomina „psychicznie zrównoważoną wersję obecnego ministra spraw zagranicznych”. Był szczególnie dumny z tego wyrażenia, i wielokrotnie powtarzał je w gronie swoich kolegów ze studiów z niemałym powodzeniem. Gdyby początek rozmowy nie wypadł tak dobrze, nigdy by się nie odważył użyć go przy niej. W tej sytuacji postanowił jednak zaryzykować i z bijącym sercem obserwował jej twarz, na której – ku jego radości – natychmiast pojawiło się rozbawienie. Mimo to, kiedy wrócił ojciec, by obwieścić, że kolacja jest już gotowa, Stephan poczuł wyraźną ulgę.

Przeszli do jadalni, gdzie kierownik hotelu postawił na stole pierwsze danie. Z początku jedli w milczeniu. Potem – według Stephana dość niespodziewanie – ojciec zaczął opowiadać zabawną anegdotę o grupie Włochów w hotelu. Kiedy skończył, jął nakłaniać Stephana, by on również coś opowiedział, a gdy ten niepewnie zaczął swoją opowieść, kierownik hotelu starał się dodać mu otuchy przesadnym śmiechem. I tak to szło: Stephan i ojciec opowiadali na zmianę zabawne historyjki i dodawali sobie wzajem otuchy żywymi reakcjami. Taktyka ta okazała się skuteczna, bo w końcu – Stephan nie mógł uwierzyć własnym oczom – także matka zaczęła się śmiać. Ponadto kierownik hotelu przygotował posiłek z właściwą sobie, pedantyczną dokładnością, było to więc zadziwiające dzieło sztuki kulinarnej. Wino również okazało się przednie, tak że w środku głównego dania – a była to wyborna kombinacja gęsi i jagód – przy stole zapanowała prawdziwie wesoła atmosfera. Kierownik hotelu, z twarzą zaróżowioną od wina i śmiechu, nachylił się nad stołem i powiedział:

– Opowiedz nam raz jeszcze, Stephanie, o tym schronisku młodzieżowym, w którym kiedyś nocowałeś. No wiesz, w lesie, w Burgundii.

Stephan zamarł na moment. Jak ojciec, który do tej pory kierował wszystkim bezbłędnie, mógł się tak fatalnie pomylić? Opowieść, o której wspomniał, nie mogła się obyć bez dokładnego opisu systemu toalet w tamtym schronisku i jako taka w oczywisty sposób nie nadawała się do powtórzenia w obecności matki. Kiedy to w sobie ważył, ojciec puścił do niego oko, jakby chciał powiedzieć: „Odwagi, możesz mi zaufać. Zobaczysz, że się jej spodoba, na pewno ci się uda”. Mimo poważnych wątpliwości Stephan zawierzył intuicji ojca i zaczął opowiadać anegdotę. Zaraz jednak przemknęło mu przez myśl, że ten dotychczas nadspodziewanie udany wieczór za chwilę rozleci się w kawałki. Mimo to, zachęcany

rubasznym śmiechem ojca, mówił dalej, by po chwili ku swojemu zdumieniu usłyszeć szczerzy śmiech matki. Podniósł oczy i zobaczył, że matka w rozbawieniu bezradnie potrząsa głową. Potem, gdy historia miała się ku końcowi, Stephan zauważył pośród wybuchów śmiechu czułe spojrzenie, jakie matka posłała ojcu. Jedno krótkie spojrzenie, nie pozostawiające jednak żadnych wątpliwości. Kierownik hotelu, pomimo łez radości w oczach, także je zauważył i odwróciwszy się do syna, znów mrugnął do niego porozumiewawczo, tym razem z triumfem. W tym momencie młody człowiek poczuł, że w jego piersi wzbiera jakieś potężne uczucie. Zanim jednak zdążył je zidentyfikować, ojciec powiedział do niego:

– Teraz, Stephanie, musimy odpocząć przed deserem. Może zagrałbyś coś matce na urodziny? – Kierownik hotelu wskazał ręką w stronę stojącego pod ścianą pianina.

Ten prosty gest – zwykłe wyciągnięcie ręki w kierunku pianina – Stephan zapamiętał na długie lata. Zawsze gdy wracał do niego myślami, przenikał go ten sam przejmujący dreszcz, jaki poczuł w tamtej chwili. Najpierw spojrzał na ojca z niedowierzaniem, lecz ten uśmiechał się tylko z zadowoleniem, wskazując ręką na pianino.

– Nie daj się prosić, Stephan. Coś, co lubi twoja matka. Może trochę Bacha. Albo coś z muzyki współczesnej. Na przykład Kazan. Albo Mullery.

Młody człowiek przeniósł wzrok na matkę. Pod wpływem śmiechu rysy jej twarzy wyraźnie zmiękły, nabierając nieznanego mu dotąd cech. Matka uśmiechała się do niego. Potem, zwracając się bardziej do męża niż do syna, powiedziała:

– Tak, kochanie, myślę, że Mullery byłby w sam raz. Byłoby cudownie.

Przez głowę przemknęła mu nagle myśl – którą zresztą natychmiast odrzucił – że rodzice zmówili się przeciwko niemu. Z całą pewnością patrzyli teraz na niego z pełnym dumy oczekiwaniem, jakby nie pamiętali już bolesnej historii jego nauki gry na fortepianie. Ostatecznie jednak sprzeciw, który zaczął już układać w myślach, zamarł mu na ustach i Stephan, jakby wbrew sobie, wstał z krzesła.

Pianino ustawione było w taki sposób, że kiedy Stephan zasiadł przy nim, kątem oka mógł obserwować rodziców, którzy oparci łokciami na stole siedzieli teraz lekko pochyleni ku sobie. Po chwili odwrócił się do nich i przyjrzał im się z myślą, że chce po raz ostatni ujrzeć, jak siedzą obok siebie, jakby złączeni niezmałym szczęściem. Odwrócił się do fortepianu przytłoczony pewnością, że za chwilę atmosfera wieczoru się załamie. Ze zdziwieniem uzmysłowił sobie, że dotychczasowy bieg wydarzeń już go nie zdumiewa, owszem, nawet się go spodziewał i doznawał w związku z nim ulgi.

Przez kilka sekund Stephan siedział nieruchomo przy pianinie, usilnie próbując

otrząsnąć się ze skutków wypicia sporej ilości wina oraz powtórzyć w pamięci utwór, który miał za chwilę wykonać. Przez jeden upojny moment wydawało mu się – w końcu był to wieczór pełen niespodzianek – że być może uda mu się zagrać na poziomie, którego dotąd nie potrafił osiągnąć, i że po odegraniu utworu rodzice będą bić mu brawo, uśmiechać się i wymieniać między sobą czułe spojrzenia. Ale już początkowe takty *Epicykloidy* Mullery’ego uświadomiły mu całkowitą nierealność takiego scenariusza.

Mimo to grał dalej. Prawie przez całą pierwszą część utworu widziane kątem oka postacie siedziały nieruchomo. Później jednak dostrzegł, że jego matka odchyła się lekko do tyłu i podnosi rękę do podbródka. Po kilku kolejnych taktach ojciec oderwał wzrok od Stephana, położył ręce na kolanach i pochylił głowę, jakby wpatrywał się z uwagą w jakiś punkt na stole.

Tymczasem do końca utworu było jeszcze daleko i choć młody człowiek kilka razy miał ochotę przerwać grę, wydawało mu się, że jest to najgorsze, co może zrobić. Toteż grał dalej, a kiedy skończył ostatnią część, przez kilka minut wpatrywał się w klawiaturę, zanim wreszcie odważył się podnieść oczy.

Żadne z rodziców nie patrzyło w jego stronę. Głowa ojca zwisała teraz tak nisko, że czołem niemal dotykał stołu. Matka patrzyła w innym kierunku z lodowatym wyrazem twarzy, który Stephan znał tak dobrze i który – o dziwo – wcześniej tego wieczoru był na jej obliczu zupełnie nieobecny.

Stephanowi wystarczyła sekunda, by ocenić sytuację. Następnie wstał i szybko wrócił do stołu, jakby w ten sposób mógł wymazać tych kilka minut, które upłynęły od momentu, gdy od niego odszedł. Przez jakiś czas wszyscy troje siedzieli cicho. Wreszcie matka podniosła się ze słowami:

– To był bardzo miły wieczór. Dziękuję wam obu. Ale teraz czuję się zmęczona i chyba powinnam już iść na górę do łóżka.

Z początku mogło się wydawać, że jej słowa w ogóle nie dotarły do kierownika hotelu, ale gdy tylko matka Stephana ruszyła w stronę drzwi, uniósł głowę i powiedział bardzo cicho:

– Tort, kochanie. Tort. To... to coś zupełnie wyjątkowego.

– Bardzo miło z twojej strony, ale wierz mi, najadłam się już do syta. Teraz potrzebuję snu.

– Naturalnie. – Kierownik hotelu ponownie utkwiał zrezygnowane spojrzenie w powierzchnię stołu. Ale gdy matka Stephana miała właśnie przekroczyć próg jadalni, pan Hoffman wyprostował się nagle i powiedział głośno: – Przynajmniej rzuć na niego okiem. O

nic więcej nie proszę. To naprawdę coś wyjątkowego.

Matka się zawahała, po czym odparła:

– Zgoda. Pokaż mi go szybko. Ale potem naprawdę muszę położyć się spać. To pewnie przez to wino czuję się teraz tak zmęczona.

Kierownik hotelu natychmiast zerwał się na równe nogi i wyprowadził żonę z jadalni.

Młody człowiek słuchał, jak jego rodzice oddalają się w stronę kuchni, a następnie po niecałej minucie wracają korytarzem i wchodzi po schodach. Przez dłuższą chwilę Stephan nie ruszał się z miejsca. Z góry dobiegały różne dźwięki, ale nie słyszał głosów. W końcu przyszło mu do głowy, że postąpi najlepiej, jeśli po prostu wsiądzie do samochodu i popędzi przez noc do swojego mieszkania. Gdyby został do śniadania, z całą pewnością nie ułatwiłoby to ojcu długiego i zmudnego przywracania matce dobrego nastroju.

Wyszedł z jadalni, zamierzając wymknąć się z domu niepostrzeżenie, ale w przedpokoju natknął się na ojca, który akurat schodził po schodach. Kierownik hotelu położył palec na ustach i powiedział:

– Musimy mówić cicho. Matka położyła się spać.

Stephan poinformował ojca, że ma zamiar wrócić do Heidelbergu, na co pan Hoffman odparł:

– Jaka szkoda. Myśleliśmy z matką, że będziesz mógł zostać trochę dłużej. Ale, jak mówisz, jutro rano masz wykłady. Wy tłumaczę cię przed matką, na pewno zrozumie.

– Mam nadzieję – powiedział Stephan – że mama dobrze się bawiła.

Ojciec się uśmiechnął, lecz Stephan zdążył dostrzec na jego twarzy przelotny wyraz głębokiego strapienia.

– Ależ tak, wyśmienicie. Wierz mi. Bardzo się ucieszyła, że mogłeś się wyrwać z college'u i przyjechać. Miała nadzieję, że zostaniesz parę dni, ale nie przejmuj się, wszystko jej wytłumaczę.

Kiedy tamtej nocy Stephan mknął po wyludnionej autostradzie, w myślach analizował każde najdrobniejsze wydarzenie tego wieczoru – tak jak wielokrotnie czynił przez następne lata. Z czasem męka, jaką czuł za każdym razem, gdy powracało do niego to wspomnienie, zaczęła stopniowo słabnąć, lecz bliskość czwartkowego wieczoru na nowo obudziła w nim wiele dawnych lęków. Teraz, w czasie naszej jazdy przez deszczową noc, po raz kolejny przeniósł się myślą do tamtego bolesnego wydarzenia sprzed kilku lat.

Zrobiło mi się żal młodego człowieka, więc przerywając milczenie, powiedziałem do niego:

– Nie chciałbym się wtrącać w nie swoje sprawy, ale wydaje mi się, że pańscy rodzice

byli wobec pana dość niesprawiedliwi, jeśli chodzi o pańską grę na fortepianie. Radzę panu czerpać z gry jak najwięcej radości, znajdować w niej sens i satysfakcję bez względu na to, jakie jest ich zdanie.

Stephan rozważał to przez chwilę, po czym rzekł:

– Dziękuję, że zechciał pan zawracać sobie głowę moim położeniem i w ogóle. Ale, mówiąc wprost, obawiam się, że w gruncie rzeczy nie wszystko pan rozumie. Wiem, że komuś z zewnątrz zachowanie mojej matki tamtego wieczoru może się wydawać dość... dość krzywdzące. Ale popełnilibyśmy wobec niej wielką niesprawiedliwość i naprawdę zależy mi na tym, aby nie odniósł pan takiego wrażenia. Musi pan wziąć pod uwagę podłoże całej sprawy. Przede wszystkim trzeba panu wiedzieć, że gdy miałem cztery lata, moją nauczycielką gry na fortepianie została pani Tilkowski. Oczywiście panu, panie Ryder, nazwisko to zapewne nic nie mówi, ale w tym mieście pani Tilkowski jest niezwykle poważaną osobistością, nie zaś pierwszą lepszą nauczycielką gry na fortepianie. Jej usługi nie są ogólnie dostępne, choć, oczywiście, jak wszyscy inni pobiera za nie opłatę. Swoją pracę traktuje bardzo poważnie i przyjmuje na uczniów wyłącznie dzieci artystycznej i intelektualnej elity naszego miasta. Na przykład mieszkał tu przez jakiś czas Paulo Rozario, ten surrealistyczny malarz, i pani Tilkowski uczyła obie jego córki. I dzieci profesora Diegelmana. Jak również siostrzenice pani hrabiny. Bardzo starannie selekcjonuje uczniów, miałem więc ogromne szczęście, że udało mi się do niej dostać, zwłaszcza że wówczas pozycja mojego ojca w lokalnej społeczności nie była jeszcze tak wysoka jak obecnie. Sądzę jednak, że moi rodzice byli wtedy tak samo oddani sztuce jak teraz. W latach mojego dzieciństwa często rozmawiali o artystach i muzykach i powtarzali, że ludzi takich należy wspierać. Obecnie większość czasu matka spędza w domu, ale wówczas brała czynny udział w życiu kulturalnym miasta. Jeśli, powiedzmy, do miasta przyjeżdżał jakiś muzyk, matka zawsze starała się go wesprzeć. Nie tylko bywała na koncertach, ale zawsze po występie biegła do garderoby artysty, by osobiście wyrazić mu swoje uznanie. Nawet jeśli wykonawca nie grał najlepiej i tak po koncercie szła do jego garderoby, aby mu dodać otuchy i dyskretnie udzielić kilku wskazówek. Co więcej, często zapraszała artystów do domu lub proponowała im wspólne zwiedzanie miasta. Zazwyczaj program ich wizyty był zbyt napięty, by mogli przyjąć jej ofertę, ale z całą pewnością każdy artysta czuł się podniesiony na duchu. Mój ojciec był najczęściej bardzo zapracowany, ale pamiętam, że on także robił pod tym względem, co mógł. Na wszelkich przyjęciach organizowanych na cześć znanych osobistości przebywających z wizytą w naszym mieście ojciec dotrzymywał matce towarzystwa, choćby miał nie wiem ile spraw na głowie, tak że i on brał udział w uczczeniu gościa. Sam pan widzi,

jak daleko sięgam pamięcią, moi rodzice zawsze uczestniczyli w życiu kulturalnym i zawsze doceniali rolę sztuk pięknych w naszym społeczeństwie. Jestem więc przekonany, że to właśnie z tego względu pani Tilkowski zgodziła się w końcu przyjąć mnie na ucznia. Teraz dopiero potrafię ocenić, jak wielki musiał to być triumf dla moich rodziców, a zwłaszcza dla mamy, która się o to wystarała. Proszę pomyśleć, brałem lekcje u pani Tilkowski razem z dziećmi pana Rozario i profesora Diegelmana! Jacyż musieli być dumni. Przez pierwsze lata szło mi bardzo dobrze, naprawdę, tak dobrze, że pani Tilkowski nazwała mnie kiedyś jednym z najlepiej zapowiadających się uczniów, jakich miała do tej pory. Wszystko szło dobrze do... do dziesiątego roku życia.

Młody człowiek umilkł nagle, być może żałując tego przyływu szczerości. Widziałem jednak, że inna część jego istoty rwie się do dalszych zwierzeń, zapytałem więc:

– Co się stało, kiedy miał pan dziesięć lat?

– Wstyd mi się przyznać, zwłaszcza przed panem, panie Ryder. Kiedy miałem dziesięć lat, po prostu przestałem ćwiczyć. Przychodziłem na lekcje do pani Tilkowski, nie tknąwszy nawet zadanych pasaży. A kiedy pytała dlaczego, milczałem. To strasznie żenujące, jak gdybym opowiadał o kimś innym; ileż bym dał, żeby tak było. Ale to prawda, tak właśnie postępowałem. Po kilku tygodniach pani Tilkowski nie miała innego wyjścia, jak tylko powiadomić moich rodziców, że jeśli nic się nie zmieni, będzie zmuszona zaniechać dalszych lekcji. Później dowiedziałem się, że mama trochę się wówczas zdenerwowała i nakrzyczała na panią Tilkowski. W każdym razie sprawa skończyła się dość nieładnie.

– A potem znalazł pan innego nauczyciela?

– Tak, pannę Henze, która nie była wcale taka zła. Daleko jednak jej było do pani Tilkowski. W dalszym ciągu nie ćwiczyłem, ale panna Henze nie była już tak surowa. Potem, kiedy miałem dwanaście lat, nagle wszystko się odmieniło. Trudno wytłumaczyć, co dokładnie zaszło, wygląda to dość dziwnie. Pewnego popołudnia siedziałem w naszym salonie. Słońce świeciło intensywnie i pamiętam, że czytałem akurat magazyn piłkarski, gdy do pokoju błędnym krokiem wszedł mój ojciec. Pamiętam, że miał na sobie szarą kamizelkę i podwinięte rękawy koszuli. Stał na środku pokoju i jał się wpatrywać przez okno w ogród. Wiedziałem, że w ogrodzie jest moja matka, że siedzi na ławeczce, która wówczas stała pod drzewami owocowymi. Czekałem, aż ojciec wyjdzie i usiądzie obok niej. Ale on się nie ruszał. Był do mnie odwrócony plecami, nie widziałem więc jego twarzy, ale za każdym razem, gdy podnosiłem oczy, dostrzegałem, że wpatruje się w tę część ogrodu, gdzie siedziała matka. Kiedy spojrzełem na niego trzeci czy czwarty raz, nagle coś zaświtało mi w głowie. Zdałem sobie sprawę, że już od kilku miesięcy ojciec i matka prawie nie rozmawiają ze sobą.

To było takie dziwne, ta świadomość po prostu mnie dopadła: że prawie w ogóle nie rozmawiają. Dziwne, że nie zauważyłem tego wcześniej, ale nie, zorientowałem się dopiero w tamtym momencie. Wtedy jednak uświadomiłem to sobie z wielką jasnością. W mgnieniu oka przypomniałem sobie różne sytuacje, gdy ojciec i matka mówili coś do siebie, w zasadzie nie mówiąc nic. Nie znaczy to, że cały czas milczeli. Ale, wie pan, między nimi zapanował chłód, który dopiero wówczas zauważyłem. Zapewniam pana, że to było bardzo dziwne uczucie, to nagłe uświadomienie sobie owego faktu. I niemal równocześnie uderzyła mnie ta straszna myśl: że zmiana musiała nastąpić w tym samym czasie, w którym porzuciłem lekcje u pani Tilkowski. Nie mogłem mieć całkowitej pewności, ponieważ upłynęło już zbyt wiele czasu, ale odkąd przyszło mi to do głowy, byłem święcie przekonany, że właśnie wtedy się to wszystko zaczęło. Teraz już nie pamiętam, czy ojciec wyszedł w końcu do ogrodu, czy nie. Nie odezwałem się słowem, udając, że czytam magazyn. Po chwili poszedłem na górę do swojego pokoju i położyłem się na łóżku, by pomyśleć o całej sytuacji. Po tym zdarzeniu wróciła mi chęć do pracy. Zacząłem ćwiczyć z ogromną pilnością i musiałem poczynić duże postępy, bo po kilku miesiącach mama udała się do pani Tilkowski z zapytaniem, czy nie zechciałaby mnie ponownie przyjąć. Teraz widzę, jak wielkie było to z jej strony poświęcenie, po tym, jak na nią nakrzyczała, długo też musiała panią Tilkowski przekonywać. W rezultacie nauczycielka zgodziła się ponownie mnie przyjąć i tym razem naprawdę bardzo się starałem, cały czas ćwiczyłem. Straciłem jednak dwa najważniejsze lata. Sam pan wie, jak ważny jest okres między dziesiątym a dwunastym rokiem życia. Proszę mi wierzyć, robiłem wszystko, żeby te stracone lata nadrobić, ale było już za późno. Do dziś często zadaję sobie pytanie: „Co mi wtedy strzeliło do głowy?”. Co ja bym dał, żeby odzyskać te dwa lata! Moi rodzice jednak nie zdawali sobie chyba sprawy, jak wielką szkodę spowodowała ta dwuletnia przerwa. Myśleli zapewne, że skoro znów zajęła się mną pani Tilkowski, to solidną pracą uda się nadrobić straty. Wiem, że pani Tilkowski parokrotnie próbowała im to wytłumaczyć, ale rodzice, zaślepieni miłością i dumą, nie dostrzegali, jak się sprawy mają. Przez kilka lat wierzyli, że robię spore postępy, że mam prawdziwy talent. Prawdę odkryli dopiero, kiedy miałem siedemnaście lat. W tamtych latach Obywatelski Instytut Sztuk Pięknych organizował konkurs pianistyczny o Nagrodę Jürgena Flemminga dla młodych, obiecujących pianistów w tym mieście. Cieszył się on nawet pewną renomą, choć teraz już się nie odbywa ze względu na brak funduszy. Kiedy miałem siedemnaście lat, moi rodzice wpadli na pomysł, że powinienem wziąć w nim udział, i matka zaczęła nawet czynić wstępne starania, by zakwalifikowano mnie do konkursu. Wtedy po raz pierwszy zdali sobie sprawę z moich braków. Bardzo uważnie wysłuchali, jak gram... prawdopodobnie po raz pierwszy naprawdę

słuchali... i uświadomili sobie, że uczestnicząc w konkursie, przyniosłbym tylko wstyd sobie i całej rodzinie. Mimo wszystko byłem gotów spróbować, lecz rodzice zdecydowali, że nadwerężyłoby to zbytnio moją wiarę we własne siły. Jak powiedziałem, dopiero wtedy zauważyli, że gram naprawdę słabo. Do tego czasu ich wygórowane nadzieje i, jak sądzę, miłość do mnie nie pozwalały im ocenić mojej gry w pełni obiektywnie. Dopiero wtedy sobie uświadomili, jak wielką stratę spowodowała tamta dwuletnia przerwa. Naturalnie, moi rodzice poczuli się wówczas bardzo rozczarowani. Zwłaszcza matka nie mogła się oprzeć myśli, że wszystko na nic, że wszystkie jej wysiłki, wszystkie lata u pani Tilkowski, starania o ponowne przyjęcie mnie do niej, że wszystko to była strata czasu. Ogarnęło ją przygnębienie, przestała chodzić na koncerty i przyjęcia. Za to ojciec zachował w sercu odrobinę wiary w moje możliwości. To do niego podobne. Zawsze zachowuje nadzieję do samego końca. Co jakiś czas, mniej więcej raz do roku, prosi mnie, bym zagrał, i jest wtedy pełen nadziei, myśli sobie: „Tym razem będzie inaczej”. Ale dotychczas za każdym razem, gdy kończę grać i podnoszę na niego oczy, widzę, że znów jest przybity. Oczywiście stara się to ukryć, ale i tak to widzę. Nigdy jednak nie stracił resztek nadziei, co ma dla mnie ogromne znaczenie.

Pędziliśmy teraz szeroką ulicą, wzdłuż której ciągnęły się wysokie biurowce. Choć mijaliśmy niekiedy rzędy równo zaparkowanych samochodów, nasz wydawał się jedynym poruszającym się pojazdem w promieniu wielu kilometrów.

– I to był pomysł pańskiego ojca – zapytałem – żeby zagrał pan podczas czwartkowego wieczoru?

– Tak, zawierzył mi. Po raz pierwszy napomknął o tym sześć miesięcy temu. Już dwa lata nie słyszał, jak gram, jest jednak pełen wiary we mnie. Naturalnie, dał mi całkowicie wolny wybór, ale bardzo poruszyło mnie to, że pomimo tylu rozczarowań wciąż okazuje wiarę w moje siły. A zatem przyjąłem jego propozycję.

– To była bardzo odważna decyzja i mam nadzieję, że okaże się słuszna.

– Właściwie, panie Ryder, zgodziłem się, ponieważ... choć to tylko moja opinia... wydaje mi się, że ostatnio dokonał się we mnie jakiś przełom. Być może wie pan, co mam na myśli, tak trudno wyrazić to słowami. To tak, jakby coś w mojej głowie... coś, co zawsze blokowało mój rozwój, jakaś tama... jakby to coś nagle pękło, pozwalając napłynąć zupełnie nowemu duchowi. Choć nie potrafię tego dokładnie wytłumaczyć, wydaje mi się, że jestem teraz znacznie lepszym pianistą, niż kiedy ojciec słyszał mnie ostatnim razem. Dlatego gdy zapytał, czy nie zechciałbym wystąpić podczas czwartkowego wieczoru, zgodziłem się pomimo obaw. Tak wytrwale we mnie wierzył, że odmawiając, nie byłbym wobec niego w

porządku. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie przejmuję się czwartkowym wieczorem. Dużo pracowałem nad utworem, który zagram, i muszę przyznać, że trochę się martwię. Ale wiem, że mam szansę sprawić rodzicom niespodziankę. Tak czy inaczej, zawsze miałem jedno marzenie. Nawet wtedy, gdy grałem bardzo kiepsko. Marzyłem, że kiedyś spędzę kilka miesięcy z dala od wszystkiego, nieustannie ćwicząc. Moi rodzice nie widzieliby mnie przez wiele miesięcy. A potem, pewnego dnia, zjawiłbym się w domu. Być może w niedzielne popołudnie. W każdym razie wtedy, kiedy ojciec też jest w domu. Prawie się nie odzywając, podszedłbym prosto do pianina, podniósłbym pokrywę i zaczął grać. Bacha, Chopina, Beethovena. Potem kompozytorów współczesnych: Grebla, Kazana, Mullery'ego. Grałbym bez przerwy. A moi rodzice weszliby za mną do jadalni i patrzyliby zadziwieni. Wykraczałoby to poza ich najśmielsze marzenia. A potem, ku swojemu zdumieniu, zauważyliby, że osiągam coraz wyższe pułapy maestrii. Delikatne, czułe adagia. Niesamowicie ogniste, brawurowe pasáže. Wspinałbym się coraz wyżej i wyżej. Oni zaś staliby na środku pokoju... ojciec wciąż trzymałby w ręku gazetę, którą dopiero co czytał... oboje w najwyższym osłupieniu. Zakończyłbym oszałamiającym finałem i wreszcie odwróciłbym się do nich i... i nigdy nie byłem pewien, co działałoby się dalej. Jest to marzenie, które noszę od trzynastego lub czternastego roku życia. Czwartkowy wieczór zapewne nie będzie dokładnie odpowiadał temu opisowi, niewykluczone jednak, że będzie wyglądał podobnie. Jak mówię, zaszła we mnie jakaś przemiana i czuję, że zbliżam się do celu. No, jesteśmy na miejscu. Na pewno zdąży pan się jeszcze spotkać ze swoimi dziennikarzami.

Centrum miasta było tak wyludnione i ciche, że w pierwszej chwili go nie poznałem. Istotnie, zbliżyliśmy się do wejścia do hotelu.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu – kontynuował Stephan – wysadzę was tutaj. Muszę jeszcze zaparkować samochód na tyłach.

Boris wyglądał na bardzo zmęczonego, ale nie spał. Wyszliśmy i przypomniałem mu, by podziękował Stephanowi, po czym poprowadziłem go do hotelu.

## Rozdział 7

Światła w holu były przyciemnione i cały hotel wydawał się pogrążony w ciszy. W recepcji pełnił dyżur ten sam młody człowiek, którego spotkałem zaraz po przyjeździe, tym razem jednak spał głęboko na swoim miejscu. Kiedy podeszliśmy do kontuaru, podniósł oczy i poznawszy mnie, podjął wysiłek, by się przebudzić.

– Dobry wieczór panu – powiedział wesoło, lecz zaraz potem znów opadło go znużenie.

– Dobry wieczór. Potrzebuję jeszcze jednego pokoju. Dla Borisa. – Położyłem rękę na ramieniu chłopca. – Jak najbliżej mojego.

– Zobaczę, co się da zrobić, panie Ryder.

– Tak się składa, że wasz boy hotelowy Gustav jest dziadkiem Borisa. Sądziłem, że być może zastaniemy go jeszcze w hotelu.

– Ależ tak, Gustav tu mieszka. Ma mały pokoik na poddaszu. Ale o tej porze prawdopodobnie śpi.

– Nie będzie miał chyba nic przeciwko temu, żeby go zbudzić. Jestem pewien, że zechce natychmiast zobaczyć się z Borisem.

Recepcjonista rzucił zatroskane spojrzenie na zegarek.

– Jak pan sobie życzy – powiedział niepewnie i podniósł słuchawkę. – Gustav? – odezwał się po chwili. – Bardzo przepraszam, Gustavie. Tu Walter. Tak, tak, bardzo mi przykro, że cię obudziłem. Tak, wiem, przepraszam. Posłuchaj, proszę. Właśnie przyszedł pan Ryder. Przyprowadził twojego wnuka. – przez kilka sekund recepcjonista słuchał uważnie, od czasu do czasu kiwając głową. W końcu odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do mnie. – Zaraz tu będzie. Mówi, że się wszystkim zajmie.

– Świetnie.

– Na pewno jest pan teraz bardzo zmęczony, panie Ryder.

– Tak, to prawda. To był bardzo wyczerpujący dzień. Ale zdaje się, że mam dzisiaj jeszcze jedno spotkanie. Powinni tu na mnie czekać jacyś dziennikarze.

– Ach tak. Wyszli w końcu jakąś godzinę temu. Powiedzieli, że umówią się na inny termin. Zasugerowałem, żeby skontaktowali się bezpośrednio z panną Stratmann i nie niepokoili pana. Wygląda pan na bardzo zmęczonego. Powinien pan przestać przejmować się

takimi sprawami i udać się na spoczynek.

– Ma pan rację. Hm, a więc wyszli. Najpierw zjawiają się za wcześnie, a potem odchodzą.

– Tak, to bardzo denerwujące, proszę pana. Ale teraz radziłbym panu położyć się do łóżka i zasnąć. Naprawdę, powinien pan przestać się tym martwić. Jestem pewien, że wszystko zostanie załatwione.

Byłem wdzięczny młodemu recepcjoniście za te kojące słowa i po raz pierwszy od wielu godzin poczułem, że ogarnia mnie lala odprężenia. Oparłem łokcie na kontuarze i o mało co nie zasnąłem na stojąco. Nie spałem jednak, cały czas bowiem czułem opartą sennie o mój bok głowę Borisa oraz słyszałem uspokajający głos recepcjonisty.

– Za chwilę zejdzie Gustav – mówił tuż przed moją twarzą – i dopilnuje, by pańskiemu synkowi było wygodnie. Naprawdę, nie ma powodów do troski. A pannę Stratmann znamy w tym hotelu już od wielu lat. Bardzo kompetentna osoba. Prowadziła sprawy wielu ważnych gości i każdy był z niej w stu procentach zadowolony. Ona po prostu nie popełnia błędów. Może pan być spokojny, już ona zajmie się tymi dziennikarzami. A co do Borisa, damy mu pokój naprzeciwko pańskiego. Rano ujrzy z okna bardzo ładny widok, na pewno mu się spodoba. Tak więc, panie Ryder, naprawdę sędzę, że powinien się pan teraz udać na spoczynek. Dzisiaj nic już pan nie wskóra. Proszę mi wybaczyć moją śmiałość, ale radziłbym panu zostawić Borisa pod opieką dziadka, gdy tylko wejdziecie razem na górę. Gustav może nadejść w każdej chwili, musi się tylko ubrać, stąd ta niewielka zwłoka. Zaraz zjawi się w całej okazałości, jak należy, w nieskazitelnie czystej liberii, wszystko na swoim miejscu. Gdy tylko przybędzie, powinien pan zostawić wszystko na jego głowie. Spieszy się, jak może. Teraz pewnie siedzi na brzegu swojego malutkiego łóżka i zawiązuje sznurowadła. Za chwilę będzie gotowy i poderwie się na równe nogi, choć musi uważać, żeby nie uderzyć głową o krokwie. Jeszcze tylko przeczesze włosy i zaraz wybiegnie na korytarz. Tak, może tu być w każdej chwili, a wtedy będzie pan mógł iść do swojego pokoju, odprężyć się i zasnąć kamiennym snem. Przedtem jednak radzę się panu czegoś napić; w minibarku znajdzie pan kilka rodzajów gotowych koktajli. Są wyśmienite. Chyba że woli pan zamówić jakiś ciepły napój. Może pan posłuchać kojącej muzyki z radia. Ze Sztokholmu nadają teraz spokojny jazz, w sam raz na tę późną porę, naprawdę bardzo kojący, często pomaga mi zasnąć. Lub też, jeśli naprawdę chce się pan odprężyć, może pan iść do kina. Wielu naszych gości właśnie tam teraz siedzi.

Ta ostatnia uwaga o kinie wybiła mnie z senności. Prostując się, zapytałem:

– Przepraszam, co pan powiedział? Że wielu waszych gości jest teraz w kinie?

– Tak, tuż za rogiem jest kino. Dają późne seanse. Wielu gości wpada tam i ogląda film, żeby się odprężyć po ciężkim dniu. Film mógłby panu dobrze zrobić, podobnie jak koktajl albo coś na ciepło.

Na kontuarze zadzwonił telefon i recepcjonista, przeprosiwszy mnie grzecznie, podniósł słuchawkę. Zauważyłem, że słuchając, raz po raz posyłał w moją stronę zakłopotane spojrzenia.

– Tak, stoi obok, proszę pani – powiedział i podał mi słuchawkę.

– Halo? – zagadnąłem.

Przez kilka sekund nikt nie odpowiadał, aż odezwał się jakiś głos:

– To ja.

Dopiero po chwili domyśliłem się, że to Sophie. Zaraz też opanował mnie niepohamowany gniew na nią i tylko obecność Borisa powstrzymała mnie od wyrażenia mojej wściekłości na głos. W końcu powiedziałem lodowatym tonem:

– Ach, to ty.

Znów zapadło milczenie.

– Dzwonię sprzed hotelu – rzekła w końcu. – Z ulicy. Widziałam, jak wchodzisz z Borisem. Lepiej chyba, żeby mnie teraz nie oglądał. Już dawno powinien być w łóżku. Postaraj się nie dać mu poznać, że rozmawiasz ze mną.

Spojrzałem w dół na Borisa, który drzemał na stojąco, oparty o mnie.

– Co ty wyrabiasz? – zapytałem Sophie.

Westchnęła ciężko.

– Masz prawo się złościć. Ja... nie wiem, co się ze mną stało. Teraz widzę, jaka byłam niemądra.

– Posłuchaj – przerwałem jej, bojąc się, że za chwilę stracę nad sobą panowanie. – Gdzie dokładnie jesteś?

– Po drugiej stronie ulicy. Pod arkadami, przed antykwariatem.

– Zaraz tam będę. Nie ruszaj się z miejsca.

Oddałem słuchawkę recepcjoniście i z ulgą stwierdziłem, że Boris przespał całą rozmowę. W tym momencie otworzyły się drzwi windy i do holu wkroczył Gustav.

Liberia boya hotelowego rzeczywiście wyglądała nienagannie. Jego rzadkie, białe włosy były zmoczone i przyczesane. Tylko podpuchnięte oczy oraz pewna sztywność w ruchach świadczyły o tym, że przed chwilą został wyrwany z głębokiego snu.

– Dobry wieczór panu – powiedział, podchodząc.

– Dobry wieczór.

– Widzę, że przyprowadził pan Borisa. Bardzo uprzejmie z pana strony, że zadał pan sobie tyle trudu. – Gustav zrobił jeszcze w naszą stronę parę kroków, patrząc na wnuka z łagodnym uśmiechem. – Mój Boże, proszę tylko spojrzeć na niego. Zasnął na stojąco.

– Tak, bardzo się zmęczył.

– Kiedy śpi tak jak teraz, wydaje się taki mały. – Boy hotelowy jeszcze przez chwilę przyglądał się Borisowi z czułością. Potem podniósł oczy na mnie i powiedział: – Jestem ciekaw, czy miał pan okazję porozmawiać z Sophie. Cały dzień zastanawiałem się, jak panu poszło.

– No cóż, rozmawiałem z nią.

– Ach tak. I co, domyśla się pan?

– Czego?

– No, co ją gryzie.

– Cóż, podczas rozmowy wyjawiała mi to i owo... ale jeśli mam być szczery, wydaje mi się, że ktoś z zewnątrz, jak ja, ma raczej niewielkie szanse na to, żeby się w tych sprawach połapać, o czym zresztą już panu mówiłem. Naturalnie, nasunęły mi się pewne mgliste przypuszczenia co do możliwych przyczyn jej zatroskania, ale doprawdy, jestem szczerze przekonany, że byłoby najlepiej, gdyby sam pan z nią porozmawiał.

– Zdawało mi się, że wyjaśniłem już panu...

– Tak, tak, pamiętam, pan i Sophie nie rozmawiacie ze sobą bezpośrednio – powiedziałem w nagłym przystępie zniecierpliwienia. – Niemniej jednak, jeśli jest to dla pana sprawa dużej wagi...

– Jest to dla mnie sprawa najwyższej wagi. Tak jest, proszę pana, najwyższej. A to przez wzgląd na Borisa. Jeśli w najbliższym czasie nie uda nam się rozgryźć tej zagadki, Boris zacznie się poważnie niepokoić, to pewne. Już są wyraźne tego oznaki. A przecież jest on jeszcze taki mały, wystarczy na niego spojrzeć, żeby się o tym przekonać. Mamy obowiązek jeszcze przez jakiś czas chronić jego świat od podobnych zmartwień, nie sądzi pan? Powiedzenie, że jest to dla mnie sprawa dużej wagi, nie oddaje całej prawdy. Ostatnio prawie nieustannie zaprzęta to moje myśli, dniem i nocą. Ale widzi pan... – Przerwał na chwilę, wbijając w podłogę pozbawione wyrazu spojrzenie. Potrząsnął głową i westchnął. – Mówi pan, że sam powinienem porozmawiać z Sophie. Ale to nie takie proste, proszę pana. Musi pan poznać źródła obecnego stanu rzeczy. Widzi pan, między nami już od lat obowiązuje ta... ta niepisana umowa... Od jej lat dziecięcych. Oczywiście, kiedy była bardzo mała, wszystko wyglądało inaczej. Przez pierwszych osiem czy dziewięć lat jej życia rozmawialiśmy prawie bez przerwy. Opowiadałem jej różne historie, chodziliśmy razem na

spacery po Starym Mieście, tylko nas dwoje, cały czas ze sobą gadając. Proszę mnie źle nie zrozumieć, szczerze ją wtedy kochałem i wciąż ją Kocham. Tak, kiedy była mała, byliśmy sobie bardzo bliscy. Nasza umowa pojawiła się dopiero wtedy, gdy Sophie miała osiem lat. Zresztą początkowo nie przypuszczałem, że układ ten okaże się aż tak żywotny. Mówiłem sobie, że to kwestia paru dni. Tylko parę dni, taki był mój pierwotny zamysł. Pierwszego dnia, pamiętam, miałem wolne i wieszałem w kuchni półkę dla mojej żony. Sophie kręciła się przy mnie, pytając o to, proponując, że poda mi tamto, starając się mi pomóc. Ale ja zachowywałem milczenie, proszę pana, całkowite milczenie. Naturalnie, wkrótce ją to rozdrażniło, widziałem to. Skoro jednak podjąłem decyzję, musiałem się jej twardo trzymać. Nie było to łatwe. Boże mój, nie było to łatwe, kochałem ją ponad wszystko, powiedziałem sobie jednak, że muszę być nieugięty. Trzy dni, mówiłem sobie, wystarczą trzy dni, potem koniec. Tylko trzy dni, a potem wrócę z pracy, przytulę ją do siebie i wszystko sobie opowiemy. Nadrobimy stracony czas, by tak rzec. Pracowałem wówczas w hotelu Alba i, jak się pan pewnie domyśla, pod koniec trzeciego dnia nie mogłem się doczekać końca swojej zmiany, by móc wrócić do domu i znów zobaczyć moją małą Sophie. Proszę sobie wyobrazić moje rozżalenie, gdy po powrocie do domu Sophie nie wyszła, aby się ze mną przywitać, choć zawołałem ją po imieniu. Co więcej, kiedy ją w końcu odnalazłem, rozmyślnie odwróciła ode mnie wzrok i bez słowa wyszła z pokoju. Bardzo mnie to zabolowało, to chyba rozumiała. Możliwe też, że się trochę zezłościłem. Jak już wspomniałem, miałem za sobą niezwykle ciężki dzień i bardzo tęskniłem do chwili, gdy się z nią zobaczę. Powiedziałem sobie: jeśli chce się tak zachowywać, niech sama się przekona, do czego to prowadzi. Zjadłem więc kolację z żoną i położyłem się spać, ani słowem nie odezwawszy się do Sophie. O ile pamiętam, od tego się zaczęło. Dzień za dniem mijały i zanim się człowiek obejrzał, stało się to czymś zupełnie naturalnym. Proszę nie zrozumieć mnie opacznie, bynajmniej się nie kłóciliśmy, wszelkie animozje wkrótce wygasły. Właściwie nasze stosunki wyglądały tak jak teraz. Sophie i ja zachowaliśmy dla siebie wiele czułości, tyle że odtąd powstrzymywaliśmy się od mówienia. Przyznaję, nie przypuszczałem wtedy, że będzie to trwało tak długo. Zawsze miałem zamiar przy pierwszej sposobności, w jakimś szczególnym dniu, na przykład dniu jej urodzin, skończyć z tym wszystkim i wrócić do naszych wcześniejszych zwyczajów. Ale jej urodziny przychodziły i mijały, podobnie święta Bożego Narodzenia, i jakoś nigdy nie odnowiliśmy naszych dawnych stosunków. Kiedy skończyła jedenaście lat, wydarzyło się coś smutnego. Sophie miała wówczas małego, białego chomika. Wołała na niego Ulrich i była do niego bardzo przywiązana. Potrafiła godzinami do niego przemawiać, nosić go na rękach po całym mieszkaniu. Pewnego dnia stworzenie to nagle znikło. Sophie przeszukała każdy kąt.

Jej matka i ja także go szukaliśmy, pytaliśmy sąsiadów, ale na próżno. Moja żona starała się przekonać Sophie, że Ulrichowi nic nie grozi, że po prostu wybrał się na małą wycieczkę i niedługo wróci. Pewnego wieczoru moja żona gdzieś wyszła, a Sophie i ja zostaliśmy w domu sami. Byłem w sypialni, radio grało dość głośno... transmitowano jakiś koncert... gdy nagle usłyszałem dochodzący z salonu niepohamowany szloch Sophie. Prawie natychmiast domyśliłem się, że znalazła w końcu Ulricha lub raczej to, co z niego zostało, bo zginął parę tygodni wcześniej. Drzwi między sypialnią a salonem były zamknięte, radio zaś, jak już mówiłem, grało dość głośno, toteż było bardzo prawdopodobne, że mogłem jej nie usłyszeć. Tak więc pozostałem w sypialni, z uchem przy drzwiach, udając, że słucham koncertu. Oczywiście kilka razy zbierałem się, by do niej wejść, ale im dłużej stałem pod drzwiami, tym mniej stosowna wydawała mi się taka nagła interwencja. W końcu nie szlochała znów aż tak głośno. Usiadłem nawet na krótką chwilę, próbując udawać przed samym sobą, że nic nie zauważyłem. Jej szloch rozdzierał mi jednak serce. Wkrótce znów stanąłem pod drzwiami i nachyliłem się, starając się dosłyszeć poprzez muzykę głos Sophie. Powiedziałem sobie: jeśli mnie zawoła, jeśli do mnie zapuka albo mnie zawoła, wejdę. Tak postanowiłem. Jeśli zawoła „Tato!”, wejdę i powiem, że nie słyszałem jej wcześniej, gdyż muzyka była zbyt głośna. Czekałem, ale ani mnie nie zawołała, ani nie zapukała. Wstrząsana spazmami płaczu... mówię panu, moje serce ścisnęło się z żalu... krzyknęła jedynie, jak gdyby do siebie, podkreślając, jak gdyby do siebie: „Zostawiłam Ulricha w pudełku! To moja wina! Zapomniałam! To moja wina!”. Jak się później okazało, Sophie włożyła Ulricha do małego pudełka, zamierzając go zabrać na spacer; często gdzieś z nim wychodziła, żeby „pokazywać” mu różne rzeczy. Tak więc włożyła go do pudełka i już była gotowa do wyjścia, kiedy nagle coś odwróciło jej uwagę i nigdzie nie poszła, przy czym zapomniała, że Ulrich jest w pudełku. Parę tygodni później, tego wieczoru, o którym panu opowiadam, w środku jakiegoś zajęcia nagle sobie przypomniała. Może pan sobie wyobrazić, jaka to była straszna chwila dla mojej córeczki! Ta nagła świadomość i być może wątpliwa nadzieja, że to jednak nieprawda, kiedy podbiegała do pudełka... Oczywiście Ulrich był w środku. Nasłuchując pod drzwiami, nie mogłem jeszcze dokładnie wiedzieć, co się stało, ale domyśliłem się z grubsza, kiedy usłyszałem jej okrzyk: „Zostawiłam Ulricha w pudełku! To moja wina!”. Musi pan jednak zrozumieć, że mówiła jakby do siebie. Gdyby powiedziała „Tato, chodź tu, proszę...”. Ale nie. Mimo to pomyślałem sobie: „Jeśli zawoła jeszcze raz, wejdę”. Ale nie zawołała. Szlochała dalej. Oczyma wyobraźni widziałem, jak trzyma Ulricha w palcach, być może mając nadzieję, że uda się go jeszcze uratować... O nie, nie było mi łatwo. Za moimi plecami wciąż rozbrzmiewał koncert, a ja, widzi pan, zostałem w sypialni. A potem do sypialni weszła

moja żona i powiedziała mi, co się stało. „Nic nie słyszałeś?”, zapytała, a ja odparłem: „Nic, kochanie, słuchałem koncertu”. Następnego ranka przy śniadaniu Sophie nie odezwała się do mnie słowem, ani ja do niej. Krótko mówiąc, wciąż trzymaliśmy się naszej umowy. Sophie jednak wiedziała, że podsłuchiwałem; co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. A co więcej, nie miała mi tego za złe. Jak zwykle podała mi dzbanek z mlekiem, masło, a nawet wyświadczyła mi dodatkową uprzejmość, odnosząc mój talerz do kuchni. Chcę przez to powiedzieć, że Sophie rozumiała naszą umowę i respektowała ją. Jak można się domyślać, po tym wydarzeniu nasze nieme stosunki się utrwały. Skoro nie zerwaliśmy porozumienia w związku ze sprawą Ulricha, nie wypadało tego robić z jakiegoś błahszego powodu. Doprawdy, złamanie umowy pewnego dnia przy pierwszej lepszej okazji nie tylko wyglądałoby dziwnie, ale też umniejszałoby tragedię, jaką w oczach mojej córki był wypadek Ulricha. Mam nadzieję, że pan to rozumie. W każdym razie, jak już mówiłem, nasza umowa zyskała mocne podstawy i nawet w obecnych okolicznościach nie wydaje mi się, że należałoby nagle zerwać to wieloletnie porozumienie. Jestem przekonany, że Sophie miałaby na ten temat podobne zdanie. Dlatego właśnie pozwoliłem sobie poprosić pana o tę szczególną przysługę, tym bardziej że dziś po południu szedł pan akurat w tamtym kierunku...

– Tak, tak, tak – odezwałem się, czując nawrót zniecierpliwienia. – Rozumiem i szanuję charakter stosunków, jakie łączą pana z córką – powiedziałem już łagodniej. – Zastanawia mnie jednak ta wasza umowa. Może to właśnie ona jest źródłem zmartwień pańskiej córki? Może o niej właśnie myślała, kiedy ujrzał ją pan samotną i przygnębianą w kawiarence?

Uwaga ta wprowadziła Gustava w osłupienie, tak że przez chwilę w ogóle się nie odzywał. W końcu rzekł:

– Nigdy nie przyszło mi to na myśl, proszę pana. Będę musiał to przemyśleć. Przyznam, że nigdy o tym nie pomyślałem. – Znowu na chwilę umilkł, zakłopotany. Podniósł oczy. – Dlaczego jednak miałaby się martwić o naszą umowę właśnie teraz? Po tylu latach? – Powoli pokręcił głową. – Pozwoli pan, że o coś spytam? Czy to wniosek, który nasunął się panu po rozmowie z nią?

Nagle poczułem ogromne znużenie i zapragnąłem się uwolnić od całej tej sprawy.

– Nie wiem, nie wiem – powiedziałem. – Wciąż powtarzam, że sprawy rodzinne... Jestem tylko kimś z zewnątrz. Jak mogę osądzać? Po prostu wymieniam jedną z możliwości.

– Będę się musiał nad tym zastanowić. Dla dobra Borisa gotów jestem rozważyć każdą możliwość. Tak, muszę się nad tym zastanowić. – Ponownie umilkł z zatroskaną miną.

– Nie wiem, czy wypada mi prosić pana o wyświadczenie jeszcze jednej przysługi. Czy kiedy następnym razem spotka się pan z Sophie, byłby pan uprzejmy to sprawdzić? Normalnie nie prosiłbym o coś takiego, ale widzi pan, robię to z myślą o Borisie. Byłbym panu niezmiernie wdzięczny.

Popatrzył na mnie błagalnym wzrokiem. Westchnąłem i powiedziałem:

– Zgodę. Zrobię to ze względu na Borisa. Ale powtarzam, że dla kogoś z zewnątrz...

W tym momencie Boris się przebudził, być może na dźwięk swojego imienia.

– Dziadek! – wykrzyknął i przywracając mi wolność ruchów, rzucił się w stronę Gustava z wyraźnym zamiarem uściskania go. W ostatniej chwili jednak się opamiętał i tylko wyciągnął do niego rękę. – Dobry wieczór, dziadku – powiedział ze spokojną godnością.

– Dobry wieczór, Boris. – Gustav poklepał go łagodnie po głowie. – Miło znów cię widzieć. Jaki miałeś dzień?

Boris wzruszył niedbale ramionami.

– Trochę męczący. Taki jak zwykle.

Objąwszy wnuka ramieniem, boy hotelowy podszedł do kontuaru recepcji. Przez dobrą chwilę on i recepcjonista rozmawiali przyciszonymi głosami, posługując się przy tym hotelowym żargonem. W końcu obaj skinęli głowami na znak zgody i recepcjonista wręczył nam klucz.

– Proszę za mną – powiedział Gustav. – Pokażę panu pokój Borisa.

– Prawdę mówiąc, czeka mnie jeszcze jedno ważne spotkanie.

– O tej porze? Prowadzi pan bardzo intensywny tryb życia. Cóż, w takim razie sam zaprowadzę Borisa na górę i pomogę mu się urządzić.

– Doskonale. Będę wielce zobowiązany.

Odprowadziłem ich do windy i nim zatrzasnęły się za nimi drzwi, pomachałem im jeszcze na pożegnanie. Nagle znów uderzyła we mnie fala frustracji i gniewu, którą dotąd jakoś hamowałem. Nie odezwawszy się słowem do recepcjonisty, przeszedłem przez hol i znów zanurzyłem się w noc.

## Rozdział 8

Na dworze było cicho i pusto. Dopiero po chwili zauważyłem po drugiej stronie ulicy – nieco z boku – kamienne arkady, o których wspomniała Sophie. Po drodze zastanawiałem się, czy przypadkiem nie straciła odwagi i nie uciekła. Ale zaraz potem zobaczyłem, jak wynurza się z cienia, i wściekłość wezbrała we mnie na nowo.

Jej mina nie była tak skruszona, jak można by się spodziewać. Przyglądała mi się uważnie, a kiedy do niej podszedłem, powiedziała niemal wyzywająco:

– Masz prawo się złościć. Nie wiem, co mi się stało. Chyba się pogubiłam. Masz prawo się złościć, wiem.

Rzuciłem jej niedbałe spojrzenie.

– Złościć się? Ach tak, mówisz o swoim wcześniejszym zachowaniu. Cóż, muszę przyznać, że było mi żal Borisa. Naturalnie bardzo się denerwowałem. Ale jeśli o mnie chodzi, szczerze powiedziawszy, nie zaprzętałem sobie tym zbyt głowę. Mam tyle innych spraw.

– Nie wiem, jak do tego doszło. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo na mnie polegałeś...

– Nigdy na tobie nie polegałem. Myślę, że powinnaś się nieco uspokoić. – Zaśmiałem się i wolno ruszyłem przed siebie. – Jeśli o mnie chodzi, nie ma to większego znaczenia. Zawsze byłem gotów wykonywać swoje zadania z twoją pomocą albo bez niej. Po prostu żał mi Borisa, to wszystko.

– Dopiero teraz zrozumiałam, jaka byłam niemądra. – Sophie zrównała się ze mną. – Nie wiem, pewnie myślałam, że ty i Boris... musisz spojrzeć na to od mojej strony... że ty i Boris się ociągacie i być może nie zależy wam aż tak bardzo na tym, co zaplanowałam na ten wieczór, i sądziłam, że pewnie i tak zbozycie z drogi... Słuchaj, jeśli chcesz, wszystko ci opowiem. Wszystko, co chcesz wiedzieć. Każdy szczegół...

Zatrzymałem się i odwróciłem do niej.

– Chyba nie wyraziłem się dość jasno. Wcale mnie to nie obchodzi. Wyszedłem z hotelu tylko dlatego, że chciałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i nieco się odprężyć. Miałem ciężki dzień. Dokładniej mówiąc, wyszedłem, bo przed snem chciałem obejrzeć film.

– Film? Jaki film?

– Skąd mam wiedzieć jaki? Jakiś nocny. Tu niedaleko jest kino. Obejrzę to, co dadzą. Miałem bardzo ciężki dzień.

Znowu ruszyłem przed siebie, tym razem bardziej zdecydowanym krokiem. Ku mojej satysfakcji po chwili usłyszałem za sobą jej kroki.

– Naprawdę się nie gniewasz? – zapytała, dogoniwszy mnie.

– Oczywiście, że się nie gniewam. Niby z jakiego powodu?

– Czy mogę iść z tobą? Na ten film?

Wzruszyłem ramionami i szedłem dalej, nie zwalniając kroku.

– Proszę bardzo. Jeśli tylko masz na to ochotę.

Sophie chwyciła mnie pod ramię.

– Jeśli chcesz, wszystko ci wyznam, wszystko powiem. Co tylko chcesz wiedzieć o...

– Ile razy mam powtarzać? W ogóle mnie to nie interesuje. Teraz chcę się odprężyć, nic więcej. Przez kilka najbliższych dni czeka mnie ogromnie dużo pracy. – Wciąż trzymała mnie pod ramię i przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Jesteś taki dobry – wyszeptwała. – Taki wyrozumiały.

Nic na to nie odpowiedziałem. Po jakimś czasie zeszliśmy z chodnika i spacerowaliśmy środkiem pustej ulicy.

– Kiedy już znajdzie dla nas odpowiedni dom – rzekła w końcu – wszystko zacznie się lepiej układać. Musi. Ten, który mam obejrzeć jutro rano... naprawdę wiąże z nim wielkie nadzieje. Wygląda na to, że szukaliśmy właśnie czegoś takiego.

– Tak, miejmy nadzieję.

– Mógłbyś okazać więcej zainteresowania. Być może będzie to dla nas moment przełomowy.

Wzruszyłem ramionami i szedłem dalej. W pewnej odległości przed nami widać było kino, które – jako jedyny oświetlony budynek na ciemnej ulicy – rzucało się w oczy. Kiedy podeszliśmy bliżej, Sophie westchnęła i się zatrzymała.

– Chyba nie wejść do środka – powiedziała, puszczając moje ramię. – Potrzebuję dużo czasu, żeby obejrzeć jutro ten dom. Muszę jechać jak najwcześniej.

Nie wiadomo dlaczego jej słowa zupełnie mnie zaskoczyły, tak że przez chwilę nie byłem pewien, jak zareagować. Spojrzałem w stronę kina, potem z powrotem na Sophie.

– Mówiłaś przecież, że chcesz... – zacząłem i urwałem, po czym powiedziałem spokojniejszym tonem: – To bardzo dobry film. Na pewno ci się spodoba.

– Przecież nawet nie wiesz jaki to film.

Przemknęło mi przez myśl, że Sophie prowadzi ze mną jakąś grę. Mimo to zaczęła mnie ogarniać dziwna panika i nie udało mi się uniknąć błagalnego tonu w głosie:

– Wiesz, co miałem na myśli. Poleciał mi go. Wiem, że na jego zdaniu można polegać.

A i hotel musi dbać o reputację. Nie polecałby przecież... – Przerwałem, gdy Sophie zaczęła się oddalać, czując, że moja panika rośnie. – Posłuchaj! – powiedziałem podniesionym głosem, nie dbając o to, że ktoś może mnie usłyszeć. – Wiem, że to będzie dobry film. Już tak dawno nie byliśmy w kinie. Sama powiedz. Kiedy ostatnio byliśmy gdzieś razem?

Zdawało się, że Sophie się nad tym zastanawia. W końcu uśmiechnęła się i ruszyła z powrotem w moim kierunku.

– Dobrze – zgodziła się, biorąc mnie delikatnie za rękę. – Dobrze. Późno już, ale wejść z tobą. Masz rację, wieki całe nie byliśmy nigdzie razem. Ten wieczór spędzimy naprawdę miło.

Poczułem ogromną ulgę i kiedy wchodziliśmy do kina, powstrzymałem się z całych sił, by jej nie przygarnąć do siebie. Sophie musiała coś wyczuć, bo wtuliła głowę w moje ramię.

– Jesteś taki dobry – powiedziała miękko – nawet się na mnie nie gniewasz.

– Za co miałbym się gniewać? – wymamrotałem, rozglądając się po foyer.

Parę metrów przed nami do sali kinowej wchodziła ostatnia osoba z kolejki. Rozejrzałem się za biletami, ale kasa była zamknięta. Przyszło mi na myśl, że być może między hotelem a kinem istnieje jakaś specjalna umowa. W każdym razie kiedy dołączyliśmy do kolejki, stojący przy wejściu mężczyzna w zielonym garniturze uśmiechnął się do nas i wprowadził nas do środka razem z innymi.

Widownia była prawie pełna. Nie wygaszono jeszcze świateł i wiele osób kręciło się w poszukiwaniu swoich miejsc. Próbowałem wypatrzeć jakieś wolne fotele dla nas dwojga, gdy nagle Sophie ścisnęła mnie za rękę.

– Kupmy sobie coś – odezwała się podekscytowanym głosem. – Lody albo prażoną kukurydzę, albo coś innego.

Palcem wskazywała na przód widowni, gdzie przed trzymającą tacę ze słodyczami kobietą w uniformie ustawiła się krótka kolejka.

– Czemu nie – powiedziałem. – Ale lepiej się pospieszmy, bo zabraknie dla nas miejsc. Strasznie dużo ludzi.

Przeszliśmy do przodu i stanęliśmy w kolejce. Po chwili znów wezbrała we mnie poprzednia złość, aż musiałem całkowicie odwrócić się od Sophie. Nagle usłyszałem, jak mówi zza moich pleców:

– Muszę ci coś wyznać. Tak naprawdę nie przyszedłam do hotelu, żeby cię znaleźć. Nie wiedziałam nawet, że się tam zjawisz.

– Naprawdę? – Nachyliłem się w stronę tacy i z udawaną obojętnością przyglądałem

się słodyczom.

– Po tym, co się stało – ciągnęła Sophie – to znaczy kiedy zdałam sobie sprawę, jak niemądrze się zachowałam, nie wiedziałam, co robić. A później przypomniał mi się nagle zimowy płaszcz taty. Przypomniałam sobie, że jeszcze mu go nie dałam.

Usłyszałem jakiś szelest. Odwróciłem się i dopiero teraz zauważyłem, że Sophie trzyma w jednej ręce duży, bezkształtny pakunek, owinięty w szary papier. Podniosła go, ale widocznie był dosyć ciężki, gdyż zaraz opuściła.

– To nie był najlepszy pomysł – powiedziała. – Nie było powodu do paniki. Ale nagle wydało mi się, że czuję w powietrzu powiew zimy. Wtedy przypomniałam sobie o tym płaszczu i postanowiłam, że mu go zaniosę bez dalszej zwłoki. Zapakowałam go więc i wyszłam z domu. Ale potem dotarłam do hotelu, a wieczór był taki ciepły. Uświadomiłam sobie, że moje obawy były nieuzasadnione, i nie wiedziałam, czy powinnam wejść do środka i dać mu go dzisiaj, czy nie. Stałam więc przed wejściem do hotelu, a tymczasem robiło się coraz później, aż w końcu zdałam sobie sprawę, że tato poszedł już pewnie spać. Wpadłam na pomysł, żeby zostawić płaszcz w recepcji, ale potem przyszło mi na myśl, że chcę mu go dać sama. W końcu jednak doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę z tym poczekać kilka tygodni, bo przecież jest jeszcze dosyć ciepło. Wtedy właśnie zajechał samochód, z którego wysiadłeś z Borisem. Tak to było.

– Rozumiem.

– Nie wiem, czy w innej sytuacji miałabym odwagę spojrzeć ci w oczy. Ale skoro byłam już tak blisko, po drugiej stronie ulicy, wzięłam głęboki wdech i zadzwoniłam.

– Cieszę się, że to zrobiłaś. – Zakreśliłem ręką łuk dokoła nas. – Ostatecznie już dawno nie byliśmy razem w kinie, tak jak teraz.

Nie odpowiedziała, a gdy na nią spojrzałem, z czułością wpatrywała się w swój pakunek. Poklepała go wolną ręką.

– Do zimy zostało jeszcze trochę czasu – wymamrotała, tyle do płaszcza, ile do mnie.  
– Nie ma się co spieszyć. Możemy mu go dać za parę tygodni.

Znaleźliśmy się na czele kolejki i Sophie postąpiła naprzód, by utkwic łakomy wzrok w tacy, którą kobieta w uniformie trzymała przed sobą.

– Co bierzemy? – zapytała. – Chyba mam ochotę na loda w rożku. Albo nie, wolę mrożoną czekoladę. To albo to.

Zaglądając jej przez ramię, zobaczyłem, że na tacy leżą zwykle w takich wypadkach lody i czekoladki. Ale, co ciekawe, wszystkie one były zsunięte bezładnie na brzeg tacki, na honorowym miejscu leżała zaś niemiłosiernie zniszczona książka.

– To bardzo użyteczny podręcznik, proszę pana – powiedziała z przekonaniem kobieta w uniformie. – Szczerze go polecam. Właściwie nie powinnam go tu wystawiać, ale szef od czasu do czasu pozwala nam sprzedać jakiś zbędny drobiazg, jeżeli nie robimy tego zbyt często.

Na okładce widniało zdjęcie uśmiechniętego mężczyzny w roboczym drelichu, stojącego na drabinie z pędzlem w ręku i rolką tapety pod pachą. Kiedy ją podniosłem, poczułem, że okładka zaczyna się właśnie odklejać.

– Kiedyś należała do mojego starszego syna – ciągnęła kobieta w uniformie. – Ale teraz jest już dorosły i mieszka w Szwecji. W ubiegłym tygodniu porządkowałam jego rzeczy. Zatrzymałam wszystko, co moim zdaniem ma jakąś wartość emocjonalną, resztę wyrzuciłam. Ale jedna albo dwie rzeczy nie mieściły się w żadnej z tych dwu kategorii. Trudno powiedzieć, że ten stary podręcznik ma jakąkolwiek wartość uczuciową, ale to taka użyteczna książka, uczy tylu praktycznych umiejętności: tapetowania, kładzenia kafelków. Zawiera szczegółowe instrukcje i bardzo przejrzyste ilustracje. Pamiętam, że syn wiele z niej skorzystał w okresie dorastania. Dobrze wiem, że nie jest w najlepszym stanie, ale to naprawdę bardzo użyteczna książka. Nie żądam za nią zbyt wiele.

– Może spodobałaby się Borisowi – powiedziałem do Sophie, przerzucając strony.

– Jeśli ma pan dorastającego syna, byłby to dla niego idealny prezent. Mogę pana zapewnić na podstawie naszego doświadczenia. Nasz syn wiele z niej skorzystał, kiedy był w tym wieku. Malowanie, kładzenie kafelków... naprawdę uczy wszystkiego.

Światła zaczęły przygasać i przypomniałem sobie, że musimy jeszcze znaleźć miejsca.

– Dobrze, biorę – powiedziałem.

Kiedy płaciłem, kobieta dziękowała mi wylewnie, po czym odeszliśmy od niej z książką i lodami.

– Miło z twojej strony, że pamiętasz o Borisie – odezwała się Sophie, kiedy przechodziliśmy między rzędami foteli. Znowu podniosła szeleszczącą paczkę i przytuliła ją do piersi. – Pomyśleć tylko, że całą ubiegłą zimę tato przechodził bez odpowiedniego płaszcza. Lecz był zbyt dumny, żeby nosić stary. Rok temu zima była dość łagodna, więc nie miało to większego znaczenia. Ale nie może chodzić bez płaszcza całą następną zimę.

– Z całą pewnością nie powinien.

– Mam trzeźwe podejście do sprawy. Wiem, że tato się starzeje. Trochę się nad tym ostatnio zastanawiałam. Na przykład nad zbliżającą się emeryturą. Starzeje się i należy się z tym liczyć. – Potem dodała cicho: – Dam mu go za parę tygodni. Chyba wystarczy.

Światła przygasły jeszcze bardziej i na sali zapanowała pełna wyczekiwania cisza.

Zauważyłem, że ludzi na widowni wyraźnie przybyło, i zacząłem się obawiać, że jest już zbyt późno, byśmy znaleźli wolne miejsca. Ale kiedy ogarnęła nas ciemność, podszedł do nas bileter z latarką i wskazał mi dwa fotele w jednym z przednich rzędów. Mamrocząc jakieś przeprosiny, precyzyjnie się do nich i usiedliśmy w chwili, gdy zaczynały się reklamy.

Większość reklamówek dotyczyła lokalnych firm i zdawało się, że nie mają końca. Zanim rozpoczął się seans, upłynęło co najmniej pół godziny. Z ulgą stwierdziłem, że puszczają klasykę science fiction, *2001: Odyseja kosmiczna* – mój ulubiony film, który mogę oglądać nieskończenie wiele razy bez znużenia. Już przy pierwszych, pamiętnych scenach przedstawiających świat prehistoryczny poczułem, jak ogarnia mnie fala odprężenia, i po chwili film pochłonął mnie całkowicie. Kiedy akcja filmu rozwinęła się na dobre – Clint Eastwood i Yul Brynner lecieli na pokładzie statku kosmicznego w stronę Jowisza – usłyszałem obok siebie głos Sophie:

– Ale pogoda może się zmienić. Ot tak, całkiem zniecka.

Myślałem, że jej uwaga dotyczy filmu, i w odpowiedzi wymamrotałem coś przytakująco. Ale po kilku minutach dodała:

– W ubiegłym roku jesień też była ciepła i słoneczna, zupełnie tak jak teraz. Końca nie było widać. Jeszcze w październiku ludzie wysiadali na świeżym powietrzu, pijąc kawę. A potem nagle, niemalże z dnia na dzień, zrobiło się bardzo zimno. W tym roku może być podobnie. Nigdy nic nie wiadomo, prawda?

– Masz rację, tego nie można przewidzieć. – Oczywiście, zdążyłem się już domyślić, że znów mówi o płaszczu.

– Ale to nie taka pilna sprawa – wymamrotała.

Kiedy zerknąłem na nią ponownie, zdawało się, że znów śledzi akcję filmu. Ja również zwróciłem się w stronę ekranu, ale po kilku sekundach moją uwagę zaczęły rozpraszać różne oderwane wspomnienia, czemu sprzyjał panujący na sali mrok.

Przypomniałem sobie dość wyraźnie, jak pewnego razu siedziałem w niewygodnym, być może brudnym fotelu. Prawdopodobnie był ranek, szary i nieciekawym, przed sobą trzymałem gazetę. Opodal na dywanie leżał na brzuchu Boris, rysując coś kredką świecową w szkicowniku. Z wieku chłopca – był jeszcze wtedy bardzo mały – wywnioskowałem, że wspomnienie to pochodzi sprzed sześciu czy siedmiu lat, nie mogłem sobie jednak przypomnieć, w jakim pokoju i w jakim domu się znajdowaliśmy. Drzwi do sąsiedniego pokoju były uchylone i dochodziła zza nich paplanina kilku kobiecych głosów.

Przez dłuższą chwilę czytałem gazetę w niewygodnym fotelu, dopóki jakaś dyskretna zmiana w zachowaniu lub postawie Borisa nie kazała mi na niego spojrzeć. W mgnieniu oka

zrozumiałem, o co chodzi. Na kartce z bloku Boris narysował podobiznę Supermana. Próbował tego dokonać od wielu tygodni, ale pomimo naszej zachęty ani razu nie stworzył czegoś, co choć trochę przypominałoby Supermana. Teraz jednak szczęśliwy traf w połączeniu z nagłym przebłyskiem inwencji, tak częstym u dzieci, sprawił, że mu się udało. Szkic nie był jeszcze ukończony – brakowało ust i oczu – ale i tak od razu stało się dla mnie jasne, że rozpiera go uczucie triumfu. Już miałem się do niego odezwać, gdy zauważyłem, że w wielkim skupieniu nachyla się nad rysunkiem, trzymając w ręku kredkę. Rozważał – jak się domyśliłem – czy uzupełnić rysunek, ryzykując, że go zepsuje. Bardzo wyraźnie odczułem ten jego dylemat i kusilo mnie, żeby powiedzieć na głos: „Borisie, przestań na tym, co masz. Wystarczy. Przestań rysować i pokaż wszystkim, co udało ci się osiągnąć. Najpierw pokaż to mnie, następnie mamie, a potem wszystkim pozostałym osobom w tamtym pokoju. I co z tego, że nie jest skończony? Wszyscy będą zaskoczeni i pełni podziwu. Zatrzymaj się, nim wszystko stracisz”. Ale nie odezwałem się i tylko przyglądałem mu się zza płachty gazety. W końcu Boris podjął decyzję i zaczął bardzo ostrożnie dorysowywać brakujące części. Coraz pewniejszy siebie pochylił się nad rysunkiem i zaczął się posługiwać kredką cokolwiek nierozważnie. Po chwili nagle znieruchomiał i w milczeniu przyjrzał się rysunkowi.

Później z rosnącym bólem serca obserwowałem, jak próbuje poprawić rysunek, nakładając coraz grubsza warstwę kredki. W końcu z posępną miną cisnął ją na papier i bez słowa wyszedł z pokoju.

Całe to zdarzenie poruszyło mnie do głębi i zanim zdołałem się pozbierać, usłyszałem obok siebie głos Sophie:

– Nie masz pojęcia, co?

Opuściłem gazetę zaskoczony goryczą, z jaką to powiedziała. Stała obok i przypatrywała mi się.

– Nie masz pojęcia, co czułam po tym wszystkim. Ale tobie to nie grozi. Wystarczy popatrzeć, jak czytasz tę swoją gazetę. – Zniżyła głos, nadając mu jeszcze większą siłę wyrazu: – To o to ci chodzi! Że nie jest twoim synem. Cokolwiek byś mówił, chodzi ci o to. Nigdy nie będziesz go darzył takim uczuciem jak prawdziwy ojciec. Spójrz na siebie! Nie masz pojęcia, co ja wtedy czułam.

Po tych słowach odwróciła się i wyszła z pokoju.

W pierwszej chwili chciałem pójść za nią do sąsiedniego pokoju, goście nie goście, i przyprowadzić z powrotem, żeby porozmawiać. Ostatecznie jednak postanowiłem czekać na jej powrót tam, gdzie byłem. I rzeczywiście, po kilku minutach Sophie weszła do pokoju, coś

jednak w jej zachowaniu powstrzymało mnie od nawiązania rozmowy i po chwili znowu wyszła. Choć w ciągu następnych dwóch kwadransów wchodziła do pokoju i wychodziła zeń jeszcze kilka razy, pomimo szczerej chęci wyjawienia jej swoich uczuć cały czas milczałem. W pewnym momencie zorientowałem się, że jest już za późno na jakąkolwiek próbę podjęcia tematu bez narażenia się na śmieszność, toteż wróciłem do lektury gazety, czując w sercu rozgoryczenie i zawód.

– Przepraszam – usłyszałem teraz za sobą czyjś głos i jednocześnie poczułem, że ktoś dotyka mojego ramienia. Odwróciłem się i zobaczyłem, że jakiś siedzący w rzędzie za mną mężczyzna nachyla się i uważnie mi się przygląda.

– Ależ to pan Ryder, prawda? Wielkie nieba, to naprawdę pan. Proszę mi wybaczyć, siedzę tu już tyle czasu i dotąd nie poznałem pana w tym półmroku. Jestem Karl Pedersen. Myślałem, że będę miał przyjemność poznać pana dziś na porannym przyjęciu, ale oczywiście nieprzewidziane okoliczności nie pozwoliły panu w nim uczestniczyć. Cóż za szczęśliwy traf, że się tutaj spotykamy.

Mężczyzna miał białe włosy, okulary i dobronuszną twarz. Poprawiłem się na swoim miejscu, żeby go lepiej widzieć.

– Ach tak, pan Pedersen. Miło mi pana poznać. Jak pan zauważył, rano nie wszystko ułożyło się po naszej myśli. Ja również chciałem się spotkać z... z wami wszystkimi.

– Tak się składa, że na sali znajduje się jeszcze kilku innych radnych tego miasta. Wszyscy oni bardzo żalowali, że tego ranka nie mogli się z panem spotkać. – Rozejrzał się w mroku. – Gdyby udało mi się ustalić, gdzie siedzą, przedstawiłbym pana przynajmniej jednemu albo dwu z nich. – Wykręcił szyję o sto osiemdziesiąt stopni i wbił wzrok w tylne rzędy. – Niestety, nikogo w tej chwili nie widzę.

– Oczywiście, chętnie poznam pańskich kolegów. Ale jest już dość późno i jeśli film im się podoba, może lepiej to przełożyć. Na pewno nadarzy się jeszcze wiele okazji.

– W tej chwili nikogo nie widzę – oznajmił mężczyzna, patrząc z powrotem na mnie. – Szkoda. Wiem, że są gdzieś na widowni. W każdym razie jako członek rady miejskiej pragnę pana zapewnić, że pańską wizytę poczytujemy sobie za wielki zaszczyt.

– Dziękuję za miłe słowa.

– Z tego, co wiem, dziś po południu pan Brodsky znacznie posunął pracę naprzód. Próba w sali koncertowej trwała bite trzy godziny...

– Tak, słyszałem. To świetnie.

– Jestem ciekaw, czy zdążył pan już obejrzeć naszą salę koncertową.

– Salę koncertową? Niestety, nie. Dotychczas nie miałem jeszcze okazji...

– To rozumiałe, po tak długiej podróży... Cóż, ma pan jeszcze mnóstwo czasu. Jestem pewien, że nasza sala koncertowa zrobi na panu duże wrażenie. To naprawdę piękna, zabytkowa budowla i jeśli jest w tym mieście coś, czemu pozwoliliśmy zniszczyć, to na pewno nikt nie może nam zarzucić, że zaniedbaliśmy naszą salę koncertową. Piękna, zabytkowa budowla, a przy tym bardzo korzystnie położona: w parku Liebmanna. Sam pan zobaczy. Miła przechadzka wśród drzew, potem polana, a zaraz za nią gmach filharmonii. Sam pan zobaczy. Wymarzone miejsce na zgromadzenia, z dala od ulicznego zgiełku. Pamiętam, że kiedy byłem mały, istniała orkiestra miejska i w pierwszą niedzielę każdego miesiąca wszyscy gromadzili się na tej polanie na długo przed koncertem. Pamiętam, jak ludzie przybywali całymi rodzinami, wszyscy odświętnie ubrani. Było ich coraz więcej, wychodzili spomiędzy drzew, wymieniając pozdrowienia. A my, dzieciaki, biegaliśmy po całej polanie. Jesienią mieliśmy pewną grę, specjalną grę. Z wielkim zapałem zbieraliśmy z ziemi opadłe liście, żeby zanosić je pod szopę ogrodnika i układać w stertę przy jednej ze ścian. W ścianie szopy, mniej więcej na tej wysokości, znajdowała się deska z płamą. Umawialiśmy się, że musimy zebrać wystarczająco dużo liści, żeby sterta dosięgła tej płamy, zanim dorośli zaczną wchodzić do budynku. Jeśli nie, miasto miało rozlecieć się na milion kawałków albo coś w tym rodzaju. Tak więc biegaliśmy tam i z powrotem, niosąc całe sterty mokrych liści! W moim wieku łatwo o idealizowanie przeszłości, panie Ryder, ale z całą pewnością kiedyś była to bardzo szczęśliwa społeczność. Żyły tu liczne, szczęśliwe rodziny, tworzyły się prawdziwe, trwałe przyjaźnie. Ludzie odnosili się do siebie z sympatią i życzliwością. Kiedyś mieliśmy tu wspaniałą społeczność. Przez długie, długie lata. Wkrótce skończę siedemdziesiąt sześć lat, mogę więc pana zapewnić, że tak właśnie było.

Pedersen umilkł na chwilę. Trwał w tej samej, pochylonej pozycji, z ręką na moim fotelu, i kiedy mu się przyjrzałem, zauważyłem, że nie patrzy na ekran, lecz błędzi wzrokiem gdzieś daleko. Tymczasem zbliżaliśmy się do tej części filmu, w której astronauta zaczyna się domyślać zamiarów HAL-a, komputera kontrolującego każdy aspekt życia załogi. Clint Eastwood przemierzał klaustrofobiczne korytarze z zaciętą miną i długim karabinem. Już, już zaczynało mnie to na powrót wciągać, kiedy znów odezwał się Pedersen:

– Będę z panem szczery. Mimo wszystko jest mi go trochę żal. Mam na myśli pana Christoffa. Tak, choć może się to panu wydać dziwne, żal mi go. To samo powiedziałem moim kolegom, którzy pomyśleli sobie: „No tak, staruszek się rozkleja, jak można żałować tego szarlatana?”. Ale widzi pan, ja pamiętam jego historię lepiej niż większość z nich. Pamiętam, co się wydarzyło, kiedy pan Christoff po raz pierwszy zawitał do tego miasta. Naturalnie, moje oburzenie na niego jest nie mniejsze niż moich kolegów. Ale widzi pan, ja

doskonale wiem, że na początku, na samym początku, pan Christoff wcale nie pchał się do przodu. O, nie, to raczej my go popychaliśmy. „My”, czyli ludzie wpływowi, tak jak ja, nie przeczę. Wystawialiśmy go, schlebialiśmy mu, dawaliśmy do zrozumienia, że oczekujemy od niego inicjatywy i zachęty. Przynajmniej część odpowiedzialności za to, co się stało, spoczywa na nas. Być może moi młodszy koledzy nie interesowali się jeszcze wówczas tymi sprawami i pana Christoffa znają wyłącznie jako tę ważną osobistość, wokół której wszystko się obraca. Zapominają, że pan Christoff nigdy się o tę pozycję nie prosił. O tak, dobrze pamiętam przyjazd pana Christoffa do miasta. Był wtedy dość młodym człowiekiem, niezależnym, bezpretensjonalnym, rzekłbym nawet: skromnym. Gdyby nie nasze wysiłki, żeby mu dodać otuchy, na pewno bez oporów wtopiłby się w społeczność miasta, dając od czasu do czasu mały recital na prywatnych przyjęciach, nic więcej. Ale pech chciał, że trafił na bardzo szczególny czas, panie Ryder. Kiedy pojawił się w naszym mieście, w życiu miejscowej społeczności wytworzyła się akurat swego rodzaju próżnia. Pan Hemd, malarz, i pan Voller, wybitny kompozytor, którzy przez tyle lat przewodzili życiu kulturalnemu miasta, zmarli w odstępie kilku miesięcy i do naszych serc zakradło się uczucie... uczucie niepewności. Wszyscy odczuwaliśmy żal po stracie dwóch tak wybitnych osobistości, lecz, jak sądzę, jednocześnie każdy czuł, że oto nadarza się okazja, aby coś zmienić, sięgnąć po coś nowego i świeżego. Choć wszyscy byliśmy ogromnie wdzięczni tamtym dwu panom za ich wieloletnią działalność, nieuchronnie narosły również pewne pretensje. Może więc pan sobie wyobrazić nasze poruszenie, gdy się dowiedzieliśmy, że jeden z gości pani Roth jest profesjonalnym wiolonczelistą, i to nie byle jakim, skoro występował z Goteborską Orkiestrą Symfoniczną i kilka razy współpracował z samym Kazimierzem Studzińskim. Pamiętam, że osobiście brałem udział w uroczystym powitaniu pana Christoffa. Pamiętam też, jaki był z początku skromny. Z perspektywy lat rzekłbym nawet, że brakowało mu pewności siebie. Najprawdopodobniej zanim tu przybył, nie był wolny od pewnych zahamowań. My jednak robiliśmy wokół niego wiele hałasu, bezustannie prosiliśmy go o opinię na każdy temat; tak, od tego się zaczęło. Pamiętam, że sam go namawiałem na pierwszy recital. Opierał się. Według wstępnych ustaleń recital ów miał się odbyć w kameralnym gronie w domu hrabiny. Dopiero na dwa dni przed występem, kiedy stało się jasne, jak wiele osób pragnie się nań dostać, hrabina zmuszona była przenieść koncert do Galerii Holtmanna. Od tamtej pory każdy następny recital pana Christoffa... domagaliśmy się przynajmniej jednego na pół roku... odbywał się w sali koncertowej i co roku dostarczał nam tematu do rozmów. Początkowo się opierał. I to nie tylko za pierwszym razem. Przez kilka pierwszych lat musieliśmy go przekonywać. W końcu jednak powszechny aplauz, komplementy i pochlebstwa sprawiły, że

nie trzeba było długo czekać, by pan Christoff zaczął obnosić się ze swoją osobą i swoimi poglądami. W tamtych czasach często mawiał: „Dopiero tutaj mój talent rozkwitł w pełni”. Chcę panu uświadomić, że to my zachęcaliśmy jego. A teraz jest mi go naprawdę żal... choć pewnie jestem jedyną osobą w tym mieście, która mu współczuje. Jak pan zdążył zauważyć, zewsząd słychać głosy oburzenia. Dość trzeźwo oceniam sytuację, panie Ryder. Musimy być okrutni. Naszemu miastu zagraża kryzys. Szerzy się niezadowolenie. Żeby to naprawiać, trzeba od czegoś zacząć; czemuż by nie od sedna sprawy? Musimy być okrutni i choć żal mi go, wiem, że nie można inaczej. Cały ten rozdział naszej historii związany z jego osobą i tym wszystkim, co dla nas reprezentuje, musi zostać raz na zawsze zamknięty.

Chociaż przez cały czas siedziałem lekko zwrócony w jego stronę, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że wciąż go słucham, moją uwagę znów przyciągnął film. Clint Eastwood rozmawiał przez mikrofon z żoną, która pozostała na Ziemi, i po jego twarzy spływały łzy. Przypomniałem sobie, że zaraz nastąpi słynna scena, w której Yul Brynner wchodzi do pokoju i sprawdza refleks Eastwooda, klaszcząc przed nim w ręce.

– Przepraszam – powiedziałem – ale jak dawno temu pan Christoff przybył do miasta?

Zadałem to pytanie bez większego zastanowienia, gdyż przynajmniej połowa mojej uwagi koncentrowała się na ekranie. Przez dwie albo trzy minuty śledziłem akcję filmu, póki nie zdałem sobie sprawy, że Pedersen siedzi ze zwieszoną głową, w postawie wyrażającej głębokie zawstydzenie. Gdy ponownie poczuł na sobie mój wzrok, podniósł oczy i powiedział:

– Słusznie, panie Ryder, słusznie nas pan gani. Siedemnaście lat i siedemnaście miesięcy. To długo. Podobna pomyłka mogłaby się zdarzyć w każdym innym mieście, ale żeby nie naprawić jej przez tyle czasu? Domyślam się, jak musimy wyglądać w oczach kogoś z zewnątrz, kogoś takiego jak pan. Nie ukrywam, że jest mi naprawdę wstyd. Nie szukam usprawiedliwień. Potrzebowaliśmy nieprzyzwoicie dużo czasu, żeby się przyznać do błędu. Powiem więcej: żeby w ogóle go dostrzec. Ale przyznać się do niego, nawet przed samym sobą, było bardzo trudno i wymagało wiele czasu. Widzi pan, zaszliśmy z Christoffem zbyt daleko. Prawie każdy członek rady miejskiej przynajmniej raz gościł go u siebie w domu. Na Corocznych Bankietach Obywatelskich nieodmiennie przydzielano mu miejsce obok pana von Winterstcina. Jego fotografia zdobiła okładkę miejscowego almanachu. To on napisał wstęp do programu wystawy Roggenkampa. Związków tych było dużo więcej. Z czasem sprawy zaszły jeszcze dalej. Weźmy na przykład nieszczęsną sprawę pana Liebricha. Ale zdaje się, że właśnie zauważyłem pana Kollmanna. – Znowu wykręcił szyję, patrząc w stronę tylnych rzędów. – Tak, to pan Kollmann, a obok niego, jeśli się nie mylę... w tym świetle tak

niewyraźnie widać... obok niego siedzi pan Schaefer. Obaj panowie zjawili się rano na przyjęciu powitalnym i niewątpliwie byliby zachwyceni, mogąc pana poznać. W dodatku panowie ci na pewno będą mieli wiele do powiedzenia na temat, który właśnie omawiamy. Może podejmiemy do nich, tak bym mógł pana przedstawić?

– Czułbym się zaszczycony. Ale właśnie miał mi pan opowiedzieć...

– Ach tak, rzeczywiście. Nieszczęsna sprawa pana Liebricha. Widzi pan, zanim przybył pan Christoff, pan Liebrich przez wiele lat był jednym z naszych najbardziej cenionych nauczycieli gry na skrzypcach. Uczył dzieci z najlepszych rodzin. Wszyscy go podziwiali. Zdarzyło się jednak, że niedługo po swoim pierwszym recitalu pan Christoff, poproszony o opinię na temat pana Liebricha, nie wyraził się o nim zbyt pochlebnie. Ani w odniesieniu do jego gry, ani metod nauczania. Pan Liebrich umarł kilka lat temu, straciwszy niemal wszystko. Uczniów, przyjaciół, pozycję społeczną. To tylko jeden z przykładów, które przychodzą mi na myśl. Przypuszczam, że pomyliliśmy się co do pana Christoffa... czy może pan sobie wyobrazić, jak wiele się z tym wiąże? Tak, byliśmy słabi, nie przeczę. Poza tym nikt nie przypuszczał, że skończy się to obecnym kryzysem. Ludzie wydawali się w zasadzie zadowoleni. Lata mijały i nawet jeśli w niektórych z nas budziły się wątpliwości, zachowywaliśmy je dla siebie. Wcale nie zamierzam bronić naszych zaniedbań. Wiem, że zważywszy na moją ówczesną pozycję w radzie miejskiej, ponoszę taką samą odpowiedzialność jak wszyscy inni. Aż wstyd się przyznać, że to mieszkańcy tego miasta, zwyczajni ludzie, przypomnieli nam w końcu o naszych obowiązkach. Zwyczajni ludzie, których sytuacja stawała się coraz gorsza, zdecydowanie nas pod tym względem wyprzedzili. Pamiętam chwilę, gdy po raz pierwszy to sobie uświadomiłem. To było trzy lata temu, wracałem do domu z ostatniego recitalu pana Christoffa; pamiętam, że wykonał wówczas *Groteski na wiolonczelę i trzy flety*. Przemierzałem mroczny park Liebmanna, było dość chłodno, a w pewnej odległości przede mną szedł pan Kohler, aptekarz. Wiedziałem, że on również wraca z koncertu, dogoniłem go więc i zaczęliśmy rozmawiać. Początkowo uważałem, żeby się nie zdradzić ze swoimi wrażeniami, ale w końcu zapytałem go, czy podobał mu się występ pana Christoffa. „Tak”, odparł. Musiałem wyczuć coś w jego głosie, bo pamiętam, że po kilku chwilach ponownie zadałem mu to samo pytanie. Tym razem pan Kohler odparł, że i owszem, podobało mu się, ale odniósł wrażenie, że gra pana Christoffa była nieco mechaniczna. Użył właśnie tego słowa, „mechaniczna”. Jak się pan domyśla, długo się zastanawiałem nad odpowiedzią. W końcu, uznając dalszą ostrożność za zbyt dużą, powiedziałem: „Mam zbliżone odczucia, panie Kohler. W jego grze dało się wyczuć pewną oschłość”. Na co pan Kohler odparł, że określiłby ją raczej jako „zimną”. W tym momencie

doszliśmy do bram parku. Tam się rozstaliśmy, życząc sobie dobrej nocy. Pamiętam jednak, że tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć, panie Ryder. Zwyczajni ludzie, przyzwoici obywatele, tacy jak pan Kohler, wygłaszali teraz takie opinie. Było oczywiste, że dalsze udawanie na nic się zda. Nadszedł czas, żebyśmy my, ludzie wpływowi, przyznali się do swej pomyłki, bez względu na daleko idące konsekwencje. Wybacz pan, ale to z całą pewnością pan Schaefer, tam, obok pana Kollmanna. Jestem pewien, że obaj panowie mają coś ciekawego do powiedzenia w kwestii wydarzeń, które panu relacjonuję. Są o jedno pokolenie młodszy ode mnie, na pewno więc zapatrują się na sprawę nieco inaczej. Poza tym wiem, jak bardzo chcieli poznać pana dziś rano. Proponuję, żebyśmy do nich podeszli.

Pedersen podniósł się i, pochylony, zaczął przemykać przed nosami widzów, mamrocząc jakieś przeprosiny. Dotarłszy do przejścia, wyprostował się i dał mi znak ręką. Choć byłem bardzo zmęczony, nie miałem innego wyjścia, jak tylko do niego dołączyć, wstałem więc i ruszyłem w stronę przejścia. Po drodze zauważyłem, że w kinie panuje niemal biesiadna atmosfera. Oglądający film ludzie wymieniali żarty i uwagi, nikomu też nie przeszkadzało, że się przepycham do wyjścia. Wręcz przeciwnie, widzowie ochoczo zabierali nogi z przejścia albo podrywali się z miejsc. Niektórzy nawet wpychali się w swoje fotele i unosili nogi do góry, piszcząc przy tym z zadowolenia.

Kiedy dotarłem do przejścia, Pedersen ruszył do góry po wyłożonej dywanem, pochyłej podłodze. Zatrzymał się przy jednym z tylnych rzędów i powiedział, wyciągając rękę w uprzejmym geście:

– Pan pierwszy.

## Rozdział 9

Jeszcze raz musiałem się przepchnąć między dwoma rzędami foteli, tym razem mając za plecami Pedersena, który szeptał po drodze przeprosiny za nas obu. W końcu dotarliśmy do grupki mężczyzn pochylonych ku sobie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że panowie grają w karty, przy czym niektórzy nachylają się z tylnego rzędu, inni zaś, z rzędu bezpośrednio przed nami, siedzą odwróceny tyłem do ekranu. Kiedy podeszliśmy i Pedersen wymienił moje nazwisko, wszyscy podnieśli się do połowy i nie usiedli z powrotem dopóty, dopóki nie usadowiłem się wygodnie pośród nich, ściskając liczne dłonie wysuwające się z mroku w moim kierunku.

Mężczyzna siedzący najbliżej mnie ubrany był w urzędniczy garnitur, miał poluźniony krawat i rozpięty kołnierzyk. Śmierdział whisky i zauważyłem, że ma trudności ze skupieniem na mnie wzroku. Jego towarzysz, wyglądający mu zza ramienia, był chudy, miał nieprzeciętnie piegowatą twarz i sprawiał wrażenie bardziej trzeźwego, chociaż on także poluźnił krawat. Zanim zdążyłem się przyjrzeć reszcie towarzystwa, pijany mężczyzna ponownie uścisnął mi dłoń i powiedział:

- Mam nadzieję, że film się panu podoba.
- Owszem. Tak się składa, że to jeden z moich ulubionych.
- No to świetnie, że akurat go dziś grają. Ja też lubię ten film. Klasyka. Chce pan przejąć moje rozdanie, panie Ryder? – zapytał, machając mi kartami przed nosem.
- Nie, dziękuję. Proszę nie przerywać gry z mojego powodu.
- Właśnie mówiłem panu Ryderowi – rzekł Pedersen za moimi plecami – że życie nie zawsze wyglądało tutaj tak jak obecnie. Nawet wy, panowie, którzy jesteście ode mnie młodszy, niewątpliwie możecie potwierdzić, że...
- Tak, tak, stare dobre czasy – rozmarzył się pijany mężczyzna. – Tak, dawniej było o wiele lepiej.

Theo ma na myśli Rosee Klenner – wyjaśnił piegus zza jego pleców, wywołując dokoła salwy śmiechu.

- Bzdura – zaprzeczył pijany mężczyzna. – I nie próbuj mnie zawstydzić przed naszym dostojnym gościem.
- Ależ to prawda – ciągnął jego przyjaciel. – W tamtym czasie Theo był po uszy

zakochany w Rosie Klenner. To jest w obecnej pani Christoff.

– Nigdy nie byłem w niej zakochany. Zresztą miałem już wtedy żonę.

– Tym gorzej, Theo, tym gorzej.

– To wierutne brednie.

– Pamiętam, Theo – odezwał się nowy głos z tyłu – jak godzinami zanudzałeś nas opowieściami o Rosie Klenner.

– Wówczas nie wiedziałem jeszcze, jaka jest naprawdę.

– Właśnie to tak cię w niej pociągało – kontynuował głos z tyłu. – Zawsze wzdychałeś do kobiet, które nawet nie chciały na ciebie spojrzeć.

– Jest w tym trochę prawdy – potwierdził piegus.

– Ani krztyny prawdy...

– Pozwólcie, że wytłumaczę panu Ryderowi, o co chodzi. – Piegowaty mężczyzna oparł rękę na ramieniu przyjaciela i nachylił się w moją stronę. – Obecna pani Christoff pochodzi stąd, jest jedną z nas, rosła razem z nami i do dziś często nazywamy ją Rosą Klenner. Wciąż jest piękną kobietą, a w tamtych czasach... Ha! Wszyscy byliśmy nią urzeczeni. Była bardzo piękna, a zarazem bardzo nieprzystępna. Pracowała w Galerii Schlegla, której już nie ma. Była tam zwykłą, szeregową pracownicą. Pracowała we wtorki i czwartki...

– We wtorki i piątki – wtrącił pijany mężczyzna.

– Przepraszam, we wtorki i piątki. Naturalnie, nikt nie pamięta lepiej niż Theo. Przecież chodził do galerii... właściwie był to jeden biały pokój... chodził tam bez przerwy i udawał, że ogląda ekspozycje.

– Brednie...

– Nie byłeś jedyny, prawda, Theo? Miałeś wielu rywali. Jurgen Haase. Erich Brull. Nawet Heinz Wodak. Wszyscy bywali tam regularnie.

– I Otto Roscher – dodał Theo tęsknym tonem. – Często się tam pokazywał.

– Naprawdę? Tak, Rosa miała licznych wielbicieli.

– Nigdy nie zamieniłem z nią słowa – powiedział Theo. – Raz tylko poprosiłem ją o katalog.

– Od czasu, gdy byliśmy nastolatkami – ciągnął piegus – stało się jasne, że żaden z miejscowych chłopców nie jest jej godzien. Zyskała sławę tej, która w najokrutniejszy sposób odrzucała wszelkie zaloty. To dlatego tacy biedacy jak Theo przewidująco nigdy nie zamienili z nią ani słowa. Ale gdy tylko miasto odwiedzał ktoś znany: malarz, muzyk, pisarz albo ktoś taki, Rosa bezwstydnie się do niego zalecała. Zawsze wchodziła w skład jakiegoś komitetu,

dzięki czemu miała dostęp niemal do każdej znakomitości goszczącej w naszym mieście. Wkręcała się na każde przyjęcie i już po dwóch albo trzech kwadransach stała z gościem sam na sam w rogu pokoju, rozmawiając z nim bez końca i patrząc mu głęboko w oczy. Naturalnie, na temat jej życia seksualnego krążyły różne pogłoski, ale nikt nigdy niczego jej nie udowodnił. Zawsze była bardzo sprytna. Kiedy jednak tak narzucała się dostojnym gościom, któż mógł mieć wątpliwości, że przynajmniej z niektórymi coś ją łączyło? Z całą pewnością wielu z nich zdołała oczarować; była nieprzeciętnie atrakcyjna. A na miejscowych nawet nie chciała spojrzeć.

– Hans Jongboed zawsze twierdził, że miał z nią romans – wtrącił mężczyzna nazywany Theo.

Uwaga ta wywołała wybuchy śmiechu, kilka głosów zaś powtórzyło drwiąco:

– Hans Jongboed!

Tylko Pedersen kręcił się niespokojnie.

– Panowie – zaczął – pan Ryder i ja rozmawialiśmy właśnie o...

– Nigdy nie zamieniłem z nią słowa. Z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy poprosiłem o katalog.

– Nie przejmuj się, Theo. – Piegowaty mężczyzna poklepał go po plecach, w efekcie czego Theo przechylił się lekko do przodu. – Nie przejmuj się. Pomyśl o jej obecnym położeniu.

Theo się zamyślił.

– We wszystkim taka była – rzekł. – Nie tylko w miłości. Miała czas wyłącznie dla ludzi z kręgów artystycznych, i to tylko dla najprawdziwszej elity. Na innych nie zwracała uwagi. Nie lubiano jej. Nie lubiano jej na długo, nim poślubiła Christoffa.

– Gdyby nie była taka piękna – powiedział do mnie piegus – budziłaby powszechną nienawiść. Ale tak zawsze był ktoś, kto... jak nasz Theo... chętnie poddawał się jej czarowi. W każdym razie do miasta przyjechał Christoff. Profesjonalny wiolonczelista, i to z nie byle jakim dorobkiem wykonawczym! Rosa zaczęła się o niego bezwstydnie starać. Nie dbała o to, co możemy sobie pomyśleć. Wiedziała, czego chce, i bezwzględnie o to zabiegała. Było to przerażająco godne podziwu. Oczarowała Christoffa i pobrali się jeszcze w pierwszym roku jego pobytu w naszym mieście. Christoff był spełnieniem jej marzeń. Miejmy nadzieję, że się nie przeliczyła. Szesnaście lat u jego boku. Nie było wcale tak źle. Ale co teraz? Christoff się skończył. Co jej zostało?

– Teraz nie przyjmą jej nawet do galerii – oznajmił Theo. – Za bardzo nas raniła przez te wszystkie lata. Raniła naszą dumę. Jest u nas tak samo przegrana jak Christoff.

– Jedna wersja jest taka – powiedział piegus – że Rosa wyjedzie z miasta razem z Christoffem i rzuci go, dopiero gdy zapuszczą korzenie gdzie indziej. Natomiast obecny tu pan Dremmler – wskazał na kogoś w rzędzie przed nami – jest przekonany, że Rosa zostanie w mieście.

Na dźwięk swojego nazwiska mężczyzna siedzący w przednim rzędzie się odwrócił. Widocznie przysłuchiwał się całej rozmowie, bo odezwał się zdecydowanym tonem:

– Nie należy zapominać, że w głębi serca Rosa Klenner jest nieśmiała. Chodziłem z nią razem do szkoły, uczyliśmy się w równoległych klasach. Zawsze taka była, to jej przekleństwo. Nie czuje się tu dobrze, ale brak jej śmiałości, żeby stąd wyjechać. Proszę zauważyć, że mimo dalekosiężnych ambicji nigdy nie próbowała nas opuścić. Mało kto zauważa tę stronę jej natury, ale niezaprzeczalnie ona istnieje. Dlatego stawiam na to, że zostanie. Zostanie i jeszcze raz spróbuje tu szczęścia. Będzie się starała usidlić jakąś inną znakomitość goszczącą w mieście. W końcu jak na swój wiek to wciąż bardzo piękna kobieta.

Jakiś wysoki, piskliwy głos powiedział gdzieś blisko:

– Może zapoluje na Brodsky’ego.

Spowodowało to najgłośniejszy jak dotąd wybuch śmiechu.

– To całkiem możliwe – obruszył się kpiarsko ów głos. – No cóż, ma on swoje lata, ale i ona nie jest już pierwszej młodości. A kogóż innego znajdzie ze swojej sfery? – Znów rozległy się gromkie śmiechy, dodające mówcy animuszu. – Mówię wam, Brodsky to dla niej idealna partia. Szczerze bym go jej doradzał. W przeciwnym razie całe oburzenie, jakie miasto czuje teraz do Christoffa, przylgnie do niej na zawsze. Ale jeśli zostanie narzeczoną Brodsky’ego, a może nawet jego żoną... tak, to zdecydowanie najlepszy sposób, żeby zatrzeć wszelkie ślady związków z Christoffem. Dzięki temu utrzyma swoją... swoją obecną pozycję.

Jego słowa wzbudziły powszechną wesołość i nawet ludzie siedzący trzy rzędy z przodu odwracali się, żeby okazać swoje rozbawienie. Pedersen odchrząknął.

– Ależ panowie – powiedział. – Jestem rozczarowany waszą postawą. Jak wyglądamy w oczach pana Rydera? Wciąż myślicie o panu Brodskim... o panu Brodskim, panowie... proszę po staremu. Zachowujecie się niepoważnie. Pan Brodsky przestał być dogodnym obiektem drwin. Cokolwiek myślicie o propozycji pana Schmidta dotyczącej pani Christoff, pan Brodsky w żadnym razie nie jest zabawną alternatywą...

– Miło, że pan przyjechał, panie Ryder – wtrącił Theo. – Ale jest już za późno. Sprawy zaszły zbyt daleko, żeby...

– Nie opowiadaj bzdur, Theo – powiedział Pedersen. – Znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym, bardzo istotnym punkcie zwrotnym. Pan Ryder przybył, żeby nam to oznajmić.

Prawda, panie Ryder?

– Tak...

– Już za późno. Przepadło. Dlaczego się nie poddać i nie zostać kolejnym zimnym, samotnym miastem? Jak tyle innych miast. Przynajmniej będziemy na fali. Dusza tego miasta nie jest chora, panie Ryder, ale martwa. Już za późno. Może dziesięć lat temu... Wtedy może istniała jeszcze jakaś szansa. Ale teraz? Pan, panie Pedersen – pijany mężczyzna niepewnie wskazał palcem mojego towarzysza – pan i pan Thomas. I pan Stika. Wy wszyscy, moi dobrzy panowie, wykpiłście się...

– Nie zaczynajmy tego od nowa, Theo – przerwał mu piegus. – Pan Pedersen ma rację. Jeszcze nie czas składać broń. Znaleźliśmy pana Brodsky'ego, właśnie pana Brodsky'ego, i o ile nam wiadomo, może się on okazać...

– Brodsky, Brodsky. Już za późno. Koniec z nami. Zostańmy po prostu zimnym, nowoczesnym miastem i skończmy z tym raz na zawsze.

Poczułem na ramieniu dłoń Pedersena.

– Panie Ryder, tak mi przykro...

– Pan się wykpił, proszę pana! Siedemnaście lat. Przez siedemnaście lat Christoff mógł robić, co chciał. I co oferuje nam pan w zamian? Brodsky'ego! Już za późno, panie Ryder.

– Bardzo mi przykro – rzekł do mnie Pedersen – że musi pan tego wysłuchiwać.

– Theo – odezwał się ktoś za nami – po prostu jesteś pijany i przygnębiony. Jutro rano będziesz musiał odszukać pana Rydera i go przeprosić.

– No cóż – powiedziałem – z ciekawością wysłucham wszystkich stron w tej dyskusji...

– Ależ to żadna strona! – zachnął się Pedersen. – Zapewniam pana, panie Ryder, że odczucia Theo nie są w najmniejszym stopniu reprezentatywne dla obecnych nastrojów. Na ulicach, w tramwajach... od ludzi wszędzie aż bije optymizm.

Dokoła rozległ się szmer aprobaty.

Niech pan w to nie wierzy, panie Ryder – powiedział Theo, chwytając mnie za rękaw.

– Pańskie zadanie jest z góry skazane na niepowodzenie. Przeprowadźmy błyskawiczny sondaż na lej sali. Zapytajmy niektórych z obecnych...

– Panie Ryder – przerwał mu szybko Pedersen – najwyższy czas, żebym wrócił do domu i udał się na spoczynek. To wspaniały film, ale widziałem go już kilka razy. A i pan musi być bardzo zmęczony.

– Tak, to prawda, jestem bardzo zmęczony. Jeśli pan pozwoli, wyjdę razem z panem.

– Potem zaś, zwracając się do pozostałych, powiedziałem: – Przepraszam, panowie, ale na mnie już czas, muszę wracać do hotelu.

– Ależ panie Ryder – powiedział piegus niepocieszonym tonem – proszę jeszcze nie odchodzić. Musi pan zostać przynajmniej do momentu, gdy astronauta rozmontowują HAL-a.

– Panie Ryder – dobiegł mnie głos z dalszego miejsca w naszym rzędzie – może weźmie pan moje. Już dosyć się dzisiaj nagrałem. A przy tym świetle tak słabo widać karty. Mój wzrok nie jest już taki jak dawniej.

– Panowie są bardzo uprzejmi, ale naprawdę muszę już iść.

Chciałem jeszcze życzyć im dobrej nocy, ale Pedersen był już na nogach i właśnie zaczynał torować sobie drogę do wyjścia. Ruszyłem za nim, na pożegnanie machając towarzystwu ręką.

Pedersen wyraźnie nie był zadowolony z biegu wydarzeń, kiedy bowiem dotarliśmy do głównego przejścia, szedł dalej w milczeniu, ze spuszczoną głową. Kiedy opuszczaliśmy salę, rzuciłem za siebie ostatnie spojrzenie na ekran. Clint Eastwood przygotowywał się właśnie do rozmontowania HAL-a, uważnie sprawdzając swój gigantyczny śrubokręt.

Kontrast między ciepłą, gwarną salą kinową a śmiertelną ciszą nocy, chłodem i gęstniejącą mgłą na zewnątrz był tak wielki, że obaj przystanęliśmy na chodniku, jakbyśmy próbowali się zorientować w naszym położeniu.

– Doprawdy nie wiem, co powiedzieć, panie Ryder – rzekł Pedersen. – Theo to wspaniały chłopak, ale czasem po zbyt sutym obiedzie... – Pokręcił bezradnie głową.

– Zmartwienia na bok. Po ciężkim dniu człowiekowi należy się trochę spokoju. Uważam ten wieczór za bardzo udany.

– Tak mi wstyd...

– Proszę, zapomnijmy o tym. Naprawdę dobrze się bawiłem.

Ruszyliśmy przed siebie, wypełniając puste ulice echem naszych kroków. Przez jakiś czas Pedersen milczał zakłopotany. W końcu powiedział:

– Musi mi pan wierzyć. Nigdy się nie łudziliśmy, że pomysł ten od razu trafi wszystkim do przekonania. Mam na myśli pomysł z panem Brodskim. Mogę pana zapewnić, że wszystko przygotowaliśmy z należytą ostrożnością.

– Nie wątpię.

– Na początku musieliśmy bardzo uważać, komu zdradzamy nasz projekt. Uznaliśmy, że na tak wczesnym etapie należy informować o nim tylko te osoby, u których możemy liczyć na przychyłność. Następnie za pośrednictwem tych osób wiadomość zaczęła się powoli przedostawać do szerszej publiczności. Dało nam to gwarancję, że koncepcja zostanie

przedstawiona w jak najkorzystniejszym świetle. Jednocześnie przedsięwzięliśmy inne środki. Wydaliśmy, na przykład, kilka obiadów na cześć pana Brodsky'ego, na które zaprosiliśmy starannie dobranych przedstawicieli naszych wyższych sfer. Z początku obiady te były bardzo kameralne i niemalże tajne, ale stopniowo zarzucaliśmy sieci coraz dalej, zapewniając sobie coraz więcej poparcia dla naszych planów. Ponadto na każdej ważnej uroczystości publicznej nie omieszkaliśmy umieszczać pana Brodsky'ego na jednym z honorowych miejsc. Na przykład, kiedy przyjechał zespół Baletu Pekinńskiego, daliśmy mu miejsce w łoży razem z państwem Weiss. Oczywiście również w prywatnych rozmowach uważaliśmy, by mówić o nim wyłącznie z najwyższym szacunkiem. Już dwa lata nad tym pracujemy i ogólnie biorąc, jesteśmy bardzo zadowoleni z rezultatów. Bez wątpienia jego obraz w oczach ludzi powoli się zmienia. Zmienił się już na tyle, że zdobyliśmy się na ten decydujący krok. Tym bardziej jestem rozczarowany tym, co zaszło przed chwilą. Tamci panowie w kinie powinni świecić przykładem. Jeżeli oni przyjmują taką, a nie inną postawę za każdym razem, gdy są na luzie, jakże można oczekiwać, że przeciętny obywatel... – Urwał i znowu pokręcił głową. – Czuję się zawiedziony. W swoim i pańskim imieniu.

Znowu umilkł. Po chwili odezwałem się z westchnieniem:

– Nie jest łatwo zmienić opinię publiczną.

Pedersen uszedł parę kroków bez słowa, zanim powiedział:

– Musi pan wziąć pod uwagę stan wyjściowy. Kiedy spojrzeć na to od tej strony, właśnie biorąc pod uwagę stan wyjściowy, wyraźnie widać, że osiągnęliśmy znaczny postęp. Proszę pomyśleć, pan Brodsky mieszka tu od wielu, wielu lat i przez cały ten czas nikt nigdy nie słyszał, jak mówi o muzyce, ani tym bardziej jak gra. Tak, wszyscy pamiętali niejasno, że kiedyś tam był dyrygentem w starej ojczyźnie. Ale ponieważ nigdy nie pokazał się nam od tej strony, nie kojarzyliśmy go z muzyką. Szczerze mówiąc, do niedawna pan Brodsky dawał się zauważyć głównie wtedy, gdy chodził pijany po mieście, zataczając się i krzycząc. Resztę czasu spędzał samotnie w swoim mieszkaniu przy szosie północnej, w towarzystwie psa. No, może niezupełnie, oprócz tego często widywano go w bibliotece. Dwa albo trzy razy w tygodniu przychodził tam rano, siadał zawsze na tym samym miejscu pod oknem i przywiązywał psa do nogi stołu. Wprawdzie przepisy zabraniają wprowadzania zwierząt do środka, ale bibliotekarze już dawno uznali, że tak będzie najprościej. O wiele prościej niż wszczynać walkę z panem Brodskym. Tak więc czasem można było zobaczyć, jak przegląda stertę książek, zawsze tych samych opasłych dzieł historycznych, podczas gdy pies siedzi u jego stóp. A jeśli ktokolwiek w czytelnicy nawiązywał choćby najkrótszą szeptaną rozmowę, choćby zwyczajnie kogoś pozdrowił, pan Brodsky wstawał i wrzeszczał na delikwenta. Miał

oczywiście trochę racji, lecz właściwie nigdy nie zwykliśmy zbyt ściśle przestrzegać zasady zachowania ciszy w bibliotece. W końcu ludzie lubią sobie pogadać, kiedy się widzą, tak jak w każdym innym miejscu publicznym. Zważywszy na to, że pan Brodsky sam łamał przepisy, wprowadzając psa do środka, jego zachowanie musiało się wydawać niezbyt rozsądne. Od czasu do czasu, w niektóre poranki, pan Brodsky wpadał w szczególny nastrój. Najpierw czytał coś przy swoim stole, a potem na jego twarzy pojawiał się wyraz przygnębienia. Siedział ze wzrokiem utkwionym przed siebie, a jego oczy nabiegały niekiedy łzami. Widząc go w tym stanie, ludzie wiedzieli, że mogą rozmawiać bez obaw. Zwykle ktoś pierwszy badał ostrożnie grunt, a gdy pan Brodsky nie reagował, całe pomieszczenie natychmiast napełniało się gwarem. Niekiedy... o, ludzka przewrotności... w bibliotece panował wtedy większy hałas niż w czasie nieobecności pana Brodsky'ego. Pamiętam, jak pewnego ranka poszedłem oddać książkę i huczało tam jak na dworcu kolejowym. Musiałem prawie krzyczeć, żeby mnie usłyszeli. A w samym środku tej całej wrzawy, pogrążony w swoim własnym świecie, siedział nieruchomo pan Brodsky. Muszę powiedzieć, że był to smutny widok. Poranne światło uwydatniało bladość jego twarzy.

Z czubka nosa zwisała łezka, jego wzrok błędził gdzieś daleko i całkiem zapomniał o stronicy książki, którą trzymał w palcach. Przyszło mi na myśl, że w zachowaniu tamtych ludzi kryje się pewne okrucieństwo. Tak jakby go wykorzystywali, choć nie bardzo wiem w jakim sensie. Innego dnia bez trudu by ich wszystkich uciszył w jednej chwili. Staram się tylko panu unaocznic, kim przez wiele lat był dla nas pan Brodsky. Zapewne nic można od ludzi oczekiwać, by w tak krótkim czasie zupełnie zmienili swoje podejście do niego. Osiągnęliśmy znaczny postęp, ale jak sam pan widział przed chwilą... – Po raz kolejny ogarnęło go rozżalenie. – Oni jednak, oni powinni mieć więcej rozumu – wymamrotał do siebie.

Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu ulic. Mgła zgęstniała tak bardzo, że straciłem orientację. Pedersen rozejrzał się i ruszył dalej, prowadząc mnie wąską uliczką z rzędami samochodów zaparkowanych na obu chodnikach.

– Odprowadzę pana do hotelu, panie Ryder. Mogę iść tamtędy do domu, to po drodze. Mam nadzieję, że hotel panu odpowiada?

– Tak, jak najbardziej.

– Pan Hoffman wie, jak prowadzić dobry hotel. To świetny zarządca i w ogóle miły człowiek. Oczywiście, jak panu wiadomo, to właśnie jemu zawdzięczamy... hm... wyzdrowienie pana Brodsky'ego.

– No tak, oczywiście.

Z powodu ustawionych na chodniku samochodów przez chwilę musieliśmy iść jeden za drugim. Gdy przeszliśmy na środek ulicy i znalazłem się obok Pedersena, zauważyłem, że jego nastrój wyraźnie się poprawił. Uśmiechnął się i powiedział:

– Jak rozumiem, jutro wybiera się pan do domu pani hrabiny, aby posłuchać tych płyt. O ile wiem, pan von Winterstein, nasz burmistrz, również zamierza się tam zjawić. Chciałby wziąć pana na stronę i wszystko z panem omówić. Ale najpierw płyty. Niesamowite!

– Tak, nie mogę się doczekać.

– Pani hrabina to niezwykła kobieta. Swoim polotem potrafi niekiedy zawstydzić nas wszystkich. Wiele razy pytałem ją, co podsunęło jej ten niebywały pomysł. „Intucja”, odpowiada niezmiennie. „Po prostu pewnego ranka obudziłam się z tą myślą”. Co za kobieta! Pewnie nie było łatwo zdobyć tamte płyty. Udało jej się to za pośrednictwem wyspecjalizowanego pośrednika w Berlinie. Oczywiście nikt z nas nic jeszcze wtedy nie wiedział, gdybyśmy jednak wiedzieli, jestem pewien, że wyśmialibyśmy ten pomysł. A potem, pewnego wieczoru, wezwała nas do swojej rezydencji. W ubiegłym miesiącu minęły dwa lata. To był bardzo przyjemny, słoneczny wieczór. Tak więc zebraliśmy się w jej salonie... w sumie było nas jedenastu... nie bardzo wiedząc, czego się możemy spodziewać. Pani hrabina poczęstowała nas czymś do picia i prawie natychmiast przeszła do rzeczy. „Pora położyć kres zamartwianiu się, powiedziała, i zacząć działać. Musimy się w końcu przyznać do naszej fatalnej pomyłki i podjąć konstruktywne działania, by w miarę możliwości naprawić powstałe szkody. Inaczej nasi wnukowie, a potem ich dzieci, nigdy nam nie wybaczą”. Nie było w tym dla nas nic nowego, już od miesiący wymienialiśmy między sobą podobne opinie, tak więc wszyscy zgodnie przytaknęliśmy. Ale pani hrabina mówiła dalej. „Jeśli chodzi o pana Christoffa, powiedziała, nic więcej robić nie trzeba. I tak jest już całkowicie skompromitowany w oczach całego miasta. Ale samo to nie wystarczy, by odkręcić spiralę nieszczęść, która coraz głębiej wraza się w żywą tkankę naszej społeczności. Musimy stworzyć nowy nastrój, zapoczątkować nową erę”. Ponownie wszyscy zgodnie przytaknęliśmy, ale i to nie była dla nas nowość, podobne rzeczy mówiliśmy sobie już wielokrotnie. Pan von Winterstein, zdaje się, bardzo grzecznie zwrócił na to uwagę pani hrabiny. Wtedy to zaczęła ona zdradzać nam swoje zamysły. „Być może, oświadczyła, rozwiązanie cały czas znajdowało się w zasięgu ręki”. Kiedy przeszła do szczegółowych wyjaśnień, naturalnie nie mogliśmy z początku uwierzyć własnym uszom. Pan Brodsky? Ten od biblioteki i pijackich wędrówek po mieście? Czy poważnie mówi o panu Brodskym? Jestem pewien, że gdyby to nie była pani hrabina, wybuchnęlibyśmy śmiechem. Ona jednak, pamiętam, pozostała bardzo pewna swego. Kazała nam usiąść wygodnie, gdyż chce nam

odtworzyć kilka nagrań i prosi o ich uważne wysłuchanie. Potem zaczęła puszczać płyty, jedną po drugiej. Siedzieliśmy zasluchani, podczas gdy za oknem słońce chyliło się ku zachodowi. Jakość nagrań była bardzo słaba, a do tego gramofon hrabiny, sam pan jutro zobaczy, jest cokolwiek staroświecki. Ale nie zwracaliśmy na to uwagi. W ciągu zaledwie kilku minut ta muzyka nas urzekła i wprawiła w stan najgłębszego ukojenia. Niektórym stanęły łzy w oczach. Zrozumieliśmy, że słuchamy czegoś, czego przez te wszystkie lata tak dotkliwie nam brakowało. Nagle bardziej niż kiedykolwiek uderzyła nas absurdalność tego, że przez wiele lat stawialiśmy na piedestale kogoś takiego jak pan Christoff. Nareszcie znów słuchaliśmy prawdziwej muzyki, dzieła dyrygenta, który nie tylko miał ogromny talent, ale też podzielał nasz system wartości. W końcu, kiedy muzyka się skończyła, wstaliśmy, żeby rozprostować nogi, słuchaliśmy dobre trzy godziny, ale pomysł z panem Brodskim wydawał się nam równie niedorzeczny jak przedtem. Ktoś zauważył, że nagrania są bardzo stare. Sam pan Brodsky, z przyczyn sobie najlepiej znanych, dawno temu rozstał się z muzyką. A poza tym miał pewne... pewne problemy ze sobą. Trudno było uznać go za tego samego człowieka. Po chwili wszyscy kręciliśmy głowami z dezaprobatą. Wtedy pani hrabina przemówiła ponownie. „Zbliżamy się do punktu krytycznego, powiedziała. Nie powinniśmy ferować wyroków zbyt pochopnie. Musimy odnaleźć pana Brodsky’ego, porozmawiać z nim, ocenić jego obecne możliwości”. Żadnemu z nas nie trzeba było przypominać o powadze sytuacji. Każdy z nas mógł przytoczyć dziesiątki smutnych przykładów. Przykładów osób skazanych na samotność. Rodzin nie wierzących w możliwość odzyskania dawnego szczęścia. Wtedy właśnie pan Hoffman, kierownik pańskiego hotelu, odchrząknął nagle i oznajmił, że zajmie się panem Brodskim. Osobiście podejmuję się, mówił bardzo uroczystym tonem, na stojąco, podejmuje się oceny sytuacji i jeśli uzna, że istnieje jakakolwiek szansa rehabilitacji pana Brodsky’ego, on, pan Hoffman, gotów jest wziąć to na swoje barki. Jeżeli powierzmy mu to zadanie, przyrzeka nie zawieść oczekiwań naszej społeczności. Jak mówię, wydarzyło się to ponad dwa lata temu. Od tamtej pory ze zdumieniem obserwujemy zapal, z jakim pan Hoffman zabrał się do spełniania swojej obietnicy. Ogólnie biorąc, pomimo chwilowych trudności, widoczny jest znaczny postęp. Teraz zaś udało nam się doprowadzić pana Brodsky’ego do obecnego stanu i uznaliśmy, że nie ma potrzeby zwlekać dłużej z podjęciem tego decydującego kroku. Ostatecznie możemy co najwyżej przedstawiać pana Brodsky’ego w lepszym świetle, kiedyś jednak mieszkańcy miasta sami go muszą zobaczyć, usłyszeć i ocenić. Na razie wszystko wskazuje na to, że nie przeliczyliśmy się w swoich nadziejach. Pan Brodsky regularnie prowadzi próby i z tego, co wiem, zasłużył sobie na niekłamany szacunek członków orkiestry. Cóż z tego, że ostatni raz występował publicznie

bardzo dawno temu, skoro, jak widać, stracił tak niewiele ze swojego talentu. Ta pasja, ta wspaniała wyobraźnia, którą mogliśmy podziwiać u pani hrabiny owego wieczoru, wszystko to czekało ukryte gdzieś głęboko i teraz powoli budzi się na nowo. Tak, szczerze ufamy, że w czwartek wieczorem będziemy mogli być z niego dumni. Z naszej strony zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by wieczór wypadł jak najlepiej. Jak panu wiadomo, Stuttgarcka Orkiestra Fundacji im. Nagla nie jest może zaliczana do ścisłej światowej czołówki, niemniej cieszy się na pewno sporym uznaniem. Nie należy też bynajmniej do tanich. Mimo to prawie nikt nie miał zastrzeżeń co do zaproszenia jej na tę najważniejszą z imprez ani co do czasu jej pobytu w mieście. Według początkowych ustaleń próby miały trwać dwa tygodnie, ale przy pełnym poparciu Komisji Finansowej czas ten wydłużono do trzech tygodni. Gościć jedną z najdroższych orkiestr przez trzy tygodnie, zapewniając jej członkom wikt i opierunek... sam pan wie, że to nie byle jakie przedsięwzięcie. Ale prawie nikt nie śmiał oponować. Każdy radny zdaje sobie sprawę z doniosłości czwartkowego wieczoru. Każdy dostrzega konieczność stworzenia panu Brodsky'emu jak najlepszych warunków pracy. Mimo to... – Pedersen westchnął nagle z głębi piersi. – Mimo to, jak sam mógł się pan przekonać tego wieczoru, zastarzałe poglądy trudno wykorzenić. To właśnie z tego powodu, panie Ryder, pańska pomoc, pańska zgoda na przyjazd do naszego skromnego miasta może się dla nas okazać przełomowa. Zdobędzie pan wśród ludzi posłuch, na jaki żaden z nas nie mógłby nigdy liczyć. Zdradzę panu, że nastrój w mieście zmienił się już na samą wieść o pańskim przyjeździe. Mnożą się najróżniejsze spekulacje na temat pańskiego czwartkowego orędzia. W tramwajach, na ulicach, w kawiarniach ludzie nie mówią prawie o niczym innym. Nie wiem, oczywiście, co dokładnie pan dla nas przygotował. Może postanowił pan przedstawić sytuację w niezbyt różowym świetle. Może zechce nas pan przestrzec przed ogromem pracy, jaki czeka każdego z nas, jeśli mamy kiedykolwiek odzyskać dawną szczęśliwość. Takie ostrzeżenia będą jak najbardziej uzasadnione. Wiem jednak, że jednocześnie wzbudzi pan w swoich słuchaczach konstruktywną chęć działania w duchu społecznym. W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości: po pańskim orędziu nikt w całym mieście nigdy więcej nie dostrzeże w panu Brodskim tego niechlujnego, starego pijaka, którego widziano w nim dotychczas. Z pańskiej twarzy można wyczytać niepokój. Proszę się nie martwić, panie Ryder. Może i wyglądamy na zaściankowe miasteczko, ale w pewnych sytuacjach wypadamy lepiej, niżby się pan zapewne po nas spodziewał. Nad stroną organizacyjną wieczoru czuwa przede wszystkim pan Hoffman. Zapewniam pana, że przybędą wszyscy szanujący się obywatele miasta. Jeśli zaś chodzi o pana Brodsky'ego, jestem przekonany, że nas nie zawiedzie. Przejdzie wszelkie oczekiwania, jestem tego pewien.

To, co Pedersen dostrzegł na mojej twarzy, odzwierciedlało nie tyle niepokój, ile rosnącą irytację na samego siebie. Prawda była bowiem taka, że mimo rychłego terminu moje orędzie do miasta było zupełnie niegotowe, gorzej nawet: nie zdążyłem zebrać potrzebnych informacji. Nie rozumiałem, jak z całym swoim doświadczeniem mogłem dopuścić do takiej sytuacji. Przypomniałem sobie, jak jeszcze tego samego popołudnia siedziałem w eleganckim hotelowym atrium, sącząc mocną, gorzką kawę i powtarzając sobie, że muszę starannie zaplanować resztę dnia, aby jak najlepiej wykorzystać ograniczony czas, który mam do dyspozycji. Kiedy tak siedziałem i w lustrze za bufetem przyglądałem się zasnutej wodnym pyłem fontannie, wyobraziłem sobie scenę – nawet trochę podobną do tej w kinie – w której zadziwiam całe towarzystwo swoją kompetencją w sprawach lokalnych i rzucam od niechcienia przynajmniej jedną ciętą uwagę pod adresem Christoffa, tak dowcipną, że następnego dnia powtarzają całe miasto. W rzeczywistości dałem się wplątać w mnóstwo innych, drugorzędnych spraw, skutek zaś był taki, że w kinie przez cały czas nie potrafiłem wybąkać nic godnego uwagi. Niewykluczone nawet, że sprawiałem wrażenie człowieka źle wychowanego. Nagle znowu ogarnęła mnie głęboka złość na Sophie, że wprowadziła tyle zamętu w mój plan dnia i zmusiła mnie do poważnych uchybień w pracy.

Zatrzymaliśmy się ponownie i zauważyłem, że stoimy przed hotelem.

– Dziękuję za wspólnie spędzony czas – powiedział Pedersen, wyciągając do mnie rękę. – Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych kilku dni jeszcze się spotkamy. Ale teraz musi pan odpocząć.

Podziękowałem mu, życząc dobrej nocy, i kiedy jego kroki ucichły w oddali, wszedłem do holu.

Dyżur wciąż pełnił ten sam młody człowiek.

– Mam nadzieję, że film się panu podobał – powiedział, wręczając mi klucz.

– Jak najbardziej. Dziękuję za pańską radę. Czuję się całkowicie odprężony.

– Tak, wielu naszych gości uważa, że jest to dobry sposób na zakończenie dnia. Ale, ale, Gustav prosił, aby panu powtórzyć, że Boris był bardzo zadowolony ze swojego pokoju i natychmiast położył się spać.

– Świetnie.

Życzyłem mu dobrej nocy i pospieszyłem w stronę windy.

Wróciłem do pokoju z uczuciem, że po długim, wyczerpującym dniu cały aż lepię się od brudu. Przebrałem się w szlafrok i zacząłem się przygotowywać do kąpieli. Ale podczas oględzin łazienki ogarnęła mnie nieprzeparata fala zmęczenia, tak że słaniając się na nogach, zdołałem tylko dotrzeć z powrotem do łóżka i zwalić się nań bezwładnie, od razu zapadając w

głęboki sen.

# Rozdział 10

Nie spałem długo, gdy tuż przy moim uchu zadzwonił telefon. Przez chwilę leżałem bez ruchu, w końcu jednak usiadłem na łóżku i podniosłem słuchawkę.

– To ja, panie Ryder. Hoffman.

Czekałem, aż wyjaśni, dlaczego mi przeszkadza, ale kierownik hotelu się nie odzywał. Po chwili niezręcznego milczenia powtórzył:

– To ja, Hoffman. – Nastąpiła kolejna pauza, po czym powiedział: – Jestem na dole, w holu.

– Ach tak.

– Przepraszam, jeśli odrywam pana od ważnych zajęć.

– Właściwie spałem. – Uwaga ta musiała wprawić Hoffmana w osłupienie, gdyż ponownie oniemiał. Zaśmiałem się tylko i dodałem: – Ściślej mówiąc, położyłem się tylko na chwilę. Naturalnie, nie zasnę, dopóki... dopóki nie załatwię wszystkich zaplanowanych na dzisiaj spraw.

– Świetnie, świetnie – w głosie Hoffmana brzmiała ulga. – Po prostu łapał pan drugi oddech, by tak rzec. To rozumią. W każdym razie czekam na pana na dole w holu.

Odłożyłem słuchawkę i siedząc na łóżku, zastanawiałem się, co robić. Czułem się tak samo wyczerpany jak przedtem – spałem co najwyżej kilka minut – i kusiło mnie, by zapomnieć o całej sprawie i spać dalej. W końcu jednak zrozumiałem, że to niemożliwe, i dźwignąłem się z łóżka.

Wciąż miałem na sobie szlafrok, w którym zasnąłem, i właśnie miałem się przebrać, kiedy przyszło mi na myśl, że mogę zejść na dół i rozmówić się z Hoffmanem tak, jak stoję. Było mało prawdopodobne, że o tej porze spotkam kogokolwiek oprócz Hoffmana i recepcjonisty, a przy okazji strój ten będzie dyskretną, acz niedwuznaczną aluzją do późnej pory oraz tego, że przeszkadza mi w udaniu się na spoczynek. Wyszedłem na korytarz i z uczuciem zniecierpliwienia ruszyłem w stronę windy.

Przynajmniej z początku szlafrok, jak mi się zdawało, wywarł na Hoffmanie pożądane przeze mnie wrażenie, kierownik hotelu powitał mnie bowiem słowami:

– Przepraszam, że przerwałem pański wypoczynek. Te podróże muszą pana okropnie męczyć.

Spróbowałem ukryć zmęczenie. Przyczesując ręką włosy, powiedziałem:

– Nic nie szkodzi, panie Hoffman. Mam jednak nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo.

Nie będę krył, że jestem już dość zmęczony.

– Ależ nie, to na pewno nie potrwa długo.

– Cieszę się.

Zauważyłem, że Hoffman ma na sobie płaszcz, a pod spodem kompletny strój wieczorowy, z szarfą w pasie i muchą pod szyją.

– Oczywiście słyszał już pan złą wiadomość – rzekł.

– Złą wiadomość?

– To niewątpliwie zła wiadomość, jestem jednak przekonany, głęboko przekonany, że konsekwencje nie okażą się zbyt poważne. Ufam też, że nim ten wieczór dobiegnie końca, będzie pan podzielał mój optymizm, panie Ryder.

– Zapewne – powiedziałem, kiwając głową na potwierdzenie. Po chwili uznałem, że sytuacja staje się beznadziejna, zapytałem więc wprost: – Przepraszam, panie Hoffman, którą złą wiadomość ma pan na myśli? Ostatnio nie brakowało złych wiadomości.

Popatrzył na mnie z niepokojem.

– Nie brakowało złych wiadomości?

Zaśmiałem się.

– Mam na myśli walki w Afryce i tak dalej. Gdziekolwiek spojrzeć, same złe wiadomości. – Zaśmiałem się ponownie.

– Rozumiem. Miałem oczywiście na myśli złą wiadomość dotyczącą psa pana Brodsky'ego.

– Ach tak. Psa pana Brodsky'ego.

– Że też musiało się to stać właśnie teraz! Człowiek stara się, uważa, a tu nagle coś takiego! – Westchnął rozgoryczony.

– Tak, to okropne. Okropne.

– Ale, jak mówię, nie tracę nadziei. Ufam, że nie pokrzyżuje to naszych planów. Proponuję, żebyśmy wyruszyli natychmiast, panie Ryder. Prawdę mówiąc, teraz myślę, że miał pan rację. To wiele lepsza pora, aby tam pojechać. Będziemy na miejscu nie za wcześnie i nie za późno. Racja, w tych sprawach trzeba zachować spokój. Nie wpadać w panikę. No to w drogę.

– Eee... Panie Hoffman, zdaje się, że nie ubrałem się stosownie do okazji. Pozwoli pan, że wrócę na parę minut na górę i zmienię strój.

Hoffman przyjrzał mi się pobieżnie.

– Ależ wygląda pan doskonale. Proszę się nie przejmować. A teraz – spojrzał nerwowo na zegarek – proponuję, byśmy ruszyli w drogę. Tak, to najwłaściwsza pora. Bardzo proszę.

Noc była ciemna i deszczowa. Okrążyliśmy razem budynek hotelu i ścieżką dotarliśmy do małego parkingu, na którym stało pięć czy sześć samochodów. Do słupka w ogrodzeniu przymocowana była samotna lampa. Przy jej świetle dostrzegłem przed sobą wielkie kałuże.

Hoffman podbiegł do dużego, czarnego samochodu i otworzył drzwi dla pasażera. Idąc w jego kierunku, czułem, jak moje pantofle nasiąkają wilgocią. Gdy wsiadałem do samochodu, wdepnąłem po kostkę w kałużę i zamoczyłem sobie całą stopę. Wydałem okrzyk, lecz Hoffman okrążał już pospiesznie samochód, by zająć miejsce za kierownicą.

Wyjechał z parkingu, podczas gdy ja próbowałem wytrzeć stopę o miękkie pokrycie podłogi. Kiedy podniosłem wzrok, byliśmy już na głównej ulicy i ze zdziwieniem stwierdziłem, że panuje na niej duży ruch. Co więcej, ożyło również wiele sklepów i restauracji i za oświetlonymi szybami kręciły się tłumy klientów. W miarę jak zbliżaliśmy się do centrum miasta, ruch uliczny stawał się coraz większy, aż w końcu utknęliśmy pośród trzech rzędów samochodów. Hoffman spojrzał na zegarek, po czym nerwowo zabębnił palcami po kierownicy.

– Co za pech – odezwałem się współczująco. – A jeszcze przed chwilą, kiedy tędy przejeżdżałem, zdawało się, że całe miasto śpi.

Pochłonięty jakąś myślą powiedział machinalnie:

– Ruch uliczny w tym mieście pogarsza się z roku na rok. Nie wiem, jak to rozwiązać.  
– Jego palce znowu zabębniły po kierownicy.

Przez kolejnych kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, posuwając się powoli naprzód. Nagle Hoffman powiedział cicho:

– Pan Ryder jest po podróży.

Myślałem, że się przesłyszałem, ale po chwili powtórzył to samo – tym razem z uprzejmym gestem – i zrozumiałem, że ćwiczy kwestię, którą wygłosi po przybyciu na miejsce, aby wytłumaczyć nasze spóźnienie.

– Pan Ryder jest po podróży. Pan Ryder... jest po podróży.

Kiedy tak wlekliśmy się po zatłoczonej ulicy, Hoffman nie przestawał mamrotać pod nosem, ale niewiele z tego docierało do moich uszu. Zatonął we własnym świecie i okazywał coraz większe zdenerwowanie. Raz, kiedy nie zdążyliśmy przejechać na zielonym świetle, usłyszałem, jak mamrocze do siebie:

– Nie, nie, panie Brodsky, to było niepospolite, niepospolite stworzenie!

W końcu zjechaliśmy z głównej ulicy, kierując się poza miasto. Wkrótce skończyły się zabudowania i po obu stronach drogi otworzyła się rozległa, mroczna przestrzeń – być może pola uprawne. Panował tu mniejszy ruch, dzięki czemu samochód mógł nabrać prędkości. Zauważyłem, że Hoffman wyraźnie się uspokoił, i kiedy znowu się do mnie odezwał, odzyskał już swój zwykły, uprzejmy sposób bycia.

– Proszę mi powiedzieć, panie Ryder, czy jest pan zadowolony z naszego hotelu?

– Ależ tak, dziękuję.

– Podoba się panu pański pokój?

– Tak, jak najbardziej.

– A czy wygodnie się panu śpi?

– Bardzo wygodnie.

– Pytam, ponieważ szcycimy się jakością naszych łóżek. Bardzo często wymieniamy materace. Dużo częściej niż inne hotele w mieście. To wiem na pewno. Większa część naszej tak zwanej konkurencji uznałaby wyrzucane przez nas materace za zdadne do użytku przez następnych kilka lat. Czy pan wie, że gdyby wszystkie materace, które wyrzucamy w ciągu pięciu lat finansowych, ułożyć jeden za drugim wzdłuż głównej ulicy miasta, ich linia ciągnęłaby się od siedziby rady miejskiej do fontanny, dalej skręcałaby w Stengasse i sięgała aż do apteki pana Winklera?

– Naprawdę? To imponujące.

– Będę szczery, panie Ryder. Ostatnio chodzi mi po głowie sprawa pańskiego pokoju. Naturalnie, jeszcze przed pańskim przyjazdem długo się zastanawiałem nad wyborem pokoju dla pana. W większości hoteli nie miałoby tego problemu: po prostu daliby panu najlepszy pokój, jaki mają. Ale mój sposób rozumowania jest nieco inny, panie Ryder. W ciągu minionych lat każdemu pokojowi z osobna poświęcałem sporo uwagi. Rzec można, niekiedy ogarniała mnie prawdziwa obsesja. Ha, ha! Tak jest, obsesja na punkcie tego czy innego pokoju. Gdy dostrzegam możliwości jakiegoś pokoju, wiele dni zaprzęgam sobie nim głowę, po czym z największą troską staram się zmienić jego wygląd, tak aby jak najdokładniej odpowiadał mojej koncepcji. Nie zawsze mi się to udaje, ale w kilku wypadkach, po wielu staraniach, rezultaty przypominały z grubsza obraz, który miałem w wyobraźni, co oczywiście daje mi sporo satysfakcji. Ale... laka już widać ułomność mojej natury... gdy tylko kończę remont jednego pokoju, natychmiast rzucają mi się w oczy możliwości innego. I zanim się spostrzegę, poświęcam sporo czasu i uwagi na rozważania nad nowym projektem. Tak, niektórzy nazwaliby to obsesją, ale ja nie widzę w tym nic złego. Nie ma nic

nudniejszego na świecie niż hotel, w którym wszystkie pokoje urządzone są według tej samej zużytej koncepcji. Moim zdaniem, obmyślając wystrój każdego pokoju, należy uwzględniać jego niepowtarzalne, charakterystyczne cechy. Chcę w każdym razie powiedzieć, że nie mam swoich ulubionych pokoi w hotelu. Tak więc po długim namyśle doszedłem do wniosku, że najbardziej spodoba się panu pokój, który pan obecnie zajmuje. Teraz jednak, gdy pana poznałem, nie jestem już tego taki pewien.

– Cóż znowu, panie Hoffman! – przerwałem. – Jestem w pełni zadowolony z obecnego pokoju.

– Od chwili, kiedy pana poznałem, nie mogę przestać o tym myśleć. Wydaje mi się, że charakterologicznie pasowałby pan do innego pokoju, który mam akurat na myśli. Może pokażę go panu jutro rano. Jestem niemal pewien, że będzie się panu bardziej podobał.

– Ależ doprawdy, panie Hoffman. Obecny pokój...

– Jeśli mam być szczery, panie Ryder, jest pan pierwszą osobą, która ma sposobność ocenić wady i zalety tego pokoju. Po raz pierwszy od czasu jego przeróbki, a było to cztery lata temu, pokój ten zajmuje gość tak wielkiej miary. Oczywiście, w żaden sposób nie mogłem przewidzieć, że pewnego dnia właśnie pan zaszczyci nas swoją obecnością. Przyznam, że urządzając ten pokój, miałem na myśli kogoś takiego jak pan. Jak więc pan widzi, dopiero teraz, w czasie pańskiej wizyty, wykorzystywany jest zgodnie ze swoim przeznaczeniem. I, niestety, wyraźnie widzę, że cztery lata temu popełniłem kilka istotnych błędów. O te zresztą nietrudno, nawet jeśli ma się takie doświadczenie jak ja. Tak, nie jestem zadowolony. To nie był trafny wybór. Proponuję, żeby przeniósł się pan pod numer trzysta czterdzieści trzy, który w moim odczuciu bliższy jest pańskiemu duchowi. Będzie tam panu łatwiej wypocząć i lepiej się pan wyśpi. Natomiast co do pańskiego obecnego pokoju... cóż, po całodziennym namyśle postanowiłem zniszczyć go w jego obecnej formie.

– Proszę tego nie robić!

Na mój okrzyk Hoffman oderwał oczy od drogi i spojrzał na mnie ze zdumieniem. Zaśmiałem się i szybko się opanowawszy, powiedziałem:

– To znaczy proszę sobie nie przysparzać dodatkowych kłopotów i wydatków z mojego powodu.

– Zapewniam pana, że to dla mojego własnego spokoju. Ten hotel jest dziełem mojego życia, a pański obecny pokój okazał się wielką pomyłką z mojej strony. Zniszczenie go jest jedynym wyjściem.

– Panie Hoffman, ten pokój... Prawdę powiedziawszy, czuję się z nim uczuciowo związany. Naprawdę jest mi tam bardzo dobrze.

– Nie rozumiem pana. – Wydawał się naprawdę zakłopotany. – Ten pokój wyraźnie do pana nie pasuje. Teraz, kiedy już znam pana osobiście, mogę to stwierdzić z dużą dozą pewności. Nie musi pan być aż tak uprzejmy. Dziwi mnie pańskie szczególne przywiązanie do niego.

Roześmiałem się nagle, może nieco za głośno.

– Skądże znowu! Szczególne przywiązanie? – Zaśmiałem się ponownie. – To tylko pokój, nic więcej. Skoro musi zostać zniszczony, niech tak będzie! Chętnie przeniosę się do innego.

– Cieszę się, że widzi to pan w ten sposób. Świadomość, że podczas swojego pobytu w moim hotelu musiał pan znosić tak nieodpowiedni dla siebie pokój, nie dawałaby mi zasnąć nie tylko do końca pańskiego pobytu, ale także przez wiele najbliższych lat. Naprawdę nie wiem, co też cztery lata temu strzeliło mi do głowy. Fatalna pomyłka!

Już od jakiegoś czasu pędziliśmy przez mrok, nie napotykając żadnych innych oświetlonych pojazdów. W oddali majaczyło kilka budynków, być może domów farmerskich, poza tym prawie nic nie zakłócało ciemnej pustki po obu stronach drogi. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, aż Hoffman przerwał ciszę:

– To bardzo nieszczęśliwy zbieg okoliczności, panie Ryder. No cóż, pies nie był już młody, ale bez problemu mógłby żyć jeszcze ze dwa, trzy lata. A wszystko szło tak gładko. – Pokręcił głową. – Akurat teraz. – Potem, odwracając się do mnie z uśmiechem, dodał: – Ale nie tracę nadziei, bynajmniej. Już nie zbczy z wyznaczonej drogi. Nawet po czymś takim.

– Może należałoby mu sprezentować nowego psa. Jakiegoś szczeniaka.

Powiedziałem to bez większego namysłu, ale Hoffman z całym szacunkiem jął rozważać tę propozycję na głos:

– Nie jestem pewien, panie Ryder. Musi pan zrozumieć, że był on bardzo przywiązany do Brunona. Właściwie nie miał innego towarzystwa. Będzie w żałobie. Chociaż może ma pan rację, musimy złagodzić poczucie pustki po stracie Brunona. Może jakieś inne zwierzę. Coś kojącego. Powiedzmy ptak w klatce. Z czasem, kiedy będzie już gotowy, można mu podarować nowego psa. Ale nie jestem pewien. – Przez następnych parę minut milczał i wydawało mi się, że jest pochłonięty czym innym. Nagle, wpatrzony w rozwierającą się przed nami ciemność, wymamrotał z naciskiem: – Wó! Tak, wó! wó! wó!

Czułem się już zmęczony całą tą sprawą z psem Brodsky'ego, rozparłem się więc na swoim siedzeniu bez słowa, mając zamiar się odprężyć, zanim dotrzemy na miejsce. W pewnym momencie, chcąc dowiedzieć się czegoś o celu naszej podróży, powiedziałem:

– Mam nadzieję, że nie spóźnimy się zbytnio.

– Nie, nie. Będziemy na czas – odparł Hoffman, ale zdawało się, że myślami jest gdzie indziej. Po kilku minutach znów usłyszałem, jak mamrocze dobitnie: – Wó! Wó!

Po chwili skręciliśmy z otwartej drogi i znaleźliśmy się władnej dzielnicy willowej. W ciemności dostrzec mogłem duże domy z przyległymi gruntami, nierzadko otoczone wysokim murkiem lub ogrodzeniem. Hoffman krążył ostrożnie po obrosłych zielenią uliczkach i słyszałem, że znów ćwiczy pod nosem swoją kwestię.

Przez wysoką żelazną bramę wjechaliśmy na dziedziniec okazałej rezydencji. Dokoła zaparkowano wiele samochodów i kierownik hotelu nie od razu znalazł wolne miejsce. Gdy mu się to udało, wysiadł i ruszył pośpiesznie w stronę frontowego wejścia.

Ja natomiast przez chwilę jeszcze siedziałem w samochodzie, przyglądając się dużemu domowi w poszukiwaniu znaków mówiących coś o charakterze wydarzenia, w którym miałem zaraz uczestniczyć. W ścianie frontowej znajdował się rząd ogromnych okien, ciągnących się niemal do samej ziemi. W większości z nich za zasłonami paliło się światło, lecz nie mogłem dostrzec, co dzieje się w środku.

Hoffman zadzwonił do drzwi i dał mi znak ręką, bym do niego dołączył. Wysiadłem z samochodu i stwierdziłem, że deszcz przeszedł w mżawkę. Otuliłem się szczelnie szlafrokiem i ruszyłem ku domowi, starając się omijać kałuże.

Drzwi otworzyła pokojówka, która wprowadziła nas do przestronnego przedpokoju, udekorowanego wielkimi portretami. Widocznie znała Hoffmana, bo kiedy brała od niego płaszcz, zamienili ze sobą kilka słów. Hoffman zatrzymał się jeszcze przed lustrem, by poprawić muchę, po czym ruszył przodem w głąb domu.

Zbliżyliśmy się do obszernego, zalanego światłem pokoju, w którym w najlepsze toczyło się przyjęcie. Co najmniej sto osób w eleganckich strojach wieczorowych stało grupkami, trzymając w dłoniach drinki i oddając się konwersacji. Kiedy stanęliśmy na progu, Hoffman uniósł rękę, jakby chciał mnie osłonić, i powiódł spojrzeniem po sali.

– Jeszcze go nie ma – wymamrotał, po czym odwracając się do mnie z uśmiechem, odezwał się głośniejszym głosem: – Pana Brodsky’ego jeszcze nie ma. Ale jestem przekonany, tak, przekonany, że zaraz się pojawi. – Odwrócił się w stronę pokoju i przez chwilę jakby się wahał. W końcu jednak powiedział: – Proszę tu chwilę poczekać, panie Ryder, spróbuję znaleźć panią hrabinę. Gdyby jeszcze zechciał pan stanąć nieco dalej, o tam, w niewidocznym miejscu. Ha, ha! Jak pan pamięta, pańska obecność ma być wielką niespodzianką. Zaraz wracam.

Wszedł do pokoju, a ja obserwowałem, jak porusza się wśród gości z zatroskaną miną, wyraźnie kontrastującą z ogólną wesołością. Zauważyłem, że kilka osób próbowało go

zaczepić, ale Hoffman za każdym razem mijał je z roztargnionym uśmiechem. W końcu straciłem go z oczu i prawdopodobnie trochę się przesunąłem, próbując znów go dojrzeć. W każdym razie musiałem zwrócić na siebie uwagę, usłyszałem bowiem obok czyjś głos:

– Ach, to pan, panie Ryder. Jak to wspaniale, że wreszcie jest pan z nami.

Pokaźnych rozmiarów kobieta koło sześćdziesiątki położyła mi rękę na ramieniu. Uśmiechnąłem się i wymamrotałem coś w odpowiedzi, na co odparła:

– Wszyscy obecni pragną pana poznać.

Z tymi słowami stanowczo powiodła mnie w sam środek zbiorowiska.

Gdy z trudem przepychałem się przez ciżbę gości, kobieta zaczęła mnie wypytywać o różne rzeczy. Z początku były to zwykłe pytania o samopoczucie i podróż. Ale potem, wciąż prowadząc mnie przez pokój, jęła się szczegółowo rozpytywać na temat hotelu. Pytała o najdrobniejsze detale: czy mydło mi odpowiada, jak oceniam dywan w holu – co nasunęło mi podejrzenie, że jest konkurentką Hoffmana, zawistną o mój pobyt w jego hotelu. Ze sposobu, w jaki się nosiła i w jaki co chwila posyłała dokoła ukłony i uśmiechy, wywnioskowałem jednak, że z całą pewnością jest to sama gospodyni wieczoru, pani hrabina.

Początkowo sądziłem, że hrabina prowadzi mnie albo w określone miejsce, albo do określonej osoby, ale po chwili odniosłem wyraźne wrażenie, że z wolna okrążamy pokój. Kilka razy mogłem z całą pewnością stwierdzić, że już przynajmniej dwa razy byliśmy w tejże części pomieszczenia. Zauważyłem też z ciekawością, że choć ludzie odwracają głowy, by pozdrowić gospodynię, ona nie próbuje mnie nikomu przedstawić. Co więcej, mimo że od czasu do czasu ktoś uśmiechał się do mnie uprzejmie, nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Na pewno nikt nie przerywał rozmowy dlatego, że przechodziłem obok. Trochę mnie to zdziwiło, spodziewałem się bowiem, że jak zwykle będę zasypywany pytaniami i komplementami.

Po pewnym czasie w radosnej atmosferze towarzystwa wyczułem coś dziwnego – coś wymuszonego, by nie rzec: teatralnego – choć początkowo trudno mi było to sprecyzować. Wreszcie przystanęliśmy, gdyż hrabina wdała się w rozmowę z dwiema obwieszonymi biżuterią paniami, miałem więc okazję się rozejrzeć i pozbierać wrażenia. Dopiero wtedy sobie uzmysłowiłem, że nie jest to zwykłe cocktail party, ale że wszyscy ci ludzie czekają na uroczysty obiad. Miano go podać dwie godziny wcześniej, ale hrabina i jej przyjaciele musieli odwlec jego rozpoczęcie z powodu nieobecności pana Brodsky'ego – oficjalnego gościa honorowego – oraz mojej, wielkiej niespodzianki wieczoru. Rozglądając się po pokoju, zacząłem się powoli domyślać, co się wydarzyło przed naszym przybyciem.

Był to największy z dotychczasowych obiadów na cześć Brodsky'ego, a jednocześnie

ostatni przed doniosłymi wydarzeniami czwartkowego wieczoru, stąd też nie było mowy o swobodnej atmosferze. Spóźnienie Brodsky'ego tylko spotęgowało ogólne napięcie. Z początku goście – świadomi, że stanowią elitę miasta – zachowywali spokój, unikając wszelkich komentarzy, które mogłyby zostać odczytane jako wyraz zwątpienia w słowność pana Brodsky'ego. Większość z powodzeniem wystrzegła się jakichkolwiek wzmianek na jego temat, pokrywając zdenerwowanie niekończącymi się rozważaniami o tym, kiedy zostanie podany obiad.

Potem gruchnęła wieść o psie pana Brodsky'ego. Nie wiadomo dokładnie, jak doszło do ujawnienia tej informacji w tak niepewnej atmosferze. Możliwe, że wiadomość przekazano telefonicznie, a któryś z miejskich oficjeli, w mniemaniu, że uspokoi atmosferę, niefortunnie zdradził ją garstce gości. Nowina natychmiast obiegła podenerwowane i głodne towarzystwo, skutki zaś nie dały na siebie długo czekać. Po pokoju zaczęły krążyć różne, najbardziej fantastyczne plotki. Kiedy odnaleziono Brodsky'ego, był kompletnie pijany i tulił do siebie trupa swojego psa. Widziano, jak Brodsky leży w kałuży na ulicy i bełkocze. Pogrążony w smutku, mówiono, próbował się zabić, pijąc parafinę. Ta ostatnia opowieść miała źródło w wypadku, do którego doszło kilka lat wcześniej, kiedy to farmer z sąsiedztwa odwiózł Brodsky'ego do szpitala, po tym, jak w czasie libacji rzeczywiście napił się on parafiny, nigdy jednak nie ustalono, czy zrobił to z zamiarem popełnienia samobójstwa, czy też przez zwykłą pijacką pomyłkę. Wkrótce plotki ustąpiły miejsca desperackim komentarzom.

– Ten pies był dla niego wszystkim. Nigdy się z tego nie otrząśnie. Wróciliśmy do punktu wyjścia, trzeba to sobie powiedzieć wprost.

– Musimy odwołać czwartkowy wieczór. Natychmiast. Teraz to już przegrana sprawa. Jeśli się nie wycofamy, mieszkańcy miasta na zawsze stracą do nas zaufanie.

– To był zbyt ryzykowny wybór. Nie powinniśmy byli dopuścić, by sprawy zaszły tak daleko. Co możemy jeszcze zrobić? Jesteśmy skończeni, skończeni na amen.

W czasie gdy hrabina i jej przyjaciele próbowali odzyskać kontrolę nad rozwojem wypadków, gdzieś w pobliżu środka pokoju rozległy się nagle okrzyki.

Wiele osób rzuciło się w stronę miejsca zajścia, kilka cofnęło się trwożliwie. Okazało się, że jeden z młodszych członków rady miejskiej przygniótł do podłogi okrągłego, łysego jegomościa, w którym po chwili wszyscy rozpoznali pana Kellera, weterynarza. Młodego radnego zdołano odciągnąć, ale tak mocno wczepił się w klapy marynarki Kellera, że uniósł go ze sobą.

– Robiłem co w mojej mocy! – krzyczał Keller, czerwony na twarzy. – Robiłem co w mojej mocy! Co więcej mogłem uczynić? Jeszcze dwa dni temu zwierzę czuło się dobrze!

– Oszust! – wrzasnął młody radny i spróbował ponowić atak.

Znowu go odciągnięto, lecz teraz kilka innych osób, dostrzegłszy kandydata na kozła ofiarnego, także zaczęło krzyczeć na Kellera. Na weterynarza ze wszystkich stron posypał się grad oskarżeń, w których przypisywano mu niedbalstwo oraz zagrożenie przyszłości miasta. W tym momencie ktoś zawołał:

– A co z kotkami Breuerów?! Grasz bez przerwy w brydża i pozwalasz im mrzeć, jednemu po drugim...

– W brydża gram tylko raz w tygodniu, a nawet gdyby... – zaczął chrapliwie protestować weterynarz, lecz natychmiast krzyki pozostałych zagłuszyły jego słowa. Zdawało się, że nagle wszyscy w pokoju mają do weterynarza jakiś zadawniony żal o to czy inne ukochane zwierzę. Potem ktoś krzyknął, że Keller był mu winien pieniądze, ktoś inny, że Keller nigdy nie oddał mu grabi, które pożyczył sześć lat temu. Wkrótce emocje skierowane przeciwko weterynarzowi sięgnęły szczytu, można więc było oczekiwać, że osoby przytrzymujące młodego radnego rozluźnią uścisk. I gdy ten ponownie spróbował się rzucić do przodu, tym razem wyglądało na to, że działa w imieniu ogromnej większości zgromadzonych. Istniało już poważne niebezpieczeństwo, że za chwilę sytuacja przybierze nieprzyjemny obrót, gdy nagle głos z drugiego końca pokoju przywołał wszystkich do porządku.

To, że wszyscy ucichli tak gwałtownie, należało przypisać raczej zdumieniu wywołanemu samą osobą mówiącego aniżeli jakiegś szczególnej, wrodzonej charyzmem. Albowiem osobą, która skupiła na sobie wzrok wszystkich obecnych i która teraz spoglądała na nich z podestu, był Jakob Kanitz, człowiek znany w mieście głównie ze swojej nieśmiałości. Zbliżał się do pięćdziesiątki i odkąd każdy pamiętał, zawsze zajmował to samo nudne, urzędnicze stanowisko w ratuszu. Rzadko się ośmielał wypowiedzieć swoje zdanie, a już tym bardziej przeciwstawić się bądź posprzeczać. Nie miał bliskich przyjaciół, a kilka lat wcześniej wyprowadził się z niewielkiego domu, który dzielił z żoną i trojgiem dzieci, i wynajął mały pokoik na poddaszu na tej samej ulicy. Gdy ktoś poruszał ten temat, oznajmiał, że wkrótce wróci do rodziny, ale lata mijały, a sytuacja pozostawała bez zmian. Tymczasem – w dużej mierze dzięki gotowości, z jaką zawsze się podejmował wielu niewdzięcznych prac związanych z organizacją wydarzeń kulturalnych – stał się uznanym, choć traktowanym nieco pobłażliwie członkiem kręgów artystycznych miasta.

Zanim wszyscy zdążyli ochłonąć ze zdziwienia, Jakob Kanitz, jakby przeczuwając, że za chwilę może go opuścić odwaga, zaczął mówić:

– Weźmy inne miasta! Niekoniecznie Paryż czy Stuttgart, ale mniejsze miasta, nie

większe od naszego. Gdyby zgromadzić najlepszych obywateli tych miast i postawić ich w podobnej trudnej sytuacji, co by zrobili? Na pewno zachowaliby spokój. Tacy ludzie wiedzieliby, co robić, jak się zachować. My wszyscy jesteśmy najlepszą częścią tego miasta. To nie przekracza naszych możliwości. Wspólnymi siłami możemy przezwyciężyć kryzys. Czy w Stuttgarcie walczyliby między sobą? Nie ma powodów do paniki. Za wcześnie, by się poddawać i brać się za łby. Racja, pies jest pewnym problemem, ale to jeszcze nie koniec, jeszcze nic się nie stało. Jakikolwiek by był obecny stan pana Brodsky'ego, możemy go znów postawić na nogi. Możemy to zrobić, pod warunkiem że dziś wieczorem każdy odegra swoją rolę jak należy. Na pewno zdołamy, musimy. Musimy postawić go na nogi. W przeciwnym razie, jeśli nie weźmiemy się w garść i nie załatwimy tego wieczorem, w przyszłości nie czeka nas nic prócz męki, to wam mówię! Właśnie tak, głęboka, samotna męka! Nie mamy się już do kogo zwrócić, to musi być pan Brodsky, nie ma nikogo innego. Prawdopodobnie jest już w drodze. Musimy zachować spokój. A my co robimy? Walczymy! Czy w Stuttgarcie by walczyli? Musimy myśleć jasno. Jak czulibyśmy się na jego miejscu? Powinniśmy mu pokazać, że łączymy się z nim w smutku, że całe miasto pogrążone jest w żałobie. Potem zaś... rozważcie to, przyjaciele... trzeba nam go rozweselić. Tak, tak! Nie możemy spędzić całego wieczoru w ponurym nastroju, zostawiając go w przekonaniu, że nie ma się już dokąd zwrócić. W żadnym wypadku! Odpowiednie proporcje! Musimy też być weseli, pokazać mu, że w życiu jest tyle innych rzeczy, że wszyscy w niego wierzymy, polegamy na nim. Tak, musimy się z tym uporać w ciągu paru najbliższych godzin. Prawdopodobnie jest już w drodze, Bóg jeden wie w jakim stanie. Tych kilka najbliższych godzin zadecyduje o wszystkim. Musimy się z tym uporać. W przeciwnym razie nic, tylko męka. Musimy... musimy...

W tym miejscu Jakob Kanitz zmieszał się i umilkł. Jeszcze przez kilka sekund stał na podeście, niemy i coraz bardziej zażenowany. W ostatnim przyływie poprzedniej werwy powiódł wzrokiem po wszystkich zgromadzonych, po czym odwrócił się trwożliwie i zszedł na dół.

A jednak ten niezdarny apel odniósł natychmiastowy skutek. Zanim jeszcze Jakob Kanitz skończył mówić, dały się słyszeć ciche, przytakujące pomruki, a co niektórzy z wyrzutem szturchali młodego radnego w ramię, ten zaś wstydliwie przestępował z nogi na nogę. Kiedy Jakob Kanitz opuścił podest, nastąpiła chwila niezręcznego milczenia, którą przerwał narastający szum rozmów. Poważne, spokojne głosy jęły rozważać, co należy zrobić, gdy przybędzie Brodsky. Wkrótce zgodzono się, że Jakob Kanitz ujął to z grubsza właściwie. Chodziło o to, by zachować odpowiednie proporcje między smutkiem a

wesołością. Każdy z obecnych musi przez cały czas uważnie czuwać nad nastrojem wieczoru. Skoro więc ustalono, jak należy postąpić, napięcie zaczęło stopniowo opadać i już wkrótce ludzie uśmiechali się do siebie, gawędzili, pozdrawiali się grzecznym tonem, jakby do gorszących wydarzeń ostatnich trzydziestu minut nigdy nie doszło. Niedługo potem – nie więcej niż dwadzieścia minut po wystąpieniu Jakoba Kanitza – przybyliśmy ja i Hoffman. Nic dziwnego, że pod powierzchnią uładowanej wesołości wyczułem sztuczność.

Wciąż jeszcze myślałem o zdarzeniach poprzedzających nasze przybycie, gdy w drugim końcu pokoju zauważyłem Stephana, który rozmawiał z jakąś starszą damą. Stojąca obok mnie hrabina wydawała się wciąż pochłonięta rozmową z dwiema strojnymi w klejnoty kobietami, więc wymamrotawszy jakieś przeprosiny, zacząłem się od nich oddalać. Kiedy Stephan zauważył, że idę w jego stronę, uśmiechnął się.

– Ach, jest pan, panie Ryder. Chciałbym panu przedstawić pannę Collins.

Rozpoznałem szczupłą starszą panią, pod której dom zawiózł nas Stephan tego wieczoru. Miała na sobie prostą, lecz elegancką czarną suknię. Gdy wymienialiśmy pozdrowienia, uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę. Byłem już gotów wdać się z nią w towarzyską rozmowę, kiedy Stephan nachylił się i powiedział cicho:

– Jaki ze mnie głupiec! Naprawdę nie wiem, co lepsze. Panna Collins jak zwykle okazała mi wiele dobroci, ale chciałbym jeszcze usłyszeć pańską opinię na ten temat.

– Ma pan na myśli... psa pana Brodsky'ego?

– Nie, nie, choć to takie okropne, zdaję sobie sprawę. Mówiliśmy o czymś zupełnie innym. Bardzo mi zależy na pańskiej radzie. Panna Collins zachęcała mnie właśnie, żebym pana odnalazł, prawda, panno Collins? Nie chciałbym pana zanudzać, ale, widzi pan, zaistniała pewna komplikacja. Chodzi o czwartkowy wieczór. Boże, jaki ze mnie głupiec! Jak pan wie, przygotowywałem się do wykonania *Dalii* Jean-Louisa La Rochem, ale aż do dzisiaj trzymałem to w tajemnicy przed ojcem. Chciałem sprawić mu niespodziankę; on tak kocha La Roche'a. Co więcej, ojciec nigdy by nie podejrzewał, że zdołam opanować tak trudny utwór, myślałem więc, że będzie to dla niego podwójna niespodzianka. Całkiem niedawno doszedłem jednak do wniosku, że biorąc pod uwagę, jak niewiele dni dzieli nas od tego ważnego wieczoru, praktyczniej będzie wyjawić sekret. Choćby dlatego, że trzeba wydrukować program, którego egzemplarz ma leżeć obok każdej serwetki. Ojciec męczy się nad projektem, próbuje rozplanować wytłoczenia, rysunki na odwrocie i tak dalej. Już kilka dni temu zrozumiałem, że będę musiał mu powiedzieć, ale nadal chciałem go mile zaskoczyć, toteż czekałem na odpowiedni moment. Kiedy dzisiaj wysadziłem pana i Borisa przed hotelem, zaraz potem poszedłem do jego biura, żeby mu oddać kluczyki. Ojciec siedział na

podłódze, podpierając się rękoma, i przeglądał walające się dokoła sterty papierów. Nic w tym dziwnego, ojciec często tak pracuje. Jest to dość małe pomieszczenie, samo biurko zajmuje mnóstwo miejsca, więc żeby odłożyć kluczyki, musiałem stapać na palcach. Zapytał, jak mi leci, i zanim zdążyłem odpowiedzieć, znów zagłębił się w swoich papierach. Kiedy wychodziłem, spojrzałem na niego jeszcze raz i widząc, jak siedzi na dywanie w tej swojej pozycji, nie wiadomo dlaczego nagle wydało mi się, że to odpowiedni moment, aby mu powiedzieć. Taki impuls. Odezwałem się więc, ni stąd, ni zowąd: „Tak przy okazji, ojcie, w czwartek wieczorem mam zamiar zagrać *Dalię* La Roche’a. Pomyślałem, że może chcesz wiedzieć”. Nie powiedziałem tego w jakiś szczególny sposób, lecz całkiem zwyczajnie, potem zaś czekałem na jego reakcję. Ojciec odłożył dokument, który akurat czytał, ale dalej patrzył przed siebie, w dywan. Potem na jego twarzy pojawił się uśmiech i powiedział coś w rodzaju: „Ach tak, *Dalię*” i przez chwilę wydawał się bardzo szczęśliwy. Nie podniósł wzroku, wciąż siedział na podłódze, podpierając się rękoma, ale wydawał się szczęśliwy. Potem zamknął oczy i zaczął nucić początek adagia, tak jak siedział, kiwając w takt głową. Wydawał się taki szczęśliwy i spokojny, panie Ryder, że już gratulowałem sobie trafnego wyboru. Potem otworzył oczy, posłał mi rozmarzony uśmiech i powiedział: „Tak, to bardzo piękne. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego twoja matka tak tego nie cierpi”. Jak właśnie mówiłem pannie Collins, sądziłem, że się przesłyszałem. Po chwili jednak ojciec powtórzył: „Twoja matka tego nie cierpi. Jak wiesz, ostatnio przestała tolerować późne dzieła La Roche’a. Nie pozwala mi odtwarzać nagrań z jego muzyką, nawet przez słuchawki”. W tym momencie musiał zauważyć moje zaskoczenie i zdenerwowanie, bo natychmiast zaczął mnie pocieszać. To dla niego typowe! „Powinienem był zapytać dużo wcześniej”, mówił. „To moja wina”. Potem nagle palnął się w czoło, jakby sobie przypomniał o czymś innym, i powiedział: „Doprawdy, Stephanie, zawiodłem was oboje. Uważałem, że robię słusznie, nie ingerując, ale teraz widzę, że zawiodłem was oboje”. A kiedy zapytałem, co ma na myśli, wyjaśnił, że przez cały ten czas matka spodziewała się usłyszeć w moim wykonaniu *Szklane pasje* Kazana. Widocznie jakiś czas temu dała ojcu do zrozumienia, że pragnęłaby, żebym zagrał właśnie to, i naturalnie z góry założyła, że ojciec wszystko załatwi. Ale ojciec spojrzał na to z mojego punktu widzenia, jest bowiem niezwykle wyczulony na takie sprawy, i uznał, że każdy muzyk, nawet taki amator jak ja, sam chciałby podjąć decyzję dotyczącą równie ważnego występu. Tak więc nic mi nie powiedział, nosząc się ze szczerym zamiarem wytłumaczenia wszystkiego matce przy najbliższej okazji. Lecz oczywiście... cóż, lepiej będzie, jeśli to panu dokładniej wyjaśnię. Widzi pan, kiedy mówię, że matka zasugerowała ojcu Kazana, nie twierdzę, że mu to powiedziała wprost. Niełatwo wytłumaczyć to komuś z zewnątrz. Odbywa

się to tak, że matka w pewien sposób podsuwa mu jakąś myśl, nie wspominając o tym ani słowem. Robi to za pomocą różnych znaków, które on z łatwością odczytuje. Nie wiem, czym dokładnie posłużyła się tym razem. Być może ojciec wrócił po pracy do domu i zastał ją słuchającą *Szklanych pasji* z płyty. Ponieważ matka rzadko nastawia gramofon, byłby to dość czytelny sygnał. Albo po kąpieli ojciec zauważył, że matka czyta w łóżku książkę o Kazanie... trudno mi powiedzieć, w każdym razie tak to się między nimi zawsze odbywało. Sam pan widzi, że ojciec nie mógł jej po prostu powiedzieć: „Nie, wybór należy do Stephana”. Czekał na właściwy moment, by jej to w odpowiedni sposób zakomunikować. A poza tym nie mógł wiedzieć, że wybrałem właśnie *Dalię* La Roche’a. Boże, jaki ze mnie głupiec! Nie miałem pojęcia, że matka tego nie cierpi. No więc przedstawił mi sytuację, a ja zapytałem go, co jego zdaniem powinienem zrobić. Zastanowił się i powiedział, że powinienem zostać przy La Roche’u, bo już za późno na zmianę. „Matka nie będzie cię za to winić”, ciągnął. „Ani przez chwilę nie będzie cię za to winić. Będzie winiła mnie, i słusznie”. Biedny ojciec, tak bardzo starał się mnie pocieszyć, ale widziałem, że ogarnia go przygnębienie. Po chwili utkwiał wzrok w jednym punkcie na dywanie... wciąż jeszcze siedział na podłodze, choć się pochylił, jak gdyby robił pompki... tak więc utkwiał wzrok w dywanie i mamrotał do siebie: „Przeżyję. Przeżyję. Bywało gorzej. Przeżyję”. Po chwili, jak się zdawało, już nie pamiętał, że wciąż jeszcze tam jestem, więc po prostu wyszedłem, cichutko zamykając za sobą drzwi. Od tego czasu, panie Ryder, trudno mi myśleć o czym innym. Zupełnie nie wiem, co począć. Zostało tak mało czasu, a *Szklane pasje* to trudny utwór; czy to możliwe, żebym zdążył go przygotować? Jeśli mam być szczery, wydaje mi się, że zagranie tego utworu przekracza nieco moje możliwości, nawet gdybym miał cały rok na przygotowanie.

Młody człowiek urwał z pełnym udręki westchnieniem. Przez dłuższą chwilę zarówno on, jak i panna Collins milczeli, toteż domyśliłem się, że oczekuje mojej odpowiedzi. Powiedziałem więc:

– Co prawda, to nie moja sprawa, sam pan musi podjąć decyzję, uważam jednak, że skoro zostało panu niewiele czasu, powinien pan poprzestać na tym, co pan przygotował...

– Spodziewałam się, że pan to powie, panie Ryder. – Ta uwaga wyszła z ust panny Collins. W jej głosie pobrzmiwał nieoczekiwany cynizm, który kazał mi przerwać i odwrócić się do niej. Starsza pani utkwiała we mnie przenikliwe, nieco wyniosłe spojrzenie. – Z całą pewnością – ciągnęła – nazwie to pan... jak?... Ach tak, „artystyczną uczciwością”.

– Niezupełnie, panno Collins – powiedziałem. – Chodzi o to, że z praktycznego punktu widzenia jest już zbyt późno, by...

– Ale skąd ma pan pewność, że jest już za późno, panie Ryder? – wtrąciła znowu. – Przecież prawie pan nie zna możliwości Stephana. Nie mówiąc już o głębszych aspektach jego obecnego położenia. Dlaczego z taką łatwością feruje pan wyroki, jak gdyby obdarzony był pan jakimś szóstym zmysłem, którego my wszyscy nie mamy?

Już od pierwszych słów panny Collins czułem rosnące zakłopotanie i gdy mówiła dalej, z wolna odwracałem się od niej, aby uniknąć jej wzroku. Ponieważ nie przychodziła mi na myśl żadna stosowna riposta, po chwili uznałem, że najlepiej będzie uciąć rozmowę, więc tylko zaśmiałem się na odchodne i wtopiłem się w tłum gości.

Przez kilka następnych minut krążyłem bez celu po pokoju. Tak jak przedtem, ludzie odwracali się czasem, gdy przechodziłem obok nich, ale nikt nie okazał, że mnie rozpoznaje. W pewnej chwili dostrzegłem Pedersena, człowieka, którego poznałem w kinie i który teraz śmiał się w towarzystwie kilku innych gości. Pomyślałem, że do niego podejść, zanim jednak zdążyłem to zrobić, poczułem, że coś dotyka mojego łokcia, i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem stojącego obok mnie Hoffmana.

– Proszę wybaczyć, że na chwilę musiałem zostawić pana samego. Mam nadzieję, że ktoś się panem zajął. Co za sytuacja!

Kierownik hotelu oddychał ciężko, a jego twarz błyszczała od potu.

– Tak, nie nudziłem się.

– Przepraszam, musiałem wyjść z pokoju, żeby odebrać telefon. Ale już są w drodze, to pewne, już tu jadą. Pan Brodsky może się zjawić w każdej chwili. Boże drogi! – Powiódł dokoła wzrokiem, po czym nachylił ku mnie głowę i powiedział ściszym głosem: – Nie wszyscy powinni się tu znaleźć. Błąd, duży błąd. Ostrzegałem ich. Niektórzy goście, szkoda słów... – Pokręcił głową. – Co za sytuacja!

– Ale przynajmniej pan Brodsky jest już w drodze...

– Tak, tak. Muszę powiedzieć, panie Ryder, że pańska obecność dodaje mi otuchy. Właśnie wtedy, gdy pana potrzebujemy. W zasadzie nie widzę powodu, by zmieniał pan przygotowane na dziś przemówienie w związku z... z nowo zaistniałymi okolicznościami. Jedna czy dwie uwagi na temat tej tragedii na pewno by nie zaszkodziły, ale postaramy się, by ktoś inny powiedział parę słów o psie, nie ma potrzeby, by pan coś zmieniał. Ważne tylko, aby pańskie przemówienie nie było zbyt długie. Ha, ha! Ale naturalnie jest pan ostatnią osobą, która... – Zaśmiał się i urwał, po czym znów rozejrzał się po pokoju. – Niektórzy goście... – powtórzył. – Błąd, duży błąd. Ostrzegałem ich.

Hoffman nie przestawał się rozglądać, mogłem więc na chwilę skupić myśli na sprawie wspomnianej przez kierownika hotelu przemowy. Po chwili powiedziałem:

– Panie Hoffman, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, nie jestem do końca pewien, w którym dokładnie momencie powinienem wstać i...

– Ach, racja, racja. Bardzo rozsądne spostrzeżenie. Istotnie, gdyby wstał pan zgodnie z planem, nie wiadomo, co mogłoby się stać... Tak, podziwu godna dalekowzroczność. Będę siedział obok pana Brodsky'ego, może więc pozwoli pan, że to ja zadecyduję, kiedy jest odpowiednia chwila. Może łaskawie poczeka pan na sygnał ode mnie. Mój Boże, jak dobrze w obecnej sytuacji mieć przy sobie kogoś takiego jak pan.

– Cieszę się, że mogę się na coś przydać.

Z drugiego końca pokoju dobiegł jakiś hałas i Hoffman odwrócił się gwałtownie. Wykręcił szyję, żeby dojrzeć przeciwległą część pokoju, choć wydawało się oczywiste, że nie dzieje się tam nic szczególnego. Chrząknąłem, by z powrotem zwrócić na siebie jego uwagę.

– Panie Hoffman, jest jeszcze coś. Wydaje mi się – wskazałem na swój szlafrok – że powinienem się przebrać w coś bardziej oficjalnego. Jeśli to możliwe, chciałbym wypożyczyć jakieś ubranie. Nic szczególnie eleganckiego.

Hoffman spojrział przelotnie na mój strój i prawie natychmiast odwrócił głowę, mówiąc z roztargnieniem:

– Proszę się nie krępować, panie Ryder. Nie jesteśmy aż tacy rygorystyczni.

Ponownie wykręcił szyję, patrząc w drugi koniec pokoju. Było dla mnie dość oczywiste, że moje słowa w ogóle do niego nie dotarły, i już miałem wrócić do tej kwestii, gdy w pobliżu wejścia znowu dało się zauważyć poruszenie. Hoffman drgnął, po czym odwrócił się do mnie z upiornym uśmiechem.

– Jest! – wyszeptał, dotknął mojego ramienia i oddalił się pospiesznie.

W pokoju zapadła cisza i przez kilka sekund wszyscy patrzyli w stronę drzwi. Ja także próbowałem dostrzec, co się dzieje, ale inni zasłaniali mi widok. Nagle, jakby przypominając sobie o swoim postanowieniu, ludzie podjęli przerwane rozmowy, z kontrolowaną wesołością w głosach.

Przecisnąłem się przez ciżbę ludzką i w końcu udało mi się dostrzec Brodsky'ego w towarzystwie kilku osób prowadzących go przez pokój. Hrabina trzymała go pod ramię z jednej strony, Hoffman z drugiej, a cztery czy pięć innych osób kręciło się niespokojnie w pobliżu. Brodsky, wyraźnie ignorując swoich towarzyszy, wlepił pochmurny wzrok w bogato zdobiony sufit pokoju. Mężczyzna był wyższy i postawniejszy, niż się spodziewałem, choć w tym momencie kroczył sztywno, nienaturalnie pochylony, z daleka mogło się więc wydawać, że ktoś ciągnie go na kółkach. Na twarzy miał zarost, ale niezbyt rażący, a jego marynarka była lekko przekrzywiona, jak gdyby nie on sam, lecz ktoś inny ją na niego

włożył. Rysy twarzy, choć postarzałe i zgrubiałe, nosiły ślady niegdysiejszego dostojęstwa.

Przez chwilę myślałem, że prowadzą go do mnie, lecz potem zdałem sobie sprawę, że kierują się do przyległej jadalni. Stojący w drzwiach kelner wprowadził Brodsky'ego i jego towarzyszy do środka i kiedy znikli z pola widzenia, w pokoju ponownie zapadło milczenie. Wkrótce znów rozległy się rozmowy, ale w powietrzu dało się wyczuć napięcie.

Mój wzrok padł na ustawione pod ścianą samotne krzesło i przyszło mi do głowy, że być może nowy punkt obserwacyjny pozwoli mi lepiej ocenić ogólny nastrój i dostosować doń moją mowę w czasie obiadu. Podeszedłem do krzesła, usiadłem i przez kilka minut obserwowałem towarzystwo.

Goście wciąż się śmiali i rozmawiali, ale podskórne napięcie wyraźnie rosło. W związku z tym, a także z uwagi na to, że kto inny miał się skupić na sprawie psa, uznałem, że rozsądnie będzie utrzymać mowę w stosunkowo lekkim tonie. Ostatecznie postanowiłem opowiedzieć kilka zabawnych zakulisowych anegdot o serii nieszczęśliwych wypadków, które prześladowały mnie podczas ostatniego tournée po Włoszech. Opowiadałem je publicznie już wiele razy i wiedziałem, że doskonale rozładowują napięcie, co dawało mi pewność, że i w tych okolicznościach zostaną dobrze przyjęte.

Właśnie się zastanawiałem, w jaki sposób zacząć przemówienie, gdy zauważyłem, że tłum wyraźnie się przerzedził. Dopiero wtedy spostrzegłem, że goście przechodzą do jadalni, więc i ja podniosłem się z krzesła.

Kiedy dołączyłem do procesji zdążającej na obiad, kilka osób posłało mi niewyraźny uśmiech, ale nikt się do mnie nie odezwał. Było mi to zupełnie obojętne, ponieważ w myślach wciąż intensywnie szukałem wstępu, który natychmiast przykułby uwagę słuchaczy. Kiedy byłem już blisko drzwi jadalni, pozostały mi do wyboru dwa warianty. Pierwszy brzmiał tak: „Od wielu lat moje nazwisko kojarzone jest na ogół z pewnymi cechami charakteru. Pedantyczna dbałość o szczegół. Precyzja wykonania. Ścisła kontrola nad dynamiką”. Tę udawaną napuszoność szybko bym podkopał zabawnymi relacjami z wydarzeń, do których doszło w Rzymie. Innym rozwiązaniem był wstęp od razu zdradzający groteskowość opowieści: „Spadające ramy kurtyn. Otrute szczury. Błędy w partyturze. Sądzę, że niewiele osób byłoby skłonnych kojarzyć podobne historie z moim nazwiskiem”. Obydwa wstępy miały swoje dobre i złe strony i w końcu postanowiłem odłożyć ostateczną decyzję na później, uzależniając ją od nastroju panującego przy obiedzie.

Wszedłem do jadalni w otoczeniu podekscytowanych, rozgadanych ludzi. Od razu uderzyła mnie jej przestronność. Zrozumiałem, dlaczego, mimo że towarzystwo liczyło z górą sto osób, wystarczyło oświetlić tylko jedną część sali. Wiele okrągłych stołów nakryto

białymi obrusami i srebrną zastawą, lecz co najmniej drugie tyle było nienakrytych i bez krzesel, a ich rzędy ginęły w cieniu. Wielu gości siedziało już przy stole i ogólny obraz – blask klejnotów zdobiących panie, świeża biel kelnerskich marynarek, czerń garniturów panów, a w głębi ciemność – robił pewne wrażenie. Scenę tę oglądałem, przystanąwszy tuż za progiem, obciążając przy okazji szlafrok, gdy nagle obok mnie wyrosła hrabina. Podobnie jak wcześniej, wzięła mnie pod ramię i zaczęła prowadzić, mówiąc:

– Zechce pan usiąść o tu, przy tym stole. W tym miejscu nie będzie się pan zbyt rzucił w oczy. Nie chcemy, by ludzie natychmiast pana wypatrzyli, bo zepsułoby to nam niespodziankę. Proszę się jednak nie obawiać: kiedy oznajmimy pańską obecność i pan wstanie, wszyscy będą pana dobrze widzieć i słyszeć.

Chociaż stół, do którego mnie przywiodła, stał w rogu sali, wcale nie wydawał mi się mniej widoczny niż inne. Usadowiwszy mnie za nim, powiedziała z uśmiechem coś, co utonęło w ogólnym zgiełku, po czym się oddaliła.

Oprócz mnie przy stole siedziały cztery inne osoby – jedna para w średnim wieku, druga nieco młodsza – które uśmiechnęły się do mnie zdawkowo i wróciły do przerwanej rozmowy. Starszy mężczyzna tłumaczył, dlaczego ich syn chciał zostać w Stanach Zjednoczonych, a potem rozmowa zeszła na ich pozostałe dzieci. Od czasu do czasu któreś z nich posyłało mi spojrzenie lub też – kiedy padał żart – uśmiech, pozornie włączając mnie do swojego grona. Ponieważ jednak nikt nie zwracał się do mnie bezpośrednio, wkrótce przestałem śledzić ich rozmowę.

Później, kiedy kelnerzy zaczęli roznosić zupę, zauważyłem, że rozmowa powoli się rwie. W końcu, przy głównym daniu, moi współbiesiadnicy przestali dbać o pozory i zaczęli omawiać sprawę, która naprawdę ich nurtowała. Prawie nie kryjąc swoich spojrzeń w stronę Brodsky'ego, ściszonymi głosami snuli domysły na temat jego obecnego stanu. W pewnym momencie młodsza kobieta powiedziała:

– Ktoś powinien do niego podejść i przekazać mu, jak bardzo jest nam przykro. Wszyscy powinniśmy do niego podejść. Zdaje się, że dotychczas nikt mu tego nie powiedział. Popatrzcie: ci, którzy siedzą przy nim, prawie się do niego nie odzywają. Może my powinniśmy zacząć. Potem inni poszliby w nasze ślady. Może każdy czeka, aż zrobią to inni, tak jak my.

Pozostali jęli zaraz ją utwierdzać w przekonaniu, że gospodarze w pełni panują nad sytuacją, że Brodsky wygląda całkiem dobrze, ale po chwili sami spoglądali z niepokojem w jego stronę.

Ja również skorzystałem z okazji, by dość uważnie przyjrzeć się Brodsky'emu. Stół,

przy którym siedział, był trochę większy od innych. Resztę towarzystwa stanowili poważni, siwowłosi panowie. Stłumione, konspiracyjne głosy, jakimi wciąż się porozumiewali, nie wpływały bynajmniej na polepszenie ogólnej atmosfery. Sam Brodsky jadł stale, choć bez łapczywości, i nic nie wskazywało na to, że jest pijany. Wydawał się jednak pogrążony we własnym świecie. Przy głównym daniu Hoffman prawie przez cały czas trzymał rękę za plecami Brodsky'ego i szeptał mu coś do ucha, lecz ten wciąż gapił się ponuro przed siebie, nie reagując. Także hrabina dotknęła jego ramienia i coś do niego powiedziała, ale również nie uzyskała odpowiedzi.

Kiedy deser miał się ku końcowi – potrawy, choć niezbyt wystawne, były dość smaczne – zauważyłem, że Hoffman zmierza w moją stronę, wymijając rozbieganych kelnerów. Stanąwszy obok mnie, nachylił się i wyszeptał mi do ucha:

– Pan Brodsky chciałby powiedzieć parę słów, ale szczerze mówiąc, staramy się go odwieść od tego zamiaru. Ha, ha! Naszym zdaniem tego wieczoru nie powinien się narażać na dodatkowe stresy. Toteż chciałbym pana prosić, żeby uważnie wypatrywał pan sygnału ode mnie i żeby się pan podniósł, gdy tylko go pan dostrzeże. Zaraz po pańskim wystąpieniu hrabina zamknie oficjalną część wieczoru. Tak, naprawdę uważamy, że pan Brodsky nie powinien się narażać na dodatkowe stresy. Biedak, ha, ha! Niektórzy goście... – Pokręcił głową i westchnął. – Dzięki Bogu, jest pan z nami, panie Ryder.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, Hoffman biegł już z powrotem do swojego stołu, przemykając wśród kelnerów.

Przez parę następnych minut rozglądałem się po pokoju, ważąc w myślach dwa możliwe sposoby rozpoczęcia mojego przemówienia. Wciąż jeszcze nad tym myślałem, gdy nagle ucichł zgiełk rozmów. Jak się po chwili zorientowałem, siedzący obok hrabiny mężczyzna o surowym wyrazie twarzy powstał z miejsca.

Był to dość wiekowy, posiwiały mężczyzna. Musiał wzbudzać respekt, prawie natychmiast bowiem zapadło całkowite milczenie. Jeszcze przez kilka sekund mężczyzna o surowym wyrazie twarzy patrzył na zgromadzonych gości z naganą, po czym powiedział głosem stłumionym, lecz doniosłym:

– Szanowny panie. Kiedy odchodzi tak wspaniały, szlachetny towarzysz, wszelkie słowa muszą się wydać banalne i pozbawione treści. Czuliśmy się jednak w obowiązku oficjalnie przekazać panu, panie Brodsky, w imieniu wszystkich zgromadzonych tu osób, wyrazy naszego najgłębszego współczucia. – Przerwał, a po sali przebiegł szmer aprobaty. Po chwili podjął: – Pański pies, Bruno, nie tylko pozyskał sobie miłość tych, którzy widywali, jak wędrował po naszym mieście za swoimi sprawami. Więcej: zyskał pozycję rzadko

spotykaną wśród ludzi, nie mówiąc już o czworonogach. Mianowicie stał się symbolem. Tak, szanowny panie, w naszych oczach symbolizował pewne fundamentalne cnoty. Bezwzględna wierność. Nieustraszoną pasję życia. Niezgodę na lekceważenie ze strony otoczenia. Odwagę postępowania we własny, specyficzny sposób, na przekór napuszonym obserwatorom. Są to cnoty, które przez lata kształtowały niepowtarzalny charakter naszej dumnej społeczności. Cnoty, które, ośmielę się dodać – słowa te wypowiedział ze szczególnym naciskiem – już wkrótce mamy nadzieję ponownie ujrzeć w pełnym rozkwicie. – Urwał i popatrzył na zebranych. Przez chwilę toczył po nich swoim lodowatym spojrzeniem, aż rzekł na koniec: – Proponuję, byśmy uczcili pamięć naszego nieodżałowanego przyjaciela minutą ciszy.

Spuścił wzrok, a wraz z nim wszyscy pochyłili głowy w całkowitym milczeniu. W pewnym momencie zerknąłem do góry i zauważyłem, że niektórzy ojcowie miasta, siedzący przy stole Brodsky'ego, pragnąc zapewne świecić innym przykładem, przyjęli postawę przesadnego smutku, graniczącą ze śmiesznością. Jeden z nich skrył nawet twarz w dłoniach. Natomiast Brodsky – który podczas przemówienia siedział nieruchomo, ani razu nie podniósł oczu, czy to na mówcę, czy to na słuchaczy – wciąż trwał w tej samej pozycji, znów jakby nienaturalnie pochyłony. Możliwe nawet, że zasnął na krześle, a ręka Hoffmana za jego plecami służyła przede wszystkim jako podpora.

Kiedy przepisowa minuta dobiegła końca, mężczyzna o surowym wyrazie twarzy usiadł bez słowa, a w oficjalnym programie wieczoru powstała pewna luka. Kilka osób ostrożnie podjęło na nowo rozmowy, lecz po chwili uwagę gości przykuło poruszenie przy innym stole, gdzie podniósł się tęgi, łysiejący mężczyzna o plamistej cerze.

– Panie i panowie – zaczął tubalnym głosem. Następnie odwracając się do Brodsky'ego, ukłonił się lekko i wymamrotał: – Szanowny panie. – Przez kilka sekund patrzył na swoje dłonie, po czym rozejrzał się po pokoju. – Jak zapewne większości z państwa już wiadomo, to ja tego wieczoru znalazłem ciało naszego drogiego przyjaciela. Mam więc nadzieję, że okażą mi państwo wyrozumiałość i wysłuchają tych kilku słów na temat... na temat tego, co się stało. Albowiem muszę ze skrucą prosić pana – znów spojrzął na Brodsky'ego – o wybaczenie. Zaraz to wyjaśnię. – Tęgi mężczyzna przerwał na chwilę i przełknął ślinę. – Tego wieczoru jak zwykle roznosiłem przesyłki. Zbliżał się koniec pracy, zostały mi już tylko dwa czy trzy adresy do obejścia i wyjątkowo postanowiłem pójść na skróty uliczką, która biegnie między torami a Schildstrasse. Zazwyczaj omijam skróty, zwłaszcza po zmroku, dziś jednak skończyłem pracę wcześniej, a poza tym, jak państwo wiedzą, był bardzo ładny zachód słońca. Tak więc poszedłem skrótem. I tam właśnie, mniej więcej w połowie drogi, zobaczyłem go. Naszego drogiego przyjaciela. Ułożył się dyskretnie

między słupem latami a drewnianym płotkiem, tak że był prawie niewidoczny. Przyklęknąłem tuż obok, żeby się upewnić, czy nie żyje. Przez głowę przelatywało mi wiele myśli. Naturalnie, myślałem o panu. Myślałem o tym, jak wielkim był dla pana przyjacielem i jak dotkliwie odczuje pan jego stratę. Myślałem także o tym, jak bardzo będzie go brakować nam wszystkim, jak całe miasto połączy się z panem w żałobie. I przyznam, że pomimo całego smutku czułem się uprzywilejowany przez los. Tak, proszę pana, uprzywilejowany, gdyż to właśnie mnie przypadło w udziale przenieść ciało naszego przyjaciela do kliniki weterynaryjnej. Tego, co wydarzyło się potem, nie mogę, niestety, niczym usprawiedliwić. Podczas przemówienia pana von Wintersteina biłem się z myślami, czy powinienem wstać i również przemówić. Jak widać, ostatecznie zdecydowałem się na to. Lepiej, by pan Brodsky dowiedział się o tym z moich ust, niż gdyby miał usłyszeć to jutro rano w formie plotki. Jest mi niewypowiedziane wstyd za to, co nastąpiło potem. Mogę tylko rzec, że nie miałem najmniejszego zamiaru, nigdy w życiu... Pozostaje mi tylko błagać pana o wybaczenie. Przez kilka ostatnich godzin wciąż na nowo odtwarzałem w myślach całą sytuację i teraz już wiem, jak powinienem był postąpić. Powinienem był położyć paczki na ziemi, zostały mi bowiem jeszcze dwie do dostarczenia. Powinienem był położyć je na ziemi. Ułożone pod płotkiem byłyby zupełnie bezpieczne. A zresztą, nawet gdyby ktoś je ukradł, to co z tego? Lecz jakieś nie dające się usprawiedliwić względy, może idiotyczny instynkt zawodowy, nie pozwoliły mi tego uczynić. Działąłem bezmyślnie. Mianowicie, kiedy podniosłem ciało Brunona, wciąż trzymałem w rękach paczki. Sam nie wiem, czego się wówczas spodziewałem. Nie będę ukrywał... i tak dowiedziałby się pan jutro, więc wolę o tym powiedzieć sam... że pański Bruno musiał leżeć tam już od dłuższego czasu, jego ciało bowiem, jakkolwiek piękne w swej martwocie, zdążyło już ostygnąć i, za przeproszeniem, zeszywnieć. Tak jest, proszę pana, zeszywnieć. To, co zaraz powiem, może panu sprawić ból, mimo to, proszę mi wybaczyć, będę mówił dalej... Aby móc nieść paczki... jakże żałuję, że się ich nie pozbyłem, już z tysiąc razy sobie to wyrzucałem... tak więc, aby móc je nieść, musiałem umieścić Brunona na ramieniu, nie bacząc na jego zeszywnienie. Dopiero gdy przeszedłem większą część uliczki, usłyszałem dziecięcy krzyk i się zatrzymałem. Wówczas to zrozumiałem, jak wielki popełniłem błąd. Panie i panowie, panie Brodsky, czyż muszę to państwu tłumaczyć? Widzę, że tak. Otóż ze względu na zeszywnienie naszego przyjaciela, ze względu na bezmyślny sposób, w jaki postanowiłem nieść go na ramieniu, to jest niemalże w pozycji pionowej... Chodzi o to, że z każdego domu przy Schildstrasse można było dostrzec powyżej linii ogrodzenia górną część jego ciała. Co gorsza, był to akurat czas, gdy większość rodzin gromadzi się w jednym z tylnych pokoi na kolacji. Podczas posiłku ludzie spoglądali na

swoje ogrody i widzieli, jak nasz szlachetny przyjaciel sunie ze sterczącymi do przodu łapkami... o, cóż za niegodny widok! Dom po domu! Myśl ta nie daje mi spokoju, wciąż jeszcze mam to przed oczyma, tak jak musiało to wyglądać. Proszę pana o wybaczenie, nie mogłem już dłużej usiedzieć na miejscu, nie wyrzuciwszy z siebie tego... tego świadectwa mojego partactwa. Cóż za nieszczęśliwy traf, że ten smutny przywilej padł właśnie na mnie. Wiem, panie Brodsky, że moje przeprosiny są formą zadośćuczynienia rażąco niewspółmierną do wyrządzonej krzywdy, ośmielam się jednak błagać pana o wybaczenie za to, że naraziłem pana szlachetnego towarzysza na upokorzenie tak krótko po jego odejściu. Dobrzy ludzie z Schildstrasse... być może niektórzy są teraz wśród nas... jak wszyscy inni byli do Brunona głęboko przywiązani. Widzieć go po raz ostatni w takich okolicznościach... Proszę pana, proszę wszystkich o wybaczenie.

Tęgi mężczyzna usiadł, kręcąc żałośnie głową. Następnie wstała kobieta siedząca przy sąsiednim stole, przykładając do oczu chusteczkę.

– Bez wątpienia był to najwybitniejszy pies swojego pokolenia – powiedziała. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

W pokoju rozległ się pomruk uznania. Radni miejscy siedzący obok Brodsky'ego kiwali gorliwie głowami, ale sam Brodsky wciąż nie podnosił wzroku.

Wszyscy czekali, aż kobieta powie coś więcej, ale mimo że wciąż stała, nic nie mówiąc, szlochała tylko i ocierała oczy. Po chwili obok niej wstał mężczyzna w eleganckiej aksamitnej marynarce i delikatnie pomógł jej spocząć na krześle. Sam jednak nie usiadł i powiódł dokoła karcącym wzrokiem.

– Pomnik – rzekł. – Pomnik z brązu. Proponuję, byśmy postawili Brunonowi pomnik z brązu, aby pamięć o nim trwała wiecznie. Coś dużego i godnego. Może na Walserstrasse. Panie von Winterstein – zwrócił się do mężczyzny o surowych rysach twarzy – podejmijmy uchwałę, tu i teraz, o wybudowaniu pomnika ku czci Brunona.

Ktoś zawołał: „Brawo!” i zewsząd popłynęły słowa poparcia. Wyglądało na to, że nie tylko mężczyzna o surowych rysach, ale i pozostali rajcy miejscy poczuli się nagle zakłopotani. Wymienili kilka spłoszonych spojrzeń, po czym mężczyzna o surowych rysach powiedział, nie podnosząc się z krzesła:

– Oczywiście, panie Haller, weźmiemy pańską propozycję pod rozwagę, obok innych możliwych sposobów uczczenia pamięci...

– To już przesada – przerwał mu nagle męski głos z drugiego końca pokoju. – Co za absurdalny pomysł. Pomnik dla tego psa? Jeśli to zwierzę zasługuje na pomnik, to nasza żółwica Petra zasługuje na pięć razy większy. Zginęła w tak okrutny sposób. To absurd. A

tamten pies jeszcze tego roku rzucił się na panią Rahn...

Dalszy ciąg jego wypowiedzi utonął w ogólnej wrzawie i przez chwilę wydawało się, że wszyscy krzyczą naraz. Mężczyzna, który przemawiał, wciąż stojąc, wdał się w zażarty spór z kimś przy swoim stole. W tym rosnącym zamieszaniu zauważyłem, że Hoffman macha do mnie ręką czy raczej kreśli w powietrzu jakiś dziwny, kolisty kształt – jakby wycierał niewidoczną szybę – i przypominałem sobie niejasno, że to nasz umówiony znak. Wstałem i odchrząknąłem głośno.

Wrzawa prawie natychmiast ucichła i wszystkie oczy skierowały się w moją stronę. Mężczyzna, który protestował przeciwko pomnikowi, przerwał kłótnię i pospiesznie usiadł. Ponownie odchrząknąłem i już miałem zacząć swoją przemowę, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że mój szlafrok rozchylił się, ukazując zupełnie nagi przód mojego ciała. Zmieszany wahałem się przez chwilę, po czym opadłem z powrotem na krzesło. Prawie natychmiast w innej części sali podniosła się jakaś kobieta i powiedziała piskliwym głosem:

– Jeśli pomnik nie wchodzi w rachubę, może by tak nazwać jego imieniem jedną z ulic miasta? Przecież często zmienialiśmy nazwy ulic dla uczczenia pamięci zmarłych. Choćby Meinhardstrasse. Albo nawet Jahnstrasse. To chyba da się zrobić, panie von Winterstein.

Pomysł ten wywołał powszechny aplauz i ludzie zaczęli rzucać nazwy innych ulic. Radni i tym razem wydawali się zażenowani.

Wysoki mężczyzna z brodą, siedzący blisko mojego stołu, wstał i zahuczał:

– Zgadzam się z panem Hollanderem. Posuwamy się za daleko. Naturalnie, współczujemy panu Brodsky'emu, ale nie oszukujmy się, ten pies stanowił zagrożenie zarówno dla innych psów, jak i dla ludzi. Gdyby jeszcze pan Brodsky przeczesał od czasu do czasu sierść swojego pupila i pomyślał o tym, by leczyć jego skórą infekcję, na którą niewątpliwie cierpiał od lat...

Słowa mężczyzny zagłuszyła burza wściekłych protestów. Zewsząd rozlegały się okrzyki: „Oburzające!” oraz „Hańba!”, u kilka osób opuściło swoje miejsca, żeby zganić obrazoburcę. Hoffman z przeraźliwym uśmiechem na twarzy znów dawał mi rozpaczliwe znaki, wycierając ręką powietrze. Przez wrzawę przebijał się tubalny głos mężczyzny:

– Ale to prawda! To zwierzę było odrażająco brudne!

Upewniłem się, że jestem dokładnie owinięty szlafrokiem, i właśnie miałem ponownie wstać, gdy dostrzegłem, że Brodsky poruszył się nagle i zaczął się podnosić z krzesła.

Towarzystwo za stołem Brodsky'ego wydało okrzyk i wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Ci, którzy opuścili swoje miejsca, natychmiast wrócili i na sali znów zapadła

cisza.

Przez chwilę myślałem, że Brodsky runie na stół, zdołał jednak utrzymać równowagę. Rozejrzał się dokoła, po czym przemówił lekko ochryłym głosem:

– I po co to wszystko? Myślicie, że ten pies tak wiele dla mnie znaczył? Nie żyje, i tyle. Chcę kobiety. Czasami doskwiera mi samotność. Chcę kobiety. – Przerwał i popadł w zamyślenie. Po chwili powiedział z rozmarzeniem: – Nasi marynarze. Nasi pijani marynarze. Co się z nimi teraz dzieje? Była wtedy taka młoda. Młoda i taka piękna. – Znowu się zamyślił, patrząc w górę na zwisające z wysokiego sufitu żyrandole, i po raz drugi odniosłem wrażenie, że zaraz przewróci się na stół.

Hoffman musiał mieć podobne obawy, wstał bowiem i delikatnie kładąc rękę na plecach Brodsky'ego, szepnął mu coś do ucha. Brodsky nie od razu zareagował.

– Kiedyś mnie kochała – wymamrotał. – Bardziej niż cokolwiek na świecie. Nasi pijani marynarze. Gdzie oni teraz są?

Hoffman zaśmiał się serdecznie, jak gdyby Brodsky opowiedział dowcip. Uśmiechnął się szeroko do gości, po czym jeszcze raz szepnął Brodsky'emu coś do ucha. Wreszcie Brodsky przypomniał sobie, gdzie jest, i odwracając się z lekka w stronę kierownika hotelu, dał się posadzić na krześle.

Nastąpiło długie, niczym niezmaćcone milczenie. Przerwała je hrabina, która wstała z promiennym uśmiechem na twarzy.

– Drodzy państwo, mamy dla was miłą niespodziankę. Przybył do nas dziś po południu, a więc musi być bardzo zmęczony, ale zgodził się być naszym niespodziewanym gościem. Tak jest, proszę państwa, wśród nas jest pan Ryder!

Hrabina wskazała mnie zamasztyłym gestem, podczas gdy na sali rozległy się podekscytowane okrzyki. Zanim zdążyłem się ruszyć, otoczyły mnie osoby siedzące przy moim stole, chcąc mi uścisnąć dłoń. Po chwili uświadomiłem sobie, że wszędzie dokoła tłoczą się ludzie, sapiąc z zachwyty, pozdrawiając mnie i wyciągając do mnie ręce. Na wszystkie te awanse starałem się odpowiadać najgrzeczniej, jak umiałem, ale kiedy spojrzałem za siebie – nie pozwolono mi wstać – zobaczyłem, że za moimi plecami zbiera się coraz większy tłum. Goście przepychali się i stawali na palcach, żeby lepiej widzieć. Zrozumiałem, że muszę zapanować nad sytuacją, zanim wszystko utonie w chaosie. Ponieważ tyle osób już stało, uznałem, że najlepiej będzie wejść na jakieś podwyższenie. Sprawdziwszy szybko stan szlafroka, wspiąłem się na swoje krzesło.

Hałas natychmiast ustał, a ludzie zastygli tam, gdzie stali, aby na mnie popatrzeć. Widząc, że ponad połowa gości opuściła swoje miejsca, postanowiłem rozpocząć

bezwłocznie.

– Spadające ramy kurtyn! Otrute szczury! Błędy w partyturze!

Między grupkami znieruchomiałych ludzi dostrzegłem zbliżającą się ku mnie samotną postać. Panna Collins zatrzymała się naprzeciwko mnie i przysunęła sobie krzesło od sąsiedniego stołu, po czym usiadła i utkwiała we mnie wzrok. W jej sposobie zachowania było coś, co rozproszyło moją uwagę na tyle, że nie mogłem sobie przypomnieć dalszego ciągu swego przemówienia. Widząc moje wahanie, założyła nogę na nogę i zapytała z troską w głosie:

– Wszystko w porządku, panie Ryder?

– Tak, dziękuję, panno Collins.

– Mam nadzieję – ciągnęła – że nie przejął się pan zbytnio tym, co panu wcześniej powiedziałam. Chciałam pana odnaleźć i przeprosić, ale nigdzie nie mogłam pana dostrzec. Moje słowa mogły zabrzmieć nazbyt szorstko. Proszę o wybaczenie. Chodzi o to, że jeszcze dziś, kiedy spotykam ludzi pańskiej profesji, nagle wszystko do mnie powraca i odruchowo przyjmuję ten ton.

Nic nie szkodzi, panno Collins – zapewniłem ją, uśmiechając się do niej. – Proszę się nie martwić. Nie poczułem się w najmniejszym stopniu urażony. Jeśli oddaliłem się dość nagle, to tylko dlatego, że nie chciałem przeszkadzać pani w rozmowie ze Stephenem.

– Dziękuję za wyrozumiałość – powiedziała panna Collins. – Naprawdę żałuję, że się trochę rozgniewałam. Ale proszę mi wierzyć, panie Ryder, nie powodował mną jedynie gniew. Szczerze pragnę panu pomóc. Przykro byłoby mi patrzeć, jak popełnia pan wciąż te same błędy. Skoro się już znamy, chciałabym zaprosić pana na herbatkę któregoś popołudnia. Bardzo chętnie porozmawiam z panem o tym wszystkim, co pana nurtuje. Znajdzie pan we mnie wdzięcznego słuchacza, zapewniam.

– Bardzo to miłe, dziękuję. Nie wątpię, że ma pani jak najlepsze intencje. Ale, jeśli wolno mi tak powiedzieć, doświadczenia z przeszłości nie usposabiają pani najlepiej do... jak sama to pani ujęła... ludzi mojej profesji. Toteż nie jestem do końca pewien, czy moja wizyta ucieszyłaby panią.

Panna Collins zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Rozumiem pańskie obawy – odparła w końcu. – Wydaje mi się jednak, że udałoby się nam znaleźć wspólny język. Zresztą pańska wizyta wcale nie musi być długa. Jeśli stwierdzi pan, że się u mnie dobrze czuje, zawsze może mnie pan odwiedzić po raz kolejny. Moglibyśmy się nawet wybrać na krótki spacer. Z mojego mieszkania jest bardzo blisko do Ogrodu Stemberga. Miałam dość czasu, by wszystko przemyśleć, i jestem gotowa przekreślić

to, co było. Chciałabym bardzo jeszcze raz udzielić pomocy komuś takiemu jak pan. Naturalnie, nie mogę obiecać, że odpowiem na wszystkie pytania. Ale wysłucham pana z uwagą.

I może być pan pewien, że nie będę pana idealizować ani się nad panem rozczulać, jak mogłoby się to zdarzyć osobie mniej doświadczonej.

– Zastanowię się nad pani zaproszeniem, panno Collins – obiecałem. – Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że bierze mnie pani za kogoś, kim w najoczywistszy sposób nie jestem. Mówię to, gdyż na świecie pełno jest ludzi z pretensjami do geniuszu w takiej czy innej postaci, których wyjątkowość polega w gruncie rzeczy wyłącznie na całkowitej nieumiejętności ułożenia sobie życia. Zawsze jednak znajdują się ludzie pani pokroju, panno Collins, ludzie działający w najlepszych intencjach, którzy pałają chęcią ratowania tych typów. Możliwe, że sobie pochlebiam, ale zapewniam panią, że do nich nie należę. Co więcej, mogę bez wahania stwierdzić, że obecnie nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Od jakiegoś czasu panna Collins kręciła głową. Teraz powiedziała:

– Panie Ryder, przykro byłoby mi patrzeć, jak popełnia pan wciąż te same błędy. I pomyśleć, że przez cały ten czas byłam tu i obserwowałam pana, nie kiwnąwszy palcem. Jestem przekonana, że mogłabym pomóc panu wydostać się z obecnych tarapatów. Oczywiście, kiedy zakochałam się w Leonie – nieznacznie machnęła ręką w stronę Brodsky'ego – byłam zbyt młoda, niewiele wiedziałam, tak naprawdę nie rozumiałam, co się dzieje. Ale miałam dość czasu, żeby to sobie dobrze przemyśleć. I kiedy się dowiedziałam, że przyjeżdża pan do naszego miasta, powiedziałam sobie: najwyższy czas, bym nauczyła się zapominać urazy. Jestem stara, ale mogę się jeszcze na coś przydać. Życie sporo mnie nauczyło i nie jest jeszcze za późno, by zrobić z tych nauk użytek. Z tą właśnie myślą zapraszam pana do siebie, panie Ryder. Jeszcze raz przepraszam, że poprzednio obeszłam się z panem dość obcesowo. Obiecuję, że się to więcej nie powtórzy. Proszę powiedzieć, że przyjmuje pan zaproszenie.

Kiedy mówiła, przed oczami znów stanął mi jej salon – miłe, przyciemnione światło, wytarte aksamitne zasłony, rozsypujące się meble. Przez chwilę możliwość wyciągnięcia się na jednej z jej sof, z dala od życiowej bieganiny, wydała mi się bardzo kusząca. Wzięłam głęboki wdech i westchnąłem.

– Będę pamiętał o pani miłym zaproszeniu, panno Collins – powiedziałem. – Teraz jednak muszę się położyć do łóżka i odpocząć. Proszę pamiętać, że od wielu miesięcy jestem w podróży, a odkąd tu przybyłem, nie miałem prawie chwili spoczynku. Jestem bardzo zmęczony.

Mówiąc to, czułem, jak powraca całe moje zmęczenie. Potarłem pięściami swędzącą skórę wokół oczu. Wciąż jeszcze tarłem powieki, gdy poczułem, że ktoś dotyka mojego łokcia i jakiś głos powiedział łagodnie:

– Odprowadzę pana, panie Ryder.

Stephan wyciągał ręce do góry, aby pomóc mi zejść z krzesła. Oparłem rękę na jego ramieniu i zszedłem na dół.

Ja również jestem bardzo zmęczony – oznajmił. – Wrócę z panem do hotelu.

– Do hotelu?

– Tak, tej nocy będę spał w hotelu. Często to robię, jeśli następnego ranka muszę coś załatwić.

Jego słowa jeszcze przez chwilę nie przestawały mnie zastanawiać. Potem, gdy omijając spojrzeniem grupki stojących i siedzących gości, kelnerów i stoły, zapuściłem wzrok w odległą, pograżoną w ciemności część sali, nagle uświadomiłem sobie, że znajdujemy się w hotelowym atrium. Nie poznałem go, ponieważ kiedy byłem tu poprzednim razem, całe to miejsce widziałem z przeciwnej strony. Gdzieś w drugim końcu sali musiał się znajdować – teraz niewidoczny – bufet, przy którym piłem kawę i układałem plan dnia.

Nie miałem jednak możliwości głębiej się nad tym zastanowić, gdyż Stephan z zadziwiającą stanowczością wyprowadził mnie z sali.

– Wracajmy, panie Ryder. Poza tym chciałbym z panem o czymś porozmawiać.

– Dobranoc, panie Ryder! – zawołała hrabina, gdy ją mijaliśmy.

Obejrzałem się, aby również życzyć jej dobrej nocy, i uczyniłbym to z większą kurtuazją, gdyby Stephan nie ciągnął mnie tak pospiesznie za sobą. Podczas gdy zmierzaliśmy ku wyjściu, słyszałem, jak ludzie ze wszystkich stron życzą mi dobrej nocy. I choć uśmiechałem się i machałem ręką, jak potrafiłem najlepiej, miałem świadomość, że moje pożegnanie mogłoby wyglądać o wiele taktowniej. Stephana jednak najwyraźniej trapiła jakaś myśl i kiedy przez ramię odpowiadałem ludziom na pożegnania, pociągnął mnie gwałtownie za rękę i powiedział:

– Panie Ryder, cały czas się nad tym zastanawiam. Być może przeceniam swoje możliwości, ale naprawdę wydaje mi się, że powinienem spróbować tego Kazana. Pamiętam pańską radę, by zostać przy tym, co już przygotowałem, ale przemyślałem to i czuję, że może udałoby mi się opanować *Szklane pasje*. Naprawdę wierzę, że to nie przekracza moich możliwości. Jedynym problemem jest czas. Ale gdybym dobrze się postarał, ćwiczył dzień i noc i tak dalej, może zdołałbym tego dokonać.

Weszliśmy do zaciemnionej części atrium. Buty Stephana stukały o posadzkę przy

wtórce moich szurających pantofli. Z prawej strony majaczył jasny marmur wielkiej fontanny, teraz martwej i cichej.

– Wiem, że to nie moja sprawa – odezwałem się – ale na pańskim miejscu trwałbym przy pierwotnym zamiarze. To był pański wybór i nikomu nic do tego. Zresztą, moim zdaniem, nigdy nie należy zmieniać programu za pięć dwunasta...

– Zdaje się, że pan nie rozumie. Chodzi o matkę. Ona...

– Pamiętam wszystko, co powiedział mi pan wcześniej. I jak mówię, nie chciałbym się wtrącać. Ale, z całym szacunkiem, uważam, że w życiu każdego człowieka nadchodzi taka chwila, kiedy musi on zacząć bronić swoich postanowień. Kiedy trzeba sobie powiedzieć: „Oto moja, wyłącznie moja decyzja”.

– Rozumiem pański punkt widzenia, panie Ryder. Przypuszczam jednak, że mówi pan tak dlatego... wiem, że radzi mi pan w jak najlepszych intencjach... mówi pan tak tylko dlatego, że nie wierzy pan, aby taki amator jak ja potrafił przyzwoicie zagrać Kazana, zwłaszcza jeśli ma tak niewiele czasu na przygotowanie. Ale, widzi pan, w czasie obiadu intensywnie nad tym myślałem i naprawdę wierzę, że...

– Pan mnie źle zrozumiał – przerwałem mu z lekkim zniecierpliwieniem. – Cały czas próbuję panu wytłumaczyć, że powinien pan obstawać przy swoim.

Ale zdawało się, że młody człowiek wcale mnie nie słucha.

– Wiem – ciągnął – że jest już niemiłosiernie późno i chciałby pan odpocząć. Ale tak się zastanawiam... Gdyby tylko zechciał mi pan poświęcić parę minut, powiedzmy kwadrans. Moglibyśmy udać się teraz do salonu, gdzie zagrałbym panu mały fragment Kazana, nie cały utwór, tylko mały fragmencik. Mógłby pan ocenić, czy mam jakiegokolwiek szanse zdążyć na czwartkowy wieczór. O, przepraszam.

I doszliśmy właśnie do drugiego końca atrium i zatrzymaliśmy się na chwilę. Gdy Stephan otwierał drzwi na korytarz, spojrzałem do tyłu. Miejsce, w którym jedliśmy obiad, wyglądało stąd jak niewielka plama światła pośród mroku. O ile mogłem dostrzec, goście znów siedzieli przy stołach, a kelnerzy kręcili nią z tacami.

Korytarz był bardzo skąpo oświetlony. Stephan zamknął na klucz drzwi do atrium i milcząco ruszyliśmy przed siebie, ramię w ramię. Po chwili – zauważywszy, że młody człowiek łąpie na mnie od czasu do czasu – domyśliłem się, że czeka na moją decyzję. Dobywając z piersi westchnienie, powiedziałem:

– Naprawdę chciałbym panu pomóc. Potrafię się wczuć w pańską trudną sytuację. Tylko że jest już bardzo późno i...

– Wiem, że jest pan zmęczony. Mogę coś zaproponować? Może ja sam wejdę do

salonu, a pan postoi pod drzwiami i posłucha. Gdy tylko wyrobi pan sobie zdanie, może pan cicho odejść. Naturalnie, nie będę wiedział, czy stoi pan pod drzwiami, czy nie, toteż do samego końca będę grał najlepiej, jak tylko potrafię... tego mi właśnie trzeba. Jutro rano powie mi pan, czy mam jakiegokolwiek szanse zdążyć na czwartkowy wieczór.

Zastanowiłem się.

– Dobrze – zgodziłem się w końcu. – Pańska propozycja wydaje mi się bardzo sensowna i wygodna dla nas obu. Dobrze, zróbmy tak, jak pan mówi.

– Jestem panu ogromnie wdzięczny, panie Ryder. Nie ma pan pojęcia, jak wielką oddaje mi pan przysługę. Nie dawało mi to spokoju.

Pod wpływem podniecenia młody człowiek przyspieszył kroku. Korytarz zakręcił i nagle ogarnęła nas ciemność – tak gęsta, że po drodze musiałem raz po raz wyciągać przed siebie rękę w obawie, że wpadnę na jedną ze ścian. Z wyjątkiem końcowego odcinka, gdzie przez oszklone drzwi prowadzące do hotelowego holu wpadało trochę światła, wydawało się, że korytarz w tej części w ogóle nie jest oświetlony. Próbowałem właśnie zanotować w pamięci, by przy najbliższej sposobności napomknąć o tym Hoffmanowi, kiedy Stephan powiedział: „No, jesteśmy” i przystanął. Po chwili spostrzegłem, że stoimy przed drzwiami salonu.

Stephan znowu brzęknął kluczami i kiedy wreszcie otworzył drzwi, nie dostrzegłem za nimi nic prócz ciemności. Młody człowiek wkroczył jednak żwawo do środka, a po chwili wyrzwał na korytarz.

– Proszę mi dać kilka sekund na odnalezienie nut – powiedział. – Powinny być gdzieś na stolku do gry, ale panuje tam taki bałagan.

– Proszę się nie martwić, nie odejdę, dopóki nie wyrobię sobie jasnego zdania.

– Jest pan dla mnie taki dobry, panie Ryder. Za chwilę będę gotów.

Drzwi zamknęły się ze skrzypieniem i przez kilka minut nic nie mąciło ciszy. Stałem w ciemności, spoglądając od czasu do czasu na światło dochodzące z holu i z końca korytarza.

Wreszcie Stephan zaczął grać pierwszą część *Szklanych pasji*. Po pierwszych taktach zacząłem się wsłuchiwać uważniej. Od razu było oczywiste, że młody człowiek nie zna utworu zbyt dobrze, a jednak jego gra – choć cokolwiek chropawa i sztywna – zdradzała oryginalną wyobraźnię i wrażliwość, które wielce mnie zaskoczyły. Nawet w tej surowej postaci jego interpretacja Kazana zawierała jakości zupełnie nieobecne w ogromnej większości wcześniejszych wykonania.

Nachyliłem się do drzwi, starając się wychwycić każde najdrobniejsze wahanie w jego

grze. Lecz pod koniec pierwszej części nagle ogarnęło mnie znużenie i przypomniałem sobie, że jest już bardzo późno. Uznałem, że nie ma potrzeby, abym słuchał dalej – mając do dyspozycji wystarczająco wiele czasu, młody człowiek bez wątpienia mógł opanować utwór – i powoli ruszyłem w stronę holu.

# CZEŚĆ II

# Rozdział 11

Ze snu wyrwał mnie dzwonek telefonu, ustawionego na szafce nocnej. W pierwszej chwili pomyślałem, że znów ktoś przeszkadza mi zaledwie kilka minut po zaśnięciu, ale po jasności za oknem zorientowałem się, że jest już późny ranek. Podniosłem słuchawkę ogarnięty nagłą obawą, że zasnęłam.

– Dzień dobry, panie Ryder – usłyszałem głos Hoffmana. – Mam nadzieję, że spał pan dobrze.

– Dziękuję, panie Hoffman, spałem bardzo dobrze. Ale, naturalnie, właśnie wstaję z łóżka. Zważywszy na to, ile obowiązków mnie dziś wzywa – zaśmiałem się – czas najwyższy zakasać rękawy.

– Święta racja, czeka pana naprawdę ciężki dzień! Doskonale rozumiem pańskie pragnienie, by o tej porze nabrać jak najwięcej energii na resztę dnia. Bardzo rozsądnie, pozwolę sobie zauważyć. Zwłaszcza po wczorajszym wysiłku. To była nadzwyczaj błyskotliwa mowa! Całe miasto nie mówi dziś o niczym innym! W każdym razie wiedząc, że mniej więcej o tej porze będzie pan wstawał z łóżka, postanowiłem zadzwonić do pana i przedstawić mu sytuację. Z satysfakcją informuję, że pokój trzysta czterdzieści trzy jest już całkowicie przygotowany. Proponuję, aby przeniósł się pan tam bezzwłocznie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pańskie rzeczy zostaną przeniesione w czasie śniadania. Jestem pewien, że trzysta czterdzieści trzy spodoba się panu o wiele bardziej niż obecny pokój. Jeszcze raz przepraszam za tę pomyłkę. Przykro mi, że do niej doszło. Ale... jak sądzę... wczoraj wieczorem wyjaśniłem panu, że niekiedy te rzeczy niezwykle trudno ocenić.

– Tak, tak, świetnie to rozumiem. – Rozejrzałem się po pokoju i poczułem, jak ogarnia mnie rozpaczliwy smutek. – Ale, panie Hoffman – z trudem panowałem nad głosem – jest pewien problem. Mój chłopak, Boris, jest ze mną w hotelu i...

– Tak, wiem, jest tu bardzo mile widzianym gościem. Zbadałem sprawę i umieściłem chłopca w pokoju trzysta czterdzieści dwa, zaraz obok pańskiego. Gustav pomógł mu się już tam przenieść tego ranka. Nie ma powodu do obaw. A zatem po śniadaniu proszę się udać do pokoju trzysta czterdzieści trzy, gdzie znajdzie pan swoje rzeczy. To tylko jedno piętro wyżej niż pański obecny pokój. Jestem przekonany, że o wiele bardziej przypadnie panu do gustu. Ale, naturalnie, jeśli nie będzie pan zadowolony, proszę natychmiast dać mi znać.

Podziękowałem mu i odłożyłem słuchawkę. Wygrzebałem się z łóżka, ponownie rozejrzałem się wokół i wziąłem głęboki oddech. W porannym świetle pokój nie wydawał się wcale taki szczególny – zwykły pokój hotelowy – i pomyślałem, że niepotrzebnie okazałem przywiązanie do niego. Kiedy jednak brałem prysznic i się ubierałem, znów zaczęło we mnie narastać rozrzewnienie. Potem przyszło mi nagle na myśl, że przed śniadaniem, przed wszystkim innym, powinienem sprawdzić, czy z Borisem wszystko w porządku. Mogłem się domyślać, że siedzi teraz sam w nowym pokoju, trochę zdezorientowany. Szybko skończyłem się ubierać i rzuciwszy za siebie ostatnie spojrzenie, wyszedłem z pokoju.

\* \* \*

Szedłem korytarzem trzeciego piętra, szukając pokoju 342, gdy usłyszałem hałas i ujrzałem Borisa. Biegł ku mnie z przeciwnej strony, lecz w jakiś dziwny sposób. Zatrzymałem się na jego widok. Potem dostrzegłem, że porusza rękoma, jakby trzymał w nich kierownicę, i domyśliłem się, że naśladuje kierowcę pędzącego samochodu. Mamrotał coś zawzięcie do niewidzialnego pasażera po prawej stronie i przemknął obok, nie racząc mnie zauważyć. Nieco dalej w korytarzu były uchylone drzwi; zbliżywszy się do nich, Boris zakrzyknął: „Uwaga!”, po czym ostro skręcił do pokoju, skąd dobiegły wydawane przezeń dźwięki mające oddawać odgłosy karambolu. Podeszedłem do drzwi i – upewniwszy się, że jest to numer 342 – wszedłem do środka.

Boris leżał na łóżku, ze sterczącymi w powietrzu nogami.

– Boris – powiedziałem – jesteście w hotelu. Nie powinieneś biegać i wrzeszczeć. Niektórzy goście mogą jeszcze spać.

– Spać! O tej porze!

Zamknąłem za sobą drzwi.

– Nie powinieneś tak hałasować. Będą skargi.

– Niech tylko ktoś spróbuje się poskarżyć, to zaraz poproszę dziadka, żeby się nim zajął.

Wciąż trzymał nogi w górze i zaczął teraz leniwie uderzać butem o but. Usiadłem na krześle i obserwowałem go przez chwilę.

– Boris, muszę z tobą porozmawiać. To znaczy my obaj musimy porozmawiać. Dobrze nam to zrobi. Zapewne masz wiele pytań w związku z tym wszystkim. Na przykład dlaczego jesteście w hotelu.

Przerwałem na chwilę, żeby sprawdzić, czy zareaguje. Boris nadal uderzał butem o but.

– Boris, dotychczas byłeś bardzo cierpliwy – ciągnąłem. – Ale wiem, że jest wiele

różnych spraw, o które chciałbyś zapytać. Wybacz, że zazwyczaj jestem zbyt zajęty, żeby usiąść i należycie z tobą porozmawiać. Przepraszam też za zeszyły wieczór. Obaj mamy prawo być rozżaleni. Musisz mieć wiele pytań, Boris. Na niektóre z nich nie będzie wcale łatwo odpowiedzieć, lecz postaram się wszystko ci wyjaśnić.

Z niejasnych przyczyn – być może miało to coś wspólnego z moim starym pokojem i świadomością, że pożegnałem się z nim na zawsze – odezwało się we mnie silne poczucie utraty i musiałem na moment przerwać. Boris jeszcze przez chwilę uderzał butem o but, lecz jego nogi musiały się zmęczyć, gdyż opadły bezwładnie na łóżko. Odchrząknąłem i powiedziałem:

– I cóż, Boris? Od czego zaczniemy?

– Słoneczny Człowiek! – wrzasnął znienacka i zanucił głośno początkowe takty jakiejś melodii, po czym sturlał się z hukiem do szczeliny między łóżkiem a ścianą.

– Boris, mówię poważnie. Na miłość boską, musimy to omówić. Boris, wyjdź stamtąd, proszę.

Nie odpowiadał. Westchnąłem i podniosłem się z krzesła.

– Pamiętaj jedno, Boris: jeśli tylko będziesz miał ochotę o coś zapytać, nie krępuj się. Przerwę każde zajęcie, żeby przyjść i z tobą porozmawiać. Nawet jeśli będę akurat z ludźmi, którzy mogą się wydawać bardzo ważni. Chcę, abys zrozumiał, że dla mnie ty jesteś od nich ważniejszy. Słyszysz, Boris? Boris, wyjdź stamtąd.

– Nie mogę. Nie mogę się ruszyć.

– Proszę cię, Boris.

– Nie mogę. Złamałem sobie trzy kręgi.

– Jak chcesz, Boris. Może porozmawiamy, kiedy poczujesz się lepiej. Teraz schodzę na dół, na śniadanie. Posłuchaj: jeśli chcesz, po śniadaniu możemy jechać do starego mieszkania. Jeśli tylko masz na to ochotę. Możemy tam pojechać i odebrać pudełko z Dziewiątką.

Wciąż nie odpowiadał. Czekałem jeszcze chwilę, po czym powiedziałem:

– Przemyśl to, Boris. Teraz schodzę na śniadanie.

Po tych słowach wyszedłem z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

\* \* \*

Wprowadzono mnie do długiej, zalanej słońcem sali, przyległej do holu. Duże okna znajdowały się najpewniej na poziomie chodnika, lecz na dole wprawiono szyby z nieprzezroczystego szkła, by stworzyć bardziej intymną atmosferę, a z zewnątrz dobiegały jedynie stłumione odgłosy ruchu ulicznego. Wysokie palmy oraz wentylatory pod sufitem

nadawały temu pomieszczeniu z lekka egzotyczny charakter. Stoły ustawiono w dwa długie rzędy i kiedy kelner prowadził mnie między nimi, zauważyłem, że z większości już sprzątnięto.

Kelner wskazał mi miejsce przy jednym z ostatnich stołów i nalał kawy. Kiedy odszedł, stwierdziłem, że oprócz mnie na sali znajdują się tylko trzy osoby: mówiąca po hiszpańsku para siedząca niedaleko wejścia oraz starszy mężczyzna czytający gazetę kilka stolików ode mnie. Domyśliłem się, że jestem zapewne ostatnim gościem, który zszedł tego dnia na śniadanie, ale mając za sobą niezwykle męczącą noc, nie poczuwałem się do jakiegokolwiek winy z tego powodu.

Wprost przeciwnie, kiedy tak siedziałem, obserwując palmy kołyszące się lekko od powiewu obracających się wentylatorów, zaczęło mnie ogarniać samozadowolenie. W końcu miałem dość powodów, by czuć satysfakcję ze swoich dotychczasowych osiągnięć. Wprawdzie pozostało wiele niejasnych czy wręcz tajemniczych stron miejscowego kryzysu, ale przecież nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny od mojego przyjazdu i wkrótce odpowiedzi na pytania muszą nasunąć się same. Jeszcze tego samego dnia, na przykład, czekała mnie wizyta u hrabiny, podczas której zamierzałem nie tylko odświeżyć znajomość dzieł Brodsky'ego ze starych płyt, ale też szczegółowo omówić kryzys zarówno z hrabiną, jak i burmistrzem. Później miało się odbyć spotkanie z obywatelami, których najbardziej dotknęła obecna sytuacja – spotkanie, którego wagi nie omieszkalem podkreślić poprzedniego dnia w rozmowie z panną Stratmann – a także z samym Christoffem. A zatem kilka ważnych spotkań wciąż czekało na swoją kolej i było jeszcze za wcześnie, aby wyciągnąć ostateczne wnioski czy też zastanawiać się nad treścią mojego końcowego przemówienia. Na razie miałem prawo być zadowolony z informacji, które udało mi się dotychczas zdobyć, i z pewnością mogłem sobie pozwolić na kilka minut błędnego odprężenia przy śniadaniu.

Kelner powrócił, niosąc wędliny, sery i koszyk ze świeżymi bułkami. Zacząłem jeść bez pośpiechu, nalewając sobie po trochu mocnej kawy do filiżanki. Kiedy wreszcie do sali wkroczył Stephan Hoffman, byłem już bliski pełnego ukojenia.

– Dzień dobry, panie Ryder – odezwał się młody człowiek, podchodząc do mnie z uśmiechem. – Dowiedziałem się, że właśnie zszedł pan na dół. Nie chcę przeszkadzać panu w śniadaniu, więc nie zostanę długo.

Stał w milczeniu nad moim stołem, wciąż z tym samym uśmiechem na twarzy, i wyraźnie czekał, aż przemówię. Dopiero wtedy przypomniałem sobie o naszej umowie z poprzedniego wieczoru.

– Ach tak – powiedziałem. – Kazan. Tak, tak. – Odłożyłem nóż i spojrzałem na niego.

– Naturalnie, jest to jeden z najtrudniejszych utworów fortepianowych. Zważywszy na to, że dopiero zaczął pan nad nim pracować, nic dziwnego, że w pańskiej grze dało się wyczuć pewną chropowatość. Właściwie nic więcej, jedynie pewną chropowatość. Utwór ten wymaga przede wszystkim czasu. Mnóstwa czasu.

Przerwałem. Z twarzy Stephana spłynął uśmiech.

– Ale ogólnie rzecz biorąc... – ciągnąłem – i bynajmniej nie rzucam słów na wiatr... sądzę, że pańska wczorajsza interpretacja była wyjątkowo obiecująca. Zakładając, że będzie pan miał wystarczająco dużo czasu, bez wątpienia poradzi pan sobie nawet z tym trudnym utworem. Oczywiście pozostaje kwestia...

Ale młody człowiek już nie słuchał. Zbliżywszy się do mnie o krok, powiedział:

– Czy dobrze pana rozumiem, panie Ryder? Sugeruje pan, że potrzebne są mi jedynie próby? Że to nie przekracza moich możliwości? – Nagle wykrzywił twarz, zgiął się w pól i zaciśniętą pięścią walnął w uniesione kolano. Po chwili się wyprostował i wziął głęboki oddech. Promieniał radością. – Nie ma pan pojęcia, ile to dla mnie znaczy, jak bardzo dodaje mi pan otuchy. Wiem, że zabrzmiałoby to nieskromnie, ale wyznam panu, że zawsze to czułem, od początku miałem to wewnętrzne przekonanie, że coś tam w środku mnie siedzi. Ale usłyszeć to z pańskich ust, Boże drogi, to dopiero szczęście! Wczoraj grałem bez wytchnienia. Kiedy ogarniało mnie zmęczenie, kiedy czułem pokusę, żeby przestać, słyszałem jakiś wewnętrzny głos: „Zaczekaj, być może pan Ryder nadal stoi pod drzwiami. Może musi jeszcze chwilę posłuchać, żeby ocenić”. I przykładałem się jeszcze bardziej, dawałem z siebie wszystko i grałem dalej. Kiedy skończyłem około dwóch godzin temu, muszę przyznać, że podszedłem do drzwi i przez dziurkę od klucza wyjrzałem na zewnątrz. Naturalnie, już dawno poszedł pan spać, i postąpił pan bardzo rozsądnie. Dziękuję, że wytrzymał pan tyle, ile wytrzymał. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nie poświęcił pan zbyt wiele snu z mojego powodu.

– Ależ skąd, stałem pod drzwiami przez... jakiś czas. Wystarczająco długo, bym mógł dokonać oceny.

– Jakże jestem panu wdzięczny, panie Ryder. Czuję się innym człowiekiem. Rozproszył pan chmury gromadzące się nad moim życiem.

– Chwileczkę, proszę mnie źle nie zrozumieć. Twierdzę, że zagranie tego utworu nie przekracza pańskich możliwości. Ale czy ma pan dość czasu, by...

– Już ja się o to postaram, by mieć dość czasu. Wykorzystam każdą okazję, by dopaść do fortepianu i ćwiczyć. Zapomnę o śnie. Proszę się nie obawiać, panie Ryder. Jutro dam rodzicom powód do dumy.

– Jutro? No tak...

– Ale ja tu samolubnie cały czas mówię o sobie i nie wspomniałem jeszcze ani słowem o sensacji, jaką wzbudziło pańskie wczorajsze wystąpienie podczas obiadu. Wszyscy o tym mówią, w całym mieście. To było naprawdę urocze przemówienie.

– Dziękuję. Cieszę się, że się podobało.

– Co więcej, jestem pewien, że znacznie przyczyniło się do dalszego rozwoju wypadków. Otóż... to dopiero jest naprawdę dobra wiadomość, od tego powinienem zacząć... jak pan zauważył, na wczorajszym obiedzie była obecna panna Collins. Otóż w pewnym momencie, kiedy opuszczała salę, ona i pan Brodsky wymienili uśmiechy. Naprawdę! Wiele osób może poświadczyć. Sam ojciec widział to na własne oczy. W żaden sposób nie próbował ich wystawiać na bezpośredni kontakt, w przekonaniu, że tych spraw nie należy zbyt przyspieszać, zwłaszcza że panna Collins wciąż się zastanawia nad pójściem do zoo i w ogóle. No i proszę, nagle coś takiego. Z tego, co mi mówiono, kiedy pan Brodsky zauważył, że panna Collins wychodzi, wstał z krzesła. Przez cały wieczór siedział przy swoim stole, choć ludzie już dawno kręcili się swobodnie po sali, jak zwykle w takich razach. Pan Brodsky zerwał się nagle na nogi i spojrzał w stronę drzwi, przy których panna Collins żegnała się z paroma osobami. Ktoś odprowadzał ją do drzwi – zdaje się, że pan Weber – ale musiała wyczuć to instynktownie. W każdym razie obejrzała się i naturalnie zobaczyła, że pan Brodsky stoi i patrzy na nią. Ojciec też to zauważył, podobnie jak sporo innych gości, i ogólny gwar wzmógł się nieznacznie. Ojciec przez chwilę myślał z przerażeniem, że panna Collins pośle panu Brodsky'emu chłodne, gorzkie spojrzenie, na co mógłby wskazywać wyraz jej twarzy. Ale w ostatniej chwili się uśmiechnęła. Tak jest, posłała mu uśmiech! A potem wyszła. Natomiast pan Brodsky... cóż, można sobie wyobrazić, co to dla niego znaczyło. Po tych wszystkich latach! Według ojca... widziałem się z nim przed chwilą... pan Brodsky pracuje dziś rano ze zdwojoną energią. Już od godziny siedzi przy fortepianie! Dobrze, że zwolniłem fortepian na czas. Ojciec twierdzi, że tego ranka wyczuwa w nim jakąś zmianę i oczywiście nie ma mowy o drinku. To wielki sukces zarówno dla ojca, jak i dla wszystkich innych, ale niewątpliwie pańskie przemówienie walczyło się do tego przyczyniło. Wciąż jeszcze czekamy na odpowiedź panny Collins w sprawie jej wizyty w zoo, ale po tym, co zaszło wczoraj, jesteśmy, ma się rozumieć, jak najlepszej myśli. Co za ranek! No, ale zabrałem panu już wystarczająco dużo czasu, na pewno chce pan dokończyć śniadanie. Jeszcze raz dziękuję za wszystko. Na pewno spotkamy się ponownie w ciągu dnia i doniosę panu, jak postępuje praca nad Kazanem.

Życzyłem mu powodzenia i odprowadziłem go spojrzeniem, gdy zdecydowanym krokiem wychodził z sali.

Rozmowa z tym młodym człowiekiem wprawiła mnie w stan wyjątkowej błogości. Przez kilka minut niespiesznie jadłem dalej śniadanie, delektując się zwłaszcza świeżym miejscowym masłem. Kelner przyniósł mi kolejny dzbanek z kawą. W pewnej chwili zacząłem szukać w myślach odpowiedzi na pytanie, które zadał mi kiedyś mężczyzna siedzący obok mnie w samolocie. W finałach mistrzostw świata w piłce nożnej trzykrotnie występowały pary braci. Czy pamiętam ich nazwiska? Zbyłem go jakąś wymówką i wróciłem do lektury książki, nie mając ochoty wdawać się z nim w rozmowę. Ale od tamtej pory – w tych rzadkich sytuacjach, gdy miałem kilka chwil dla siebie, tak jak teraz – pytanie mężczyzny uparcie do mnie wracało. Irytujące było to, że w ciągu tych lat pamiętałem czasem wszystkie trzy pary braci, ale innym znów razem okazywało się, że zapomniałem jedną z nich. Tak właśnie było tego ranka. Pamiętałem, że bracia Charlton grali w drużynie Anglii w finałowych rozgrywkach w roku 1966, a bracia van der Kerhof w drużynie holenderskiej w roku 1978. Ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska trzeciej pary braci. Po chwili zaczęła mnie ogarniać złość na siebie i w pewnym momencie powziąłem silne postanowienie, że nie odejdę od stołu i nie rozpocznę przewidzianych na ten dzień zajęć, dopóki nie przypomnę sobie trzeciej pary braci.

Z tej zadumy ocknąłem się dopiero na widok Borisa, który wszedł do sali i zmierzał teraz w moim kierunku. Posuwał się powoli, wędrując niedbale od stołu do stołu, jakby zbliżał się do mnie przez czysty przypadek. Umyślnie nie patrzył w moją stronę, a gdy dotarł do sąsiedniego stołu, stanął do mnie plecami i zaczął miętosić w palcach skraj obrusa.

– Jadłeś już śniadanie, Boris?

Dalej bawił się obrusem.

– Jedziemy do starego mieszkania? – zapytał po chwili obojętnym tonem.

– Jeśli tylko chcesz. Przecież obiecałem. Chcesz, Boris?

– Nie masz jakichś zajęć?

– Mam, ale mogę je przełożyć. Jeśli masz ochotę, pojedziemy do starego mieszkania.

Ale jeśli mamy jechać, musimy wyruszyć natychmiast. Jak zauważyłeś, czeka mnie pracowity dzień.

Wyglądało na to, że się namyśla. Wciąż stał odwrócony do mnie plecami i bawił się skrajem obrusa.

– No to jak? Jedziemy?

– Chyba tak.

Uznałem, że muszę przejąć inicjatywę. Wstałem i cisnąłem serwetkę obok talerza.

– No to w drogę, Boris. Zdaje się, że na zewnątrz świeci słońce, nie musimy więc

nawet iść na górę po kurtki. Ruszajmy.

Boris wciąż się wahał, ale objąłem go ramieniem i wyprowadziłem z sali.

\* \* \*

Kiedy przechodziliśmy przez hol, zauważyłem, że recepcjonista macha do mnie ręką.

– Panie Ryder – powiedział – znowu byli u pana ci dziennikarze. Uznałem, że najśluszniej będzie ich odesłać, i poradziłem, żeby spróbowali ponownie za godzinę. Proszę się nie martwić, zachowywali się bardzo uprzejmie.

Zastanowiłem się.

– Niestety, mam teraz coś bardzo ważnego do załatwienia – oznajmiłem. – Proszę przekazać tamtym panom, aby uzgodnili czas spotkania z panną Stratmann. Przepraszam, ale musimy Już iść.

I dopiero gdy wyszliśmy z hotelu i stanęliśmy w pełnym słońcu na chodniku, uprzytomniłem sobie, że nie pamiętam drogi do starego mieszkania. Przez kilka sekund patrzyłem na przejeżdżające wolno samochody. Boris, być może domyślając się przyczyny mojego niezdecydowania, zaproponował:

– Możemy pojechać tramwajem. Sprzed remizy.

– W porządku, prowadź.

Natężenie hałasu ulicznego było tak wielkie, że przez kilka następnych minut prawie w ogóle nie rozmawialiśmy. Brnęliśmy przed siebie po wąskich, zatłoczonych chodnikach, aż dotarliśmy do szerokiej ulicy z linią tramwajową i kilkoma pasami wolnego ruchu. Chodnik był tu o wiele szerszy, dzięki czemu szło się nam dużo swobodniej w tłumie przechodniów, obok banków, biur i restauracji. Nagle usłyszałem za sobą tupot biegnących stóp i poczułem czyjąś rękę na ramieniu.

– Panie Ryder! Wreszcie pana spotykamy.

Człowiek, którego ujrzałem, kiedy się odwróciłem, przypominał podstarzałego piosenkarza rockowego. Miał ogorzałą twarz i długie, potargane włosy z przedziałkiem pośrodku. Ubrany był w luźną kremową koszulę i także spodnie.

– Miło mi – powiedziałem ostrożnie, mając świadomość, że Boris lustruje mężczyznę nieufnym okiem.

– Cóż za niefortunny zbieg okoliczności, cała seria nieporozumień! – zawołał ze śmiechem mężczyzna. – Tyle razy umawialiśmy się na różne terminy. Wczoraj czekaliśmy długo, ponad dwie godziny, ale to nic! Takie rzeczy się zdarzają. Śmiem twierdzić, że nie z pańskiej winy. Nawet jestem tego pewien.

– Ach tak. Tego ranka znów czekaliście. Tak, tak, recepcjonista wspominał mi o tym.

– Tego ranka również zaszło jakieś nieporozumienie. – Długowłosa mężczyzna wzruszył ramionami. – Kazali nam przyjść za godzinę. Więc zabijaliśmy czas w tamtej kawiarni, fotograf i ja. Ale skoro przechodzi pan obok, może dałoby się przeprowadzić wywiad i zrobić zdjęcia już teraz, a potem raz na zawsze przestaniemy się panu naprzykrzać. Naturalnie, zdajemy sobie sprawę, że dla kogoś takiego jak pan wywiad dla małej lokalnej gazety nie może stać wysoko w hierarchii ważności...

– Wręcz przeciwnie – powiedziałem szybko – zawsze przywiązywałem zasadniczą wagę do czasopism takich jak wasze, bo to wy dzierżycie klucze do serc miejscowej społeczności. W każdym mieście, które odwiedzam, kontakt z ludźmi takimi jak pan zaliczam do najcenniejszych.

– Dziękuję, jest pan bardzo uprzejmy, panie Ryder. Ośmielę się przy tym dodać, że to dość wnikliwa ocena.

– Chciałem jednak powiedzieć, że, niestety, akurat w tym momencie jestem zajęty czym innym.

– Tak, naturalnie. Właśnie dlatego proponuję, byśmy załatwili całą sprawę od razu i mieli to już z głowy. Potem nie będziemy już pana nachodzić. Nasz fotograf, Pedro, jest tam, w kawiarni. Może zrobić kilka zdjęć, podczas gdy ja zadam panu dwa albo trzy pytania. Zaraz potem pan i ten młody dżentelmen będą mogli się udać w dalszą drogę. Wszystko to nam zajmie zaledwie cztery do pięciu minut. To chyba najprostsze rozwiązanie.

– Hm, tylko parę minut, mówi pan.

– Parę minut w pełni nas usatysfakcjonuje. Doskonale rozumiemy, że ma pan w planie wiele innych ważnych spraw. Jak mówiłem, jesteśmy tam, w tamtej kawiarni.

Wskazywał niewielkie skupisko stolików i krzeseł na chodniku niedaleko nas. Nie było to – jak na mój gust – wymarzone miejsce na wywiad, ale przyszło mi na myśl, że to najprostszy sposób załatwienia całej sprawy.

– Dobrze – powiedziałem. – Muszę jednak podkreślić, że tego ranka mam szczególnie napięty program.

– Dziękujemy za łaskawość, panie Ryder. I pomyśleć, że robi to pan dla naszej małej, skromnej gazety! No to ruszajmy, żeby jak najszybciej mieć to za sobą. Tędy, proszę.

Długowłosa dziennikarz zaczął tak gorliwie prowadzić nas w kierunku kawiarni, że o mały włos zderzyłby się z innym przechodniem. Szybko wysunął się parę kroków do przodu i skorzystał z okazji, by powiedzieć do Borisa:

– Nie przejmuj się, to nie potrwa długo. Już ja się o to postaram.

Boris wciąż miał nadąsaną minę, więc dodałem:

– W tym czasie możesz usiąść i zjeść coś dobrego. Loda albo kawałek sernika. Zaraz potem pójdziemy dalej.

Zatrzymaliśmy się przy wąskim, wydzielonym kawałku chodnika, osłoniętym przez kawiarniane parasole.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił dziennikarz, wskazując w stronę jednego ze stolików. – Siedzimy tutaj.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, najpierw zajmę się Borisem. Znajdę mu miejsce w środku i za minutę będę z powrotem.

– Doskonale.

Choć na zewnątrz wiele stolików było zajętych, w środku nie było nikogo. Pomieszczenie miało lekki, nowoczesny wystrój i tonęło w słońcu. Za szklanym bufetem, w którym wystawiono na pokaz ciasta i słodkie bułki, stała młoda, pulchna kobieta o nordyckim wyglądzie. Kiedy Boris usadowił się przy stole, kobieta podeszła do nas z uśmiechem.

– Na co masz ochotę? – zapytała Borisa. – Dziś rano mamy najświeższe ciasta w całym mieście. Przywieźli je dosłownie dziesięć minut temu. Wszystko świeżutkie.

Po serii szczegółowych pytań na temat ciast Boris zdecydował się w końcu na sernik migdałowo-czekoladowy.

– Niedługo będę z powrotem – obiecałem. – Pogadam z tamtymi ludźmi i zaraz wracam. W razie potrzeby będę na zewnątrz.

Boris wzruszył ramionami, bez reszty pochłonięty obserwowaniem kelnerki, która zdejmowała właśnie z półki wystawowej wymyślny deser.

## Rozdział 12

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, nigdzie nie mogłem dostrzec długowłosego dziennikarza. Przez chwilę przechadzałem się pośród parasoli, przyglądając się bacznie twarzom ludzi siedzących przy stolikach. Kiedy obszedłem już wszystkie stoliki, przystanąłem i zacząłem się zastanawiać. Możliwe, że dziennikarz zmienił zdanie i odszedł, ale wydawało mi się to bardzo mało prawdopodobne, więc jeszcze raz powiodłem dokoła wzrokiem. Kilka osób czytało gazetę przy kawie. Staruszek mówił do stadka gołębi u swoich stóp. Nagle usłyszałem, że ktoś wymienia moje nazwisko, a kiedy się odwróciłem, spostrzegłem, że dziennikarz siedzi przy stoliku, który miałem uprzednio dokładnie za plecami.

I był pochłonięty rozmową z przysadzistym, śniadym mężczyzną, zapewne fotografem. Zawołałem do nich i podszedłem do ich stolika, ale, o dziwo, mężczyźni rozmawiali dalej, nie podnosząc na mnie oczu. Nawet kiedy się do nich przysiadłem, dziennikarz – który był właśnie w środku zdania – posłał mi tylko przelotne spojrzenie, po czym, zwracając się do śniadego fotografa, ciągnął:

– Tak więc ani słowa o znaczeniu tej budowli. Powiesz mu, że musi cały czas przed nią stać ze względów artystycznych.

– Dobra – odparł fotograf, kiwając głową. – To się da zrobić.

– Ale nie bądź zbyt nachalny. Na tym polegał błąd Shulza w ubiegłym roku w Wiedniu. I pamiętaj: jak wszystkie te typy, jest bardzo prózny. Udawaj więc, że jesteś jego wielbicielem.

– Powiedz mu, że naczelny nie miał o tym pojęcia, kiedy cię wysyłał, ale tak się składa, że jesteś jego wielkim fanem. Złapie się na to. I nie wspominaj o budowli Sattlera, dopóki nie nawiążemy z nim kontaktu.

– Dobra, dobra. – Fotograf kiwał dalej głową. – Ale wydawało mi się, że to już będzie załatwione. Myślałem, że namówisz go wcześniej.

– Chciałem go namówić przez telefon, ale Shulz ostrzegł mnie, że to kawał gnoja. – Przy tych słowach dziennikarz odwrócił się do mnie z układnym uśmiechem. Idąc za spojrzeniem kolegi, fotograf z roztargnieniem skinął do mnie głową, po czym mężczyźni wrócili do przerwanej rozmowy.

– Kłopot z Szulzem polega na tym – ciągnął dziennikarz – że nigdy nie schlebia im w dostatecznym stopniu. A do tego jeszcze ten jego sposób bycia, jakby się niecierpliwił, nawet kiedy tak nie jest. Tym typom nigdy nie dość pochlebstw. Toteż robiąc zdjęcia, cały czas krzycz: „świetnie!”, nie przestawaj karmić jego ego.

– Będę pamiętał.

– Zacznę od... – Dziennikarz westchnął ze znużenia. – Zacznę mówić o jego występie w Wiedniu albo czymś takim. Mam tu jakieś notatki na ten temat, resztę zmyślę. Ale nie marnujmy zbyt wiele czasu. Po paru minutach zaproponujesz, żebyśmy się udali pod budowlę Sattlera. Z początku udam, że nie jestem tym zachwycony, ale w końcu przyznam, że to świetny pomysł.

– Dobra, dobra.

– Liczę na ciebie. Żadnych potknięć. Pamiętaj, że to drażliwy skurczybyk.

– Rozumiem.

– Jak tylko wyczujesz, że coś jest nie tak, wal komplement.

– W porządku.

Mężczyźni kiwnęli porozumiewawczo głowami. Dziennikarz wziął głęboki oddech, klasnął w ręce i odwrócił się w moją stronę, jaśniejąc na twarzy.

– Jest pan, panie Ryder! Jak miło, że zgodził się pan poświęcić nam trochę swojego cennego czasu. Mam nadzieję, że ów młody człowiek ma się dobrze?

– Och tak, zamówił ogromną porcję sernika.

Obaj mężczyźni zaśmiali się życzliwie. Śniady fotograf powiedział z szerokim uśmiechem:

– Sernik. Tak, to moje ulubione ciasto, od dziecka. Przedstawiam panu Pedra, panie Ryder.

Fotograf się uśmiechnął i ochoczo wyciągnął do mnie rękę.

– Bardzo mi miło. To dla mnie wielki dzień, mówię panu. To zlecenie dostałem dopiero dzisiaj. Gdy wstałem z łóżka, spodziewałem się, że czeka mnie kolejna seria zdjęć z posiedzenia rady miejskiej. A potem biorę prysznic i nagle ten telefon. „Zgadzasz się?”, pytają. „Czy się zgadzam? Ten człowiek od dzieciństwa jest moim idolem. Czy się zgadzam? Mój Boże, zrobię to za darmo, jeszcze dopłacę”, mówię. „Tylko powiedzcie, gdzie mam jechać”. Przysięgam, żadne inne zlecenie nie wzbudziło we mnie tyle entuzjazmu.

– Muszę panu wyjaśnić – powiedział dziennikarz – że fotograf, który wczoraj był ze mną w hotelu, po kilku godzinach oczekiwania zaczął się trochę niecierpliwić. Naturalnie, wpadłem w złość. „Co ty sobie myślisz?”, powiedziałem mu. „Pana Rydera musiały

zatrzymać sprawy najwyższej wagi. Jeśli zgodzi się łaskawie poświęcić nam trochę czasu, to poczekamy tak długo, jak będzie trzeba”. A kiedy wróciłem do redakcji, powiedziałem naczelnemu, że tak być nie może. „Na jutro rano znajdź mi nowego fotografa”, zażądałem. „Chcę kogoś, kto w pełni docenia pozycję pana Rydera i okazuje mu należną wdzięczność”. Tak, chyba się trochę uniosłem. A teraz mamy Pedra, który okazał się niemal równie wielkim wielbicielem pańskiego talentu jak ja.

– Większym, większym! – zachnął się Pedro. – Kiedy dostałem rano ten telefon, wprost nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Mój idol w mieście, a ja mam robić mu zdjęcia! Powiedziałem sobie, stojąc pod prysznicem: Boże, to będzie najlepsza robota, jaką wykonałem w życiu. Kiedy chodzi o kogoś takiego, muszę dać z siebie wszystko. Zrobię mu zdjęcia na tle budowli Sattlera. Taką miałem koncepcję. Kiedy brałem prysznic, oczyma duszy widziałem już całą kompozycję.

– Posłuchaj, Pedro – powiedział dziennikarz, patrząc na niego surowo. – Wątpię, czy pan Ryder zgodzi się jechać do budowli Sattlera tylko ze względu na zdjęcia. Wprawdzie to zaledwie parę minut drogi stąd, ale dla kogoś, kto ma tak napięty program, parę minut to wcale nie tak mało, jak mogłoby się zdawać. Nie, Pedro, musisz możliwie najlepiej wykorzystać te warunki, które mamy. Pstrykniesz panu Ryderowi kilka zdjęć, jak rozmawiamy przy tym stoliku. Co prawda, kawiarniany stolik to strasznie ograny chwyt, trudno będzie oddać niepowtarzalną charyzmę, jaka bije od pana Rydera. Ale musi ci to wystarczyć. Przyznaję, że pomysł z budowlą Sattlera jest doskonały. Ale po prostu nie mamy na to czasu. Musimy się zadowolić dużo zwyczajniejszym obrazem jego osoby.

Pedro uderzył pięścią w otwartą dłoń i pokręcił głową.

– Obawiam się, że masz rację. To się nazywa pech. Najpierw los zsyła ci niepowtarzalną szansę sfotografowania wielkiego pana Rydera, a potem musisz poprzestać na zwykłych scenkach z kawiarni. Życie rozdaje trefne karty.

Znowu pokręcił głową ze smutkiem. Obaj popatrzyli na mnie wyczekująco.

– Hm – mruknąłem. – Ta wasza budowla naprawdę jest tylko o parę minut jazdy stąd? Pedro aż podskoczył na krześle, a na jego twarzy uwidocznił się entuzjazm.

– Mówi pan serio? Będzie pan pozował przed budowlą Sattlera? Boże, co za szczęście! Wiedziałem, że okaże się pan wspaniałym facetem!

– Chwileczkę...

– Jest pan pewny, panie Ryder? – powiedział dziennikarz, chwytając mnie za ramię. – Absolutnie pewny? Wiem, że ma pan mnóstwo zajęć. No cóż, to naprawdę wspaniale z pańskiej strony! Dojazd taksówką zabierze najwyżej trzy minuty. Proszę tu chwilkę poczekać,

pójdę coś złapać. Pedro, może byś jednak zrobił w tym czasie kilka zdjęć panu Ryderowi, skoro już tu jesteśmy?

Dziennikarz oddalił się pospiesznie. Chwilę potem ujrzałem, jak stoi z wyciągniętą ręką na skraju chodnika wychylony ku nadjeżdżającym pojazdom.

– Uwaga, panie Ryder.

Pedro, przyklękawszy na jedno kolano, spozierał na mnie przez aparat. Poprawiłem się na krześle i przyjąłem postawę luźną, acz nie ostentacyjnie oklapłą, postarałem się też o dobroduszny uśmiech.

Pedro nacisnął kilka razy spust migawki. Potem cofnął się kilka metrów i ponownie przyklęknął, tym razem obok pustego stolika, płosząc przy tym stadko gołębi, zwabionych w to miejsce okruciami. Właśnie miałem zmienić pozycję, kiedy przybiegł z powrotem dziennikarz.

– Panie Ryder, nie znalazłem taksówki, ale właśnie nadjechał tramwaj. Proszę się pospieszyć, może zdążymy się jeszcze załapać. Szybko, Pedro, do tramwaju.

– Ale czy tramwaj jest równie szybki jak taksówka?

– Tak, tak. Przy takim ruchu tramwaj może się nawet okazać szybszy. Proszę się nie obawiać, panie Ryder, budowla Sattlera jest bardzo blisko. Właściwie... – Podniósł rękę, żeby osłonić oczy, i popatrzył w dal. – Właściwie prawie ją stąd widać. Gdyby nie ta szara wieża, można by ją teraz zobaczyć. To naprawdę blisko. Gdyby człowiek przeciętnego wzrostu... nie wyższy ode mnie czy od pana... gdyby taki człowiek wszedł na dach budowli Sattlera, stanął prosto i wyciągnął do góry jakiś podłużny przedmiot, powiedzmy szczotkę do zamiatania, w dniu takim jak dzisiaj bez trudu zobaczylibyśmy go nad tamtą szarą wieżą. Jak pan widzi, będziemy tam raz-dwa. Ale musimy się pospieszyć, tramwaj czeka.

Pedro stał już przy krawężniku. Widziałem, jak z przewieszoną przez ramię, ciężką od sprzętu torbą próbuje przekonać motorniczego, żeby na nas zaczekał. Wyszedłem za dziennikarzem i wdrapałem się do tramwaju.

\* \* \*

Tramwaj ruszył w momencie, gdy szliśmy środkiem wagonu. Panował tłok, nie było więc mowy o znalezieniu trzech wolnych miejsc obok siebie. Wcisnąłem się między małego starszego pana i stateczną matronę z dzieckiem na kolanach w tylnej części wagonu. Siedzenie było nadszpejowanie wygodne i już po kilku minutach podróż zaczęła mi sprawiać niekłamana przyjemność. Naprzeciwko mnie siedziało trzech staruszków, którzy czytali jedną, wspólną gazetę, trzymaną przez tego w środku. W lekturze przeszkadzało im trzęsienie tramwaju i niekiedy tarosili gazetę, próbując wywalczyć dla siebie interesującą

ich stronę.

Po jakimś czasie zauważyłem wokół siebie poruszenie i zorientowałem się, że w naszą stronę przesuwa się konduktorka. Pomyślałem, że moi towarzysze zapewne kupili dla mnie bilet; w każdym razie ja się o to nie postarałem. Kiedy znowu zerknąłem przez ramię, zauważyłem, że konduktorka – drobna kobieta, której brzydki, czarny uniform nie zdołał do końca ukryć atrakcyjnej figury – ma do sprawdzenia jeszcze tylko naszą część wagonu. Ludzie wokół mnie wyjmowali bilety i legitymacje. Tłumiąc odruch paniki, zacząłem układać w myślach kwestię, która zabrzmiałaby zarazem dostojnie i przekonująco.

W końcu konduktorka stanęła przy nas i wszyscy moi sąsiedzi podali jej swoje bilety. Jeszcze zanim skończyła je kasować, oświadczyłem stanowczym tonem:

– Nie mam biletu, ale usprawiedliwiają mnie pewne szczególne okoliczności, które, za pani pozwoleniem, zaraz wyjaśnię.

Konduktorka popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Brak biletu to jedna sprawa. Ale srodze się na tobie zawiodłam zeszłego wieczoru.

Po tych słowach rozpoznałem w niej Fionę Roberts, dziewczynę z mojej szkoły podstawowej w Worcestershire, z którą w wieku około dziewięciu lat łączyła mnie szczególna przyjaźń. Mieszkała blisko nas, na tej samej ulicy, w domku podobnym do naszego. Często do niej chodziłem, żeby spędzić popołudnie na wspólnych zabawach, zwłaszcza w trudnym okresie poprzedzającym nasz wyjazd do Manchesteru. Od tamtej pory ani razu jej nie widziałem, toteż zaskoczył mnie oskarżycielski ton w jej głosie.

– Ach tak – powiedziałem. – Zeszłego wieczoru... no tak.

Fiona Roberts wciąż wpijała się we mnie wzrokiem. Być może pod wpływem jej pełnej wyrzutu miny przypomniałem sobie nagle pewne popołudnie z naszego dzieciństwa, kiedy siedzieliśmy razem pod stołem jadalnym jej rodziców. Jak zwykle zbudowaliśmy sobie naszą kryjówkę, zwieszając ze wszystkich stron stołu koce i zasłony. Było to ciepłe i słoneczne popołudnie, ale my uparcie siedzieliśmy w naszej kryjówce, pomimo mroku i duchoty. Tłumaczyłem coś Fionie, bez wątpienia długo i zaciekle. Kilka razy próbowała mi przerwać, ale ja mówiłem dalej. Kiedy wreszcie skończyłem, powiedziała:

– Bez sensu. Z tego wynika, że będziesz samotny.

– Nie mam nic przeciwko temu – odrzekłem. – Lubię samotność.

– Znowu gadasz bez sensu. Nikt nie lubi samotności. Ja będę miała dużą rodzinę. Co najmniej pięcioro dzieci. I co wieczór będę im gotowała pyszną kolację. – Ponieważ nie odpowiadałem, powtórzyła: – Gadasz bez sensu. Nikt nie lubi być sam.

– A ja tak. Naprawdę.

– Jak można lubić samotność?

– Po prostu lubię, i już.

Stwierdzenie to wynikało z dość szczerego przekonania, już bowiem kilka miesięcy wcześniej rozpocząłem swoje „treningi”. Prawdopodobnie mniej więcej w tym czasie owa dziwna obsesja osiągnęła punkt szczytowy.

Moje „treningi” nie były z góry zaplanowane. Pewnego szarego popołudnia bawiłem się sam na drodze. Pochłonięty jakąś fantazją na przemian wskakiwałem do wysuszonego rowu, ciągnącego się między rzędem topoli a polem, i wyłaziłem zeń, gdy nagle ogarnęły mnie paniczny lęk i chęć znalezienia się w towarzystwie rodziców. Nasz domek nie był daleko, za polem widać było jego tył, lecz mój lęk szybko się nasilał, aż w końcu owładnęło mną naglące pragnienie, by co sił w nogach popędzić do domu na przełaj przez wyboiste pole. Ale z jakiegoś powodu... być może szybko skojarzyłem to uczucie z niedojrzałością... powstrzymałem się siłą woli. Nie miałem żadnych wątpliwości, że zaraz ruszę pędem przez trawę. Chodziło jedynie o to, by siłą woli odwlec ten moment o kilka sekund. Kiedy tak stałem znieruchomiał w przydrożnym rowie, czułem dziwną mieszaninę trwogi i uniesienia, która w ciągu najbliższych tygodni miała stać mi się tak dobrze znana. Już po paru dniach moje „treningi” okazały się bowiem ważną częścią mojego życia. Z czasem zaczął im nawet towarzyszyć pewien rytuał. Otóż gdy tylko czułem pierwsze oznaki chęci powrotu do domu, dochodziłem do wyznaczonego punktu na drodze, to jest do ogromnego dębu, gdzie stałem przez kilka minut, walcząc z emocjami. Często mówiłem sobie, że już wystarczy, że mogę nareszcie biec do domu, aby zaraz potem znów wziąć się w garść i zmusić się do pozostania pod drzewem jeszcze kilka sekund dłużej. Wkrótce utrwaliła się we mnie dość natarczywa potrzeba powtarzania tych „treningów”, co bez wątpienia można przypisać owemu dziwnemu dreszczowi, który w takich razach towarzyszył rosnącemu uczuciu trwogi i panicznego lęku.

– Ale przecież zdajesz sobie sprawę – powiedziała do mnie Fiona tamtego popołudnia, z twarzą tuż obok mojej – że kiedy ty się ożenisz, wcale nie musi być tak samo jak z twoimi rodzicami. Wcale tak nie będzie. Nie wszystkie małżeństwa cały czas się kłócą. Kłócą się tylko wtedy, kiedy... kiedy stanie się coś wyjątkowego.

– Na przykład co?

Fiona milczała. Już chciałem powtórzyć pytanie, tym razem bardziej agresywnie, kiedy odezwała się nieco perfidnie:

– Twoi rodzice nie kłócą się dlatego, że między nimi po prostu się nie układa. Nie wiesz? Nie wiesz, dlaczego cały czas się kłócą?

Nagle spoza naszej kryjówki dobiegł jakiś gniewny okrzyk i Fiona zniknęła. Siedząc

samotnie w ciemności pod stołem, słyszałem dochodzące z kuchni stłumione odgłosy kłótni między Fioną a jej matką. W pewnej chwili dosłyszałem, jak Fiona powtarza urażonym tonem: „Ale dlaczego nie? Dlaczego nie mogę mu powiedzieć? Każdy o tym wie”. Jej matka odpowiadała ściszym głosem: „Jest od ciebie młodszy. Jest jeszcze za mały. Masz mu nie mówić”.

Z tych wspomnień wyrwał mnie głos Fiony, która podeszła bliżej i powiedziała:

– Czekałam do wpół do jedenastej. Potem podałam główne danie. Wszyscy umierali z głodu.

– Naturalnie. To zrozumiałe. – Zaśmiałem się bez przekonania i rozejrzałem się po wagonie. – Wpół do jedenastej. Tak, do tego czasu wszyscy musieli zgłodnieć...

– I stało się jasne, że nie przyjdiesz. Nikt już w to ani trochę nie wierzył.

– Cóż, do tego czasu, niewątpliwie...

– Z początku wszystko szło dobrze – ciągnęła Fiona Roberts. – Choć nigdy przedtem nie wydawałam podobnego przyjęcia, wszystko szło dobrze. Nie brakowało nikogo: Inge, Trude... wszystkie zebrały się u mnie w pokoju. Byłam trochę zdenerwowana, ale wszystko szło dobrze i czułam też podekscytowanie. Niektóre panie specjalnie się przygotowały na ten wieczór, przyniosły całe teczkę wycinków z prasy i fotografii. Dopiero koło dziewiątej zaczęłyśmy się trochę niepokoić i wtedy po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że możesz nie przyjść. Bez przerwy krążyłam między kuchnią a pokojem, donosząc kawę, półmiski z przekąskami i starając się podtrzymać atmosferę. Widziałam, że zaczynają szeptać między sobą, ale wciąż jeszcze myślałam, że może jednak się zjawisz, że pewnie utknąłeś gdzieś w korku. Robiło się coraz później i w końcu zaczęły mówić i szeptać całkiem otwarcie. Nawet w mojej obecności. W moim własnym mieszkaniu! Wtedy podałam główne danie. Chciałam mieć to jak najszybciej za sobą. Siedziały w krąg i jadły... przygotowałam różnego typu omleczki... i nawet przy jedzeniu niektóre z nich, jak na przykład ta Ulrike, szeptały i chichotały. Choć prawdę mówiąc, wolałam te, które chichotały, od takich jak Trude, które udawały współczucie i do końca próbowały być dla mnie miłe. O, jak ja nienawidzę tej kobiety! Wiedziałam, że wychodząc ode mnie, myśli: „Biedaczka, żyje w urojonym świecie. Mogłyśmy się domyślić tego wcześniej”. Nienawidzę ich wszystkich i szczerze żałuję, że się z nimi zadałam. Ale, widzisz, w ciągu czterech lat mieszkania na tym osiedlu z nikim się nie zaprzyjaźniłam, byłam bardzo osamotniona. Te kobiety, które przyszły do mnie wczoraj, przez długi czas nie chciały mieć ze mną do czynienia, uważają się bowiem za osiedlową elitę. Nazwały się Kobięcym Stowarzyszeniem Kulturalno-Artystycznym. Tak naprawdę nie ma żadnego stowarzyszenia w normalnym znaczeniu tego słowa, ale one uważają, że brzmi to

wspaniale. Chętnie włączają się w organizację różnych imprez w mieście. Na przykład kiedy przyjechał Balet Pekijski, przygotowały całą dekorację na przyjęcie powitalne. W każdym razie mają się za bardzo ekskluzywne grono i jeszcze do niedawna bliższy kontakt z kimś takim jak ja był poniżej ich godności. Inge nie odpowiadała nawet na moje „dzień dobry”, kiedy spotykałyśmy się na terenie osiedla. Naturalnie, wszystko się zmieniło, gdy tylko po mieście rozniosło się, że cię znam. Nie jestem pewna, jak to wyszło na jaw, nie chwaliłam się tym na wszystkie strony. Musiałam chyba komuś o tym napomknąć. W każdym razie, jak się domyślasz, ta wiadomość wszystko odmieniła. Pewnego dnia Inge sama zatrzymała mnie na schodach i zaprosiła na jedno z ich spotkań. Wcale nie miałam ochoty się z nimi zadawać, ale poszłam. Pewnie miałam nadzieję, że wreszcie się z kimś zaprzyjaźnię, nie pamiętam już. Na samym początku niektóre z nich, między innymi Inge i Trude, nie były do końca przekonane, czy mają mi wierzyć. No wiesz, że jestem twoją starą przyjaciółką. W końcu jednak uwierzyły i myślę, że miało to dobry wpływ na ich samopoczucie. Pomysł z opieką nad twoimi rodzicami nie wyszedł ode mnie, choć oczywiście wiązał się z tym, że cię znam. Kiedy rozeszła się wieść, że przyjeżdżasz, Inge przedstawiła pomysł panu von Braunowi. Powiedziała mu, że po Balcie Pekijskim Stowarzyszenie było gotowe podjąć się naprawdę ważnego zadania, a ponadto jedna z osób w grupie jest twoją starą przyjaciółką. Coś w tym rodzaju. No i Stowarzyszeniu powierzono opiekę nad twoimi rodzicami podczas twojej wizyty. Panie były oczywiście bardzo przejęte, choć niektóre przeraziły się nieco skalą odpowiedzialności. Ale Inge dodała im otuchy, mówiąc, że Stowarzyszenie w pełni na to zasługuje. Spotykałyśmy się, żeby się wspólnie zastanawiać, jak zorganizować czas twoim rodzicom. Inge poinformowała nas... przykro było mi to słyszeć... że stan zdrowia twoich rodziców nie jest najlepszy, toteż z góry należało wykluczyć wiele oczywistych sposobów spędzania czasu, na przykład wycieczki po mieście i tym podobne. Ale miałyśmy mnóstwo innych pomysłów i nasze podniecenie stale rosło. Na ostatnim spotkaniu ktoś zapytał, czemu by nie poprosić ciebie, żebyś spotkał się z nami wszystkimi osobiście? Powiedział nam, co najbardziej mogłoby przypaść twoim rodzicom do gustu. Na chwilę zaległa grobowa cisza. Potem Inge rzekła: „Czemu nie? W końcu mamy szczególne powody, żeby go zaprosić”. Wszystkie oczy zwróciły się w moją stronę. Po chwili powiedziałam: „No cóż, domyślam się, że będzie bardzo zajęty, ale jeśli chcecie, mogę go o to poprosić”. Wywołało to ogromne poruszenie. A kiedy nadeszła twoja odpowiedź... ho, ho... zaczęły traktować mnie jak królową: przy każdej okazji uśmiechały się i okazywały mi serdeczność, przynosiły prezenty dla dzieci i proponowały pomoc w różnych sprawach. Tak więc możesz sobie wyobrazić, jaka była ich reakcja, kiedy nie zjawiliś się zeszłego wieczoru. – Westchnęła głęboko i przez

chwilę milczała, patrząc tępo na przesuwane się za oknem budynki. – Nie, chyba nie powinnam cię za to winić – podjęła po chwili. – W końcu nie widzieliśmy się od tak dawna. Ale myślałam, że zechcesz przyjść ze względu na swoich rodziców. Każda z nas miała mnóstwo pomysłów na to, jak im wypełnić czas. A dziś rano będę tematem numer jeden ich rozmów. Większość z nich nie chodzi do pracy, mają dobrze zarabiających mężów. Już widzę, jak do siebie wydzwanają, odwiedzają się i mówią: „Biedaczka, żyje w swoim wymyślnym świecie. Mogłyśmy się tego domyślać. Chciałabym coś dla niej zrobić, tylko że ona jest taka nużąca”. Już to słyszę, mają niezły ubaw. Inge zaś w głębi duszy jest wściekła. „Ta mała suka nas oszukała”, myśli. Ale jest zadowolona, ulżyło jej. Bo, widzisz, to, że się znamy, przejmowało ją nie tylko podziwem, ale i poczuciem zagrożenia. To było dla mnie jasne. No i jeszcze sposób, w jaki się do mnie odnosiły przez tych parę ostatnich tygodni, od nadejścia twojej odpowiedzi... to jej dało do myślenia. Na pewno ją to teraz gryzie, tak jak całą resztę. W każdym razie dziś rano mają niezły ubaw, jestem pewna.

Naturalnie, słuchając Fiony, czułem, że powinienem mieć poważne wyrzuty sumienia. Pomimo jednak tak żywego opisu poprzedniego wieczoru w jej mieszkaniu i szczerego współczucia ledwie mogłem sobie przypomnieć taki punkt w moim programie wizyty. Poza tym jej słowa uświadomiły mi z nagłością gromu, jak niewiele uwagi dotąd poświęciłem zbliżającemu się przyjazdowi moich rodziców. Jak wspomniała Fiona, oboje nie byli w najlepszym zdrowiu i należało się o nich zatroszczyć. Patrząc przez okno na intensywny ruch uliczny i oszklone budynki, które mijaliśmy po drodze, poczułem przypływ troski o moich rodziców. Powierzenie ich dobrej grupie lokalnych kobiet było idealnym rozwiązaniem i postąpiłem bardzo nierozsądnie, przegapiając okazję porozmawiania z nimi. Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, co mogę dla nich zrobić... nie mieściło mi się w głowie, że dotychczas tak mało interesowałem się tą stroną mojej wizyty... i przez chwilę mój umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Zobaczyłem nagle matkę i ojca... malutkich, białowłosych i przygarbionych wiekiem... jak stoją przed dworcem kolejowym, otoczeni walizkami, których w żaden sposób nie mogą sami przenieść. Widziałem, jak patrzą na obce miasto, aż w końcu duma bierze w moim ojcu górę nad rozsądkiem i podnosi najpierw dwie, potem trzy walizki, podczas gdy matka bezskutecznie próbuje go powstrzymać, chwytając go chudą dłonią za ramię i mówiąc: „Nie, nie, nie możesz tego nieść. To za ciężkie”. A mój ojciec, z determinacją wypisaną na twarzy, odtrąca jej rękę i mówi: „A kto je zanieś? Jak inaczej dotrzemy do hotelu? Kto nam tu pomoże, jeśli nie pomożemy sobie sami?”. A wszystko to w łośkocie samochodów, ciężarówek i pojazdów komunikacji miejskiej. Matka, zrezygnowana, patrzy ze smutkiem, jak ojciec, chwiejąc się na nogach pod ciężarem

bagażów, robi cztery kroki, pięć, aż w końcu się poddaje, stawia walizy na ziemi i stoi z opadłymi ramionami, ciężko dysząc. Po chwili moja matka podchodzi do niego i delikatnie kładzie mu rękę na ramieniu. „Nie przejmuj się. Znajdziemy kogoś do pomocy”. A ojciec, zrezygnowany, być może zadowolony, bo przynajmniej pokazał siłę ducha, patrzy milcząco na rozpędzone pojazdy, wypatrując kogoś, kto być może po nich wyjechał, kto zatroszczy się o ich bagaż, porozmawia z nimi na powitanie i zawiezie do hotelu wygodnym samochodem.

Wszystko to przemykało mi przed oczyma, podczas gdy Fiona mówiła dalej, tak że przez parę chwil nie mogłem się skupić na jej nieszczęsnym położeniu. W końcu dotarli do mnie jej słowa:

– Już słyszę, jak mówią, że od tej pory muszą być ostrożniejsze. „Nasz prestiż wzrósł niepomiaralnie i teraz różne takie będą próbowały się do nas jakoś wkręcić. Musimy zachować ostrożność, zwłaszcza teraz, kiedy spoczywa na nas tak wielka odpowiedzialność. To, co zrobiła ta mała suka, powinno być dla nas nauką”. Coś w tym rodzaju. Nie wyobrażam sobie, jak ja mogę dalej mieszkać na tym osiedlu. No i moje dzieci... muszą dorastać w takim otoczeniu...

– Posłuchaj – przerwałem jej – strasznie mi przykro z tego powodu. Ale poprzedniego wieczoru wydarzyło się coś zupełnie nieprzewidywalnego, nie będę cię teraz zanudzał szczegółami. Naturalnie, byłem bardzo niezadowolony, że muszę ci sprawić zawód, ale nie mogłem nawet zadzwonić. Mam nadzieję, że nie zadałaś sobie zbyt wiele trudu.

– Zadałam sobie masę trudu. Wiesz, że jako samotna matka wychowująca dwoje dorastających dzieci mam trudności z...

– Posłuchaj, naprawdę jest mi piekielnie przykro. Ale mam pomysł. Teraz muszę załatwić pewną sprawę z tamtymi dziennikarzami, ale to nie potrwa długo. Czym prędzej uwolnię się od nich, wskoczę do taksówki i pojadę do twojego mieszkania. I będę tam, powiedzmy, za pół godziny, w najgorszym razie za trzy kwadransy. A potem możemy zrobić tak: przejdziemy się razem po całym twoim osiedlu, aby ci wszyscy ludzie, twoje sąsiadki, Inge, Trude, żeby wszyscy zobaczyli na własne oczy, że naprawdę jesteśmy starymi przyjaciółmi. Potem odwiedzimy co bardziej wpływowe z nich, na przykład tę całą Inge. Przedstawisz mnie, a ja przeproszę za swoją wczorajszą nieobecność i wytłumaczę, jak to w ostatniej chwili coś mnie zatrzymało. W ten sposób zjednamy sobie jedną po drugiej i naprawimy krzywdę, którą ci wczoraj wyrządziłem. Co więcej, jeśli przeprowadzimy to właściwie, zapewnisz sobie trwalszą pozycję wśród swoich przyjaciółek, niż byłoby to możliwe innymi sposobami. Co ty na to?

Przez dłuższą chwilę Fiona nie odrywała oczu od przesuwających się za oknem

widoków. Wreszcie powiedziała:

– W pierwszym odruchu miałam ochotę ci powiedzieć: „Zapomnij o tym”. Moje zapewnienia, że cię znam, nic mi nie dały. A poza tym może wcale nie muszę należeć do kręgu Inge? Po prostu przedtem czułam się bardzo samotna na osiedlu, ale teraz, gdy przyjrzałam im się z bliska, wcale nie jestem pewna, czy nie byłabym szczęśliwsza, gdybym miała za całe towarzystwo własne dzieci. Wieczorami mogę czytać albo oglądać telewizję. Ale nie mogę myśleć wyłącznie o sobie, powinnam pomyśleć o dzieciach. Muszą dorastać na osiedlu, muszą być akceptowane. Ze względu na nie powinnam przyjąć twoją propozycję. Masz rację, jeśli zrobimy tak, jak mówisz, mogę na tym wyjść lepiej, niż gdyby przyjęcie zakończyło się wielkim sukcesem. Ale musisz mi obiecać, przysiąc na wszystko, co jest ci drogie, że mnie nie zawiedziesz po raz drugi. Bo, widzisz, jeśli mamy przeprowadzić nasz plan, to gdy tylko wrócę do domu po tej zmianie, muszę zapowiedzieć nasze wizyty przez telefon. W żadnym razie nie możemy się zjawić bez zapowiedzi, to nie ten rodzaj sąsiedztwa. Sam więc rozumiesz, co by było, gdybym umówiła się na te wszystkie spotkania, a ty znowu byś się nie zjawił. Musiałabym sama obejść ich mieszkania, za każdym razem tłumacząc twoją nieobecność. Tak więc musisz mi obiecać, że nie zawiedziesz mnie ponownie.

– Masz moje słowo – zapewniłem ją. – Jak już mówiłem, muszę się tylko uporać z tymi dziennikarzami i zaraz potem wskakuję do taksówki i jestem u ciebie. Nie martw się, Fiono, wszystko się jakoś ułoży.

Mówiąc to, poczułem, że ktoś dotyka mojego ramienia. Odwróciłem się i zobaczyłem Pedra, z torbą przewieszoną przez ramię.

– Bardzo proszę, panie Ryder – powiedział, wskazując w stronę wyjścia.

Dziennikarz stał z przodu wagonu gotowy, aby wysiąść.

– To już nasz przystanek, panie Ryder! – zawołał przez cały wagon, machając do mnie ręką. – Zechce pan łaskawie wysiąść!

Poczułem, jak tramwaj hamuje. Wstałem, wydostałem się ze ścisku i skierowałem do wyjścia.

# Rozdział 13

Tramwaj odjechał z turkotem, zostawiwszy nas w szczerym polu, gdzie w najlepsze hulał wiatr. Jego powiew podziałał na mnie ożywczo i na chwilę wystawiłem się nań, patrząc, jak tramwaj oddala się pośród pól i ginie za horyzontem.

– Proszę tędy, panie Ryder.

Dziennikarz i Pedro czekali na mnie kilka kroków z przodu. Dogoniłem ich i wszyscy razem ruszyliśmy przez siebie zarośniętym trawą polem. Raz po raz silny podmuch targał naszymi ubraniami i przebiegał przez trawy, gnąc je ku ziemi. Wreszcie znaleźliśmy się pod wzgórzem, gdzie urządziliśmy sobie krótki odpoczynek.

– Jeszcze tylko kawałek pod górę – rzekł dziennikarz, wskazując na wzgórze.

Po wątpliwej przyjemności, jaką była konieczność przedzierania się przez wysoką trawę, z ulgą dostrzegłem, że pod górę wiedzie błotnista ścieżka.

– Nie mam zbyt wiele czasu – powiedziałem – więc jeśli panowie nie mają nic przeciwko temu, chodźmy dalej.

– Tak, panie Ryder.

Dziennikarz pierwszy ruszył ścieżką, która wiła się stromo pod górę. Szedłem tuż za nim, bez trudu dotrzymując mu kroku. Pedro, zapewne z powodu obciążenia, szybko został daleko w tyle. Po drodze rozmyślałem o Fionie i zawodzie, jaki jej wprowadziłem poprzedniego wieczoru. Uderzyła mnie myśl, że mimo całej pewności siebie, jaka nie opuszczała mnie od początku wizyty, mimo dotychczasowych osiągnięć, moje postępowanie w pewnych sprawach – przynajmniej według moich standardów – pozostawiało trochę do życzenia. Pomijając kłopotliwą sytuację, na jaką naraziłem Fionę, dotkliwie dręczyła mnie świadomość, że – wobec rychłego przyjazdu moich rodziców do miasta – przepuściłem doskonałą sposobność, by omówić ich różne złożone potrzeby z ludźmi, którzy się mieli nimi zaopiekować. Kiedy zacząłem tracić oddech, znów zawrzała we mnie złość na Sophie za bałagan, jaki wprowadziła do moich spraw. Czy w tak ważnych momentach mojego życia nie może zachować swojego chaosu dla siebie? Czyżbym żądał zbyt wiele? W głowie zaczęły mi się kotłować różne słowa, które nagle zapragnąłem jej powiedzieć, i gdyby nie brakowało mi oddechu, zacząłbym je pewnie mamrotać.

Po trzech czy czterech zakrętach przystanęliśmy, aby odpocząć. Rozejrzałem się

dokoła. Rozpościerał się stąd rozległy widok na okolicę. Pola ciągnęły się jedno za drugim w dal i tylko na horyzoncie widniało coś, co wyglądało na zespół zabudowań gospodarskich.

– Wspaniały widok – powiedział dziennikarz, dysząc i odgarniając włosy z twarzy. – Człowiekowi dobrze robi taka wycieczka. Świeże powietrze doda nam sił na resztę dnia. No ale szkoda czasu, choć jest tu tak przyjemnie. – Zaśmiał się wesoło i ruszył dalej.

Tak jak poprzednio, szedłem za nim krok w krok, podczas gdy Pedro włókł się w pewnej odległości za nami. W pewnym momencie, kiedy pokonywaliśmy szczególnie stromy odcinek, Pedro zawołał coś z dołu. Pomyślałem, że prosi nas, abyśmy zwolnili, ale dziennikarz nie zmienił tempa i tylko rzucił przez ramię, przekrzykując silny podmuch wiatru:

– Co mówiłeś?!

Słyszałem, jak Pedro wysila się, by zmniejszyć nieco dzielącą nas odległość. Potem zawołał:

– Mówię, że chyba udało nam się tego gnoja przekonać! Pewnie na resztę też się zgodzi!

– Na razie robi, co mu każemy! – odkrzyknął dziennikarz. – Ale z tymi typami nigdy nic nie wiadomo! Schlebiaj mu cały czas! Przeszedł już spory kawał drogi i chyba jest całkiem zadowolony! Co za głupek! Pewnie nawet się nie domyśla, jakie znaczenie ma ten budynek!

– Co mu powiemy, jak zapyta? – odezwał się Pedro. – Na pewno zapyta!

– Po prostu zmień temat! Poproś go, żeby inaczej stanął! Wszystko, co dotyczy jego wyglądu, powinno przykuć jego uwagę! A jeśli nie przestanie dopytywać, to w końcu będziemy musieli mu powiedzieć! Ale do tego czasu narobimy mnóstwo zdjęć i gnój może nas pocałować!

– Nie mogę się doczekać końca tej roboty! – krzyczał Pedro, dostając jeszcze większej zadyszki. – Jezu Chryste, jak mnie mierzi to jego pocieranie ręki o rękę!

– Już prawie jesteśmy na miejscu! Świetnie sobie radzimy, szkoda byłoby wszystko popsuć w ostatniej chwili.

– Przepraszam – wtrąciłem – ale muszę się zatrzymać na sekundkę.

– Oczywiście, panie Ryder, cóż za nietakt z mojej strony – powiedział dziennikarz i przystanął. – Ja sam jestem maratończykiem – ciągnął – więc mam pewną przewagę. Ale muszę przyznać, że i tak podziwiam pańską kondycję. W pańskim wieku... a znam go jedynie ze swoich notatek, sam nigdy bym się nie domyślił... Doprawdy, wyprzedził pan biednego Pedra że ho, ho! – Po czym krzyknął do fotografa, który właśnie nas doganiał: – Pospiesz się, maruderze, pan Ryder się z ciebie śmieje!

– To niesprawiedliwe – powiedział z uśmiechem Pedro. – Pan Ryder ma wielki talent, jest u szczytu powodzenia, a do tego jeszcze los obdarzył go taką sprawnością fizyczną. Niektórzy, jak ja, mają pecha.

Staliśmy, oglądając rozległy widok i próbując odzyskać regularny oddech.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – odezwał się dziennikarz. – Chodźmy dalej, pan Ryder ma dziś jeszcze dużo pracy.

Końcówka tej wędrówki okazała się najuciążliwsza. Ścieżka robiła się coraz bardziej stroma i często przemieniała się w ciąg błotnistych kałuż. Dziennikarz równym tempem posuwał się naprzód, choć zauważyłem, że teraz pochyła się z wysiłku. W miarę jak ślaniając się na nogach, piąłem się w ślad za nim, moją głowę znów zaczęło wypełniać to, co chciałem powiedzieć Sophie. Złapałem się na tym, że mamrocze przez zaciśnięte zęby w rytm własnych kroków: „Czy ty to rozumiesz? Czy ty to rozumiesz?”. Zdanie to nigdy nie doczekało się rozwinięcia, ale powtarzałem je na głos albo w myślach przy każdym kroku, aż w końcu ta kwestia zaczęła potęgować moją złość.

Wreszcie ścieżka zaprowadziła nas na płaski teren i na szczycie wzgórza ujrzałem biały budynek. Wraz z dziennikarzem dowlekleliśmy się do niego resztką sił i ciężko dysząc, oparliśmy się o jego ścianę. Po chwili dołączył do nas Pedro, który sapał jak lokomotywa. Runął bezwładnie na ścianę budynku i osunął się na kolana. Przez chwilę bałem się, że dostanie ataku serca. On jednak, wciąż jeszcze dysząc i sapiąc, otworzył torbę. Wyjął z niej aparat, a potem obiektyw. W tym momencie ponownie dał o sobie znać nadmierny wysiłek i fotograf, oparłszy się o ścianę, złożył głowę w zgięciu ramienia i z wielkim trudem łapał oddech.

Kiedy poczułem się lepiej, odsunąłem się kilka kroków od budynku, żeby objąć go wzrokiem w całości. Silny wiatr prawie przyparł mnie z powrotem do muru, w końcu jednak dobrnąłem do miejsca, skąd mogłem zobaczyć wysoki walec z białej cegły, pozbawiony okien, jeśli nie liczyć poprzecznej szczeliny blisko wierzchołka. Wyglądało to tak, jakby ze średniowiecznego zamku zabrano jedną wieżę i postawiono ją tu, na szczycie wzgórza.

– Panie Ryder, możemy zaczynać, jak tylko będzie pan gotów.

Dziennikarz i Pedro zajęli pozycje w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od budynku. Pedro, który widocznie zdążył już przyjść do siebie, rozłożył statyw i spozierał teraz przez wizjer aparatu.

– Zaraz przy murze, jeśli wolno prosić! – krzyknął dziennikarz.

Zawróciłem w stronę budynku.

– Panowie – rzuciłem w ich stronę, przekrzykując wiatr – zanim zaczniemy,

chciałbym zapytać, jaki charakter ma miejsce, które obraliśmy za tło?!

– Proszę stanąć tuż przy murze, panie Ryder! – zawołał Pedro, machając ręką w powietrzu. – Może oparłby się pan o niego ręką. O, tak. – Wystawił łokieć pod wiatr.

Przysunąłem się do muru i stanąłem tak, jak prosili. Pedro robił jedno zdjęcie za drugim, raz po raz przenosząc statyw z miejsca na miejsce albo zmieniając obiektyw. Przez cały ten czas dziennikarz stał obok niego, zaglądając mu przez ramię i naradzając się z nim.

– Panowie – odezwałem się po jakimś czasie – mogę chyba zapytać o...

– Pański krawat, panie Ryder! – przerwał Pedro, wyskakując z poza aparatu.

Wiatr zarzucił mi krawat na ramię. Poprawiłem go i przy okazji przygładziłem włosy.

– Panie Ryder – zawołał Pedro – na paru zdjęciach mógłby mieć pan podniesioną rękę, o tak! Otóż to! Jakby wprowadzał pan kogoś do środka! Idealnie, idealnie. Ale proszę się jeszcze dumnie uśmiechnąć! Tak, idealnie! Wygląda pan imponująco!

Wykonywałem jego polecenia najlepiej, jak mogłem, choć silny wiatr utrudniał mi zachowanie odpowiednio życzliwego wyrazu twarzy.

Po pewnym czasie zauważyłem nieco dalej, z lewej strony, jakąś postać. Wydawało mi się, że jest to mężczyzna w ciemnym płaszczu, przytulony do muru, ale musiałem akurat stać w jednej ze swoich póz i widziałem go jedynie kątem oka. Pedro wykrzykiwał polecenia przez wiatr – „Podnieść brodę o milimetr w jedną stronę! Uśmiechnąć się szerzej!” – upłynęło więc trochę czasu, zanim mogłem się swobodnie odwrócić i przyjrzeć owej postaci. Mężczyzna – wysoki i tyczkowaty, łysy i kościsty na twarzy – natychmiast ruszył w moją stronę. Kurczowo przyciskał do ciała poły płaszcz, ale zbliżając się, wyciągnął do mnie rękę.

– Witam, panie Ryder. To wielki zaszczyt, że mogę pana poznać.

– Dziękuję – powiedziałem, taksując go wzrokiem. – Mnie również bardzo miło, panie...

Tyczkowaty mężczyzna wydawał się zdumiony.

– Christoff – odparł w końcu. – Jestem Christoff.

– Ach tak, pan Christoff. – Wyjątkowo silny podmuch wiatru zmusił nas do tego, byśmy na chwilę szepili się rękoma, co pozwoliło mi ochłonąć z pierwszego wrażenia. – Ach tak, pan Christoff, naturalnie. Wiele o panu słyszałem.

– Panie Ryder – powiedział Christoff, nachylając się ku mnie – od razu chciałbym wyrazić panu wdzięczność za to, że zgodził się pan uczestniczyć w tym lunchu. Wiedziałem, że jest pan bardzo kulturalnym człowiekiem, toteż ani trochę nie zdziwiła mnie pańska pozytywna odpowiedź. Widzi pan, byłem pewien, że jest pan człowiekiem, który zechce przynajmniej bezstronnie nas wysłuchać. Który będzie wręcz zabiegać o to, by usłyszeć naszą

wersję. Nie, wcale mnie to nie zdziwiło i jestem panu niezmiernie wdzięczny. Jesteśmy już trochę spóźnieni – spojrział na zegarek – ale nie szkodzi. O tej porze nie powinno być zbyt dużego ruchu. Tędy, proszę.

Christoff zaprowadził mnie na tyły budynku. Wiatr nie był tu tak silny, a wystająca ze ścian płatanina rur wydawała niski, buczący odgłos. Christoff prowadził mnie dalej w kierunku dwóch drewnianych słupków na krawędzi wzgórza. Wyobrażałem sobie za nimi urwiste zbocze, ale kiedy do nich dotarliśmy, ujrzałem długi ciąg skruszałych kamiennych stopni, wiodących stromo w dół. U podnóża góry schody stykały się z brukowaną drogą, na której stał czarny samochód, czekający prawdopodobnie na nas.

– Pan pierwszy, panie Ryder – powiedział Christoff. – Proszę schodzić własnym tempem, nie ma się co spieszyć.

Zauważyłem jednak, że znowu zerknął nerwowo na zegarek.

– Bardzo mi przykro, że się spóźnimy – odezwałem się. – Robienie zdjęć trwało dłużej, niż myślałem.

– Proszę się nie przejmować, panie Ryder. Na pewno będziemy na czas. Proszę, pan przodem.

Pokonanie kilku pierwszych stopni przyprawiło mnie o lekki zawrót głowy. Z obu stron brakowało poręczy, czułem więc wewnętrzny przymus utrzymywania ciągłej koncentracji, w obawie, że przegapię jeden stopień i runę w dół aż do podnóża góry. Ale na szczęście wiatr dawał się mniej we znaki i wkrótce poczułem się pewniej – w końcu schody te nie różniły się tak bardzo od innych – do tego stopnia, że od czasu do czasu odrywałem wzrok od swoich stóp i spoglądałem na rozległą panoramę przed nami.

Niebo wciąż pokrywały chmury, lecz tu i ówdzie przebijało się przez nie słońce. Zauważyłem teraz, że droga, na której stał samochód, przecinała zbocze. Za nią stok opadał dalej, pokryty w tej części drzewami. Jeszcze niżej dostrzegłem pola, rozciągające się daleko, daleko we wszystkich kierunkach. Na widnokręgu majaczył ledwie dostrzegalny zarys miasta.

Christoff szedł za mną w milczeniu. Być może widząc moje zdenerwowanie, przez pierwszych parę minut powstrzymywał się od konwersacji. Ale kiedy już wpadłem w swój rytm, odetchnął i powiedział:

– Ten las, który widzi pan po prawej, to Las Werdenbergerski. Wielu zamożniejszych mieszkańców miasta ma tu domki wypoczynkowe. Naprawdę jest tu bardzo przyjemnie. Niby tak blisko miasta, a jednak ma się poczucie, że jest się z dala od wszystkiego. Będziemy przejeżdżać obok tych domków samochodem, to je pan zobaczy. Niektóre stoją na brzegu urwiska. Widoki zapierają dech w piersiach. Rosie bardzo by się taki domek podobał. Nawet

mieliśmy jeden na oku, pokażę panu po drodze. Jeden z tych skromniejszych, ale i tak bardzo atrakcyjny. Obecny właściciel prawie w ogóle z niego nie korzysta, no, może przez dwa, trzy tygodnie w roku. Gdybym złożył mu korzystną ofertę, na pewno by się nad nią poważnie zastanowił. Ale teraz nie ma sensu już o tym myśleć. Wszystko skończone.

Umilkł. Po jakimś czasie znów jednak usłyszałem za sobą jego głos:

– Nie jest duży. Rosa i ja nigdy nie widzieliśmy go w środku, ale przejeżdżaliśmy obok niego tyle razy, że możemy sobie wyobrazić, jak tam musi być. Stoi na małym cyplu, tuż nad urwiskiem; człowiek ma wrażenie, że jest zawieszony wysoko na niebie. Przechodząc z pokoju do pokoju, z każdego okna widzi się chmury. Rosie bardzo by się podobał. Przejeżdżaliśmy powoli obok, czasem się nawet zatrzymywaliśmy i nie wychodząc na zewnątrz, wyobrażaliśmy sobie, jak wygląda w środku, pokój za pokojem. No ale teraz to już przeszłość. Nie ma się nad czym rozwodzić. W końcu nie po to zgodził się pan poświęcić nam trochę swojego cennego czasu, żeby tego wszystkiego wysłuchiwać. Proszę mi wybaczyć. Wróćmy do ważniejszych spraw. Wie pan, wszyscy jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni, że zechciał pan przyjść i porozmawiać z nami. Jaka znacząca różnica między panem a tymi ludźmi... ludźmi, którzy mniemają, że przewodzą tutejszej społeczności! Trzy razy zapraszaliśmy ich na jeden z naszych lunchów, aby te sprawy omówić, tak jak za chwilę z panem. Ale gdzież tam, nawet nie brali tego pod uwagę! Są zbyt dumni. Von Winterstein, hrabina, von Braun, wszyscy. A to dlatego, że nie są pewni. W głębi duszy wiedzą, że nic nie rozumieją, więc nie chcą przyjść i omówić tego z nami, jak należy. Trzy razy ich zapraszaliśmy i trzy razy spotkaliśmy się z kategoryczną odmową. Ale to i tak niczego by nie zmieniło. Nie rozumieliby nawet połowy z tego, o czym mówimy.

Znowu umilkł. Czułem, że wypada mi coś powiedzieć, uderzyła mnie jednak myśl, że aby mnie usłyszał, musiałbym krzyknąć przez ramię, a nie miałem ochoty ryzykować oderwania oczu od stopni. Przez kilka minut schodziliśmy w milczeniu, słyszałem tylko, że Christoff dostaje coraz większej zadyszki.

– W gruncie rzeczy to nie ich wina – usłyszałem za sobą jego głos. – Współczesne formy są takie złożone. Kazan, Mullery, Yoshimoto... nawet profesjonalnym muzykom, takim jak ja, nie jest teraz łatwo, oj, nie. A co dopiero ludziom takim jak von Winterstein czy hrabina. Jaką oni mają szansę coś z tego pojąć? Ta muzyka ich przerasta. Dla nich to tylko rażąca kakofonia, wir dziwnych rytmów. Być może w ciągu tych wszystkich lat zdołali sobie wmówić, że coś tam słyszą, jakieś uczucia, sensy. Ale tak naprawdę nic w niej nie znaleźli. To ich przerasta, nigdy nie zrozumieją zasad muzyki współczesnej. Kiedyś byli po prostu Mozart, Bach, Czajkowski. Każdy potrafił coś w tej muzyce dostrzec. Ale współczesne

formy! Jak tacy prowincjusze bez żadnego przygotowania mogą coś z tego pojąć, choćby mieli nie wiem jak wielkie poczucie obowiązku względem własnej społeczności? To beznadziejny przypadek, panie Ryder. Oni nawet nie rozróżniają zduszonej kadencji od wybitego motywu ani oznaczenia taktu łamanego od serii opóźnionych pauz. A teraz błędnie interpretują całą sytuację! Chcą wszystko cofnąć. Na pewno jest pan zmęczony, panie Ryder, może chwilę odpoczniemy?

Zatrzymałem się nagle, ponieważ niebezpiecznie blisko mojej twarzy śmignął ptak, przez co omal nie straciłem równowagi.

– Nie, czuję się świetnie! – zawołałem i zacząłem schodzić dalej.

– Te stopnie są trochę za brudne, żeby na nich usiąść, ale zawsze możemy się po prostu zatrzymać i postać przez moment.

– Nie, dziękuję, naprawdę wszystko w porządku.

Przez kilka minut schodziliśmy w milczeniu.

– Są chwile, gdy patrzę na to z dystansem – Christoff podjął przerwany wątek – i jest mi ich po prostu żal. Po tym, co mi zrobili, po tym, co o mnie nagadali, potrafię spojrzeć na całą sytuację obiektywnie. Mówię sobie: nie, to przecież nie ich wina. To nie ich wina, że muzyka stała się taka trudna i skomplikowana. Trudno oczekiwać, by w miejscu takim jak to ktoś ją rozumiał. A jednak ci ludzie, ci radni miejscy, muszą stwarzać pozory, że wiedzą, co robią. Więc powtarzają sobie pewne rzeczy tak długo, aż zaczynają wierzyć, że są autorytetami. Widzi pan, w miejscu takim jak to nikt nie ośmieli się im zaprzeczyć. Proszę uważać, panie Ryder, kilka następnych stopni wykruszyło się nieco na brzegach.

Tych parę stopni pokonałem bardzo powoli. Kiedy potem zerknąłem do góry, stwierdziłem, że jesteśmy już prawie w połowie drogi.

– To by nic nie dało – ciągnął Christoff za moimi plecami. – Nawet gdyby przyjęli nasze zaproszenia, nic by to nie dało. Nie pojęliby nawet połowy. Pan chociaż zrozumie nasze argumenty. Jestem pewien, że nawet jeśli nie uda nam się pana przekonać, przynajmniej nabierze pan do nas pewnego szacunku. Choć, naturalnie, mamy nadzieję przekonać pana, że pomijając już mój osobisty los, za wszelką cenę należy utrzymać obecny kurs. Tak, jest pan wspaniałym muzykiem, jednym z najbardziej utalentowanych muzyków na całym świecie, ale nawet ekspert pańskiego kalibru musi dostosować swoją wiedzę do lokalnych warunków. Każda społeczność ma swoją historię, swoje szczególne potrzeby. Ludzie, których panu zaraz przedstawię, należą do nielicznej, bardzo nielicznej w tym mieście grupy prawdziwych intelektualistów. Zadali sobie trud, by przeanalizować szczególne dla tego miejsca warunki, a co więcej... w przeciwieństwie do von Wintersteina i jemu podobnych... rozumieją co nieco

z zasad, na których opiera się muzyka współczesna. Z ich pomocą postaram się przekonać pana... naturalnie z zachowaniem pełnego szacunku i wszelkich form grzecznościowych... że powinien pan zmienić swoją obecną postawę. Oczywiście wszyscy, których pan pozna, czują głęboki respekt dla pana i tego, co pan reprezentuje. Wydaje się nam jednak, że być może pomimo nadzwyczajnej przenikliwości nie docenia pan pewnych aspektów sytuacji. No, jesteśmy.

W rzeczywistości od drogi dzieliło nas jeszcze około dwudziestu stopni. Christoff nie odzywał się na tym końcowym odcinku. I dzięki Bogu, gdyż jego ostatnie uwagi zaczynały mnie już irytować. Sugerowanie, że nie znam należycie miejscowych warunków, że jestem z tych, którzy wyciągają wnioski, nie uwzględniając takich czynników, odebrałem jako osobistą zniewagę. Przypomniałem sobie, z jakim poświęceniem – pomimo napiętego programu i zmęczenia – od początku wizyty próbowałem zapoznać się z miejscową sytuacją. Na przykład poprzedniego popołudnia mogłem zażywać zasłużonego odpoczynku w wygodnym hotelowym atrium, lecz zamiast tego wyruszyłem na miasto w poszukiwaniu wrażeń. Im dłużej ważyłem w myślach słowa Christoffa, tym głębiej czułem się dotknięty, tak że gdy wreszcie doszliśmy do samochodu i Christoff otworzył przede mną drzwi, wsiadłem, prawie się do niego nie odzywając.

– Mamy niezły czas – oznajmił, sadowiąc się za kierownicą. – Jeśli nie będzie dużego ruchu, bardzo szybko dotrzemy na miejsce.

Kiedy to powiedział, przypomniały mi się naraz wszystkie inne obietnice, z których miałem się wywiązać tego dnia. Na przykład Fiona, która zapewne oczekuje mnie teraz w swoim mieszkaniu. Zrozumiałem, że sytuacja wymaga ode mnie stanowczości.

Zapalił silnik i już po chwili zjeżdżaliśmy stromą, krętą drogą. Christoff widocznie dobrze znał tę trasę, każdy ostry zakręt brał bowiem z dużą pewnością. Niżej droga stała się nieco łagodniejsza i po obu stronach zaczęły się pojawiać domki, o których mi wspominał, często niebezpiecznie przycupnięte nad urwiskami. W końcu odwróciłem się do niego i powiedziałem:

– Panie Christoff, bardzo cieszyłem się na ten lunch z panem i pańskimi przyjaciółmi. Zależało mi na tym, by poznać wasz punkt widzenia. Niemniej jednak tego ranka wyskoczyło niespodziewanie kilka spraw i w rezultacie okazało się, że czeka mnie dzień pełen zajęć. Nawet teraz, gdy to mówię...

– Nie musi nam pan tego tłumaczyć, panie Ryder. Od początku zdawaliśmy sobie z tego, że będzie pan bardzo zajęty, i zapewniam, że może się pan spodziewać zrozumienia z naszej strony. Jeśli opuści pan nasze towarzystwo po półtorej godziny, nawet po godzinie,

nikt nie będzie miał panu tego za złe. To fajna paczka, jedyni ludzie w tym mieście, którzy potrafią myśleć i odczuwać na tym poziomie. Na pewno będzie pan zadowolony, że ich pan pozna, niezależnie od wyniku naszej dyskusji. Dawniej, jak sądzę, uważali się za moich protegowanych i ciągle jeszcze cieszą się wśród nich dużym poważaniem. Ale teraz łączą nas stosunki koleżeńskie, przyjacielskie, może nawet coś głębszego. Tych ostatnich parę lat tylko nas do siebie zbliżyło. Naturalnie, niektórzy mnie opuścili, to nieuniknione. Ale ci, którzy zostali, są niezłomni. Jestem z nich dumny, darzę ich ogromnym szacunkiem. Są jedyną nadzieją dla tego miasta, chociaż wiem, że nie tak szybko pozwoli się im tutaj dojść do głosu. O, zaraz będziemy mijać ten domek, o którym panu mówiłem. Już za następnym zakrętem, po pańskiej stronie.

Umilkł i gdy na niego spojrzałem, zobaczyłem, że jest bliski łez. Ogarnęło mnie współczucie i powiedziałem łagodnie:

– Jeszcze wszystko może się zdarzyć, panie Christoff. Być może pewnego dnia znajdą państwo domek bardzo podobny do tego. Jeśli nie tutaj, to w jakimś innym mieście.

Christoff pokręcił głową.

– Wiem, że próbuję mnie pan pocieszyć, panie Ryder. Ale to na nic. Między mną a Rosą wszystko skończone. Odejdzie ode mnie. Wiem to już od jakiegoś czasu. Na pewno dotarły do pana plotki na ten temat.

– Tak, chyba coś obilo mi się o uszy...

– Jestem pewien, że miasto aż huczy od plotek. Ale już mnie to nie obchodzi. Liczy się tylko to, że Rosa wkrótce ode mnie odejdzie. Po tym, co się stało, nie będzie już chciała być moją żoną. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Przez te lata nauczyliśmy się wzajemnie kochać. Ale, widzi pan, zawsze, od samego początku, istniało między nami to porozumienie. O, jest, tam, po prawej. Często z Rosą powoli przejeżdżaliśmy obok. Siedziała na pańskim miejscu. Jechaliśmy wolniutko i byliśmy tak zaabsorbowani, że omal nie zderzaliśmy się z pojazdami z naprzeciwka. No więc mieliśmy umowę. Dopóki byłem sławny i cieszyłem się uznaniem, potrafiła mnie kochać. Tak, kochała mnie, kochała mnie szczerze. Mówię to z całym przekonaniem, panie Ryder. Bo, widzi pan, dla Rosy nie było na świecie nic ważniejszego od małżeństwa z kimś o wysokiej pozycji społecznej, jak ja jeszcze do niedawna. Może się przez to wydawać cokolwiek płytko. Ale proszę ją dobrze zrozumieć. Na sobie znany sposób głęboko mnie kochała. Zresztą to nonsens uważać, że ludzie kochają się bez względu na to, co się wydarzy. Z Rosą jest tak, że może mnie kochać tylko w pewnych okolicznościach. W moich oczach nie czyni to jej miłości mniej prawdziwą.

Przez chwilę Christoff znów milczał, najwyraźniej pogrążony w myślach. Droga

zakręcała szeroko, odsłaniając widok na głęboki wąwóz w dole. Dostrzegłem tam coś, co wyglądało na zamożną podmiejską dzielnicę, złożoną z okazałych domów, z których każdy otoczony był co najmniej akrem ziemi.

– Przypominam sobie, jak pierwszy raz przybyłem do tego miasta. Pamiętam ich podekscytowanie. I Rosę, kiedy po raz pierwszy podeszła do mnie w Domu Sztuk. – Znowu umilkł. – Wie pan, w tamtych czasach nie miałem o sobie wysokiego mniemania. Zdążyłem się już pogodzić z myślą, że nie jestem geniuszem i daleko mi do tego. Miałem za sobą jakąś karierę, pewne fakty jednak zmusiły mnie do uświadomienia sobie moich ograniczeń. Przyjeżdżając do tego miasta, miałem zamiar żyć spokojnie... mam niewielkie, prywatne źródło dochodów... może trochę uczyć, coś w tym rodzaju. Ale tutejsi ludzie zaczęli wychwalać mój wątły talent. Byli tacy szczęśliwi, że się tu zjawiłem! Po jakimś czasie zacząłem się zastanawiać. W końcu poświęciłem dużo, ogromnie dużo pracy, żeby zgłębić współczesne techniki muzyczne. Coś z tego rozumiałem. Rozejrzałem się i pomyślałem: tak, mogę się tu na coś przydać. W mieście takim jak to, w ówczesnej sytuacji, widziałem taką możliwość. Doszedłem do wniosku, że mogę zrobić tu coś pożytecznego. Teraz, po tych wszystkich latach, jestem przekonany, że mimo wszystko udało mi się dokonać paru istotnych rzeczy. Głęboko przekonany. I to nie dlatego, że powtarzają mi to moi protegowani... moi koledzy, a raczej przyjaciele, których wkrótce pan pozna. Nie, to moje głębokie, wewnętrzne przeświadczenie.

I dokonałem tu czegoś istotnego. Ale wie pan, jak to jest w takim miasteczku. Prędzej czy później ludziom przestaje się układać. Pogłębia się niezadowolenie. I samotność. I tacy ludzie, ludzie, którzy prawie nic z muzyki nie pojmują, myślą sobie: no tak, na pewno dotychczas wszystko było źle, zróbmy coś odwrotnego. Czego oni mi nie zarzucają! Że moje podejście gloryfikuje mechaniczność, że tłumię naturalne uczucia. Co oni wiedzą! Wkrótce pokażę panu, panie Ryder, że wprowadziłem system, który pozwala tym ludziom znaleźć drogę do Kazana, Mullery'ego i im podobnych, który umożliwia im odkrywanie znaczeń i wartości w ich dziełach. Mówię panu, kiedy tu przyjechałem, dokładnie o to mnie błagali. O jakieś uporządkowanie, o jakiś system, który zdołaliby ogarnąć umysłem. To było ponad ich siły, wszystko się waliło. Ludzie się bali, czuli, że sprawy wymykają się im spod kontroli. Mam przy sobie dokumenty, sam pan zaraz zobaczy. Przekona się pan, jak wielkim błędem jest ich obecna postawa. W porządku, jestem miernotą, temu nie zaprzeczam. Ale zobaczy pan, że zawsze podążałem właściwym tropem. To, co udało mi się osiągnąć, choć niewiele, jest dobrym wstępem, pożytecznym przyczynkiem. Teraz jest tu potrzebny... mam nadzieję, że dojdzie pan do podobnego wniosku, a wtedy być może nie wszystko będzie dla tego miasta

stracone... teraz potrzebny jest ktoś... ktoś zdolniejszy ode mnie, niech będzie... kto pójdzie moim śladem, kto zacznie budować na podwalinach, które położyłem. Dokonałem czegoś, panie Ryder. Mam dowody, zobaczy pan, kiedy dotrzemy na miejsce.

Wyjechaliśmy na główną drogę, prostą i szeroką. Przed nami rozciągała się rozległa przestrzeń nieba. Daleko z przodu dojrzałem dwie ciężarówki, jadące po wewnętrznym pasie ruchu, poza tym droga była właściwie pusta.

– Nie myśli pan chyba, panie Ryder – odezwał się Christoff po chwili – że ten lunch jest z mojej strony desperacką próbą odzyskania poprzedniej pozycji. Dobrze wiem, że to niemożliwe. Poza tym nie zostało mi już nic, co mógłbym im ofiarować. Wszystko, co miałem, oddałem temu miastu. Teraz chcę zaszyć się gdzieś daleko, w jakimś spokojnym miejscu, zupełnie sam, i zapomnieć o muzyce. Naturalnie moi protegowani będą zrozpaczeni, kiedy wyjadę. Wciąż jeszcze się nie pogodzili z tą sytuacją. Chcą, żebym walczył. Wystarczyłoby jedno moje słowo, żeby zaczęli działać. Zrobiliby wszystko, co w ich mocy, byłiby nawet gotowi chodzić od domu do domu. Powiedziałem im, jak stoją sprawy, wytłumaczyłem zupełnie otwarcie, ale oni i tak nie mogą się z tym pogodzić. Nie jest im łatwo. Tyle czasu patrzyli na mnie z podziwem, byłem światłem, które ich prowadziło. Będą zrozpaczeni. Ale to już nie ma znaczenia, teraz musi nastąpić koniec. Sam tego pragnę. Nawet z Rosą. Każda minuta naszego małżeństwa jest dla mnie cenna, panie Ryder, ale mieć świadomość, że to się skończy, tylko nie wiedzieć dokładnie kiedy, to prawdziwa męczarnia. Z utęsknieniem wypatruję końca. Dobrze jej życzę, mam nadzieję, że znajdzie sobie kogoś innego, kogoś z odpowiednią pozycją. Oby tylko miała dość zdrowego rozsądku, żeby się stąd wyrwać. W tym mieście nie ma szans znaleźć kogoś, kto by się nadawał na jej męża. Nikt tutaj nie rozumie muzyki. Gdybym tylko miał taki talent jak pan, panie Ryder! Wtedy Rosa i ja moglibyśmy dożyć razem późnej starości.

Zachmurzyło się. Słaby ruch na drodze wciąż utrzymywał się na tym samym poziomie, tylko co jakiś czas wymijaliśmy dalekobieżne ciężarówki. Po obu stronach pojawiły się gęste lasy, które potem ustąpiły miejsca płaszczynom pól. Znowu dopadło mnie kilkudniowe zmęczenie i obserwując wijącą się przed nami nić drogi, z trudem powstrzymywałem się od drzemki. Potem usłyszałem głos Christoffa: „No, jesteśmy” – i znów otworzyłem oczy.

# Rozdział 14

Zwolniliśmy i zaczęliśmy się zbliżać do małego przydrożnego baru, mieszczącego się w białym bungalowie. Był to lokal niczym nie różniący się od barów, przy których zatrzymują się kierowcy ciężarówek, żeby coś przekąsić, choć kiedy Christoff zajechał na wysypany żwirem parking i zatrzymał samochód, nie dojrzałem tam żadnych innych pojazdów.

– Tutaj będzie lunch? – zapytałem.

– Tak. Nasza paczka zbiera się tu od lat. Bez żadnych ceremonii, zupełnie na luzie.

Wysiedliśmy i ruszyliśmy w stronę baru. Gdy podeszliśmy bliżej, dostrzegłem jaskrawe tekturowe tablice zawieszane pod markizą i obwieszczające różne oferty specjalne.

– Zupełnie na luzie – powtórzył Christoff, otwierając przede mną drzwi. – Proszę się rozgościć.

Wystrój wnętrza był bardzo niewyszukany. Knajpkę otaczały szerokie okna. Gdzieś tam umocowano taśmą klejącą plakaty reklamujące napoje czy orzeszki ziemne. Niektóre z nich zblakły od słońca, a jeden przemienił się w prostokąt bladego błękitu. Nawet teraz, przy zachmurzonym niebie, bar wypełniało dość intensywne światło.

Przed nami przybyło tu już osiem czy dziewięć osób, które siedziały przy stolikach w głębi sali. Przed każdą z nich stał talerz z parującym posiłkiem, który wyglądał jak puree z kartofli. Jedli zachłannie długimi, drewnianymi łyżkami, ale teraz przerwali i spojrzeli na mnie. Jedna czy dwie osoby zaczęły się podnosić z miejsc, ale Christoff przywitał je wesoło, machając do nich ręką, żeby usiadły.

– Jak pan widzi – zwrócił się do mnie – lunch zaczął się bez nas. Ale na pewno im to pan wybaczy, zważywszy na nasze spóźnienie. Co do pozostałych, jestem pewien, że niedługo tu będą. W każdym razie nie ma co marnować czasu. Proszę łaskawie przejść trochę dalej, panie Ryder, przedstawię panu moich przyjaciół.

Już miałem iść za nim, kiedy zauważyliśmy mężczyznę z gęstą brodą, w fartuchu w paski, który dawał nam ukradkowe znaki z pobliskiego kontuaru.

– Dobrze, Gerhardzie – powiedział Christoff, odwracając się do mężczyzny ze wzruszeniem ramion. – Zacznę od ciebie.

Brodaty mężczyzna ścisnął moją dłoń ze słowami:

– Pański lunch będzie zaraz gotowy. Na pewno jest pan bardzo głodny.

Potem wymamrotał coś szybko do Christoffa, zerkając przy tym w stronę tylnej części sali.

Christoff i ja przenieśliśmy wzrok za spojrzeniem brodacza. Człowiek, który siedział samotnie w przeciwległym rogu, jakby czekając, aż skierujemy na niego naszą uwagę, wstał z krzesła. Był to postawny, siwowłosy mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w nieskazitelnie białą marynarkę i koszulę. Ruszył w naszą stronę, zatrzymał się na środku pokoju i uśmiechnął się do Christoffa.

– Henri – odezwał się i wyciągnął ręce w powitalnym geście.

Christoff spojrzał na niego lodowato, po czym się odwrócił.

– Nie masz tu czego szukać – powiedział.

Zdawało się, że mężczyzna w białej marynarce tego nie usłyszał.

– Właśnie ci się przyglądałem, Henri – ciągnął serdecznym tonem, wskazując na okno. – Kiedy szedłeś z samochodu. Wciąż chodzisz przygarbiony. Kiedyś była to swego rodzaju poza, ale teraz mam wrażenie, że nie udajesz. Niepotrzebnie, Henri. Może nie wszystko układa się po twojej myśli, ale po co zaraz się garbić.

Christoff wciąż stał odwrócony plecami do mężczyzny.

– Przestań, Henri. Zachowujesz się jak dziecko.

– Już ci mówiłem – uciął Christoff. – Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Mężczyzna w białej marynarce wzruszył ramionami i zrobił jeszcze parę kroków w naszą stronę.

– Panie Ryder – powiedział – skoro Henri uparł się, że mnie nie przedstawi, pozwoli pan, że sam się przedstawię. Jestem doktor Lubanski. Jak pan wie, kiedyś byliśmy z Henrim bliskimi przyjaciółmi. Ale dziś, jak pan widzi, nie chce nawet ze mną rozmawiać.

– Nie jesteś tu mile widziany. – Christoff ciągle nie patrzył na mężczyznę. – Nikt cię tu nie chce.

– Widzi pan? Henri zawsze był trochę dziecinny. Taki niemądry. Co do mnie, już dawno pogodziłem się z tym, że nasze drogi się rozeszły. Kiedyś potrafiliśmy przegadać parę godzin, prawda, Henri? Siadywaliśmy w Schoppenhausie przy piwie i analizowaliśmy taki czy inny utwór, rozpatrując go ze wszystkich stron. Wciąż jeszcze z rozrzuwaniem wspominał tamte czasy. Niekiedy nawet żałuję, że miałem dość zdrowego rozsądku, aby zaoponować, tęsknię do naszych kilkugodzinnych dyskusji i sporów o muzykę, o interpretację jakiegoś utworu. Mieszkam sam, panie Ryder, i jak można się domyślać – zaśmiał się beztrąsko – niekiedy samotność daje mi się we znaki. Wtedy zaczynam wspominać tamte dni.

Myślę sobie, jak by to było przyjemnie usiąść znowu z Henrim i omówić kompozycję, którą właśnie przygotowuje. Był czas, kiedy wszystko ze mną konsultował. Prawda, Henri? Przestań, nie zachowujmy się jak dzieci. Bądźmy chociaż dla siebie uprzejmi.

– Dlaczego właśnie dzisiaj?! – krzyknął nagle Christoff. – Nikt cię tu nie chce! Wciąż są na ciebie obrażeni! Tylko popatrz!

Doktor Lubanski zignorował ten wybuch i wrócił do wspomnień o sobie i Christoffie. Szybko jednak straciłem wątek opowieści i moje spojrzenie powędrowało dalej, do grupy osób, które z napięciem obserwowały całe zajście z tylnych stolików.

Nikt z towarzystwa nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat. Wśród zebranych były trzy kobiety i zauważyłem, że jedna z nich przygląda mi się z wyjątkową uwagą. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, ubrana była w długą, czarną suknię i nosiła okulary o małych, grubych szklach. Przyjrzałbym się dokładniej pozostałym, ale przypomniałem sobie nagle, że wciąż czeka mnie pracowity dzień i że muszę być stanowczy wobec moich obecnych gospodarzy, jeśli nie chcę zostać tu dłużej, niż pozwala mi na to mój ograniczony czas.

Kiedy doktor Lubanski przerwał, dotknąłem ręki Christoffa, mówiąc po cichu:

– Mam nadzieję, że pozostali nie dadzą na siebie zbyt długo czekać.

– Cóż... – Christoff rozejrzał się po sali. – Zdaje się, że to już wszyscy. – Sprawiał wrażenie, jakby miał nadzieję, że ktoś mu zaprzeczy, ale ponieważ nikt tego nie zrobił, odwrócił się do mnie i zaśmiał krótko. – Mało nas – powiedział – ale za to mamy tu... mamy najtęższe głowy w mieście, zapewniam pana. A teraz proszę, panie Ryder.

Zaczął mi przedstawiać swoich przyjaciół. Każdy uśmiechał się nerwowo i rzucał coś na powitanie, kiedy przychodziła jego kolej. Przez cały ten czas widziałem, jak doktor Lubanski idzie powoli w głąb sali, nie spuszczać oka z ceremonii zapoznawczej. Kiedy zaś Christoff skończył mi przedstawiać gości, doktor Lubanski zaśmiał się głośno, na co ten pierwszy urwał i rzucił mu spojrzenie pełne zmrożonej wściekłości. Doktor Lubanski, który tymczasem usiadł z powrotem przy swoim stoliku w rogu sali, zaśmiał się ponownie i powiedział:

– Cóż, Henri, jeśli coś przez te wszystkie lata straciłeś, to na pewno nie tupet. Zamierzasz powtórzyć całą tę sagę rodu Offenbachów panu Ryderowi? Samemu panu Ryderowi? – Pokręcił głową.

Christoff wpatrywał się w swojego byłego przyjaciela. Zdawało się, że z jego ust padnie zaraz jakaś zabójcza riposta, ale w ostatniej chwili odwrócił się bez słowa.

– Wyrzuć mnie, jeśli chcesz – powiedział doktor Lubanski, wracając do swojego ziemniaczanego puree. – Ale zaczyna wyglądać na to – machnął dokoła łyżką – że nie

wszystkich moja obecność tak bardzo drażni. Możemy to przegłosować. Chętnie wyjdę, jeśli większość szczerze mnie tu nie chce. Proponuję głosowanie przez podniesienie ręki.

– Skoro nalegasz, możesz zostać, wszystko mi jedno – odparł Christoff. – Ja mam fakty. Mam je tutaj. – Podniósł niebieską teczkę, którą skądś wyjął, i postukał w okładkę. – Czuję pewny grunt pod stopami. Rób, co chcesz.

Doktor Lubanski odwrócił się do pozostałych i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Co można począć z kimś takim?”. Młoda kobieta w grubych okularach natychmiast spuściła wzrok, ale na większości twarzy malowało się zmieszanie, a jedna czy dwie osoby odpowiedziały nawet nieśmiałym uśmiechem.

– Panie Ryder – rzekł Christoff – proszę sobie wygodnie usiąść. Jak tylko wróci Gerhard, dostanie pan lunch. Uwaga! – Klasnął w ręce i natężył głos, jak ktoś, kto przemawia do pełnej sali. – Panie i panowie, najpierw chciałbym podziękować panu Ryderowi w imieniu wszystkich obecnych za to, że zgodził się przyjść i odbyć z nami tę debatę pomimo niewątpliwie bardzo napiętego programu...

– Masz tupet! – zawołał z głębi sali doktor Lubanski. – Nie onieśmiela cię obecność ani moja, ani nawet pana Rydera. Masz tupet, Henri.

– Nic nie zdoła mnie onieśmielić – odparował Christoff – ponieważ mam fakty! Fakty to fakty! Mam to tutaj! Dowody! Tak, nawet pan Ryder. Tak, proszę pana – zwrócił się do mnie – nawet człowiek z pańską reputacją musi się ugiąć przed siłą faktów.

– Warto to zobaczyć – powiedział doktor Lubanski do innych. – Prowincjonalny wiolonczelista daje wykład panu Ryderowi. Dobrze, posłuchajmy.

Christoff zawahał się na chwilę, po czym stanowczym ruchem otworzył teczkę, mówiąc:

– Chciałbym zacząć od pojedynczego przypadku, który... jak sądzę... doprowadzi nas do samego sedna kontrowersji dotyczącej harmonii pierścieniowatych.

Przez kilka następnych minut Christoff streszczał dzieje pewnej miejscowej rodziny przedsiębiorców, wertując przy tym swoje papiery i od czasu do czasu czytając na głos stosowny cytat lub dane statystyczne. Jego wywód brzmiał dość logicznie, ale coś w jego sposobie mówienia – niepotrzebna powolność, wyjaśnianie tych samych rzeczy dwa, trzy razy – szybko zaczęło mnie irytować. Pomyślałam, że doktor Lubanski miał rację. Było coś niedorzecznego w tym, że ten niewydarzony lokalny muzyk ośmiela się dawać mi wykład.

– I ty to nazywasz faktem? – wtrącił nagle doktor Lubanski, gdy Christoff odczytywał protokół posiedzenia rady miejskiej. – Ha! „Fakty” Henriego są zawsze bardzo ciekawe, nieprawdaż?

– Pozwólmy mu skończyć! Pozwólmy mu opisać ten przypadek panu Ryderowi!

Młody człowiek, który to powiedział, miał pyzată twarz i ubrany był w krótką, skórzaną marynarkę. Christoff uśmiechnął się do niego z aprobatą.

– Potem zobaczymy – dodał młodzieniec. – Zobaczymy, co na to pan Ryder. Dowiemy się raz na zawsze.

Pełna wymowa tych słów dotarła do Christoffa z pewnym opóźnieniem. Z początku zamarł, trzymając teczkę w obu rękach. Potem powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach, jakby widział je po raz pierwszy. Wszyscy patrzyli badawczo w jego stronę. Na chwilę Christoff stracił całą pewność siebie. Odwracając oczy, wymamrotał:

– Przecież to są fakty. Zebrałem dowody. Każdy może to zobaczyć, prześledzić. – Zajrzał do teczki. – Po prostu streszczam materiał dowodowy dla oszczędności czasu, to wszystko. – Po tych słowach odzyskał, choć nie bez wysiłku, równowagę ducha. – Panie Ryder – powiedział – proszę o chwilę cierpliwości. Zaraz wszystko stanie się bardziej czytelne.

Christoff kontynuował wywód z lekkim napięciem w głosie, lecz poza tym w taki sam sposób jak przedtem. Kiedy mówił, przypominałem sobie, jak to poprzedniego wieczoru zrezygnowałem z cennych godzin snu, żeby kontynuować swoje badania nad lokalnymi stosunkami; jak pomimo ogromnego zmęczenia siedziałem w kinie i omawiałem ważne sprawy z czołowymi obywatelami miasta. Wielokrotnie powtarzane przez Christoffa domniemanie o mojej rzekomej niewiedzy – właśnie był w trakcie długiej dygresji, która miała mi wyjaśnić coś zupełnie dla mnie oczywistego – coraz bardziej mnie jątrzyło.

Najwyraźniej jednak nie byłem w swoim zniecierpliwieniu osamotniony. Parę innych osób wierciło się niespokojnie na krzesłach. Zauważyłem, że młoda kobieta w grubych okularach wytrzeszcza oczy to na Christoffa, to znów na mnie. Kilka razy chciała przerwać wywód, ale w końcu uprzedził ją ostrzyżony na jeża mężczyzna, siedzący gdzieś za mną.

– Chwileczkę, chwileczkę – wtrącił. – Zanim przejdziemy dalej, ustalmy jedno. Raz na zawsze.

Z głębi baru ponownie dobiegł śmiech doktora Lubanskiego.

– Claude i ta jego barwiona triada! Jeszcze tego nie rozwiązałeś?

– Claude – powiedział Christoff – to nie jest odpowiedni moment, żeby...

– Właśnie że tak! Skoro jest już z nami pan Ryder, chcę to rozstrzygnąć.

– Claude, to nie jest odpowiednia pora, żeby znów poruszać to zagadnienie. Próbuje dowieść...

– Może to błahostka, ale ustalmy to w końcu. Panie Ryder, czy to prawda, że triady

barwione są z natury wyposażone w wewnętrzne wartości uczuciowe, niezależnie od kontekstu? Czy pan w to wierzy?

Poczułem, że skupia się na mnie uwaga wszystkich obecnych. Christoff rzucił mi szybkie spojrzenie, pełne błagania zmieszanego z przestracaniem. Ale biorąc pod uwagę gorliwość, z jaką zadano mi to pytanie – nie mówiąc już o aroganckim zachowaniu Christoffa – nie widziałem powodu, żeby nie odpowiedzieć całkowicie szczerze. Stwierdziłem więc:

– Triada barwiona nie jest z natury nacechowana emocjonalnie. Co więcej, jej walor uczuciowy może się zmieniać nie tylko w zależności od kontekstu, ale też od siły dźwięku. Takie jest moje zdanie.

Nikt się nie odezwał, lecz na wszystkich twarzach widoczne było wrażenie, jakie wywołały moje słowa. W stronę Christoffa kolejno zaczęły się zwracać surowe spojrzenia, on zaś udawał, że jest pochłonięty papierami. Mężczyzna zwany Claude'em wyszeptał:

– Wiedziałem. Zawsze to wiedziałem.

– Ale on cię przekonał, że nie masz racji – rzekł doktor Lubanski. – Wmówił ci, że nie masz racji.

– A co to ma do rzeczy?! – krzyknął Christoff. – Posłuchaj, Claude, przeskoczyłeś nagle na zupełnie inny temat. A pan Ryder ma niewiele czasu. Musimy powrócić do przypadku Offenbachów.

Ale Claude wydawał się zatopiony we własnych myślach. W końcu odwrócił się i spojrzał w stronę doktora Lubanskiego, który pokiwał głową i uśmiechnął się do niego poważnie.

– Pan Ryder ma bardzo mało czasu – powtórzył Christoff – więc jeśli mi pozwolicie, spróbuję podsumować mój wywód.

Christoff zaczął rekapitulować główne, jego zdaniem, tezy dotyczące tragedii rodziny Offenbachów. Udawał beztroskę, ale dla wszystkich było jasne, jak bardzo jest zdenerwowany. Mniej więcej wtedy przestałem go słuchać, gdyż jego uwaga o moim braku czasu przypomniała mi nagle o Borisie, siedzącym w kawiarence i czekającym na mój powrót.

Uświadomiłem sobie, że minęło sporo czasu od chwili, gdy zostawiłem go samego. Oczami wyobraźni ujrzałem, jak po moim odejściu chłopiec siedzi w rogu sali, zajada sernik i popija koktajl, w radosnym oczekiwaniu na wycieczkę. Spogląda wesoło na innych klientów za oknem, a od czasu do czasu zapuszcza wzrok dalej, w stronę ruchliwej ulicy, i zastanawia się, kiedy i on wyruszy w podróż. Jeszcze raz przypomina sobie stare mieszkanie, szafkę w rogu bawialni, gdzie – jest tego coraz bardziej pewien – zostawił pudełko z Dziewiątką.

Potem, w miarę upływu czasu, zaczynają się wyłaniać wątpliwości, które zawsze się gdzieś czały i które dotąd skrętnie przed sobą ukrywał. Ale jeszcze przez chwilę Borisowi udaje się zachować dobry nastrój. Po prostu nieoczekiwanie coś mnie zatrzymało. Albo poszedłem kupić prowiant na podróż. W każdym razie do końca dnia jest jeszcze wiele czasu. Potem kelnerka, pulchna Skandynawka, pyta z nutką niepokoju w głosie, którą Boris natychmiast wyczuwa, czy jeszcze czegoś sobie życzy. On zaś daje nowy pokaz swojej bez troski i być może zuchwale zamawia kolejną szklanę koktajlu. Ale czas płynie. Boris zauważa, że klienci, którzy zasiedli do stolików długo po jego przybyciu, składają gazety, wstają i odchodzą. Widzi, jak niebo się chmurzy, a dzień przechodzi z ranka w popołudnie. Znowu myśli o swoim starym mieszkaniu, które tak bardzo kochał, o szafce w bawialni, o Dziewiątce. Wyjadając powoli okruchy sernika z talerza, zaczyna się godzić z myślą, że po raz kolejny spotka go zawód, że jednak nie wybierzemy się dzisiaj w tę podróż.

Wokół mnie rozległo się naraz kilka podniesionych głosów. Młody człowiek w zielonej marynarce stał i próbował tłumaczyć coś Christoffowi, a co najmniej trzy inne osoby machały dłońmi, aby coś podkreślić.

– Ale to nie ma nic do rzeczy – górował nad wszystkim Kłos Christoffa. – A poza tym zdanie pana Rydera...

Na jego głowę posypały się gromy. Prawie wszyscy obecni mówili jednocześnie, lecz w końcu Christoff zdołał ich przekrzyczeć.

– Tak, tak! Doskonale zdaję sobie sprawę, kim jest pan Ryder! Ale warunki lokalne, warunki lokalne to zupełnie inna sprawa! Nie wie jeszcze o naszych szczególnych warunkach! A ja... mam tutaj...

Reszta jego wypowiedzi utonęła w ogólnej wrzawie, lecz Christoff uniósł niebieską teczkę i wymachiwał nią nad głową.

– Co za tupet! Co za tupet! – wołał ze śmiechem z głębi sali doktor Lubanski.

– Z całym szacunkiem – Christoff zwracał się teraz bezpośrednio do mnie – z całym szacunkiem, muszę wyrazić swoje zdumienie, że nie okazuje pan większego zainteresowania tutejszymi warunkami. Prawdę mówiąc, jestem zdumiony, że pomimo ogromnego doświadczenia wyciąga pan tak pochopne wnioski...

Znowu podniosły się zaciekle głosy protestu.

– Na przykład – zaryczał głośniejszym niż inni Christoff – na przykład jestem bardzo zdziwiony, że pozwolił pan fotografować się prasie przed budowlą Sattlera!

Ku mojej konsternacji po tych słowach nagle wszystko ucichło.

– Tak! – Christoff był najwyraźniej zadowolony z wrażenia, jakie wywołały jego

słowa. – Tak! Widziałem go. Kiedy po niego pojechałem. Stał przed budowlą Sattlera, uśmiechał się i wykonywał różne gesty w jej stronę.

Oślupiali ludzie wciąż milczeli. Niektórych zaczęło ogarniać zakłopotanie, podczas gdy inni – między innymi młoda kobieta w grubych okularach – wpili we mnie pytający wzrok. Uśmiechnąłem się i już miałem coś powiedzieć, kiedy z głębi sali dobiegł głos doktora Lubanskiego, teraz opanowany i stanowczy:

– Jeśli pan Ryder decyduje się na taki krok, może to świadczyć tylko o jednym: że korzenie naszego błędu tkwią głębiej, niż nam się dotąd zdawało.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę, on zaś wstał i postąpił parę kroków ku gromadzie. Zatrzymał się i przechylił głowę w bok, jakby wsłuchiwał się w dalekie odgłosy autostrady.

– Jego przesłanie – rzekł – każdy z nas musi dobrze rozważyć i wziąć sobie do serca. Budowla Sattlera! Ależ tak, on ma rację! Nie ma w tym żadnej przesady, bynajmniej! Spójrzcie tylko na siebie: wciąż próbujecie trzymać się kurczowo poronionych pomysłów Henriego! Nawet ci, którzy się na nich poznali, nawet my tak naprawdę pograżamy się w gnuśnym samozadowoleniu. Budowla Sattlera! Oczywiście. To miasto przechodzi kryzys. Kryzys!

Z zadowoleniem stwierdziłem, że doktor Lubanski natychmiast uwydatnił niedorzeczność słów Christoffa, kładąc jednocześnie nacisk na ważne przesłanie skierowane do mieszkańców miasta. Za to moje oburzenie na Christoffa wzmogło się do tego stopnia, że postanowiłem utrzyć mu wreszcie nosa. Ale znowu wszyscy krzyczeli. Mężczyzna zwany Claude'em dla podkreślenia swoich słów walił pięścią w stół przed posiwiąłym towarzyszem w szelkach i zabłoconych butach. Z różnych stron co najmniej cztery osoby krzyczały na Christoffa. Widząc, że sytuacja balansuje na krawędzi chaosu, pomyślałem, że nic by się nie stało, gdybym wyszedł. Ale gdy tylko wstałem, wyrosła przede mną kobieta w grubych okularach.

– Panie Ryder – odezwała się – proszę nam odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: czy Henri ma rację, twierdząc, że w żadnym wypadku nie wolno nam rezygnować z dynamiki kołowej u Kazana?

Nie powiedziała tego głośno, lecz jej głos miał przenikliwe brzmienie, toteż wszyscy usłyszeli jej pytanie i momentalnie ucichli. Kilka osób utkwiło w niej badawczy wzrok, lecz odpowiedziała im hardym spojrzeniem.

– Właśnie że zapytam – powiedziała. – To niepowtarzalna okazja. Nie możemy jej zmarnować. Zapytam. Panie Ryder, proszę nam powiedzieć.

– Ale ja mam fakty – wymamrotał złamanym głosem Christoff. – Mam tu wszystko.

Nikt nie zwracał już na niego uwagi, a wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie. Zdając sobie sprawę, że muszę uważnie dobierać słowa, przez chwilę zwlekałem z odpowiedzią.

– Moim zdaniem – powiedziałem po chwili – Kazan nie zyskuje na ograniczeniach formalnych. Dotyczy to zarówno dynamiki kołowej, jak i struktury dwutaktowej. Po prostu w jego dziełach, zwłaszcza późniejszych, jest zbyt wiele warstw, zbyt wiele emocji.

Poczułem, niemal fizycznie, jak nadpływa ku mnie fala szacunku. Mężczyzna o pyzatej twarzy patrzył na mnie z podziwem bliskim nabożeństwa. Kobieta w szkarłatnym płaszczu mamrotała: „Otóż to, otóż to”, jakbym właśnie ujął w słowa coś, co od lat na próżno starała się sama wyrazić. Mężczyzna zwany Claude'em wstał i zrobił parę kroków w moją stronę, skwapliwie kiwając głową. Doktor Lubanski także kiwał głową, ale powoli i z zamkniętymi oczami, jakby chciał powiedzieć: „Tak, tak, nareszcie jest tu prawdziwy znawca”. Lecz młoda kobieta w grubych okularach stała w tym samym miejscu i wciąż patrzyła na mnie uważnie, milcząc.

– Rozumiem pokusę – ciągnąłem – by się uciekać do takich środków. W artyście rodzi się naturalny lęk przed muzyką, która wymaga od niego nadzwyczajnej inwencji. Ale trzeba takie wyzwanie podjąć, nie zaś chować się za ograniczeniami. Oczywiście może się okazać, że wyzwanie to przekracza czyjeś możliwości, i wówczas najlepiej zostawić Kazana w spokoju. W każdym razie nie powinno się z własnych ułomności czynić cnoty.

Po tej ostatniej uwadze wiele osób nie mogło już dłużej powstrzymać swoich uczuć. Posiwiwały mężczyzna w zabłoconych butach zaczął mi żywiołowo bić brawo, rzucając przy tym złowrogie spojrzenia w stronę Christoffa. Kilka innych osób ponownie jęło na niego krzyżeć, a kobieta w szkarłatnym płaszczu powtarzała tak jak poprzednio: „Otóż to, otóż to”, tym razem głośniej. Poczułem dziwne uniesienie i przekrzykując narastający tumult, ciągnąłem:

– Wiem z doświadczenia, że ten brak śmiałości często wiąże się z innymi niemiłymi cechami. Wrogością wobec tonu introspektywnego, zwykle charakteryzującą się nadużywaniem tłumionej kadencji. Tendencją do bezzasadnego kojarzenia podzielonych pasaży. A na płaszczyźnie osobistej megalomanią skrywaną pod maską skromności i życzliwości...

Musiałem przerwać, gdyż wszyscy naraz krzyżeli na Christoffa, który trzymał w górze niebieską teczkę i wymachując w powietrzu papierami, wołał:

– Tu są fakty! O tu!

– Oto – krzyknąłem, jeszcze bardziej nasilając głos – oto kolejny błąd w rozumowaniu: przekonanie, że wystarczy włożyć coś do teczki, żeby stało się faktem!

Sala zahuczała od śmiechu, w którym pulsowała narastająca wściekłość. Potem młoda kobieta w grubych okularach z wielkim spokojem podeszła do Christoffa. Dotąd wszyscy trzymali się w pewnej odległości od wiolonczelisty i była ona pierwszą osobą, która przekroczyła tę granicę.

– Ty stary głupcze – powiedziała, a jej głos znów przeniknął przez ogólną wrzawę. – Wszystkich nas wciągnąłeś w to bagno. – Po czym beznamytnie spoliczkowała Christoffa grzbietem dłoni.

Na chwilę wszystko ucichło. Potem ludzie zaczęli wstawać z krzeseł i przepychać się w stronę Christoffa, o władnięci nieprzepartą chęcią, by pójść w ślady młodej kobiety. Poczulem, że ktoś potrząsa mnie za ramię, lecz byłem zbyt zaaferowany rozgrywającą się przede mną sceną, żeby zwrócić na to uwagę.

– Nie, nie, wystarczy! – Doktor Lubanski zdołał jakoś dopaść do Christoffa przed innymi i wyciągnął przed siebie ręce. – Zostawcie Henriego w spokoju! Co wy robicie? Już wystarczy!

Prawdopodobnie tylko interwencja doktora Lubanskiego uchroniła Christoffa przed zbiorową napaścią. Dojrzałem jeszcze skonfundowaną, przerażoną minę Christoffa i krąg rozjuszonych ludzi, którzy skupili się wokół niego, po czym straciłem go z oczu. Czyjaś ręka wciąż potrząsała mnie za ramię i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem brodacza w fartuchu – przypomniałem sobie, że ma na imię Gerhard – który trzymał w ręku talerz z puree ziemniaczanym.

– Przyniosłem panu lunch – oznajmił. – Przepraszam, że tak późno, ale musieliśmy ugotować cały gar na nowe porcje.

– Bardzo dziękuję, lecz, niestety, muszę już iść. Mój synek na mnie czeka. – Odciągając go na bok w zaciszniejsze miejsce, zapytałem: – Czy mógłby mnie pan zaprowadzić do sali frontowej? – gdyż właśnie sobie przypomniałem, że bar i kawiarnia, w której zostawiłem Borisa, mieściły się w tym samym budynku. Był to jeden z tych lokali, w których jest kilka pomieszczeń, zupełnie odmiennych w charakterze i wychodzących na oddzielne ulice, tak by przyciągnąć jak najwięcej klientów.

Brodacz był wyraźnie zawiedziony, że nie przyjąłem lunchu, ale szybko się z tego otrząsnął.

– Naturalnie, panie Ryder. Tędy, proszę.

Zaprowadził mnie do bufetu i wpuścił za kontuar. Tam otworzył niewielkie drzwi i dał

mi ręką znak, że mam przez nie przejść. Zanim opuściłem salę, spojrzałem jeszcze za siebie i zobaczyłem, że mężczyzna o pyzatej twarzy stoi na stole i wymachuje teczką Christoffa. Pośród gniewnych okrzyków słychać było salwy śmiechu oraz błagalny głos doktora Lubanskiego:

– Nie, już dosyć! Proszę, proszę! Wystarczy!

\* \* \*

Znalazłem się w obszernej kuchni o ścianach pokrytych białymi kafelkami. Uderzył mnie silny zapach octu i spostrzegłem przysadzistą kobietę pochyloną nad skwierczącym piecykiem, lecz brodacz szybko przeszedł do przeciwległego rogu kuchni i otwierał już kolejne drzwi.

– Tędy, proszę – rzekł, wskazując ręką.

Drzwi były nadzwyczaj wysokie i wąskie. Tak wąskie, że nie mogłbym przez nie przejść inaczej niż tylko bokiem. Co więcej, kiedy zajrzałem do środka, mój wzrok utonął w całkowitej ciemności; równie dobrze mogłaby to być komórka, w której przechowuje się szczotki do zmiatania. Ale brodacz ponownie wskazał na drzwi i powiedział:

– Proszę uważać na schody, panie Ryder.

Wtedy dostrzegłem trzy stopnie – wykonane prawdopodobnie z drewnianych skrzynek, przybitych jedna na drugiej – wznoszące się bezpośrednio z progu. Przepchnąłem się przez drzwi i ostrożnie wszedłem po schodkach. Na górze zobaczyłem niewielką, prostokątną plamę światła. Już po dwóch krokach znalazłem się przy drzwiach i przez umieszczoną w nich szybkę ujrzałem zalane słońcem pomieszczenie, a w nim stoliki i krzesła.

Poznałem wewnątrz kawiarni, w której zostawiłem Borisa. Zauważyłem młodą, pulchną kelnerkę – patrzyłem na salę zza jej bufetu – a w rogu Borisa, który spoglądał w dal z naburmuszoną miną. Skończył jeść sernik i teraz bezmyślnie wodził widelcem po obrusie. Nie licząc młodej pary, siedzącej blisko okna, kawiarnia była pusta.

Poczułem, że coś naciska mnie z boku, i zorientowałem się, że brodacz wsunął się za mną i teraz brzęczy pękiem kluczy, przykucnąwszy obok. Po chwili drzwi otworzyły się przede mną i wszedłem do kawiarni.

Kelnerka odwróciła się ku mnie i uśmiechnęła. Potem zawołała do Borisa:

– Zobacz, kto tu jest!

Boris odwrócił się w moją stronę i zrobił obrażoną minę.

– Gdzie byłeś? – zapytał bez entuzjazmu. – Okropnie długo cię nie było.

– Wybacz mi, Boris – powiedziałem, po czym zwróciłem się do kelnerki: – Był grzeczny?

– Och, uroczy. Opowiadał mi o waszym dawnym mieszkaniu. Na osiedlu, przy sztucznym jeziorze.

– Ach tak. Przy sztucznym jeziorze. Tak, właśnie mieliśmy tam pojechać.

– Ale nie było cię okropnie długo! – zawołał Boris. – A teraz się spóźnimy!

– Wybacz mi, Boris. Ale nie martw się, mamy jeszcze mnóstwo czasu, a do starego mieszkania nie jest przecież daleko, prawda? Masz jednak rację, powinniśmy jak najszybciej wyruszyć w drogę. Zaraz, zaraz. – Odwróciłem się do kelnerki, która zaczęła coś mówić do brodacza. – Przepraszam, czy może nam pani powiedzieć, jak najprościej dostać się do sztucznego jeziora?

– Do sztucznego jeziora? – Kelnerka wskazała ręką na okno. – Najlepiej tamtym autobusem. Zawiezie was na miejsce.

Spojrzałem we wskazanym przez nią kierunku i za rzędem kawiarnianych parasoli dostrzegłem autobus, zaparkowany na ruchliwej ulicy mniej więcej naprzeciwko nas.

– Stoi tam już od dłuższego czasu – ciągnęła kelnerka – więc radziłabym się pospieszyć. W każdej chwili może odjechać.

Podziękowałem jej i skinąwszy na Borisa, wyszedłem razem z nim na zalaną słońcem ulicę.

# Rozdział 15

Wsiadliśmy do autobusu w chwili, gdy kierowca zapalał silnik. Kiedy kupowałem u niego bilety, zauważyłem, że w autobusie jest pełno ludzi, i powiedziałem strapionym tonem:

– Mam nadzieję, że znajdą się dwa wolne miejsca obok siebie, dla mnie i mojego syna.

– Och, proszę się nie martwić – odparł kierowca. – To bardzo uczynni ludzie. Sam się tym zajmę.

Z tymi słowami odwrócił się i krzyknął coś do tyłu. W autobusie panował akurat nadzwyczaj wesoły zgiełk, ale wszyscy natychmiast umilkli. Zaraz potem pasażerowie zaczęli wstawać z miejsc, wskazując, machając rękoma i głośno rozprawiając, gdzie byłoby nam najlepiej. Postawna kobieta wychyliła się zza foteli i pokazała się w przejściu, wołając: „Tutaj! Tutaj są miejsca!”. A jakiś głos z innej części autobusu krzyknął: „Jeśli ma pan ze sobą chłopczyka, to lepiej usiąść tutaj, tu go nie zemdli. Ja się przesiadę do pana Hartmanna”. Po czym wywiązała się dyskusja na temat optymalnego dla nas rozwiązania.

– Widzi pan, to uczynni ludzie – powiedział wesoło kierowca. – Nowi pasażerowie cieszą się specjalnymi względami. Jeśli się teraz wygodnie ulokujecie, możemy ruszać.

Pospieszaliśmy z Borisem w stronę dwóch pasażerów, którzy stali w przejściu i wskazywali nam miejsca. Przepuściłem Borisa do miejsca przy oknie i usiadłem w chwili, gdy pojazd ruszał.

Prawie w tym samym momencie poczułem, że ktoś z tyłu klepie mnie po ramieniu i wyciąga ku nam torebkę za słodyczami.

– Może małemu będzie smakowało – odezwał się męski głos.

– Dziękuję – powiedziałem, a potem głośniej, na cały autobus: – Dziękuję wszystkim! Są państwo niezwykle mili!

– Patrz! – Boris w podnieceniu chwycił mnie za rękę. – Wyjeżdżamy na szosę północną.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, w przejściu obok mnie zjawiała się kobieta w średnim wieku. Przytrzymując się jedną ręką oparcia mojego fotela, w drugiej trzymała na serwetce kawałek ciasta.

– Jeden pan z tyłu to zostawił – powiedziała. – Pomyślał, że być może ten młody

człowiek miałby ochotę spróbować.

Przyjąłem ciasto z wyrazami wdzięczności i jeszcze raz podziękowałem wszystkim pasażerom. Kiedy kobieta odeszła, usłyszałem jakiś głos o kilka miejsc dalej:

– Jak to miło zobaczyć ojca i syna w tak dobrej komitywie. Dzisiaj prawie się już tego nie widuje.

Na te słowa ogarnęło mnie silne uczucie dumy i spojrzałem na Borisa. Możliwe, że on także to usłyszał, posłał mi bowiem uśmiech, który można by uznać za konspiracyjny.

– Boris – rzekłem, podając mu ciasto – czyż to nie wspaniały autobus? Warto było poczekać, nie uważasz?

Boris znów się uśmiechnął, ale właśnie oglądał ciasto, więc nic nie odpowiedział.

– Boris – ciągnąłem – chcę ci coś powiedzieć. Może się nad tym czasem zastanawiasz. Widzisz, nigdy nie pragnąłem niczego bardziej... – Zaśmiałem się nagle. – Ale to zabrzmiało! Chcę po prostu powiedzieć, że jestem szczęśliwy. Szczęśliwy, że cię mam, że jesteśmy razem. – Znów się zaśmiałem. – Podoba ci się ta przejażdżka?

Boris kiwnął głową.

– Fajna – powiedział z ustami pełnymi ciasta.

– Bo mnie się bardzo podoba. I co za mili ludzie.

Kilku pasażerów z tylnych miejsc zaczęło śpiewać. Poczułem miłe odprężenie i zapadłem się głębiej w autobusowy fotel. Na zewnątrz znów się zachmurzyło. Wciąż jeszcze znajdowaliśmy się w zabudowanej części miasta, ale przyglądając się znakom drogowym, zauważyłem dwa – jeden po drugim – z napisem „Szosa Północna”.

– Przepraszam – powiedział męski głos z tyłu. – Usłyszałem, jak mówił pan kierowcy, że jedziecie nad sztuczne Jezioro. Oby nie było wam za chłodno. Jeśli chcecie po prostu spędzić przyjemnie popołudnie, polecam Ogrody Marii Christiny, parę przystanków wcześniej. Jest tam staw, po którym można pływać łódką. Chłopakowi mogłoby się to spodobać.

Mówiący te słowa mężczyzna siedział tuż za nami, ale ponieważ oparcia były dość wysokie, nie mogłem go zobaczyć, Choć obróciłem głowę do tyłu. Niemniej podziękowałem mu za dobrą radę i zacząłem wyjaśniać szczególny charakter naszej podróży nad sztuczne jezioro. Nie miałem zamiaru wdawać się w szczegóły, ale ogólna wesołość wyzwoliła we mnie chęć, by mówić dalej. Zasadniczo byłem zadowolony z tonu, jaki udało mi się nadać mojej wypowiedzi – tonu, w którym powaga i żartobliwość doskonale się równoważyły. Co więcej, dobiegające z tyłu pomruki świadczyły o tym, że mężczyzna okazał się uważnym i przychylnie nastawionym słuchaczem. Po niedługim czasie tłumaczyłem mu, kto to jest

Dziewiątka i na czym polega jego niezwykłość. Wyjaśniałem właśnie, jak doszło do tego, że Boris zostawił Dziewiątkę w pudełku, kiedy pasażer z tyłu przerwał mi grzecznym chrząknięciem.

– Przepraszam – powiedział. – Naturalnie taka wyprawa musi was napełniać niepokojem. Ale doprawdy uważam, że macie wszelkie powody do optymizmu. – Zapewne siedział pochylony do przodu, gdyż jego głos, miły i kojący, dochodził z miejsca, w którym nasze ramiona, moje i Borisa, stykały się ze sobą. – Znajdziecie Dziewiątkę, wierzę w to, choć teraz jesteście pełni obaw. To zrozumiałe. Myślicie: wszystko mogło się zdarzyć. Tak, to całkiem naturalne. Ale po tym, co mi powiedzieliście, jestem pewien, że wszystko ułoży się pomyślnie. Oczywiście, kiedy zastukacie do drzwi, nowi lokatorzy, nie wiedząc, kim jesteście, mogą na was patrzeć trochę podejrzliwie. Ale gdy tylko wyjaśnicie, o co wam chodzi, na pewno zaproszą was do środka. Jeżeli drzwi otworzy pani domu, powie: „O, nareszcie! Spodziewaliśmy się was”. Tak, na pewno tak powie. A potem odwróci się i krzyknie do swojego męża: „To ten chłopczyk, który tu przedtem mieszkał”. Potem pojawi się mąż, bardzo sympatyczny człowiek, być może będzie właśnie odnawiał dom, i powie: „No, nareszcie. Wejdźcie, napijcie się herbaty”. I wprowadzi was do pokoju gościnnego, podczas gdy jego żona wymknie się do kuchni, żeby przygotować drobny poczęstunek. Od razu rzuci wam się w oczy nowy wystrój pokoju, wcale niepodobny do tego, który zachowaliście w pamięci. Pan domu zauważy to i z początku będzie się trochę usprawiedliwiał, ale potem, kiedy dacie mu jasno do zrozumienia, że ani trochę nie macie mu za złe tych wszystkich zmian, zapewne zacznie was oprowadzać po całym mieszkaniu, zwracając waszą uwagę na tę czy inną przeróbkę, z których większość wykonał własnoręcznie i jest z tego bardzo dumny. A potem do pokoju gościnnego wejdzie pani domu, niosąc herbatę oraz domowe ciasteczka. Usiądziecie wszyscy razem i w miłej atmosferze będziecie chrupać ciasteczka i pić herbatę, a gospodarze opowiedzą wam, jak bardzo podoba im się mieszkanie i całe osiedle. Naturalnie cały czas będziecie myśleć o Dziewiątce, czekając na stosowną sposobność, aby wyjawić cel waszej wizyty. Przypuszczam jednak, że oni pierwsi poruszą ten temat. Po jakimś czasie pani domu powie: „Czy wy przypadkiem nie przychodzicie po coś, czego zapomnieliście zabrać?”. I wtedy możecie wspomnieć o Dziewiątce i pudełku. Wtedy ona z całą pewnością powie: „Naturalnie, trzymaliśmy to pudełko w specjalnym miejscu. Domyśliliśmy się, że zawiera coś bardzo ważnego”. Przy tych słowach da mężowi ledwo dostrzegalny znak, a może nawet obejdzie się bez znaku, bo po tylu latach szczęśliwego pożycia mężowie i żony potrafią się porozumiewać niemal telepatycznie. Oczywiście nie znaczy to, że nigdy się nie kłóć. Skądże, może nawet swego

czasu kłócili się dość często, może przechodzili okresy, kiedy w ogóle się do siebie nie odzywali. Ale skoro raz poznacie takie małżeństwo, zrozumiecie, że podobne sprawy w końcu same się rozwiązują, że w gruncie rzeczy są ze sobą bardzo szczęśliwi. Tak więc pan domu pójdzie po pudełko, schowane w miejscu przeznaczonym na bardzo ważne rzeczy. I wróci z nim do pokoju, być może zawiniętym w miękki papier. Oczywiście natychmiast otworzycie pudełko i znajdziecie w środku Dziewiątkę, tak jak go zostawiliście, wciąż jeszcze z nieprzyklejoną podstawą. Wtedy możecie zamknąć pudełko, a gospodarze zapytają, czy napijecie się jeszcze herbaty. Po chwili powiecie, że musicie już iść, nie chcecie nadużywać ich gościnności. Ale pani domu będzie nalegać, żebyście poczęstowali się jeszcze ciasteczkami, a mąż zechce po raz ostatni oprowadzić was po mieszkaniu, abyście mogli podziwiać jego przeróbki. Wreszcie odprowadzą was aż do drzwi wejściowych i pomachają im pożegnanie, mówiąc, żebyście znowu wpadli, kiedy będziecie przechodzić obok. Oczywiście może nie wszystko odbędzie się dokładnie tak, jak mówię, ale po tym, co mi powiedzieliście, Jestem pewien, że z grubsza tak właśnie będzie. A zatem nie ma powodów do niepokoju, najmniejszych...

Płynący wprost do mojego ucha głos mężczyzny, w połączeniu z łagodnym kołysaniem autobusu, działał niezwykle odprężająco. Już na samym początku, gdy zaczął mówić, zamknąłem oczy, i mniej więcej w tym momencie, zagłębiając się jeszcze bardziej w fotelu, zapadłem w przyjemną drzemkę.

\* \* \*

Uświadomiłem sobie, że Boris tarmosi mnie za ramię.

– Musimy wysiąść! – mówił.

Kiedy się ocknąłem, zobaczyłem, że autobus stoi, a ze wszystkich pasażerów zostaliśmy tylko my. Kierowca wstał i cierpliwie czekał z przodu, aż wysiądziemy. Kiedy zdążyliśmy ku wyjściu, powiedział:

– Proszę na siebie uważać. Tam jest naprawdę chłodno. Moim zdaniem jezioro należy zasypać. Nie dość, że wygląda szkaradnie, to jeszcze co roku tonie w nim kilka osób. Podobno niektóre z tych utonięć to samobójstwa. Gdyby nie było jeziora, może wybieraliby inne, mniej przyjemne sposoby. Ale uważam, że jezioro powinno zostać zasypane.

– Tak – przyznałem – jezioro wywołuje sporo kontrowersji. Jako osoba z zewnątrz staram się jednak trzymać z daleka od tych sporów.

– Bardzo mądrze. No to cóż, życzę wam miłego dnia – rzekł, salutując Borisowi, i dodał: – Baw się dobrze, chłopcze.

Wyszliśmy z autobusu, a kiedy odjeżdżał, rozejrzeliśmy się po okolicy. Staliśmy na

skraju rozległej, betonowej niecki. W pewnej odległości od nas, w centrum niecki, znajdowało się sztuczne jezioro, które ze względu na nerkowaty kształt wyglądało jak gigantyczna wersja trywialnego basenu w rodzaju tych, z których niegdyś słynęły posiadłości hollywoodzkich gwiazd. Ostentacyjna sztuczność jeziora – i całego osiedla – budziły mój mimowolny podziw. Nigdzie nie było śladu trawy. Nawet rachityczne drzewka, widoczne gdzieniegdzie wokół betonowych skarp, wsadzono w stalowe skrzynie i wmurowano równo w chodnik. Na całą scenę spoglądały z góry otaczające nas zewsząd niezliczone rzędy identycznych okien wieżowców. Zauważyłem, że każdy blok jest z przodu wygięty w lekki łuk, co nadawało osiedlu ciągły, kolisty kształt, przypominający stadion sportowy. Ale pomimo tak wielkiej liczby otaczających nas mieszkań, na oko co najmniej czterystu, prawie nigdzie nie było widać ludzi. Dostrzegłem kilka postaci, sunących żwawo po drugiej stronie jeziora – mężczyznę z psem, kobietę z wózkiem – ale w tym miejscu było coś, co kazało ludziom pozostawać w domach. Niewątpliwie klimat nie był zachęcający; kiedy tak staliśmy z Borisem, po wodzie przeszedł podmuch ostrego wiatru.

– Naprzód, Boris – powiedziałem.

Chłopiec sprawiał wrażenie, jakby stracił cały swój zapał. Gapił się tępo na jezioro i stał bez ruchu. Odwróciłem się do bloku, który był za nami, próbując nadać moim krokom sprężystość, ale przypomniałem sobie nagle, że nie wiem, gdzie w tym całym ogromie znajduje się nasze mieszkanie.

– Może poprowadzisz, Borisie? Co ci się stało?

Boris westchnął i zaczął wchodzić po betonowych schodach. Ruszyłem za nim. W pewnej chwili, na zakręcie przed kolejnym poziomem schodów, Boris wydał nagle okrzyk i zastygł w pozycji obronnej. Przestraszyłem się, ale zaraz skonstatowałem, że napastnik istnieje jedynie w wyobraźni chłopca. Powiedziałem tylko:

– Doskonale, Borisie.

Przed wstąpieniem na kolejną kondygnację chłopiec powtórzył całą scenę. Powoli zaczynałem tracić oddech, toteż kiedy Boris skręcił w boczne przejście, właściwie kładkę, poczułem wyraźną ulgę. Z tej wysokości nerkowaty kształt jeziora był jeszcze lepiej widoczny. Niebo zakrywały jednostajnie białe chmury i choć przejście było kryte – nad nami musiały biec jeszcze dwa albo trzy takie same – nie było prawie wcale osłonięte przed wiatrem, który dał w nas z wściekłą siłą. Po lewej znajdował się blok mieszkalny, połączony z przejściem szeregiem krótkich schodów, które wyglądały jak mosty przerzucone nad fosą. Jedne prowadziły w górę, inne w dół. Po drodze uważnie przyglądałem się drzwiom, ale po paru minutach, kiedy żadne z nich nie obudziły we mnie jakiegokolwiek wspomnienia, dałem

spokój i przeniósłem wzrok na jezioro.

Tymczasem Boris maszerował żwawo kilka kroków przede mną – widocznie wrócił mu poprzedni zapał. Szeptał coś do siebie i w miarę jak posuwaliśmy się naprzód, jego szept się nasilał. Potem chłopiec zaczął podskakiwać, zadając w powietrzu ciosy karate, a gdy opadał na ziemię, rozlegał się głuchy odgłos, zwielokrotniony echem. Ale nie krzyczał tak jak na schodach, a ponieważ po drodze nie spotkaliśmy nikogo, uznałem, że nie ma potrzeby go uciszać.

Po chwili rzuciłem okiem w dół na jezioro i ze zdziwieniem utwierdziłem, że widać je teraz z zupełnie innej strony. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że przejście biegnie dokoła osiedla, można więc krążyć po nim w nieskończoność. Popatrzyłem na Borisa, który błaznował przede mną, i zadałem sobie w duchu pytanie, czy aby na pewno zna drogę do starego mieszkania lepiej niż ja. Uderzyła mnie myśl, że nie zaplanowałem tego wszystkiego należycie. Powinienem być przynajmniej skontaktować się wcześniej z nowymi lokatorami. Ostatecznie dlaczego mieliby życzyć sobie naszej wizyty? Cała wyprawa zaczęła mi się jawić w ciemnych kolorach.

– Boris – zawołałem do niego – mam nadzieję, że uważasz, dokąd idziemy! Przecież nie chcemy go minąć!

Spojrzał na mnie przelotnie, nie przerywając swoich groźnych pomruków, po czym odbiegł jeszcze dalej i zaczął na nowo wykonywać ruchy jak karateka.

W końcu odniosłem wrażenie, że nasza wędrówka przeciąga się ponad miarę, i gdy znów spojrzałem na jezioro, stwierdziłem, że przynajmniej raz je okrążyliśmy. Idący z przodu Boris wciąż zawzięcie do siebie mamrotał.

– Zaczekaj! – zawołałem. – Boris, zatrzymaj się!

Przystanął i spojrzał na mnie nadąsany.

– Boris – powiedziałem łagodnie, podchodząc bliżej – czy jesteś pewien, że pamiętasz drogę do starego mieszkania?

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

– Oczywiście – odparł bez przekonania.

– Wygląda na to, że zatoczyliśmy wielkie koło.

Boris znowu wzruszył ramionami. Skoncentrował się teraz na swoim bucie, który obracał to w jedną, to w drugą stronę. W końcu powiedział:

– Na pewno przechowali Dziewiątkę w bezpiecznym miejscu, co?

– Tak myślę, Boris. Był w pudełku, które wyglądało na ważne. Na pewno by nie wyrzucili czegoś takiego. Odłożyli je gdzieś wysoko na półkę albo w podobne miejsce.

Boris jeszcze przez chwilę przyglądał się swojemu butowi.

– Minęliśmy je – odezwał się w końcu. – Dwa razy.

– Co? Chcesz powiedzieć, że kręcimy się w kółko na tym wygwizdowie, że chodzimy na próżno? Czemu nic mi nie powiedziałeś, Boris? Nie rozumiem cię.

Milczał, kręcąc butem to w jedną, to w drugą stronę.

– Jak sądzisz, powinniśmy się cofnąć czy mamy obejść jezioro po raz kolejny? – zapytałem.

Boris westchnął. Wyglądało na to, że się głęboko zastanawia. Po chwili podniósł oczy.

– No dobrze. To tam, z tyłu. Parę kroków.

Zawróciliśmy i wkrótce Boris wszedł na jedne z odchodzących w bok schodów. Spojrzał szybko do góry na drzwi mieszkania, po czym prawie natychmiast odwrócił się do nich plecami i ponownie zaczął obserwować swój but.

– No tak – powiedziałem, przyglądając się z uwagą drzwiom pomalowanym na niebiesko i pozbawionym jakichkolwiek znaków szczególnych, które odróżniałyby je od tylu innych. Szczerze mówiąc, drzwi te nie wywołały we mnie żadnych skojarzeń.

Boris spojrzał przez ramię w stronę drzwi, po czym znów odwrócił oczy, wierząc czubkiem buta dziurę w posadzce. Przez chwilę stał u podnóża schodów, wahając się, co robić. Wreszcie przerwałem milczenie:

– Może poczekaś tu chwilę, a ja pójde sprawdzic, czy ktos jest w domu, co?

Boris nie przestawał wiercić butem dziurę w posadzce. Wszedłem po schodach i zapukałem do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Zastukałem powtórnie – tym razem również bez skutku – I przyłożyłem twarz do szybki w drzwiach, nic jednak nie zobaczyłem, ponieważ szkło pokrywała warstwa szronu.

– Okno! – zawołał z tyłu Boris. – Zajrzyj przez okno!

Po lewej stronie ujrzałem coś w rodzaju balkonu, a właściwie występ w murze, tak wąski, że nie zmieściłoby się na nim nawet krzesło. Dotarłem ręką żelaznej balustradki i przechylając się nad murkiem, który ciągnął się wzdłuż schodów, zajrzałem do środka przez najbliższe okno. Zobaczyłem przestronny, dość staroświecko urządzonej salon, ze stołem jadalnym pod jedną ze ścian.

– Widzisz je? – wołał Boris. – Widzisz pudełko?

– Chwileczkę.

Spróbowałem wygiąć się jeszcze bardziej, świadom ziejącej pode mną przepaści.

– Widzisz je?

– Chwileczkę, Boris.

Pokój zaczynał powoli nabierać coraz bardziej znajomych mi kształtów. Trójkątny zegar na ścianie, kremowa sofa wypełniona gąbką, trzyczęściowa półka na sprzęt hi-fi; mój wzrok padał kolejno na różne przedmioty, a każdy budził we mnie dojmujące wspomnienie. Po dokładniejszych oględzinach nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że cała tylna część pokoju – która łączyła się z częścią przednią, tworząc wraz z nią kształt litery L – została dodana niedawno, że kiedyś jej tam nie było. Niemniej owa tylna część sama w sobie wydała mi się dziwnie znajoma i po chwili uświadomiłem sobie, że odpowiada ona dokładnie tylnej części salonu domu, w którym mieszkaliśmy z rodzicami przez kilka miesięcy w Manchesterze. Dom, wąski miejski tarasowiec, był zawilgocony i zdecydowanie wymagał remontu, ale jakoś w nim wytrzymaliśmy, ponieważ mieliśmy tam mieszkać tylko do czasu, gdy praca ojca umożliwi nam przeprowadzkę do czegoś lepszego. Mnie, wówczas dziewięcioletkowi, dom szybko zaczął się kojarzyć nie tylko z ekscytującą zmianą, ale też z nadzieją na nowy, szczęśliwszy rozdział w naszym życiu.

– Tam nikogo nie ma – usłyszałem za sobą męski głos.

Kiedy się wyprostowałem, zobaczyłem, że mężczyzna wyszedł z sąsiedniego mieszkania. Stał przed drzwiami na szczycie schodów równoległych do tych, na których stałem ja. Miał około pięćdziesięciu lat i buldogowate rysy. Wyglądał niechlujnie, a na jego podkoszulku widniała na wysokości piersi mokra plama.

– To znaczy, że nikt tu nie mieszka? – zapytałem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Może jeszcze wróć. Mojej żonie i mnie wcale się nie podoba, że obok stoi puste mieszkanie, ale po tych wszystkich kłopotach odetchnęliśmy z ulgą, mówię panu. Nie jesteśmy nieżyczliwi, ale po tym wszystkim wolimy już nawet puste mieszkanie obok nas.

– A więc jest puste od dawna. Od tygodni? Miesiący?

– Och, co najmniej od miesiąca. Może jeszcze wróć, ale nie mielibyśmy z żoną nic przeciwko temu, żeby nie. Czasami było mi ich żal. Nie jesteśmy nieżyczliwi. Sami też miewaliśmy trudne chwile. Ale kiedy dochodzi do czegoś takiego, naprawdę by się chciało, żeby sobie poszli. Wolimy, żeby stało puste.

– Rozumiem. Mnóstwo kłopotów.

– O, z pewnością. Wątpię, by dochodziło do rękoczynów. Ale wystarczyło posłuchać, jak się kłóć późno w nocy, żeby wyjść z siebie.

– Chwileczkę, ale wie pan... – Przynąłem się do niego i dałem znak oczami, że Boris wszystko słyszy.

– Moja żona nie mogła tego ścierpieć – ciągnął mężczyzna, ignorując mnie. – Kiedy

się zaczynała, otulała głowę poduszką. Raz nawet w kuchni. Wchodzę, a ona gotuje z poduszką wokół głowy. To nic przyjemnego. Nigdy nie widzieliśmy go pijanego, zawsze wyglądał bardzo porządnie. Pozdrowiał nas przelotnie, spieszył się. Ale moja żona twierdzi, że tu tkwiła przyczyna. Widzi pan, pijaństwo...

– Proszę posłuchać – wyszeptałem ze złością, wychylając się za oddzielający nas betonowy murek. – Czy pan nie widzi, że jest ze mną mój syn? Czy pan uważa, że to odpowiedni temat dla jego uszu?

Mężczyzna spojrział ze zdziwieniem w dół na Borisa i powiedział:

– W końcu nie jest już taki mały. I tak nie uda się panu uchronić go od wszystkiego. Zresztą skoro ten temat panu nie odpowiada, proszę wymyślić lepszy. Możemy pogadać o czym innym. Mówiłem tylko, jak było. Ale jeśli nie chce pan o tym rozmawiać...

– Nie, zdecydowanie nie chcę! Nie życzę sobie wysłuchiwać...

– To zresztą nie miało znaczenia. Po prostu naturalną kolejną rzeczy byłem raczej po jego stronie. Gdyby doszło do fizycznej przemocy, to co innego. Ale nic na to nie wskazywało. Więc byłem raczej skłonny winić ją. To prawda, często bywał poza domem, ale z tego, co udało nam się zrozumieć, wiązało się to z jego pracą. To nie był, jak sądzę, wystarczający powód, żeby zachowywała się w ten sposób.

– Przystanie pan w końcu? Czy ma pan choć trochę zdrowego rozsądku? Chłopiec wszystko słyszy!

– No to co, że słyszy? Dzieci i tak się kiedyś o tym dowiadują, prędzej czy później. Wyjaśniałem tylko, dlaczego byłem skłonny stać po jego stronie i dlaczego moja żona wymyśliła picie. Wyjazdy to jedna sprawa, mówiła, a picie to druga.

– Proszę pana, jeśli nie zmieni pan tematu, będę zmuszony przerwać tę rozmowę tu i teraz. Ostrzegam pana, tak właśnie zrobię.

– Chyba pan nie sądzi, że uda się panu uchronić syna? Ile on ma lat? Na malca nie wygląda. Dzieci nie należy otaczać przesadną opieką. Musi w końcu zobaczyć świat taki, jaki jest, bez upiększeń.

– Jeszcze nie musi! Jeszcze nie! A poza tym nie obchodzi mnie, co pan myśli. Zresztą co panu do tego? To mój syn, jest pod moją opieką i nie mam zamiaru tolerować takiej gadaniny.

– Nie rozumiem, czemu się pan tak denerwuje, przecież ja tylko z panem rozmawiam. Mówiłem właśnie o naszych domysłach. To nie byli źli ludzie, nie można powiedzieć, że ich nie lubiliśmy, ale czasami mieliśmy już tego dosyć. Podejrzewam, że to, co słyhać przez ścianę, brzmi o wiele groźniej, niż jest w rzeczywistości. Proszę pana, przecież nie ma sensu

ukrywać lego przed chłopcem w jego wieku. To z góry przegrana sprawa. A po co...

– Nie obchodzi mnie, co pan myśli! Jeszcze nie, powiedziałem, jeszcze kilka lat! Nie chcę, nie pozwolę, by słuchał takich rzeczy.

– Ale pan niemądry. Takie rzeczy po prostu się w życiu zdarzają. Nawet między mną a moją żoną różnie bywało, raz lepiej, raz gorzej. Dlatego trzymałem jego stronę. Znam to uczucie, kiedy nagle uświadamiasz sobie...

– Ostrzegam pana! Skończę tę rozmowę! Ostrzegam!

– Z tym że ja nigdy się nie upijałem. A to ogromna różnica. Częste wyjazdy to jedno, ale tak się upijać...

– To już ostatnie ostrzeżenie! Jeszcze trochę i sobie pójdę!

– Kiedy był pijany, stawał się okrutny. Nie uciekał się wprawdzie do rękoczynów, ale potrafił być naprawdę okrutny, wiele z tego docierało do naszych uszu. Nie wszystko słyszeliśmy wyraźnie, ale siedzieliśmy w ciemności, nasłuchując...

– No i dograł się pan! Ostrzegałem pana! A teraz odchodzę! Odchodzę!

Odwróciwszy się od niego, zbiegłem po schodach do Borisa, wziąłem go pod ramię i pospiesznie ruszyłem naprzód. Ale mężczyzna zaczął wrzeszczeć za nami:

– To z góry przegrana sprawa! Musi się dowiedzieć, jak to jest! Samo życie! Nie ma w tym nic złego! Takie jest życie!

Boris oglądał się ciekawie za siebie i musiałem dość mocno ciągnąć go za ramię. Przez jakiś czas szliśmy równym, szybkim krokiem. Parę razy czułem, że Boris próbuje zwolnić, ale spieszyłem dalej, aby mieć pewność, że mężczyzna nas nie dogoni, jeśli idzie za nami. Kiedy wreszcie zwolniliśmy kroku i się zatrzymaliśmy, zabrakło mi tchu. Zatonczyłem się w stronę murka – był niepokojąco niski, kończył się nieco powyżej mojego pasa – oparłem na nim łokcie i się wychyliłem. Patrzyłem na jezioro, na wieżowce po drugiej stronie, na bezmierne, szare niebo i czekałem, aż mój oddech się uspokoi.

Po chwili spostrzegłem obok siebie Borisa. Stał odwrócony do mnie plecami i bawił się jakimś luźnym kawałkiem muru blisko jego górnej krawędzi. Ogarnęło mnie zakłopotanie w związku z całym tym zajściem i zrozumiałem, że muszę mu to jakoś wyjaśnić. Właśnie się zastanawiałem, co powiedzieć, kiedy Boris, nie odwracając się do mnie, mruknął:

– To był wariat, prawda?

– Tak, kompletny wariat. Ma nie po kolei w głowie.

Boris dalej bawił się kawałkiem muru.

– To już nie ma znaczenia. Nie musimy odzyskiwać Dziewiątki.

– Jeśli to z powodu tamtego człowieka, Boris...

– To już nieważne. Nieważne. – Nagle odwrócił się do mnie z uśmiechem. – Udany dzień, jak na razie – powiedział wesoło.

– Dobrze się bawisz?

– Bardzo udany. Podróż autobusem i tak dalej. Wspaniale.

Poczułem nagłą ochotę, żeby go uściskać, ale bałem się, że taki gest mógłby go speszyć, a może nawet przestraszyć. Ostatecznie pogłaskałem go tylko po głowie i ponownie spojrzałem na widok przed nami.

Wiatr znacznie osłabł i przez chwilę staliśmy cicho obok Niebie wpatrzeni w osiedle.

– Boris – odezwałem się – zastanawiasz się na pewno, dlaczego nie możemy po prostu osiąść gdzieś i żyć spokojnie, cała trójka. Na pewno się zastanawiasz... wiem, że tak jest... dlaczego cały czas podróżuję, mimo że nie podoba się to twojej mamie. Musisz zrozumieć, że wyjeżdżam tak często nie dlatego, że was nie kocham i nie chcę być razem z wami. W pewnym sensie najbardziej pragnąłbym zostać w domu z tobą i mamą, w mieszkaniu takim jak tamto, gdziekolwiek. Ale, widzisz, to nie takie proste. Muszę podróżować, bo nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się ta szczególna, ta bardzo ważna podróż, bardzo, bardzo ważna, nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich ludzi na świecie. Jak mam ci to wyjaśnić? Jesteś jeszcze taki mały. Widzisz, można ją łatwo przegapić. Wystarczy powiedzieć sobie raz: nie, nie pojedę, odpocznę. Dopiero później mógłbym odkryć, to była właśnie ta bardzo, bardzo ważna podróż. A jeśli się ją przegapi, to już koniec, przepadło. Nieważne, jak wiele podróżowałbym potem, przepadło, a wszystkie te lata poszłyby na marne. Widziałem, jak przytrafia się to innym ludziom, Boris. Podróżują rok po roku, nieustannie, aż w końcu dopada ich zmęczenie, może lenistwo. I wtedy właśnie trafia się ta jedyna okazja, a oni ją przegapiają. A potem żałują do końca życia. Gorzknieją i markotnieją. Umierają jako ludzie przegrani. Dlatego też na razie nie mogę zrezygnować, muszę cały czas podróżować. Wiem, że to utrudnia wiele spraw. Ale musimy być silni i cierpliwi, wszyscy troje. Wkrótce to się skończy, jestem pewien. Ta jedyna, bardzo ważna podróż trafi się już niedługo. Wtedy koniec ze wszystkim, wreszcie odpocznę. Będę mógł wtedy siedzieć w domu do woli, nie ma sprawy, możemy być razem, cała nasza trójka. Nadrobimy to wszystko, czego nie mogliśmy robić do tej pory. To już niedługo, jestem tego pewien, ale musimy być cierpliwi. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Przez dłuższą chwilę Boris milczał. Nagle się wyprostował i powiedział ostrzegawczym tonem:

– Odejdźcie w spokoju. Wszyscy.

Po tych słowach odbiegł kilka kroków i ponownie zaczął wykonywać ruchy karate.

Jeszcze przez parę minut stałem oparty o murek i przyglądałem się widokowi,

śłuchając zaciekle szeptów Borisa. Kiedy znów na niego spojrzałem, zdałem sobie sprawę, że odtwarza w wyobraźni najnowszą wersję pewnej zmyślonej sytuacji, którą już wielokrotnie odgrywał w ciągu paru ostatnich tygodni. Bez wątpienia to, że byliśmy tak blisko miejsca akcji, obudziło w nim nieprzepartą chęć odegrania jej po raz kolejny, gdyż według scenariusza Boris i jego dziadek walczą z dużym ulicznym gangiem chuliganów właśnie w tym przejściu, tuż przy starym mieszkaniu.

Patrzyłem, jak uwija się rażno kilka metrów ode mnie, i domyśliłem się, że zbliża się akurat ta chwila, w której on i jego dziadek, ramię w ramię, szykują się do następnego ataku. Na ziemi wała się już masa nieprzytomnych ciał, ale garść najwytrwalszych chuliganów zbiera się w gromadę, żeby przypuścić kolejny atak. Boris i jego dziadek stoją spokojnie obok siebie, podczas gdy napastnicy, pod osłoną mroku, naradzają się szeptem nad taktyką dalszej walki. W tym i w innych podobnych scenariuszach Boris wyobraża sobie niejasno, że jest starszy. Jeszcze nie całkiem dorosły – co czyniłoby całą wizję zbyt odległą w czasie, jak również komplikowałoby sprawę wieku dziadka – ale dostatecznie wyrośnięty, by jego wyczyny mieściły się w granicach prawdopodobieństwa.

Boris i Gustav cierpliwie czekają, aż chuligani zbiorą siły. Potem, kiedy następuje atak, dziadek i wnuk, zgrany zespół, skutecznie – niemal z żalem – rozprawiają się z nacierającymi ze wszystkich stron napastnikami. Wreszcie atak się kończy – nie, oto z mroku wyskakuje ostatni chuligan, a w jego dłoni błyska wstrętne ostrze. Gustav, który stoi bliżej, zadaje mu szybki cios w kark i teraz walka naprawdę dobiega końca.

Przez kilka chwil Boris i jego dziadek przyglądają się z powagą i w milczeniu rozciągniętym dokoła ciałom. Potem Gustav, po raz ostatni obrzucając pobojowisko doświadczonym okiem, daje głową znak, na co obaj odwracają się z minami ludzi, którzy zrobili to, co do nich należy, choć nie sprawiło im to przyjemności. Wstępują na schody wiodące do starego mieszkania, po raz ostatni spoglądają na pokonanych chuliganów – niektórzy zaczynają jęczeć albo się czołgać – po czym wchodzą do środka.

– Wszystko w porządku – oznajmia od drzwi Gustav. – Już po nich.

Sophie i ja, wyraźnie zdenerwowani, wychodzimy do przedpokoju. Kroczący za dziadkiem Boris dodaje:

– Ale to jeszcze nie koniec. Zaatakują jeszcze raz, prawdopodobnie przed zmrokiem.

Ta ocena sytuacji, dla dziadka i wnuka tak oczywista, że nawet nie zadali sobie trudu, by ją omówić, wydaje mnie i Sophie na nowe męki.

– Nie, to nie do zniesienia! – lamentuje Sophie, po czym wybucha szlochem.

Biorę ją w ramiona, chcąc ją pocieszyć, ale sam mam niewyraźną minę. Na widok tej

żałosnej sceny Boris i Gustav nie okazują mi cienia wzdargy. Gustav kładzie mi rękę na ramieniu i mówi im pocieszenie:

– Nie martwcie się. Boris i ja będziemy na miejscu. Po tym ostatnim ataku wszystko się skończy.

– To prawda – potwierdza Boris. – Podejmą co najwyżej jeszcze jedną walkę. – Potem zwraca się do Gustava: – Dziadku, może następnym razem znowu spróbuję przemówić im do rozsądku. Dam im ostatnią szansę, by się wycofali.

– Nie posłuchają – mówi Gustav, kręcąc ze smutkiem głową. – Ale masz rację, powinniśmy im dać ostatnią szansę.

Sophie i ja, przejęci trwogą, znikamy w głębi mieszkania, płacząc i tuląc się do siebie. Boris i jego dziadek spoglądają na siebie, wzdychają ciężko i otwarłszy zasuwę w drzwiach, znów wychodzą na zewnątrz.

W przejściu panują mrok, pustka i milczenie.

– Właściwie możemy trochę odpocząć – mówi Gustav. – Śpisz pierwszy, Boris. Obudzę cię, jeśli usłyszę, że nadchodzą.

Boris kiwa głową, po czym siada na najwyższym stopniu i szybko zasypia oparty plecami o drzwi mieszkania.

Po jakimś czasie... jeden dotyk na ramieniu i zrywa się na równe nogi w pełni rozbudzony. Jego dziadek patrzy w dół na chuliganów, którzy gromadzą się przed nimi w przejściu. Jest ich więcej niż zwykle, ostatnia konfrontacja zmusiła ich bowiem do wezwania wszystkich pobratymców z najciemniejszych zakątków miasta. Są tu teraz wszyscy, ubrani w podarte skóry, kurtki wojskowe, nabijane ćwiekami pasy, w rękach trzymają żelazne pręty lub łańcuchy rowerowe – ale poczucie honoru nie pozwoliło im zabrać pistoletów. Boris i Gustav schodzą ku nim powoli, zatrzymując się może na drugim, może na trzecim stopniu od góry. Potem Boris, na znak dziadka, zaczyna mówić, podnosząc głos, tak by dźwięczał wśród betonowych kolumn.

– Walczyliśmy z wami wiele razy. Widzę, że dziś przyszło was jeszcze więcej. Ale w głębi duszy każdy z was dobrze wie, że nie zdołacie wygrać. Tym razem mój dziadek i ja nie możemy wam zagwarantować, że nikt z was nie odniesie poważnych obrażeń. Ta walka nie ma sensu. Każdy z was miał kiedyś dom. Matkę, ojca, być może brata albo siostrę. Chcę wam otworzyć oczy na to, co się dzieje. Przez wasze ataki, przez to ciągle terroryzowanie naszego domu moja matka bez przerwy płacze. Cały czas jest spięta i podenerwowana, przez co często karci mnie bez powodu, tato zaś musi wyjeżdżać w długie podróże, niekiedy za granicę, co nie podoba się mamie. Oto skutki waszych ataków na nasze mieszkanie. Może robicie to, bo

rozpiera was energia, bo pochodzicie z rozbitych rodzin i nie umiecie inaczej. Dlatego próbuję wam uświadomić, co naprawdę się dzieje, jakie są skutki waszego nieprzemyślanego postępowania. Prędzej czy później może dojść do tego, że tato w ogóle nie wróci do domu, i co wtedy? Może nawet będziemy zmuszeni przeprowadzić się do innego mieszkania. Dlatego musiałem sprowadzić dziadka, odrywając go od ważnych obowiązków w dużym hotelu. Nie możemy pozwolić, abyście nadal postępowali tak jak do tej pory. Dlatego z wami walczymy. Teraz, gdy już wam wyjaśniłem, jak się sprawy mają, macie szansę przemyśleć to wszystko od nowa i odejść. Jeśli nie, nie mamy z dziadkiem innego wyjścia, jak tylko znów z wami walczyć. Będziemy starali się was ogłuszyć, nie powodując długotrwałych urazów, ale ponieważ szykuje się ostra walka, nie możemy wam zagwarantować, że niektórzy z was nie wyjdą z niej srodze poturbowani, może nawet połamani. Wykorzystajcie więc tę szansę i odejdźcie.

Przemowa ta wywołuje na usta Gustava dyskretny uśmiech aprobaty. Obaj lustrują okrutne twarze rzezimieszków: wielu zerka niepewnie na innych, lecz to raczej strach, a nie zdrowy rozsądek każe im się zastanowić. Wtedy to ich prowodyrzy – odrażające, bezwzględne typy – wydają wojenny pomruk, który z wolna podchwytyją inni. Potem rzucają się naprzód. Boris i jego dziadek błyskawicznie zajmują swoje pozycje – plecami do siebie – i sprawnie koordynują ruchy, stosując własną, starannie opracowaną kombinację karate i innych technik walki. Chuligani atakują ze wszystkich stron, lecz w mgnieniu oka okręcają się wokół własnej osi, słaniają na nogach bądź fruują w powietrzu, wydając przy tym pełne zdumienia, przerażone okrzyki, aż ziemia znów pokrywa się warstwą nieprzytomnych ciał. Przez kilka chwil Boris i Gustav stoją wyczekująco, wodząc wokół siebie wzrokiem. W końcu chuligani zaczynają się ruszać. Niektórzy jęczą, inni potrząsają głowami, próbując sobie przypomnieć, gdzie są.

Wówczas Gustav postępuje krok naprzód ze słowami:

– Odejdźcie i na tym zakończmy całą sprawę. Zostawcie ten dom w spokoju. Zanim zaczęliście go terroryzować, był bardzo szczęśliwy. Jeśli wrócicie tu po raz kolejny, mój wnuk i ja będziemy zmuszeni połamać wam kości.

Ta przemowa jest właściwie zbędna. Tym razem złoczyńcy zostali ostatecznie pokonani i powinni się cieszyć, że nie odnieśli ciężkich obrażeń. Z wolna podnoszą się z ziemi i odchodzą, kulejąc. Podpierają się wzajemnie po dwóch albo trzech, wielu jęczy z bólu.

Kiedy ostatni bandyta niknie w mroku, Boris i Gustav wymieniają zadowolone spojrzenia, odwracają się na pięcie i ruszają w stronę mieszkania. Kiedy wchodzą do środka,

Sophie i ja, którzy obserwowaliśmy całe zajście przez okno, witamy ich triumfalnie.

– Dzięki Bogu, już po wszystkim – mówię przejęty. – Dzięki Bogu.

– Już zaczęłam przygotowywać posiłek, żeby to uczcić – oznajmia Sophie, a jej twarz, z której zniknęło całe poprzednie napięcie, promienieje radością. – Jesteśmy wam głęboko wdzięczni, Boris. Może byśmy wieczorem zagraли w jakąś grę planszową?

– Muszę uciekać – mówi dziadek. – Mam mnóstwo pracy w hotelu. Jeżeli kłopoty się powtórzą, dajcie mi znać. Ale jestem pewien, że to już koniec.

Kiedy Gustav schodzi po schodach, machamy mu ręką na pożegnanie. Zamknawszy za nim drzwi, Boris, Sophie i ja przygotowujemy się do kolacji. Sophie krąży między kuchnią a salonem, przyrządzając posiłek i podśpiewując pod nosem, podczas gdy Boris i ja leżymy na podłodze pochłonięci grą planszową. Mniej więcej po godzinie, kiedy Sophie akurat nie ma w pokoju, nagle spoglądam na Borisa z poważną miną i mówię cicho:

– Dziękuję ci, Boris. Nareszcie może być tak, jak było kiedyś.

– Patrz! – krzyknął Boris. Znow stał obok mnie i wskazywał coś ręką wyciągniętą nad murkiem. – Patrz! Ciocia Kim!

Istotnie, na dole stała jakaś kobieta i energicznie machała, aby przyciągnąć naszą uwagę. Miała na sobie zielony, rozpinany sweter, którym się szczelnie otulała, a jej włosy powiewały bezładnie na wietrze. Widząc, że wreszcie ją zauważyliśmy, krzyknęła coś, ale jej słowa porwał wiatr.

– Ciociu Kim! – zawołał Boris.

Kobieta wykonała jakiś gest i znow coś krzyknęła.

– Chodźmy na dół – powiedział Boris i ruszył przed siebie, nagle znow pełen zapału.

Zbiegł chyżo po kilku kondygnacjach betonowych schodów, a ja zszedłem za nim. Kiedy znaleźliśmy się na dole, natychmiast uderzył w nas silny wiatr, ale Boris chwiejnym krokiem, niczym spadochroniarz zaraz po wylądowaniu, uparcie zmierzał w stronę kobiety.

Ciocia Kim była krępa, miała koło czterdziestki, a jej surowa twarz na pewno nie była mi nieznaną.

– Musicie być głusi – powiedziała, kiedy do niej podeszliśmy. – Widziałyśmy, jak wysiedliście z autobusu; wołałyśmy i wołałyśmy, ale czy słuchaliście? A potem zeszałam tu, żeby was odszukać, ale nigdzie was nie było.

– Naprawdę? – powiedziałem. – Niczego nie słyszeliśmy, prawda, Boris? To na pewno przez ten wiatr. A więc – rzuciłem dokoła okiem – widziałyście nas z twojego mieszkania?

Nie siląc się na dokładność, krępa kobieta wskazała jedno z niezliczonych okien.

– Wołałyśmy i wołałyśmy. – Potem zwróciła się do Borisa: – Jest u nas twoja mama, kolego. Umiera z tęsknoty za tobą.

– Mama?

– Lepiej chodźmy zaraz na górę, bo umiera z tęsknoty. I wiesz co? Całe popołudnie gotowała. Wieczorem czeka was wspianała uczta. Nie uwierzysz, przygotowała wszystkie twoje ulubione potrawy, wszystko, co może ci się przyśnić. Właśnie mi o tym opowiadała, a potem zerkamy za okno i proszę, widzimy, juk wysiadacie z autobusu. Słuchajcie, szukam was już od pół godziny i jestem przemarznięta. Musimy tutaj tak sterczeć?

Mówiąc to, wyciągnęła do niego rękę. Boris chwycił ją i ruszyliśmy w stronę tej części budynku, którą wcześniej wskazała. Kiedy byliśmy już blisko, Boris wybiegł do przodu, pchnął drzwi przeciwpożarowe i zniknął w środku. Kiedy doszliśmy z krępą kobietą do budynku, drzwi właśnie się zamykały. Przytrzymała je dla mnie.

– Ryder, czy ty przypadkiem nie powinienesz być teraz gdzie indziej? – zapytała. – Sophie powiedziała mi, że całe popołudnie urywa jej się telefon. Wszyscy cię szukają.

– Naprawdę? Aha. No cóż, jak widzisz, jestem tutaj. – zaśmiałem się. – Przeprowadziłem Borisa.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Weszliśmy na skąpo oświetloną klatkę schodową. Na ścianie tuż obok wisiała skrzynka na listy i sprzęt przeciwpożarowy.

Kiedy zaczęliśmy się wspinać na pierwsze piętro – nad nami było ich jeszcze co najmniej pięć – z góry dał się słyszeć pospieszny tupot nóg Borisa, a po chwili jego głos wołający: „Mamo!”. Potem rozległy się okrzyki radości, jeszcze parę kroków i głos Sophie: „Moje ty kochanie, moje słonko!”. Po stłumionej barwie jej głosu można się było domyślać, że się ściskają. Zanim krępa kobieta i ja wdrapaliśmy się na górę, zniknęli w mieszkaniu.

– Przepraszam za bałagan – powiedziała kobieta, wpuszczając mnie do środka.

Przez maleńki przedpokój wszedłem do obszernego pokoju, urządzonego prosto i nowocześnie. Dominowało w nim duże okno widokowe, przed którym stali teraz Sophie i Boris; ich ciemne sylwetki rysowały się ostro na tle szarego nieba. Sophie uśmiechnęła się do mnie przelotnie i zaraz podjęła rozmowę z Borisem. Wydawali się czymś bardzo przejęci, a Sophie wciąż przytulała Borisa. Ponieważ wskazywali coś przez okno, pomyślałem, że Sophie opowiada mu, jak nas zauważyły. Ale kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem, co mówi:

– Tak, naprawdę. Wszystko już prawie gotowe. Trzeba jeszcze tylko podgrzać parę rzeczy, na przykład pierożki z mięsem.

Boris powiedział coś, czego nie dosłyszałem, na co Sophie odparła:

– Pewnie, że możemy. W którą tylko zechcesz. Możesz wybrać grę zaraz po kolacji.

Boris popatrzył na matkę pytająco. W jego zachowaniu zauważyłem teraz pewną ostrożność, która chroniła go przed nadmiernym ożywieniem, czego być może spodziewała się Sophie. Kiedy Boris przeszedł w inną część pokoju, zbliżyła się do mnie i pokręciła smutno głową.

– Przepraszam – odezwała się cicho. – Nic z tego. Był jeszcze gorszy od tego w zeszłym miesiącu. Widoki są zachwycające, stoi na krawędzi urwiska, ale nie wydaje się dość solidny. Pan Mayer w końcu się ze mną zgodził. Powiedział, że przy silnej wichurze może się zawalić dach i że wytrzyma najwyżej parę lat. Wróciłam prosto do domu, byłam z powrotem już przed jedenastą. Przepraszam. Widzę, że jesteś rozczarowany. Spojrzała na Borisa, który studiował przenośny magnetofon, stojący na półce z lewej strony

– Nie traćmy nadziei – pocieszyłem ją, wzdychając. – Na pewno wkrótce coś się znajdzie.

– Przemyslałam to sobie – powiedziała Sophie. – W autobusie, w drodze powrotnej. Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zaczęli robić wszystko wspólnie, bez względu na dom. No i jak tylko wróciłam, zabrałam się do gotowania. Pomyślałam, to wieczorem moglibyśmy urządzić sobie prawdziwą ucztę, tylko we troje. Przypomniałam sobie, jak to robiła moja mama, nim zachorowała. Gotowała mnóstwo różnych drobiazgów i stawiała je wszystkie na stole, abyśmy mogli przebierać i wybierać. To były takie wspaniałe kolacje, więc pomyślałam sobie, że przecież i my moglibyśmy zorganizować coś podobnego, tylko we troje, przedtem w ogóle nie brałam tego pod uwagę, zwłaszcza przy obecnym stanie kuchni, ale gdy się dobrze rozejrzałam, uświadomiłam sobie, jaka byłam niemądra. Wprawdzie daleko jej do ideału, ale w końcu to i owo da się w niej zrobić. Gotowałam ode popołudnie. Udało mi się przyrządzić większość ulubionych potraw Borisa. Wszystko już jest gotowe, wystarczy podgrzać. Wieczorem czeka nas wspaniała uczta.

– Bardzo się cieszę.

– Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, nawet w naszym obecnym mieszkaniu. A ostatnio stałeś się taki wyrozumiały. Wszystko przemyslałam. W autobusie, w drodze powrotnej. Musimy zapomnieć o przeszłości. Zacząć znów robić wszystko wspólnie. Wszystko, co dobre.

– Tak, masz rację.

Przez kilka sekund Sophie spoglądała przez okno. Nagle powiedziała:

– O, byłabym zapomniała. Gdy gotowałam, wciąż wydzwaniała ta kobieta. Panna

Stratmann. Pytała, czy wiem, gdzie jesteś. Skontaktowała się z tobą?

– Panna Stratmann? Nie. Czego chciała?

– Wydawało jej się chyba, że w twoim dzisiejszym programie dnia coś się pokręciło. Była bardzo miła, wielokrotnie przeproszała, że mi przeszkadza. Powiedziała, że z całą pewnością kontrolujesz sytuację, dzwoni tylko po to, żeby się upewnić, nic więcej, niczym się nie martwi. Ale po piętnastu minutach znów zadzwonił telefon i znów w słuchawce odezwał się jej głos.

– Nie ma się czym przejmować. Hm... Więc mówisz, że według niej powinienem być gdzie indziej?

– Nie wiem dokładnie, o co jej chodziło. Była niezwykle uprzejma, ale bez przerwy dzwoniła, aż przypaliłam kurczaka w cieście. Ostatnim razem zapytała, czy idę na to przyjęcie. Wieczorem, w Galerii Karwinsky'ego. Nic mi o tym nie wspominałeś, ale powiedziała to tak, jakby się mnie tam spodziewano. Więc odpowiedziałam: tak, oczywiście. Potem zapytała, czy Boris też się wybiera, a ja powiedziałam, że on też i ty też. Że obaj macie wielką ochotę tam iść. Zdaje się, że to ją uspokoiło. Powiedziała, że wcale się tym nie martwi, po prostu o tym napomyka, to wszystko. Odłożyłam słuchawkę i z początku byłam trochę rozczarowana, bo wydawało mi się, że przyjęcie to będzie kolidować z naszą uczną. Ale potem zdałam sobie sprawę, że przecież mam dość czasu, żeby wszystko wcześniej przygotować, później zaś możemy pojechać i wrócić. Jeśli nie zabawimy tam zbyt długo, możemy jeszcze spędzić ten wieczór razem. A potem pomyślałam: to nawet dobrze, zarówno dla mnie, jak i dla Borisa, że pójdziemy na takie przyjęcie. – Nagle wyciągnęła rękę do Borisa, który właśnie do nas wrócił, i dość gwałtownie przygarnęła go do siebie. – Będziesz atrakcją wieczoru, prawda, Boris? Nie onieśmieli cię ten tłum ludzi. Po prostu bądź sobą, a na pewno ci się spodoba na tym przyjęciu. Wypadniesz świetnie. Zanim się obejrzyysz, trzeba będzie wracać do domu. A potem spędzimy razem absolutnie wspaniały wieczór, tylko we troje. Wszystko już gotowe, same smakołyki.

Boris wyrwał się z objęć matki i znów się oddalił. Sophie popatrzyła na niego z uśmiechem, po czym zwróciła się do mnie:

– Nie sądzisz, że powinniśmy zaraz ruszać w drogę? Dojazd do Galerii Karwinsky'ego może zabrać nam trochę czasu.

– Tak – zgodziłem się, spoglądając na zegarek. – Tak, masz rację. – Odwróciłem się do krępej kobiety, która znów weszła do pokoju. – Może nam coś doradzisz – powiedziałem do niej. – Nie jestem całkiem pewien, którym autobusem można stąd dojechać do Galerii Karwinsky'ego. Nie wiesz przypadkiem, czy teraz będzie coś jechało?

– Do Galerii Karwinsky’ego? – Krępa kobieta spojrziała na limie z pogardą i tylko obecność Borisa powstrzymała ją od rzucenia jakiejś sarkastycznej uwagi. – Stąd żaden autobus nie jedzie do Galerii Karwinsky’ego. Trzeba jechać do centrum i przed biblioteką poczekać na tramwaj. Nie ma mowy, żebyście zdążyli.

– A to pech. Liczyłem na jakiś autobus.

Kobieta posłała mi kolejne pogardliwe wejrzenie.

– Możecie wziąć mój samochód, tego wieczoru nie będzie mi potrzebny.

– Bardzo to uprzejmie z twojej strony – powiedziałem – ale czy jesteś pewna, że...

– Nie marudź, Ryder. Bez niego nie macie żadnych szans, aby dotrzeć do Galerii Karwinsky’ego na czas. Zresztą nawet jeśli macie jechać samochodem, powinniście się już zbierać.

– Tak – przyznałem – też tak myślę. Ale nie chcemy uprawiać ci kłopotu.

– Możecie wziąć kilka kartonów z książkami. Jutro rano nie będę mogła ich ze sobą zabrać, skoro mam jechać autobusem.

– Tak, oczywiście. Co tylko zechcesz.

– Po prostu podrzućcie je do sklepu Hermanna Rotha jutro przed dziesiątą rano.

– Nie martw się, Kim – powiedziała Sophie, nim zdążyłem otworzyć usta. – Dopilnuję tego. Jesteś taka dobra.

– W porządku, ale teraz lepiej się pospieszcie. Hej tam, kolego – krępa kobieta skinęła na Borisa – pomożesz mi zapakować te książki?

Przez następnych parę minut stałem samotnie przy oknie i spoglądałem na zewnątrz. Kobiety i Boris zniknęli w sypialni, skąd dochodziły teraz ich śmiechy i strzępy rozmów. Przyszło mi na myśl, że powinienem do nich dołączyć i pomóc pakować książki, ale potem uznałem, że muszę wykorzystać okazję, aby się zastanowić nad dalszą częścią wieczoru, tak więc dalej wpatrywałem się w sztuczne jezioro. Kiloro dzieci zaczęło kopać piłkę o ogrodzenie na przeciwległym brzegu, poza tym w okolicy nie było widać żywej duszy.

W końcu usłyszałem głos wołającej mnie krępej kobiety i zorientowałem się, że są już gotowi do wyjścia. W przedpokoju zobaczyłem, że Boris i Sophie – każde z kartonem pod pachą – wychodzą już na korytarz. Kiedy ruszyli schodami w dół, zaczęli się o coś spierać.

Krępa kobieta nie zamykała drzwi, czekając, aż wyjdę.

– Sophie jedzie tam z nastawieniem, że tym razem wszystko pójdzie dobrze – powiedziała, zniżając głos – więc nie zawieź jej po raz kolejny, Ryder.

– Nie martw się – zapewniłem ją. – Dopilnuję, żeby wszystko poszło jak należy.

Posłała mi twarde spojrzenie, po czym odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach,

brzęcząc kluczami.

Ruszyłem za nią. Na drugim piętrze zobaczyłem kobietę, która zmęczonym krokiem szła do góry. Przechodząc obok krępej kobiety, przycisnęła się do ściany, wypowiadając zduszone „przepraszam”. Dopiero kiedy się minęliśmy, uzmysłowiłem sobie, że była to Fiona Roberts, wciąż jeszcze w tym samym konduktorskim uniformie. Ona również poznała mnie dopiero w ostatniej chwili – na klatce panował półmrok – i odwróciła się, trzymając się metalowej poręczy.

– O, jesteś – powiedziała. – Godna pochwały punktualność. Przepraszam, że wracam trochę później, niż mówiłam, ale tramwaj linii wschodniej miał objazd i dlatego moja zmiana znacznie się przeciągnęła. Mam nadzieję, że nie czekasz zbyt długo.

– Nie, skąd. – Wstąpiłem o dwa, trzy stopnie wyżej. – Prawie wcale. Ale, niestety, mój program dnia jest już tak wypełniony, że...

– Bez obaw, nie zajmę ci więcej czasu, niż to absolutnie konieczne. No więc już dzwoniłam do dziewczyn, tak jak się umawialiśmy. Zadzwoniłam ze stołówki w zajezdni, w czasie przerwy. Powiedziałam, że wpadnę do nich z przyjacielem, ale nie zdradziłam, o kogo chodzi. Z początku miałam taki zamiar, tak jak uzgodniliśmy wcześniej, ale najpierw zadzwoniłam do Trude i kiedy usłyszałam w słuchawce jej głos, to jej: „Ach, to ty, złotko”, od razu uderzył mnie ten protekcyjny, zjadliwy ton. Byłam pewna, że przez cały dzień obgadywała mnie przez telefon, wydzwaniała najpierw do Inge, a potem do pozostałych, komentując poprzedni wieczór i udając, że mi współczuje, mówiąc, że mimo wszystko należy traktować mnie życzliwie, jestem przecież niczym ktoś chory, to ich moralny obowiązek traktować mnie po ludzku. Ale naturalnie w Stowarzyszeniu nie ma dla mnie już miejsca, wykluczone. O, mają dzisiaj niezły ubaw, od razu było to słyszać w jej głosie. „Ach, to ty, złotko”. Pomyślałam sobie: więc dobrze, o niczym was nie uprzedzę. Zobaczmy, dokąd zaprowadzi was to niedowiarstwo. Mam nadzieję, Trude, myślałam, że cię kompletnie zatka, kiedy otworzysz drzwi i zobaczysz, kto stoi obok mnie. Żebyś tak miała na sobie najgorsze ciuchy, najlepiej dresy, i żebyś była bez makijażu, aby było widać ten wznórek obok nosa, i żebyś miała włosy upięte do tyłu, jak to czasem robisz, co postarza cię co najmniej o piętnaście lat. I żeby w twoim mieszkaniu był akurat bałagan, żeby wszędzie walały się te głupie magazyny, brukowce i romansidła, którymi zaśmiecasz meble. Mam nadzieję, że nie będziesz wiedziała, co powiedzieć, i zaczniesz rzucać jedną niestosowną uwagę po drugiej, wprawiając się w coraz większe zakłopotanie. A potem zaproponujesz ciasteczka i okaże się, że akurat nic nie masz, i będziesz gorzko żałować, że nigdy mi nie wierzyłaś. Tak właśnie zrobimy, pomyślałam. Tak więc nic nie powiedziałam ani jej, ani innym. Oznajmiłam tylko,

że wejdę do nich z przyjacielem. – Urwała i uspokoiła się nieco. – Przepraszam, nie chciałam sprawiać wrażenia mściwej. Ale marzy mi się to przez cały dzień. Ta jedna myśl pozwalała mi normalnie funkcjonować, sprawdzać bilety, ta jedna myśl. Pasażerowie na pewno zastanawiali się, co mi się stało, no wiesz, skąd ten błysk w moim oku. No ale jeśli masz napięty plan, to lepiej nie traćmy czasu, ruszajmy. Możemy zacząć od Trude. Powinniśmy zastać u niej Inge, o tej porze dnia zwykle tam bywa, więc załatwimy je obie za jednym zamachem. Na innych mi właściwie nie zależy. Chcę tylko zobaczyć miny tych dwóch. No to chodźmy.

Ruszyła schodami w górę, jakby z nowym zapasem sił. Schody ciągnęły się w nieskończoność, piętro po piętrze, aż w końcu zaczęło mi brakować tchu. Natomiast Fiona w ogóle nie wyglądała na zmęczoną. Po drodze mówiła dalej, znikając głos, jakby istniało niebezpieczeństwo, że nas podsłuchują.

– Nie musisz zbyt wiele mówić – powiedziała w pewnym momencie. – Niech się przed tobą popłaszczą. Ale naturalnie możesz z nimi porozmawiać o swoich rodzicach.

Kiedy wreszcie zeszedliśmy ze schodów, miałem taką zadyszkę – dosłownie charczało mi w płucach – że nie potrafiłem skupić się na tym, gdzie jesteśmy. Wiedziałem tyle, że idziemy ciemnym korytarzem, mijając rzędy drzwi, i że Fiona dziarsko kroczy naprzód, niepomna na moje trudności. Nagle się zatrzymała i zapukała do drzwi. Kiedy ją dogoniłem, musiałem się oprzeć ręką o futrynę i zwiesiwszy głowę, spróbowałem odzyskać normalny oddech. Kiedy drzwi się otworzyły, przy triumfującej Fionie wyglądałem zapewne jak półtora nieszczęścia.

– Trude – powiedziała Fiona – przyprowadziłam ze sobą przyjaciela.

Wyprostowałem się z wysiłkiem i przywołałem na twarz miły uśmiech.

## Rozdział 16

Drzwi otworzyła zażywna kobieta koło pięćdziesiątki, o krótkich, białych włosach. Miała na sobie luźny, różowy sweter i workowate spodnie w paski. Trude spojrzała na mnie przelotnie i nie dostrzegłszy nic niezwykłego, odwróciła się do Fiony ze słowami:

– Ach, to wy. Wejdźcie, skoro już jesteście.

Wyraźnie dawała nam odczuć swoją wyższość, lecz to jedynie wzmogło oczekiwania Fiony, która uśmiechnęła się do mnie konspiracyjnie, gdy wchodziliśmy za Trude do mieszkania.

– Czy jest u ciebie Inge? – zapytała Fiona, kiedy znaleźliśmy się w ciasnym przedpokoju.

– Tak, dopiero co wróciliśmy – powiedziała Trude. – I mamy o czym opowiadać! Skoro więc akurat do mnie wpadłaś, będziesz pierwszą osobą, która usłyszy nasze nowiny. Masz szczęście.

Ta ostatnia uwaga była prawie zupełnie pozbawiona ironii, potem Trude zniknęła za jakimiś drzwiami, zostawiając mnie i Fionę w ciasnym przedpokoju. Zza drzwi dobiegł jej głos:

– Inge, przyszła Fiona. Z jakimś znajomym. Powinnyśmy jej chyba opowiedzieć, co wydarzyło się po południu.

– Fiona? – W głosie Inge pobrzmiewało łagodne zgorszenie. – No to chyba pozwolimy im wejść – powiedziała z przymusem.

Słyszac tę rozmowę, Fiona ponownie uśmiechnęła się do mnie znacząco. Trude wychyliła się zza drzwi i poprosiła nas do salonu.

Pod względem rozmiaru i układu pokój przypominał salon krępej kobiety, lecz meble były tu bardziej ozdobne, przeważały na nich motywy roślinne. Pokój musiał być zwrócony w inną stronę albo może niebo nieco się przejaśniło, w każdym razie przez duże okno wlewało się popołudniowe słońce i wstępując w krąg światła, spodziewałem się, że kobiety od razu mnie rozpoznają. Najwidoczniej Fiona myślała podobnie, gdyż skromnie usunęła się na bok, aby jej obecność nie osłabiła wrażenia. Nic jednak nie wskazywało na to, że Trude albo Inge cokolwiek zauważyły. Obrzuciły mnie obojętnym spojrzeniem, po czym Trude dość chłodno kazała nam spocząć. Usiedliśmy obok siebie na wąskiej sofce. Fiona, choć początkowo zbita

z tropu, widocznie doszła w końcu do wniosku, że taki obrót wydarzeń jedynie wzmocni efekt zaskoczenia, gdy moja tożsamość wyjdzie na jaw, i znów posłała mi dyskretny, szelmowski uśmiešek.

– Ja mam jej powiedzieć czy ty chcesz? – zapytała Inge.

Trude, wyraźnie dając do zrozumienia, że ustępuje młodszej kobiecie, odparła:

– Ty powiedz, Inge. Zasłużyłaś na to. Ale, Fiono – odwróciła się do nas – nie rozgaduj tego jeszcze wśród ludzi. Chcemy to ogłosić dopiero wieczorem, jako niespodziankę. Czyżbyśmy cię nie powiadomiły? No to już teraz wiesz. Przyjdź, jeśli masz trochę czasu. Ale ponieważ gościsz u siebie przyjaciela – kiwnęła głową w moją stronę – wcale się nie zdziwimy, jeśli cię nie będzie. A teraz, Inge, opowiedz, jak było, naprawdę na to zasłużyłaś.

– No cóż, Fiono, na pewno cię to zaciekawia, miałyśmy niesamowity dzień. Jak wiesz, pan von Braun zaprosił nas dziś do swojego biura, aby osobiście omówić z nami plany co do opieki nad rodzicami pana Rydera. Och, nie wiedziałaś? Myślałam, że wszystkie o tym wiedziałyście. Wieczorem zrelacjonujemy to spotkanie ze szczegółami, teraz powiem tylko tyle, że było naprawdę niezwykle udane, chociaż musiało się skończyć trochę wcześniej. O, pan von Braun bardzo nas przepraszał, że musi wyjść wcześniej, już chyba nie mógł zrobić tego grzeczniej, prawda, Trude? A kiedy wyłuszczył nam powody, nie mogłyśmy nie docenić ich wagi. Widzisz, zorganizowano bardzo ważną wycieczkę do zoo. Możesz się z tego śmiać, Fiono, ale to nie była zwyczajna wycieczka do zoo. Oficjalna delegacja, w której układ naturalnie wszedł pan von Braun, miała zabrać tam pana Brodsky'ego. Wiesz, że pan Brodsky jeszcze nigdy nie był w zoo? Ale tak naprawdę chodziło o co innego. Otóż panna Collins dała się przekonać, żeby się tam zjawić. Tak, w zoo! Czy możesz to sobie wyobrazić? Po tych wszystkich latach! Od razu stwierdziłyśmy, że pan Brodsky na to zasługuje, jeśli nie na więcej. Tak, miała tam być panna Collins, obiecała na nich czekać w umówionym miejscu. Oficjalna delegacja miała się na nią natknąć, ją zaś poproszono, by zamieniła z panem Brodskym kilka słów. Tak to wszystko zaaranżowano. Czy możesz to sobie wyobrazić? Mieli się spotkać i porozmawiać... po tym wszystkim, co było! Powiedziałyśmy, że doskonale rozumiemy powody, dla których nasze spotkanie musi zostać przerwane, ale pan von Braun był dla nas bardzo miły, najwyraźniej dręczyły go wyrzuty durnienia. Powiedział: „Może panie również pójdą do zoo? Nie mogę włączyć pań do oficjalnej delegacji, ale chociaż popatrzą panie z pewnej odległości”. Odparłyśmy, że byłoby cudownie. Wtedy on dodał: „Jeśli posłuchają panie mojej rady, nie tylko będą panie świadkami pierwszego spotkania pana Brodsky'ego z żoną po wielu latach, ale też...”, zawiesił głos, prawda, Trude? Zawiesił głos, po czym dokończył z wielkim spokojem: „... ale też zobaczą panie z bliska pana

Rydera, który łaskawie zgodził się wejść w skład oficjalnej delegacji. Jeśli zaś nadarzy się sposobność, choć nie mogę tego obiecać, przywołam panie i przedstawię panu Ryderowi”. Byłyśmy wniebowzięte! Ale gdy przemyślałyśmy to sobie w drodze powrotnej... właśnie o tym rozmawiałyśmy... doszłyśmy do wniosku, że jeśli się głębiej zastanowić, właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Przecież w ciągu ostatnich lat poczyniłyśmy ogromne postępy, o czym świadczy choćby przygotowanie przez nas chorągiewek na powitanie grupy z Pekinu i kanapek na lunch wydany dla Henriego Ledoux...

– Punktem zwrotnym był tu Balet Pekijski – wtrąciła Trude.

– Tak, to był punkt zwrotny. Sądzę jednak, że jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiałyśmy, po prostu robiłyśmy swoje, nawet nie zdając sobie sprawy, jak szybko nasz prestiż rośnie w ludzkich oczach. Prawda jest taka, powiedzmy sobie szczerze, że stanowimy teraz bardzo ważną część życia tego miasta. Pora przyjąć to do wiadomości. Dlatego właśnie pan von Braun zaprasza nas osobiście do swojego biura, dlatego na koniec proponuje to, co nam dziś zaproponował. „Jeśli nadarzy się dogodna sposobność, przedstawię panie panu Ryderowi”. Tak powiedział, prawda, Trude? „Jestem pewien, że pan Ryder chętnie panie pozna, zwłaszcza że to panie będą się opiekowały jego rodzicami, do czego przywiązuje on ogromną wagę”. Właściwie od początku mówiłyśmy, że skoro powierzono nam to zadanie, mamy spore szanse poznać pana Rydera osobiście. Nie spodziewałyśmy się jednak, że nastąpi to tak szybko, więc byłyśmy bardzo przejęte. Coś nie tak, Fiono, moja droga?

Od dłuższego czasu Fiona wierciła się niecierpliwie obok mnie, usiłując przerwać ten potok słów. Teraz, gdy Inge zrobiła pauzę, Fiona trąciła mnie łokciem i spojrzała wymownie, jakby chciała powiedzieć: „Teraz! Oto właściwy moment!”. Niestety, zadyszka po wspinaczce przez wiele pięter schodów nie całkiem jeszcze ustąpiła i prawdopodobnie to właśnie sprawiło, że się zawahałem. W każdym razie przez chwilę panowało dość niezręczne milczenie, podczas którego wszystkie trzy wpatrywały się we mnie. Ponieważ jednak się nie odzywałem, Inge ciągnęła:

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Fiono, to dokończę. Na pewno i ty masz wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia i chętnie cię wysłuchamy. Bez wątpienia spędziłaś kolejny interesujący dzień w tramwajach, podczas gdy my byłyśmy w centrum, robiąc to wszystko, o czym ci właśnie opowiadam, ale jeśli wstrzymasz się jeszcze chwilę, możesz usłyszeć coś, co cię zacieka. Ostatecznie – w tym miejscu złośliwość w jej głosie przekroczyła moim zdaniem granice dobrego tonu – dotyczy to twojego starego przyjaciela, pana Rydera...

– Ależ Inge... – wtrąciła Trude, ale w kąciakach jej ust czaił się uśmiech. Kobiety

wymieniły szybkie, drwiące spojrzenia.

Fiona znowu trąciła mnie łokciem. Widziałem, że jej cierpliwość się wyczerpała i pragnie, aby na jej oprawczynię natychmiast spadła zasłużona kara. Pochyliłem się, odchrząknąłem, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, Inge znów zaczęła:

– Jak mówiłam, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, w pełni zasługujemy na takie względy. W każdym razie tak uważa pan von Braun. Przez cały czas był dla nas bardzo miły i grzeczny, prawda? Długo nas przeproszał, kiedy musiał się udać do ratusza, żeby dołączyć do oficjalnej delegacji. „Będziemy w zoo mniej więcej za pół godziny”, mówił. „Mam nadzieję, że panie też się tam zjawią”. Powiedział, że nic się nie stanie, jeśli zbliżymy się do oficjalnej delegacji na pięć, sześć metrów. Bądź co bądź, nie jesteśmy zupełnie przypadkowymi osobami! Och, wybacz Fiono, bynajmniej nie zapomnieliśmy, zamierzałyśmy napomknąć panu von Braunowi, że jedna z naszych członkiń... tak, właśnie ty, moja droga... że jedna z nas jest bardzo bliską przyjaciółką pana Rydera, bardzo drogą i wieloletnią przyjaciółką. Miałyśmy szczerzy zamiar o tym wspomnieć, ale jakoś nie było okazji, prawda, Trude?

Kobiety znów wymieniły drwiące spojrzenia. Fiona wpatrywała się w nie z głuchą wściekłością. Uznałem, że tego już za wiele, i postanowiłem się włączyć, natychmiast jednak stanąłem przed alternatywą. Mogłem wyjawić swoją tożsamość za pomocą uwagi, która elegancko wpasowałaby się w opowieść Inge, na przykład wtrącić spokojnie: „Cóż, nie mieliśmy przyjemności spotkać się w zoo, ale jakież to ma znaczenie, skoro teraz spotykamy się w pani mieszkaniu?” albo coś w tym rodzaju. Ale mogłem też wstać nagle, być może wyciągając ręce w dramatycznym geście, i oświadczyć wprost: „To ja jestem Ryder!”. Naturalnie chciałem wybrać tę wersję, która wywołałaby większy efekt, ale wystarczyła chwila wahania, bym znów stracił okazję, jako że Inge podjęła swoją opowieść.

– Pojechaliśmy do zoo i czekałyśmy... ho, ho... jakieś dwadzieścia minut, prawda, Trude? Czekaliśmy przy tym stoisku, gdzie można się napić kawy. Mniej więcej po dwudziestu minutach zobaczyłyśmy, jak przed bramę zajeżdżają samochody i wysiada z nich cała dostojna delegacja. Było ich około dziesięciu albo jedenastu, sami mężczyźni, między innymi pan von Winterstein, pan Fischer i pan Hoffman. No i oczywiście pan von Braun. Pośród nich stał pan Brodsky i wyglądał bardzo dostojnie, prawda, Trude? Zupełnie inaczej niż kiedyś. Naturalnie od razu poszukałyśmy wzrokiem pana Rydera, ale go nie było. Przyjrzałyśmy się wszystkim, twarz po twarzy, ale nie zauważyłyśmy nikogo oprócz radnych miejskich, choć przez chwilę wydawało nam się, że pan Ryder wysiada z samochodu, ale to był pan Reitmayer. Tak więc pana Rydera z nimi nie było i doszłyśmy do wniosku, że prawdopodobnie zatrzymują go inne ważne zajęcia i zjawi się trochę później. Wszyscy ci

panowie przeszli obok nas ścieżką, każdy w czarnym płaszczu, z wyjątkiem pana Brodsky'ego, który miał na sobie szary płaszcz oraz odpowiednio dobrany kapelusz i wyglądał bardzo dostojnie. Niespiesznym krokiem podeszli do klonów, gdzie stoją pierwsze klatki. Pan Winterstein pełnił obowiązki gospodarza, oprowadzając pana Brodsky'ego i pokazując mu zwierzęta. Ale nikt nie zwracał uwagi na zwierzęta, wszyscy bowiem byli przejęci mającym nastąpić spotkaniem pana Brodsky'ego z panną Collins. Nie mogliśmy ustać na miejscu, prawda, Trude? Przeszliśmy do głównego zbiegu alejek, a tam, proszę, przed wybiegiem dla żyraf stoi panna Collins, zupełnie sama, zapatrzona w te żyrafy. W pobliżu kręciło się jeszcze kilka innych osób, które oczywiście nie miały o niczym zielonego pojęcia, dopiero gdy zza rogu wyłoniła się oficjalna delegacja, ludzie zorientowali się, że coś się dzieje, i taktownie usunęli się na bok. Panna Collins wciąż stała przed żyrafami... nigdy nie wydawała się równie samotna... i zerknęła na oficjalną delegację, która powoli zmierzała w jej stronę. Była bardzo spokojna, w ogóle nie dawała po sobie poznać, co dzieje się w jej wnętrzu. Pan Brodsky zaś... widzieliśmy jego minę, bardzo spięty... rzucał ukradkowe spojrzenia w stronę panny Collins, choć wciąż dzieliła ich spora odległość; do obejrzenia zostały jeszcze małpy i szopy. Zdawało się, że pan Winterstein przedstawia panu Brodsky'emu każde zwierzę z osobna, zupełnie jakby zwierzęta były oficjalnymi gośćmi na jakim przyjęciu, prawda, Trude? Zastanawialiśmy się, dlaczego panowie nie mogą przejść od razu do żyraf i panny Collins, ale widocznie tak ustalono. To było takie pasjonujące, takie wzruszające; na chwilę zapomnieliśmy nawet o tym, że może przyjechać pan Ryder. W powietrzu widać było parujący oddech pana Brodsky'ego, pozostałych panów również, a kiedy do obejrzenia zostało już tylko kilka klatek, pan Brodsky stracił resztki zainteresowania zwierzętami i zdjął kapelusz. To był bardzo staroświecki, szarmancki gest, Fiono. Czuliśmy się uprzywilejowane, że mogliśmy to zobaczyć.

– Ten gest mówił tak wiele – wtrąciła Trude. – I tak samo potem, gdy przycisnął kapelusz do piersi. To było jak jednoczesne wyznanie miłości i przeprosiny. Bardzo wzruszające.

– Dziękuję ci, Trude, ale pozwól, że będę mówiła dalej. Panna Collins jest taka elegancka, z daleka nikt by nie odgadł, ile ma lat. Taka młodzieńcza figura. Kiedy dzieliła ich już tylko jedna klatka, odwróciła się do pana Brodsky'ego z wielką swobodą. Wszystkie przypadkowe osoby zdążyły się już do tego czasu wycofać, a Trude i ja pamiętałyśmy słowa pana von Brauna, pięć metrów, więc ostrożnie się zbliżyliśmy, ale to był taki intymny moment, że nie śmiałyśmy podchodzić za blisko. Najpierw skłonili się sobie lekko i wymienili jakieś bardzo zwyczajne pozdrowienia. Potem pan Brodsky postąpił nagle parę

kroków do przodu i wyciągnął rękę, dość szybko, jakby wcześniej to sobie zaplanował. Trude odniosła wrażenie, że...

– Tak, że przez kilka dni ćwiczył ten gest na osobności...

– W istocie, tak to wyglądało, zgadzam się. Właśnie tak. Wyciągnął rękę, chwycił jej dłoń i musnął ustami, a potem wypuścił. Panna Collins zaś skłoniła się z gracją i zaraz potem przeniosła wzrok na pozostałych panów, pozdrawiając ich z uśmiechem, ale stałyśmy za daleko, żeby usłyszeć, co do siebie mówili. Stali tak przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co dalej. Potem pan von Winterstein przejął inicjatywę i zaczął mówić coś o żyrafach, zwracając się do pana Brodsky’ego i panny Collins, jakby stanowili parę, prawda, Trude? Jakby byli starszym małżeństwem, które wybrało się razem do zoo. Po tych wszystkich latach pan Brodsky i panna Collins stali obok siebie, nie dotykali się, po prostu stali obok siebie, przyglądając się żyrafom i słuchając pana von Wintersteina. Trwało to dobrą chwilę, a w tym czasie pozostali panowie naradzali się szeptem, co należy robić dalej. A potem stopniowo, nie wiedząc kiedy, panowie dyskretnie usunęli się na bok, bardzo taktownie, wszyscy udawali, że rozmawiają, i oddalali się po troszeczkę, tak że w końcu przed żyrafami zostali tylko pan Brodsky i panna Collins. Oczywiście przyglądałyśmy się teraz bardzo uważnie, inni na pewno też, choć naturalnie wszyscy udawali, że patrzą gdzie indziej. Pan Brodsky odwrócił się z wdziękiem do panny Collins, wyciągnął rękę w stronę wybiegu dla żyraf i coś powiedział. Musiało to być płynące z głębi serca wyznanie, bo panna Collins pochyliła nieznacznie głowę, nawet ona nie mogła opanować wzruszenia, pan Brodsky zaś mówił dalej, od czasu do czasu unosząc rękę, o, tak, bardzo łagodnie, w kierunku żyraf. Nie wiedziałyśmy, czy mówi o żyrafach, czy o czym innym, w każdym razie co chwila wyciągał rękę ku wybiegowi. Panna Collins wydawała się bardzo poruszona, ale to dama z klasą, wyprostowała się i uśmiechnęła, po czym podeszli razem do pozostałych panów, którzy byli zajęci rozmową. Panna Collins zamieniła z nimi parę słów, bardzo miłych i uprzejmych, dłuższą chwilę rozmawiała z panem Fischerem, po czym pożegnała się z każdym z osobna i skinęła głową panu Brodsky’emu, który stał jakby we śnie, z wyrazem szczęścia na twarzy, przyciskając kapelusz do piersi. A potem ruszyła ścieżką, w stronę kawiarenki, minęła fontannę i zniknęła za wybiegiem dla białych niedźwiedzi. Kiedy odeszła, panowie przestali dbać o pozory i skupili się wokół pana Brodsky’ego. Wszyscy byli bardzo zadowoleni i ożywieni i gratulowali mu. Ile byśmy dały, żeby wiedzieć, co pan Brodsky powiedział panie Collins! Może zbyt późno, może zbyt daleko, może trzeba było podejść bliżej, może dotarłyby do nas choćby pojedyncze słowa. Ale przy naszej obecnej pozycji musimy zachowywać większą ostrożność. W każdym razie to było wspaniałe przeżycie. I te drzewa w zoo, o tej porze roku są takie piękne. Jakże chciałabym wiedzieć, co

też sobie powiedzieli. Trude uważa, że teraz na pewno do siebie wrócą. Czy wiesz, że nigdy się nie rozwiedli? Ciekawe, prawda? Choć minęło tyle lat, a panna Collins wróciła do swojego rodzowego nazwiska, formalnie nigdy się nie rozwiedli. Pan Brodsky zasługuje na powrót do jej łask. Ale, ale, z tego przejęcia nie wspomniałam jeszcze o sprawie zasadniczej, to jest o panu Ryderze! Widzisz, ponieważ pana Rydera nie było wśród członków oficjalnej delegacji, uznałyśmy, że nie wypada nam podchodzić, choć panna Collins opuściła już towarzystwo. Pan Braun wyraźnie zaznaczył, że możemy podejść, aby poznać pana Rydera. W każdym razie, choć nie spuszczałyśmy oczu z pana von Brauna, a czasem byłyśmy dość blisko niego, ani razu na nas nie spojrzął, prawdopodobnie całą uwagę poświęcał panu Brodsky'emu. Nie śmiałyśmy więc się zbliżyć. Ale potem, kiedy opuszczali zoo i mieli właśnie wyjść za bramę, zatrzymali się i dołączył do nich jakiś mężczyzna. Byli już tak daleko, że nie widziałyśmy go dokładnie, ale Trude dałaby sobie rękę uciąć, że to był pan Ryder... z daleka widzi lepiej niż ja, a w dodatku nie miałam szkieł kontaktowych. Właściwie byłaś tego pewna, prawda? Trude była pewna, że to był on, że bardzo taktownie trzymał się z daleka, aby nie przeszkadzać w spotkaniu pana Brodsky'ego z panną Collins, i że teraz znów dołączył do towarzystwa. Z początku myślałam, że to był pan Braunthal, ale nie miałam szkieł kontaktowych, a Trude była pewna, że to pan Ryder. Zresztą po namyśle ja także dochodzę do wniosku, że zapewne był to właśnie pan Ryder. A więc straciłyśmy okazję, by poznać go osobiście! Ale byli już bardzo daleko, przy bramie, a szoferzy otwierali drzwi samochodów. Nawet gdybyśmy puściły się biegiem, i tak byśmy nie zdążyły. Więc ściśle biorąc, nie poznałyśmy pana Rydera. Ale Trude i ja właśnie to omawiałyśmy i obie jesteśmy zdania, że w pewnym sensie, można tak powiedzieć, właściwie go poznałyśmy, to jest w takim sensie, który się naprawdę liczy. Bądź co bądź, gdyby poszedł razem z innymi, z całą pewnością zaraz po odejściu panny Collins, tam pod wybiegiem dla żyraf, pan von Braun nie omieszkałby nas przedstawić. To przecież nie nasza wina, nie mogłyśmy przewidzieć, że pan Ryder okaże tak wiele taktu, że zostanie przy bramie. Najważniejsze, że byłoby stosownie nas przedstawić, to nie ulega kwestii. W każdym razie na pewno uważał tak pan von Braun; zważywszy na naszą obecną pozycję, bez wątpienia byłoby stosownie nas przedstawić. I wiesz co, Trude – odwróciła się do przyjaciółki – teraz, po namyśle, zgadzam się z tobą. I dziś na spotkaniu mamy prawo ogłosić, że go poznałyśmy. Masz rację, będzie to bliższe prawdy, niż powiedzieć, że nie. Wieczorem mamy tyle pracy, nie będzie czasu, żeby wyjaśniać wszystko od początku. O tym, że nie zostałyśmy mu oficjalnie przedstawione, zdecydowała zwykła igraszka losu. W gruncie rzeczy poznałyśmy go. Jeśli jeszcze o nas nie słyszał, to na pewno wkrótce usłyszy, bez wątpienia będzie chciał wiedzieć, kto i jak

zaopiekuje się jego rodzicami. To tak, jakbyśmy poznały go osobiście, masz rację, nie byłoby w porządku, gdyby ludzie myśleli inaczej. Och, przepraszam. – Inge odwróciła się nagle do Fiony. – Zapomniałam, że rozmawiam ze starą przyjaciółką pana Rydera. Na takiej starej przyjaciółce wszystko to nie robi pewnie większego wrażenia...

– Ależ Inge, biedna Fiona jest bardzo zmieszana. Nie dokuczaj jej – powiedziała Trude i zwróciła się z uśmiechem do Fiony: – Wszystko w porządku, moja droga, nie przejmuj się.

Kiedy Trude mówiła te słowa, opadły mnie wspomnienia serdecznej przyjaźni, która łączyła mnie z Fioną w dzieciństwie. Przypomniałem sobie białą chatkę, w której mieszkała, zaledwie parę kroków ode mnie, przy tej samej błotnistej drodze w Worcestershire, i jak całymi godzinami bawiliśmy się pod stołem jadalnym jej rodziców. Przypomniało mi się, jak chodziłem do jej domu oszołomiony i zdenerwowany i jak umiejętnie potrafiła mnie pocieszyć, tak że szybko zapomniałem o przyczynie zdenerwowania. Na myśl, że tę ceną przyjaźń wyśmiewa się teraz w mojej obecności, wpadłem w furię i choć Inge znów zaczęła mówić, uznałem, że nie mogę pozwolić, by sytuacja ta trwała bez przeszkód. Aby znów nie utknąć w martwym punkcie, pochyliłem się stanowczo, zamierzając przerwać Inge i bezpardonowo oświadczyć, kim jestem, a potem opaść z powrotem na oparcie i obserwować efekty mojej interwencji. Niestety, choć starałem się, jak mogłem, z mojej piersi wydobyło się jedynie lekko zduszone chrząknięcie, wystarczająco jednak głośne, by Inge zawiesiła głos. Wszystkie trzy zwróciły na mnie oczy. Po chwili niezręcznego milczenia Fiona, zapewne chcąc zatuszować moje zmieszanie – być może na krótką chwilę ożyła w niej dawna opiekuńczość wobec mnie – wybuchnęła:

– Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak głupio teraz wyglądacie! Wiecie dlaczego? Nie, ani by wam przez myśl nie przeszło, idiotki, nawet nie przypuszczacie, jak głupio, jak niesłychanie śmiesznie teraz wyglądacie! To takie typowe dla was obu. Och, zawsze chciałam wam to powiedzieć, od kiedy was poznałam, teraz się przekonacie, same oceńcie, jakie z was kretynki. Patrzcie!

Fiona gwałtownie zwróciła głowę w moją stronę. Inge i Trude spojrzały na mnie, wciąż oniemiałe z osłupienia. Powtórnie zebrałem się w sobie i spróbowałem wypowiedzieć swoje nazwisko, ale ku mojej konsternacji i tym razem stać mnie było tylko na chrząknięcie, głośniejsze niż poprzednio, ale równie nieartykułowane. Wziąłem głęboki wdech, czując, że zaczyna mnie ogarniać panika, i spróbowałem jeszcze raz, dobywając z piersi kolejne, tym razem nieco dłuższe stęknięcie.

– Co ona mówi, Trude? – zapytała Inge. – Dlaczego ta suka mówi do nas w ten

sposób? Jak ona śmie? Co ją ugryzło?

– To moja wina – powiedziała Trude. – Popełniłam błąd. To był mój pomysł, żeby ją przyjąć do naszej grupy. Dobrze chociaż, że zrzuciła maskę jeszcze przed przyjazdem rodziców pana Rydera. Jest zazdrosna, ot co. Zazdrości nam, że poznałyśmy dzisiaj pana Rydera, podczas gdy jej nie pozostaje nic innego, jak wymyślać te swoje żalose historyjki...

– Poznałyście go? – nie wytrzymała Fiona. – Przecież same przed chwilą mówiłyście, że nie...

– Dobrze wiesz, że to tak samo, jakbyśmy go poznały! Prawda, Trude? Mamy pełne prawo twierdzić, że go znamy. Musisz się z tym pogodzić, Fiono...

– W takim razie – głos Fiony oscylował na granicy wrzasku – zobaczmy, jak pogodzicie się z tym! – Wyrzuciła ręce w moją stronę, jakby zapowiadała pełne dramatyizmu wejście sceniczne. Ponownie zebrałem wszystkie siły. Tym razem, prawdopodobnie pod wpływem narastającego gniewu i frustracji, dobyteń z piersi dźwięk o tak wielkim natężeniu, że aż sofa się pod nami zatrzęsła.

– Co się dzieje z twoim przyjacielem? – zapytała Inge, nagle zwracając na mnie uwagę. Za to Trude nie raczyła mnie nawet zauważyć.

– Jak ja dałam się zwieść – mówiła gorzkim tonem do Fiony. – Od razu powinnam się domyślić, że jesteś małą kłamczuchą. A my pozwoliłyśmy naszym dzieciom bawić się z tymi twoimi bachorami! To pewnie takie same kłamczuchy jak ty, prawdopodobnie nauczyły już nasze dzieci kłamać. To twoje wczorajsze przyjęcie, śmiechu warte! Tak bezsensownie przystroić mieszkanie! Cały rano się z tego śmiałyśmy...

– Czemu nic nie mówisz? – Fiona po raz pierwszy zwróciła się bezpośrednio do mnie. – Co z tobą, czemu im nie powiesz?

W rzeczywistości przez cały czas czyniłem rozpaczliwe wysiłki, żeby się odezwać. Teraz zaś, akurat gdy Fiona odwróciła się w moją stronę, dostrzegłem swoje odbicie w lustrze wiszącym na ścianie naprzeciwko. Zobaczyłem swoją buraczkową twarz, rysy stężale na kształt świńskiego ryja i zaciśnięte na wysokości klatki piersiowej pięści, które drżały wraz z całym tułowiem. Widok ten zupełnie mnie obezwładnił. Straciwszy resztki otuchy, opadłem w róg sofy, ciężko dysząc.

– Chyba już czas, droga Fiono – mówiła Inge – żebyście sobie poszli, ty i ten twój... ten twój przyjaciel. Nie sądzę, by twoja obecność na wieczornym spotkaniu była konieczna.

– Wykluczone! – krzyknęła Trude. – Teraz spoczywają na nas ważne obowiązki. Nie możemy sobie pozwolić, by wśród nas kręciły się takie ptaszki z podciętymi skrzydełkami. Przestałyśmy być grupą ochotniczek. Stoją przed nami odpowiedzialne zadania, a kto do nich

nie dorasta, musi sobie poszukać miejsca gdzie indziej.

Fiona spojrzała na mnie z wyrzutem, w jej oczach błyszczały łzy. Byłem gotów podjąć jeszcze jedną próbę ujawnienia swojej tożsamości, ale kiedy przypomniałem sobie postać w lustrze, odechciało mi się. Wstałem i chwiejnie ruszyłem w stronę wyjścia. Wciąż jeszcze brakowało mi tchu od nadmiernego wysiłku i kiedy stanąłem w drzwiach, musiałem się na chwilę oprzeć o framugę. Za plecami słyszałem ożywione głosy Inge i Trude. W pewnej chwili Inge powiedziała:

– I w dodatku przyprowadziła tę odrażającą osobę!

Nie bez wysiłku przemierzyłem pośpiesznie mały przedpokój i powalczywszy chwilę z zamkami u drzwi wejściowych, zdołałem się wydostać na korytarz. Niemal od razu poczułem się lepiej i już spokojniej ruszyłem w stronę schodów.

# Rozdział 17

Schodząc na coraz niższe piętra budynku, spojrzałem na zegarek, aby stwierdzić, że już najwyższy czas ruszać do Galerii Karwinsky’ego. Naturalnie odczuwałem niemałe wyrzuty sumienia, zostawiając wszystko w takim stanie rzeczy, ale w tym momencie najważniejsze było dla mnie, aby punktualnie zjawić się na ważnym przyjęciu. Niemniej postanowiłem zająć się problemami Fiony w stosunkowo niedalekiej przyszłości.

Kiedy wreszcie zszedłem na parter, rzucił mi się w oczy umieszczony na ścianie znak z napisem „Parking”, zaopatrzony w strzałkę. Minąłem kilka pomieszczeń magazynowych i wyszedłem na zewnątrz.

Znalazłem się na tyłach bloków, po przeciwnej stronie niż ta, z której leżało sztuczne jezioro. Wieczne słońce chyliło się ku ziemi. Przede mną rozpościerała się połać zieleni, która stopniowo opadała, ginąc w oddali. Parking, przy którym stałem, był ogrodzonym kawałkiem trawnika i wyglądał jak zagroda dla bydła na amerykańskim ranczu. Na podłożu nie wylano betonu, więc koła samochodów starły trawę niemal do gołej ziemi. Parking mógł pomieścić około pięćdziesięciu samochodów, teraz jednak stało ich tylko siedem czy osiem, zaparkowanych w pewnych odstępach jeden od drugiego. W ich karoseriach odbijało się zachodzące słońce. Z tyłu parkingu dostrzegłem krępa kobietę i Borisa, którzy ładowali kartony do bagażnika furgonetki. Zbliżywszy się, zauważyłem, że Sophie siedzi z przodu na miejscu dla pasażera i patrzy tępo przez szybę na zachód słońca.

Kiedy do nich podszedłem, krępa kobieta zamykała właśnie bagażnik.

– Przepraszam – powiedziałem do niej. – Nie przypuszczałem, że tyle tego było. Pomógłbym wam ładować, gdyby nie...

– W porządku. Ten tutaj dzielnie służył mi pomocą. – Krępa kobieta zmierzwiła włosy na głowie Borisa, po czym zwróciła się do niego: – Więc masz się nie przejmować, rozumiesz? Czeka was wspaniały wieczór. Naprawdę. Przygotowała wszystkie twoje ulubione potrawy.

Pochyliła się i uściśniła Borisa, aby dodać mu otuchy, ale chłopiec stał jakby pogrążony we śnie i patrzył w dal. Krępa kobieta podała mi kluczyki.

– Benzyny na pewno starczy. Prowadź ostrożnie.

Podziękowałem jej i popatrzyłem, jak odchodzi w stronę bloków. Kiedy odwróciłem

się do Borisa, stał ze wzrokiem utkwionym w zachód słońca. Dotknąłem jego ramienia i poprowadziłem go do drzwi po drugiej stronie. Bez słowa wdrapał się na tylne siedzenie.

Widocznie zachód słońca miał jakąś hipnotyczną moc oddziaływania, kiedy bowiem usiadłem za kierownicą, Sophie również patrzyła w dal. Wyglądało na to, że nie zauważa mojej obecności, dopiero po chwili, gdy zapoznawałem się z kontrolkami, powiedziała cicho:

– Nie możemy pozwolić, żeby sprawa domu zatrzymała nam życie. Nie wiadomo, kiedy znów będziesz z nami. Z domem czy bez, musimy zacząć robić wszystko razem. Doszłam do tego rano w autobusie. Nawet w tym mieszkaniu. Pomimo kuchni.

– Tak, tak – odparłem i włożyłem kluczyk do stacyjki. – Ale powiedz mi, czy znasz drogę do Galerii Karwinsky’ego?

Pytanie to wyrwało Sophie z jej niby-transu.

– Ojej – powiedziała, przykładając dłonie do ust, jakby właśnie sobie o czymś przypomniała. – Z centrum pewnie bym wiedziała, jak tam dojechać, ale stąd... nie jestem pewna...

Westchnąłem ciężko. Czułem, że lada moment sytuacja znów może się wymknąć spod kontroli, i po raz kolejny odezwała się we mnie ta sama co wcześniej złość na Sophie za zamęt, jaki wprowadziła do mojego życia. Wtedy usłyszałem, jak mówi pogodnym tonem:

– Zapytajmy stróża, może będzie wiedział.

Wskazywała w kierunku wjazdu, gdzie stała drewniana budka, wewnątrz której widoczny był od pasa w górę mężczyzna w uniformie.

– Dobrze – powiedziałem. – Pójdę zapytać.

Wysiadłem i ruszyłem w stronę budki, przed którą zatrzymał się właśnie jakiś samochód na chwilę przed opuszczeniem parkingu. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że stróż – gruby, łysy mężczyzna – wychyla się przez swoje okienko, dobreduszenie się uśmiecha i gestykuje w stronę kierowcy. Rozmowa ta trwała dobrą chwilę i już byłem zdecydowany im przerwać, gdy w końcu samochód ruszył. Ale stróż wciąż nie odrywał od niego wzroku, obserwując, jak auto odjeżdża długą, okrężną drogą wzdłuż osiedla. On również zdawał się pochłonięty widokiem zachodzącego słońca i choć odchrząknąłem tuż pod jego okienkiem, wciąż odprowadzał pojazd wzrokiem. Wreszcie burknąłem:

– Dobry wieczór.

Zażywny mężczyzna drgnął, spojrział na mnie ze swojej wysokiej budki i odparł:

– Och, dobry wieczór panu.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziałem – ale trochę nam się spieszy. Chcemy dojechać do Galerii Karwinsky’ego, lecz jako przyjezdny nie bardzo wiem, jaka jest

najkrótsza droga.

– Galeria Karwinsky’ego. – Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę. – Prawdę mówiąc, to nie takie łatwe. Wydaje mi się, że najprościej będzie, jeśli pojedzie pan za tym panem, który dopiero co odjechał. W tamtym czerwonym samochodzie. – Wskazał ręką w dal. – Tak się szczęśliwie składa, że tamten pan mieszka bardzo blisko Galerii Karwinsky’ego. Naturalnie mógłbym spróbować to panu wytłumaczyć, ale musiałbym najpierw sam się nad tym zastanowić, przypomnieć sobie te wszystkie zakręty, zwłaszcza pod koniec, kiedy zjeżdża się z drogi głównej i trzeba kluczyć pośród pól. Będzie o wiele prościej, jeśli pojedzie pan za tym dżentelmenem w czerwonym samochodzie. Jeśli się nie mylę, mieszka on o dwa, trzy zakręty od Galerii Karwinsky’ego. To bardzo przyjemna okolica, bardzo podoba się temu panu, jego żonie i dzieciom. To już tereny wiejskie. Powiedział mi, że ma ładny domek, z kurami na podwórzu od tyłu i jabłonią. Bardzo miłe miejsce na galerię sztuki, mimo że trochę nie po drodze. Naprawdę warto się tam przejechać. Ten pan w czerwonym samochodzie mówi, że za nic nie chciałby się przeprowadzić, chociaż codziennie musi dojeżdżać aż tu, do osiedla. Pracuje w bloku administracyjnym. – Mężczyzna wychylił się nagle przez okienko i wskazał jakieś okna za nami. – O, tam. Nie wszystkie pomieszczenia są mieszkalne, o nie. Żeby utrzymać osiedle tej wielkości, niezbędna jest masa papierkowej roboty. Ten pan w czerwonym samochodzie pracuje tu od dnia, gdy rozpoczęła budowę kompania wodna. Obecnie nadzoruje wszystkie prace remontowe na osiedlu. Ma sporo pracy, a do tego musi dzień w dzień dojeżdżać, ale mówi, że za nic nie chciałby przeprowadzić się bliżej. Zresztą doskonale go rozumiem, tam jest bardzo ładnie. Ale ja tu gadu-gadu, a panu na pewno się spieszy. Proszę wybaczyć. Jak mówiłem, niech pan po prostu jedzie za tym czerwonym samochodem, tak będzie najprościej. Galeria Karwinsky’ego na pewno się panu spodoba. To bardzo ładna okolica, a i sama galeria, z tego, co słyszę, ma parę pięknych obiektów.

Podziękowałem mu lakonicznie i wróciłem do samochodu. Kiedy wsiadałem, Sophie i Boris znów gapili się na zachód słońca. Nic nie mówiąc, włączyłem silnik. Dopiero gdy minęliśmy drewnianą budkę – pomachałem stróżowi na pożegnanie – Sophie zapytała:

– Już wiesz?

– Tak. Musimy po prostu trzymać się tego czerwonego samochodu, który przed chwilą odjechał.

Przy tych słowach zdałem sobie sprawę, że wciąż jestem na nią zły, ale nic więcej nie rzekłem i wyjechałem na okrążającą osiedle drogę.

Kiedy mijaliśmy blok po bloku, w niezliczonych oknach połyskiwało gasnące słońce.

Potem osiedle znikło i wyjechaliśmy na główną drogę, z obu stron otoczoną lasem jodłowym. Droga była niemal zupełnie pusta i dobrze widoczna, więc bez trudu dostrzegłem czerwony samochód – odległy punkcik – który jechał z przeciętną prędkością. Ponieważ prawie nie było ruchu, uznałem, że nie ma potrzeby trzymać się tuż za nim, więc i ja zwolniłem, zachowując stosowny odstęp. Przez cały ten czas Sophie i Boris milczeli z wyrazem rozmarzenia na twarzy, aż w końcu i ja zacząłem wpadać w nastrój błogiego ukojenia, wpatrując się w słońce, które zachodziło nad opustoszałą szosą.

Po chwili zacząłem bezwiednie odtwarzać w pamięci drugą bramkę zdobytą przez drużynę holenderską w półfinałowym meczu z Włochami kilka lat temu. Był to zdumiewający strzał z daleka, który należał do moich ulubionych wspomnień sportowych, ale teraz, ku swojej irytacji, nie mogłem sobie przypomnieć autora tej bramki. Przez głowę przemknęło mi nazwisko Rosenbrink, zawodnik ten bowiem z całą pewnością grał w tamtym meczu, ale w końcu doszedłem do wniosku, że to nie on strzelił wspomnianego gola. Jeszcze raz ujrzałem, jak piłka szybuje w słońcu, mija osłupiałych włoskich obrońców, płynie dalej i przelatuje przez wyciągnięte ręce bramkarza. Drażniło mnie, że zapomniałem o tym szczególe, i systematycznie przywoływałem na myśl nazwiska wszystkich holenderskich piłkarzy z tamtego okresu, które mogłem sobie przypomnieć. Nagle Boris powiedział do mnie:

- Jedziemy za blisko środka drogi. Zderzymy się.
- Bzdura – odparłem. – Jedziemy dobrze.
- Nieprawda! – Poczulem, że wali w oparcie mojego fotela. – Jedziemy za blisko środka. Jeżeli nadjedzie coś z naprzeciwka, zderzymy się.

Nic nie mówiąc, zjechałem trochę bliżej pobocza. To chyba uspokoiło Borisa, bo na nowo zapadł w milczenie. Potem odezwała się Sophie:

– Wiesz, muszę przyznać, że z początku nie uśmiechało mi się to przyjęcie. Bałam się, że zepsuje nam wieczór. Ale po namyśle, zwłaszcza gdy zdałam sobie sprawę, że nam nie przeszkodzi w kolacji, doszłam do wniosku, że to nawet dobrze. W pewnym sensie właśnie tego nam trzeba. Wiem, że dobrze wypadnę, Boris także. Oboje damy sobie radę, a po powrocie do domu będziemy mieli co uczcić. Będzie to dla nas stosowne zakończenie całego wieczoru.

Zanim zdążyłem się odezwać, Boris znowu krzyknął:

- Jedziemy za blisko środka!
- Nie zjadę na bok ani milimetra więcej – oznajmiłem. – Teraz jedziemy idealnie.
- Może się boi – rzekła cicho Sophie.

- Skądże, wcale się nie boi.
- Boję się! Będziemy mieli poważny wypadek!
- Uspokój się, proszę, Boris. Nic nam nie grozi.

Powiedziałem to dość surowym tonem i Boris umilkł. Po jakimś czasie zauważyłem, że Sophie przygląda mi się z niepokojem. Raz po raz zerkła do tyłu na Borisa, po czym znowu zwracała oczy ku mnie. W końcu się odezwała:

- Może się gdzieś zatrzymamy?
- Zatrzymamy? A po co?
- Zdamy do galerii. Kilka minut nie spowoduje spóźnienia.
- Moim zdaniem najpierw powinniśmy znaleźć to miejsce.

Sophie umilkła. Po kilku minutach znów jednak zwróciła się do mnie:

– Myślę, że powinniśmy się zatrzymać. Napijemy się czegoś, coś przekąsimy. To ci pomoże ochłonać.

– Jak to ochłonać?

– Chcę, żebyś się zatrzymał! – zawołał Boris z tyłu.

– Co to znaczy „ochłonać”?

– Tylko nie zaczynajcie kolejnej kłótni – powiedziała Sophie. – Widzę, że znów się na to zanoszycie. Ale nie dzisiaj. Nie pozwolę na to. Powinniśmy się odprężyć, odpowiednio nastroić.

– Odpowiednio nastroić? Przecież nic nam nie jest.

– Chcę się zatrzymać! Boję się! Mdli mnie!

– Patrz – Sophie wskazała znak przy drodze – zaraz będzie zajazd. Zatrzymajmy się tam, proszę.

– Ależ nie ma potrzeby...

– Zaczynasz się denerwować. A ten wieczór jest taki ważny. Tylko nie dzisiaj.

– Chcę się zatrzymać! Chcę siusiu!

– Słyszysz? Zatrzymaj się, proszę. Naprawmy to, zanim będzie gorzej.

– Co mamy naprawiać?

Sophie nie odpowiadała, tylko wciąż patrzyła niespokojnie na drogę. Przejżdżaliśmy teraz przez teren górzysty. Skończył się las jodłowy i z obu stron wznosiły się urwiste skarpy. Na horyzoncie widać było zajazd, strzelistą konstrukcję, która przypominała statek kosmiczny zbudowany pośród skał. Moja złość na Sophie odżyła z nową mocą, lecz – prawie wbrew sobie – zwolniłem i zjechałem na zewnętrzny pas ruchu.

– W porządku, zatrzymujemy się – odezwała się Sophie do Borisa. – Nie martw się.

– Zaczniemy od tego, że wcale się nie martwił – powiedziałem oziębło, ale Sophie nie zwracała na mnie uwagi.

– Przekąsimy coś – mówiła do chłopca – i zaraz wszyscy poczujemy się lepiej.

Kierując się znakiem, zjechałem z drogi szybkiego ruchu na wąski, stromy podjazd, który wił się serpentyną. Później teren się wyrównał i wjechaliśmy na otwarty parking. Stało tam kilka ciężarówek, jedna przy drugiej, oraz około dziesięciu samochodów osobowych.

Wysiadłem i rozprostowałem ramiona. Obejrzawszy się, zobaczyłem, że Sophie pomaga Borisowi wysiąść z samochodu. Chłopiec przeszedł parę kroków, sprawiając wrażenie dość sennego. Potem, jakby dla strząśnięcia snu, zwrócił twarz ku niebu i zawył jak Tarzan, waląc się przy tym w piersi.

– Przestań! – krzyknąłem.

– Przecież nikomu nie przeszkadza – powiedziała Sophie. – Nikt go nie słyszy.

Istotnie, znajdowaliśmy się na samym szczycie skalnego urwiska, w pewnej odległości od szklanej konstrukcji, w której mieścił się zajazd. Niebo tonęło teraz w głębokiej czerwieni, która odbijała się od budynku. Minąłem ich bez słowa i skierowałem się w stronę wejścia.

– Nikomu nie przeszkadzam! – krzyknął za mną Boris. Znów usłyszałem jego wycie, tym razem przechodzące w jodłowanie. Szedłem dalej, nie oglądając się. Dopiero kiedy dotarłem do wejścia, przystanąłem i poczekałem na nich, przytrzymując ciężkie szklane drzwi.

\* \* \*

Przeszliśmy przez hol z szeregiem automatów telefonicznych i przez następne szklane drzwi weszliśmy do baru. Przywitał nas zapach pieczonego mięsa. W ogromnej sali stały długie rzędy owalnych stolików. Ze wszystkich stron otaczały nas wielkie szyby, przez które było widać rozległe połacie nieba. Gdzieś z daleka, z dołu, dochodziły odgłosy ruchu na autostradzie.

Boris podbiegł do bufetu samoobsługowego i wziął tacę. Poprosiłem Sophie, aby kupiła mi wodę mineralną, i poszedłem wybrać stół. Mimo że było niewielu klientów – zajmowali tylko cztery czy pięć stolików – doszedłem do końca jednego z długich rzędów i usiadłem plecami do chmur.

Po paru minutach w przejściu pojawili się Boris i Sophie, niosąc tace. Usiedli przede mną i zaczęli rozkładać swoje przekąski w osobliwie niemy sposób. Po chwili zauważyłem, jak Sophie od czasu do czasu zerka na Borisa, i domyśliłem się, że przy bufecie próbowała go namówić, żeby mi coś powiedział – coś, co załagodziłoby naszą ostatnią sprzeczkę. Jak dotąd

ani mi przez myśl nie przeszło, że potrzebna jest nam jakakolwiek forma pojednania, i z irytacją obserwowałem niezręczne zabiegi Sophie. Dla rozładowania nastroju rzuciłem jakąś dowcipną uwagę na temat futurystycznego wystroju wnętrza, ale Sophie odpowiedziała coś z roztargnieniem i posłała Borisowi kolejne spojrzenie. Zrobiła to tak niedyskretnie, że równie dobrze mogłaby go trącić łokciem. Boris, co zrozumiałe, wcale się nie kwapił do spełnienia jej prośby i z nadaśnaną miną miętosił w palcach paczkę orzeszków, którą kupił przed chwilą. W końcu wymamrotał, nie podnosząc oczu:

– Czytam książkę po francusku.

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na zachód słońca, miałem jednak świadomość, że Sophie przynagła Borisa, aby coś dodał. W końcu chłopiec rzekł naburmuszonym tonem:

– Przeczytałem całą książkę po francusku.

Odwróciłem się do Sophie i powiedziałem:

– Jeśli o mnie chodzi, francuski nigdy mi nie szedł. Wciąż mam więcej trudności z francuskim niż z japońskim. Poważnie. Łatwiej dogaduję się w Tokio niż w Paryżu.

Sophie, zapewne niezadowolona z tej odpowiedzi, utkwiała we mnie twarde spojrzenie. Rozdrażniony jej natarczywością znów spojrzałem do tyłu na zachód słońca. Po chwili usłyszałem jej głos:

– Ostatnio Boris robi duże postępy w językach.

Ponieważ ani ja, ani Boris nie odpowiadaliśmy, nachyliła się do chłopca, mówiąc:

– Borisie, musisz zadać sobie więcej trudu. Niebawem dojedziemy do galerii. Będą tam tłumy ludzi. Niektórzy mogą się wydawać bardzo ważni, ale nie będziesz się bał, prawda? Mama nie będzie się ich bała i ty też nie. Pokażemy wszystkim, jak świetnie dajemy sobie radę. Wypadniemy bombowo, prawda?

Boris dalej miętosił paczuszkę w palcach. Po chwili jednak podniósł oczy i westchnął.

– Nie martw się – powiedział. – Wiem, co trzeba robić. – Wyprostował się i ciągnął: – Trzeba włożyć jedną rękę do kieszeni, a w drugiej trzymać drinka, o, tak.

Trwał przez chwilę w tej pozycji, przybrawszy wielce wyniosłą minę. Sophie wybuchnęła śmiechem i ja także nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu.

– A kiedy ludzie podchodzą do ciebie – mówił dalej Boris – trzeba powtarzać: „Nadzwyczajne! Nadzwyczajne” albo: „Zdumiewające! Zdumiewające!”. A kiedy się zbliża kelner z tacą pełną różnych rzeczy, robi się tak. – Boris się skrzywił i pokiwał palcem w obie strony.

Sophie nie przestawała się śmiać.

– Będziesz atrakcją wieczoru, Boris!

Boris pojaśniał na twarzy z zadowolenia. Nagle wstał.

– Idę do ubikacji – oznajmił. – Zapomniałem, że chce mi się siusiu. Zaraz wracam.

Jeszcze raz pokazał nam swoje pogardliwe kiwnięcie palcem, po czym oddalił się pospiesznie.

– Czasem bywa zabawny – zauważyłem.

Sophie patrzyła przez ramię na odchodzącego Borisa.

– Tak szybko rośnie – powiedziała. Westchnęła i się zamyśliła. – Już niedługo wydorosłeje. Nie zostało nam zbyt wiele czasu.

Milczałem, czekając na ciąg dalszy. Przez parę sekund siedziała nieruchomo, po czym odwróciła się do mnie i rzekła cicho:

– Tak kończy się jego dzieciństwo. Wkrótce dorośnie, nigdy nie zaznawszy niczego lepszego.

– Mówisz tak, jakby jego życie było koszmarem. Przecież nie jest mu źle.

– Zgoda, nie najgorzej, ale bądź co bądź, to jego dzieciństwo. Wiem, jak powinno wyglądać dzieciństwo, pamiętam czasy, gdy byłam mała, jeszcze przed chorobą mamy. Wszystko układało się tak dobrze. – Znów odwróciła się przodem do mnie, zdawało się jednak, że patrzy nie na mnie, ale na chmury za moimi plecami. – Chcę, żeby miał okazję doświadczyć czegoś podobnego.

– Nie martw się, niedługo wszystko nam się ułoży. Na razie Boris ma się dobrze. Nie musisz się martwić.

– Jesteś taki sam jak inni. – W jej głosie pojawiła się nutka złości. – Zachowujesz się tak, jakby czas stał w miejscu. Pomyślałeś o tym? Zapewne tata pożyje jeszcze dobrych parę lat, ale przecież nie młodnieje. Pewnego dnia go zabraknie i wtedy zostaniemy tylko my: ja, ty i Boris. Dlatego musimy się pospieszyć. Zbudować sobie jakieś gniazdo. – Wzięła głęboki wdech i pokręciła głową, opuszczając wzrok na filiżankę kawy. – Nawet sobie nie wyobrażasz. Nie wyobrażasz sobie, jak pusty może być świat, jeśli się nie weźmie spraw w swoje ręce.

Uznałem, że nie ma sensu się z nią spierać.

– Zrobimy, jak mówisz – powiedziałem. – Wkrótce coś sobie znajdziemy.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak mało czasu nam zostało. Pomyśl, jeszcze prawie nie zaczęliśmy.

W jej głosie narastał ton oskarżycielski. Tymczasem jakby zupełnie zapomniała, że w dużej mierze to jej zachowanie przeszkadzało nam „wziąć sprawy w swoje ręce”. Poczułem nagle chęć, by wytknąć jej wiele rzeczy, ale ostatecznie zmilczałem. Po jakimś czasie, kiedy

żadne z nas się nie odezwało, podniosłem się ze słowami:

– Przepraszam. Chyba jednak wezmę coś jedzenia.

Sophie znów zapatrzyła się w niebo i chyba nawet nie zauważyła, że odszedłem od stołu. Stałem przy bufecie i wziąłem tacę. Kiedy przyglądałem się słodkim bułeczkom, przypomniałem sobie nagle, że nie znam drogi do Galerii Karwinsky'ego i że byliśmy pod tym względem zupełnie uzależnieni od czerwonego samochodu. Wyobraziłem sobie, jak sunie teraz po autostradzie, coraz dalej i dalej, i uznałem, że nie możemy tracić więcej czasu w zajeździe. Przyszło mi nawet na myśl, że musimy ruszać w drogę natychmiast, i już miałem odłożyć tacę i pobiec z powrotem do stolika, gdy zdałem sobie sprawę, że jakieś dwie osoby rozmawiają w pobliżu na mój temat.

Rozejrzawszy się, stwierdziłem, że były to dwie kobiety w średnim wieku, obie dość elegancko ubrane. Mówiły ściszonymi głosami, nachylając się do siebie nad stołem, i o ile mogłem się domyślić, nie miały pojęcia, że stoję tak blisko. Rzadko wymieniały mnie z nazwiska, więc z początku nie mogłem mieć pewności, że mówią o mnie, ale po chwili wszelkie wątpliwości zniknęły.

– Tak, tak – mówiła jedna z nich. – Wciąż kontaktują się z tą Stratmann, a ta za każdym razem utwierdza ich w przekonaniu, że na pewno przyjdzie na inspekcję, ale wciąż jeszcze się nie zjawił. Dieter mówi, że im tak bardzo nie zależy, i tak mają pełne ręce roboty, ale świadomość, że może się zjawić w każdym momencie, cały czas trzyma ich w napięciu. No i oczywiście pan Schmidt wpada do nich co chwila i krzyczy, żeby posprząтали, bo co by było, gdyby przyszedł i zobaczył miejską salę koncertową w takim stanie? Dieter mówi, że wszyscy się denerwują, nawet ten Edmundo. Z tymi geniuszami nigdy nic nie wiadomo, mogą się przyczepić do byle czego. Wciąż jeszcze pamiętają Igora Kobylansky'ego, który podczas inspekcji sprawdził dosłownie wszystko. Wszyscy stali na scenie, a on chodził między nimi na czworakach, czołgał się, stukał w każdą deskę z osobna i przykładał ucho. Od dwóch dni Dieter jest na skraju wyczerpania nerwowego. Przechodzą prawdziwy koszmar. Za każdym razem, gdy znów nie pojawia się o oznaczonej porze, czekają jeszcze godzinę, a potem dzwonią do tej Stratmann. Zawsze ich przeprasza, zawsze podaje jakiś powód i umawia się na inny termin.

Kiedy tego słuchałem, naszła mnie myśl, która już od paru godzin kołatała mi się po głowie, a mianowicie, że byłoby z mojej strony rozsądnie kontaktować się z panną Stratmann częściej niż dotychczas. Wpadłem nawet na pomysł, żeby zadzwonić do niej z jednego z automatów, które widziałem w holu. Zanim jednak zdążyłem się nad tym należycie zastanowić, kobieta powiedziała:

– A przecież ta Stratmann od tyłu tygodni podkreślała, jak bardzo mu zależy na przeprowadzeniu tej inspekcji, że chodzi mu nie tylko o akustykę i te rzeczy, ale o zapewnienie jego rodzicom odpowiednich warunków podczas występu. Widocznie nie mają się najlepiej, skoro potrzebują specjalnych siedzeń i innych udogodnień, a w pobliżu cały czas muszą się znajdować specjaliści, na wypadek gdyby jedno z nich dostało apopleksji czy czegoś w tym rodzaju. Wymaga to wielu skomplikowanych przygotowań i według tej Stratmann miał zamiar omówić z personelem każdy szczegół. Jednym słowem, wzruszająca troska o sędziwych rodziców. A potem co? Nie przychodzi! Oczywiście to może być wina tej Stratmann, a nie jego. Tak uważa Dieter. On cieszy się wszędzie znakomitą reputacją, to nie w jego stylu sprawiać innym tyle kłopotu.

Kobiety zaczynały już działać mi na nerwy, więc te ostatnie uwagi przyjąłem naturalnie z zadowoleniem. Natomiast to, co mówiły na temat moich rodziców i konieczności zaspokojenia ich różnorodnych potrzeb, ostatecznie przekonało mnie, że powinienem bezzwłocznie zatelefonować do panny Stratmann. Zostawiłem tacę na bufecie i pospiesznie skierowałem się do holu.

\* \* \*

Wszedłem do kabinki telefonicznej, szukając po kieszeniach wizytówki panny Stratmann. Po chwili znalazłem ją i wykręciłem numer. Telefon natychmiast odebrała sama panna Stratmann.

– Świetnie, że pan dzwoni, panie Ryder. Cieszę się, że wszystko idzie tak dobrze.

– Aha. Więc uważa pani, że wszystko idzie dobrze.

– Doskonale! Gdziekolwiek się pan pojawi, wzbudza pan podziw. Ludzie są podekscytowani. A pańska mowa po wczorajszym obiedzie, doprawdy, wszyscy twierdzą, że była niesłychanie zajmująca i dowcipna. To wielka przyjemność móc pracować z kimś takim jak pan.

– Dziękuję, panno Stratmann. Miło mi to słyszeć. Ja również się cieszę, że mogę korzystać z pani pomocy. Dzwonię, bo... bo chciałem się upewnić co do niektórych punktów mojego programu. Naturalnie doszło dziś do nieuniknionych opóźnień, które pociągnęły za sobą niepożądane skutki. – Zawiesiłem głos, oczekując, że panna Stratmann coś powie, ale w słuchawce panowała cisza. Zaśmiałem się i ciągnąłem: – Ale oczywiście już jedziemy do Galerii Karwinsky’ego. To znaczy jesteśmy akurat w pół drogi. Naturalnie chcemy tam dotrzeć z dużym zapasem czasu i muszę przyznać, że wszyscy bardzo się cieszymy na to przyjęcie. Z tego, co słyszałem, Galeria Karwinsky’ego jest bardzo malowniczo położona. Tak, jedziemy tam z prawdziwą radością.

– Bardzo się cieszę, panie Ryder. – Głos panny Stratmann nie brzmiał zbyt przekonująco. – Mam nadzieję, że spędzą państwo miły wieczór. – Potem powiedziała nagle: – Panie Ryder, mam nadzieję, że nie poczuł się pan obrażony?

– Obrażony?

– To naprawdę nie była z naszej strony żadna aluzja. Mam na myśli ten pomysł z poranną wizytą u hrabiny. Wiedzieliśmy, że będzie pan doskonale obeznany z dokonaniem pana Brodsky’ego, nikt nie śmiał przypuszczać inaczej. Tylko że niektóre z tych nagrań są naprawdę dość rzadkie, więc pani hrabina i pan von Winterstein myśleli, że... Och, mam nadzieję, że nie poczuł się pan obrażony, panie Ryder! Proszę nie doszukiwać się w tym żadnej aluzji.

– Nie czuję się ani trochę obrażony, panno Stratmann. Wręcz przeciwnie, obawiałem się, że to pani hrabina i pan von Winterstein mogą się poczuć urażeni, nie mogłem się bowiem stawić...

– Och, tym proszę się nie martwić, panie Ryder.

– Bardzo chciałem się z nimi spotkać i porozmawiać, ale gdy okoliczności zmusiły mnie do rezygnacji z naszych planów, liczyłem na to, że okażą mi wyrozumiałość, zwłaszcza że, jak sama pani mówi, właściwie nie musiałem wysłuchiwać nagrań pana Brodsky’ego...

– Panie Ryder, jestem pewna, że zarówno pani hrabina, jak i pan von Winterstein rozumieją pańskie położenie. W każdym razie dopiero teraz widzę, że to nie był przemyślany pomysł, tym bardziej że pański czas jest nader ograniczony. Doprawdy, byłabym niepokieszona, gdyby czuł się pan dotknięty.

– Zapewniam panią, że nie czuję się w najmniejszym stopniu dotknięty. Ale właściwie dzwonię w innej sprawie, to znaczy w sprawie innych punktów mojego programu.

– Tak, panie Ryder?

– Na przykład sprawa inspekcji sali koncertowej.

– Ach tak.

Czekałem, aż powie coś więcej, ale ponieważ milczała, ciągnąłem:

– Tak, po prostu chciałem się upewnić, czy wszystko jest gotowe na moje przyjście.

Panna Stratmann zareagowała w końcu na zatroskany ton w moim głosie.

– Ach tak, rozumiem – powiedziała. – Przewidziałam za mało czasu na inspekcję. Ale, jak pan wie – zawiesiła głos i zaszeleściła papierami – jak pan wie, tuż przed inspekcją i zaraz po niej ma pan dwa bardzo ważne spotkania. Pomyślałam więc, że jeśli trzeba coś obciąć, to najlepiej inspekcję sali koncertowej. Przecież zawsze może się pan tam udać ponownie w innym czasie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Natomiast nie mogliśmy, jak pan widzi, przeznaczyć

mniej czasu na którekolwiek z tych spotkań. Na przykład spotkanie z Obywatelską Grupą Wzajemnego Wsparcia. Wiem, jak wielką wagę przywiązuje pan do spotkań ze zwykłymi ludźmi, dotkniętymi...

– Tak, oczywiście, ma pani rację. W zupełności się z panią zgadzam. Jak pani wspomniała, zawsze mogę wygospodarować później chwilę na ewentualną drugą wizytę w sali koncertowej. Tak. Trochę się tylko niepokoję, eee... przygotowaniami. Mam na myśli moich rodziców. – Z drugiej strony linii znów panowała cisza. Odchrząknąłem i kontynuowałem: – To znaczy, jak pani wiadomo, moi rodzice są w podeszłym wieku. W sali koncertowej będą im niezbędne specjalne udogodnienia.

– Tak, oczywiście. – Głos panny Stratmann zdradzał zdziwienie. – I pomoc medyczna w pobliżu na ewentualność nieszczęśliwego wypadku. Tak, wszystko jest już gotowe, sam pan zobaczy podczas inspekcji.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Moi rodzice – powiedziałem. – To o nich mowa. Mam nadzieję, że nie zachodzi tu żadna pomyłka.

– Ależ skąd, panie Ryder. Proszę się nie obawiać.

Podziękowałem jej i wyszedłem z kabinki. W drzwiach baru przystanąłem na chwilę. W zachodzącym słońcu na ścianach sali kładły się długie cienie. Dwie kobiety w średnim wieku wciąż prowadziły ożywioną rozmowę, choć nie potrafiłem stwierdzić, czy to nadal ja jestem jej przedmiotem. W głębi sali zobaczyłem Borisa i Sophie. Chłopiec tłumaczył coś mamie i oboje śmiali się radośnie. Stałem tak jeszcze przez jakiś czas, analizując w myślach rozmowę, którą dopiero co odbyłem z panną Stratmann. Po głębszym namyśle doszedłem do pewnego wniosku. W założeniu, że wysłuchanie płyt hrabiny mogłoby mi się do czegoś przydać, rzeczywiście było coś niestosownego. Bez wątpienia ona i von Winterstein zamierzali kierować mną krok po kroku przez tę muzykę. Myśl ta zirytowała mnie i poczułem ulgę, że ostatecznie nie doszło do tego spotkania. Spojrzałem na zegarek i uświadomiłem sobie, że pomimo zapewnień, których nie szczędziłem pannie Stratmann, istniało niebezpieczeństwo, że spóźnimy się do Galerii Karwinsky'ego. Podszedłem do naszego stolika i nie siadając, oznajmiłem:

– Musimy jechać. Straciliśmy już sporo czasu.

Użyłem dość stanowczego tonu, lecz Sophie podniosła tylko oczy i rzekła:

– Boris uważa, że tutejsze pączki są najlepsze, jakie jadł w życiu. Tak właśnie powiedziałeś, prawda?

Spojrzałem na Borisa, który jednak nie zwracał na mnie uwagi. Wtedy

przypomniałem sobie naszą niedawną sprzeczkę – na chwilę zupełnie o niej zapomniałem – i uznałem, że najlepiej będzie powiedzieć coś pojednawczego.

– Mówisz, że te pączki są takie dobre? Dasz mi spróbować?

Boris nie przestawał patrzeć w inną stronę. Oczekałem parę sekund, po czym wzruszyłem ramionami.

– Dobrze – rzuciłem. – Jeśli nie masz ochoty ze mną rozmawiać, wcale nie musisz.

Sophie dotknęła ramienia Borisa i chciała się do niego odezwać, lecz ja odwróciłem się ze słowami:

– Zbierajcie się, musimy jechać.

Sophie ponownie trąciła Borisa, po czym poprosiła mnie nieco błagalnym tonem:

– Zostańmy jeszcze minutkę. Prawie wcale z nami nie posiedziałeś. A Borisowi tak się tu podoba, prawda, Boris?

Chłopiec znów nie zareagował.

– Słuchajcie, musimy się pospieszyć – powiedziałem. – Inaczej się spóźnimy.

Sophie spojrzała na Borisa, potem na mnie, a jej twarz zaczęła nabierać gniewnego wyrazu. W końcu wstała. Odwróciłem się i ruszyłem ku wyjściu, nie oglądając się za siebie.

# Rozdział 18

Kiedy tą samą stromą i krętą drogą wróciłem na autostradę, słońce stało już bardzo nisko na niebie. Przez jakiś czas jechałem dość szybko po pustawej szosie, wypatrując na horyzoncie czerwonego samochodu. Po paru minutach góry zostały w tyle, ustępując rozległym połaciom ziem uprawnych. Pola ciągnęły się w dal po obu stronach autostrady. W końcu, kiedy brałem powolny, długi zakręt na równym terenie, znów dostrzegłem czerwony samochód. Był jeszcze dość daleko z przodu, lecz tak jak przedtem kierowca jechał z umiarkowaną prędkością. Zwolniłem i wkrótce zacząłem podziwiać widoki: wieczorne pola, słońce prześwitujące przez rzędy odległych drzew, tu i ówdzie zabudowania gospodarskie. Przed nami wciąż sunął czerwony samochód, za każdym zakrętem znikając nam na chwilę z oczu.

– Jak myślisz, ile będzie osób? – odezwała się nagle Sophie.

– Na przyjęciu? – Wzruszyłem ramionami. – Skąd mam wiedzieć? Wygląda na to, że się tym strasznie przejmujesz. To tylko zwykłe przyjęcie, nic więcej.

Sophie nie odrywała wzroku od widoku za oknem.

– Mnóstwo ludzi – powiedziała. – Ci sami, którzy byli na bankiecie wydanym dla Rusconiego. Dlatego się denerwuję. Myślałam, że się domyślisz.

Spróbowałem sobie przypomnieć tamten bankiet, ale nazwisko to niewiele mi mówiło.

– Przedtem o wiele lepiej radziłam sobie w podobnych sytuacjach – ciągnęła Sophie. – Tamci ludzie tak okrutnie się ze mną obeszli. Do tej pory się z tego nie otrząsnęłam. Na pewno dzisiaj będzie pełno tych samych osób.

Wciąż próbowałem sobie przypomnieć tamto zdarzenie, ale bezskutecznie.

– Chcesz powiedzieć, że byli wobec ciebie niegrzeczni? – zapytałem.

– Niegrzeczni? Tak to można nazwać. Postarali się, żebym czuła się mała i nieważna. Mam nadzieję, że nie wszyscy tam dzisiaj będą.

– Jeśli ktoś będzie dla ciebie niegrzeczny, daj mi znać. Natomiast nie mam nic przeciwko temu, żebyś ty była wobec nich nieuprzejma.

Sophie odwróciła się i spojrzała na Borisa. Po chwili zauważyłem, że chłopiec zasnął. Sophie patrzyła na niego jeszcze przez moment, po czym odwróciła się do mnie.

– Dlaczego znowu zaczynasz? – zapytała zupełnie innym tonem. – Przecież wiesz, jak

bardzo wytrąca go to z równowagi. Znowu zaczynasz. Jak długo zamierzasz to ciągnąć tym razem?

– Co ciągnąć? – spytałem znużonym tonem. – O czym ty mówisz?

Sophie przyglądała mi się przez chwilę, po czym odwróciła głowę.

– Nie zdajesz sobie sprawy... – powiedziała jakby do siebie. – Nie mamy czasu na takie rzeczy. Pomyślałeś o tym?

Poczułem, że moja cierpliwość się kończy. Nagle wrócił cały zamęt, na który już wielokrotnie narażano mnie tego dnia. Usłyszałem swój podniesiony głos:

– Dlaczego uważasz, że masz prawo bez przerwy mnie krytykować? Może nie zauważyłaś, ale tak się składa, że mam teraz mnóstwo spraw na głowie. Zamiast mnie jednak wspierać, ty wciąż mnie krytykujesz. A teraz jeszcze robisz wszystko, żeby zawieść mnie na przyjęciu. Przynajmniej wygląda to tak, jakbyś przygotowywała grunt właśnie do tego...

– W porządku! W ogóle tam nie wejdziemy! Poczekamy z Borisem na zewnątrz. Sam sobie idź!

– Nie o to mi chodzi. Miałem na myśli...

– Mówię poważnie! Idź sobie sam. Tym sposobem nie będziemy mieli okazji, żeby cię zawieść.

Po tych słowach przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. W końcu powiedziałem:

– Przepraszam. Zapewne świetnie wypadniesz na tym przyjęciu. Jestem o tym przekonany.

Nie odpowiadała. Jechaliśmy dalej w milczeniu i za każdym razem, gdy na nią zerkiałem, wpatrywała się tępo w czerwony samochód jadący daleko przed nami. Wówczas zaczęło we mnie narastać dziwne uczucie paniki i w końcu powiedziałem:

– Posłuchaj, nawet jeśli tego wieczoru nie wszystko pójdzie gładko, i tak nie będzie to miało znaczenia. Wszystko, co ważne pozostanie bez zmian. Nie zachowujmy się niemądrze.

Sophie nie odrywała oczu od czerwonego samochodu.

– Czy wydaje ci się, że przytyłam? – zapytała. – Tylko nie kłam.

– Ależ skąd. Wyglądasz cudownie.

– Ale przytyłam. Troszeczkę.

– To nie ma znaczenia. Ten wieczór niczego nie zmieni. Nie ma się czym martwić. Wkrótce wszystko sobie poukładamy. Dom, wszystko. Więc nie ma się czym martwić.

Przy tych słowach zaczął mi się przypominać bankiet, o którym napomknęła wcześniej. Na pierwszy plan wysunęło się wspomnienie Sophie, która – ubrana w ciemnopurpurową suknię wieczorową – stoi bezradnie pośrodku załoczonego pokoju,

zupełnie sama, podczas gdy dokoła ludzie śmieją się i rozmawiają w małych grupkach. Wyobraziłem sobie, jak bardzo musiała się czuć upokorzona, i dotknąłem delikatnie jej ręki. Z ulgą poczułem, jak w odpowiedzi kładzie głowę na moim ramieniu.

– Zobaczysz – powiedziała prawie szeptem. – Udowodnię ci. I Boris też. Bez względu na obecnych. Pokażemy ci.

– Tak, tak. Na pewno oboje dacie sobie radę.

\* \* \*

Kilka minut później zauważyłem, że czerwony samochód sygnalizuje zamiar opuszczenia autostrady. Zmniejszyłem dzielącą nas odległość i wjechałem za nim na cichą, pnącą się między łąkami drogę. Potem odgłosy autostrady stopniowo przycichły, a nam przyszło się telepać po drogach polnych, prawie niezdatnych do współczesnych środków lokomocji. W jednym miejscu gęsty żywopłot ocierał się o bok naszego samochodu, a zaraz potem przejechaliśmy przez błotniste podwórze, pełne popsutych maszyn gospodarskich. Potem wyjechaliśmy na dobrą wiejską drogę, która wiła się łagodnie pośród pól, i znów mogłem przyspieszyć. W końcu usłyszałem okrzyk Sophie: „O, jest!” i zobaczyłem na drzewie drewnianą tablicę z napisem „Galeria Karwinsky’ego”.

Powoli skierowałem się w stronę bramy wjazdowej. Właściwie samej bramy już nie było, zostały po niej jedynie dwa słupki. Podczas gdy czerwony samochód sunął dalej tą samą drogą, znikając nam ostatecznie z pola widzenia, wjechałem między słupkami na duże, zarośnięte pole. Środkiem pola biegła ścieżka i przez jakiś czas jechaliśmy powoli pod górę. Kiedy dotarliśmy do szczytu, przed nami rozłożył się piękny widok. Pole opadało w płytką dolinę, na której dnie stał okazały budynek wybudowany w stylu francuskiego *chateau*\*. Za nim słońce chyliło się ku lasowi i pomimo odległości dostrzegłem, że budynek przenika melancholijny urok, kojarzący się z powolnym upadkiem jakiegoś marzycielskiego, ziemiańskiego rodu.

Wrzuciłem pierwszy bieg i zacząłem ostrożnie zjeżdżać z górki. W lusterku widziałem, że Boris – w pełni już rozbudzony – rozgląda się ciekawie na boki, lecz wysoka trawa prawie zupełnie zasłaniała widok z bocznych okien.

Podjechawszy bliżej, zauważyłem, że teren wokół budynku zastawiony jest samochodami. Gdy znaleźliśmy się na dole, skierowałem się w ich stronę. W sumie stało tam około stu wozów, wiele wyczyszczonych do połysku specjalnie na tę okazję. Pokręciłem się trochę, szukając odpowiedniego miejsca do zaparkowania, by w końcu się zatrzymać

---

\* Duża rezydencja wiejska we Francji

niedaleko walącego się muru otaczającego dziedzińec.

Wysiadłem z samochodu i rozprostowałem kończyny. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że Sophie i Boris również wysiedli i że Sophie poprawia ubranie Borisa.

– Tylko pamiętaj – mówiła do niego – nikt na sali nie jest ważniejszy od ciebie. Powtarzaj to sobie. Zresztą i tak nie zostaniemy długo.

Miałem właśnie ruszyć w stronę budynku, gdy kątem oka dostrzegłem coś, co przykuło moją uwagę. Odwróciwszy się, zobaczyłem niedaleko stary, zniszczony samochód, porzucony w trawie. Inni goście zostawili wokół niego pas wolnego miejsca, jakby rdza i ogólna ruina mogły przejść na ich wozy.

Podszedłem do wraka. Zapadł się nieco w ziemię i zarósł ze wszystkich stron trawą, tak że mógłbym go w ogóle nie zauważyć, gdyby zachodzące słońce nie odbijało się w jego masce. Brakowało kół, a drzwi od strony kierowcy były wyrwane z zawiasów. Karoserię kilkakrotnie przemalowywano, ostatnim razem tylko do połowy, farbą olejną. Obydwa tylne zderzaki, zupełnie nie do pary, pochodziły z innych wozów. Mimo to, zanim poddałem samochód dokładniejszemu oględzinom, wiedziałem już, że patrzę na szczątki rodzinnego starego samochodu, którym przez wiele lat jeździł mój ojciec.

Oczywiście minęły całe wieki od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni. Widok auta w tym żalonym stanie przywołał mi na myśl jego ostatnie dni z nami, gdy czułem się srodze zawstydzony, że moi rodzice jeszcze nim jeżdżą. Pod koniec, przypomniałem sobie, zacząłem wymyślać skomplikowane intrygi, żeby tylko uniknąć jazdy w nim, tak bardzo się obawiałem, że może mnie zobaczyć któryś z moich szkolnych kolegów lub nauczycieli. Ale to dopiero pod koniec. Przedtem przez wiele lat wierzyłem, że nasz samochód – choć należał do tanich – miał jakąś ukrytą przewagę nad innymi i że z tego powodu mój ojciec nie chciał go zmieniać. Wciąż pamiętałem, jak stał na podjeździe naszego domku w Worcestershire, pobłyskując karoserią, i jak wpatrywałem się weń nieraz przez kilkanaście minut rozpierany dumą. Popołudniami – zwłaszcza w niedziele – potrafiłem całymi godzinami bawić się w nim i wokół niego. Niekiedy znosiłem swoje zabawki – być może nawet kolekcję plastikowych żołnierzyków – i rozkładałem je na tylnym siedzeniu. O wiele częściej jednak budowałem wokół niego niekończące się historie, strzelając z pistoletów przez okna lub uczestnicząc w zawrotnie szybkich pościgach. Za każdym razem moja matka wyłaniała się z domu i mówiła, że mam przestać trzaskać drzwiczkami, bo od tego hałasu dostaje bzika, i jeśli natychmiast nie przestanę, „żywcem obedrze mnie ze skóry”. Ujrzałem jej żywy obraz, jak stoi w tylnych drzwiach domu, krzycząc w stronę samochodu. Dom był niewielki, lecz jak wiele domów na głębokiej prowincji, stał na pólakrowym kawałku ziemi porośniętym trawą. Obok naszej

bramy biegła dróżka prowadząca na pastwisko i dwa razy dziennie przechodziły tamtędy szeregiem krowy, poganiane przez wiejskich chłopaków brudnymi kijami. Ojciec zawsze parkował samochód tyłem do dróżki i często przerywałem zabawę, żeby przez tylne okno obserwować tę procesję.

To, co nazywaliśmy naszym podjazdem, było zwykłym kawałkiem trawnika obok domu. Nigdy nie zalaliśmy go betonem, więc w czasie ulewnego deszczu samochód stał częściowo zanurzony w wodzie, co jedynie sprzyjało korozji i przyspieszyło jego obecny stan. Ale w dzieciństwie dni deszczowe były dla mnie prawdziwą gratką. Deszcz nie tylko stwarzał szczególnie przytulny nastrój wewnątrz samochodu, ale też dawał mi okazję przeskakiwania przez błotniste kałuże za każdym razem, gdy wsiadałem lub wysiadałem. Z początku rodzice patrzyli krzywo na te praktyki, twierdząc, że zostawiam brudne ślady na tapicerce, ale kiedy samochód miał już kilka lat, przestali się tym przejmować. Natomiast trzaskanie drzwiczkami irytowało moją matkę tak długo, dopóki używaliśmy samochodu, co było o tyle niefortunne, że miało kluczowe znaczenie przy odgrywaniu moich historii, nieodmiennie znacząc momenty największego napięcia. Sytuację komplikował dodatkowo fakt, że moja matka niekiedy przez kilka tygodni czy nawet miesięcy w ogóle nie narzekała na trzaskanie, tak więc w końcu zapomniałem, że może ono stanowić źródło konfliktu. Potem zjawiała się nagle pewnego dnia w chwili, gdy byłem całkowicie pochłonięty jakąś dramatyczną akcją, i przygnębiona oświadczała po raz kolejny, że „żywcem obedrze mnie ze skóry”. Kilka razy groźba ta padła z jej ust w momencie, gdy drzwi były akurat uchylone, pozostawiając mnie w niepewności, czy po zabawie powinienem zostawić je otwarte – choćby nawet miały tak zostać przez całą noc – czy też odważyć się zamknąć je najciszej, jak mogłem. Dręczyło mnie to już do końca zabawy, zatruwając mi całą przyjemność.

– Co robisz? – dobiegł mnie z tyłu głos Sophie. – Powinniśmy już wejść.

Byłem świadomy, że do mnie mówi, lecz odkrycie naszego starego samochodu tak bardzo mnie pochłonęło, że tylko coś mruknąłem w odpowiedzi. Usłyszałem, jak Sophie mówi:

– Co w ciebie wstąpiło? Wyglądasz, jakbyś się zakochał w tym gracie.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że obejmuję samochód niby w miłosnym uścisku. Z policzkiem przytulonym do jego dachu głąskałem kolistymi ruchami jego odrapaną powierzchnię. Wyprostowałem się ze śmiechem i odwróciwszy się, zobaczyłem, że Sophie i Boris przyglądają mi się uważnie.

– Zakochać się w czymś takim? Chyba żartujesz. – Znow się zaśmiałem. – Że też ludzie porzucają takie wraki gdzie popadnie. To powinno być karalne.

Wciąż nie spuszcza mi z oka, więc krzyknąłem:

– Kupa złomu! – i wymierzyłem samochodowi kilka solidnych kopniaków. Najwidoczniej to im wystarczyło, gdyż oboje odwrócili się ku sobie. Potem zobaczyłem, że Sophie – pomimo naglących uwag pod moim adresem – nie skończyła się jeszcze zajmować Borisem i właśnie czesze mu włosy.

Znów skierowałem uwagę na samochód, dręczony obawą że moje kopniaki mogły w nim coś uszkodzić. Po dokładniejszych oględzinach stwierdziłem, że odpadło jedynie kilka płatów rdzy z karoserii, niemniej gryzło mnie sumienie, że okazałem taką niedelikatność. Brodząc w trawie, przeszedłem na drugą stronę i zajrzałem do środka przez szybę w tylnych drzwiach. W okno uderzył jakiś przedmiot, szkło pozostało jednak nienaruszone. Przez szpary w gęstej sieci pajęczyn ujrzałem tylne siedzenie, na którym niegdyś spędziłem tyle szczęśliwych godzin. Sporą jego część pokrywał grzyb. W rogu, u styku poduszki fotela i tapicerki drzwiczek, nagromadziła się deszczówka. Kiedy pociągnąłem za drzwi, otwały się bez większego oporu, ale tylko do połowy, gdyż potem utknęły w gęstej trawie. Szpara była wystarczająco szeroka, bym mógł się przez nią przecisnąć, i po chwili udało mi się przedostać na tylne siedzenie.

Kiedy znalazłem się w środku, okazało się, że fotel z tej strony zapadł się przez podłogę, tak więc siedziałem nienaturalnie nisko.

Przez najbliższe okno widziałem żółta trawy i różowe, wieczorne niebo. Przechyliłem się i pociągnąłem za drzwi, prawie zamykając je za sobą – coś przeszkodziło w zamknięciu ich do końca – i po chwili usiadłem w miarę wygodnie.

Wkrótce zaczął mnie ogarniać głęboki spokój i przymknąłem na chwilę powieki. Przypomniałem sobie jedną z bardziej udanych rodzinnych wycieczek samochodem, kiedy pojechaliśmy szukać dla mnie w okolicy używanego roweru. Było słoneczne niedzielne popołudnie. Jeździliśmy od wioski do wioski, oglądając jeden rower za drugim. Moi rodzice dyskutowali z przejęciem na przednich siedzeniach, podczas gdy ja podziwiałem widoki Worcestershire. W tamtych czasach telefony były jeszcze w Anglii rzadkością i matka trzymała na kolanach lokalną gazetę, w której ogłoszenia w dziale „Sprzedaż” zawierały całe adresy. Nie trzeba się było zapowiadać; rodzina taka jak nasza mogła po prostu zjawić się u drzwi i powiedzieć: „My w sprawie roweru dla chłopca”, po czym prowadzono ją do szopy, gdzie stał rower. Co bardziej gościnni ludzie proponowali nam herbatę, a mój ojciec nieodmiennie odmawiał, rzucając zawsze tę samą żartobliwą uwagę. Tylko raz pewna starszuszka, która – jak się okazało – miała na sprzedaż wcale nie rower chłopięcy, ale rower po jej zmarłym mężu, nalegała, żebyśmy weszli do środka. „Jakże miło przyjmować takich

ludzi”, powiedziała. Potem, kiedy zasiedliśmy w jej ciemnym pokoju gościnnym przy herbacie, powtórnie nazwała nas „takimi ludźmi” i gdy ojciec tłumaczył właśnie, jaki rower jest najodpowiedniejszy dla chłopca w moim wieku, w głowie zaświtała mi nagle myśl, że w oczach tej staruszki moi rodzice i ja stanowimy obraz idealnej harmonii rodzinnej. Świadomości tej towarzyszyło ogromne napięcie, które narastało we mnie aż do końca naszej półgodzinnej wizyty. Nie obawiałem się bynajmniej, że moi rodzice przestaną zachowywać pozory – było raczej nie do pomyślenia, żeby wdali się nagle w najbardziej nawet zawoalowaną kłótnię. Ale obudziło się we mnie przeświadczenie, że w każdej chwili jakiś znak, może nawet jakiś zapach, uzmysłowi kobiecie rozmiary jej błędu, i z trwogą oczekiwałem chwili, gdy nagle zastygnie przed nami z przerażenia.

Siedząc na tylnym fotelu samochodu, próbowałem sobie przypomnieć, jak się skończyła tamta wizyta, lecz moje myśli przeniosły się do zupełnie innego, ulewnego popołudnia, kiedy przyszedłem do samochodu, do swojego azyłu na tylnym siedzeniu, ponieważ w domu wybuchła dzika awantura. Tamtego popołudnia leżałem na tylnym siedzeniu na plecach, z głową wciśniętą między fotel a podłokietnik. Z tej perspektywy widziałem tylko strumienie deszczu spływające po szybie. W tamtej chwili miałem wyłącznie jedno życzenie: aby pozwolono mi leżeć tam spokojnie godzina za godziną. Doświadczenie jednak nauczyło mnie, że prędzej czy później ojciec wyjdzie z domu, minie samochód, kierując się w stronę furty, i wyjdzie na dróżkę, więc leżałem długo, nasłuchując przez szum deszczu zgrzytnięcia klamki u tylnych drzwi domu. Gdy wreszcie usłyszałem znajomy dźwięk, poderwałem się i zacząłem się bawić. Udawałem pełną napięcia walkę o upuszczony na podłogę pistolet, starając się przy tym sprawiać wrażenie, że jestem za bardzo pochłonięty zabawą, by cokolwiek zauważyć. Dopiero gdy odgłos jego kroków na mokrej ziemi powiedział mi, że doszedł do końca podjazdu, odważyłem się przerwać. Klęknąwszy szybko na siedzeniu, wyjrzałem ostrożnie przez tylne okno. Zobaczyłem, jak ojciec w płaszczu przeciwdeszczowym zatrzymuje się przy bramie i pochyla się lekko, żeby otworzyć parasol. Po chwili wyszedł zdecydowanym krokiem na dróżkę i zniknął mi z oczu.

Musiałem się zdrzemnąć, gdyż obudziłem się gwałtownie, i skonstatowałem, że siedzę na tylnym siedzeniu rozsypującego się samochodu, w całkowitym mroku. Z uczuciem lekkiej paniki pchnąłem najbliższe drzwi. Z początku nie chciały się ruszyć, lecz potem zaczęły otwierać się po trochu, aż w końcu udało mi się jakoś wydostać na zewnątrz.

Otrzeputając ubranie, rozejrzałem się wokół. Budynek był rzęsiście oświetlony – przez wysokie okna widziałem roziskrzone żyrandole – a obok naszego samochodu Sophie wciąż czesała włosy Borisa. Stałem poza zasięgiem światła bijącego od budynku, za to Sophie i

Boris tonęli w pełnym blasku. Gdy na nich patrzyłem, Sophie pochyliła się ku bocznemu lusterku, żeby poprawić makijaż.

Kiedy wkroczyłem w krąg światła, Boris odwrócił się do mnie.

– Długo cię nie było – zauważył.

– Przepraszam. Musimy już wchodzić.

– Jeszcze sekundkę – mruknęła z roztargnieniem Sophie, wciąż pochylona nad lusterkiem.

– Zaczyna mi burczeć w brzuchu – powiedział do mnie Boris. – Kiedy pojedziemy do domu?

– Nie martw się, nie zabawimy długo. Ci wszyscy ludzie na nas czekają, więc powinniśmy chyba wejść i się z nimi przywitać. Ale dość szybko stamtąd wyjdziemy. A potem pojedziemy do domu i spędzimy przemiły wieczór tylko we troje.

– Czy zagramy w „Wojownika”?

– Oczywiście – powiedziałem, ciesząc się, że chłopiec najwyraźniej puścił w niepamięć naszą wcześniejszą sprzeczkę. – Lub w jakąkolwiek inną grę, według twojego uznania. Nawet jeśli zaczniemy grać w jedną grę, a ty w połowie zechcesz zagrać w co innego, bo się znudzisz albo będziesz przegrywał, to tak zrobimy. Dziś zmienimy grę stosownie do twojego życzenia. A jeśli zapragniesz przerwać grę na dobre i po prostu chwilę porozmawiać, powiedzmy o piłce nożnej, tak właśnie zrobimy. To będzie cudowny wieczór w naszym gronie. Ale najpierw wejdźmy do środka i załatwmy to, co do nas należy. Nie będzie aż tak źle.

– W porządku, jestem gotowa – oświadczyła Sophie, lecz na koniec jeszcze raz nachyliła się do lusterka.

Przeszliśmy pod kamiennym łukiem i wkroczyliśmy na dziedziniec. Kiedy zmierzaliśmy w stronę głównego wejścia, Sophie powiedziała:

– W sumie nawet się cieszę, że tam idę. Mam jak najlepsze przecucia.

– No to świetnie – odparłem. – Odpręż się i bądź sobą. Wszystko będzie dobrze.

# Rozdział 19

Drzwi otworzyła tęga pokojówka. Kiedy wkroczyliśmy do obszernego holu, wymamrotała:

– Miło znów pana widzieć.

Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że już tu byłem – że przecież jest to ten sam dom, do którego poprzedniego dnia przywiózł mnie Hoffman.

– No tak – powiedziałem, rozglądając się po wyłożonych dębową boazerią ścianach – miło znów tu gościć. Jak pani widzi, tym razem jestem z rodziną.

Pokojówka nie odpowiedziała. Być może wynikało to z szacunku, choć gdy na nią zerknąłem i zobaczyłem, jak stoi z nachmurzoną miną przy drzwiach, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że bije od niej wrogość. Wtedy właśnie zauważyłem, że spośród sterty gazet i magazynów na okrągłym, drewnianym stoliku obok stojaka na parasole wyziera moja twarz. Podeszedłem do stolika i sięgnąłem po wieczorne wydanie gazety lokalnej, której pierwszą stroną wypełniało w całości moje zdjęcie, najwidoczniej zrobione w plenerze przy silnym wietrze. Potem dostrzegłem w tle biały budynek i przypomniałem sobie poranną sesję fotograficzną na szczycie wzgórza. Przysunąłem gazetę do lampy i w jej żółtawym świetle przyjrzałem się zdjęciu.

Silny wiatr zwiewał moje włosy do tyłu. Krawat łopotał sztywno za moim uchem. Poły marynarki również powiewały do tyłu, więc wyglądałem tak, jakbym miał na sobie pelerynę. Co gorsza, moja twarz nosiła wyraz nieokiełzanej zaciekłości.

Moja pięść zawisła w powietrzu i mogło się zdawać, że wydaję właśnie jakiś ryk wojenny. W żaden sposób nie potrafiłem zrozumieć, jakim cudem przybrałem taką pozę. Nagłówek – na całej pierwszej stronie nie było innego tekstu – obwieszczał: „Ryder nawołuje”.

Trochę nerwowo otworzyłem gazetę i ujrzałem serię sześciu czy siedmiu zdjęć o niniejszym formacie, z których każde stanowiło wariację na temat fotografii z pierwszej strony. Moja wojownicza postawa rzucała się w oczy na wszystkich z wyjątkiem dwóch, na których wyglądałem, jakbym pokazywał dumnie budynek za sobą, wykrzywiając przy tym usta w dziwnym uśmiechu, który dość gruntownie odslaniał moje dolne zęby, lecz ani jednego z górnych. Opuściwszy wzrok na kolumny pod zdjęciami, zauważyłem powtarzające

się wzmianki na temat człowieka o nazwisku Max Sattler.

Chętnie przyjrzałbym się gazecie dokładniej, lecz podejrzewając, że wrogość pokojówki ma coś wspólnego z tymi zdjęciami, poczułem się nieswojo. Odłożyłem gazetę i odszedłem od stolika z zamiarem przestudiowania artykułu przy najbliższej okazji.

– Najwyższy czas przyłączyć się do gości – zwróciłem się do Sophie i Borisa, którzy stali niepewnie na środku holu. Powiedziałem to dosyć głośno, tak by usłyszała mnie pokojówka, przekonany, że zaraz zaprowadzi nas do sali, w której odbywało się przyjęcie. Ale kobieta nie ruszała się z miejsca, więc po chwili niezręcznego milczenia uśmiechnąłem się do niej, mówiąc: – No tak, pamiętam drogę od wczoraj. – Z tymi słowami ruszyłem w głąb domu.

W rzeczywistości układ wnętrza zupełnie nie odpowiadał temu, co zapamiętałem, i szybko zabłądziliśmy w długim, wykładanym boazerią korytarzu, całkowicie mi obcym. Okazało się jednak, że nie miało to żadnego znaczenia, gdyż po kilku krokach dał się słyszeć gwar i zaraz potem stanęliśmy w drzwiach wąskiej sali wypełnionej ludźmi w strojach wieczorowych, trzymającymi w rękach drinki.

Na pierwszy rzut oka sala ta wydawała się o wiele mniejsza od tej, w której zebrali się goście poprzedniego wieczoru. Po bliższych oględzinach doszedłem nawet do wniosku, że prawdopodobnie w pierwotnym zamierzeniu nie był to żaden pokój, ale korytarz lub w najlepszym razie długi, łukowaty westybul. Zdawało się, że łuk opisuje półokrąg, lecz patrząc od progu, nie można było stwierdzić tego z całą pewnością. Na zewnętrznej ścianie dostrzegłem biegnący łukiem rząd wielkich okien, teraz zakrytych zasłonami, natomiast ścianę wewnętrzną zdobił rząd drzwi. Posadzka była z marmuru, z sufitu zwisały żyrandole, a tu i ówdzie w eleganckich gablotach na podwyższeniu stały wyeksponowane dzieła sztuki.

Zatrzymaliśmy się na progu, obejmując wzrokiem całą scenerię. Oczekiwałem, że ktoś podejdzie i nas wprowadzi, może nawet zaanonsuje nasze przybycie, ale choć staliśmy i rozglądaliśmy się dłużej, nikt się do nas nie zbliżył. Kilka razy ktoś zmierzał pospiesznie w naszym kierunku, lecz w ostatniej chwili okazywało się, że podchodził do innego gościa.

Spojrzałem na Sophie. Obejmowała Borisa ramieniem i oboje wpatrywali się lękliwie w tłum ludzi.

– Wchodzimy – powiedziałem beztróskim tonem. Wszyscy razem postąpiliśmy kilka kroków naprzód, lecz po chwili znów zatrzymaliśmy się niedaleko wejścia.

Poszukałem wzrokiem Hoffmana lub panny Stratmann, lub którejkolwiek ze znanych mi osób, ale nikogo nie widziałem. Gdy przyglądałem się twarzom gości, nagle uderzyła mnie

myśl, że wielu z nich brało również udział w przyjęciu, na którym tak strasznie potraktowano Sophie. Uświadomiłem sobie w całej pełni, jak bardzo musiało ją to boleć, i poczułem, że wzbiera we mnie niebezpieczna fala gniewu. Rozglądając się po pomieszczeniu, zauważyłem co najmniej jedną grupę gości – stojących razem w miejscu, gdzie sala zataczała łuk i znikła nam z oczu – którzy prawie na pewno należeli do głównych winowajców. Przyjrzałem się im poprzez tłum: mężczyźni z uśmiechem samozadowolenia na twarzy ostentacyjnie wkładali ręce do kieszeni spodni i wyciągali je, chcąc w ten sposób zademonstrować, jak swobodnie czują się na przyjęciu; kobiety w komicznych kreacjach, śmiejąc się, bezradnie potrząsały głowami. Wprost nie do wiary – czysty absurd – że tacy ludzie uzurpują sobie prawo do szydzenia z innych i okazywania im pogardy, zwłaszcza komuś takiemu jak Sophie. Uznałem, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym natychmiast do nich podszedł i ostro się z nimi rozprawił na oczach ludzi z ich sfery. Wyszepawszy Sophie do ucha kilka słów otuchy, ruszyłem przed siebie.

Przepychając się przez ciżbę, stwierdziłem, że sala istotnie wygina się w półokrąg. Zobaczyłem też kelnerów, którzy stali niczym wartownicy wzdłuż wewnętrznej ściany, trzymając tace z drinkami i zakąskami. To ktoś niechcący szturchnął mnie łokciem i grzecznie przeprosił, to wymieniłem uśmiechy z kimś, kto przeciskał się w przeciwnym kierunku, ale, o dziwo, wszyscy zachowywali się tak, jakby mnie nie poznawali. W pewnej chwili moją uwagę zwróciło trzech mężczyzn w średnim wieku, którzy smętnie kręcili głowami. Zauważyłem, że jeden z nich trzyma w ręku egzemplarz wieczornej gazety. Ujrzałem swoją twarz wyglądającą zza jego łokcia i zacząłem się niejasno zastanawiać, czy to zadziwiające zignorowanie naszego przybycia ma jakiś związek z tymi zdjęciami. Ale byłem już o krok od ludzi, do których akurat zmierzałem, więc szybko przestałem się nad tym głowić.

Widząc, że się zbliżam, dwie osoby odstały na bok, jakby zapraszając mnie do swojego grona. Domyśliłem się, że rozmawiają na temat otaczających nas dzieł sztuki, i gdy znalazłem się wśród nich, kiwali właśnie głowami, przytakując przedmówcy. Jedna z kobiet mówiła:

– Tak, nawet widać wyraźną granicę, od tamtego Van Thilla. – Wskazała białą statuetkę niedaleko nas. – Młody Oskar nie miał gustu. I trzeba przyznać, że był tego świadom, czuł się jednak zobowiązany wobec rodziny.

– Niestety, muszę się zgodzić z Andreasem – powiedział jeden z mężczyzn. – Oskar był zbyt dumny. Powinien był powierzyć to zadanie komuś, kto znał się na tym lepiej.

Potem inny mężczyzna zwrócił się do mnie z miłym uśmiechem na twarzy:

– A co pan o tym sądzi? O wkładzie Oskara do kolekcji?

Pytanie to wprawiło mnie w chwilowe zdumienie, nie miałem jednak zamiaru dać się odwieść od swojego postanowienia.

– Państwo stoją sobie tutaj i rozprawiają o niekompetencji Oskara – zacząłem – podczas gdy są ważniejsze sprawy...

– Nazwać młodego Oskara niekompetentnym to może przesada – przerwała mi jakaś kobieta. – Jeśli chodzi o gust, różnił się znacznie od swojego brata i wprawdzie popełnił tę niezrozumiałą pomyłkę, ale myślę, że w ostatecznym rozrachunku dodał kolekcji przyjaznego wymiaru. Złagodził jej surowość. Bez tego byłaby jak dobry obiad bez deseru. Tamta waza, na przykład – wskazała poprzez tłum – jest całkiem urocza.

– Państwo sobie tutaj... – podjąłem żarliwie, lecz zanim zdążyłem dokończyć, jakiś mężczyzna rzekł twardo:

– Tamta waza to jedyna wybrana przez niego rzecz, która zasługuje na miejsce w kolekcji. Problem tkwi w tym, że Oskar nigdy nie potrafił spojrzeć na kolekcję jak na spójną całość.

Czułem, że moja cierpliwość się wyczerpuje.

– Przestańcie! – krzyknąłem. – Przerwijcie choć na chwilę to czcze gadanie! Dajcie wypowiedzieć się komuś innemu, komuś z zewnątrz, spoza tego światka, w którym z taką lubością się zamykacie! – Zawiesiłem głos i spojrzałem po ich twarzach. Moja gwałtowność odniosła pożądany efekt, gdyż wszyscy bez wyjątku, czterech mężczyzn i trzy kobiety, patrzyli na mnie w osłupieniu. Zmusiwszy ich w końcu do uwagi, poczułem, że z łatwością kontroluję swój gniew i mogę się nim posługiwać z rozmysłem niczym bronią. Zniżyłem głos (krzyknąłem bowiem głośniejsz, niż zamierzałem) i ciągnąłem: – I jak tu się dziwić, że macie te wszystkie kłopoty, ten cały kryzys, jak mówią niektórzy? Że w waszym miasteczku tylu ludzi poddaje się depresji i frustracji? Czy kogoś z zewnątrz to dziwi? Czy zaskakuje? Czy my, obserwatorzy z większego, dalszego świata, drapiemy się w zakłopotaniu po głowach? Czy zadajemy sobie pytanie: „Jak to możliwe, że takie miasteczko...” – czułem, że ktoś ciągnie mnie za rękę, byłem jednak zdecydowany wygarnąć im wszystko do końca – „... że ta społeczność padła ofiarą takiego kryzysu? Czy nas to dziwi albo zdumiewa? Nie! Ani na jotę! Człowiek przyjeżdża tu i co widzi? Państwo są tego najlepszym przykładem, tak, wy tutaj! Jesteście typowymi okazami! Przepraszam, jeśli jestem niesprawiedliwy, niewykluczone, że w zakamarkach tego miasta dałoby się znaleźć jeszcze potworniejsze i bardziej rażące przykłady, z całą jednak przykrością muszę stwierdzić, że w moich oczach są państwo uosobieniem wszystkiego, co w tym mieście godne potępienia! – Zorientowałem się, że

osobą, która szarpie mnie za rękaw, jest jedna z kobiet, do których się zwracam. Z jakiegoś powodu sięgała ku mnie za plecami mężczyzny, który stał tuż obok. Spojrzałem na nią przelotnie, po czym mówiłem dalej: – A to dlatego, że nie mają państwo za grosz dobrych manier. Wystarczy popatrzeć, jak odnosicie się do siebie nawzajem. Jak traktujecie moją rodzinę. Nawet mnie, człowieka sławnego, waszego gościa. Spójrzcie na siebie: przywiązujecie nadmierną wagę do kolekcji Oskara. Innymi słowy, jesteście zbyt zaaferowani drobnymi zaburzeniami w tej tak zwanej waszej społeczności, zbyt zaaferowani, żeby okazać nam minimum dobrych manier.

Kobieta, która szarpała mnie za rękę, przesunęła się w moją stronę i stała teraz tuż za mną. Słyszałem, że coś do mnie mówi, usiłując odciągnąć mnie na bok, ale ja nie zwracałem na nią uwagi i kontynuowałem:

– Czyż to nie ironia losu, że właśnie tutaj muszą przyjechać moi rodzice, aby zaznać tej waszej tak zwanej gościnności?! Co za ironia losu, co za fatalny pech, właśnie tutaj, po tych wszystkich latach, w takim miejscu i wśród takich ludzi! Moi biedni rodzice przyjadą tu z daleka specjalnie po to, żeby po raz pierwszy posłuchać mojej gry! Nie sądzicie chyba, że z lekkim sercem przyjdzie mi zostawić ich pod opieką ludzi takich jak pan i pan, i pani?

– Panie Ryder, panie Ryder... – Kobieta od dłuższego czasu szarpała mnie uparcie za łokieć, lecz dopiero teraz spostrzegłem, że nie jest to sama panna Collins. Odkrycie to pozbawiło mnie całego impetu i nim się spostrzegłem, pannie Collins udało się odciągnąć mnie na bok.

– Ach, to pani – powiedziałem nieco zbity z tropu. – Dobry wieczór.

– Wie pan, panie Ryder – mówiła panna Collins, prowadząc mnie pod rękę – muszę przyznać, że jestem szczerze zaskoczona tym całym zainteresowaniem. Przyjaciółka powiedziała mi przed chwilą, że po całym mieście krążą plotki. Są to, jak mnie zapewnia, tylko życzliwe mi plotki. Ale nie wiem doprawdy, po co to całe zamieszanie. Tylko dlatego, że poszłam dziś do zoo! Naprawdę nie pojmuję. Zgodziłam się, ponieważ zdołali mnie przekonać, że jest w interesie nas wszystkich, żeby Leo wypadł jutro jak najlepiej. Tak więc zgodziłam się tam być, nic więcej. Bogiem a prawdą miałam też zamiar dodać mu w paru słowach otuchy, skoro już tak długo wytrzymał bez picia. Wydawało mi się, że należą mu się wyrazy uznania. Zapewniam pana, że gdyby w ciągu minionych dwudziestu lat kiedykolwiek udało mu się wytrzymać bez picia równie długo, postąpiłabym tak samo. Tyle że nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Doprawdy, z mojej dzisiejszej wizyty w zoo nie trzeba wyciągać zbyt daleko idących wniosków.

Przestała mnie ciągnąć, lecz wciąż trzymała pod rękę i razem powoli sunęliśmy przez

tłum.

– Wierzę pani – powiedziałem – i zapewniam, że kiedy przed chwilą do pani podszedłem, nie miałem bynajmniej zamiaru rozpoczynać rozmowy na temat pana Brodsky’ego i pani. W przeciwieństwie do przeważającej większości mieszkańców tego miasta, nie chcę się wtrącać do pani osobistych spraw.

– To bardzo ładnie z pana strony. W każdym razie, jak mówiłam, z naszego spotkania dziś po południu nie należy wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Ludzie byliby tacy zawiedzeni, gdyby się dowiedzieli. Leo podszedł do mnie i powiedział: „Pięknie dziś wyglądasz”. Czegoś takiego można się było po nim spodziewać po dwudziestu latach pijaństwa. I to właściwie tyle. Oczywiście podziękowałam mu i powiedziałam, że wygląda dużo lepiej, niż kiedy widziałam go ostatnim razem. Potem spuścił oczy... nie przypominam sobie, by robił to dawniej, wtedy nie zachowywał się tak nieśmiało. Tak, od razu się zorientowałam, że się wypalił. Ale w miejsce ognia pojawiła się inna niepoślednia wartość. Tak więc stał wpatrzony w czubki swoich butów, podczas gdy pan von Winterstein i inni snuli się w pewnej odległości za nami, patrząc w inną stronę i udając, że o nas zapomnieli. Zrobiłam jakąś uwagę na temat pogody, a Leo spojrzął do góry i powiedział: „To prawda, drzewa wyglądają wspaniale”. Potem zaczął mi opowiadać, które z obejrzanych dotychczas zwierząt podobały mu się najbardziej. Od razu było widać, że w ogóle nie uważał, rzekł bowiem: „Podobają mi się wszystkie zwierzęta. Słonie, krokodyle, szympansy”. Klatki z małpami były niedaleko i zapewne je mijali, ale z całą pewnością nie przechodzili obok słoni czy krokodyli i nie omieszkalam mu tego powiedzieć. Leo jednak puścił tę uwagę mimo uszu, jakbym powiedziała coś zupełnie nie na temat. Potem odniosłam wrażenie, że ogarnia go lekka panika, być może na widok pana von Wintersteina, który podszedł trochę bliżej. Widzi pan, według pierwotnych ustaleń miałam zamienić z nim parę słów, dosłownie parę. Pan von Winterstein zapewnił mnie, że mniej więcej po minucie nam przeszkodzi. Takie były moje warunki, ale potem, gdy zaczęliśmy rozmawiać, czas ten wydał mi się beznadziejnie krótki. Ja sama zaczęłam spoglądać z obawą na kręcącego się w pobliżu pana von Wintersteina. W każdym razie Leo wiedział, że mamy bardzo mało czasu, bezzwłocznie bowiem przeszedł do rzeczy. „Moglibyśmy spróbować jeszcze raz”, powiedział. „Wrócić do siebie. Jeszcze nie jest za późno”. Musi pan przyznać, że po tych wszystkich latach zabrzmiało to dość bezceremonialnie, uwzględniając nawet ograniczenia czasowe. Odparłam tylko: „Ale co byśmy razem robili? Tak niewiele nas teraz łączy”. Przez sekundę wydawał się zbity z tropu, jakbym dotknęła tematu, nad którym się dotąd nie zastanawiał. Potem wskazał na wybieg dla żyraf przed nami i rzekł: „Moglibyśmy trzymać zwierzaka. Moglibyśmy go kochać i dbać o

niego razem. Może tego nam brakowało”. Nie wiedziałam, co powiedzieć, staliśmy więc bez słowa i zauważyłam, że pan von Winterstein zmierza w naszą stronę, ale potem musiał coś wyczuć, bo nagle zmienił zdanie i znów się oddalił, wdając się w rozmowę z panem von Braunem. Potem Leo podniósł palec... to jego stary gest... podniósł palec i powiedział: „Jak wiesz, miałem psa, ale umarł wczoraj. Pies to nie to. Wybierzemy zwierzę, które pożyje dłużej: dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Tym sposobem, jeśli będziemy się nim dobrze opiekować, umrzemy prędzej, co oszczędzi nam żałoby po nim. Nie mieliśmy dzieci, więc zgódź się chociaż na to”. Odpowiedziałam mu: „Nie do końca to sobie przemyślałeś. Całkiem możliwe, że nasze ukochane zwierzę przeżyje i mnie, i ciebie, jest jednak mało prawdopodobne, że umrzemy jednocześnie. Nie będziesz musiał opłakiwać zwierzaka, ale jeśli, powiedzmy, ja umrę wcześniej, będziesz musiał opłakiwać mnie”. Na co odparł szybko: „Lepsze to, niż gdyby nikt nie miał cię opłakiwać”. „Tego się akurat nie obawiam”, zapewniłam go. Zaznaczyłam, że w ciągu tych lat pomogłam wielu ludziom w tym mieście i że na moim pogrzebie nie zabraknie żałobników. „Nigdy nie wiadomo”, powiedział. „Być może od tej chwili zaczniesz mi się powodzić. Może i ja będę miał wielu żałobników. Może nawet setki”. I dodał: „Ale jakie miałyby to znaczenie, gdyby tak naprawdę żadnemu z nich na mnie nie zależało? Chętnie oddałbym ich wszystkich w zamian za jedną osobę, którą bym kochał i która by mnie kochała”. Muszę przyznać, że rozmowa ta zaczynała mnie napawać smutkiem i nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. W końcu Leo rzekł: „Gdybyśmy wówczas mieli dzieci, ile miałyby teraz lat? Byłyby już piękne”. Tak jakby piękno przychodziło z wiekiem! Potem powtórzył: „Nie mieliśmy dzieci, więc zgódź się chociaż na to”. Kiedy to powiedział, chyba się nieco zmieszałam i zerknęłam nad jego ramieniem w stronę pana von Wintersteina, który natychmiast do nas podszedł i rzucił jakąś żartobliwą uwagę. I to wszystko. Tak się skończyła nasza rozmowa.

Panna Collins wciąż trzymała mnie pod ramię i jak przedtem krążyliśmy wolno po sali. Przez chwilę analizowałem jej słowa, po czym powiedziałem:

– Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, była pani łaskawa zaprosić mnie do swojego mieszkania dla omówienia moich problemów. Teraz okazuje się, że na większą uwagę zasługują pani życiowe decyzje. Jestem ciekaw, co pani postanowi. Stoi pani, by tak rzec, na rozdrożu.

Panna Collins się zaśmiała.

– Ależ panie Ryder, jestem o wiele za stara, żeby stać na rozdrożu. Leo spóźnił się o parę lat. Może siedem, osiem lat temu... – Westchnęła i po jej twarzy przemknął wyraz smutku. Potem powrócił na nią pogodny uśmiech. – Nie czas zaczynać wszystko od początku,

z nowym bagażem nadziei, obaw i marzeń. Wiem, zaraz pospieszy pan z zapewnieniem, że nie jestem taka wiekowa, że przede mną jeszcze wiele lat życia, szczerze to doceniam. Ale w rzeczywistości jest już bardzo późno i jakakolwiek zmiana wprowadziłaby... powiedzmy, niepotrzebny bałagan do mojego życia. Ach, ten Mazursky! Zawsze przykuwa moją uwagę! – Wskazała wykonanego z czerwonej glinki kota, którego właśnie mijaliśmy. – Nie, Leo dosyć nabałaganił w moim życiu. Już dawno ułożyłam sobie inne życie i jeśli zapyta pan ludzi z miasta, zapewne większość z nich powie panu, że nieźle sobie radzę i że przysłużyłam się wielu z nich w tych coraz cięższych czasach. Naturalnie moje osiągnięcia nie są na miarę pańskich, panie Ryder, ale to wcale nie znaczy, że nie mogę odczuwać pewnej satysfakcji, gdy spoglądam wstecz i widzę, czego udało mi się dokonać. Tak, ogólnie biorąc, jestem zadowolona z życia bez Leo i wcale mnie nie ciągnie, żeby w nim cokolwiek zmieniać.

– Jakże to, powinna pani chociaż bardzo dokładnie rozważyć obecną sytuację. Nie pojmuję, dlaczego nie chce pani spojrzeć na to jak na nagrodę, że po tych wszystkich dobrych uczynkach może pani dzielić jesień życia z mężczyzną, którego... proszę mi wybaczyć... którego, jak się wydaje, na swój sposób wciąż pani kocha. No bo dlaczego przez te wszystkie lata została pani w tym mieście? Dlaczego nigdy nie pomyślała pani o ponownym zamążpójściu?

– Ależ ja myślałam o ponownym zamążpójściu, panie Ryder. W ciągu tych lat co najmniej trzy razy mogłam się wydać za kogo innego. Ale ci mężczyźni... nie do końca mi odpowiadali. Być może jest trochę racji w tym, co pan mówi. Świadomość, że Leo jest tak blisko, przeszkadzała mi pokochać innych. Zresztą to dawne dzieje. Pyta pan, co chyba zrozumiałe, dlaczego nie miałabym dożyć swoich dni u boku Leo. Zastanówmy się. Leo jest teraz trzeźwy i spokojny. Ale czy długo taki pozostanie? Być może. Tak, to możliwe. Zwłaszcza jeśli zdobędzie tu uznanie i rozgłos, jeśli znów przyjmie na siebie ważne obowiązki. Ale gdybym zgodziła się do niego wrócić, stałoby się inaczej. Po pewnym czasie zapragnąłby zniszczyć wszystko, co zbudował, tak jak poprzednio. W jakiej sytuacji postawi to nas wszystkich i całe miasto? Toteż jestem raczej skłonna uważać, panie Ryder, że moim publicznym obowiązkiem jest odrzucić jego propozycję.

– Proszę mi wybaczyć, panno Collins, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w rzeczywistości własne argumenty nie przekonują pani tak nieodwołalnie, jak by sobie pani życzyła. Że w głębi duszy zawsze pani czekała, czekała pani na powrót do dawnego życia, u boku pana Brodsky'ego. Że całą swoją szlachetną działalność, której ludzie tego miasta bez wątplenia nigdy pani nie zapomną, w gruncie rzeczy traktowała pani jako zajęcie zastępcze na czas oczekiwania.

Panna Collins pochyliła głowę i z rozbawionym uśmiechem zastanawiała się nad moimi słowami.

– Być może w tym, co pan mówi, jest trochę prawdy – powiedziała wreszcie. – Być może nie zdawałam sobie sprawy z upływu czasu. Dopiero ostatnio, dokładnie w ubiegłym roku, uświadomiłam sobie, jak szybko mijają lata. Że oboje się starzejemy i prawdopodobnie jest już za późno, żeby myśleć o odnowieniu naszego związku. Tak, pewnie ma pan rację. Kiedy od niego odchodziłam, nie sądziłam, że to na stałe. Ale czy czekałam, jak pan utrzymuje? Sama nie wiem. Myślałam tylko o sprawach codziennych. A teraz odkrywam, że cały ten czas przemknął niepostrzeżenie. Ale kiedy dzisiaj na to wszystko patrzę, na moje życie i to, jak je sobie ułożyłam, nie wydaje mi się wcale takie złe i chciałabym je tak zakończyć. Po co mi Leo i jego zwierzak? Zbyt wiele komplikacji.

Chciałem bardzo taktownie dać ponownie wyraz swoim wątpliwościom, czy naprawdę wierzy we wszystko, co mówi, gdy pociągnięcie za łokieć uświadomiło mi, że u mego boku stoi Boris.

– Niedługo musimy jechać do domu – powiedział. – Mama zaczyna się denerwować.

Spojrzałem we wskazanym przez niego kierunku. Sophie stała parę kroków od miejsca, w którym ją zostawiłem, zupełnie sama, milcząca. Na jej twarzy błąkał się wątyły uśmiech, skierowany w pustkę. Przygarbiwszy ramiona, wpatrywała się w obuwie grupki gości, którzy stali najbliżej.

Sytuacja była beznadziejna. Hamując swoją wściekłość na całą salę, powiedziałem do Borisa:

– Tak, masz rację. Trzeba jechać. Przyrowadź mamę. Spróbujemy wymknąć się niepostrzeżenie. Zjawiliśmy się, więc nikt nie będzie miał prawa się uskarżać.

Przypomniałem sobie z poprzedniego wieczoru, że dom przylega do hotelu. Podczas gdy Boris zniknął w tłumie, odwróciłem się, by zlustrować rząd drzwi w jednej ze ścian, próbując sobie przypomnieć, przez które z nich wyszedłem ze Stephenem Hoffmanem na hotelowy korytarz. Wówczas to panna Collins, która wciąż trzymała mnie pod ramię, ponownie ruszyła przed siebie, mówiąc:

– Gdybym miała być szczerą, zupełnie szczerą, musiałabym przyznać panu rację. Tak, w chwilach największego oderwania od rzeczywistości marzyłam o tym.

– O czym, panno Collins?

– O tym, co się teraz dzieje. Że Leo się pozbiera i zdobędzie należną mu pozycję w mieście. Że wszystko wróci do normy, a te okropne lata miną jak zły sen. Tak, przyznaję, panie Ryder. Zachowywać za dnia zdrowy rozsądek to jedno, ale nocą... to co innego. Często

budziłam się w środku nocy, leżałam w ciemności i rozmyślałam. Marzyłam, że kiedyś to nastąpi. Ale teraz, gdy marzenie zaczęło się ziszczać, trochę się w tym gubię. Bo, widzi pan, tak naprawdę nic się nie zaczęło. Nie wątpię, że Leo może coś tu osiągnąć, miał kiedyś ogromny talent, niemożliwe, żeby go zupełnie stracił. Bądź co bądź, nigdy przedtem nie dano mu szansy, w naszej ówczesnej sytuacji. Ale co do naszego związku, to jest już za późno. Cokolwiek by wymyślił, jest już zdecydowanie za późno.

– Panno Collins, chętnie omówiłbym z panią całą sprawę dogłębniej, ale, niestety, muszę już iść.

Istotnie, Sophie i Boris zmierzali właśnie w moją stronę. Uwolniwszy się od panny Collins, ponownie zastanowiłem się nad wyborem drzwi, cofając się nieco, żeby objąć wzrokiem także te, które ginęły za zakrętem. Przyglądałem się każdemu drzwiom z osobna, ale wszystkie wydawały mi się znajome i co do żadnych nie mogłem być pewien. Przyszło mi na myśl, żeby się kogoś poradzić, uznałem jednak, że lepiej tego nie robić, aby nie ściągać na siebie uwagi naszym wcześniejszym wyjściem.

Poprowadziłem Sophie i Borisa w stronę drzwi, wciąż pełen wahania. Nie wiadomo dlaczego, zaczęły mnie nachodzić rozmaite sceny z filmów, w których bohater, chcąc ostentacyjnie opuścić salę, otwiera z rozmachem drzwi i ląduje w szafie. Jakkolwiek z całkowicie różnych powodów – chciałem wymknąć się możliwie niepostrzeżenie, tak by później nikt nie był pewien, kiedy to nastąpiło – było równie ważne, bym uniknął podobnej sytuacji.

W końcu wybrałem drzwi najbliżej środka, tylko dlatego, że wyglądały najbardziej okazale. Głębokie filunki zdobiły perłowe inkrustacje, a po obu stronach wznosiły się kamienne kolumny.

Przed każdą kolumną stał kelner w liberii, z miną srogą niczym u żołnierza na warcie. Doszedłem do wniosku, że takie drzwi, choć niekoniecznie muszą nas zawieść prosto do hotelu, na pewno prowadzą do jakiegoś ważnego miejsca, skąd uda nam się odnaleźć właściwą drogę, poza zasięgiem ciekawskich spojrzeń.

Dając Sophie i Borisowi znak ręką, żeby szli za mną, skierowałem się ku upatrzonym drzwiom i kiwnąwszy głową do jednego z mężczyzn w liberii, jakbym chciał powiedzieć: „Proszę się nie fatygować, wiem, co robię”, pociągnąłem za klamkę. I stało się najgorsze: otworzyłem komórkę na szczotki, i to w dodatku przeładowaną. Wysypało się z niej kilka zmywaków na kiju, które z łoskotem upadły na marmurową posadzkę, wzbijając kurz. Zajrzawszy do komórki, zobaczyłem bezładną stertę wiader, tłustych ścier i pojemników z jakimiś płynami w aerozolu.

– Przepraszam – wymamrotałem do bliższego z mężczyzn w liberii, gdy zaczął pośpiesznie zbierać szczotki, i odprowadzany wieloma krytycznymi spojrzeniami rzuciłem się ku sąsiednim drzwiom.

Chcąc uniknąć tego samego błędu, zacząłem otwierać je bardzo powoli i ostrożnie. Chociaż czułem na plecach dziesiątki spojrzeń, chociaż gwar się nasilił, a ktoś powiedział: „Dobry Boże, toż to pan Ryder, nieprawdaż?”, nie uległem panice, tylko pomalutku, centymetr po centymetrze, pociągałem drzwi ku sobie, cały czas zaglądając przez szparę, aby sprawdzić, czy ze środka coś nie wypadnie. Gdy z ulgą stwierdziłem, że drzwi wychodzą na korytarz, szybko przekroczyłem próg i skinąłem na Sophie i Borisa.

## Rozdział 20

Zamknąłem za nimi drzwi i wszyscy troje rozejrzeliśmy się dokoła. Nie bez uczucia triumfu skonstatowałem, że za drugim podejściem trafiłem na właściwe drzwi, staliśmy bowiem w długim, ciemnym korytarzu, który przechodził obok hotelowego salonu i wiódł do holu. Ogłuszeni nieco ciszą, kontrastującą ze zgiełkiem galerii, przez chwilę staliśmy bez ruchu. Wreszcie Boris ziewnął i powiedział:

– To było wyjątkowo nudne przyjęcie.

– Okropne – przyznałem ponownie zdjęty wściekłością na wszystkich obecnych. – Żałosne towarzystwo. Żadnego pojęcia o kulturalnym zachowaniu. – Po czym dodałem: – Mama była zdecydowanie najpiękniejszą kobietą na przyjęciu, prawda, Boris?

Sophie zachichotała w ciemności.

– Tak, tak – rzekłem. – Zdecydowanie najpiękniejszą.

Boris zamierzał właśnie coś powiedzieć, gdy nagle usłyszeliśmy w pobliżu odgłos szurania. Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, dostrzegłem nieco dalej w korytarzu zarys olbrzymiej bestii, która powoli się do nas zbliżała, a każdemu jej ruchowi towarzyszyło szurnięcie. Sophie i Boris zauważyli bestię jednocześnie ze mną i na chwilę wszyscy troje zamarliśmy. Nagle Boris wydał stłumiony okrzyk:

– To dziadek!

Istotnie był to Gustav. Zgięty w pół trzymał jedną walizę pod pachą, drugą za rączkę, a trzecią ciągnął za sobą po posadzce – stąd to szuranie. Przez chwilę wydawało się, że prawie nie posuwa się naprzód, tylko kołysze się w powolnym rytmie.

Boris wybiegł mu radośnie naprzeciw, natomiast Sophie i ja ruszyliśmy za nim z pewnym wahaniem. Gdy byliśmy już blisko, Gustav – zauważając w końcu naszą obecność – zatrzymał się i lekko wyprostował. W ciemności nie widziałem wyrazu jego twarzy, ale głos brzmiał pogodnie:

– Boris. Jaka miła niespodzianka.

– To dziadek! – zawołał powtórnie Boris i zapytał: – Jesteś zajęty?

– Tak, mam mnóstwo pracy.

– Musisz być bardzo zajęty. – Głos Borisa był pełen dziwnego napięcia. – Bardzo, bardzo zajęty.

– Tak – powtórzył Gustav, łapiąc oddech. – Pełne ręce roboty.

Podszedłem do Gustava i powiedziałem:

– Przepraszam, że przeszkadzamy w pracy. Właśnie wyszliśmy z przyjęcia i wracamy do domu. Na dużą kolację.

– Aha – powiedział boy hotelowy, przyglądając się nam. – No to świetnie. Bardzo się cieszę, że widzę was wszystkich razem. – Następnie zwrócił się do wnuka: – Co słychać, Boris? Jak się ma twoja mama?

– Mama jest trochę zmęczona – odparł Boris. – I wszyscy marzymy o kolacji. A potem zagramy w „Wojownika”.

– Brzmi to bardzo zachęcająco. Na pewno spędzicie wspaniały wieczór. No ale... – Gustav zawiesił głos. – Muszę już wracać do pracy. Jesteśmy teraz bardzo zajęci.

Gustav pogłaskał Borisa po głowie, po czym znów zgiął się wpół i zaczął ciągnąć walizę. Chwyciwszy Borisa za rękę, odsunąłem go z drogi Gustava. Czy dlatego, że na niego patrzyliśmy, czy że odzyskał nieco sił podczas krótkiego postoju, tym razem, gdy boy hotelowy mijał nas w ciemności, posuwał się naprzód o wiele płynniej. Zacząłem prowadzić Borisa w stronę holu, ale chłopiec się ociągał, co chwila oglądając się do tyłu w stronę przygarbionej, wciąż widocznej sylwetki dziadka.

– No, chodź już, pospieszmy się – powiedziałem, obejmując go ramieniem. – Wszyscy umieramy z głodu.

Ruszyłem dalej, lecz zaraz dobiegł z tyłu głos Sophie:

– Nie tam, tędy.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi pochylona nad niedużymi drzwiami, których przedtem w ogóle nie zauważyłem. Zresztą nawet gdybym je zauważył, wziąłbym je za drzwi od jakiejś szafki, gdyż sięgały mi tylko do ramion. Lecz Sophie czekała cierpliwie przy otwartych drzwiach, a Boris, z miną kogoś, kto robił to już mnóstwo razy, przekroczył próg. Sophie wciąż czekała i po chwili wahania ja także schyliłem się i wśliznąłem za Borisem.

Wcale bym się nie zdziwił, gdybym się musiał posuwać dalej na czworakach w ciemnym tunelu, tymczasem znalazłem się w innym korytarzu, trochę nawet przestronniejszym niż ten, który właśnie opuściliśmy. Był on zapewne przeznaczony tylko dla personelu: na posadzce nie było chodnika, a wzdłuż ścian biegły rury. Znów ogarnęła nas prawie zupełna ciemność, choć trochę dalej podłogę przecinała smuga elektrycznego światła. Ruszyliśmy w jego stronę, ale wkrótce potem Sophie znów się zatrzymała i popchnęła drzwi przeciwpożarowe. Po chwili staliśmy już na cichej uliczce, oddychając świeżym powietrzem.

Noc była pogodna, na niebie iskrzyły się gwiazdy. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że

uliczka jest zupełnie pusta, a wszystkie sklepy są zamknięte. Kiedy ruszyliśmy przed siebie, Sophie powiedziała lekkim tonem:

– Co za zbieg okoliczności, że spotkaliśmy dziadka, prawda, Boris?

Boris nie odpowiedział. Szedł przed nami, mruczając coś pod nosem.

– Ty także musisz być bardzo głodny – zwróciła się do mnie. – Mam nadzieję, że wystarczy jedzenia. Gotowanie tych wszystkich drobiazgów tak mnie pochłonęło, że zapomniałam przyrządzić coś konkretnego. Po południu wydawało mi się, że będzie tego aż nadto, ale gdy teraz o tym myślę...

– Nie nudź, na pewno starczy – powiedziałem. – Zresztą właśnie na to mam ochotę. Na wiele różnych rzeczy po trochu. Wcale się nie dziwię Borisowi, że lubi takie jedzenie.

– Kiedy byłam mała, tak wyglądały nasze kolacje na szczególne okazje. Nie zwykłe urodziny czy Boże Narodzenie, wtedy notowaliśmy jak wszyscy. Gdy jednak mieliśmy ochotę spędzić zupełnie wyjątkowy wieczór tylko we troje, mama tak właśnie robiła. Mnóstwo pyszności, jedna po drugiej. Ale potem się przeprowadziliśmy i mama podupała na zdrowiu. Od tamtej pory nie zdarzało się to często. Mam nadzieję, że wystarczy. Obaj musicie być bardzo głodni. – Nagle dodała: – Przepraszam, nie wypadłam dziś rewelacyjnie, prawda?

Znów ujrzałem, jak stoi bezradnie, samotna w środku tłumu, i czule objąłem ją ramieniem. Przytuliła się do mnie i przez kilka następnych minut szliśmy w ten sposób po opustoszałych uliczkach, nic nie mówiąc. W pewnej chwili Boris zrównał się z nami i zapytał:

– Czy dzisiaj mogę jeść na sofie?

Sophie namyślała się przez chwilę.

– Zgoda, ale tylko dziś przy kolacji.

Boris szedł jeszcze chwilę obok nas, po czym zapytał:

– Czy mogę jeść, leżąc na podłodze?

Sophie się zaśmiała.

– Tylko dzisiaj. Jutro przy śniadaniu znów musisz siedzieć przy stole.

Boris wydawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią i pełen zapału wybiegł parę kroków do przodu.

Wreszcie zatrzymaliśmy się przed drzwiami wciśniętymi między zakład fryzjerski a piekarnię. Nie dość, że uliczka była wąska, to jeszcze sporo miejsca zajmowały zaparkowane na chodniku samochody. Gdy Sophie przebierała w kluczach, spojrzałem do góry i zobaczyłem, że nad zakładem fryzjerskim i sklepem wznoszą się jeszcze cztery piętra. W niektórych oknach paliło się światło i dały się słyszeć niewyraźne dźwięki telewizora.

Wspiałem się za nimi na drugie piętro. Kiedy Sophie otwierała drzwi wejściowe, zaczęło mnie nurtować pytanie, jak właściwie mam się zachowywać: jak domownik czy może raczej jak gość. Gdy wchodziliśmy do środka, postanowiłem bacznie obserwować zachowanie Sophie i na tej podstawie wyciągnąć stosowne wnioski. Tymczasem gdy tylko zamknęła za nami drzwi, oświadczyła, że musi włączyć piekarnik, i zniknęła w głębi mieszkania. Boris natomiast zrzucił kurtkę i ruszył biegiem, naśladowując dźwięk syreny policyjnej.

Pozostawiony samemu sobie skorzystałem z okazji, żeby się rozejrzeć. Jedno nie ulegało wątpliwości: zarówno Sophie, jak i Boris zakładali, że miejsce to nie jest mi obce. Istotnie, im dłużej patrzyłem na kilkoro uchylonych drzwi, na pożółkłą tapetę z ledwo widocznym wzorkiem roślinnym, na odkryte rury, biegnące z tyłu za wieszakiem od podłogi po sufit, tym wyraźniej rysował mi się w pamięci obraz tego przedpokoju.

Po kilku minutach wszedłem do salonu. Choć nie wszystko w nim poznałem – para starych, zapadłych foteli po obu stronach nieczynnego kominka z całą pewnością pojawiła się tu niedawno – miałem wrażenie, że salon zachował się w mojej pamięci o wiele lepiej niż przedpokój. Duży, owalny stół pod ścianą, drugie drzwi prowadzące do kuchni, ciemna, bezkształtna kanapa, wytarty pomarańczowy dywan – wszystko to na pewno nie było mi obce. Zawieszona u sufitu lampa – jedna żarówka osłonięta perkalem – oświetlała pokój w taki sposób, że układ cieni nie pozwalał mi definitywnie stwierdzić, czy tu i ówdzie na tapecie nie tworzą się wilgotne plamy. Boris leżał na dywanie i gdy wszedłem dalej, obrócił się na plecy.

– Postanowiłem zrobić eksperyment – oświadczył, zwracając się bardziej do sufitu niż do mnie. – Zamierzam chodzić z taką szyją.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że wtulił głowę w ramiona, przyciskając brodę do obojczyka.

– Rozumiem. Jak długo?

– Co najmniej jedną dobę.

– W porządku.

Przekroczyłem go i wszedłem do kuchni. Było to długie, wąskie pomieszczenie, bez wątpienia również mi znane. Oblepione brudem ściany, strzępy pajęczyn pod gzymsem, ledwo trzymająca się kupy pralka – wszystko to nachalnie budziło we mnie wspomnienia. Sophie klęczała w fartuchu przed piekarnikiem i coś w nim układała. Kiedy stanąłem w progu, podniosła na mnie oczy, powiedziała coś na temat jedzenia, wskazała na piekarnik i zaśmiała się wesoło. Ja też się zaśmiałem, po czym jeszcze raz ogarnąwszy kuchnię

spojrzeniem, wróciłem do salonu.

Boris wciąż leżał na podłodze i na mój widok szybko wtulił głowę w ramiona. Usiadłem na kanapie, nie zwracając na niego uwagi. W pobliżu na dywanie leżała gazeta. Sięgnąłem po nią w nadziei, że znajdę tam swoje zdjęcia. Okazało się, że gazeta pochodzi sprzed kilku dni, ale mimo to postanowiłem się w nią zagłębić. Podczas gdy czytałem artykuł wstępny – von Winterstein udzielał wywiadu na temat planów odnowy Starego Miasta – Boris wciąż leżał bez słowa na dywanie, wydając od czasu do czasu dźwięki naśladujące robota. Za każdym razem gdy na niego zerknąłem, udawał, że ma bardzo krótką szyję. Postanowiłem się do niego nie odzywać, przynajmniej dopóki nie skończy tej idiotycznej zabawy. Nie potrafiłem stwierdzić, czy kurczy szyję, gdy się domyślał, że zaraz na niego spojrzę, czy też przez cały czas trzymał ją w tej pozycji – zresztą szybko przestało mnie to obchodzić. Niech sobie leży, myślałem i czytałem dalej.

Wreszcie, mniej więcej po dwudziestu minutach, Sophie weszła do pokoju, niosąc duży talerz pełen jedzenia. Zauważyłem *vol-au-vents*<sup>\*</sup>, pikantne klopsiki, babeczki, wszystko to niewielkich rozmiarów, ale w większości bardzo wymyślne. Sophie postawiła talerz na stole.

– Co tu tak cicho? – spytała, spoglądając to na mnie, to na Borisa. – Chodźcie, pora na naszą ucztę. Spójrz, Boris. Jest jeszcze jeden taki talerz. Same twoje ulubione rzeczy. Pójdę teraz po resztę, a ty możesz w tym czasie wybrać grę planszową, w którą zagramy.

Gdy tylko Sophie zniknęła za drzwiami, Boris zerwał się na równe nogi, podszedł do stołu i wepchnął sobie do ust babeczkę. Miałem ochotę zauważyć, że jego szyja wróciła do normalnej pozycji, ale ostatecznie zmilczałem i czytałem dalej. Boris znów zawył jak syrena policyjna, przeciął pędem pokój i zatrzymał się przed wysoką szafką w przeciwnym rogu. Pamiętałem, że w szafce tej przechowuje się wszystkie gry planszowe. Szerokie, płaskie pudełka leżały niepewnie na stercie innych zabawek i różnych kłopotów. Boris przyglądał się szafce przez chwilę, a potem z rozmachem otworzył drzwiczki.

– W co zagramy? – spytał.

Udałem, że nie słyszę, i czytałem dalej. Kątem oka widziałem, jak odwraca się w moją stronę, po czym – domyślając się, że nie zamierzam odpowiedzieć – przenosi wzrok z powrotem na szafkę. Przez jakiś czas kontemplował stertę gier, raz po raz wyciągając rękę, by dotknąć tego czy innego pudełka.

Sophie wróciła do pokoju z nowym zestawem potraw. Podczas gdy stawiała to

---

\* Ciasto francuskie z mięsem mięsne rogate

wszystko na stole, Boris podszedł do niej i usłyszałem ich cichą sprzeczkę.

– Powiedziałaś, że mogę jeść na podłodze – upierał się Boris.

Po chwili znów klapnął przede mną na dywan, stawiając przed sobą wypełniony po brzegi talerz.

Wstałem i podszedłem do stołu. Kiedy wziąłem talerz do ręki i obrzuciłem potrawy wzrokiem, Sophie utkwiała we mnie niespokojne spojrzenie.

– Wygląda wspaniale – powiedziałem, nakładając sobie na talerz wszystkiego po trochu.

Kiedy wróciłem na kanapę, odkryłem, że stawiając talerz na poduszce obok siebie, mogę jeść, nie przerywając lektury. Już wcześniej postanowiłem przestudiować gazetę bardzo uważnie, nie wyłączając reklam lokalnych firm, i teraz realizowałem swój plan, co jakiś czas sięgając do talerza bez konieczności odrywania oczu od tekstu.

Sophie usiadła na podłodze obok Borisa i od czasu do czasu zadawała mu jakieś pytanie – jak mu smakuje bułka nadziewana mięsem albo co myśli o jakimś koleźce ze szkoły. Ale za każdym razem, gdy próbowała nawiązać rozmowę, Boris miał w ustach zbyt wiele jedzenia, aby wydać z siebie coś więcej niż mruknięcie.

– I co, wybrałeś jakąś grę? – zapytała go Sophie.

Czułem, że spojrzenie chłopca wędruje w moją stronę.

– Wszystko mi jedno, w co zagramy – odparł cicho.

– Wszystko ci jedno? – W głosie Sophie brzmiało niedowierzanie. Nastąpiła dłuższa pauza, po czym Sophie powiedziała: – Dobrze, w takim razie sama wybiorę. – Usłyszałem, że wstaje. – Zaraz coś znajdę.

Strategia ta okazała się skuteczna, gdyż Boris wstał i z ożywieniem poszedł za matką w stronę szafki. Słyszałem, jak naradzają się ściszymi głosami, jakby nie chcieli mi przeszkadzać w czytaniu. Wreszcie wrócili na swoje miejsca i usiedli.

– Zaczniemy od razu – powiedziała Sophie. – Możemy jeść i grać jednocześnie.

Kiedy po chwili na nich zerknąłem, plansza leżała na podłodze, a Boris z zapałem rozkładał karty i plastikowe żetony. Toteż zdziwiłem się nieco, gdy kilka minut później usłyszałem słowa Sophie:

– Co się stało? Przecież sam ją wybrałeś.

– Wybrałem.

– No to o co chodzi?

Po chwili milczenia Boris odparł:

– Jestem zbyt zmęczony. Tak jak tata.

Sophie westchnęła i nagle powiedziała pogodniejszym tonem:

– Boris, tata coś ci kupił.

Nie mogłem się oprzeć pokusie, by zerknąć na nich zza gazety. Łowiąc moje spojrzenie, Sophie posłała mi konspiracyjny uśmiech.

– Czy mogę mu to teraz dać?

Ponieważ nie miałem pojęcia, o czym mówi, w odpowiedzi spojrzałem na nią pytająco. Ale Sophie wstała i wyszła z pokoju, a po chwili wróciła, niosąc w górze podniszczony podręcznik „złotej rączki”, który kupiłem poprzedniego wieczoru w kinie. Boris, zapomniawszy o swoim rzekomym zmęczeniu, skoczył na równe nogi, ale Sophie, chcąc się z nim trochę podroczyć, zrobiła unik.

– Wczoraj tato i ja spędzaliśmy razem wieczór – powiedziała. – Było cudownie i w samym środku zabawy tato pomyślał o tobie i kupił ci prezent. Jeszcze nie masz czegoś takiego, prawda?

– Nie wmawiaj mu, że to taka wspaniała rzecz – odezwałem się zza gazety. – To tylko stary podręcznik.

– Bardzo miło z jego strony, nie sądzisz?

Znów zerknąłem na nich ukradkiem. Sophie dała już Borisowi książkę, a on opadł na kolana, żeby ją obejrzeć.

– Ale fajna – pomrukiwał, przeglądając jej zawartość. – Ekstra! – Zatrzymał się na jednej ze stron i przez dłuższą chwilę nie odrywał od niej oczu. – Wszystkiego uczy.

Przerzucił jeszcze parę kartek, a wtedy coś pękło z trzaskiem i książka rozpadła się na dwie części. Boris jednak wciąż ją kartkował, jak gdyby nic się nie stało. Sophie zaczęła już sięgać po książkę, ale widząc reakcję Borisa, cofnęła rękę i się wyprostowała.

– Wszystkiego uczy – powiedział Boris. – Naprawdę świetna.

Miałem wyraźne wrażenie, że zwraca się do mnie, ale czytałem dalej. Po kilku sekundach usłyszałem łagodny głos Sophie:

– Przyniosę taśmę klejącą, tylko tego jej trzeba.

Nie odrywając wzroku od gazety, usłyszałem, jak Sophie wychodzi z pokoju. Kątem oka widziałem, że Boris ciągle kartkuje książkę. Po chwili podniósł na mnie oczy i rzekł:

– Istnieje specjalna szczotka do klejenia tapet.

Czytałem dalej. Wreszcie do pokoju wróciła Sophie.

– Dziwne, ale nigdzie nie mogę znaleźć taśmy klejącej – mruknęła.

– To świetna książka – powiedział do niej Boris. – Pokazuje tyle różnych rzeczy.

– Dziwne, może zużyliśmy ją do końca. – Sophie ponownie wyszła do kuchni.

Przypomniało mi się mgliście, że kilka rolek taśmy klejącej znajduje się w tej samej szafce co gry, w jednej z szufladek w prawym dolnym rogu. Miałem już zamiar odłożyć gazetę i podejść do szafki, żeby jej poszukać, ale w tym momencie do pokoju znów weszła Sophie.

– Drobnostka – powiedziała. – Jutro rano kupię taśmę klejącą i naprawimy książkę. A teraz chodź, Boris, najwyższy czas zacząć grę, inaczej nie mamy szans, żeby skończyć jeszcze dzisiaj.

Boris nie odpowiadał. Słyszałem, że wciąż leży na dywanie i przerzuca strony.

– No cóż, jeśli nie masz ochoty, zacznę sama – oznajmiła Sophie.

Po chwili rozległ się grzechot kostki w kubeczku. W miarę jak pochłaniałem kolejne szpalty, zrobiło mi się jej trochę żal z powodu dotychczasowego przebiegu wieczoru. Ale wywoławszy tyle zamętu, musiała się przecież liczyć z tym, że przyjdzie nam jakoś zań zapłacić. Ponadto nie wzniosła się bynajmniej na szczyty swoich kulinarnych możliwości. Nie postarała się na przykład o sardynki na trójkątnych grzankach ani o kiełbaski zasmażane z serem. Nie przyrządziła omletu ani ziemniaków nadziewanych żółtym serem, ani ciastek rybnych. Zabrakło też nadziewanej papryki, kostek chleba z pastą sardelową, pociętego wzdłuż ogórka, a nawet jajka na twardo skrojonego w zygzakowate kawałki. Na deser zaś nie przygotowała siekanych śliwek, rurek z kremem ani nawet rolady truskawkowej.

Powoli dotarło do mnie, że Sophie potrząsa kostką nienormalnie długo i że zmienił się charakter grzechotu. Teraz potrząsała kubeczkiem wolno i niezbyt energicznie, jakby w rytm jakiejś melodii, rozbrzmiewającej w jej głowie. Zaniepokojony opuściłem gazetę.

Sophie siedziała na podłodze, podpierając się jedną ręką, tak że włosy opadały jej przez ramię, całkowicie zasłaniając twarz. Zdawała się bez reszty pochłonięta grą. Dziwnie pochylona do przodu niemalże wisiała nad planszą, kołysząc lekko całym ciałem. Boris przyglądał się jej z posępną miną, gładząc grzbiet książki w miejscu złamania.

Sophie wciąż potrząsała kostką – trzydzieści, czterdzieści sekund – aż w końcu wyrzuciła ją z kubeczka. Kiedy kostka się zatrzymała, Sophie obejrzała ją w zadumie, przesunęła kilka pionków na planszy, po czym znów zaczęła potrząsać kubeczkiem z kostką w środku. Wyczuwając jakieś niebezpieczeństwo, uznałem, że pora się włączyć. Cisnąwszy gazetę na bok, klasnąłem w ręce i wstałem.

– Muszę wracać do hotelu – oznajmiłem. – A wam dobrze radzę, kładźcie się zaraz do łóżka. To był długi dzień dla nas wszystkich.

Wychodząc do przedpokoju, zauważyłem zdziwienie na twarzy Sophie. Po chwili zjawiała się za mną.

– Już idziesz? Najadłeś się chociaż?

– Przepraszam, wiem, ile zadałaś sobie trudu, żeby przygotować kolację. Ale zrobiło się późno, a jutro czeka mnie pracowity dzień.

Sophie westchnęła i jakby pomarkotniała.

– Przepraszam – powiedziała. – Wieczór nie wypadł zbyt dobrze. Przepraszam.

– Nie przejmuj się, to nie twoja wina. Wszyscy byliśmy dosyć zmęczeni. A teraz naprawdę muszę już iść.

Sophie wypuściła mnie z posępną miną, obiecując, że zadzwoni do mnie następnego ranka.

\* \* \*

Przez kilka minut błąkałem się po pustych ulicach, usiłując przypomnieć sobie drogę powrotną do hotelu. W końcu rozpoznałem jedną z ulic i wkrótce potem zacząłem się napawać ciszą i samotnością, wsłuchując się jedynie we własne myśli i własne kroki. Nie minęło jednak wiele czasu, gdy znów ogarnął mnie żal, że wieczór zakończył się tak, a nie inaczej. Ale też Sophie – prócz tylu innych rzeczy – bezsprzecznie udało się rozbić mój starannie zaplanowany rozkład zajęć w drobne kawałki. I oto dobiegał końca drugi dzień mojej wizyty w mieście, a moje rozeznanie w sprawie kryzysu, który przybyłem zbadać, pozostawało nader niepełne. Przypomniałem sobie, że nie pozwolono mi nawet spotkać się rano z hrabiną i burmistrzem, przez co straciłem okazję, aby wysłuchać w końcu płyt z nagraniami Brodsky’ego. Naturalnie miałem jeszcze sporo czasu, żeby nadrobić straty. Nadal czekało mnie parę ważnych spotkań – na przykład z Obywatelską Grupą Wzajemnego Wsparcia – które na pewno dadzą mi pełniejszy obraz sytuacji. Niemniej jednak z całą pewnością sprawy zaczynały się powoli nawarstwiać i Sophie nie miała prawa się skarżyć, że nie zakończyłem tego dnia w najlepszym z możliwych nastrojów.

Z głową pełną tych wszystkich myśli wstąpiłem na kamienny mostek. Kiedy zatrzymałem się, aby popatrzeć w dół na wodę i na rząd latami wzdłuż brzegu kanału, przyszło mi na myśl, że wciąż jeszcze mogę przyjąć zaproszenie panny Collins. Niewątpliwie dała mi do zrozumienia, że może ogromnie mi pomóc, i teraz, gdy mój czas stał się jeszcze bardziej ograniczony, doszedłem do wniosku, że rozmowa z nią znacznie posunęłaby sprawy naprzód, dostarczając mi prawie wszystkich potrzebnych informacji, które sam byłbym do tej pory zebrał, gdyby Sophie nie weszła mi w drogę. Znowu przypomniał mi się salon panny Collins, aksamitne zasłony i sfatygowane meble, i poczułem nagłe pragnienie, żeby się tam zaraz znaleźć. Ruszyłem dalej i schodząc z mostka w ciemną uliczkę, powziąłem mocne postanowienie, że rankiem następnego dnia złożę jej wizytę przy pierwszej sposobności.

# CZEŚĆ III

# Rozdział 21

Kiedy się obudziłem, przez pionowe żaluzje wlewała się do pokoju jasność dnia. Ogarnął mnie paniczny lęk, że zmarnowałem większą część poranka, potem jednak przypomniałem sobie powzięty poprzedniego wieczoru zamiar odwiedzenia panny Collins i już spokojniej wstałem z łóżka.

Nowy pokój był mniejszy i zdecydowanie bardziej duszny niż poprzedni i jeszcze raz odezwała się we mnie złość na Hoffmana za to, że zmusił mnie do przeprowadzki. Sprawa pokoi jednak nie wydawała mi się już tak istotna jak dzień wcześniej i kiedy myłem się i ubierałem, bez trudu skupiłem się na czekającym mnie ważnym spotkaniu z panną Collins, od którego tak wiele teraz zależało. Przestałem sobie wyrzucać, że za długo spałem – zdawałem sobie sprawę, że na dłuższą metę sen okaże się zbawienny – i wychodząc z pokoju, myślałem już tylko o dobrym śniadaniu, podczas którego będę mógł się zastanowić, jakie tematy poruszyć w rozmowie z panną Collins.

Ku mojemu zdziwieniu na dole przywitało mnie buczenie odkurzacza. Drzwi do sali śniadaniowej były zamknięte i kiedy lekko je uchyliłem, zobaczyłem, że krzesła i stoły zsunięto pod ścianę, a dwie kobiety w fartuchach odkurzają dywan. Perspektywa odbycia tak ważnego spotkania bez śniadania nie napawała mnie radością i wróciłem do holu w cokolwiek złym humorze. Minąwszy grupę amerykańskich turystów, podszedłem do recepcji. Recepcjonista siedział i czytał gazetę, ale na mój widok się podniósł.

– Dzień dobry, panie Ryder.

– Dzień dobry. Jestem dosyć rozczarowany, że nie można zjeść śniadania.

Recepcjonista wydawał się zakłopotany, zaraz jednak powiedział:

– Normalnie nie byłoby problemu z podaniem śniadania o tej porze. Dziś jednak z wiadomych przyczyn duża część obsługi pomaga przygotować salę koncertową. Sam pan Hoffman siedzi tam od wczesnych godzin rannych. Obawiam się, że mamy do dyspozycji zaledwie połowę personelu. Niestety, atrium również musi pozostać zamknięte do pory lunchu. Naturalnie, jeśli chodzi o kawę i kilka rogalików...

– Nie ma o czym mówić – odparłem chłodno. – Mam za mało czasu, żeby czekać, aż coś zorganizujecie. Będę się musiał obyć bez śniadania.

Recepcjonista znów zaczął mnie przeproszać, ale przerwałem mu machnięciem ręki i

się oddaliłem.

\* \* \*

Wyszedłem z hotelu wprost na zalaną słońcem, ruchliwą ulicę. Dopiero gdy uszedłem kawałek, uświadomiłem sobie, że nie bardzo wiem, gdzie mieszka panna Collins. Kiedy Stephan zawiózł nas pod jej mieszkanie, nie uważałem na drogę, a poza tym na ulicach było teraz tyle pieszych i pojazdów, że trudno było cokolwiek rozpoznać. Przystanąłem na moment na chodniku, zastanawiając się, czy zapytać o drogę jakiegoś przechodnia. Panna Collins była chyba wystarczająco znaną osobą w mieście, bym miał szansę powodzenia. Zamierzałem właśnie zatrzymać mężczyznę w urzędowym garniturze, który zbliżał się z naprzeciwka, gdy nagle ktoś dotknął mojego ramienia.

– Dzień dobry panu.

Odwróciłem się i ujrzałem Gustava, który trzymał przed sobą karton tak wielkich rozmiarów, że prawie zupełnie zakrywał górną część jego ciała. Dyszał ciężko, ale trudno powiedzieć, czy na skutek obciążenia, czy też dlatego, że mnie gonił. Pozdrowiłem go i zapytałem, dokąd idzie. Dopiero po chwili zdołał wykrztusić odpowiedź.

– Niosę to do sali koncertowej – powiedział. – Wszystkie większe sprzęty przewieziono wczoraj furgonetką, ale zostało jeszcze sporo rzeczy. Już od świtu krążę między hotelem a salą koncertową. Wszyscy są tam bardzo podekscytowani, mówię panu. Czuć atmosferę.

– Cieszę się – odparłem. – Ja także z niecierpliwością oczekuję tego wieczoru. Ale teraz chciałbym pana prosić o pomoc. Widzi pan, jestem umówiony z panną Collins na spotkanie w jej mieszkaniu, ale chyba się trochę zgubiłem.

– Z panną Collins? To całkiem blisko. Tędy, zaprowadzę pana. Ach nie, proszę się nie martwić, to po drodze.

Karton był zapewne lżejszy, niż się zdawało, gdyż kiedy ruszyliśmy naprzód, Gustav narzucił rozsądne tempo.

– Prawdę mówiąc, spadł mi pan z nieba – ciągnął – chciałem bowiem omówić z panem pewną sprawę. Właściwie nosiłem się z tą myślą, odkąd pana poznałem, ale wcześniej nie było stosownej okazji, żeby zapytać, a czasu zostało już niewiele, temat wypłynął parę tygodni temu, na jednym z naszych niedzielnych spotkań, niedługo po tym, jak dowiedzieliśmy się o pańskim przyjeździe. Mówiło o tym całe miasto i my, naturalnie, również. I wtedy ktoś, chyba Gianni, powiedział, że musi pan być bardzo przyzwoitym człowiekiem, zupełnie niepodobnym do tych wszystkich kapryśnych gwiazd, skoro interesuje się pan losami zwykłych obywateli. Siedzieliśmy zatem w krąg przy naszym stoliku, w ośmiu

czy dziewięciu... nie było wtedy Josefa... patrząc, jak nad placem zachodzi słońce, i chyba wszyscy myśleliśmy o tym samym. Z początku milczeliśmy, nikt bowiem nie śmiał wypowiedzieć tego na głos. W końcu Karl... to do niego podobne... powiedział to, co nurtowało nas wszystkich: „A może by go poprosić? Co mamy do stracenia? Powinniśmy chociaż spróbować. Wszystko wskazuje na to, że jest zupełnie inny niż ten drugi. Kto wie, może się nawet zgodzi. Powinniśmy chociaż spróbować”. Nagle wszyscy zaczęliśmy nad tym deliberować i od tamtej pory ani razu się nie zdarzyło, byśmy się spotkali na dłużej i nie poruszyli tego tematu. Mówimy o czym innym, śmiejemy się i nagle zapada milczenie i wiemy, że znów każdy o tym myśli. Toteż powoli zaczynało mnie to gnębić, myślałem: widziałem pana kilka razy, miałem zaszczyt z panem rozmawiać, a mimo to nie zdobyłem się na przedstawienie naszej prośby. Teraz od tego wielkiego wydarzenia dzieli nas zaledwie parę godzin, a sprawy wciąż stoją, jak stały. Jak miałbym się z tego wytłumaczyć chłopcom w niedzielę? Więc tego ranka powiedziałem sobie: muszę odnaleźć pana Rydera i przynajmniej przedłożyć mu naszą prośbę, chłopcy na mnie liczą. Ale potem miałem pełne ręce roboty, a pan musiał być bardzo zajęty, bałem się więc, że się już nie spotkamy. Teraz pan rozumie, dlaczego tak bardzo ucieszyłem się na pański widok. Mam nadzieję, że zechce pan wysłuchać naszej prośby. Oczywiście, jeśli uzna pan, że prosimy o rzecz niemożliwą, na tym koniec całej sprawy, chłopcy na pewno się z tym pogodzą.

Skręciliśmy w ruchliwy bulwar. Gustav umilkł i nie odezwał się, dopóki nie przeszliśmy na światłach na drugą stronę ulicy. Kiedy mijaliśmy rząd włoskich kawiarni, powiedział:

– Na pewno się pan domyśla, o co chodzi. Prosimy tylko o małą wzmiankę.

– O wzmiankę?

– Tylko o małą wzmiankę. Jak panu wiadomo, wielu z nas od lat usiłuje zmienić stosunek mieszkańców tego miasta do naszej profesji. Może widoczne są jakieś efekty, ale ogólnie biorąc, niewiele udało nam się zdziałać i jak można się domyślać, zaczynamy się poddawać frustracji. Przecież żaden z nas nie cofa się w latach. Dręczy nas obawa, że zostanie tak już na zawsze. Lecz wystarczyłoby jedno słowo z pańskich ust, właśnie dziś, żeby zmienić bieg wydarzeń. Mogłoby się to okazać punktem zwrotnym w historii naszej profesji. Tak sądzą chłopcy. Niektórzy z nich są przekonani, że jest to nasza ostatnia szansa, przynajmniej w naszym pokoleniu. „Kiedy powtórzy się taka okazja?”, pytają ciągle. Oto nasza prośba. Naturalnie, jeśli nie uzna pan tego za stosowne, w pełni zrozumieć pański punkt widzenia, w końcu przybył pan tutaj, żeby się zająć bardzo ważnymi zagadnieniami, a to, o czym mówię, to sprawa niewielkiej wagi. Owszem, ważna dla nas, ale obiektywnie na to

patrząc, dość nieistotna. Jeśli zatem uzna pan, że to niemożliwe, proszę powiedzieć, a nie usłyszy pan ani słowa więcej na ten temat.

Namyślałem się przez chwilę, świadom, że Gustav obserwuje mnie bacznie zza kartonu.

– Proponuje pan – powiedziałem po chwili – żebyśmy napomknął o was w moim... w moim orędziu do mieszkańców miasta.

– Najwyżej parę słów, proszę pana.

Myśl, że mogę w ten sposób przyjść z pomocą starszemu boyowi hotelowemu i jego kolegom, była niewątpliwie kusząca. Zastanawiałem się przez chwilę, po czym odparłem:

– Czemu nie. Chętnie zabiorę głos w waszej sprawie.

Kiedy moje słowa dotarły do niego, Gustav wziął głęboki oddech.

– Będziemy panu dozgonnie wdzięczni – powiedział cicho.

Zamierzał mówić dalej, ale nagle opanowała mnie przekorna ochota, by nie dać mu przez jakiś czas wyrazić swojej wdzięczności.

– Tak, zastanówmy się, jak można to zrobić – wpadłem mu w słowo, udając zamyślenie. – Podchodząc do podium, mógłbym powiedzieć: „Zanim przejdę do meritum, pozwolę sobie napomknąć o pomniejszej, acz istotnej sprawie”. Coś w tym rodzaju. Tak, to będzie proste. – Nagle stanął mi przed oczami obraz krzepkich, starszych mężczyzn, którzy siedzą przy kawiarnianym stoliku i z wyrazem niedowierzania i bezmiernej radości na twarzach słuchają relacji Gustava. Zobaczyłem, jak cicho i skromnie dołączam do ich grona, a ich spojrzenia zwracają się w moją stronę. Cały czas pamiętałem, że Gustav idzie obok mnie, na pewno paląc się, by dokończyć swoje podziękowania, niemniej ciągnąłem: – Tak. „Pomniejsza, acz istotna sprawa”, tak właśnie powiem. „Od wielu miast świata, które widziałem, odróżnia was jedna nadzwyczajna rzecz...”. Może „nadzwyczajna” to za mocne słowo. Może lepiej będzie powiedzieć: „szczególna”.

– Tak – wtrącił Gustav – „szczególna” w zupełności wystarczy. Nie chcemy wzniecać antagonizmów. Właśnie dlatego jest pan dla nas jedyną i niepowtarzalną okazją. Widzi pan, nawet jeśli w ciągu najbliższych kilku lat jakaś sławna osoba zgodzi się odwiedzić nasze miasto i nawet jeśli udałoby się nam ją namówić, by się za nami opowiedziała, jakie istnieje prawdopodobieństwo, że będzie ona miała pańskie wyczucie taktu? „Szczególna” to idealne słowo.

– Tak – ciągnąłem. – Potem może zrobię krótką pauzę, patrząc na nich z lekką naganą, tak by cała sala się uciszyła i czekała na ciąg dalszy. W końcu powiem, niech pomyślę, powiem coś w rodzaju: „Panie i panowie, wam, którzy mieszkacie tu od tylu lat, pewne

sprawy mogą się wydawać zupełnie naturalne, lecz komuś z zewnątrz natychmiast rzucają się w oczy... ”.

Nagle Gustav się zatrzymał. W pierwszej chwili pomyślałem, że zmusiła go do tego nieprzeparta chęć wyrażenia mi swoich podziękowań, kiedy jednak na niego spojrzałem, okazało się, że powód był innej natury. Gustav stał nieruchomo na chodniku, z głową pochyloną w bok i policzkiem przyciśniętym do bocznej ściany pudła. Zaciśnął powieki i lekko zmarszczył brwi, jakby dokonywał w myślach skomplikowanego obliczenia. Gdy mu się przyglądałem, jego jabłko Adama zaczęło się powoli poruszać w górę i w dół – raz, drugi, trzeci.

– Dobrze się pan czuje? – zapytałem, kładąc rękę na jego plecach. – Mój Boże, pan powinien gdzieś usiąść.

Chciałem odebrać od niego pudło, ale Gustav nie rozluźnił uścisku.

– Nie, nie – powiedział, nie otwierając oczu. – Wszystko w porządku.

– Jest pan pewien?

– Tak, tak, wszystko w porządku. – Stał nieruchomo jeszcze przez parę sekund, po czym otworzył oczy, rozejrzał się i ruszył dalej. – Nie ma pan pojęcia, ile to dla nas znaczy – rzekł, zrobiwszy parę kroków. – Po tych wszystkich latach. – Pokręcił głową z uśmiechem. – Przekażę chłopcom tę wiadomość przy pierwszej okazji. Dziś rano mam mnóstwo pracy, ale wystarczy jeden telefon do Josefa, on już powiadomi resztę. Czy może pan sobie wyobrazić ich szczęście? O, tutaj powinien pan skrócić. Ja muszę iść trochę dalej. Ach nie, proszę się o mnie nie martwić, czuję się wyśmienicie. Jak pan wie, panna Collins mieszka tam, po prawej stronie. No cóż, nie wiem, jak panu dziękować. Chłopcy będą oczekiwać dzisiejszego orędzia jak zbawienia, jestem tego pewien.

Życząc mu dobrego dnia, skręciłem we wskazaną przez niego uliczkę. Kiedy obejrzałem się po kilku krokach, Gustav wciąż stał na rogu, obserwując mnie zza kartonu. Widząc, że się odwracam, pokiwał zamaszyście głową – pudło nie pozwalało mu pomachać ręką – i poszedł dalej swoją drogą.

\* \* \*

Na ulicy, w którą skręciłem, dominowały budynki mieszkalne. Za rzędem wieżowców ulica nabierała spokojniejszego charakteru i ujrzałem tam kamienice z balkonami w hiszpańskim stylu, które pamiętałem z wieczoru, gdy przywiózł nas tutaj Stephan. Ciągnęły się jedna za drugą i kiedy mijałem je kolejno, zacząłem się obawiać, że nie rozpoznam tej, przed którą wówczas czekaliśmy z Borisem w samochodzie. Ale potem zatrzymałem się przed znajomym wejściem. Po chwili podszedłem bliżej i zajrzałem przez szklane szybki po

obu stronach drzwi.

Przedsiomek urządzony był w schludnym, neutralnym stylu i jego wygląd prawie nic mi nie mówił. Potem przypomniałem sobie, że tamtego wieczoru widziałem, jak Stephan i panna Collins rozmawiają przez chwilę w pokoju frontowym, zanim zniknęli w głębi mieszkania. Rzykując, że ktoś mnie weźmie za intruza, przełożyłem nogę nad niskim murkiem i wychyliłem się, żeby zajrzeć przez najbliższe okno. Ze względu na intensywne słońce trudno mi było cokolwiek zauważyć, udało mi się jednak dojrzeć niskiego, krępego mężczyznę w białej koszuli i krawacie, który siedział samotnie w fotelu, zwróconym prawie dokładnie ku oknu. Wydawało się, że na mnie patrzy, ponieważ jednak jego mina pozbawiona była wyrazu, nie miałem pewności, czy w ogóle mnie zauważył, czy po prostu gapi się w okno pogrążony w myślach. Wszystko to nie stanowiło dla mnie żadnej miarodajnej wskazówki, ale kiedy zdjąłem nogę z murka i znów spojrzałem na drzwi, nabrałem przekonania, że to te właściwe, i nacisnąłem dzwonek do mieszkania na parterze.

Po chwili z ulgą ujrzałem przez szybkę zmierzającą ku mnie pannę Collins.

– Ach, to pan, panie Ryder – powiedziała, otwierając drzwi. – Nie wiedziałam, czy mam się pana spodziewać właśnie dziś.

– Dzień dobry, panno Collins. Po namyśle postanowiłem przyjąć pani miłe zaproszenie. Widzę jednak, że ma pani gości. – Wskazałem pokój frontowy. – Może więc przyjdę innym razem.

– Ależ nie pozwolę panu tak odejść. Chociaż był pan łaskaw zauważyć, że jestem zajęta, jak na przeciętny poranek jest tu dziś dość spokojnie. Jak pan widzi, czeka tylko jedna osoba. W tej chwili rozmawiam z pewnym małżeństwem. Ci państwo są tu już od godziny, ale ich problemy okazały się tak głęboko zakorzenione, oboje mają tyle do powiedzenia, a dotychczas nie mieli okazji się wygadać, że nie mam serca ich poganiać. Może jednak zechce pan zaczekać w pokoju frontowym, to nie powinno długo potrwać. – Zniżając głos, dodała: – Ten pan, który właśnie czeka, jest, biedak, samotny i nieszczęśliwy i chce, aby ktoś przez parę minut posłuchał jego zwierzeń. Nie będzie długo siedział, szybko go odeślę. Przychodzi prawie co rano, nie obraża się, kiedy się go raz po raz ponagla, i tak poświęcam mu mnóstwo czasu. – Dalej jej głos powrócił do normalnego natężenia. – Proszę wejść, panie Ryder, proszę tak nie stać przed drzwiami, choć widzę, że piękna dziś pogoda. Jeśli będzie pan miał ochotę i jeśli nikt więcej się do mnie nie zgłosi, możemy pójść na spacer do Ogrodu Stemberga, to tylko dwa kroki stąd. Na pewno mamy wiele spraw do omówienia. Przyznam, że dość gruntownie przemyślałam sobie pańskie położenie.

– Bardzo to miło z pani strony, panno Collins. Wiedziałem, że tego ranka może być

pani zajęta, i nie śmiałybym się pani narzucać, gdyby nie pewna nagląca okoliczność. Widzi pani, tak się składa – westchnąłem ciężko i potrząsnąłem głową – że z różnych powodów nie mogłem zająć się sprawami tak, jak planowałem, a zostało już mało czasu i... Cóż, jak pani wie, wieczorem mam wygłosić orędzie do miejscowej ludności, a szczerze mówiąc, panno Collins... – Byłbym urwał, ale widząc jej łagodne wejrzenie, spróbowałem dokończyć: – Szczerze mówiąc, jest kilka spraw, lokalnych spraw, co do których chciałbym zasięgnąć pani rady, zanim... zanim dokończę... – zrobiłem krótką pauzę, żeby opanować drżenie głosu – zanim dokończę swoje orędzie. W końcu ci wszyscy ludzie tak bardzo na mnie liczą...

– Niech się pan uspokoi, panie Ryder. – Panna Collins położyła rękę na moim ramieniu – I niech pan wejdzie. Świetnie, proszę dalej. I proszę przestać się zamartwiać. To zupełnie zrozumiałe, że na tym etapie jest pan trochę zdenerwowany, to całkiem naturalne. Jest to przejaw chwalebnej troski z pańskiej strony. Proszę się nie martwić, zaraz omówimy te lokalne sprawy, wszystko omówimy. Teraz powiem tylko, że moim zdaniem niepotrzebnie się pan przejmuje. Tak, wieczorem na pańskich barkach spoczywać będzie ogromna odpowiedzialność, ale przecież już wiele, wiele razy bywał pan w podobnych sytuacjach i z tego, co wiem, świetnie dawał pan sobie radę. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

– Usiłuję pani uzmysłwić – przerwałem jej – że tym razem jest zupełnie inaczej. Tym razem nie miałem okazji, żeby się do tego wszystkiego zabrać... – Znowu westchnąłem ciężko. – Prawdę mówiąc, nie zdołałem nawet zebrać podstawowych informacji...

– Zaraz o tym porozmawiamy. Ale jestem pewna, że pan przesadza. Niby czym miałby się pan tak przejmować? Ma pan niekwestionowane doświadczenie, jest pan uznanym na świecie geniuszem, doprawdy, czego może się pan obawiać? W gruncie rzeczy – znowu zniżyła głos – ludzie w mieście takim jak to będą panu wdzięczni bez względu na to, co im pan powie. Po prostu przedstawi im pan swoje ogólne wrażenia, nie będą mieli powodu do narzekań. Nie ma się pan czego obawiać.

Skinąłem głową, widząc w tym sporo racji, i prawie od razu poczułem, jak moje napięcie mija.

– Wszystko to omówimy dokładnie za chwileczkę. – Panna Collins, trzymając za ramię, wiodła mnie do pokoju frontowego. – Obiecuję, że zaraz będę wolna. Proszę usiąść i się rozgościć.

Wszedłem do małego, kwadratowego pokoju, pełnego słońca i świeżych kwiatów. Zbieranina różnorodnych foteli oraz kolorowe czasopisma na stolyczku nadawały mu charakter poczekalni u dentysty albo lekarza. Na widok panny Collins krępy mężczyzna natychmiast zerwał się z miejsca, czy to przez kurtuazję, czy też w nadziei, że wreszcie

nadeszła jego kolej. Spodziewałem się, że zostaniemy sobie przedstawieni, ale obowiązujący protokół istotnie zdawał się taki sam jak w poczekalni, panna Collins bowiem uśmiechnęła się tylko do mężczyzny i zniknęła za drzwiami, rzuciwszy pod nos, widocznie do nas obu, przepraszające: „To nie potrwa długo”.

Krępy mężczyzna znowu usiadł i wbił oczy w podłogę. Przez chwilę myślałem, że coś powie, ponieważ jednak milczał, odwróciłem się i usiadłem na wiklinowej kanapie w zatoczce słońca przy oknie – tym samym, przez które wcześniej zaglądałem do środka. Kiedy siadałem, plecionka zatrzeszczała zachęcająco. Na moich udach kładł się szeroki pas słońca, a tuż przy mojej twarzy stał wazon z tulipanami. Natychmiast poprawił mi się humor, a najbliższa przyszłość zarysowała się w zupełnie innych barwach niż przed paroma minutami, kiedy dzwoniłem do drzwi. Oczywiście panna Collins miała całkowitą rację. Takie miasteczko z wdzięcznością przyjmie każde moje słowo. Któż będzie roztrząsać moje przemówienie punkt po punkcie albo podchodzić do niego krytycznie? Choć nie byłem przygotowany tak dobrze, jak bym sobie tego życzył, moje orędzie i tak będzie miało swój ciężar gatunkowy. Im dłużej siedziałem w blasku słońca, tym większy ogarniał mnie spokój i tym większe zdziwienie, że doprowadziłem się do stanu takiego zdenerwowania.

– Jestem ciekaw – powiedział nagle krępy mężczyzna – czy utrzymujesz kontakty z kimś ze starej paczki. Z Tomem Edwardsem albo Chrisem Farleigh. Albo z tymi dwiema dziewczynami, które mieszkały w Zatopionym Folwarku.

Wówczas zorientowałem się, że krępy mężczyzna to Jonathan Parkhurst, którego znałem dość dobrze w moich studenckich latach w Anglii.

– Nie – odparłem. – Niestety, straciłem z nimi wszystkimi kontakt. Muszę jeździć z kraju do kraju, więc to po prostu niewykonalne.

Skinął głową, nie uśmiechając się.

– To musi być męczące – powiedział. – W każdym razie oni pamiętają ciebie, i to bardzo dobrze. Spotkałem kilku z nich, kiedy byłem w ubiegłym roku w Anglii. Spotykają się chyba raz do roku czy jakoś tak. Czasami im zazdroszczę, choć w gruncie rzeczy cieszę się, że nie ugrzązłem na zawsze w takim towarzystwie. Wolę mieszkać z dala, tutaj mogę być, kim chcę, nie muszę bez przerwy odgrywać przed ludźmi błazna. Wiesz, kiedy pojechałem spotkać się z nimi w pubie, od razu zaczęli. „Toż to stary Parkers!”, wykrzyknęli wszyscy naraz. Wciąż tak na mnie wołają, tak gdyby nie minęło tyle lat. „Parkers, to stary Parkers!”. Jak tylko mnie zobaczyli, powitali mnie donośnym oślim rykiem, Boże, to było okropne. Czułem, jak zmieniam się z powrotem w tego żalostnego błazna, przed którym uciekłem aż tutaj. To był dosyć miły, wiejski pub, typowy stary pub z prawdziwym kominkiem, nad

którym wisiał stary miecz, na ścianach te wszystkie drobiazgi z mosiądzu, serdeczny gospodarz sypiący wesołymi powiedzonkami, słowem, bardzo nostalgiczny nastrój, za tym najbardziej tęsknię. Ale cała reszta, Boże, aż drzę na samą myśl. Podnieśli ten swój ośli ryk przekonani, że przybiegnę do stołu w błazeńskich podskokach. Przez cały wieczór rzucali jedno imię za drugim, choć tak naprawdę nikogo nie obgadywali, tylko robili jeszcze więcej hałasu, albo od razu wybuchali śmiechem, no wiesz, ktoś mówił: „Samantha”, a wszyscy śmiali się i przekrzykiwali wesoło. Potem wymieniali jakieś inne nazwisko, na przykład Roger Peacock, i zaraz wszyscy intonowali coś jakby zaśpiew kibiców piłkarskich. Straszne. Ale najgorsze, że wszyscy tylko czekali, aż znów zacznę błaznować, i nic nie mogłem na to poradzić. Nikomu nie przyszło do głowy, że stałem się kim innym, więc zacząłem wszystko od nowa, śmieszne glosy, miny, okazało się nawet, że wciąż nieźle mi to wychodzi. Niby dlaczego mieliby myśleć, że tutaj zachowuję się inaczej? Jeden z nich, chyba Tom Edwards, powiedział mi to wprost. W pewnym momencie, kiedy wszyscy mieli już dobrze w czubie, klepnął mnie mocno po plecach i powiedział: „Parkers! Muszą cię tam uwielbiać, Parkers!”. Chyba tuż przedtem pokazałem im jeden ze swoich numerów, może opowiadałem o jakimś aspekcie tutejszego życia i troszkę błaznowałem, kto wie, w każdym razie tak właśnie powiedział, a pozostali zaśmiewali się do łez. O tak, byłem gwiazdą wieczoru. Wszyscy powtarzali, jak bardzo im mnie brakuje, zawsze dostarczałem im rozrywki. Już dawno nikt tak do mnie nie mówił, dawno nikt mnie tak nie przyjmował, tak ciepło i po przyjacielsku. Tylko że po co ja się dałem w to wszystko od nowa wciągnąć? Przysięgałem sobie, że już nigdy nie będę się tak zachowywać, przecież dlatego tutaj przyjechałem. Jeszcze w drodze do pubu powtarzałem sobie w kółko... wieczór był bardzo chłodny, mglisty i bardzo chłodny... powtarzałem sobie w kółko: minęło już tyle lat, już taki nie jestem, pokażę im, jaki jestem teraz, ciągle to sobie powtarzałem, próbując się utwierdzić w swoim postanowieniu, ale jak tylko wszedłem do środka i zobaczyłem ogień w kominku, a oni podnieśli na mój widok ten swój ośli ryk... Boże, jaki ja tu jestem samotny. Owszem, tutaj nie muszę stroić min czy naśladować różnych głosów, ale to był jakiś sposób, może i trudny do zniesienia, ale skuteczny, wszyscy mnie lubili, moi kumple z uczelni, skurwiele, pewnie myślą, że nic a nic się nie zmieniłem. Nigdy by się nie domyślili, że moi sąsiedzi mają mnie za poważnego, nudnawego Anglika. Uprzejmy, myślą, ale bardzo nudny. Bardzo samotny i bardzo nudny. To już lepiej niż być znowu Parkersem. Ten ośli ryk, Jezu, żałosna scena, grupa facetów w średnim wieku wydaje taki ryk i ja, który stroję miny i naśladowuję te glosy, Boże, jakie to odrażające. Ale nic nie mogłem na to poradzić, już dawno nie byłem wśród znajomych. A ty, Ryder, nigdy nie tęsknisz za tamtymi czasami? Mimo że odniosłeś taki sukces? A właśnie, do

tego zmierzam. Może ty nie pamiętasz ich zbyt dobrze, za to oni świetnie cię pamiętają. Zdaje się, że na każdym spotkaniu część wieczoru poświęcona jest wyłącznie tobie. Tak, byłem świadkiem. Najpierw rzucają mnóstwo innych nazwisk, nie chcą od razu przechodzić do ciebie, no wiesz, lubią dobrą rozgrzewkę. Od czasu do czasu milkną i udają, że nie mogą sobie przypomnieć więcej osób z tamtych lat. W końcu jeden z nich mówi: „No a Ryder? Czy ktoś ostatnio o nim słyszał?”. I naraz wszyscy wydają najwstrętniejszy okrzyk, jaki można sobie wyobrazić, ni to drwiny, ni to obrzydzenia. Ryczą wszyscy jednocześnie, naprawdę, ryczą tak może przez minutę po tym, jak pada twoje nazwisko. Następnie wszyscy zaczynają się śmiać, a potem naśladują grę na fortepianie, wiesz, mniej więcej tak. – Parkhurst przybrał wyniosłą minę i zaczął przebierać palcami po niewidzialnych klawiszach w bardzo zmanierowany sposób. – Wszyscy to robią, a potem znów wyją z obrzydzeniem. Później zaczynają opowiadać różne historie, co tam kto o tobie pamięta, i widać, że opowiadali je sobie już wiele razy, bo wszyscy wiedzą, kiedy zaryczeć, a kiedy powiedzieć: „Naprawdę? Mówisz poważnie?” i tak dalej. O, mają ubaw po pachy. W mojej obecności ktoś wspominał akurat wieczór po egzaminach końcowych. Wszyscy wybierali się do miasta, żeby się zabawić, i zobaczyli, że nadchodzisz drogą z bardzo poważną miną. Zaczepili cię, mówiąc: „Chodź z nami, Ryder, zabawimy się na całego”, a ty odpowiedziałeś widocznie... w tym momencie osoba, która to opowiada, przybiera taką minę... odpowiedziałeś widocznie... – Parkhurst ponownie przeobraził się w ową wyniosłą istotę, a jego głos nabrął śmiesznie napuszonego tonu – „Jestem bardzo zajęty, nie mogę sobie pozwolić na to, żeby nie ćwiczyć trzeci dzień z rzędu. Już i tak straciłem dwa dni przez te głupie egzaminy!”. Potem znów wszyscy wydają ów ryk obrzydzenia i naśladują grę na fortepianie, i wtedy zaczynają... Nie, nie mogę ci powiedzieć, do czego się posuwają, to okropne, to takie ohydne towarzystwo, większość z nich to bardzo nieszczęśliwi, tacy sfrustrowani i pełni złości ludzie.

Kiedy słuchałem Parkhursta, wróciło do mnie pewne wspomnienie z lat studenckich, co wprawiło mnie na chwilę w stan tak głębokiego ukojenia, że słowa Parkhursta były mi prawie zupełnie obojętne. Przypomnił mi się pogodny ranek, całkiem podobny do obecnego. Tak jak teraz, rozluźniony, siedziałem w promieniach słońca na kanapie przy oknie. Byłem w swoim pokoiku w starym wiejskim domu, który wynajmowałem razem z czterema innymi studentami. Na kolanach trzymałem nuty jakiegoś koncertu, które od godziny studiowałem z rozmarzeniem, teraz zaś zastanawiałem się, czy nie zamienić ich na jedną z dziewiętnastowiecznych powieści, których sterta leżała na podłodze u moich stóp. Przez otwarte okno wpadał wiatr, a z zewnątrz dobiegały głosy kilku studentów, którzy siedzieli na niestrzyżonym trawniku i dyskutowali na temat filozofii, poezji albo czegoś takiego. Oprócz

kanapy w moim pokoju nie było wielu sprzętów – na podłodze leżał materac, a w rogu stało małe biurko z krzesłem – lecz bardzo go lubiłem. Nierzadko podłoga była całkowicie zawalona książkami i czasopismami, które przeglądałem w tamte długie popołudnia. Przyzwyczałem się zostawiać drzwi do mojego pokoju lekko uchylone, aby każdy, kto akurat tamtędy przechodził, mógł wpaść i pogadać. Zamknąłem oczy i na chwilę przemożnie zapragnąłem znów znaleźć się w tamtym domku na wsi, wokół którego rozciągały się szczere pola, a na trawie wylegiwali się koledzy, stąd też słowa Parkhursta dotarły do mnie z pewnym opóźnieniem. Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że niektóre osoby z opowieści Parkhursta to ci sami ludzie, których twarze zlewały się teraz w mojej pamięci, a których kiedyś zaprosiłem apatycznie do swojego pokoju, gdy zaglądali ciekawsko przez szparę w drzwiach, po czym przez godzinę czy dwie rozmawiałem z nimi na temat jakiegoś hiszpańskiego pisarza albo gitarzysty. Nawet wtedy jednak zmysłowa przyjemność, jaką odczuwałem, siedząc wygodnie w słońcu na wiklinowej kanapie panny Collins, była tak wielka, że słowa Parkhursta sprawiały mi co najwyżej drobną, niewyraźną przykrość.

Choć już dawno przestałem go słuchać, Parkhurst wciąż mówił. Naraz za moimi plecami rozległo się stukanie w szybę. Parkhurst udał, że go nie słyszy, i dalej snuł swą opowieść. Ja także spróbowałem zignorować stukanie, tak jak ignoruje się budzik, który przerywa rozkoszny sen. Ale stukanie nie ustawało i w końcu Parkhurst urwał, mówiąc:

– Wielkie nieba, toż to ten cały Brodsky.

Otworzyłem oczy i spojrzałem za siebie. Istotnie, do środka usilnie próbowałem zajrzeć Brodsky. Coś musiało mu w tym przeszkadzać, blask słońca albo wada wzroku, ponieważ przyciskał twarz do szyby i osłaniał oczy obiema rękami, mimo to jednak zdawało się, że nas nie widzi, i przyszło mi na myśl, że stuka w szybę, licząc na to, że w pokoju jest panna Collins.

W końcu Parkhurst wstał i powiedział:

– Dowiem się, czego chce.

## Rozdział 22

Usłyszałem, jak Parkhurst otwiera drzwi, po czym od strony wejścia dobiegły odgłosy sprzeczki. W końcu Parkhurst wszedł z powrotem do pokoju, przewrócił oczami i westchnął.

Brodsky wszedł za nim. Wydał mi się wyższy, niż kiedy widziałem go poprzednim razem w zatłoczonym pokoju, i znów moją uwagę zwróciła jego dziwnie pochylona sylwetka, jakby za chwilę miał runąć do przodu, ale zauważyłem również, że jest zupełnie trzeźwy. Miał na sobie purpurowy krawat i czarną, nieco dandysową marynarkę, która sprawiała wrażenie zupełnie nowej. Rogi kołnierzyka u jego białej koszuli sterczały do góry, czy to dlatego, że taki był jej fason, czy też na skutek nadmiernego nakrochmalenia. W ręku trzymał bukiet kwiatów, a w jego oczach malowały się smutek i znużenie. Brodsky zatrzymał się na progu pokoju i z wahaniem zająrzył do środka, jakby spodziewał się zobaczyć pannę Collins.

– Przecież mówiłem panu, że jest zajęta – powiedział Parkhurst. – Proszę posłuchać, jestem przyjacielem panny Collins i mogę pana zapewnić, że nie będzie miała ochoty zobaczyć się z panem. – Parkhurst zerknął na mnie, oczekując potwierdzenia, postanowiłem jednak się nie wtrącać i tylko uśmiechnąłem się blado do Brodsky'ego. Dopiero wtedy mnie poznał.

– O, pan Ryder – rzekł i skinął poważnie głową. Potem znów odwrócił się do Parkhursta: – Jeśli ona tam jest, proszę wejść i ją poprosić. – Wskazał na swój bukiet, jak gdyby wyjaśniał on konieczność zobaczenia się z panną Collins. – Bardzo pana proszę.

– Już mówiłem, że nie mogę panu pomóc. Ona nie chce się z panem widzieć. A poza tym akurat z kimś rozmawia.

– W porządku – wymamrotał Brodsky. – W porządku. Nie chce mi pan pomóc. W porządku.

Z tymi słowami ruszył w stronę drzwi, za którymi wcześniej zniknęła panna Collins. Parkhurst szybko zastąpił mu drogę i na chwilę wysoka, tyczkowata sylwetka Brodsky'ego i niska, krępa Parkhursta starły się ze sobą. Parkhurst próbował powstrzymać Brodsky'ego, napierając obiema rękami na jego pierś, Brodsky zaś położył rękę na ramieniu Parkhursta i wlepił spojrzenie w drzwi do salonu, jak gdyby stał w tłumie i grzecznie zaglądał komuś przez ramię. Jednocześnie dalej przebierał nogami, nieustannie mamrocząc: „proszę”.

– Dobrze! – krzyknął w końcu Parkhurst. – Dobrze, pójdę z nią porozmawiać. I tak

wiem, co powie, ale niech będzie.

Rozdzielili się.

– Ale pan zaczeka tutaj! – oznajmił Parkhurst, unosząc palec. – I proszę się stąd nie ruszać!

Z początku Brodsky stał ze wzrokiem utkwionym w drzwiach salonu i miałem wrażenie, że zaraz ruszy za Parkhurstem. W końcu jednak odwrócił się na pięcie i usiadł.

Przez chwilę wyglądał, jakby powtarzał coś w pamięci, wypowiadając od czasu do czasu jakieś oderwane słowa, uznałem więc, że nie należy mu przeszkadzać. Raz po raz popatrywał uważnie na bukiet, jakby od niego wszystko zależało, a najmniejsza skaza miała się okazać wielką przeszkodą. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż w końcu spojrzał na mnie i powiedział:

– Cieszę się, że wreszcie mogę pana poznać, panie Ryder.

– Miło mi, panie Brodsky – odparłem. – Mam nadzieję, że dobrze się pan miewa.

– Aaa... – Machnął niedbale ręką. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że dobrze się czuję. Widzi pan, dokucza mi ból.

– Ból? – Ponieważ milczał, zapytałem: – Ma pan na myśli ból emocjonalny?

– Nie, nie. Mam na myśli ranę. To stara rana, sprzed wielu lat, ale wciąż mi dokucza. Straszny ból. Może dlatego tak dużo piłem. Kiedy piję, nie boli.

Czekałem, aż powie coś więcej, ale milczał. Po chwili zapytałem:

– Mówi pan o ranie serca, panie Brodsky?

– Nieee, serce mam dobre. Chodzi o... – Nagle roześmiał się głośno. – Ach, rozumiem. Pan myśli, że poetyzuję. Nie, nie, ja mam normalną ranę. Zostałem ranny, ciężko ranny. To było wiele lat temu, w Rosji. Lekarze pokpili sprawę i od tamtej pory cały czas mnie boli. Rana nigdy się nie zagoiła jak należy. Mam ją już tyle lat, a ciągle boli.

– Przykro mi to słyszeć. To musi być uciążliwe.

– Uciążliwe? – Zastanowił się, po czym znów się zaśmiał. – Można tak rzec, panie Ryder, przyjacielu. Uciążliwe. Piekielnie uciążliwe. – Nagle jakby sobie przypomniał, że trzyma w ręku kwiaty. Powąchał je, biorąc głęboki wdech. – Ale nie mówmy o tym. Zapytał pan, jak się czuję, więc panu powiedziałem, ale wcale nie zamierzałem się nad tym rozwodzić. Staram się dzielnie znosić ból. Przez lata nikomu nie mówiłem o ranie, ale teraz, kiedy jestem stary i nie piję, znowu zaczęła mi bardzo dokuczać. Właściwie nie zagoiła się do końca.

– Na pewno można temu jakoś zaradzić. Czy był pan u lekarza? U jakiegoś specjalisty?

Brodsky znów spojrział na kwiaty i się uśmiechnął.

– Chcę się z nią kochać – powiedział jakby do siebie. – Zanim z raną będzie gorzej. Chcę się z nią znowu kochać.

Zapadło osobliwe milczenie. Wreszcie się odezwałem:

– Jeśli pańska rana jest tak stara, panie Brodsky, nie wydaje mi się, żeby mogło się jeszcze pogorszyć.

– Te stare rany – wzruszył ramionami – przez lata pozostają bez zmian. Człowiek myśli, że już się na niej poznał, a potem starzeje się i ból znowu rośnie. Ale jeszcze nie jest tak źle. Może jeszcze mogę się kochać. Jestem już stary, ale czasami... – Nachylił się konfidencyjnie. – Próbowałem. No, wie pan, sam. Jeszcze mogę. Potrafię zapomnieć o bólu. Kiedy byłem pijany, mój kutas, wie pan... nic, zupełnie nic. Nawet o tym nie myślałem. Tylko do siusiania, nic więcej. Ale teraz mogę pomimo bólu. Próbowałem przedwczoraj. No wie pan, może nie wszystko, może nie do końca, mój kutas jest już stary i przez wiele lat służył mi tylko do siusiania. – Odchylił się do tyłu w swoim fotelu i spojrział dalej, na blask słońca za moimi plecami. W jego oczach pojawiło się rozmarzenie. – Tak bardzo chciałbym się z nią znowu kochać. Ale nie mieszkalibyśmy tutaj. Tylko nie tutaj. Nie cierpię tego miejsca. Przychodziłem tu, tak, przyznaję, przychodziłem tu późną nocą, kiedy nikt nie widział. Ona nic nie wiedziała, ale często przychodziłem i gapiłem się na budynek. Nienawidziłem tej ulicy, tego mieszkania. Wie pan, dziś po raz pierwszy przekroczyłem próg tego okropnego miejsca. Dlaczego wybrała takie miejsce? Przecież nie jest w jej guście. Zamieszkamy za miastem. Jeśli nie zechce wrócić do domku na farmie, znajdziemy coś innego, może inny domek na wsi, pośród drzew i trawy, żeby nasz zwierzak miał się gdzie wyhasać. Tutaj nasz zwierzak nie czułby się dobrze. – Rozejrzał się uważnie po ścianach, jakby na nowo rozważał wady i zalety mieszkania. Potem zawyrokował: – Nie, jakże mogłoby się tu podobać naszemu zwierzakowi? Zamieszkamy gdzieś, gdzie są drzewa, trawa, pola. Wie pan, za rok czy pół roku, jeśli ból się pogorszy, mój kutas odmówi posłuszeństwa i nie będziemy mogli się więcej kochać, będzie mi wszystko jedno. Byle tylko choć raz móc się z nią znowu kochać. Nie, raz to za mało, musi być tak jak kiedyś, sześć razy, tak jest, sześć razy i wszystko się nam przypomni, tylko tego pragnę. Potem niech się dzieje, co chce. Gdyby ktoś... lekarz, Bóg... powiedział: „Możesz się z nią kochać jeszcze sześć razy, potem koniec, będziesz za stary, rana będzie za bardzo boleć, potem już tylko do siusiania”, to by mnie nie przeraziło. Odrzekłbym: „Zgoda, mnie to odpowiada”. Żebym tylko mógł znowu wziąć ją w ramiona, sześć razy wystarczy, żeby było tak jak kiedyś, później wszystko mi jedno, nie dbam, co się stanie potem. Przecież będziemy mieli naszego zwierzaka. Nie

musimy się więcej kochać. To dobre dla młodych kochanków, którzy się jeszcze dobrze nie poznali, którzy jeszcze nigdy nie czuli do siebie nienawiści i nie kochali się od nowa. Wie pan, jeszcze mogę. Próbowałem sam, przedwczoraj w nocy. Nie do końca, ale stanął.

Urwał i z poważną miną pokiwał głową.

– Ach tak – powiedziałem z uśmiechem. – To wspaniale.

Brodsky odchylił się do tyłu w swoim fotelu i ponownie zapatrzył się w okno.

– Robiliśmy to inaczej, nie tak jak młodzi – ciągnął. – W młodości myśli się o dziwkach, wie pan, o dziwkach robiących różne świństwa. Teraz mam to gdzieś, chcę tylko, żeby mój kutas zrobił jedno, chcę się znowu kochać z nią po dawnemu, tak jak ostatnim razem, to wszystko. Jeśli potem okłapnie na amen, zgoda, nie będę się więcej dopominał. Ale chcę znowu to robić, sześć razy wystarczy, tak jak kiedyś. W młodości nie byliśmy dobrymi kochankami. Nie robiliśmy tego gdzie popadnie, jak pewnie robią to dziś młodzi ludzie, nie wiem. Ale za to świetnie się rozumieliśmy. Tak, to prawda, czasami mnie to nużyło, za każdym razem to samo. Ale ona taka była... nie chciała robić tego w żaden inny sposób, złościłem się na nią, a ona nie wiedziała za co. Ale teraz chcę zastosować starą procedurę, krok po kroku, tak jak niegdyś. Przedwczoraj w nocy, kiedy... wie pan, kiedy... próbowałem, wyobrażałem sobie dziwki, fantastyczne dziwki robiące fantastyczne rzeczy, i nic, nic, nic. A potem pomyślałem, cóż, to normalne. Mój stary kutas, została mu już tylko jedna, ostatnia misja do spełnienia, po co narażać go na śmieszność tymi dziwkami, co to ma teraz wspólnego z moim starym kutasem? Jedna, ostatnia misja, o niej powinienem myśleć. No i myślałem. Leżałem w ciemności i wspominałem dawne czasy. Przypominałem sobie, jak to robiliśmy, krok po kroku. Teraz zrobimy tak samo. Oczywiście nasze ciała są już stare, ale wszystko przemyślałem. Zrobimy to tak jak dawniej. Na pewno będzie pamiętać, nie zapomniła, krok po kroku. Kiedy leżeliśmy w ciemności pod kołdrą, nigdy nie szarżowaliśmy, widzi pan, krępowała się, chciała tylko w ten sposób. Wtedy się tym przejmowałem, zawsze miałem ochotę jej powiedzieć: „Dlaczego nie możesz być jak dziwka? Pokazać się w świetle?”. Ale teraz mi nie zależy, chcę robić to dokładnie tak jak kiedyś, udawać, że zasypiamy, leżeć cicho przez dziesięć, piętnaście minut. Potem powiem coś nagle w ciemności, coś śmiałego i sprośnego. „Chcę, żeby zobaczyli cię nagą”, powiem. „Pijani marynarze w knajpie. W portowym barze, brudni, pijani faceci, chcę, żeby zobaczyli cię nagą na podłodze”. Tak, panie Ryder, jak mówiłem, znienacka, po tych piętnastu minutach przerywałem nagle milczenie, otóż to, nagle. Oczywiście wtedy była młoda, piękna, teraz brzmi to dość dziwnie, stara kobieta na podłodze w knajpie, ale i tak to powiem, bo od tego się zawsze zaczynało. Ona nic nie rzeknie, więc będę mówił dalej. „Chcę, żeby się w ciebie

wpatrywali. Na czworakach, na podłodze”. Ale wyobraża pan to sobie? Słaba, stara kobieta robiąca takie rzeczy? Co by powiedzieli teraz nasi pijani marynarze? Ale może oni zestarzelili się razem z nami, nasi marynarze w portowej knajpie, może w wyobraźni ujrzą ją taką jak wtedy i nie będzie im to przeszkadzać. „Tak, będą się w ciebie wpatrywać! Wszyscy!”. I dotknę ją, dotknę boku jej biodra, pamiętam, że lubiła, gdy dotykałem jej boków, dotknę tak jak kiedyś, potem przysunę się do niej i szepnę: „Będziesz pracowała w burdelu. Noc w noc”. Może pan to sobie wyobrazić? Ale powiem, bo zawsze tak było. Potem zrzucę piżamę i pochylę się nad nią, rozsunę jej uda, może strzyknie jej w stawie biodrowym, ktoś mi mówił, że uszkodziła sobie biodro, możliwe, że nie zdoła rozsunąć szeroko ud. Cóż, zrobimy, co się da, zawsze tak robiliśmy. Potem nachylę się, żeby pocałować jej cipcię, wcale nie oczekuję, że będzie pachnieć tak jak wtedy, wszystko przemyślałem, być może będzie śmierdziała jak zgniła ryba, być może całe jej ciało będzie brzydko pachniało, przemyślałem to sobie dokładnie. No a ja, moje ciało, wystarczy popatrzeć, też wygląda nieciekawie. Łuszczy mi się skóra, odpada płatami, nie wiem, co to jest. Zaczęło się rok temu od głowy. Kiedy się czesałem, odchodziły wielkie, przezroczyste płaty, jak rybie łuski. Z początku tylko na głowie, ale teraz wszędzie, na łokciach, kolanach, nawet na piersi. Te płaty też śmierdzą rybą. Będą schodzić dalej, już nic się na to nie poradzi, będzie musiała to jakoś znieść, za to ja nie będę narzekał na zapach jej cipci albo że jej uda nie rozsuwają się bez strzykania, nie będę się złościł, nie będę próbował rozsunąć ich na siłę, nigdy w życiu. Zrobimy to dokładnie tak jak dawniej. A gdy nadejdzie właściwy moment, chwyci mojego starego kutasa, może będzie tylko na wpół sztywny, i szepnie: „Tak, niech patrz! Niech wszyscy marynarze na mnie patrz! Będę ich nęcić, aż nie będą mogli dłużej wytrzymać!”. Czy może pan to sobie wyobrazić? W jej obecnym stanie? Ale nam to nie przeszkadza. A poza tym, jak już mówiłem, może marynarze zestarzelili się wraz z nami. Złapie mnie za starego kutasa, dawniej byłby bardzo twardy, nic nie zdołałoby go zmiękczyć z wyjątkiem... ale teraz może stanie tylko do połowy, tyle zdołałem osiągnąć przedwczoraj, choć kto wie, może do końca, a potem spróbujemy włożyć go do środka, choćby była jak łupina, spróbujemy. A we właściwej chwili, będziemy pamiętali kiedy, nawet jeśli tam, w dole, do niczego nie dojdzie, będziemy wiedzieli, jak skończyć, bo już wszystko się nam dokładnie przypomni, nic nas nie powstrzyma, nawet jeśli tam, w dole, do niczego nie dojdzie, nawet jeśli będziemy tylko przytulać się do siebie i nic poza tym, to nic, i tak powiemy to w odpowiedniej chwili. „Posiądą cię! Posiądą cię, za długo ich nęciłaś!”. A ona powie: „Tak, będą mnie mieli, wszyscy marynarze będą mnie mieli!” i nawet jeśli tam, w dole, do niczego nie dojdzie, możemy się chociaż trzymać w objęciach, będziemy się obejmować i mówić tak jak dawniej,

reszta nas nie obchodzi. Może mój stary kutas nie wytrzyma bólu rany, ale co tam, ona będzie pamiętać, jak to robiliśmy. Przez te wszystkie lata pamiętała każdy krok. A pan nie ma rany, panie Ryder?

Spojrzał na mnie zniechęcony.

– Rany?

– Ja mam moją starą ranę. Może dlatego piję. Bardzo mi dokucza.

– Współczuję panu. – Po chwili milczenia dodałem: – Kiedyś w czasie meczu piłkarskiego uszkodziłem sobie palec u nogi. Miałem wtedy dziewiętnaście lat. Okazało się, że to nic poważnego.

– Nawet w Polsce, kiedy byłem dyrygentem, nawet wtedy nie wierzyłem, że rana kiedykolwiek się wygoi. Kiedy dyrygowałem orkiestrą, zawsze dotykałem swej rany, pieściłem ją. Niekiedy głaskałem jej brzegi, a nawet ścisnąłem ją mocno między palcami. Dość szybko można się zorientować, że rana się nie wygoi. Nawet kiedy byłem dyrygentem, muzyka jedynie uśmierzała ból, byłem tego świadom. Przez jakiś czas pomagało. Lubiłem uczucie, którego doznawałem, dotykając rany, byłem nią zafascynowany. Dobra rana może fascynować. Każdego dnia wygląda nieco inaczej. Człowiek się zastanawia: może się zmieniła? Może w końcu się goi? Przygląda się jej w lustrze, dostrzega różnicę. Ale potem dotyka jej i już wie, że to ta sama rana, wierna przyjaciółka. I robi pan tak rok po roku, a potem uświadamia pan sobie, że nigdy już się nie wygoi, aż w końcu zaczyna pana nużyć. Och, jak nuży. – Umilkł i znów popatrzył na bukiet. – Jak nuży – powtórzył. – Nie czuje się pan znużony, panie Ryder? Jak nuży.

– Być może – powiedziałem ostrożnie – panna Collins potrafi wyleczyć pańską ranę?

– Ona? – Roześmiał się nagle i znowu umilkł. Po chwili rzekł cicho: – Przyniesie mi ukojenie, tak jak muzyka. Wspaniałe ukojenie. O nic więcej nie proszę. Ukojenie. Ale wyleczyć ranę? – Pokręcił głową. – Gdybym ją teraz panu pokazał, przyjacielu, przekonałby się pan, że to niemożliwe. Niemożliwe z punktu widzenia medycyny. Teraz pragnę już tylko ukojenia, o to jedno proszę. Nawet jeśli nie całkiem zeszywnieje, jeśli zdołamy tylko podskakiwać, sześć razy wystarczy. Później rana może sobie robić, co chce. Potem będziemy mieli naszego zwierzaka, trawę, pola. Dlaczego wybrała sobie takie miejsce? – Znów się rozejrzał i potrząsnął głową. Tym razem zamilkł na dłużej, może nawet na dwie, trzy minuty. Miałem właśnie coś powiedzieć, gdy nagle nachylił się w swoim fotelu. – Miałem psa, panie Ryder, Brunona, który zdechł. Jeszcze... Jeszcze go nie pochowałem. Jest w skrzynce, takiej niby-trumnie. To był dobry przyjaciel. Tylko pies, a jednak dobry przyjaciel. Zaplanowałem małą uroczystość, żeby się z nim pożegnać. Nic szczególnego. Bruno już nie żyje, ale

przecież można chyba zorganizować małą uroczystość pożegnalną? Chciałbym pana zaprosić, panie Ryder. Proszę wyświadczyć tę drobną przysługę mnie i Brunonowi.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszła panna Collins. Brodsky się zerwał. Tuż za panną Collins wszedł Parkhurst i zamknął drzwi.

– Bardzo przepraszam, panno Collins – powiedział, posyłając Brodsky’emu gniewne spojrzenie. – Nie dał sobie wytłumaczyć, że nie ma prawa się pani narzucać.

Brodsky stał sztywno na środku pokoju. Kiedy panna Collins podeszła bliżej, złożył jej ukłon, w którym dał się zauważyć ślad niegdysiejszej wytworności. Wyciągnął bukiet w jej stronę.

– Drobnny podarunek. Sam nazrywałem.

Panna Collins wzięła od niego kwiaty, ale poza tym zupełnie nie zwracała na nie uwagi.

Mogłam się była domyślić, że będzie mnie pan nachodzić, panie Brodsky – powiedziała. – Poszłam wczoraj do zoo i teraz myśli pan, że może sobie na wszystko pozwolić.

Brodsky spuścił oczy.

– Ale zostało nam tak mało czasu – rzekł. – Nie możemy go marnować.

– Na czym niby miałyby polegać to niemarnowanie czasu, panie Brodsky? Pańska wizyta jest bezsensowna. Na pewno wiadomo panu, że rankami jestem zajęta.

– Proszę. – Podniósł dłoń. – Proszę. Jesteśmy już starzy. Nie musimy się kłócić jak dawniej. Wszedłem, żeby wręczyć pani te kwiaty. I złożyć pani małą propozycję. To wszystko.

– Propozycję? Jaką znowu propozycję, panie Brodsky?

– Żebyśmy spotkali się po południu na cmentarzu Świętego Piotra. Na pół godzinki. Chciałbym omówić z panią pewne sprawy sam na sam.

– Nie ma czego omawiać. Popełniłam błąd, udając się wczoraj do zoo. Zaraz, zaraz, powiedział pan: na cmentarzu? Co leż panu strzeliło do głowy, żeby umawiać się na randkę w takim miejscu? Czy już zupełnie postradał pan zmysły? Restauracja, kawiarnia, może jakiś park albo jezioro. Ale cmentarz?!

– Proszę mi wybaczyć. – Brodsky wyraźnie się strapił. – Nie przyszło mi to do głowy. Zapomniałem. To znaczy, zapomniałem, że cmentarz Świętego Piotra jest cmentarzem.

– Co pan wygaduje.

– To znaczy chodziliśmy tam często z Brunonem, to miejsce działało na nas kojąco. Nawet w najgorszych czasach nie czułem się tam tak bardzo źle, było tam spokojnie, pięknie,

lubiliśmy tam chodzić. Dlatego zaproponowałem to miejsce. Zupełnie zapomniałem o nieboszczykach. i cóż niby mielibyśmy tam robić? Siedzieć na nagrobku i wspominać stare czasy?

– Panie Brodsky, pańskie propozycje mogłyby być lepiej przemyślane.

– Ale Brunonowi i mnie naprawdę bardzo się tam podobało. Myślałem, że i pani się spodoba.

– Ach, rozumiem. Teraz, gdy zdechł pański pies, chce pan, żebym poszła tam zamiast niego.

– Nie o to mi chodziło. – Nieśmiałość Brodsky’ego ulotniła się nagle i przez jego twarz przemknął wyraz zniecierpliwienia. – Zupełnie nie o to mi chodziło, doskonale o tym wiesz. Zawsze tak robiłaś. Ja zastanawiam się długo, próbując wymyślić coś dobrego dla nas obojga, a ty z tego drwisz, naigrawas się, stwierdzasz, że to śmiechu warte. Gdybym to nie był ja, powiedziałaabyś: och, uroczy pomysł. To twój stary numer. Tak jak wtedy, kiedy się postarałem, żebyśmy na koncercie Kobylinsky’ego siedzieli z przodu...

– To było ponad trzydzieści lat temu. Jak pan może wciąż mi to wypominać?

– Teraz jest tak samo, tak samo. Próbuję coś dla nas wymyślić, bo wiem, że w głębi duszy lubisz, jak jest trochę nietypowo. A ty się naśmiewasz. Pewnie dlatego, że moje pomysły, jak na przykład ten cmentarz, w gruncie rzeczy ci się podobają, i widzisz, że cię rozumiem. Więc udajesz...

– Nonsens. Ta rozmowa mija się z celem. Jest już o wiele za późno, nie mamy sobie nic do powiedzenia, panie Brodsky. Nie mogę się z panem spotkać na cmentarzu, bez względu na to, czy mi się ten pomysł podoba, czy nie, ponieważ nie mam panu nic do powiedzenia...

– Chciałem jedynie wyjaśnić, jak do tego doszło, dlaczego tak postępowałem...

– Na to jest już o wiele za późno, panie Brodsky. Co najmniej dwadzieścia lat za późno. Poza tym nie mam ochoty słuchać od nowa pańskich usprawiedliwień. Jestem pewna, że nawet w tej chwili nie potrafiłabym wysłuchać pańskich przeprosin bez dreszczu zgrozy. Przez wiele, wiele lat pańskie przeprosiny oznaczały nie koniec, ale początek. Początek nowego pasma cierpień i upokorzeń. Dlaczego nie zostawi mnie pan w spokoju? Jest już za późno. A poza tym od kiedy pan wytrzeźwiał, zaczął się pan idiotycznie ubierać. Co pan ma na sobie?

Brodsky się zawahał, po czym powiedział:

– Ludzie, którzy mi pomagają, poradzili mi, abym się tak ubierał. Znów mam być dyrygentem. Muszę się ubierać tak, żeby ludzie postrzegali mnie w ten sposób.

– Miałam to panu powiedzieć już wczoraj w zoo. Ten śmieszny szary płaszcz! Kto kazał go panu nosić? Pan Hoffman? Naprawdę, powinien pan mieć trochę więcej rozsądku w sprawach własnego wyglądu. Ci ludzie ubierają pana jak kukłę, a pan im na to pozwala. Jak pan wygląda! Ten bezsensowny garnitur. Sądzi pan może, że nadaje panu artystyczny wygląd?

Brodsky spojrzał na swój ubiór z urazą w oczach, po czym podniósł wzrok i powiedział:

– Jesteś stara, nie znasz się na nowych trendach w modzie.

– To przywilej starych narzekać na ubiór młodych. Bawi mnie tylko, że to właśnie pan jest tak ubrany. To naprawdę bez sensu, zupełnie nie w pańskim stylu. Jestem przekonana, że miasto woli oglądać pana w tym, co nosił pan jeszcze kilka miesięcy temu, czyli w dość eleganckich łachmanach.

– Nie śmieć się ze mnie. Zmieniłem się. Wkrótce może znów będę dyrygentem. Tak się obecnie ubieram. Widziałem Mię w lustrze i uważam, że nie wyglądam źle. Zapominasz, że w Warszawie też nosiłem takie ubrania. Taką muchę. Zapominasz o tym.

W oczach panny Collins na moment pojawił się smutek.

– Tak, zapominam – przyznała. – Niby dlaczego miałabym pamiętać? Od tamtej pory wydarzyło się tyle innych, ciekawych rzeczy, które warto pamiętać.

– Bardzo ładna sukienka – powiedział nagle. – Bardzo elegancka. Ale buty, jak zwykle, okropieństwo. Nigdy nie przyjęłaś do wiadomości, że masz grube kostki. Jak na tak szczupłą kobietę, twoje kostki zawsze były grube. Nawet teraz, sama popatrz. – Wskazał na stopy panny Collins.

– Niech się pan nie wygłupia. Minęły już te czasy, gdy wystarczyła jedna taka uwaga z pańskich ust, żebym zmieniła kreację na kilka minut przed wyjściem, jak to się zdarzało w Warszawie. Pan żyje przeszłością, panie Brodsky! Myśli pan, że obchodzi mnie pańska opinia na temat moich butów? Doskonale zdaję sobie sprawę, że pan specjalnie czekał aż do ostatniej chwili, zanim pan coś skrytykował. Oczywiście wtedy przebierałam się szybko, w wielkim pośpiechu wrzucałam na siebie coś innego. A kiedy już siedzieliśmy w samochodzie albo na sali koncertowej, dopiero wtedy mi się przypominało, że mój makijaż nie pasuje do sukni lub że naszyjnik gryzie się z butami. A wówczas przywiązywałam do tego ogromną wagę. Żona dyrygenta! Przywiązywałam do tego ogromną wagę i pan o tym wiedział. Czy pan myśli, że nie przejrzałam pańskiej ówczesnej gry? Powtarzał pan: „Dobrze, dobrze, bardzo ładnie”, by na kilka minut przed wyjściem rzucić taką właśnie uwagę: „Twoje buty wyglądają okropnie!”. Jak gdyby znał się pan na tym! A co pan może wiedzieć o dzisiejszej

modzie, skoro przez ostatnich dwadzieścia lat w ogóle pan nie trzeźwiał?

– Niemniej – jego twarz nabrała teraz nieco władczego wyrazu – niemniej jest tak, jak mówię. Przez te buty dolna połowa twojego ciała wygląda zabawnie. Naprawdę.

– Proszę lepiej popatrzeć na ten bezsensowny garnitur! Na pewno włoska robota. W sam raz dla młodego tancerza baletowego. I pan uważa, że pomoże to panu odzyskać wiarygodność w oczach miejscowej ludności?

– Okropne buty. Wyglądasz w nich jak ołowiany żołnierz z podstawką, żeby się nie przewrócił.

– Czas najwyższy, aby opuścił pan moje progi! Jak pan śmie nachodzić mnie i zakłócać mój spokój! W środku czeka na mnie młode małżeństwo, bardzo nieszczęśliwe, dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek potrzebują mojej rady, a pan nam przeszkadza. To nasza ostatnia rozmowa. Popełniłam błąd, spotykając się z panem wczoraj w zoo.

– Na cmentarzu. – W jego głosie zabrzmiała nagle nutka desperacji. – Musisz się ze mną spotkać po południu. Fakt, nie pomyślałem o nieboszczykach, ale już to wyjaśniłem. Musimy porozmawiać przed... przed wieczorem. Jak inaczej może mi się udać? Nie wiesz, jak ważny jest ten wieczór? Musimy się spotkać, porozmawiać...

– Proszę posłuchać. – Parkhurst postąpił naprzód i spiorunował Brodsky'ego wzrokiem. – Słyszał pan, co rzekła panna Collins. Prosiła, żeby poszedł pan precz z jej domu, z jej oczu i z jej życia. Jest zbyt taktowna, żeby to panu powiedzieć, więc powiem to w jej imieniu. Po tym wszystkim, czego się pan dopuścił, nie ma pan prawa, absolutnie żadnego prawa zwracać się do niej z taką prośbą. Jak może pan prosić o spotkanie, jak gdyby to wszystko nigdy się nie zdarzyło? A może udaje pan, był zbyt pijany, żeby pamiętać? No to przypomnę panu. Jeszcze nie tak dawno stał pan tu, na tej ulicy, oddając mocz na ścianę tego budynku i wykrzykując sprośności w stronę tego okna. W końcu zabrała pana policja, odciągnęli pana siłą, gdy pan wykrzykiwał najplugawsze obelgi pod adresem panny Collins. Działo się to nie dalej jak rok temu. Pewnie spodziewa się pan, że panna Collins już o tym zapomniała, ale zapewniam pana, że był to tylko jeden z wielu podobnych incydentów. Co się zaś tyczy pańskich wypowiedzi na temat ubioru, czyż blisko trzy lata temu nie znaleziono pana nieprzytomnego w Volksgarten w ubraniu unurzonym w pańskich własnych wymiocinach, a polem zabrano do kościoła Świętej Trójcy, gdzie stwierdzono u pana wszy? Czy pan sądzi, że pannę Collins obchodzi, co taki człowiek ma do powiedzenia na temat jej gustu? Spójrzmy prawdzie w oczy, panie Brodsky: człowiek, który upadł tak nisko, nie zdoła już odzyskać swojej dawnej pozycji. Nigdy, przenigdy nie wzbudzi pan dawnej miłości w sercu kobiety, stwierdzam to z całą stanowczością. Ani nie wzbudzi pan szacunku. Może

litość, ale nie ponad to. Dyrygent! Łudzi się pan, że to miasto kiedykolwiek ujrzy w panu kogoś innego niż odrażającego rozbitka życiowego? Przypomnę panu, panie Brodsky, że cztery lata temu, może pięć, fizycznie zaatakował pan pannę Collins tuż za Bahnhofplatz i gdyby nie dwóch studentów, którzy akurat tamtędy przechodzili, bez wątpienia zadałby jej pan poważne obrażenia. Usiłując ją uderzyć, przez cały czas wykrzykiwał pan najohydniejsze...

– Nie, nie, nie! – zawołał nagle Brodsky, potrząsając głową i zatykając uszy.

– Wykrzykiwał pan najplugawsze sprośności, pełne odniesień do seksu i dewiacji płciowych. Mówiło się, że należy pana za to wsadzić do więzienia. A potem doszło do incydentu przy budce telefonicznej na Tillgasse...

– Nie, nie!

Brodsky chwycił Parkhursta za klapy, ten zaś się cofnął, zdjęty trwogą. Brodsky jednak zaprzestał dalszych aktów agresji i jedynie kurczowo trzymał Parkhursta za klapy marynarki, jakby to była lina ratunkowa. Przez parę następnych sekund Parkhurst usiłował odgiąć palce Brodsky'ego. Gdy wreszcie mu się to udało, Brodsky jakby cały oklapł. Zamknął oczy i westchnął, po czym odwrócił się i bez słowa wyszedł z pokoju.

Z początku wszyscy troje staliśmy w milczeniu, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Ocknęliśmy się, dopiero gdy rozległo się trzaśnięcie drzwi wejściowych, a wówczas Parkhurst i ja podeszliśmy jednocześnie do okna.

– Idzie – powiedział Parkhurst, przyciskając czoło do szyby. – Proszę się nie martwić, panno Collins, już tu nie wróci.

Zdawało się, że panna Collins go nie słyszy. Ruszyła w stronę drzwi, po czym wróciła na swoje miejsce.

– Proszę mi wybaczyć, muszę... muszę... – Podeszła do okna z nieobecnym wyrazem twarzy i wyjrzała na zewnątrz. – Przepraszam, muszę... Widzi pan, mam nadzieję, że pan zrozumie... – Jej słowa nie były skierowane do któregoś z nas w szczególności. Kiedy wreszcie jej zmieszanie ustąpiło, powiedziała: – Panie Parkhurst, pan nie miał prawa mówić do Leo takim tonem. Przez ostatni rok spisywał się nadzwyczaj dzielnie. – Przeszyła Parkhursta wzrokiem i wyszła pospiesznie z pokoju. Po chwili znów usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi.

Wciąż stałem przy oknie i widziałem, jak panna Collins oddała się szybkim krokiem. Brodsky był już daleko z przodu, dostrzegła go jednak i po kilku sekundach puściła się truchtem, zapewne krępując się krzyknąć, żeby na nią poczekał. Ale Brodsky, z tym swoim osobliwym, pochylonym sposobem poruszania się, sunął zadziwiająco szybko. Był wyraźnie

zdenerwowany i nie przyszło mu na myśl, że mogła za nim wyjść.

Panna Collins, powoli tracąc oddech, goniła go wzdłuż szeregu kamienic i dalej obok sklepów, nie zdołała jednak w widoczny sposób zmniejszyć dzielącej ich odległości. Brodsky kroczył żwawo naprzód, skręcił na rogu, na którym wcześniej rozstałem się z Gustavem, i szedł dalej szerokim bulwarem, mijając włoskie restauracje. Na chodniku było teraz jeszcze tłoczniej, niż gdy przechodziłem tamtędy z Gustavem, ale Brodsky maszerował ze spuszczonego wzrokiem, co ludziom, którzy znaleźli się na jego drodze, groziło staranowaniem.

Kiedy zbliżył się do przejścia dla pieszych, panna Collins zdała sobie w końcu sprawę, że nie zdoła go dogonić. Przystanąwszy, zwinęła dłonie w trąbkę i przyłożyła je do ust, lecz znów coś kazało jej się zawahać. Być może stanęła przed dylematem, czy ma zawołać „Leo”, czy może „panie Brodsky”, jak zwracała się do niego w rozmowie. Zapewne jakiś instynkt ostrzegł ją, że sytuacja wymaga natychmiastowej akcji, zawołała bowiem: „Leo! Leo! Zaczekaj, proszę!”.

Brodsky odwrócił się zaskoczony, a panna Collins szybkim krokiem zbliżyła się do niego. Wciąż jeszcze trzymała w ręku bukiet i w swoim zmieszaniu Brodsky wyciągnął obie ręce, jakby chciał ją od niego uwolnić. Ale panna Collins dalej trzymała kwiaty i pomimo zadyszki powiedziała całkiem spokojnie:

– Proszę zaczekać, panie Brodsky.

Przez chwilę stali zakłopotani, nagle świadomi tłumu przechodniów, z których wielu zaczynało już zerkać w ich stronę, często z nieukrywaną ciekawością. Wreszcie panna Collins wskazała ręką w kierunku swojego mieszkania, mówiąc łagodnie:

– Ogród Stemberga wygląda bardzo ładnie o tej porze roku. Może pójdziemy tam porozmawiać?

Z poczuciem ulgi, że mają oczywisty powód, by odłożyć rozmowę do momentu, gdy znajdą się u celu, ruszyli – panna Collins jeden lub dwa kroki z przodu – ściągając na siebie coraz więcej ciekawskich spojrzeń. Na rogu skręcili z powrotem w jej ulicę i wkrótce znów mijali szereg kamienic. Kiedy od jej mieszkania dzielił ich już tylko jeden budynek, panna Collins zatrzymała się przed małą, żelazną furtką, osadzoną dyskretnie w głębi chodnika.

Chwyciła klamkę, ale zanim otworzyła furtkę, na chwilę zastygła w bezruchu. Przyszło mi na myśl, że wspólny spacer, który właśnie odbyli, sam fakt, że stali teraz ramię w ramię przy wejściu do Ogrodu Stemberga, oznaczał dla niej więcej, niż Brodsky mógł się w tym momencie domyślać. Tę krótką przechadzkę u jego boku, od ruchliwego bulwaru do tej furtki, przeżywała bowiem w wyobraźni już niezliczone razy od wielu lat – od czasu, gdy

pewnego letniego popołudnia spotkali się całkiem przypadkowo na bulwarze przed sklepem jubilerskim. Przez te wszystkie lata nie zapomniała wystudiowanej obojętności, z jaką odwrócił się od niej tamtego dnia, udając zainteresowanie jakimś drobiazgiem na wystawie.

W tamtym czasie – z górą rok, zanim zaczęło się pijaństwo i miotanie obelg – wszelki kontakt między nimi ograniczał się w zasadzie wyłącznie do takich oznak wzajemnej obojętności. I choć przed tamtym popołudniem kilkakrotnie już postanawiała podjąć działania pojednawcze, ona również odwróciła wzrok i poszła dalej. Dopiero gdy minęła włoskie restauracje, poddała się ciekawości i spojrzała do tyłu. Wówczas się zorientowała, że Brodsky idzie jej śladem. Wprawdzie znów wpatrywał się w jakąś witrynę, niemniej dzieliła ich tylko niewielka odległość.

Zwolniła kroku, spodziewając się, że prędzej czy później ją dogoni. Kiedy doszła do rogu swojej ulicy, a on wciąż jeszcze jej nie dogonił, obejrzała się powtórnie. Tamtego dnia szeroki, zalany słońcem chodnik wypełniony był tłumem przechodniów, zauważyła jednak – nie bez satysfakcji – jak zatrzymał się w pół kroku i zwrócił spojrzenie na stragan z kwiatami, który akurat mijał. Na jej usta wystąpił uśmiech i skręcając w swoją ulicę, z przyjemnym zdziwieniem uświadomiła sobie swój beztroski nastrój. Posuwała się teraz zółwim tempem i podobnie jak on oglądała wystawy sklepowe. Zajrzała kolejno do ciastkami, sklepu z zabawkami, tekstyliów – wtedy jeszcze nie było księgami – układając w myślach pierwszą kwestię, jaką wypowie, gdy w końcu do niej podejdzie. Może powiedziec: „Jakie z nas dzieci, Leo”. Ale wydało jej się to zbyt przemądrzałe i spróbowała wymyślić coś bardziej ironicznego: „Zdaje się, że idziemy w tym samym kierunku” lub coś w tym rodzaju. Potem dostrzegła na rogu jego sylwetkę oraz bukiet jaskrawych kwiatów w jego ręku. Natychmiast się odwróciła i ruszyła dalej, tym razem szybciej. Kiedy zbliżała się do swojego mieszkania, po raz pierwszy tego dnia zezłościła się na niego. Jej popołudnie było tak dobrze rozplanowane. Dlaczego wybrał na rozmowę właśnie ten moment? Kiedy dotarła do swoich drzwi, znów obejrzała się ukradkiem i zobaczyła, że jest co najmniej piętnaście metrów za nią.

Zamknęła za sobą drzwi i opierając się pokusie, by wyjrzeć przez okno, pospieszyła do swojej sypialni w głębi mieszkania. Tam obejrzała się w lustrze i opanowała emocje. Wyszędłszy z sypialni, stanęła zaskoczona w korytarzu. Drzwi w drugim końcu korytarza były uchylone i przez szparę widziała na przestrzał zalany słońcem pokój frontowy i dalej, przez okno, Brodsky’ego, który węszał się po chodniku, jakby na kogoś czekał. Przez chwilę stała nieruchomo zdjęta nagłą obawą, że wróci, zajrzy przez szybę i ją zobaczy. Potem jego postać zniknęła z pola widzenia, ona zaś stała zapatrzona w fasady budynków po drugiej

stronie ulicy, bacznie nasłuchując dzwonka u drzwi.

Gdy po minucie dzwonka wciąż nie było słychać, znów poczuła przyływ złości na niego. Przyszło jej na myśl, że Brodsky czeka na jej zaproszenie. Ponownie uspokoiła nerwy i przemyślawszy dokładnie całą sytuację, postanowiła nie robić nic, dopóki Brodsky nie zadzwoni do drzwi.

Czekała jeszcze przez kilka minut. Raz bez wyraźnej przyczyny wróciła do sypialni, potem znów wyszła na korytarz. Kiedy w końcu zaświtało jej w głowie, że sobie poszedł, powoli przeszła do przedsiionka.

Otworzyła drzwi i rozejrzała się na wszystkie strony, by ze zdziwieniem stwierdzić, że nigdzie go nie ma. Spodziewała się ujrzeć go przyczajonego kilka klatek dalej lub przynajmniej natknąć się na kwiaty zostawione dla niej pod drzwiami. Mimo to nie czuła wówczas żalu. Niewątpliwie pewną ulgę, jak też całkiem przyjemne podniecenie na myśl, że proces pojednania wreszcie się zaczął, ale nie żal. Wręcz przeciwnie, kiedy usiadła w pokoju frontowym, gratulowała sobie nawet, że udało się jej wytrwać w swoim postanowieniu. Takie małe zwycięstwa, mówiła sobie, są bardzo ważne i pomogą im w przyszłości uniknąć tych samych błędów.

Dopiero kilka miesięcy później po raz pierwszy nasunęła się jej refleksja, że tamtego dnia popełniła błąd. Lecz i wówczas myśl ta nie była do końca sprecyzowana i panna Collins nie poświęciła jej większej uwagi. Z biegiem tygodni jednak jej myśli coraz częściej krążyły wokół tamtego letniego popołudnia. W końcu doszła do wniosku, że popełniła wielki błąd, wchodząc do mieszkania. W ten sposób żądała od niego trochę za wiele. Skręciwszy na rogu i minawszy sklepy, powinna była się zatrzymać przed furtką i upewniwszy się, że ją widzi, wejść do Ogródu Stemberga. Wówczas bez wątplenia by za nią poszedł. Nawet gdyby przez jakiś czas spacerowali wśród krzewów w milczeniu, prędzej czy później nawiązaliby rozmowę. I prędzej czy później ofiarowałby jej kwiaty. Ilekroć w ciągu tych dwudziestu paru lat, które minęły od tamtej pory, wzrok panny Collins padał na furtkę, czuła w swoim wnętrzu jakieś drobne ukłucie. Toteż gdy tego ranka nareszcie wprowadzała Brodsky'ego do ogrodu, czyniła to z niejakim namaszczeniem.

Mimo że w wyobraźni panny Collins Ogród Stemberga zajmował tak wyjątkową pozycję, miejsce to nie było szczególnie atrakcyjne. Właściwie był to wybetonowany skwer, nie większy niż parking przy supermarkecie, który, jak się zdawało, istniał głównie dla celów ogrodniczych, nie zaś po to, by dostarczać okolicznym mieszkańcom wrażeń estetycznych czy rozrywki. Nie było tam trawy ani drzew, lecz jedynie rzędy klombów, tak że o tej porze dnia miejsce to nie zapewniało żadnego schronienia przed słońcem. Ale panna Collins,

rozglądając się po kwiatach i paprociach, klasnęła z zachwytem. Brodsky, ostrożnie zamykając za sobą furtkę, popatrzył na ogród bez entuzjazmu, wydawał się jednak zadowolony z tego, że nie licząc wychodzących na ogród okien, miejsce to zapewniało im pełną intymność.

– Niekiedy przyprowadzam tutaj ludzi, którzy do mnie przychodzą – powiedziała panna Collins. – To fascynujące miejsce. Są tu gatunki niespotykane nigdzie indziej w Europie.

Przechadzała się wolno pośród klombów, rozglądając się wokoło z podziwem, podczas gdy Brodsky przez grzeczność trzymał się kilka kroków za nią. Zakłopotanie, które jeszcze kilka minut temu budziła w nich wzajemna bliskość, teraz zupełnie się ulotniło, tak że patrząc przez furtkę, ktoś mógłby wziąć ich za stare, dobre małżeństwo, zażywające codziennej przechadzki na słońcu.

– Panu, oczywiście – powiedziała panna Collins, zatrzymując się przed jednym z krzaczków – nigdy nie podobały się takie ogrody, prawda, panie Brodsky?

– Nie chcesz nazywać mnie po imieniu?

– Proszę bardzo, Leo. Nie, ty wolisz coś dzikszego. Ale widzisz, tylko dzięki planowaniu i troskliwej opiece niektóre z tych gatunków mogą przetrwać.

Brodsky przyjrzał się z nabożeństwem listkowi, którego dotykała panna Collins.

– Pamiętasz? – zapytał. – W każdą niedzielę rano, po kawie w Praskiej, chodziliśmy do księgami. Tyle starych książek, gdziekolwiek się obrócić: poupychane, zakurzone książki. Pamiętasz? Niecierpliwiłaś się, ale mimo wszystko tam szliśmy, w każdą niedzielę, po kawie w Praskiej.

Panna Collins przez kilka sekund milczała, po czym zaśmiała się lekko i ruszyła dalej wolnym krokiem.

– Człowiek kijanka – powiedziała.

Brodsky się uśmiechnął.

– Człowiek kijanka – powtórzył, kiwając głową. – Otóż to, gdybyśmy pojechali tam teraz, kto wie, może wciąż tkwiłby za swoim stołem. Czy kiedykolwiek pytaliśmy go o nazwisko? Zawsze był dla nas taki miły, choć nigdy nie kupowaliśmy jego książek.

– Tylko ten jeden raz, gdy na nas nakrzyczał.

– Nakrzyczał na nas? Nie pamiętam. Człowiek kijanka zawsze był taki miły. I nigdy nie kupiliśmy od niego książki.

– Ależ tak. Weszliśmy do środka, padał deszcz i uważaliśmy, żeby nie zamoczyć jego książek, na progu otrząsnęliśmy wodę z płaszczy, ale tamtego ranka był w wyjątkowo złym

humorze i nakrzyczał na nas. Nie pamiętasz? Wyrzekał, że jestem Angielką O tak, był bardzo niemiły, ale tylko tamtego ranka. W następną niedzielę nic a nic nie pamiętał.

– Zabawne – rzekł Brodsky. – Nie przypominam sobie nic takiego. Człowiek kijanka. Pamiętam, że zawsze był taki nieśmiały i grzeczny. Nie przypominam sobie tego zdarzenia.

– Może to mnie pamięć zawodzi – powiedziała panna Collins. – Może pomyliłam go z kim innym.

– Tak mi się wydaje. Człowiek kijanka był zawsze bardzo uprzejmy. To nie w jego stylu. Wyrzekał, że jesteś Angielką? – Brodsky pokręcił głową. – Nie, zawsze był bardzo uprzejmy.

Panna Collins znów przystanęła zaintrygowana jakąś paprotką.

– Iluż ich było – powiedziała w końcu. – Ludzi tego pokroju. Tacy mili i cierpliwi. Gotowi przychylić ci nieba, wiele poświęcić, a potem, pewnego dnia, bez wyraźnej przyczyny, nagle wybuchali gniewem. Później zaś znowu wszystko wracało do normy. Na przykład Andrzej. Taki właśnie był.

– Andrzej był szalony. Wiesz, czytałem gdzieś, że zginął w wypadku samochodowym. Tak, wyczytałem to w polskiej gazecie pięć czy sześć lat temu. Zginął w wypadku.

– To smutne. Pewnie wielu osób z tamtych lat nie ma już na tym świecie.

– Lubilem Andrzeja – powiedział Brodsky. – Wyczytałem to w polskiej gazecie, mała wzmianka informująca, że zginął. Wypadek drogowy. Przypomniały mi się tamte wieczory, kiedy odwiedzał nas w starym mieszkaniu. Jak w tym całym bałaganie, pośród książek i czasopism, owijaliśmy się kocami, dzieliliśmy kawą i godzinami dyskutowaliśmy. O muzyce, o literaturze, zapatrzeni w sufit gadaliśmy bez końca.

– Miałam ochotę kłaść się spać, ale Andrzej nigdy nie kwapił się do wyjścia. Czasami siedział do rana.

– Tak. Kiedy przegrywał w dyskusji, nie chciał wyjść. Nigdy nie wyszedł, dopóki nie był przekonany, że wygrywa. Dlatego czasami siedział do rana.

Panna Collins się uśmiechnęła, a potem westchnęła.

– Przykro mi, że nie żyje – powiedziała.

– To nie był człowiek kijanka – przypomniał sobie Brodsky – tylko ten człowiek w galerii obrazów. To on na nas krzyczał. Dziwny jakiś, zawsze udawał, że nie wie, kim jesteśmy. Pamiętasz? Nawet po wykonaniu *Lafcadia*. Kelnerzy, taksówkarze, wszyscy chcieli uścisnąć mi dłoń, ale kiedy szliśmy do galerii, nic. Patrzył na nas z kamienną twarzą, tak samo jak zawsze. A potem, gdy przestało się nam powodzić, wstąpiliśmy raz do galerii, tego dnia akurat padał deszcz, i wtedy na nas nakrzyczał. Powiedział, że zachłapiemy mu podłogę,

że zawsze tak robiliśmy, ilekroć padało, przez te wszystkie lata, i on ma już tego dosyć. To on przyczepił się do tego, że jesteś Angielką, a nie człowiek kijanka. Ten był zawsze bardzo uprzejmy, aż do końca. Pamiętam, że tuż przed naszym wyjazdem uściskał mi dłoń. Przypominasz sobie? Weszliśmy do księgami, wiedział, że to już ostatni raz, wyszedł zza swojego stołu i uściskał mi dłoń. Większość ludzi nie chciała już wtedy podawać mi ręki, ale on tak. Człowiek kijanka był zawsze bardzo uprzejmy.

Panna Collins zasłoniła oczy przed słońcem i spojrzała w przeciwny róg ogrodu. Potem znów ruszyła spacerowym krokiem, mówiąc:

– Miło sobie powspominać, lecz nie można żyć przeszłością.

– Ale pamiętasz to – powiedział Brodsky. – Pamiętasz człowieka kijankę, księgarnię. A pamiętasz szafę? Drzwi wyrwane z zawiasów? Pamiętasz to wszystko tak samo jak ja.

– Niektóre rzeczy pamiętam, inne zwyczajnie zapomniałam. – W jej głosie dało się naraz wyczuć ostrożność. – Niektórych spraw, nawet z tamtych lat, lepiej nie pamiętać.

Brodsky zastanowił się nad tym.

– Może masz rację – przyznał. – Przeszłość jest zbyt pojemna. Wstyd mi, więc skończmy z tym. Skończmy z przeszłością. Wybierzmy zwierzaka.

Panna Collins szła dalej, kilka kroków przed Brodskym. Potem znowu się zatrzymała i odwróciła ku niemu.

– Spotkam się z tobą po południu na cmentarzu, jeśli chcesz. Tylko nie myśl, że o czymkolwiek świadczy. To wcale nie znaczy, że zgadzam się na twojego zwierzaka lub cokolwiek innego. Ale widzę, że przejmujesz się dzisiejszym występem i chciałbyś podzielić się z kimś swoimi obawami.

– Przez te ostatnie miesiące przed oczami biegały mi białe myszki, ale się nie poddawałem, przygotowywałem się dalej. Wszystko to na nic, jeżeli do mnie nie wrócisz.

– Zgadzam się jedynie na krótkie, może półgodzinne spotkanie po południu.

– Ale powiedz, że się nad tym zastanowisz. Zastanowisz się jeszcze przed spotkaniem. Nad zwierzakiem i w ogóle.

Panna Collins się odwróciła i przez dłuższy czas wpatrywała się w inny krzew. Wreszcie powiedziała:

– Dobrze, zastanowię się.

– Domyślasz się, jak bardzo się męczyłem. Czasami było tak strasznie, że chciałem umrzeć, skończyć z tym, ale wytrzymałem, bo tym razem widziałem cel. Znów będę dyrygentem. Ty wrócisz. Będzie jak dawniej, może nawet lepiej. Bywało strasznie... białe myszki... co jeszcze mogę zrobić, żeby tego dowieść? Nigdy nie mieliśmy dzieci, więc

sprawmy sobie zwierzaka.

Panna Collins znów ruszyła naprzód, Brodsky zaś dotrzymywał jej tym razem kroku, wpatrując się z powagą w jej twarz. Panna Collins miała właśnie coś powiedzieć, gdy nagle usłyszałem za sobą głos Parkhursta:

– Nigdy nie biore w tym udziału, wiesz, kiedy zaczynają się na tobie wyzywać. Nawet się nie śmieję, nie uśmiecham, po prostu się wyłączam. Pewnie myślisz, że tylko tak mówię, ale to prawda. Budzą we mnie odrazę takim zachowaniem. I ten ośli ryk! Przekraczam próg, a oni zaraz w ten ośli ryk! Nie dali mi nawet minuty, nawet sześćdziesięciu sekund, żebym im pokazał, że się zmieniłem. „Parkers! Parkers!”. Jak oni mnie mierzą...

– Słuchaj – powiedziałem, czując, że tracę do niego cierpliwość. – Jeśli tak bardzo cię irytują, dlaczego nie powiesz im tego wprost? Dlaczego następnym razem nie stawisz im czoła? Przerwij ten ich ośli ryk. Zapytaj, za co mnie tak bardzo nienawidzą. Dlaczego moje powodzenie tak ich gorszy. Tak, zapytaj ich! Dla większego efektu możesz to zrobić w środku jakiegoś błazeństwa. Otóż to, zrób to w środku jednej ze swoich anegdot, kiedy stroisz śmieszne miny i naśladujesz głosy, kiedy wszyscy się śmieją i klepią cię po plecach zachwyceni, że się ani trochę nie zmieniłeś, właśnie wtedy. Zapytaj ich nagle: „Dlaczego? Dlaczego sukces Rydera tak bardzo wam przeszkadza?”. Oto, co trzeba zrobić. W ten sposób nie tylko wyświadczysz mi przysługę, ale jednocześnie pokażesz tym głupcom, że pod maską błazna kryje się i zawsze kryła osobowość dużo głębsza, bezkompromisowa i niedająca się łatwo manipulować. Taka jest moja rada.

– Ba! – krzyknął rozzłoszczony Parkhurst. – Łatwo ci mówić! Ty nie masz nic do stracenia, tak czy inaczej cię nienawidzą. Ale to moi najdawniejsi przyjaciele. Kiedy jestem tu, na kontynencie, wśród tych wszystkich ludzi, z reguły czuję się dobrze. Ale od czasu do czasu spotyka mnie jakaś przykrość i wtedy myślę sobie: „Cóż z tego? To tylko cudzoziemcy. W moim kraju rodzinnym mam dobrych przyjaciół, w każdej chwili mogę wrócić, przyjmą mnie z otwartymi ramionami”. Łatwo ci udzielać dobrych rad. Lepiej zastanów się nad sobą, twoja sytuacja nie jest znów taka godna pozazdroszczenia. Nie wiem, skąd w tobie tyle samozadowolenia. Nie bardziej niż ja możesz sobie pozwolić na zapomnienie starych kumpli. W tym, co mówią jest trochę racji. Jesteś zadufany w sobie i pewnego dnia zapłacisz za to. Tylko dlatego, że stałeś się sławny! W gruncie rzeczy mają rację. „Czemu nie stawisz im czoła?”. Co za arogancja!

Parkhurst mówił dalej w podobnym tonie, ale przestałem go słuchać, ponieważ na wzmiankę o moim „samozadowoleniu” przypomniało mi się nagle, że do miasta mają wkrótce przyjechać moi rodzice. Właśnie tam, w salonie panny Collins, o władnęła mną –

przyprawiając o lodowate, prawie namacalne przerażenie – świadomość, że wciąż jeszcze nie przygotowałem utworu, który miałem wykonać przed nimi wieczorem. Co więcej, nie dotykałem klawiatury już od kilku dni, może nawet tygodni.

I oto od tego najważniejszego w życiu występu dzielą mnie tylko godziny, a ja nie postarałem się nawet o zorganizowanie próby. Im dłużej myślałem o swojej sytuacji, tym bardziej wydawała mi się niepokojąca. Uświadomiłem sobie, że poświęciłem zdecydowanie za wiele uwagi orędziu, które miałem wygłosić, zaniedbałem natomiast, z niejasnych przyczyn, zasadniczą sprawę recitalu. Przez chwilę nie mogłem sobie nawet przypomnieć, na co się ostatecznie zdecydowałem: na *Struktury kuliste: opcja II* Yamanaki czy na *Azbest i włókno* Mullery’ego? Gdy spróbowałem odtworzyć je w pamięci, okazało się, że o obu tych kompozycjach mam jedynie niepokojąco mgliste pojęcie. Pamiętałem, że każda z nich zawiera bardzo skomplikowane pasáže, ale gdy próbowałem je sobie dokładniej przypomnieć, w głowie miałem prawie zupełną pustkę. Tymczasem, według moich informacji, rodzice byli już w mieście. Uznałem, że nie mam chwili do stracenia i pomimo wszelkich innych roszczeń do mojego czasu, muszę najpierw zarezerwować sobie dwie godziny w ciszy i spokoju przy dobrym fortepianie.

Parkhurst wciąż trąkotał.

– Przepraszam – przerwałem mu, kierując się w stronę drzwi. – Muszę natychmiast wyjść.

Parkhurst skoczył na równe nogi, a jego głos przybrał naraz ton błagalny.

– Nie biorę w tym udziału. Skąd, nie biorę w tym najmniejszego udziału. – Ruszył za mną, jakby chciał mnie chwycić za ramię. – Nawet się nie uśmiecham. To odrażające, jak się na tobie wyżywiają...

– W porządku, bardzo ci dziękuję – powiedziałem, usuwając się poza zasięg jego ręki. – Ale naprawdę muszę już iść.

Opuściwszy mieszkanie panny Collins, szybkim krokiem ruszyłem przed siebie, niezdolny myśleć o niczym innym, jak tylko o konieczności powrotu do hotelu i rozpoczęcia próby na fortepianie w salonie. Byłem tak zaabsorbowany tą myślą, że nie tylko minąłem furtkę, nie rzuciwszy na nią okiem, ale też nie zauważyłem Brodsky’ego, dopóki omal nie wszedłem mu na głowę. Brodsky uklonił się i pozdrowił mnie spokojnie, tonem świadczącym o tym, że obserwował mnie już od jakiegoś czasu.

– O, pan Ryder. Znów się spotykamy.

– Ach, to pan, panie Brodsky – odparłem, nie zwalniając kroku. – Proszę mi wybaczyc, ale strasznie się spieszę.

Brodsky dołączył do mnie i przez chwilę szliśmy razem w milczeniu. Chociaż czułem, że jest to dość dziwna sytuacja, byłem zbyt przejęty, żeby nawiązać rozmowę.

Skręciliśmy na rogu w szeroki bulwar. Tłum ludzi na chodniku był teraz wyjątkowo gęsty – w przerwie na lunch urzędnicy wylegli z biur – i musieliśmy zwolnić kroku. Dopiero wtedy Brodsky odezwał się do mnie:

– Ta cała gadanina zeszłego wieczoru. Wielka uroczystość. Pomnik. Nie, nie, nic z tych rzeczy. Bruno nienawidził tych wszystkich ludzi. Chcę pochować go sam, kameralnie, co w tym złego? Dziś rano znalazłem odpowiednie miejsce, pochowam go sam, nie życzyłby sobie obecności innych, wszystkich ich nienawidził. Panie Ryder, chciałbym pożegnać go muzyką, muzyką najwyższej próby. Znalazłem dziś ciche miejsce, wiem, że Brunonowi by się tam podobało. Wykopię dół, nie trzeba głęboko kopać. Potem usiądę obok grobu, pomyślę o nim, pożegnaj go, to wszystko. Chciałbym, żeby odbyło się to przy muzyce. Zrobi to pan dla mnie, panie Ryder? Dla mnie i dla Brunona? Proszę pana o tę jedną małą przysługę.

– Panie Brodsky – powiedziałem, znów przyspieszając kroku – nie wiem, o co właściwie pan mnie prosi. Muszę jednak panu uzmysłwić, że nie mam obecnie ani chwili wolnego.

– Panie Ryder...

– Panie Brodsky, bardzo mi przykro z powodu pańskiego psa, ale zmuszony jestem spełniać zbyt wiele próśb i w rezultacie zostało mi bardzo mało czasu na sprawy najważniejsze, które mnie tu sprowa... – Nagle ogarnęło mnie zniecierpliwienie i zatrzymałem się gwałtownie. – Prawdę powiedziawszy, panie Brodsky – rzekłem bliski krzyku – muszę prosić pana oraz wszystkich innych, żebyście przestali zarzucać mnie swoimi prośbami. Nadszedł czas, by z tym skończyć. To się musi skończyć!

Brodsky spojrzał na mnie zakłopotany, zaraz jednak odwrócił oczy. Wyglądał na kompletnie przybitego. Natychmiast pożałowałem swoich słów, uświadamiając sobie jednocześnie niedorzeczność obarczania Brodsky'ego winą za to, że od chwili przybycia do miasta musiałem się zajmować rozlicznymi drugorzędnymi sprawami. Westchnąłem i powiedziałem łagodniejszym tonem:

– Umówmy się tak. Teraz idę do hotelu, żeby poćwiczyć. Potrzebuję co najmniej dwóch godzin absolutnego spokoju. Potem, zależnie od przebiegu próby, być może znajdę czas, by powrócić do sprawy pańskiego psa. Podkreślam, niczego nie mogę obiecać, ale...

– To był tylko pies – powiedział nagle Brodsky. – Ale chcę go pożegnać przy muzyce najwyższej próby.

– Rozumiem, panie Brodsky, teraz jednak muszę się pospieszyć. Mam naprawdę mało

czasu.

Poszedłem dalej przekonany, że tak jak przedtem Brodsky dotrzyma mi kroku, ale nie ruszył się z miejsca. Zawahałem się, nic chcąc go tak po prostu zostawiać na chodniku, zaraz jednak sobie przypomniałem, że pod żadnym pozorem nie mogę się teraz rozpraszać. Minałem szybko włoskie restauracje i obejrzałem się, dopiero gdy doszedłem do przejścia dla pieszych, gdzie musiałem poczekać na zmianę świateł. Przez chwilę zasłaniał mi go tłum przechodniów, w końcu jednak dostrzegłem, że stoi tam, gdzie go zostawiłem, lekko nachylony, aby lepiej widzieć nadjeżdżające pojazdy. Błysnęła mi myśl, że miejsce, w którym go zostawiłem, to przystanek tramwajowy i że Brodsky został tam z tej prostej przyczyny: ponieważ czekał na tramwaj. Ale potem zapaliło się zielone światło i gdy przechodziłem na drugą stronę, moje myśli znów zaczęły krążyć wokół o wiele pilniejszej sprawy wieczornego występu.

## Rozdział 23

Kiedy wróciłem do hotelu, odniosłem wrażenie, że w holu panuje spory ruch, byłem jednak zbyt przejęty myślą o próbie, żeby się dobrze rozejrzeć. Możliwe nawet, że wepchnąłem się przed innych gości, gdy się nachyliłem nad kontuarem i zwróciłem do recepcjonisty:

– Przepraszam, czy ktoś jest teraz w salonie?

– W salonie? Chyba tak, panie Ryder. Goście lubią przesiadywać tam po lunchu, wydaje mi się więc, że...

– Muszę natychmiast porozmawiać z panem Hoffmanem. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Recepcjonista podniósł słuchawkę telefonu i zamienił z kimś parę słów. Odłożywszy słuchawkę, powiedział:

– Pana Hoffmana nie będzie jeszcze przez jakiś czas.

– Rozumiem. Ale to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Mówiąc to, poczułem, że ktoś dotyka mojego ramienia. Odwróciwszy się, ujrzałem Sophie.

– O, witaj – odezwałem się. – Co tu robisz?

– Chciałam coś przekazać. Wiesz, tacie. – Zaśmiała się z zażenowaniem. – Ale jest zajęty, poszedł do sali koncertowej.

– Ach tak, płaszcz – powiedziałem, dostrzegając tobolek w jej ręku.

– Robi się chłodno, więc przyniosłam, ale poszedł do sali koncertowej i jeszcze nie wrócił. Czekamy już prawie pół godziny. Jeśli się nie zjawi w ciągu następnych paru minut, będziemy musieli to odłożyć.

Zauważyłem Borisa, który siedział na sofie w drugim końcu holu. Stojąca na środku grupa turystów prawie całkowicie zasłaniała mi jego widok, widziałem jednak, że czyta z przejęciem podniszczony poradnik „złotej rączki”, który kupiłem dla niego w kinie. Sophie przeniosła wzrok za moim spojrzeniem i znów się zaśmiała.

– Nie może się oderwać od tej książki – wyjaśniła. – Wczoraj po twoim wyjściu przeglądał ją, dopóki nie położył się spać, a dziś rano, odkąd tylko wstał z łóżka. – Zaśmiała się ponownie i znów spojrzała w jego stronę. – Miałaś świetny pomysł, żeby mu ją kupić.

– Cieszę się, że mu się podoba – powiedziałem, odwracając się do kontuaru. Podniosłem rękę, chcąc zapytać recepcjonistę, gdzie się podziewa Hoffman, ale w tym momencie Sophie przysunęła się bliżej i powiedziała innym tonem:

– Jak długo jeszcze zamierzasz to ciągnąć? Wiesz, to naprawdę rozstraja mu nerwy. – Rzuciłem jej pytające spojrzenie, ale wciąż wpatrywała się we mnie surowym wzrokiem. – Wiem, że nie jest ci teraz łatwo – mówiła. – I zdaję sobie sprawę, że niewiele ci pomagam. Ale to nie zmienia faktu, że to go rozstraja i martwi. Jak długo jeszcze będzie to trwało?

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

– Już ci mówiłam. Zdaję sobie sprawę tego, że to również moja wina. Ale po co udawać, że nic się nie dzieje?

– A co się dzieje? To pewnie pomysł tej całej Kim, hę? Żeby wysuwać te wszystkie oskarżenia przeciwko mnie?

– Jeśli chcesz wiedzieć, Kim zawsze mnie namawia, żebym była z tobą bardziej szczerą. Ale tym razem to nie ma z nią nic wspólnego. Wspominam o tym, ponieważ... ponieważ nie mogę patrzeć, jak Boris się zamartwia.

Nieco skonsternowany znów zacząłem się odwracać do recepcjonisty. Ale nim się odwróciłem, Sophie dodała:

– Przecież o nic cię nie oskarżam. Jesteś ostatnio bardzo wyrozumiały. Nie mogłabym sobie życzyć, żebyś zachowywał się bardziej rozsądnie. Nawet na mnie ostatnio nie krzyczysz. Ale zawsze wiedziałam, że nie obejdzie się bez odrobiny złości, która właśnie tak się objawia.

Zaśmiałem się.

– To jest pewnie ta kawiarniana psychologia, którą uprawiacie z Kim?

– Zawsze to wiedziałam – kontynuowała Sophie, puszczając moją uwagę mimo uszu. – Jesteś ostatnio bardzo wyrozumiały, bardziej, niż można się było spodziewać, nawet Kim to przyznaje. Ale tak się nie da. Nie możemy tego ciągnąć, jakby nic się nie stało. Złóścisz się. Któż może cię winić? Zawsze wiedziałam, że kiedyś będę musiała się otworzyć. Tylko nigdy nie przypuszczałam, że tak to się skończy. Biedny Boris, nie wie, co zrobił.

Znów spojrzałem na Borisa, który wciąż wydawał się całkowicie pogrążony w lekturze poradnika.

– Posłuchaj – powiedziałem – w dalszym ciągu nie bardzo wiem, o czym mówisz. Może chodzi ci o to, że ostatnio Boris i ja wzajemnie się do siebie dostosowujemy. Ale to rozumiacie, zważywszy na okoliczności. Jeśli traktuję go z pewną rezerwą, to tylko dlatego, że nie chcę go zwodzić co do prawdziwego charakteru naszego wspólnego życia. Wszyscy

musimy być ostrożniejsi. Po tym, co zaszło, Bóg jeden wie, co czeka nas troje w przyszłości. Boris musi się nauczyć większej elastyczności, większej samodzielności. Jestem pewien, że na swój sposób rozumie to równie dobrze jak ja.

Sophie odwróciła wzrok i przez chwilę się nad czymś zastanawiała. Już miałem ponownie przyciągnąć uwagę recepcjonisty, gdy odezwała się nagle:

– Proszę, podejdź do niego, powiedz coś.

– Teraz? Chodzi o to, że mam do załatwienia bardzo pilną sprawę i gdy tylko zjawi się pan Hoffman...

– Proszę, tylko parę słów. Tak wiele by to dla niego znaczyło. Proszę.

Wpiła we mnie baczne spojrzenie. Gdy wzruszyłem ramionami, odwróciła się i ruszyła przodem przez hol.

Kiedy się zbliżaliśmy, Boris spojrzał na nas przelotnie, po czym z poważną miną znowu utkwiał oczy w książce. Spodziewałem się, że Sophie coś powie, ale ku mojej irytacji posłała mi tylko znaczące spojrzenie i wymijając sofę Borisa, skierowała się w stronę stojaka z kolorowymi czasopismami przy oknie. Tak więc zostałem sam na sam z Borisem, pograżonym w lekturze książki. W końcu przysunąłem sobie fotel i usiadłem naprzeciwko niego.

Boris czytał dalej, nie dając po sobie poznać, że zauważył moją obecność. Nie podnosząc oczu, wymamrotał do siebie:

– Świetna książka. Wszystko jest tu pokazane.

Zastanawiałem się właśnie nad odpowiedzią, gdy zauważyłem, że Sophie stoi plecami do nas i studiuje jakieś czasopismo, które dopiero co wzięła z półki. Poczulem nagły przypływ złości i gorzko pożałowałem, że dałem się jej tu przyprowadzić. Tak sprytnie tym wszystkim pokierowała, że cokolwiek bym teraz powiedział Borisowi, mogłaby to uznać za swój triumf i zemstę. Znowu spojrzałem na jej plecy, na przygarbione ramiona, które miały świadczyć o jej zainteresowaniu czasopismem, i czułem coraz większą złość.

Boris przewrócił stronę i czytał dalej. Po chwili jeszcze raz wymamrotał, nie podnosząc wzroku:

– Kafelkowanie łazienki. Teraz bez problemu sobie poradzę.

Na pobliskim stoliku leżała sterta gazet i nie widziałem powodu, dla którego i ja nie miałbym poczytać. Wybrałem jedno pismo i otworzyłem. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Kiedy przeglądałem artykuł o niemieckim przemyśle samochodowym, usłyszałem nagle głos Borisa:

– Przepraszam.

Słowo to wypowiedział nieco agresywnym tonem i z początku myślałem, że Sophie szturchnęła go lub dała mu jakiś znak, gdy czytałem. Kiedy jednak na nią zerknąłem, wciąż stała tyłem do nas i nic nie wskazywało na to, że się w ogóle poruszyła.

– Przepraszam – powtórzył Boris – zachowałem się samolubnie. To już się nie powtórzy. Nigdy więcej nie wspomnę o Dziewiątce. Wyrosłem z tego. Dzięki tej książce wszystko będzie proste. Jest wspaniała. Szybko wszystkiego się nauczę. Odnowię łazienkę. Przedtem nie wiedziałem jak, ale tu jest wszystko pokazane. Nigdy więcej nie będę mówił o Dziewiątce.

Brzmiało to tak, jakby recytował kwestię, której wyuczył się wcześniej na pamięć. Niemniej jego głos nie był pozbawiony emocji i miałem ochotę objąć go i pocieszyć. Ale wówczas zauważyłem, że ramiona Sophie podnoszą się i opadają, i przypomniałem sobie, jak się na nią zezłościłem. Ponadto było dla mnie oczywiste, że jeśli pozwolę Sophie manipulować sprawami tak jak teraz, na dłuższą metę nie przyniesie to pożytku żadnemu z nas.

Zamknąłem gazetę i podniosłem się, zerkając do tyłu, żeby sprawdzić, czy nie ma gdzieś Hoffmana. Wówczas Boris, tym razem z wyraźnym niepokojem w głosie, odezwał się ponownie:

– Obiecuję. Obiecuję, że się tego nauczę. Teraz wszystko będzie proste.

Jego głos drżał lekko, ale gdy znów na niego spojrzałem, wciąż wlepił oczy w stronicę książki. Na jego twarzy zauważyłem dziwne rumieńce. Potem dostrzegłem jakieś poruszenie w holu i zobaczyłem, że zza kontuaru recepcyjnego macha do mnie Hoffman.

– Muszę już iść! – zawołałem do Sophie. – Mam coś bardzo ważnego do załatwienia. Spotkamy się kiedy indziej.

Boris przewrócił kartkę, nie podnosząc oczu.

– Już niedługo – powiedziałem do Sophie, która odwróciła się w moją stronę. – Już niedługo sobie porozmawiamy. Ale teraz muszę już iść.

\* \* \*

Hoffman wyszedł na środek holu i stał tam w świadczącej o niepokoju postawie.

– Przepraszam, że kazałem panu na siebie czekać, panie Ryder – powiedział. – Powinienem być przewidzieć, że na takie spotkanie przybędzie pan z dużym zapasem czasu. Dopiero co wróciłem z sali konferencyjnej i o jednym mogę pana zapewnić: ludzie ci, zwykli obywatele, są panu niezmiernie wdzięczni za to, że zgodził się pan z nimi spotkać. Że przywiązuje pan tak wielką wagę do bezpośrednich relacji tych, którzy zostali dotknięci nieszczęściem.

Spojrzałem na niego surowo.

– Panie Hoffman, zaszło tu chyba jakieś nieporozumienie. Potrzebuję obecnie dwóch godzin na przećwiczenie utworu. Dwóch godzin w zupełnym odosobnieniu. Muszę pana prosić o jak najszybsze oddanie salonu do mojej wyłącznej dyspozycji.

– Ach tak, salonu. – Zaśmiał się. – Przepraszam, panie Ryder, ale chyba nie całkiem pana rozumiem. Jak pan wie, komitet Obywatelskiej Grupy Wzajemnego Wsparcia oczekuje pana w sali konferencyjnej...

– Panie Hoffman, mam wrażenie, że nie dostrzega pan powagi sytuacji. W wyniku serii nieprzewidzianych wydarzeń od wielu dni nie miałem okazji zasiąść przy fortepianie. Jestem zmuszony nalegać, by jak najszybciej udostępniono mi instrument.

– Oczywiście, panie Ryder, to zupełnie zrozumiałe. Zrobię, co tylko mogę, by służyć panu pomocą. Ale co do salonu, w tym akurat momencie nie jest to takie proste. Widzi pan, w środku jest pełno gości...

– Gdy chodzi o pana Brodsky'ego, nie ma pan takich obiekcji.

– Tak, to prawda. No cóż, gdyby uparcie pan twierdził, że przedkłada fortepian w salonie nad wszystkie inne fortepiany w hotelu, wtedy owszem, chętnie spełniłbym pańskie życzenie. Udałbym się tam zaraz i poprosił gości o opuszczenie sali, bez względu na to, czy piją akurat kawę, czy zajmują się czym innym. Tak, ostatecznie bym tak postąpił. Ale zanim ucieknę się do tak drastycznych środków, zechce pan może rozważyć inną możliwość. Widzi pan, nie jest bynajmniej prawdą, że fortepian w salonie to najlepszy instrument w hotelu. Niektóre tony basowe nie brzmią idealnie.

– Panie Hoffman, jeśli salon nie wchodzi w grę, proszę mi powiedzieć, jakie inne pomieszczenia może mi pan udostępnić. Nic mam szczególnego sentymentu do salonu jako takiego, chodzi mi jedynie o dobry fortepian i całkowity spokój.

– Sala ćwiczeń. Ta o wiele lepiej zaspokoi pańskie potrzeby.

– Zgoda, niech będzie sala ćwiczeń.

– Doskonale.

Ruszył przodem, ale po kilku krokach znów się zatrzymał i nachylił do mnie konfidencko.

– Wnoszę, że będzie pan potrzebował sali ćwiczeń zaraz po spotkaniu?

Panie Hoffman, nie mam ochoty po raz kolejny podkreślać naglącego charakteru obecnej sytuacji...

– Ależ oczywiście, panie Ryder, oczywiście, doskonale rozumiem. Więc... życzy pan sobie ćwiczyć jeszcze przed spotkaniem. Tak, doskonale rozumiem. Nie ma problemu, ci

ludzie chętnie na pana poczekaają. Zresztą nieważne, tędy, proszę.

Opuściliśmy hol przez drzwi, których wcześniej nie zauważyłem, znajdujące się na lewo od windy, i szliśmy dalej korytarzem służbowym. Nic nie zdobiło jego ścian, a świetlówki u sufitu nadawały wszystkiemu surowy, twardy wygląd. Minęliśmy szereg dużych, rozsuwanych drzwi, zza których dobiegały różne kuchenne odgłosy. Jedne drzwi były otwarte i moim oczom ukazało się jaskrawo oświetlone pomieszczenie, w którym na drewnianej ławie piętrzyły się metalowe puszk.

– Dużą część przygotowań do wieczoru czynimy tutaj, w hotelu – powiedział Hoffman. – Filharmonia, jak się pan domyśla, nie jest przystosowana do działalności gastronomicznej.

Korytarz zakręcał i za rogiem minęliśmy kilka pomieszczeń, zapewne pralni. W pewnym momencie przeszliśmy obok drzwi, zza których dochodziły niepokojąco zajadłe wrzaski dwóch kobiet. Hoffman jednak, jak się zdawało, nic nie słyszał i bez słowa szedł dalej. Po chwili dobiegło mnie, jak mamrocze pod nosem:

– Ależ skąd. Obywatele ci i tak będą wdzięczni. Mała zwłoka, chętnie poczekają.

W końcu zatrzymał się przed drzwiami, które wyglądały dość niepozornie. Spodziewałem się, że je otworzy, ale on spojrzał w inną stronę i odwrócił się do nich tyłem.

– Tam, panie Ryder – mruknął i wykonał szybki, ukradkowy gest za siebie.

– Dziękuję, panie Hoffman.

Pchnąłem drzwi, podczas gdy Hoffman stał sztywno na swoim miejscu, wciąż spoglądając w inną stronę.

– Zaczekam tu na pana – wymamrotał.

– Nie trzeba, panie Hoffman. Sam znajdę wyjście.

– Będę tu stał, proszę się nie obawiać.

Nie miałem ochoty się spierać i szybko przekroczyłem próg.

Znalazłem się w długim, wąskim pomieszczeniu o szarej, kamiennej posadzce. Ściany były po sufit pokryte białymi kafelkami. Zdało mi się, że na lewo znajduje się szereg umywalk, ale tak spieszo było mi do fortepianu, że nie zwracałem sobie głowy takimi szczegółami. Zresztą moją uwagę przyciągnęły od razu trzy drewniane kabinki po prawej stronie, pomalowane na nieprzyjemny, zabiozielony kolor. Drzwi do dwóch skrajnych kabinek były zamknięte, natomiast te do środkowej – która sprawiała wrażenie nieco szerszej – były uchylone i wewnątrz dojrzałem fortepian z podniesioną klapą. Długo się nie namyślając, spróbowałem wejść do środka, co jednak okazało się nadspodziewanie trudnym zadaniem. Drzwi otwierały się do wewnątrz, tak że sam fortepian przeszkadzał w

odemknięciu ich do końca, aby więc dostać się do kabinki i zamknąć się od środka, musiałem się wcisnąć w kąt i powoli przesunąć krawędź drzwi tuż przy piersi. Udało mi się je zamknąć na zasuwkę, a następnie – znów nie bez trudności w tej ciasnocie – wyciągnąć stołek spod fortepianu. Usadowiwszy się, poczułem, że mimo wszystko jest mi wcale wygodnie, kiedy zaś sprawdziłem kilka tonów, stwierdziłem, że pomimo wyblakłych klawiszy i odrapanego pudła fortepian ma miękkie, delikatne brzmienie i jest idealnie nastrojony. Ponadto akustyka wewnątrz kabinki nie okazała się tak klaustrofobiczna, jak można się było spodziewać.

Odkrycie to przyniosło mi ogromną ulgę i nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo byłem spięty przez ostatnią godzinę. Wziąłem kilka głębokich oddechów i zacząłem się przygotowywać do tej najważniejszej ze wszystkich prób. Wtedy przypomniałem sobie, że wciąż się jeszcze nie zdecydowałem, który utwór wykonać tego wieczoru. Wiedziałem, że moją matkę wzruszy szczególnie środkowa część *Struktur kulistych: opcja II* Yamanaki. Mój ojciec jednakże na pewno wolałby *Azbest i włókno* Mullery’ego, możliwe nawet, że większa część Yamanaki w ogóle nie przypadłaby mu do gustu. Jeszcze przez chwilę siedziałem ze wzrokiem wbitym w klawisze, by w końcu z pełnym przekonaniem wybrać Mullery’ego.

Decyzja ta znacznie poprawiła mi humor i już szykowałem się, by dobrać owych pierwszych, gwałtownych akordów, gdy poczułem, że coś twardego uderzyło mnie w bark. Odwróciwszy się, stwierdziłem ze zgrozą, że zasuwka puściła i drzwi od kabinki stoją otworem.

Wstałem mozolnie z miejsca i zamknąłem drzwi. Wtedy zauważyłem, że mechanizm zasuwki zwisa luźno z framugi. Po dokładniejszych oględzinach udało mi się – dzięki odrobinie pomysłowości – umieścić zasuwkę na swoim miejscu, lecz gdy po raz kolejny zablokowałem drzwi, uzmysłowiłem sobie, że jest to rozwiązanie nader tymczasowe. Zasuwka mogła w każdej chwili wypaść ponownie. Być może w samym środku *Azbestu i włókna* – w środku, powiedzmy, jednego z owych trudnych pasaży w trzeciej części – drzwi otworzyłyby się nagle i mogłyby zobaczyć mnie każdy, kto akurat by tamtędy przechodził. Gdyby zaś jakiś tępak, nie zdając sobie sprawy, że jestem w środku, spróbował wejść do kabinki, zasuwka puściłaby bez najmniejszego oporu.

Wszystkie te myśli przemknęły mi przez głowę, gdy sadowiłem się z powrotem na stołku. Po chwili jednak doszedłem do wniosku, że jeśli nie skorzystam ze sposobności, aby poćwiczyć, być może drugiej nie będzie. Poza tym, choć warunki nie były idealne, sam fortepian spełniał wszelkie wymogi. Dużym wysiłkiem woli spróbowałem zapomnieć o zepsutych drzwiach za plecami i jeszcze raz przygotować się do początkowych taktów Mullery’ego.

Kiedy moje palce spoczywały już na klawiszach, usłyszałem nagle, że coś – jakby but albo ubranie – skrzypnęło dyskretnie niepokojąco blisko mnie. Przekręciłem się na stołku i dopiero wtedy zauważyłem, że choć drzwi były wciąż zamknięte, brakowało całej ich górnej części, z grubsza więc przypominały drzwi stajenne. Tak bardzo skupiłem się na zepsutej zasuwce, że ten rzucający się w oczy fakt umknął jakoś mojej uwagi. Teraz spostrzegłem, że drzwi urywają się nierówną krawędzią na wysokości nieco powyżej pasa. Nie mogłem z całą pewnością stwierdzić, czy brak górnej części był rezultatem bezmyślnego wandalizmu, czy też prowadzono jakieś prace remontowe. W każdym razie odwracając lekko głowę, nawet na siedząco widziałem ze swojego miejsca białe kafelki i umywalki na zewnątrz.

Nie mieściło mi się w głowie, że Hoffman miał czelność zaoferować mi takie warunki. Wprawdzie dotychczas nikt inny nie wszedł do pomieszczenia, w każdej chwili jednak mogła wtargnąć tu grupa sześciu czy siedmiu członków obsługi i zacząć korzystać z umywalk. Sytuacja wydała mi się nie do zniesienia i kipiąc oburzeniem, miałem właśnie opuścić kabinę, gdy na gwoździu wbitym w futrynę blisko górnego zawiasu drzwi spostrzegłem szmatę.

Przez chwilę wpatrywałem się tępo w szmatę, po czym zauważyłem drugi gwóźdź po przeciwnej stronie futryny, dokładnie na tej samej wysokości. Domyśliwszy się od razu przeznaczenia szmaty i gwoździ, wstałem, aby się im lepiej przyjrzeć. Szmata okazała się starym ręcznikiem, który – rozłożony i zawieszony na gwoździach – stanowił doskonałą zasłonę na brakującą, górną część drzwi.

W dużo lepszym nastroju siadłem z powrotem na stołku i ponownie przygotowałem się do początkowych taktów. Właśnie miałem uderzyć w klawisze, gdy moją uwagę znów rozproszyło to samo co przedtem skrzypnięcie. Kiedy dźwięk ów rozległ się kolejny raz, domyśliłem się, że dochodzi z kabinki po lewej. Uświadomiłem sobie wówczas, że ktoś, kto w niej się znajdował, był tam od samego początku i że między kabinami nie ma właściwie żadnej izolacji akustycznej. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z obecności tej osoby, ponieważ – z jakichś powodów – zachowywała się bardzo cicho.

Zdjęty wściekłością wstałem raz jeszcze i szarpnąłem drzwi ku sobie, znów wrywając zasuwkę i zrzucając ręcznik na podłogę. Podczas gdy usiłowałem wydostać się na zewnątrz, człowiek z sąsiedniej kabinki – być może nie widząc powodu, by dalej się krępować – odchrząknął głośno. Z uczuciem najwyższego niesmaku pospiesznie opuściłem to pomieszczenie.

Zdziwiony ujrzałem w korytarzu Hoffmana, potem jednak przypomniałem sobie, że istotnie obiecał na mnie zaczekać. Stał oparty o ścianę, ale gdy się tylko wyłoniłem zza drzwi,

wyprostował się i stanął na baczność.

– Skoro jest pan już gotów – powiedział z uśmiechem – proszę za mną. Wszyscy oczekują pana z niecierpliwością.

Spojrzałem na niego chłodno.

– Jacy wszyscy, panie Hoffman?

– Jak to? Członkowie komitetu Obywatelskiej Grupy Wzajemnego Wsparcia, panie Ryder.

– Proszę posłuchać, panie Hoffman... – Mimo że kipiała we mnie złość, delikatna natura tego, co miałem do powiedzenia, kazała mi urwać. Hoffman spostrzegł wreszcie, że coś mnie trapi, zatrzymał się bowiem na środku korytarza i objął mnie zaniepokojonym spojrzeniem.

– Proszę posłuchać, panie Hoffman. Bardzo mi przykro z powodu tego spotkania, ale teraz bezwzględnie muszę poćwiczyć. Dopóki mi pan tego nie umożliwi, nie będę mógł się zająć niczym innym.

Hoffman zdawał się szczerze zdumiony.

– Przepraszam – powiedział, zniżając nieco głos. – Czy nie ćwiczył pan przed chwilą?

– Nie. Nie mogłem... nie potrafiłem.

– Nie potrafił pan? Panie Ryder, czy wszystko w porządku? To znaczy, czy dobrze się pan czuje?

– Czuję się świetnie. Proszę posłuchać – westchnąłem – jeśli musi pan wiedzieć, nie mogłem tam ćwiczyć, ponieważ... cóż, mówiąc wprost, w tych warunkach nie miałem niezbędnego mi poczucia odosobnienia. Nie, proszę nie przerywać. To nie są odpowiednie warunki. Może inni by się nimi zadowolili, ale ja... Cóż, powiem panu, panie Hoffman, powiem panu zupełnie szczerze: ćwiczyć potrafię wyłącznie na osobności. Zawsze tak było, od dziecka.

– Doprawdy? – Hoffman pokiwał poważnie głową. – Rozumiem, rozumiem.

– Mam nadzieję, że pan rozumie. Tamto miejsce – pokręciłem głowę – zupełnie się do tego nie nadaje. Tak więc są mi potrzebne odpowiednie warunki do ćwiczeń...

– Tak, oczywiście. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Myślę, że znam wyjście z sytuacji. Sala ćwiczeń w pawilonie zapewni panu całkowity spokój. Jest tam doskonałe pianino, a co do odosobnienia, mogę je panu zagwarantować. Tak, to bardzo, bardzo zaciszne miejsce.

– Doskonale. Zdaje się, że to dobre rozwiązanie. W pawilonie, mówi pan.

– Tak, zaprowadzę tam pana osobiście zaraz po spotkaniu z Obywatelską Grupą

Wzajemnego...

– Proszę posłuchać, panie Hoffman! – krzyknąłem, ledwo się powstrzymując, by go nie chwycić za klapy. – Proszę posłuchać! Nie obchodzi mnie ta cała grupa obywateli! Ostrzegam, że jeśli nie będę mógł ćwiczyć, natychmiast spakuję manatki i wyjadę z miasta, za godziną! Tak, panie Hoffman. Nie będzie wykładu, recitalu, niczego! Rozumie pan, panie Hoffman? Rozumie pan?

Hoffman wlepił we mnie oczy i pobrał na twarzy.

– Tak – wymamrotał. – Tak, oczywiście, panie Ryder.

– Muszę więc pana prosić – starałem się choć trochę zapanować nad głosem – aby bezzwłocznie zaprowadził mnie pan do pawilonu.

– Tak jest, panie Ryder. – Zaśmiał się dziwnie. – Doskonale rozumiem. W końcu to tylko zwykli obywatele. Dlaczegoż by ktoś taki jak pan... – Potem zebrał się w sobie i powiedział stanowczym tonem: – Tędy, panie Ryder. Proszę za mną.

## Rozdział 24

Ruszyliśmy korytarzem, po czym przeszliśmy przez duże pomieszczenie zastawione warkoczającymi pralkami. Następnie Hoffman wskazał wąskie wyjście, za którym ujrzałem dwuskrzydłowe drzwi do salonu.

– Pójdziemy tędy, na skróty – powiedział.

Gdy weszliśmy do salonu, od razu zrozumiałem, dlaczego się nie kwapił, żeby go opróżnić na moją prośbę. Pokój pękał w szwach. Kłębili się w nim roześmiani i rozgadani ludzie, nierzadko w bardzo wytwornych strojach, i w pierwszej chwili myślałem, że trafiliśmy na czyjeś prywatne przyjęcie. Ale przeciskając się powoli przez tę ciżbę, zdołałem wyodrębnić kilka grup. Zamożni miejscowi obywatele okupowali jedną część salonu. Inna grupa składała się najpewniej z młodych, bogatych Amerykanów, spośród których wielu śpiewało unisono bodajże uczelniany hymn. W innym miejscu jacyś Japończycy zsunęli kilka stolików i zachowywali się równie hałaśliwie. Co ciekawe, grupy te – choć wyraźnie odrębne – dość żywo kontaktowały się między sobą. Ludzie wędrowali od stolika do stolika, kleпали się po plecach, robili sobie zdjęcia i przekazywali talerze z kanapkami. Ubrany w białą liberię kelner krążył wśród nich z wyrazem udręki w oczach, w każdej ręce trzymając dzbanek z kawą. Chciałem poszukać fortepianu, ale w tym tłoku musiałem bardzo uważać, żeby nie stracić Hoffmana z oczu. Wreszcie przedarłem się na drugi koniec salonu, gdzie Hoffman czekał na mnie przy kolejnych otwartych drzwiach.

Znalazłem się w korytarzu, który prowadził prosto na zewnątrz. Chwilę później wyszedłem na mały, zalany słońcem parking – ten sam, z którego wyjeżdżaliśmy z Hoffmanem na przyjęcie wydane dla Brodsky'ego. Hoffman dał mi znak, bym wszedł do dużego czarnego samochodu, i już po paru minutach sunęliśmy powoli w kolumnie stłoczonych – jak zwykle w porze lunchu – pojazdów.

– Oszaleć można z takim ruchem – westchnął Hoffman. – Włączyć klimatyzację, panie Ryder? Jest pan pewien? Boże, jak my się wlecemy. Na szczęście nie musimy się długo męczyć, pojedziemy szosą południową.

Istotnie, na następnym skrzyżowaniu Hoffman skręcił na drogę, po której pojazdy poruszały się o wiele płynniej, i wkrótce, nabrawszy prędkości, wydostaliśmy się na otwarte wiejskie tereny.

– Tak, to wielka zaleta naszego miasta – powiedział Hoffman. – Nie trzeba jechać daleko, żeby znaleźć się w przyjemnej okolicy. Czuje pan? Zaraz się lepiej oddycha.

Przytaknąłem zdawkowo i umilkłem, nie mając w tym momencie ochoty na rozmowę, zaczęły mnie bowiem dręczyć wątpliwości co do wcześniejszej decyzji o wykonaniu *Azbestu i włóknu*, im dłużej o tym myślałem, tym wyraźniej przypominałem sobie, że moja matka napomknęła kiedyś o rozdrażnieniu, w jakie wprawia ją ten właśnie utwór. Przez chwilę rozważałem możliwość zagrania czegoś zupełnie innego, na przykład *Wietrznych tuneli* Kazana, zaraz jednak uzmysłowiłem sobie, że wykonanie trwałoby dwie godziny i kwadrans. Nie ulegało wątpliwości, że krótki, pełen emocji utwór *Azbest i włókno* jest najwłaściwszy. Żadne inne dzieło podobnej długości nie dawało równie znakomitej okazji, aby zaprezentować taką różnorodność nastrojów. Byłem też pewny, że moja matka oceni je dość wysoko, przynajmniej formalnie. A jednak wciąż było coś – nie więcej niż cień wspomnienia – co przeszkadzało mi utwierdzić się ostatecznie w moim postanowieniu.

Pominąwszy kilka jadących daleko z przodu ciężarówek, byliśmy w tym momencie zupełnie sami na drodze. Przyglądając się połaciom pól, ciągnącym się po obu stronach szosy, znów spróbowałem odgrzebać w pamięci owo mgliste wspomnienie.

– Już niedługo, panie Ryder – powiedział Hoffman zza kierownicy. – Z całą pewnością sala ćwiczeń w pawilonie o wiele bardziej przypadnie panu do gustu. Panuje tam niezmałony spokój, to idealne miejsce, żeby zaszyć się na godzinę lub dwie i poćwiczyć. Niebawem zagłębi się pan w świat swojej muzyki. Jak ja panu zazdroszczę! Będzie pan przebierał w swoich muzycznych pomysłach. Zupełnie tak, jakby chodził pan po wspaniałej galerii, gdzie jakimś cudem pozwolono by panu wziąć koszyk na zakupy i wynieść w nim, co się panu żywnie podoba. Proszę mi wybaczyć. – Zaśmiał się. – Zawsze nachodziła mnie taka wizja. Moja żona i ja idziemy przez jakąś wspaniałą galerię, pełną najpiękniejszych dzieł sztuki. Oprócz nas nie ma tam żywego ducha, nawet strażnika. W ręku niosę sklepowy koszyk, a wcześniej powiedziano nam, że możemy zabrać, co tylko chcemy. Oczywiście obowiązują pewne zasady. Możemy wziąć tylko tyle, ile zmieści się w koszyku. Naturalnie nie wolno nam potem niczego odsprzedać, zresztą ani nam się śni wykorzystywać tę wymarzoną okazję w tak niecny sposób. Więc przechadzamy się, żona i ja, po tej rajskiej sali. Galeria jest częścią jakiejś wiejskiej rezydencji z bardzo rozległym widokiem na okolicę. Najładniejsza jego część rozpościera się z balkonu. W każdym rogu balkonu stoi duży posąg lwa. Żona i ja, napawając się malowniczą scenerią, naradzamy się, co wybrać. W tym śnie na jawie zawsze, nie wiadomo dlaczego, nadciąga burza. Niebo jest stalowoszare, a mimo to dokoła padają cienie jak w słoneczny, letni dzień. Po ścianie tarasu pnie się bluszcz. Jesteśmy

sami, moja żona i ja, z wciąż jeszcze pustym koszykiem, naradzamy się, co wybrać. – Zaśmiał się nagle. – Proszę mi wybaczyć, panie Ryder, zanadto się rozochociłem. W każdym razie wyobrażam sobie, że tak właśnie jest z kimś takim jak pan, człowiekiem genialnym, kiedy zostaje sam na sam z fortepianem, w zacisznym miejscu, na godzinę czy dwie. Tak to musi być z ludźmi natchnionymi. Będzie się pan przechadzał wśród najwspanialszych pomysłów muzycznych. Zastanowi się pan nad jednym, pokręci głową, odłoży z powrotem na miejsce. Choć piękny, nie tego pan szukał. Ha! Jak wiele piękna musi się mieścić w pańskim umyśle, panie Ryder! Jakże chciałbym towarzyszyć panu w tej wędrówce, którą rozpocznie pan z chwilą, gdy pańskie palce dotkną klawiszy. Ale, oczywiście, powędruje pan w rejony dla mnie niedostępne. Jak ja panu zazdroszczę!

Mruknałem coś niewyraźnie i przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

– Dawniej, jeszcze przed ślubem – odezwał się znowu Hoffman – moja żona tak zapewne wyobrażała sobie nasze wspólne życie. W każdym razie podobnie, panie Ryder. Że wejdziemy razem do jakiegoś pustego muzeum, z koszykiem w ręku. Naturalnie nigdy nie przedstawiała sobie tego w tak obrazowy sposób. Widzi pan, żona pochodzi z rodziny o dużych tradycjach twórczych. Jej matka była wybitną malarką. Dziadek jednym z najwybitniejszych poetów flamandzkojęzycznych swojego pokolenia. Z niewyjaśnionych przyczyn nie zyskał uznania, ale to niczego nie zmienia. W jej rodzinie jest jeszcze wiele innych utalentowanych osób. Ponieważ została wychowana w takiej atmosferze, zawsze jej się wydawało, że piękno i talent są u ludzi czymś naturalnym. Jakżeby inaczej? Wyznam panu, że doprowadziło to do pewnych nieporozumień. A właściwie do jednego wielkiego nieporozumienia na początku naszego związku. – Znowu umilkł i na chwilę zapatrzył się w dal. – Połączyła nas muzyka – powiedział wreszcie. – Przesiadaliśmy w kawiarenkach na Herrengasse i rozmawialiśmy o muzyce. A właściwie to ja mówiłem. Zdaje się, że gadałem jak najęty. Pamiętam, jak pewnego razu przechadzałem się z nią po Volksgarten, opisując z wielką dokładnością chyba z godzinę, swoje odczucia związane z *Wentylacjami* Mullery’ego. Byliśmy, oczywiście, bardzo młodzi, mogliśmy sobie na to pozwolić. Nawet wtedy nie mówiła wiele, tylko słuchała uważnie, co miałem do powiedzenia, i było po niej widać, że jest do głębi poruszona. O, tak. Nawiasem mówiąc, wspomniałem, że byliśmy bardzo młodzi, nie chyba nie aż tacy młodzi. Byliśmy w takim wieku, że już od dobrych kilku lat mogliśmy wieść małżeński żywot. Może czuła, że czas nagli, kto wie? W każdym razie rozważaliśmy możliwość małżeństwa, byłem w niej zakochany po uszy, panie Ryder, od samego początku byłem w niej bardzo zakochany. Biło od niej wtedy takie piękno. Nawet teraz, gdyby ją pan zobaczył, przekonałby się pan, że niegdyś cechowała ją wielka uroda. Specyficzna uroda. Od

razu było widać, że jest wrażliwa na piękno wyższego rzędu. Nie wstydę się panu przyznać, że byłem w niej bardzo zakochany. Nie potrafię opisać słowami, co czułem, gdy zgodziła się za mnie wyjść. Myślałem, że moje życie będzie odtąd nieprzerwanym pasmem radości. Parę dni po tym, jak przyjęła oświadczyzny, po raz pierwszy przysłała mnie odwiedzić w moim pokoju. Pracowałem wtedy w hotelu Burgenhof i wynajmowałem w pobliżu pokój, przy Glockenstrasse, obok kanału. Pokój może niezbyt atrakcyjny, ale całkiem przyzwoity. Na ścianie wisiały dobre półki na książki, a pod oknem stało dębowe biurko. Jak już wspomniałem, okno wychodziło na kanał. Była zima, piękny słoneczny poranek, do pokoju wpadało cudowne światło. Oczywiście przedtem gruntownie u siebie posprzątałem. Weszła i się rozejrzała; rozejrzała się na wszystkie strony. Potem zapytała cicho: „A gdzie komponujesz?”. Doskonale to pamiętam, ten właśnie moment, panie Ryder, jakby to było wczoraj. Uważam to za swego rodzaju punkt zwrotny w moim życiu. Wcale nie przesadzam. Pod wieloma względami wtedy właśnie rozpoczęło się moje obecne życie. Christine stała przy oknie w styczniowym świetle, z ręką opartą na biurku, jakby dla utrzymania równowagi. Wyglądała prześlicznie. W jej pytaniu dźwięczało szczere zdziwienie. Widzi pan, była zaskoczona. „A gdzie komponujesz? Tu nie ma fortepianu”. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Od razu się domyśliłem, że zaszło nieporozumienie, katastrofalnie wielkie nieporozumienie. Czy można winić mnie za to, że pragnąłem się ocalić? Wierutne kłamstwo nie przeszłoby mi przez gardło, choćby miało mnie uratować. Ale to był bardzo trudny moment. Kiedy o tym myślę, przebiega po mnie dreszcz, nawet teraz, gdy o tym panu opowiadam. „A gdzie komponujesz?”. „Nie, nie ma fortepianu”, odrzekłem wesoło. „Nic nie ma, papieru nutowego, nic. Postanowiłem nie komponować przez najbliższe dwa lata”. Tak jej właśnie odpowiedziałem. Byłem szybki, powiedziałem to, nie pokazując po sobie troski czy zmieszania. Podałem jej nawet dokładną datę, kiedy chciałem wrócić do pisania muzyki. Na razie jednak postanowiłem nie komponować. Cóż innego mogłem powiedzieć? Czy miałem popatrzeć na tę kobietę, którą tak desperacko kochałem, która zaledwie kilka dni wcześniej zgodziła się mnie poślubić, czy miałem położyć uszy po sobie? Miałem powiedzieć: „Och, moja droga, zaszło nieporozumienie. Naturalnie zwalniam cię z danego słowa. Proponuję, żebyśmy się niniejszym rozstali...”. Oczywiście, nie mogłem tak zrobić. Pomyśli pan może, że postąpiłem nieuczciwie. To zbyt surowy osąd. W każdym razie w tamtym okresie mojego życia nie było to takie zupełne kłamstwo, miałem bowiem szczerzy zamiar zacząć któregoś dnia naukę gry na jakimś instrumencie i, tak, chciałem spróbować swoich sił w kompozycji. A zatem nie było to całkowite kłamstwo. Byłem nieszczerzy, przyznaję. Ale czy miałem inne wyjście? Nie mogłem pozwolić jej odejść. Powiedziałem więc, że postanowiłem zarzucić

kompozycję na dwa lata kalendarzowe. Pamiętam, że mówiłem o tym przez dłuższą chwilę, tak by mieć czas na uporządkowanie myśli i opanowanie emocji. A ona słuchała tych bredni, chłonęła, kiwając swoją piękną, inteligentną główką z wyrozumiałością godną lepszej sprawy. Ale czy miałem inne wyjście? I, wie pan, od tamtego czasu nigdy więcej o tym nie wspomniała, przez te wszystkie lata. Widzę, że chce mnie pan o to zapytać, już panu odpowiadam. Przed owym dniem przez cały czas trwania naszego narzeczeństwa, podczas naszych spacerów wzdłuż kanału, podczas spotkań w kawiarenkach na Herrengasse, nigdy nie dałem jej świadomie do zrozumienia, że komponuję. Że nałogowo kocham muzykę, że każdego dnia podnosi mnie na duchu, że co dzień rano słyszę ją w swoim sercu, owszem, tyle można było z moich słów wywnioskować i była to prawda. Ale nigdy nie wprowadziłem jej celowo w błąd. O nie, nigdy. To było po prostu straszne nieporozumienie. Pochodząc z takiej, a nie innej rodziny, nieuchronnie zakładała... Zresztą kto wie? Ale przed tamtą rozmową w pokoju przy Glockenstrasse z moich ust nie padło ani jedno słowo, które mogłoby sugerować coś takiego. Jak już mówiłem, panie Ryder, nigdy więcej o tym nie wspomniała, ani razu. Pobraliśmy się w wyznaczonym terminie, kupiliśmy małe mieszkanie przy placu Friedricha, znalazłem dobrą posadę w hotelu Ambassadorowie. Zaczęliśmy wspólne życie i przez jakiś czas byliśmy nawet stosunkowo szczęśliwi. Oczywiście nie zapomniałem o tym... nieporozumieniu. Ale nie martwiłem się nim tak bardzo, jak można by się spodziewać. Widzi pan, jak już wspomniałem, miałem podówczas szczerzy zamiar w odpowiednim czasie... gdy tylko nadarzy się okazja... podjąć naukę gry na instrumencie. Być może na skrzypcach. Miałem wtedy pewne plany, typowe dla młodego wieku, kiedy człowiek nie zdaje sobie jeszcze sprawy, jak bardzo ograniczony jest jego czas, nie uświadamia sobie, że otacza go skorupa, twarda skorupa, z której nie może się wydostać! – Zdjął nagle ręce z kierownicy i uderzył w niewidzialną kopułę nad głową, w geście tym było więcej znużenia niżli furii, po czym pozwolił rękom opaść z powrotem na kierownicę. Westchnąwszy, mówił dalej: – Nie, wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Wciąż miałem nadzieję, że kiedyś stanę się tym, za kogo mnie uważała. Wierzyłem, że uda mi się stać kimś takim właśnie dzięki jej obecności, wskutek jej oddziaływania. Jak już mówiłem, przez pierwsze lata naszego małżeństwa byliśmy stosunkowo szczęśliwi. Kupiliśmy mieszkanie, w sam raz na nasze potrzeby. Myślałem niekiedy, że zdała sobie sprawę z nieporozumienia i nie robi jej to różnicy. Już sam nie wiem, w mojej głowie kotłowało się wtedy tyle różnych myśli. Naturalnie nadszedł w końcu dzień, który podałem jej jako termin powrotu do pisania muzyki, nadszedł i minął. Baczenie ją obserwowałem, ale nic na ten temat nie powiedziała. Zachowywała się spokojnie, to prawda, ale też zawsze zachowywała się spokojnie. Nic nie powiedziała, nie zrobiła nic

niezwykłego. Zdaje się jednak, że mniej więcej gdy minęły owe dwa lata, w naszych stosunkach pojawiło się pewne napięcie. Było to niejako ciągle, ukryte napięcie, zawsze obecne, niezależnie od tego, jak miło spędzaliśmy dni. Organizowałem małe, nieplanowane wyprawy do jej ulubionych restauracji, przynosiłem jej kwiaty albo perfumy. Tak, usilnie starałem się sprawić jej przyjemność. Ale wciąż czaiło się to napięcie. Długo udawało mi się go nie zauważać. Wmawiałem sobie, że to tylko wytwór mojej wyobraźni. Chyba nie chciałem przyjąć do wiadomości, że istnieje i z dnia na dzień rośnie. O tym, że go sobie nie wymyśliłem, przekonałem się dopiero w dniu, kiedy zniknęło. Tak, zniknęło i wtedy uświadomiłem sobie, że przedtem istniało. Pewnego popołudnia, trzy lata po ślubie, wróciłem do domu z małym prezentem dla niej, tomikiem poezji, który chciała mieć, o czym akurat wiedziałem. Nie powiedziała mi tego wprost, ale się domyśliłem. Wszedłem do mieszkania i kiedy ją odnalazłem, wyglądała przez okno na plac. O tej porze dnia ludzie wracali z pracy i było ich widać jak na dłoni. Mieszkanie było dość hałaśliwe, ale dla stosunkowo młodych ludzi nie takie złe. Wręczyłem jej tomik. „Drobny podarunek”, powiedziałem. Nie odrywała oczu od widoku za oknem. Klęczała na sofie, opierając łokcie na oparciu i trzymając głowę oburącz. Potem bardzo apatycznym gestem wzięła ode mnie książkę i bez słowa znów zapatrzyła się w plac za oknem. Stałem na środku pokoju, czekając, aż powie coś na temat prezentu. Może nie czuła się dobrze. Czekałem nieco zaniepokojony. W końcu się odwróciła i spojrzała na mnie. Nie z wrogością, co to to nie, ale spojrzała na mnie w szczególny sposób, jak ktoś, kto naocznie potwierdza słuszność swoich wniosków, właśnie tak. Zrozumiałem, że w końcu przejrzała mnie na wylot, i wtedy uświadomiłem sobie, skąd brało się owo napięcie. Już od dawna czekałem na ten moment.

I wie pan co, może to dziwne, ale poczułem ogromną ulgę. Nareszcie, nareszcie mnie przejrzała. Och, co za ulga! Czuję się taki wyzwolony. Wykrzyknąłem nawet: „Ha!” i się uśmiechnąłem. Na pewno ją to zdziwiło, lecz zaraz się opanowałem, zdałem sobie sprawę... tak, uczucie ulgi nie trwało długo... zdałem sobie sprawę, jak ciężka czeka mnie teraz walka, i natychmiast zacząłem się mieć na baczności. Zrozumiałem, że muszę podwoić, potroić wysiłki, żeby ją przy sobie zatrzymać. Ale, widzi pan, wtedy wciąż jeszcze myślałem, że jeśli nad tym popracuję... chociaż się domyśliła... mogę odzyskać jej serce. Naiwny! Proszę sobie wyobrazić, że jeszcze przez kilka lat w to wierzyłem, wierzyłem nawet, że robię postępy. Opiekowałem się nią, jak mogłem najlepiej. Robiłem wszystko, żeby jej dogodzić. Nigdy nie spocząłem na laurach. Wiedziałem, że z czasem jej gusta i upodobania muszą się zmienić, toteż czujnie obserwowałem każdy jej gest, każde słowo, tak by przewidzieć ewentualną zmianę. O tak, może nie wypada mi tego mówić, ale przez tych kilka lat świetnie się

spisywałem w roli męża. Jeśli jakiś kompozytor, którego przez wiele lat bardzo lubiła, zaczynał tracić w jej oczach, natychmiast to zauważałem, niemalże zanim sama uświadamiała sobie zmianę. Kiedy następnym razem padało nazwisko kompozytora, mówiłem szybko, nim jeszcze zdążyła sformułować w myślach swoje wątpliwości, mówiłem szybko: „Z całą pewnością nie jest już taki jak dawniej. Chyba możemy sobie darować dzisiejszy koncert. Znuży cię”. Wynagradzała mnie widocznym wyrazem ulgi na twarzy. O tak, bardzo o nią dbałem i, jak mówię, wciąż jeszcze wierzyłem. Łudziłem się zaślepiony miłością, łudziłem się, że powoli odzyskuje jej serce. Przez parę lat byłem nawet o tym przekonany. A potem wszystko się zmieniło, wszystko zmieniło się w ciągu jednego wieczoru. Uświadomiłem sobie, że inaczej być nie mogło, że wszystkie moje starania na nic się zdadzą. Zrozumiałem pewnego to wieczoru. Pan Fischer zaprosił nas do swojego domu na małe przyjęcie na cześć Jana Piotrowskiego po jego koncercie w naszym mieście. Wtedy zaczynano nas już zapraszać na takie uroczystości, zdobywałem coraz większe uznanie dzięki żywemu zainteresowaniu sztukami pięknymi. Tak więc byliśmy w domu pana Fischera, w jego eleganckim salonie. Nieliczne towarzystwo, góra czterdzieści osób, taki wieczór na luzie. Nie wiem, czy miał pan okazję poznać Piotrowskiego. Okazał się przemiłym człowiekiem, w którego towarzystwie trudno się czuć skrępowanym. Rozmowa toczyła się gładko, wszyscy dobrze się bawili. W pewnym momencie podszedłem do stołu z zimnym bufetem i zacząłem się obsługiwać, gdy nagle zauważyłem obok siebie pana Piotrowskiego. Wciąż jeszcze byłem dosyć młody, nieobyty z ludźmi światowymi, i przyznam, że trochę się denerwowałem. Ale pan Piotrowski uśmiechnął się życzliwie i zapytał, czy dobrze się bawię, czym od razu mnie rozbroił. Potem powiedział: „Właśnie rozmawiałem z pańską czarującą żoną. Opowiadała mi o swojej wielkiej fascynacji Baudelaire’em. Musiałem ze skruchą przyznać, że nie znam twórczości Baudelaire’a zbyt dobrze. Naturalnie zganiła mnie za tę godną pożałowania ignorancję. Srodze mnie zawstydziła. Zamierzam to jak najszybciej naprawić. Uwielbienie pańskiej żony dla Baudelaire’a jest zaraźliwe!”. Na co skinąłem głową i powiedziałem: „Tak, oczywiście. Zawsze kochała Baudelaire’a”. „I to z jaką pasją!”, dodał Piotrowski. „Srodze mnie zawstydziła”. Ot i całe zajście, na tym skończyła się nasza rozmowa. Ale widzi pan, panie Ryder, chodzi o to, że wcześniej nie miałem pojęcia o jej fascynacji Baudelaire’em! Co więcej, nigdy jej o to nie podejrzewałem! Powiadam panu, nigdy nie zdradziła się przede mną z tą pasją! Kiedy Piotrowski mi o tym powiedział, coś zaświtało mi w głowie. Nagle ujrzałem jasno to, czego przez lata starałem się nie widzieć. A mianowicie, że zawsze ukrywała przede mną jakąś część swojej natury, chroniła ją, jakby kontakt ze mną mógł ją narazić na szwank. Jak mówię, chyba zawsze podejrzewałem, że są takie strony jej osobowości, które

przede inną skrzątnie ukrywa. Czy można ją za to winić? Kobieta o wielkiej wrażliwości, wychowana w takim domu. Bez wahania powiedziała Piotrowskiemu o fascynacji Baudelaire'em, choć przez wszystkie lata naszego życia ani razu o tym nie napomknęła. Przez parę następnych minut błąkałem się wśród gości, nie wiedząc nawet, co do nich mówię, prawilem zwykłe grzeczności, podczas gdy w moim wnętrzu aż wrzało. Potem spojrzalem na drugi koniec sali, jakąs godzinę po rozmowie z Piotrowskim, spojrzalem na drugi koniec sali i zobaczyłem, że moja żona, radośnie roześmiana, siedzi na sofie obok niego. Nie żeby z nim flirtowała, rozumie pan. Co to to nie, moja żona zawsze bardzo ściśle przestrzegala nakazów przyzwoitości. Uzmysłowiłem sobie jednak, że tak szczerogo śmiechu nie pamiętam u niej od czasu naszych przedślubnych spacerów wzdłuż kanału. To znaczy, zanim się domyśliła. To była długa sofa, siedziały na niej jeszcze dwie osoby, a kilka innych usiadło na podłodze, żeby być blisko Piotrowskiego. Ale Piotrowski mówił tylko do mojej żony, a ona śmiała się wesoło. Ale nie sam śmiech tak mnie uderzył. Kiedy patrzyłem na nich z drugiego końca sali, wydarzyło się coś takiego. Dotychczas Piotrowski siedział na brzegu sofy, z dłońmi splecionymi na kolanie. Mówiąc coś ze śmiechem do mojej żony, zaczął się odchylać do tyłu, jakby chciał się wygodnie oprzeć. A gdy zaczął się odchylać, bardzo szybkim i zwinnym ruchem moja żona wyjęła spod swoich pleców poduszkę i umieściła ją za plecami Piotrowskiego, tak że kiedy jego głowa dotknęła oparcia, poduszka była już na miejscu. Zrobiła to błyskawicznie, niemal odruchowo, bardzo wdzięcznym ruchem. Kiedy to zobaczyłem, panie Ryder, poczułem, jak pęka mi serce. Był to odruch pełen naturalnego szacunku, chęć okazania troski, sprawienia drobnej przyjemności. Ten mały gest świadczył o istnieniu całego obszaru w jej sercu, który był dla mnie szczelnie zamknięty. i wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo się łudziłem. Uświadomiłem sobie coś, co od tamtej pory wiem ponad wszelką wątpliwość. A mianowicie uświadomiłem sobie, że ode mnie odejdzie. Prędzej czy później, to jedynie kwestia czasu. Od tamtego wieczoru wiem to na pewno.

Umilkł i znów zatonął w swoich myślach. Po obu stronach drogi ciągnęły się teraz pola uprawne, a w oddali widać było sunące powoli traktory.

– Przepraszam, ale kiedy to było, ten wieczór, o którym pan mówi? – zapytałem.

– Kiedy? – Hoffman wydawał się lekko obrażony tym pytaniem. – Zaraz, zdaje się, że... koncert Piotrowskiego, tak, to musiało być dwadzieścia dwa lata temu.

– Dwadzieścia dwa lata – powiedziałem. – Rozumiem, że pańska żona była z panem przez cały ten czas?

Hoffman zwrócił na mnie gniewne spojrzenie.

– Co mi pan imputuje? Że nie wiem, co się dzieje w moim domu? Że nie rozumiem

własnej żony? Ja się panu zwierzam, dzielę osobistymi refleksjami, a pan chce zaraz zrobić mi wykład o tych sprawach, jak gdyby wiedział pan lepiej ode mnie...

– Bardzo przepraszam, jeśli wydałem się panu wścibski, panie Hoffman. Chciałem tylko zauważyć, że...

– Swoje uwagi proszę zachować dla siebie! Nic pan nie wie o tych sprawach! Prawda jest taka, że moja sytuacja jest beznadziejna, i to już od dłuższego czasu. Uświadomiłem to sobie tamtego wieczoru, na przyjęciu u pana Fischera, tak wyraźnie, jak wyraźnie widzę tę drogę przed nami. Wprawdzie jeszcze do tego nie doszło, ale tylko dlatego, że... tylko dlatego, że dokładam wszelkich starań. Jakich się chwytam sposobów! Pewnie wydałbym się panu śmieszny. Skoro wiem, że to przegrana sprawa, dlaczego się zadręczam? Dlaczego tak do niej przygląłem? Łatwo panu pytać. Otóż kocham ją całą duszą, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Nie wyobrażam sobie, nie mógłbym patrzeć, jak mnie opuszcza, wszystko straciłoby sens. Wiem, że to daremny trud, że prędzej czy później opuści mnie dla kogoś takiego jak Piotrowski, dla kogoś, kto spełni nadzieje, jakie pokładała we mnie, zanim się domyśliła. Ale nie można drwić z mężczyzny dlatego, że stara się zatrzymać przy sobie ukochaną kobietę. Robię, co mogę, daję z siebie wszystko, na co mnie stać.

– Dokładam wszelkich starań, organizuję różne uroczystości, zasiadam w komisjach i w ciągu tych lat zdołałem sobie wyrobić pewną pozycję w artystycznych i muzycznych kręgach tego miasta. Oczywiście, mieliśmy oboje tę jedną nadzieję. To być może wyjaśnia, dlaczego udało mi się utrzymać żonę przy sobie tak długo. Straciłem tę nadzieję ładnych kilka lat temu, ale widzi pan, przez długi czas żyłem tylko dla niej. Oczywiście mam na myśli naszego syna, Stephana. Gdyby był inny, gdyby miał chociaż niektóre talenty, jakimi natura tak szczerze obdarzyła jej rodzinę! Przez kilka lat oboje żyliśmy tą nadzieją. Niezależnie od siebie obserwowaliśmy Stephana i wiązaliśmy z nim swoje marzenia. Posłaliśmy go na lekcje fortepianu, obserwowaliśmy bacznie, mieliśmy nadzieję wbrew nadziei. Wytężaliśmy słuch, żeby odkryć tę iskrę bożą, której nigdy w nim nie było, wsłuchiwalismy się bardzo uważnie, choć z różnych powodów, tak bardzo chcieliśmy usłyszeć coś, czego nigdy nie było...

– Przepraszam, panie Hoffman. Jeśli mowa o Stephanie, mogę pana zapewnić, że...

– Przez lata oszukiwałem samego siebie! Powtarzałem sobie, że może jego talent rozwinie się później. Że tkwi w nim jakiś załazek. Oszukiwałem samego siebie i śmiem twierdzić, że moja żona również. Czekaliśmy cierpliwie, ale przed kilkoma laty dalsze udawanie straciło jakikolwiek sens. Stephan ma już dwadzieścia trzy lata. Nie mogę sobie dłużej wmawiać, że jutro albo pojutrze jego talent nagle rozkwitnie. Muszę się z tym pogodzić. Wdał się we mnie. Teraz już wiem, że i ona jest tego świadoma. Naturalnie jako

matka kocha Stephana najczulszą miłością. Ale zamiast kluczem do mojego zbawienia, stał się czymś wręcz przeciwnym. Za każdym razem, kiedy na niego patrzy, dostrzega wielki błąd, jaki popełniła, wychodząc za mnie...

– Doprawdy, panie Hoffman, miałem przyjemność posłuchać gry pańskiego syna i muszę powiedzieć...

– Stał się ucieleśnieniem, panie Ryder! Ucieleśnieniem wielkiej pomyłki jej życia. Gdyby znał pan jej rodzinę! Zapewne w młodości nie wyobrażała sobie, że może być inaczej. Myślała, że pewnego dnia będzie miała piękne, utalentowane dzieci. Wrażliwe na piękno, tak jak ona. No i popełniła błąd! Oczywiście jako matka kocha Stephana całym sercem. A jednak kiedy na niego patrzy, widzi w nim swoją wielką pomyłkę. Jest do mnie bardzo podobny. Nie mogę temu dłużej zaprzeczać, jest już prawie dorosłym człowiekiem...

– Panie Hoffman, Stephan jest bardzo zdolnym młodym człowiekiem...

– Niech się pan nie wysila! Proszę nie znieważać szczerego zaufania, jakim pana obdarzyłem, tymi banalnymi grzecznościami! Nie jestem głupcem, widzę, na co stać mojego syna. Przez jakiś czas był moją jedyną nadzieją, tak, ale od tamtej pory, odkąd doszedłem do wniosku, że nie ma się co oszukiwać, a było to jakieś sześć, siedem lat temu, próbowałem... Czy można mnie za to winić?... Próbowałem zatrzymać ją przy sobie, walczyłem niemal o każdy dzień. Mówiłem jej: „Zaczekaj chociaż do następnego koncertu, który właśnie organizuję. Zaczekaj, aż się odbędzie, może wtedy ujrzysz mnie w innym świetle”. A zaraz po nim mówiłem: „Nie, zaczekaj, szykuje się kolejna wspaniała impreza, już nad nią pracuję. Proszę, poczekaj do tego czasu”. Metodę tę stosuję już od sześciu czy siedmiu lat. Wiem, że dzisiejszy recital to moja ostatnia szansa. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Gdy powiedziałem jej o tym rok temu, kiedy po raz pierwszy wspomniałem, że mam zamiar zorganizować taki wieczór, kiedy opisałem szczegółowo, jak będą ustawione stoły, jaki będzie program, a nawet... proszę mi wybaczyć... przewidziałem, że pan albo ktoś inny o prawie porównywalnej renomie przyjmie zaproszenie i będzie ozdobą wieczoru, tak, kiedy przedstawiłem jej to wszystko po raz pierwszy, wyjaśniłem, jak dzięki mnie, takiej miernocie, do której na tyle lat przykuła się łańcuchem, jak dzięki mnie pan Brodsky podbija serca i zdobędzie zaufanie obywateli tego miasta, a w punkcie kulminacyjnym wieczoru zawróci bieg rzeczy... Ha, ha!... Powiadam panu, nawet wtedy spojrzała na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Znów to samo”. Ale w jej oczach zauważyłem błysk, który mówił: „Może naprawdę ci się uda? To dopiero byłoby coś”. Tak, tylko ten błysk, ale takie błyski już od dawna podtrzymywały mnie na duchu. O, jesteśmy na miejscu, panie Ryder.

Zatrzymaliśmy się na poboczu, przy bujnej łące.

– Panie Ryder – powiedział Hoffman – przyznam, że mój czas jest nieco ograniczony. Czy poczytałby to pan za wielką nieuprzejmość z mojej strony, gdybym poprosił, aby sam pan się udał do pawilonu?

Kierując się jego wzrokiem, zobaczyłem, że łąka wznosi się stromo po stoku pagórka, na którego szczycie stoi mały, drewniany barak. Hoffman poszperał w schowku i wyjął klucz.

– Na drzwiach zobaczy pan kłódkę. Warunki nie są luksusowe, ale ma pan zapewniony absolutny spokój, zgodnie z pańskim życzeniem. Jeśli zaś chodzi o pianino, to wspinały bechstein z lat dwudziestych.

Ponownie spojrzałem do góry.

– Tamten barak? – zapytałem.

– Wrócę po pana za dwie godziny, panie Ryder. Chyba że samochód będzie panu potrzebny prędzej?

– Nie, potrzebuję akurat dwóch godzin.

– W takim razie pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że będzie pan zadowolony.

Hoffman machnął ręką w stronę baraku, gestem jakby zapraszającym, choć nie bez śladu zniecierpliwienia. Podziękowałem mu i wysiadłem z samochodu.

## Rozdział 25

Otworzyłem bramę i ruszyłem ścieżką, która pięła się pod górę wprost do drewnianego baraku. Z początku pod nogami chlupało mi błoto, ale wyżej teren robił się twardszy. W połowie drogi obejrzałem się za siebie i zobaczyłem wijącą się wśród pól długą nić szosy oraz dach oddalającego się samochodu – niewykluczone, że był to wóz Hoffmana.

Zanim dotarłem do baraku i otworzyłem zardzewiałą kłódkę, zdążyłem już dostać lekkiej zadyszki. Z zewnątrz barak nie różnił się niczym od zwykłej ogrodowej szopy, niemniej w środku zaskoczył mnie brak jakiegokolwiek wystroju. Ściany i podłoga wykonane były z szerokich, surowych desek, częściowo wypaczonych. W szparach między nimi roilo się od robactwa, a z krokwi zwisały szczątki starych pajęczyn. Większość miejsca zajmowało nieco zaniedbane pianino i kiedy przysunąłem stołek i usiadłem, poczułem, że plecami niemal dotykam ściany.

W tejże ścianie znajdowało się jedyne okno. Gdy obróciłem się na stołku i wykręciłem szyję, stwierdziłem, że widać z niego łąkę, opadającą stromo ku drodze. Odniosłem wrażenie, że podłoga nie jest zupełnie równa, i kiedy odwróciłem się do pianina, naszło mnie nieprzyjemne uczucie, że zaraz zsunę się do tyłu po stoku pagórka. Kiedy jednak podniosłem klawiaturę i zagrałem kilka fraz, stwierdziłem, że instrument ma idealne brzmienie, a zwłaszcza przyjemnie głębokie tony basowe. Pianino nie miało luzów i było doskonale nastrojone. Zacząłem nawet podejrzewać, że drewno ścian dobrano w taki sposób, by uzyskać optymalny poziom absorpcji i odbicia. Z wyjątkiem małego zgrzytu, który wydawał przy nadeptnięciu prawy pedał, nie miałem właściwie na co narzekać.

Skoncentrowałem się i zacząłem grać zawrotne takty otwierające *Azbest i włókno*. Kiedy nastrój pierwszej części utworu stał się bardziej refleksyjny, poczułem rosnącą falę odprężenia, tak że prawie całą pierwszą część zagrałem z zamkniętymi oczami.

Na początku drugiej części znów otworzyłem oczy i zobaczyłem, że przez okno wlewa się popołudniowe światło, ostro rysując mój cień na klawiaturze. Nawet zawiłości drugiej części utworu nie zdołały zmącić mojego spokoju. Zdałem sobie sprawę, że doskonale panuję nad każdym elementem kompozycji. Przypomniałem sobie swoje wcześniejsze obawy i zrobiło mi się z tego powodu głupio. Ponadto, wykonując utwór, doszedłem do wniosku, że jest nie do pomyślenia, by nie poruszył on mojej matki. Tak więc wszystko wskazywało na to,

że mam wszelkie podstawy, żeby oczekiwać wieczornego występu z absolutną ufnością.

Kiedy doszedłem do nasyconego delikatną melancholią fragmentu trzeciej części, usłyszałem jakiś obcy dźwięk. Początkowo myślałem, że to wina lewego pedału, a potem, że to coś z podłogą. Był to słaby, rytmiczny dźwięk, który ustawał i wracał. Przez jakiś czas starałem się nie zwracać na niego uwagi, ale dźwięk powtarzał się uporczywie, aż w końcu – przy środkowych pasażach granych *pianissimo* – uzmysłowiłem sobie, że w pobliżu baraku ktoś kopie ziemię.

Świadomość, że dźwięk ten nie ma nic wspólnego ze mną, pozwoliła mi go bez wysiłku zignorować, grałem więc dalej, rozkoszując się łatwością, z jaką węzełki uczuć wynurzają się z wolna na powierzchnię, gdzie się rozplatają. Znowu zamknąłem oczy i wkrótce zacząłem sobie wyobrażać twarze rodziców, siedzących obok siebie i słuchających w nabożnym skupieniu. Co ciekawe, nie siedzieli na sali koncertowej – jak spodziewałem się ich ujrzeć jeszcze tego wieczoru – ale w salonie naszej sąsiadki w Worcestershire, niejakiej pani Clarkson, wdowy, z którą moja matka przez jakiś czas utrzymywała przyjazne stosunki. Być może pani Clarkson skojarzyła mi się z bujną trawą przed barakiem. Jej dom, podobnie jak nasz, otaczał niewielki trawnik. Naturalnie jako kobieta samotna nie umiała zapanować nad szybko rosnącą trawą. Za to w jej domu panował nienaganny porządek. W kącie salonu stało pianino, którego – odkąd pamiętam – nigdy nie widziałem z podniesioną klapą. Całkiem możliwe, że było rozstrojone albo zepsute. Przypomniało mi się pewne zdarzenie. Siedziałem cicho w jej salonie, trzymając na kolanie filiżankę herbaty i przysłuchując się, jak moi rodzice rozmawiają z panią Clarkson o muzyce. Być może ojciec zapytał ją właśnie, czy grywa na swoim pianinie, ponieważ muzyka nieczęsto pojawiała się w rozmowach z panią Clarkson. W każdym razie grając trzecią część *Azbestu i włókna*, z niedających się logicznie wyjaśnić przyczyn nie mogłem sobie odmówić przyjemności udawania, że znów jestem w tamtym salonie, moi rodzice i pani Clarkson słuchają uważnie, jak gram na pianinie w kącie pokoju, a poruszana letnim wiatrem firana faluje niebezpiecznie blisko mojej twarzy.

Kiedy zbliżałem się do końca trzeciej części, znów usłyszałem zgrzyt łopaty o piasek. Nie byłem pewien, czy ustał na jakiś czas i powrócił na nowo, czy też rozlegał się bez przerwy, tyle że nie zwracałem na niego uwagi, w każdym razie wydał mi się teraz o wiele wyraźniejszy niż poprzednio. Nagle przyszło mi do głowy, że to nikt inny, tylko Brodsky, i że chowa właśnie swojego psa. Przypomniałem sobie, jak to rano parokrotnie mówił, że ma zamiar pochować go jeszcze tego samego dnia. Pamiętałem też jak przez mgłę, że doszliśmy do jakiegoś porozumienia, na którego mocy miałem grać na fortepianie podczas odprawianych przez niego ceremonii pogrzebowych.

Teraz zacząłem się domyślać, co się działo, zanim przyjechałem. Prawdopodobnie Brodsky przybył tu nieco wcześniej i czekał tuż za wierzchołkiem, o rzut kamieniem od baraku, w cieniu kępy drzew, gdzie teren nieznacznie się obniżał. Stał tam cichutko, oparłszy łopatę o pień drzewa, prawie niewidoczny zza wysokiej trawy, a obok leżało ciało jego psa, owinięte w prześcieradło. Rano wspominał, że planuje kameralną uroczystość, której jedynym ozdobnikiem miała być moja gra; nic więc dziwnego, że nie chciał zaczynać beze mnie. Toteż czekał cierpliwie, może nawet godzinę, patrząc w niebo i na okolicę.

Naturalnie z początku jego wspomnienia krążyły wokół zmarłego przyjaciela. Ale czas mijał, a mnie wciąż nie było, tak że w końcu zwrócił swoje myśli ku panie Collins i ich bliskiemu spotkaniu na cmentarzu. Wkrótce zaczął wspominać pewien wiosenny poranek sprzed wielu lat, kiedy wyniósł na tyły ich domu dwa wiklinowe krzesła. Było to nie dalej jak dwa tygodnie po ich przybyciu do miasta i pomimo wyczerpania się funduszy panna Collins wciąż urządzała ich nowy dom z ogromną energią. Tego ranka zeszła na śniadanie i oznajmiła, że ma ochotę posiedzieć trochę na słońcu i świeżym powietrzu.

Wracając myślą do tamtego poranka, Brodsky bardzo wyraźnie przypomniał sobie żółtą trawę pod stopami i poranne słońce w momencie, gdy ustawiał krzesła w ogródku. Panna Collins wyszła z domu nieco później. Siedzieli obok siebie przez jakiś czas, wymieniając sporadycznie luźne uwagi. Tamtego ranka po raz pierwszy od wielu miesięcy przez krótką chwilę miał poczucie, że mimo wszystko los może okazać się dla nich łaskawy. Już chciał się podzielić tą refleksją z żoną, przypomniał sobie jednak, że tym samym dotknąłby drażliwego tematu jego ostatnich niepowodzeń, i zmienił zdanie.

Potem ona zrelacjonowała, co robi w kuchni. Ponieważ nie usunął stamtąd płyt pilśniowych, mimo że obiecywał to już od wielu dni, jej prace w tej części domu znacznie się opóźniają. Milczał przez chwilę, po czym odparł całkiem spokojnie, że ma sporo do zrobienia w szopie. Skoro nie potrafią usiedzieć nawet kilku minut bez mówienia sobie przykrych rzeczy, uznał, że z czystym sumieniem może odejść. Wstał i udał się przez dom do małej szopy, stojącej od frontu. Żadne z nich nie podniosło głosu, a cała sprzeczka trwała zaledwie kilka sekund. Nie przywiązywał do niej większej wagi i wkrótce skupił się na swoich projektach stolarskich. Kilka razy podnosił wzrok i widział przez zakurzone okno, jak żona błąka się bez celu po podwórku. Pracował dalej, spodziewając się ujrzeć ją zaraz w drzwiach szopy, ale za każdym razem wracała do domu. Kiedy przyszedł na lunch – dość późno, trzeba przyznać – stwierdził, że żona już zjadła i zaszła się gdzieś na piętrze. Odczekał kilka minut, po czym wrócił do szopy i przepracował całe popołudnie. Widział, jak zapada zmrok, a w oknach rozbłyskują światła. Wreszcie koło północy wrócił do domu.

Cały parter tonął w ciemnościach. Brodsky usiadł na drewnianym krześle w salonie i wpatrując się w księżycową poświatę, padającą na ich sfatygowane meble, myślał, jak osobliwy był ten dzień. Nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem spędzili cały dzień w taki sposób, i postanowiwszy poprawić na koniec atmosferę, wszedł schodami na górę.

Na piętrze zauważył, że w sypialni wciąż się pali światło. Ruszył w tamtą stronę, a skrzypienie desek pod nogami oznajmiło jego nadejście nie mniej dobitnie, niż gdyby zawołał do panny Collins. Zatrzymawszy się pod drzwiami, spojrzął na padającą spod nich smugę światła i spróbował się nieco uspokoić. Właśnie sięgał do klamki, gdy zza drzwi dobiegło jej kasznięcie. Niezbyt głośne, prawie na pewno mimowolne, było w nim jednak coś, co kazało mu się zatrzymać i powoli cofnąć rękę. Kasznięcie to przypomniało mu o tej stronie jej osobowości, której ostatnio starał się nie zauważać; o cesze, którą w lepszych czasach szczerze podziwiał, lecz – jak sobie nagle uzmysłowił – od czasu katastrofy, przed którą właśnie uciekli, coraz usilniej ignorował. Choć to dziwne, w kasznięciu tym pobrzmiwał cały jej perfekcjonizm, jej pryncypialność, ta część jej natury, która zawsze będzie ją pytać, czy wykorzystuje swoje siły w możliwie najlepszy sposób. Nagle zawrzała w nim złość na nią za to kasznięcie, za cały dzień. Odwrócił się i odszedł, nie zważając na głośne skrzypienie desek pod nogami. Wrócił do salonu, gdzie w ciemności połyskiwało księżycowe światło, położył się na sofie, przykrył narzutą i zasnął.

Obudził się wcześniej rano i przygotował śniadanie dla nich obojga. Zeszła na dół o zwykłej porze i powitali się dość miło. Zaczął mówić, jak żałuje tego, co się stało, ale przerwała mu w pół słowa, twierdząc, że oboje zachowali się zdumiewająco niemądrze. Jedli śniadanie z uczuciem ulgi, że rozmowę tę mają już za sobą. Mimo to do końca dnia i przez kilka kolejnych w ich stosunkach panował lekki chłód. Później, gdy coraz częściej i na coraz dłużej przestawali się do siebie odzywać, często wracał myślą do tego wiosennego dnia, do tego poranka, który zaczął się dla nich tak obiecująco wspólnym wypoczynkiem w ogrodzie.

Dotarłem do baraku i zacząłem grać w chwili, gdy Brodsky tonął akurat w tych wspomnieniach. Przez pierwszych kilkanaście taktów wciąż jeszcze wpatrywał się tępo w przestrzeń. Następnie wrócił myślami do czekającego go zadania i westchnąwszy, chwycił łopatę. Sprawdził ostrzem ziemię, ale na tym na razie poprzestał, być może dlatego, że nastrój muzyki nie wydawał mu się jeszcze odpowiedni. Dopiero kiedy doszedłem do melancholijnej trzeciej części, Brodsky zaczął kopać. Ziemia była miękka i kopanie szło mu łatwo. Potem bez większych ceremonii zaciągnął zwłoki psa do grobu, nie pomyślawszy nawet, by odchylić rąbek prześcieradła i spojrzeć na niego po raz ostatni. Zaczął już zasypywać dół, ale przerwał, być może z powodu przenikającego muzykę smutku. Wyprostował się i przez kilka minut

patrzył cicho na grób do połowy wypełniony ziemią. Dopiero pod koniec trzeciej części znów chwycił łopatę i jął kopać dalej.

Skończywszy grać trzecią część, usłyszałem, że Brodsky wciąż kopie, postanowiłem więc opuścić część ostatnią, która zupełnie nie pasowała do okoliczności, i zamiast niej powtórzyć trzecią. Pomyślałem, że chociaż tyle mogę zrobić dla Brodsky'ego po tym, jak kazałem mu na siebie czekać. Mniej więcej w połowie powtórzonej trzeciej części zgrzyt łopaty ustał. Pomyślałem, że powinno to odpowiadać Brodsky'emu, jako że ma jeszcze trochę czasu, aby postać w skupieniu nad grobem. Tym razem w swojej interpretacji starałem się położyć większy niż poprzednio nacisk na wątki elegijne.

Kiedy powtórnie zakończyłem trzecią część, przez kilka minut siedziałem cicho przy pianinie, po czym wstałem, aby rozprostować kości w tej ograniczonej przestrzeni. Izbę wypełniało teraz popołudniowe światło, a niedaleko w trawie cykały świerszcze. Po chwili przyszło mi na myśl, że powinienem wyjść i zamienić z Brodskym przynajmniej parę słów.

Otworzywszy drzwi, ze zdziwieniem stwierdziłem, że słońce stoi już bardzo nisko nad drogą. Po kilku krokach znów znalazłem się na ścieżce i szybko pokonałem odcinek dzielący mnie od wierzchołka wzgórza. Zobaczyłem wtedy, że z drugiej strony stok opada łagodnie ku malowniczej dolince. Brodsky stał nad grobem tuż przy kępie chudych drzewek, w niewielkiej odległości ode mnie.

Gdy do niego podchodziłem, nie odwrócił się, jedynie powiedział cicho, nie odrywając wzroku od grobu:

– Dziękuję, panie Ryder. Grał pan naprawdę pięknie. Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

Wymamrotałem coś w odpowiedzi i stanąłem w stosownej odległości od grobu. Brodsky wciąż patrzył w dół.

– To tylko stary zwierzak – odezwał się po chwili. – Ale zależało mi na muzyce najwyższej próby. Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

– Nie ma za co, panie Brodsky. Cała przyjemność po mojej stronie.

Westchnął i po raz pierwszy na mnie spojrzął.

– Wie pan, nie potrafię po nim płakać. Próbowałem, ale nic z tego. Moje myśli kierują się w przyszłość. A czasem w przeszłość. No wie pan, myślę o naszym dawnym życiu. Chodźmy już, panie Ryder. Zostawmy tutaj Brunona. – Odwrócił się i zaczął powoli schodzić ku dolinie. – Zostawmy go. Żegnaj, Bruno, żegnaj. Dobrym byłeś druhem, choć tylko psem. Zostawmy go już, panie Ryder. Ruszajmy. Cieszę się, że pan dla niego zagrał. Ale nie mogę płakać. Wkrótce się spotkamy. Już niedługo. Chodźmy stąd, proszę.

Znowu spojrzałem w dół i zauważyłem, że cała dolina usiana jest nagrobkami. Domyśliłem się, że idziemy w stronę cmentarza, na którym Brodsky umówił się z panną Collins. Istotnie, kiedy go dogoniłem, Brodsky powiedział:

– Grób Pera Gustavssona. Tutaj mamy się spotkać. Nie z jakiegoś konkretnego powodu. Po prostu powiedziała, że zna ten grób, to wszystko. Zaczekam tutaj, nic mi nie będzie, jeśli trochę poczekam.

Dotychczas przedzieraliśmy się przez wysoką trawę, dopiero teraz doszliśmy do ścieżki. Im niżej schodziliśmy, tym wyraźniej widziałem cmentarz. Było to spokojne, odludne miejsce. Nagrobki ciągnęły się równymi rzędami w poprzek dna doliny, a niektóre wchodziły na stok z jednej albo drugiej strony. Odbywał się akurat jakiś pogrzeb – po lewej stronie dostrzegłem w słońcu skupisko ciemnych sylwetek żałobników, w sumie około trzydziestu osób.

– Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze – powiedziałem. – Oczywiście mam na myśli pańskie spotkanie z panną Collins.

Brodsky pokręcił głową.

– Dziś rano byłem pełen otuchy. Myślałem, że wystarczy porozmawiać, a wszystko się ułoży. Ale teraz nie jestem tego taki pewien. Być może ten człowiek, pański znajomy, którego spotkałem rano w jej mieszkaniu, miał rację. Może ona już nigdy mi nie wybaczy. Może posunąłem się za daleko i teraz już nigdy mi nie wybaczy.

– Po co zaraz takie czarne myśli – powiedziałem. – Co było, minęło. Gdybyście tylko potrafili...

– Tyle lat, panie Ryder – rzekł Brodsky. – W głębi duszy nigdy nie pogodziłem się z tym, co wówczas o mnie mówili. Nigdy nie uważałem się za takie... takie zero. Może uwierzyła w to umysłem, ale nie sercem, o nie. W głębi serca nigdy się z tym nie pogodziłem. Ani na moment, przez te wszystkie lata. Zawsze słyszałem w sobie muzykę. I wiedziałem, że jestem więcej wart, niż twierdzą. Kiedy osiedliśmy tutaj, przez pewien czas ona również o tym wiedziała, na pewno. Ale potem... cóż... zaczęła wątpić. Czy można ją za to winić? Nie mam jej za złe, że odeszła. Ani trochę. Ale mam jej za złe, że nie urządziła się inaczej. Tak, powinna była się urządzić inaczej. Wzbudziłem w niej nienawiść do siebie; może pan sobie wyobrazić, ile mnie to kosztowało? Oddałem jej wolność, a ona co? Nic. Nawet nie wyjechała z miasta, tylko marnowała czas. Dla tych ludzi, tych słabych, niepotrzebnych ludzi, z którymi rozmawia całymi dniami. Gdybym wiedział, że to się tak skończy! Zrazić do siebie ukochaną osobę, panie Ryder, jakież to bolesne. Czy pan sądzi, że stoczyłbym się tak nisko? Że stałbym się tą nędzną kreaturą, gdybym wiedział, że to się tak skończy? Słabi

nieszczęśnicy! Kiedyś miała szczytne cele, wielkie ambicje. No i proszę, wszystko zmarnowała. Nawet się stąd nie wyniosła. Dziwi pana, że od czasu do czasu na nią pokrzyczałem? Czy jej się zdaje, że pijanym żebrakiem zostaje się dla żartu? Ludzie myślą: to pijak, wszystko mu jedno. Nieprawda. Czasami wszystko się nagle rozjaśnia, a wtedy... czy pan wie, jakie to straszne uczucie, panie Ryder? Nigdy nie wykorzystwała szansy, którą jej dałem. Nawet stąd nie wyjechała, tylko gadała i gadała z tymi słabeuszami. Krzyczałem na nią, czy to takie dziwne? Należało się jej, zasłużyła na każde moje słowo, każdą plugawą obelgę, należało się jej...

– Za pozwoleniem, panie Brodsky, nie jest to chyba właściwe nastawienie przed tak ważnym spotkaniem...

– Czy jej się zdaje, że mnie to bawiło? Że robiłem to dla żartu? Nie musiałem tego robić. Jak widać, potrafię nie pić, jeśli nie chcę. Czy jej się zdaje, że to był dowcip?

– Panie Brodsky, nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, ale myślę, że nadszedł czas, by raz na zawsze odsunąć od siebie takie myśli. Te różnice zdań, nieporozumienia... już czas najwyższy puścić to wszystko w niepamięć. Musicie spróbować jak najlepiej wykorzystać resztę swoich dni. Proszę się uspokoić. Nie powinien pan się spotykać z panną Collins w takim stanie ducha, potem na pewno by pan tego żałował. Jeśli wolno mi się w tej sprawie wypowiedzieć, panie Brodsky, sądzę, że dotychczas w rozmowach z nią bardzo słusznie kładł pan nacisk na przyszłość. Pański pomysł ze zwierzakiem uważam za bardzo dobry. Moim zdaniem powinien pan przy nim obstawać, podobnie jak przy innych pomysłach. Nie ma po co wracać do przeszłości. Za to przyszłość rysuje się w jasnych barwach. Ze swej strony obiecują zrobić tego wieczoru wszystko co w mojej mocy, żeby mieszkańcy tego miasta pana zaakceptowali...

– Ach tak, panie Ryder! – Jego nastrój jakby się nagle odmienił. – Tak, tak, wieczorem zamierzam... zamierzam dać wspaniały występ!

– Już lepiej, panie Brodsky, tak trzymać.

– Wieczorem nie cofnę się przed niczym. Tak, zrobili na mnie nagonkę, poddałem się, uciekliśmy, przyjechaliśmy tutaj. Ale w głębi duszy nie poddałem się do końca. Wiedziałem, że nigdy nie dano mi prawdziwej szansy. Dopiero dziś... Długo czekałem na ten dzień, nie cofnę się przed niczym. Zdziwi się pan, co wydobędę z tej orkiestry. Jestem panu wdzięczny, panie Ryder. To pan dodał mi otuchy. Jeszcze wczoraj byłem pełen obaw. Niepokoiłem się dzisiejszym występem, jak to będzie. Lepiej zachować ostrożność, myślałem. Hoffman, wszyscy mówili: pomalutku, ostrożnie. Nie ma się co spieszyć. Zdobywaj ich krok po kroku. Ale dziś rano zobaczyłem pańską fotografię w gazecie, przed budowlą Sattlera. I pomyślałem:

otóż to, trzeba iść na całość. Nie zatrzymywać się w pół drogi! Ta orkiestra... nie uwierzą, co z nimi zrobię! Całe miasto oniemieje. Tak, trzeba iść na całość! A wtedy się przekona, znowu zobaczy mnie w akcji i przekona się, jaki naprawdę jestem, jaki byłem zawsze! Budowla Sattlera, to jest to!

Znaleźliśmy się teraz na równym terenie. Szliśmy środkową alejką cmentarza, porośniętą trawą. Nagle moją uwagę zwróciły czyjeś kroki. Obejrzawszy się, zobaczyłem, że jeden z żałobników biegnie w naszą stronę i daje nam dość gorączkowe znaki. Kiedy się do nas zbliżył, ujrzałem ciemnego, barczystego mężczyznę koło pięćdziesiątki.

– To wielki zaszczyt, panie Ryder – powiedział zadyszany. – Jestem bratem wdowy. Byłaby zachwycona, gdyby zechciał pan do nas dołączyć.

Spojrzałem we wskazanym przez niego kierunku i zobaczyłem, że stoimy niedaleko żałobników. Dały się nawet słyszeć niesione wiatrem żałobne szlochy.

– Tędy, proszę – powiedział mężczyzna.

– Nie wiem, czy w tak przykrych okolicznościach...

– Ależ proszę się nie krępować, panie Ryder. Moja siostra, wszyscy pocujemy się zaszczytami. Tędy, proszę.

Ruszyłem za nim bez przekonania. Kiedy weszliśmy między nagrobki, poczułem, że teren jest tu bardziej grząski. Z początku wśród postaci w czerni nie mogłem rozpoznać wdowy, ale gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że stoi z przodu, pochylona nad niezasypanym grobem. Wydawała się tak zrozpaczona, że pewnie najchętniej rzuciłaby się na trumnę. Być może żeby temu zapobiec, jakiś starszy, siwowłosy mężczyzna trzymał ją mocno za dłoń i ramię. Większość stojących za nią osób szlochała z żalem, który wydawał się szczerzy, mimo to zawodzenia wdowy wyróżniały się spośród innych – były to przeciągłe, bezsilne, acz wrywające się z głębi piersi jęki, jakie mógłby wydawać człowiek poddany długotrwałym torturom. Słyszając to, chciałem się odwrócić i odejść, ale barczysty mężczyzna dawał mi znaki, abym wysunął się naprzód. Ponieważ się nie ruszałem, szepnął niezbyt cicho:

– Panie Ryder, proszę.

Kilku żałobników zwróciło oczy w naszą stronę.

– Tutaj, panie Ryder.

Barczysty mężczyzna wziął mnie za rękę i zaczęliśmy się przeciskać przez ciżbę. Niektórzy odwracali się ku mnie i co najmniej dwie osoby powiedziały: „To pan Ryder”. Kiedy dotarliśmy do pierwszego rzędu, szlochy zdążyły już nieco przycichnąć i czułem na sobie wiele spojrzeń. Stałem w milczeniu w postawie wyrażającej szacunek, dręczony myślą, że mam na sobie niestosowną, jasnozieloną marynarkę bez krawata. Co gorsza, marynarkę

zdobił wesoły, żółto-pomarańczowy wzorek. Podczas gdy barczysty mężczyzna próbował przyciągnąć uwagę wdowy, szybko zapiąłem guziki.

– Eva – mówił łagodnie. – Eva.

Siwowłosy mężczyzna spojrzał w naszą stronę, wdowa jednak niczego nie słyszała. Stała pogrążona w cierpieniu, wydając nad grobem rytmiczne pojękiwania. Jej brat zerknął na mnie z widocznym zakłopotaniem.

– Przepraszam – szepnąłem i zacząłem się wycofywać. – Złożę kondolencje nieco później.

– Chwileczkę, panie Ryder, proszę zaczekać. – Barczysty mężczyzna położył dłoń na ramieniu siostry i powtórzył, tym razem z wyraźną nutką zniecierpliwienia w głosie: – Eva. Eva.

Wdowa się wyprostowała i opanowując łkanie, odwróciła się wreszcie w naszą stronę.

– Eva – rzekł jej brat. – Przyszedł pan Ryder.

– Pan Ryder?

– Proszę przyjąć wyrazy głębokiego współczucia – powiedziałem, zniżając uroczyście głos.

Wdowa nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Eva! – syknął jej brat.

Wdowa się otrząsnęła, spojrzała na brata, a potem znów na mnie.

– Panie Ryder – odezwała się zadziwiająco opanowanym głosem – to dla nas wielki zaszczyt. Hermann – wskazała grób – jest pańskim wielbicielem. – Nagle znów chwycił ją spazm płaczu.

– Eva!

– Szanowna pani – powiedziałem szybko – przyszedłem tu jedynie po to, aby złożyć wyrazy głębokiego współczucia. Naprawdę bardzo mi przykro. Pozwoli pani jednak, że teraz zostawię ją sam na sam z jej smutkiem...

– Panie Ryder – przerwała mi wdowa, ponownie biorąc się w garść – to dla nas naprawdę wielki zaszczyt. Na pewno wszyscy się ze mną zgodzą, jeżeli powiem, że pańska obecność ogromnie nam pochlebia.

Dokoła rozległy się pomruki wyrażające aprobatę.

– Panie Ryder – ciągnęła wdowa – jak się panu podoba pobyt w naszym mieście? Mam nadzieję, że znalazł pan tu coś godnego uwagi.

– Dziękuję, bardzo mi się tu podoba. Wszyscy są dla mnie tacy mili. Uroczą społeczność. Bardzo mi przykro z powodu... z powodu śmierci.

– Może da się pan namówić na mały poczęstunek? Na herbatę albo kawę?

– Nie, dziękuję...

– Proszę, niech się pan chociaż czegoś napije. Mój Boże, czy nikt nie przyniósł herbaty albo kawy? Nic? – Wdowa powiodła badawczym wzrokiem po twarzach żałobników.

– Ależ proszę się nie kłopotać, naprawdę nie chciałem państwu przeszkadzać. Proszę kontynuować... uroczystość.

– Przecież musicie coś mieć. Czy nikt nie ma nawet termosu z, kawą?

Z tyłu dobiegły nas głosy wielu naradzających się osób i kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że ludzie przeszukują torby i kieszenie. Barczysty mężczyzna pomachał w stronę stojących z tyłu żałobników i po chwili podano mu małe zawiniątko. Podczas gdy mu się przyglądał, zauważyłem, że jest to kawałek ciasta, owinięty w celofan.

– Czy tylko na tyle nas stać?! – krzyknął barczysty mężczyzna. – Co to ma być?!

Gwar rozmów za moimi plecami się nasilił. Ponad inne głosy wybijał się zwłaszcza jeden, który powtarzał gniewnie:

– Otto, gdzie jest ten ser?

W końcu barczystemu mężczyźnie podano paczkę miętówek, ten zaś spojrzął ze złością na gromadę, a potem odwrócił się i wręczył ciasto oraz cukierki siostrze.

– To naprawdę bardzo miło z waszej strony – odezwałem się – ale przyszedłem tu jedynie po to, by...

– Panie Ryder – powiedziała wdowa z napięciem w głosie – zdaje się, że to już wszystko, co możemy panu zaoferować. Nie wiem, co powiedziałaby Hermann, taki wstyd, i to właśnie dziś. Ale cóż, stało się, pozostaje mi tylko prosić pana o wybaczenie. Proszę spojrzeć, tylko tyle możemy panu zaproponować, oto cała nasza gościnność.

Milczenie, które zapadło wśród zebranych, gdy zaczęła mówić wdowa, przerwał teraz wybuch wielu skłóconych głosów naraz. Słyszałem, jak ktoś woła:

– Ależ skąd! Nic takiego nie powiedziałem!

Siwowłosy mężczyzna, który wcześniej przytrzymał wdowę nad grobem, wystąpił do przodu i mi się uklonił.

– Panie Ryder, proszę nam wybaczyć, że nie możemy godziwie się panu odwdzięczyć za tę wielką łaskę. Jak widać, jesteśmy żałośnie nieprzygotowani. Niemniej mogę pana zapewnić, że wszyscy bez wyjątku jesteśmy panu szczerze zobowiązani. Proszę przyjąć od nas ten niestosownie drobny poczęstunek.

– Proszę, niech pan spocznie, panie Ryder. – Wdowa przetarła chusteczką marmurowy nagrobek obok grobu jej męża. – Bardzo proszę.

Zrozumiałem, że nie mogę się już wycofać, tak więc zbliżyłem się pokornie do nagrobka, który dla mnie wytarła, i powiedziałem:

– Dziękuję, to naprawdę miło z państwa strony.

Gdy tylko usiadłem na bladej marmurowej płycie, żałobnicy natychmiast obstąpili mnie kołem.

– Proszę – powtórzyła wdowa. Stała nade mną i szarpała celofan, którym owinięto ciasto. Skończywszy, podała mi je wraz z opakowaniem. Podziękowałem jej i zabrałem się do jedzenia. Był to kawałek placka z owocami i musiałem bardzo uważać, żeby nie rozpadł mi się w palcach. Ponadto ktoś dzielił ciasto hojną ręką, toteż nie mogłem szybko się z nim uporać. W trakcie jedzenia miałem wrażenie, że krąg żałobników wokół mnie stopniowo się zacieśnia, ale kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że stoją nieruchomo z taktownie spuszczonej oczami. Przez jakiś czas panowało milczenie, aż wreszcie barczysty mężczyzna odchrząknął i rzekł:

– Ładną mamy dziś pogodę.

– I owszem – odparłem z pełnymi ustami. – Bardzo ładną.

Siwowłosa mężczyzna postąpił krok naprzód i powiedział:

– W naszym mieście jest kilka cudownych tras spacerowych, panie Ryder. Zaczynają się zaraz za centrum, to naprawdę wspaniałe trasy. Gdyby znalazł pan wolną godzinę, chętnie zabrałbym pana na taki spacer po okolicy.

– Może miętówkę, panie Ryder?

Wdowa trzymała otwartą paczkę tuż przy mojej twarzy. Podziękowałem jej i włożyłem cukierka do ust, choć miałem pewność, że nie pasuje do ciasta.

– Natomiast co do samego miasta – mówił siwowłosa mężczyzna – jeśli choć trochę interesuje pana średniowieczna architektura, jest tu kilka domów, które wielce by pana zaintrygowały, zwłaszcza na Starym Mieście. Chętnie pana oprowadzę.

– Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony – odparłem i jadłem dalej, chcąc się jak najszybciej uporać z ciastem.

Znowu zapadło milczenie, po czym wdowa powiedziała z westchnieniem:

– Wypogodziło się.

– Tak – przyznałem. – Odkąd przybyłem do miasta, utrzymuje się cudowna pogoda.

Dokoła rozległ się potakujący szmerek, a kilka osób nawet się zaśmiało, jak gdybym powiedział coś dowcipnego. Wepchnąłem do ust resztkę ciasta i strzepnąłem okruchy z rąk.

– Drodzy państwo – powiedziałem. – Dziękuję wam za gościnność, ale teraz, bardzo proszę, kontynuujcie uroczystość.

– Jeszcze jedną miętówkę? Niestety, to wszystko, co możemy panu zaoferować. –  
Wdowa ponownie przysunęła mi paczkę pod nos.

Wtedy przemknęło mi przez myśl, że wdowa czuje do mnie najgłębszą nienawiść. Uzmysłowiłem sobie, że pomimo uprzejmego zachowania właściwie wszyscy, nie wyłączając barczystego mężczyzny, mają mi za złe moją obecność. Co ciekawe, dokładnie w chwili, gdy o tym pomyślałem, jakiś głos z tyłu powiedział niezbyt głośno, ale donośnie:

– Co on taki ważny? Przecież to czas Hermanna.

Natychmiast podniósł się chór zaniepokojonych głosów, a co najmniej dwie osoby szepnęły z przerażeniem:

– Kto to powiedział?

Siwowłosa mężczyzna odchrząknął i rzekł:

– Przyjemnie spaceruje się wzdłuż kanałów.

– Co on taki ważny? Narobił tyle zamieszania.

– Zamknij się, kretynie! – warknął inny głos. – Też znalazłeś sobie moment, żeby nas kompromitować.

Kilka osób mruknięło pod nosem na znak poparcia dla ostatniej wypowiedzi, ale zaraz odezwał się drugi napastliwy głos.

– Proszę, panie Ryder. – Wdowa znów częstowała mnie cukierkiem.

– Ależ nie, dziękuję...

– Proszę wziąć jeszcze jednego.

Z tyłu rozgorzała zajadła kłótnia, w której uczestniczyły cztery, może pięć osób. Ktoś wrzeszczał:

– Zobaczycie, jak nas urządzi! Budowla Sattlera, tego już za wiele!

Coraz więcej osób zaczynało na siebie krzyczeć i w powietrzu wisiąca ogólna awantura.

– Panie Ryder – barczysty mężczyzna pochylał się nade mną – proszę na nich nie zwracać uwagi. Zawsze byli zakląną rodziną. Zawsze. Wstyd nam za nich, bardzo wstyd. Proszę nie powiększać rozmiarów naszej hańby, słuchając tych bredni.

– Właściwie... – Zacząłem się podnosić, ale coś pchnęło mnie z powrotem na dół. Po chwili zauważyłem, że wdowa zaciska dłoń na moim ramieniu.

– Proszę się uspokoić, panie Ryder – powiedziała oschle. – Jeszcze pan nie dokończył poczęstunku.

Dokoła rozgorzały kłótnie, a na obrzeżach tłumu zaczęły się nawet przepychanki. Wdowa wciąż przytrzymała mnie za ramię, tocząc wokół wyzywającym spojrzeniem.

– Nic mnie to nie obchodzi! – wołał jakiś głos. – Już lepiej niech zostanie tak, jak jest!

Przepychanکی się nasiliły, a następnie jakiś młody, tłusty mężczyzna przecisnął się do przodu. Miał bardzo okrągłą twarz i w tym momencie był wyraźnie zdenerwowany. Spiorunował mnie wzrokiem i krzyknął:

– Dla pana to bez znaczenia, przyjechać tutaj, stanąć przed budowlą Sattlera i tak się uśmiechać! Potem pojedzie pan dalej, ale dla tych, którzy muszą tu żyć, to nie takie proste. Budowla Sattlera!

Młodzieniec o krągłej twarzy nie sprawiał wrażenia osoby przyzwyczajonej do śmiałych wystąpień i szczerść jego uczuć nie ulegała wątpliwości. Na chwilę oniemiałem z osłupienia. Gdy rozpoczął kolejną serię oskarżeń, poczułem jednak, jak w mojej głowie otwiera się jakaś szufladka. Przyszło mi na myśl, że poprzedniego dnia popełniłem – sam nie wiem jakim cudem – błąd, decydując się na pozowanie przed budowlą Sattlera. Naturalnie wtedy wydawało mi się, że będzie to najwymowniejszy sygnał skierowany do obywateli miasta. Oczywiście byłem świadom wszystkich za i przeciw – pamiętałem, że owego ranka przy śniadaniu dokładnie je rozważyłem – teraz jednak nasunęła mi się myśl, że ta cała budowla Sattlera oznacza więcej, niż przypuszczałem.

Kilka osób, zachęcanych przykładem młodzieńca o krągłej twarzy, również zaczęło ciskać na mnie gromy. Inni próbowali ich powstrzymać, choć nie tak energicznie, jak można by się spodziewać. Z całej tej wrzawy wyłowiłem nowy, łagodny głos, dobiegający tuż zza moich pleców. Był to męski głos, uprzejmy i opanowany, który wydał mi się dziwnie znajomy.

– Panie Ryder – mówił. – Panie Ryder. Sala koncertowa. Powinien pan już tam jechać. Czekają na pana. Potrzeba panu dużo czasu na sprawdzenie sprzętu i warunków...

Głos utonął w kolejnym, wyjątkowo hałaśliwym sporze, który rozgorzał przede mną. Młodzieniec o krągłej twarzy wymierzył we mnie palec i w kółko coś powtarzał.

Nagle zgiełk ucichł. Przez chwilę myślałem, że żałobnicy uspokoili się w końcu i czekają aż przemówię. Potem jednak zauważyłem, że młodzieniec o krągłej twarzy i wszyscy pozostali wpatrują się w jakiś punkt nad moją głową. Dopiero po paru sekundach przyszło mi na myśl, żeby się obejrzeć. Ujrzałem Brodsky'ego, który wdrapał się na nagrobek i stał tuż nade mną.

Być może ze względu na kąt widzenia – stał lekko pochylony do przodu, tak że na tle bezmiaru nieba widziałem dużą część jego podbródka – odniosłem wrażenie, że jest w nim coś uderzająco władczego. Wyrzuciwszy przed siebie ramiona, górował nad nami niczym ogromny posąg. Mierzył zebranych wzrokiem jak dyrygent swoją orkiestrę na chwilę przed

pierwszymi taktami. Z jego postaci emanowała jakaś dziwna moc ujarzmiania rozpasanych emocji – jakby potrafił wzniecać je i gasić według uznania. Milczenie się przeciągało. Wreszcie rozległ się jakiś pojedynczy głos:

– A ty czego tu chcesz, stary pijaku?!

Być może osoba ta chciała na nowo wzniecić wrzawę, ale jakoś nikt nie zareagował.

– Ty stary pijaku – powtórzył głos, już z mniejszym przekonaniem.

Wszyscy patrzyli w milczeniu na Brodsky'ego. Po dłuższej chwili Brodsky powiedział:

– Proszę bardzo, możecie mnie tak nazywać. Jeszcze zobaczymy. Przekonamy się, kim jestem. W najbliższych dniach, tygodniach, miesiącach. Przekonamy się, czy rzeczywiście zasługuję tylko na to.

Mówił bez pośpiechu, spokojnym i pewnym tonem, który nie osłabiał bynajmniej pierwszego wrażenia. Żałobnicy wpatrywali się w niego jak zauroczeni. Nagle Brodsky powiedział miękko:

– Umarł ktoś, kogo kochaliście. To ważna chwila.

Poczułem, jak skraj jego płaszcza ociera się o moją głowę, i domyśliłem się, że wyciągnął rękę w stronę wdowy.

– To ważna chwila. Chodź. Pieść swoją ranę. Zostanie w tobie już do końca życia. Ale pieść ją teraz, póki jeszcze jest świeża i krwawi. Chodź.

Brodsky zszedł z płyty nagrobnej, cały czas wyciągając rękę w stronę wdowy. Chwyciła ją niby w hipnotycznym transie i dała się zaprowadzić na skraj świeżo wykopanego grobu.

– Chodź – mówił łagodnie. – Chodź.

Stąpając powoli po opadłych liściach, zbliżyli się do krawędzi grobu. Wdowa ponownie utkwiała wzrok w trumnie i uderzyła w płacz, a wówczas Brodsky wycofał się ostrożnie i stanął tuż za nią. Inni także zaczęli już szlochać i można się było domyślać, że za chwilę wszystko będzie wyglądało tak samo jak przed moim przyjściem. W każdym razie chwilowo nikt nie zwracał na mnie uwagi, postanowiłem więc – korzystając z okazji – wymknąć się cichaczem.

Wstałem cichutko i mszyłem przed siebie, lecz kilka grobów dalej usłyszałem za plecami czyjeś kroki.

– Naprawdę, panie Ryder, czas najwyższy, by udał się pan do sali koncertowej – dobiegł mnie jakiś głos. – Nigdy nie wiadomo, co będzie trzeba poprawić.

Obejrzałem się i zobaczyłem Pedersena, starszego radnego, którego poznałem

pierwszego dnia w kinie. Uzmysłowiłem sobie, że to jego głos słyszałem nieco wcześniej.

– Ach, to pan, panie Pedersen – powiedziałem, kiedy zrównał się ze mną. – Dziękuję, że przypomniał mi pan o sali koncertowej. Przyznam, że w tej gorącej atmosferze zaczynałem już tracić poczucie czasu.

– Ja również – odrzekł Pedersen i zaśmiał się cicho. – Ja także spieszę się na spotkanie. Nie tak ważne, naturalnie, choć też związane z dzisiejszym recitalem.

Doszliśmy do porośniętej trawą środkowej alejki cmentarza i się zatrzymaliśmy.

– Może mógłby mi pan pomóc, panie Pedersen – powiedziałem, rozglądając się dokoła. – Miał przyjechać po mnie samochód i zabrać mnie do sali koncertowej. Pewnie już czeka, tylko nie bardzo wiem, jak wrócić na drogę.

– Z przyjemnością pana zaprowadzę, panie Ryder. Proszę za mną.

Ruszyliśmy dalej, coraz bardziej oddalając się od wzgórza, z którego zeszliśmy z Brodskym. Nad doliną zachodziło właśnie słońce i padające na ziemię cienie nagrobków znacznie się wydłużyły. Po drodze co najmniej dwa razy odniosłem wrażenie, że Pedersen chce coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zmieniał zdanie. W końcu rzuciłem wprost:

– Niektórzy z tych ludzi wydawali się dość poruszeni moimi zdjęciami w gazecie.

– Widzi pan – rzekł Pedersen z westchnieniem – chodzi o budowlę Sattlera. Max Sattler wzbudza dziś równie silne emocje jak niegdyś. – Pedersen uśmiechnął się z zakłopotaniem, unikając mojego wzroku. – Jak by to panu wytłumaczyć? – powiedział wreszcie. – Komuś z zewnątrz trudno to zrozumieć. Nawet takiemu ekspertowi jak pan. Właściwie nie wiadomo, dlaczego Max Sattler... dlaczego ten cały epizod w historii miasta... nabrał z czasem w oczach miejscowych tak wielkiego znaczenia. Na papierze nie wydaje się aż tak istotny. Poza tym zdarzyło się to prawie sto lat temu. Ale, widzi pan, jak zapewne już się pan dowiedział, Sattler silnie oddziałuje na wyobraźnię miejscowych obywateli. Lub, jeśli pan woli, stał się postacią mityczną. Czasami wzbudza w ludziach strach albo odrazę, innym znów razem jego pamięć otacza się czcią. Jak mam to panu wyjaśnić? Może tak. Mam przyjaciela. To wiekowy człowiek, który przeżył swe życie bardzo godziwie. Cieszy się powszechnym szacunkiem i wciąż bierze czynny udział w życiu społecznym. Jak mówiłem, żyłem bardzo godziwie. Człowiek ten jednak od czasu do czasu spogląda wstecz na swoje życie i zastanawia się, czy przypadkiem nie przepuścił kilku okazji. Zastanawia się, co by było, gdyby miał więcej śmiałości. Więcej śmiałości i pasji. – Pedersen zaśmiał się krótko. Nieco dalej, za zakrętem ścieżki, ujrzałem ciemną bramę cmentarza. – Ale powiedzmy, że człowiek ten zaczyna sięgać pamięcią coraz dalej – ciągnął Pedersen. – Do jakiegoś kluczowego momentu w młodości, zanim jeszcze obrał swoją drogę życiową. Powiedzmy, że

wspomina czasy, gdy jakaś kobieta próbowała go uwieść. Naturalnie nie uległ, był zbyt przyzwoity. A może to z powodu tchórzostwa. Może był za młody, kto wie? Zastanawia się, czy jego życie ułożyłoby się inaczej, gdyby bardziej zaufał... zaufał miłości i pasji. Wie pan, jak to jest, panie Ryder. Wie pan, o czym marzą starszankowie. Zastanawiają się, co by było, gdyby w decydującym momencie postąpili inaczej. To samo może dotyczyć miasta, społeczności. Co jakiś czas ogląda się za siebie, patrzy na swoją historię i się zastanawia: „Co by było, gdyby... Czym byśmy teraz byli, gdyby...”. Gdyby co, panie Ryder? Gdybyśmy dali się poprowadzić Maksowi Sattlerowi? Czy bylibyśmy teraz zupełnie inni? Czy nasze miasto byłoby dziś podobne do Antwerpii? Albo do Stuttgartu? Szczerze mówiąc, nie sędzę. Mamy kilka głęboko zakorzenionych cech, które się nigdy nie zmieniają, ani za pięć, ani za dziesięć pokoleń. Z praktycznego punktu widzenia Sattler był pewną aberracją. Po prostu roiły mu się szalone pomysły. Nigdy nie udało mu się zmienić czegokolwiek od podstaw. Tak samo jest z moim starym przyjacielem. Jest, jaki jest, i żadne doświadczenie życiowe, choćby przełomowe, nie zmieniłoby jego natury. Dotarliśmy na miejsce, panie Ryder. Te schody zaprowadzą pana prosto do drogi.

Przeszliśmy przez wysoką, żelazną bramę cmentarza i znaleźliśmy się w przestronnym, starannie rozplanowanym ogrodzie. Pedersen wskazał żywopłot po lewej stronie, za którym dostrzegłem kilka pierwszych stopni krętego zejścia. Zawahałem się.

– Jest pan dla mnie bardzo uprzejmy, panie Pedersen – powiedziałem. – Zapewniam jednak pana, że jeśli zdarza mi się błędnie ocenić sytuację, nie mam zwyczaju uchylać się od odpowiedzialności. W każdym razie człowiek z moją pozycją musi się liczyć z taką ewentualnością. Pewnego dnia ludzie zażądają ode mnie wielu ważnych decyzji, a wtedy, nie oszukujmy się, będę mógł jedynie przeanalizować wszystkie dostępne mi w tej chwili informacje najlepiej, jak umiem, i przeć naprzód. Tak, raz na jakiś czas niechybnie zdarzy mi się popełnić pomyłkę. Czyż mogłoby być inaczej? Już dawno się z tym pogodziłem. I, jak pan widzi, gdy dochodzi do czegoś takiego, przy pierwszej sposobności staram się naprawić swój błąd. Dlatego proszę mówić szczerze. Jeśli pańskim zdaniem popełniłem błąd, pozując przed budowlą Sattlera, proszę powiedzieć mi to wprost.

Pedersen nie mógł ukryć zakłopotania. Obejrzał się w stronę majaczącej w dali budowli i powiedział:

– Cóż, panie Ryder, to tylko moja opinia.

– Bardzo chciałbym ją poznać.

– Skoro pan nalega... Tak, szczerze mówiąc, kiedy tego ranka zobaczyłem gazetę, poczułem się nieco rozczarowany. Moim zdaniem, jak już to panu wyjaśniłem, skrajności

Sattlera nie leżą w naturze tego miasta. Jeśli jego postać tak bardzo niektórych fascynuje, to właśnie dlatego, że jest taki odległy, stał się częścią lokalnej mitologii. Jeśli znów zaczniemy poważnie rozważać jego projekty... cóż, ludzie wpadną w panikę. Będą się wzbraniać. Nagle uchwycą się kurczowo tego, co dobrze znają, nawet jeśli przysporzyło im to wielu nieszczęść. Pyta mnie pan o zdanie. Otóż czuję, że wprowadzenie do dyskusji tematu Maksa Sattlera stawia możliwość postępu pod dużym znakiem zapytania. Ale naturalnie jest jeszcze dzisiejszy występ. Teraz wszystko zależy od tego, co stanie się wieczorem. Co nam pan powie. i co zaprezentuje pan Brodsky. Jak sam pan rzekł, nikt nie ma większej wprawy w odzyskiwaniu straconych pozycji niż pan. – Przez chwilę zdawało się, że waży w sobie jakąś myśl. Pokręcił ponuro głową. – Teraz zrobi pan najlepiej, jeśli uda się pan do sali koncertowej. Wieczorem wszystko musi iść zgodnie z planem.

Tak, ma pan całkowitą rację – powiedziałem. – Samochód, który ma mnie tam zabrać, na pewno już czeka. Dziękuję za szczerść, panie Pedersen.

## Rozdział 26

Stopnie schodziły stromo w dół, mijając wysokie żywopłoty i krzewy. Kiedy znalazłem się przy drodze, ujrzałem, że słońce chowa się za odległe pola. Schody przywiodły mnie do miejsca, w którym droga ostro zakreślała, ale już parę kroków dalej widok stawał się rozleglejszy. Zobaczyłem wzgórze, na które wspiałem się niedawno – na tle nieba rysował się kontur baraku – i samochód Hoffmana, czekający na poboczu, w tym samym miejscu, w którym z niego wysiadłem.

Ruszyłem w jego stronę, myśląc o rozmowie z Pedersenem. Przypomniałem sobie, że kiedy poznałem go w kinie, jego szacunek dla mnie przebijał przez każde słowo i każdy gest mężczyzny. Teraz mimo nienaganych manier nie ulegało wątpliwości, że był mną wielce rozczarowany. Nie przestawało mnie to dręczyć i krocząc drogą, wpatrzony w zachód słońca, czułem rosnącą złość na siebie za brak należytej ostrożności w sprawie budowli Sattlera. Wprawdzie, jak zauważyłem w rozmowie z Pedersenem, moja decyzja wydawała mi się w owym czasie najrozsądniejszym wyjściem, niemniej jednak nie mogłem się pozbyć dokuczliwego uczucia, że mimo ograniczeń czasowych, mimo ogromnego nawału spraw, powinienem się już lepiej orientować w lokalnej sytuacji. Nawet teraz, gdy zostało tak niewiele czasu do wieczornego występu, wciąż nie rozumiałem niektórych jej aspektów. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jakim błędem było opuszczenie spotkania z Obywatelską Grupą Wzajemnego Wsparcia, i to tylko po to, aby odbyć próbę, która w zasadzie okazała się zbędna.

Zanim jeszcze dotarłem do samochodu Hoffmana, poczułem się zmęczony i zniechęcony. Hoffman siedział za kierownicą, pisząc coś zawzięcie w notatniku. Zauważył mnie, dopiero gdy otworzyłem drzwi od strony pasażera.

– Ach, pan Ryder! – zawołał, szybko odkładając notes. – Tuszę, że pańska próba wypadła pomyślnie?

– O tak.

– A warunki? – Zapalił pospiesznie silnik. – Czy był pan z nich zadowolony?

– Jak najbardziej, panie Hoffman, dziękuję. Ale teraz muszę jak najszybciej dostać się do sali koncertowej. Nie wiadomo, jakie zmiany mogą się okazać konieczne.

– Oczywiście. Ja również spieszę się do sali koncertowej. – Zerknął na zegarek. –

Muszę dopilnować zaopatrzenia. Kiedy byłem tam godziną temu, na szczęście wszystko szło jak po maśle. Ale, naturalnie, bałagan może się wkraść bardzo szybko.

Hoffman wycofał samochód na drogę i przez parę minut jechaliśmy w milczeniu. Chociaż na szosie panował teraz nieco większy ruch, wciąż nie było tłoczno, toteż Hoffman szybko nabrał prędkości. Przyglądając się otwartym polom za oknem, spróbowałem się odprężyć, ale moje myśli krążyły uparcie wokół wieczornego występu. Nagle Hoffman powiedział:

– Panie Ryder, mam nadzieję, że się pan nie obrazi, jeśli przypomnę mu o pewnej drobnej sprawie. Zapewne wypadło to panu z głowy. – Zaśmiał się krótko i pokręcił głową.

– O jakiej sprawie, panie Hoffman?

– Chodzi o albumy mojej żony. Być może przypomina pan sobie, że mówiłem o nich przy naszym pierwszym spotkaniu. Moja żona od tylu lat jest pańską wierną wielbicieleką...

– Ależ doskonale pamiętam. Ułożyła kilka albumów z wycinkami dotyczącymi mojej kariery. Tak, bynajmniej nie zapomniałem. Przyznam nawet, że w tej całej bieganinie z niecierpliwością oczekuję chwili, gdy będę mógł do nich zajrzeć.

– Od lat całym sercem się temu poświęca. Czasem zadawała sobie wiele trudu, żeby zdobyć stare numery czasopism albo gazet, w których były ważne artykuły na pański temat. Z prawdziwym podziwem obserwowałem jej oddanie. To by dla niej tak wiele znaczyło...

– Panie Hoffman, mam szczerzy zamiar zajrzeć do tych albumów już wkrótce. Naprawdę bardzo mi na tym zależy. Teraz jednak chciałbym omówić z panem pewne szczegóły związane z dzisiejszym występem.

– Jak pan sobie życzy. Ale zapewniam pana, że wszystko odbywa się zgodnie z planem. Nie ma powodu do obaw.

– Tak, nie wątpię. Niemniej jednak, zważywszy na to, że wieczór już blisko, nie będzie chyba od rzeczy poświęcić mu trochę uwagi. Weźmy, na przykład, sprawę moich rodziców. Jestem pewien, że mieszkańcy miasta odpowiednio się nimi zajmą, trzeba jednak pamiętać, że oboje są wątłego zdrowia, tak więc byłbym wdzięczny...

– Ach tak, doskonale pana rozumiem. Pozwolę sobie zauważyć, że pańska troska o rodziców jest doprawdy wzruszająca. Z radością mogę pana zapewnić, że dołożono wszelkich starań, by niczego im nie brakowało. Grupa czarujących i zdolnych pań ma sprawować nad nimi nieustającą opiekę. A co do dzisiejszego koncertu, przygotowaliśmy dla nich coś specjalnego, małą ekstrawagancję, która, mam nadzieję, przypadnie panu do gustu. Jak bez wątplenia panu wiadomo, nasza lokalna firma, Bracia Seelerowie, przez dwa stulecia znana była z produkcji karet i obsługiwała niegdyś dystyngowaną klientelę daleko poza granicami

kraju, we Francji i Anglii. W mieście jest jeszcze kilka wspaniałych okazów sztuki Braci Seelerów i pomyślałem sobie, że pańscy rodzice zechcą może zajechać przed gmach filharmonii w szczególnie wykwintnej karecie, dla której przygotowaliśmy parę pięknie oporzędzonych, rasowych koni. Proszę sobie tylko wyobrazić tę scenę, panie Ryder. Rzęsiście oświetlony trawnik przed gmachem, gdzie powoli gromadzą się wszystkie znakomitości naszego miasta, śmiejąc się i pozdrawiając wzajemnie, wszyscy w wytwornych strojach, wielce podekscytowani. Samochody, jak wiadomo, nie mogą wjeżdżać na trawnik, toteż publiczność zjawi się pieszo, wyłaniając się spomiędzy drzew. A potem, gdy przed salą zgromadzi się już pokaźny tłum... Może pan to sobie wyobrazić?... Z mroku od strony drzew dobiegnie tętent końskich kopyt. Wszyscy umilkną i odwrócą głowy. Tętent będzie się nasilał, z każdą chwilą bliżej kręgu światła. I nagle wynurzą się z mroku... wspaniałe konie, woźnica we fraku i cylindrze, lśniąca kareta Braci Seelerów, a w niej pańscy czarujący rodzice! Czy może pan sobie wyobrazić pełne oczekiwania podniecenie, jakie ogarnie wówczas zebranych? Naturalnie, podróż kareta nie będzie długa, pańscy rodzice przejadą tylko główną aleją, przez lasek. Zapewniam pana, że to arcyluksusowa kareta, równie wygodna jak najlepsza limuzyna. Oczywiście będzie trochę kołysać, ale w pierwszorzędnej karecie kołysanie działa kojąco. Mam nadzieję, że pan to sobie wyobraża. Muszę przyznać, że według pierwotnych planów to pan miał przybyć w ten sposób do filharmonii, ale potem uświadomiłem sobie, że na tym etapie będzie się pan wolał ukryć za kulisami. A poza tym nic nie powinno osłabić wrażenia, jakie wywoła pańskie pojawienie się na scenie. Potem, gdy dotarła do nas wiadomość, że pańscy rodzice również zaszczycą nasze miasto wizytą, od razu pomyślałem: „Oto idealne wyjście!”. Tak, proszę pana, przyjazd pańskich rodziców wprawi ludzi w odpowiedni nastrój. Oczywiście pańscy rodzice nie będą stać i czekać przed salą. Od razu zostaną zaprowadzeni do swoich specjalnych miejsc na widowni, co da innym do zrozumienia, że oni również powinni zacząć zajmować miejsca. Wkrótce potem rozpocznie się oficjalna część wieczoru. Zaczniemy od krótkiego recitalu fortepianowego mojego syna. Ha, ha! Jest to pewne ustępstwo z mojej strony, przyznaję. Ale Stephan tak bardzo tęsknił do sceny i wtedy jeszcze bezmyślnie wierzyłem, że... Cóż, nie ma sensu się nad tym teraz rozwodzić. Stephan wystąpi z małym recitalem, po to tylko, żeby stworzyć odpowiednią atmosferę. Światła pozostaną zapalone, tak by ludzie mogli znaleźć swoje miejsca, pozdrowić znajomych, zamienić parę słów w przejściu i tak dalej. Potem, gdy wszyscy się już usadowią, światła przygasną i nastąpi krótkie, oficjalne powitanie. Następnie wyjdą muzycy, zajmą miejsca i nastroją instrumenty. Po jakimś czasie pojawi się pan Brodsky i... poprowadzi orkiestrę. Kiedy skończy i zostanie nagrodzony... miejmy nadzieję, założmy, że tak...

rzęsistymi oklaskami i wielokrotnie wywołany na scenę, nastąpi krótka przerwa. Nawet nie antrakt, nie pozwolimy publiczności opuścić miejsc, ale na jakieś pięć minut znów zapalą się światła, tak by ludzie mieli okazję pozbierać myśli, zanim jeszcze skończą wymieniać opinie, przed kurtynę wyjdzie pan von Winterstein i krótko pana przedstawi. Zaledwie kilka minut... w końcu komu trzeba pana przedstawiać? Potem wycofa się za kulisy. Cała widownia pograży się w mroku. Dochodzimy do decydującego momentu, do pańskiego wyjścia na scenę. Właściwie już od jakiegoś czasu noszę się z myślą, żeby to z panem omówić, jako że w tym wypadku niezbędna jest pańska współpraca. Otóż nasza sala koncertowa jest niezwykle piękna, ale też bardzo stara i naturalnie brakuje tam wielu urządzeń, w jakie wyposażone są nowsze budynki. Jak już wspomniałem, zaplecze gastronomiczne jest bardzo ubogie i dlatego musimy polegać w tym względzie na możliwościach hotelu. Ale do rzeczy. Z naszego ośrodka sportu... który jest bardzo nowoczesny i dobrze wyposażony... wypożyczyliśmy elektroniczną tablicę wyników, która zazwyczaj wisi w hali sportowej. W tej chwili hala wygląda dość żałośnie: w miejscu tablicy sterczą brzydkie, czarne druty. Ale wracając do tematu, po krótkim wprowadzeniu pan von Winterstein wycofa się za kulisy. Widownia na moment pograży się w mroku, a kurtyna pójdzie w górę. Następnie rozbłyśnie pojedynczy reflektor, ukazując pana na środku sceny przy mównicy. Oczywiście w tym momencie na sali wybuchną burzliwe oklaski. Kiedy aplauz ucichnie, jeszcze zanim wypowie pan pierwsze słowo... oczywiście tylko od pana zależy, jak długo to potrwa... z głośników rozlegnie się pierwsze pytanie, odczytane przez Horsta Janningsa, najstarszego aktora w mieście. Horst, który ma ładny, głęboki baryton, będzie czytał powoli wszystkie pytania. Jednocześnie... taką mam koncepcję... słowa będą wyświetlane na elektronicznej tablicy, umieszczonej bezpośrednio nad pańską głową. Widzi pan, do tej pory, z powodu ciemności, nikt nie będzie wiedział o tablicy. Ludzie odniosą wrażenie, że słowa pojawiają się w powietrzu tuż nad panem. Ha, ha! Proszę mi wybaczyć, ale uznałem, że efekt ten nie tylko wzmoże napięcie, ale też zapewni dodatkową przejrzystość. Słowa na tablicy, śmiem twierdzić, pomogą niektórym obecnym pamiętać o wadze problemów, które pan porusza. Niewykluczone, że pod wpływem podniecenia niektórzy ludzie zapomną, że mają skupić uwagę. Widzi pan, moja koncepcja ma temu zapobiec. Każde pytanie będzie wypisane w powietrzu wielkimi literami. A więc, za pańską zgodą, tak właśnie zrobimy. Pierwsze pytanie zostanie odczytane i wyświetlone na tablicy, pan odpowie z mównicy, a kiedy pan skończy, Horst odczyta następne pytanie i tak dalej. Tylko o jedno chcemy pana prosić: żeby po każdej odpowiedzi podszedł pan do skraju sceny i ukłonił się publiczności. Prośba ta ma dwójakie uzasadnienie. Po pierwsze, ponieważ tablica podłączona jest tymczasowo, nie da się uniknąć pewnych problemów technicznych.

Nasz elektronik będzie potrzebował kilku sekund na wpisanie każdego pytania do tablicy, a potem musi upłynąć jeszcze piętnaście, dwadzieścia sekund, zanim zaczną się na niej pokazywać słowa. Podchodząc do sceny i składając ukłon, nieuchronnie wywoła pan aplauz publiczności, dzięki czemu unikniemy serii niezręcznych przerw. Potem, kiedy oklaski zaczną wygasać, głos Horsta i tablica ogłoszą kolejne pytanie, pan zaś będzie miał dość czasu, żeby wrócić do mównicy. Jest jeszcze inny powód, który każe nam zastosować ten wybieg. Otóż kiedy podejdzie pan na skraj sceny, żeby się uklonić, nasz elektronik będzie miał absolutną pewność, że zakończył pan odpowiedź. Naturalnie za wszelką cenę chcemy uniknąć sytuacji, w której, powiedzmy, tablica zaczyna wyświetlać następne pytanie jeszcze w trakcie pańskiej wypowiedzi. Jak już wyjaśniłem, w związku z problemami technicznymi bardzo łatwo mogłoby dojść do podobnej sytuacji. Wystarczyłaby krótka pauza, żeby nasz elektronik odniósł wrażenie, że już pan skończył, tymczasem panu przyjdzie na myśl jeszcze jakaś trafna puenta. Pan podejmuje swoją wypowiedź, podczas gdy elektronik zacznie już... Ha! Katastrofa! Nawet nie dopuszczajmy do siebie takiej myśli! Zatem pozwalam sobie pana prosić, żeby zawsze po zakończeniu wypowiedzi podchodził pan do krawędzi sceny. Co więcej, żeby dać elektronikowi jeszcze kilka sekund na wpisanie nowego pytania, zbliżając się do końca każdej wypowiedzi, mógłby mu to pan jakoś dyskretnie zasygnalizować, na przykład nieznacznym wzruszeniem ramion. Oczywiście wszystko to zależy wyłącznie od pana. Jeśli któryś z tych pomysłów panu nie odpowiada, proszę powiedzieć wprost.

Pod wpływem słów Hoffmana w mojej głowie zaczęła się rysować aż nazbyt wyrazista wizja zbliżającego się wieczoru. Usłyszałem owację publiczności i buczenie tablicy elektronicznej nad głową. Ujrzałem, jak wzruszam ramionami, a potem podchodzę do skraju sceny oślepiiony światłem reflektorów. Gdy sobie uzmysłowiłem rozmiary swojego nieprzygotowania, ogarnęło mnie dziwne, marzycielskie poczucie nierealności. Zauważyłem, że Hoffman czeka na moją odpowiedź, mruknąłem więc:

Zapowiada się wspaniale, panie Hoffman. Doskonale pan to wszystko przemyślał.

– Aha. Więc pan się zgadza. Wszystkie szczegóły są...

– Tak, tak – powiedziałem, machając niecierpliwie ręką. – Tablica elektroniczna, podchodzenie do skraju sceny, wzruszanie ramionami, tak. Wszystko świetnie przemyślane.

– Aha. – Jeszcze przez chwilę Hoffman wydawał się nie do końca przekonany, w końcu jednak musiał dojść do wniosku, że mówię szczerze. – No to świetnie, zatem wszystko ustalone. – Kiwnął głową i umilkł. Po chwili usłyszałem, jak nie odrywając wzroku od drogi, mamrocze do siebie: – A zatem wszystko ustalone.

Przez kolejnych parę minut Hoffman nie odzywał się do mnie słowem, choć cały czas

mruczał coś pod nosem. Niebo nabrało teraz różowej barwy. Droga wiła się pośród pól i słońce raz po raz ukazywało się w przedniej szybie, napełniając blaskiem wnętrze samochodu, tak że musieliśmy mrużyć oczy. Nagle, kiedy wyglądałem przez boczne okno, usłyszałem, jak Hoffman sapie:

– Wó! Wó! wó! wó!

Słowa te – choć również wypowiedziane pod nosem – zdumiały mnie na tyle, że odwróciłem się w jego stronę. Zobaczyłem, że Hoffman gapi się przed siebie i kiwa głową wciąż pogrążony we własnym świecie. Rozejrzałem się uważnie po okolicy, którą właśnie mijaliśmy, ale choć na polach pasło się wiele owiec, nigdzie nie dostrzegłem ani śladu wołu. Przypomniało mi się niejasno, że już kiedyś podczas jazdy samochodem Hoffman zachowywał się podobnie, ale po chwili przestało mnie to interesować.

Wkrótce znaleźliśmy się z powrotem na ulicach miasta i bardzo szybko wytraciliśmy prędkość. Na chodnikach tłoczyli się ludzie wracający z pracy do domu, a niejedna witryna sklepowa była już oświetlona. W mieście poczułem, że częściowo wraca moja pewność siebie. Przyszło mi na myśl, że skoro tylko przybędę do sali koncertowej, skoro tylko stanę na scenie i powiodę dokoła wzrokiem, wiele spraw automatycznie się wyjaśni.

– Doprawdy – odezwał się nagle Hoffman – wszystko układa się zgodnie z planem. Nie ma powodów do obaw. Zobacz pan, to miasto nie sprawi panu zawodu. A co do pana Brodsky'ego, wciąż pokładam w nim całkowitą ufność.

Uznałem, że powinienem przynajmniej udać optymizm.

– Tak – powiedziałem wesoło. – Jestem pewien, że pan Brodsky pokaże dziś wspaniałą klasę. Jeszcze przed chwilą wydawał się w doskonałej formie.

– Co proszę? – Hoffman spojrział na mnie pytająco. – Widział się pan z nim ostatnio?

– Tak, przed chwilą, na cmentarzu. Jak mówię, wydawał się bardzo spokojny...

– Pan Brodsky był na cmentarzu? Ciekawe, czego tam szukał.

Hoffman obrzucił mnie badawczym wzrokiem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie opowiedzieć mu o pogrzebie i imponującym wystąpieniu Brodsky'ego, ostatecznie jednak zabrakło mi energii i rzuciłem tylko:

– Zdaje się, że ma się tam spotkać z panną Collins.

– Z panną Collins? Wielkie nieba. A to po co?

Spojrzałem na niego nieco zdziwiony jego reakcją.

– Wygląda na to, że pojednanie zaczyna nabierać realnych kształtów – wyjaśniłem. – Jeśli istotnie wszystko skończy się szczęśliwie, w dużej mierze będzie to pańską zasługą, panie Hoffman.

– Tak, tak. – Hoffman rozważał coś w myślach, zmarszczywszy brwi. – Pan Brodsky jest teraz na cmentarzu? Czeką na pannę Collins? Ciekawe, bardzo ciekawe.

W miarę jak zbliżaliśmy się do centrum miasta, ruch stawał się coraz wolniejszy, aż w końcu utknęliśmy w korku na jednej z wąskich uliczek. Hoffman, na którego obliczu coraz wyraźniej malowało się zmartwienie, znów się do mnie odwrócił.

– Panie Ryder, jest coś, czym muszę się zająć. To znaczy wkrótce udam się do sali koncertowej, ale teraz... – Zerknął na zegarek z wyrazem paniki w oczach. – Widzi pan, muszę się zająć pewną... pewną sprawą... – Potem zacisnął palce na kierownicy i utkwiał we mnie przenikliwe spojrzenie. – Będę z panem szczerzy, panie Ryder. Przez ten fatalny ruch jednokierunkowy i te piekielne wieczorne korki dotarcie do sali koncertowej samochodem zabierze nam jeszcze sporo czasu. Za to piechotą... – Nagłym ruchem wskazał coś przez okno za moimi plecami. – Oto ona. Widać ją jak na dłoni. Co najwyżej kilka minut piechotą. Tak, to tamten dach.

Zobaczyłem duży, kopułowy dach, górujący nad innymi budynkami. Istotnie, znajdował się zaledwie kilka przecznic dalej.

– Panie Hoffman – powiedziałem – jeśli ma pan do załatwienia pilną sprawę, chętnie się przejdę.

– Naprawdę? Wybacz mi pan?

Kolumna samochodów posunęła się kilka metrów do przodu, po czym znów się zatrzymała.

– W zasadzie mam nawet ochotę na mały spacer – dodałem. – Taki przyjemny wieczór. Sam pan mówi, że to tylko parę kroków stąd.

– Ten piekielny ruch jednokierunkowy! Jak nic utknęlibyśmy tu na jaką godzinę! Błagam o wybaczenie, panie Ryder. Widzi pan, jest coś, czego muszę... muszę dopilnować...

– Oczywiście, nie ma sprawy. Wsiądę tutaj. I tak był pan łaskaw służyć mi samochodem, mimo że ma pan tyle własnych zajęć. Jestem panu szczerze zobowiązany.

– Dojdzie pan na tyły sali koncertowej. Wystarczy kierować się w stronę tamtego dachu. Proszę nie tracić go z oczu, a na pewno pan trafi.

– Proszę się nie martwić, dam sobie radę. – Przerywając kolejną serię przeprosin, podziękowałem mu powtórnie i wysiadłem z samochodu.

\* \* \*

Ruszyłem wąską uliczką, mijając po drodze ciąg specjalistycznych księgarni, a następnie kilka hoteli o miłym dla oka wyglądzie. Przez cały czas widziałem przed sobą kopułę gmachu filharmonii i przez moment byłem wdzięczny losowi za to, że mam okazję

zaczepnąć świeżego powietrza.

Kiedy jednak minąłem dwie albo trzy przecznice, zaczęło mnie dręczyć kilka natrętnych myśli. Przecież nie mogłem mieć pewności, że część wieczoru poświęcona na pytania i odpowiedzi będzie przebiegać bez zakłóceń. Sądząc po gwałtownych reakcjach, których byłem świadkiem na cmentarzu, należało wziąć pod uwagę ewentualność przykrych incydentów. Co więcej, gdyby do tego rzeczywiście doszło, moi rodzice, patrząc na to z rosnącym niepokojem i zakłopotaniem, mogą chcieć opuścić salę. Znaczy to, że mogą wyjść, zanim jeszcze będę miał okazję zasiąść przy fortepianie, a wówczas nie wiadomo, kiedy znów wybiorą się na mój występ. Co gorsza, jeśli sprawy przybiorą wyjątkowo zły obrót, możliwe, że któreś z nich dostanie ataku. Wciąż byłem absolutnie przekonany, że moją grą już po paru sekundach wprowadziłbym ich oboje w zdumienie, tymczasem na przeszkodzie stała konieczność udzielenia odpowiedzi na serię pytań.

Zamyśliłem się tak głęboko, że nagle straciłem z oczu kopułę. Po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że prędzej czy później znów wychyli się zza budynków. W miarę jednak jak posuwałem się dalej, ulica zwężała się coraz bardziej, a domy po obu stronach pięły się na wysokość sześciu czy siedmiu pięter, niemal całkowicie zasłaniając niebo, nie mówiąc już o kopule. Postanowiłem poszukać równoległej ulicy, ale gdy skręciłem na najbliższym rogu, zacząłem błądzić po bocznych zaułkach, być może kręcąc się w kółko, nigdzie nie mogąc dostrzec gmachu filharmonii.

Po kilku minutach poczułem, że ogarnia mnie paniczny lęk i przyszło mi na myśl, aby zapytać kogoś o drogę, potem jednak uznałem, że nie byłoby to rozsądne wyjście. Kiedy tak błąkałem się w gąszczu bocznych uliczek, ludzie oglądali się – niektórzy nawet przystawali – aby mi się przyjrzeć. Już wcześniej zdawałem sobie z tego niejasno sprawę, byłem jednak zbyt zaferowany szukaniem drogi, żeby zwrócić na to uwagę. Teraz jednak uzmysłowiłem sobie, że na tak krótko przed wieczorną uroczystością, od której tyle przecież zależało, nie powinienem się pokazywać na ulicach, sprawiając wrażenie zagubionego i niepewnego. Niemałym wysiłkiem woli wyprostowałem się i przybrałem postawę kogoś, kto dla odprężenia przechadza się po mieście, w pełni kontrolując sytuację. Z rozmysłem zwolniłem kroku i uśmiechałem się do każdego, kto na mnie spojrzał.

Za rogiem jednej z uliczek zobaczyłem w końcu kopułę gmachu filharmonii, bliżej niż przedtem. Ulica, na którą wyszedłem, była szersza od pozostałych, a po obu stronach ciągnęły się jasno oświetlone kawiarnie i sklepy. Kopuła znajdowała się jedną, dwie przecznice dalej, zaraz za miejscem, w którym ulica zakręcała i niknęła z oczu.

Poczułem przypływ ulgi, a zarazem cały nadchodzący wieczór zaczął mi się rysować

w jaśniejszych barwach. Uczucie, którego doznałem wcześniej – że gdy tylko dotrę na miejsce i stanę na scenie, wiele spraw automatycznie się wyjaśni – naszło mnie ponownie i kroczyłem dalej w nastroju bliskim euforii.

Za zakrętem jednak moim oczom ukazał się przedziwny widok. Kilkadziesiąt metrów dalej całą szerokość ulicy przecinał ceglany mur. W pierwszej chwili pomyślałem, że bieżąca za nim tory kolejowe, ale potem zauważyłem, że wyższe piętra budynków po obu stronach ulicy ciągną się nieprzerwanie nad murem i jeszcze dalej. Jakkolwiek mur wzbudził moją ciekawość, z początku nie widziałem w nim przeszkody, zakładając, że dotarwszy do niego, znajdę jakieś nadziemne lub podziemne przejście na drugą stronę. W każdym razie kopuła była już bardzo blisko, oświetlona reflektorami na tle ciemniejącego nieba.

Dopiero gdy podszedłem bliżej, przekonałem się, że nie zdołam się przedostać. Chodniki po obu stronach ulicy kończyły się równo na linii muru. Rozejrzałem się z osłupieniem, po czym przeszedłem wzdłuż muru na przeciwny chodnik, nie mogąc uwierzyć, że nigdzie nie ma bramy ani nawet dziury, przez którą mógłbym się przecisnąć. Nic nie znalazłszy,ostałem chwilę przed murem, po czym kiwnąłem ręką do pani w średnim wieku, która właśnie wyłoniła się ze sklepu z upominkami.

– Przepraszam, właśnie zmierzam do sali koncertowej. Jak mogę się dostać na drugą stronę tego muru?

Kobieta wydawała się zaskoczona moim pytaniem.

– Nie – odparła. – To niemożliwe. Nie można przejść na drugą stronę. Mur zamyka całą ulicę.

– To nadzwyczaj irytujące – zauważyłem. – Muszę dotrzeć do sali koncertowej.

– Zapewne to jest irytujące – powiedziała kobieta, jak gdyby nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. – Kiedy zobaczyłam, że przygląda się pan murowi, wzięłam pana za turystę. Ten mur to wielka atrakcja turystyczna, jak pan widzi.

Wskazała na obrotowy stojak z widokówkami, ustawiony przed wejściem do sklepu. W świetle padającym od drzwi dostrzegłem rzędy pocztówek, dumnie ukazujących mur.

– Ale po co mur w takim miejscu? – zapytałem, mimowolnie podnosząc głos. – Toż to bez sensu. Niby czemu ma służyć?

– Rozumiem pańskie oburzenie. Przyjezdni, zwłaszcza jeśli się spieszą, mają prawo się irytować. Ten mur można zapewne nazwać fanaberią. Wybudował go jakiś ekscentryk w końcu ubiegłego wieku. Naturalnie jest trochę dziwny, ale od tamtej pory słynie na całym świecie. Latem miejsce to roi się od turystów. Amerykanie, Japończycy, wszyscy go fotografują.

– Toż to absurd – powiedziałem rozjuszony. – Proszę mi zatem powiedzieć, jak najszybciej dojdę do sali koncertowej?

– Do sali koncertowej? Cóż, to dość daleko, jeśli ma pan zamiar iść pieszo. Oczywiście, jesteśmy teraz bardzo blisko – rzuciła okiem na kopułę – ale praktycznie rzecz biorąc, ma to niewielkie znaczenie ze względu na mur.

– To śmieszne! – powiedziałem, tracąc resztki cierpliwości. – Sam znajdę drogę. Widocznie nie mieści wam się w głowie, że ktoś może być bardzo zajęty, mieć bardzo napięty plan i po prostu nie może sobie pozwolić na wielogodzinne spacerowanie po mieście. Jakież to typowe dla tego miasta! Wszędzie niedorzeczne przeszkody. A wy co? Czy was to denerwuje? Czy żądacie, żeby jak najszybciej rozebrano mur, tak by ludzie mogli spokojnie załatwiać swoje sprawy? Gdzież tam, tolerujecie go przez prawie sto lat. Pokazujecie go na pocztówkach i wierzycie, że jest pełen uroku. Ta ściana miałaby być pełna uroku? To szkaradziństwo? Ten mur może mi posłużyć za przykład, tak jest, mam zamiar wspomnieć o nim tego wieczoru! Macie szczęście, że orędzie jest już prawie gotowe i naturalnie nie jestem skłonny dokonywać w nim większych zmian ze względu na brak czasu. Żegnam!

Odwrociłem się na pięcie i szybkim krokiem ruszyłem w drogę powrotną, powziąwszy mocne postanowienie, że taka absurdalna przeszkoda nie zepsuje mojego świeżo odzyskanego dobrego samopoczucia. Ale w miarę jak oddalałem się od sali koncertowej, znów zaczęły mnie opadać czarne myśli. Ulica wydała mi się dłuższa niż przedtem i kiedy wreszcie dotarłem do jej końca, znów zgubiłem się w gąszczu wąskich uliczek.

Po kilku minutach błądzenia poczułem nagle, że nie mogę iść dalej, więc się zatrzymałem. Widząc, że stoję przed uliczną kawiarenką, opadłem na krzesło przy najbliższym stoliku i od razu poczułem, że opuszczają mnie resztki energii. Zdawałem sobie niejasno sprawę, że wokół mnie zapada zmrok, że gdzieś za moimi plecami pali się światło elektryczne, że w świetle tym przechodnie i kawiarniani goście prawdopodobnie widzą mnie jak na dłoni, ale jakoś nie mogłem się zmusić do tego, by usiąść prosto czy chociaż spróbować ukryć przygnębienie. Po jakimś czasie zjawił się kelner. Zamówiłem kawę, po czym dalej wpatrywałem się w cień mojej głowy, padający na metaliczny blat stolika. Naraz opadły mnie wszystkie wcześniejsze przypuszczenia dotyczące nadchodzącego wieczoru. Nade wszystko stale wracała do mnie przygnębiająca myśl, że pozwalając się sfotografować przed budowlą Sattlera, nieodwracalnie zrujnowałem swoją reputację w tym mieście, a tym samym spowodowałem wiele trudnych do naprawienia szkód, i jeśli wieczorem nie uda mi się w pełni zapanować nad audytorium, miastu grozi katastrofa. Pograżony w takich myślach przez chwilę byłem bliski łez, nagle jednak poczułem na ramieniu czyjąś dłoń i usłyszałem

głos, powtarzający łagodnie:

– Panie Ryder. Panie Ryder.

Pomyślałem, że to kelner przyniósł mi kawę. I dałem mu ręką znak, żeby postawił ją na stole. Ale głos nie przestawał powtarzać mojego nazwiska i kiedy podniosłem oczy, zobaczyłem Gustava, który przyglądał mi się z niepokojem.

– O, dobry wieczór – powiedziałem.

– Dobry wieczór. Jak się pan miewa? Wydawało mi się, że to pan, ale nie byłem pewien, więc pozwoliłem sobie podejść. Dobrze się pan czuje? Siedzimy tam, cała paczka, może by pan do nas dołączył? Chłopcy byliby zachwyceni.

Rozejrzałem się i zauważyłem, że siedzę na skraju rozległego placu. Mimo że na środku stała latarnia, większa część placu tonęła w mroku, tak że przechodzący ludzie przypominali snujące się cienie. Gustav wskazywał przeciwległą stronę placu, gdzie dostrzegłem inną kawiarnię, nieco większą od mojej. Przez otwarte drzwi i okna wylewało się przytulne światło. Pomimo oddalenia dojrzałem w środku duży ruch, a od czasu do czasu w wieczornej ciszy słychać było skrzypce i wesoły śmiech. Dopiero wtedy przyszło mi na myśl, że znajduję się na głównym placu Starego Miasta i patrzę na kawiarnię Węgierską. Rozglądając się dokoła, słyszałem nad sobą głos Gustava:

– Chłopcy nie mogą się nasłuchać, co chwila proszą mnie, żebym opowiedział im wszystko od początku. No, wie pan, o tym, jak się pan zgodził i co pan powiedział. Opowiadałem to już z sześć, siedem razy, ale im ciągle mało. Jeszcze nie przestali się śmiać i poklepywać po plecach po ostatniej opowieści, a już mówią: „No, Gustavie, na pewno nie opowiedziałeś nam jeszcze wszystkiego. Co dokładnie powiedział pan Ryder?”. „Już wam mówiłem”, powtarzam w kółko. „Już wam mówiłem. Dobrze wiecie”. Ale oni chcą usłyszeć to znowu i obawiam się, że tego wieczoru będą chcieli usłyszeć to jeszcze kilka razy. Kiedy mnie o to proszą, udaję znużenie w głosie, choć oczywiście jestem tak samo podekscytowany jak każdy z nich. Mógłbym powtarzać naszą rozmowę od rana do wieczora. Jak to dobrze znów widzieć taką radość na ich obliczach. Pańska obietnica obudziła w nich nowe nadzieje, odmłodziła ich rysy. Nawet Igor uśmiechał się i śmiał z niektórych dowcipów! Już nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem ich w takim nastroju. O tak, mogę opowiadać to jeszcze wiele razy. Powinien ich pan widzieć, kiedy dochodzę do momentu, gdy powiedział pan: „Czemu nie. Chętnie zabiorę głos w waszej sprawie”. Śmieją się radośnie i klepią po plecach; już dawno nie zachowywali się w ten sposób. Tak więc siedzimy przy stoliku, popijamy piwo i rozmawiamy o pańskiej wielkoduszności, o tym, że po tych wszystkich latach status boya hotelowego nareszcie się zmieni, i wtedy całkiem przypadkowo wyjrzałem na zewnątrz i

zobaczyłem pana. Jak pan widzi, właściciel zostawił drzwi otwarte. Dzięki temu, że można obserwować plac, gdy zapada zmrok, kawiarnia nabiera szczególnej aury. Tak więc rzuciłem okiem na plac i pomyślałem: „Ciekawe, co to za biedak siedzi samotnie przy tamtym stoliku”. Ale wzrok mam już nietęgi i nie domyśliłem się, że to pan. Potem Karl szepnął mi do ucha... musiał wyczuć, że nie należy mówić tego na głos... szepnął: „Pewnie się mylę, ale czy to przypadkiem nie pan Ryder? O, tam?”. Jeszcze raz spojrzałem w pana stronę i pomyślałem: tak, to możliwe. Ale co on może robić tam, na chłodzie, taki smutny? Pójdę sprawdzić, czy to on. Proszę mi wierzyć, Karl był bardzo dyskretny. Nikt inny nie słyszał jego słów, tak więc oprócz niego nikt nie wie, dlaczego się wymknąłem, choć niektórzy patrzą być może w naszą stronę i zastanawiają się, co znowu knuję. Ale czy na pewno dobrze się pan czuje? Wygląda pan tak, jakby trapiła pana jakaś myśl.

– Och... – Westchnąłem i potarłem twarz. – To nic. Tylko te wszystkie podróże, ta cała odpowiedzialność. Od czasu do czasu człowiekowi robi się... – Zaśmiałem się krótko i urwałem.

– Ale po co zaraz wysiadywać samotnie na zimnie? W dodatku jest pan w samej marynarce. A przecież mówiłem panu, że może pan przyłączyć się do nas w kawiarni Węgierskiej, kiedy tylko ma pan ochotę. Czy naprawdę sądził pan, że moglibyśmy przyjąć pana inaczej niż entuzjastycznie? A pan tu siedzi sam i marznie! Zapraszam do nas. Odpręż się pan i pośmieje przez chwilę. Proszę odpędzić czarne myśli. Chłopcy strasznie się ucieszą. Bardzo proszę.

Blask światła w drzwiach kawiarni, muzyka, gromkie śmiechy – wszystko to niewątpliwie wyglądało bardzo zachęcająco. Podniosłem się i znowu potarłem twarz.

– Tak trzeba. Za chwilę poczuje się pan lepiej.

– Dziękuję. Naprawdę bardzo dziękuję. – Starałem się opanować emocje. – Jestem wam niezmiernie wdzięczny. Naprawdę. Mam nadzieję, że nie będę intruzem.

Gustav się roześmiał.

– Zaraz się pan przekona, czy będzie pan intruzem, czy nie.

Kiedy przemierzaliśmy plac, zacząłem się zastanawiać, jak się przedstawić boyom hotelowym, którzy na mój widok zapewne zaniemówią z wdzięczności i zachwytu. Z każdym krokiem czułem się coraz pewniej i już miałem rzucić jakąś uprzejmą uwagę do Gustava, gdy ten nagle się zatrzymał. Kiedy ruszaliśmy w stronę kawiarni Węgierskiej, Gustav delikatnie położył rękę na moich plecach, teraz zaś poczułem, że jego palce na moment zaciskają się kurczowo na materiale mojej marynarki. Odwróciłem się i w niewyraźnym świetle zobaczyłem, że Gustav stoi nieruchomo ze spuszczonego wzrokiem, dotykając ręką czoła,

jakby właśnie przypomniał sobie coś ważnego. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pokręcił głową i uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Przepraszam. To tylko... tylko... – Zaśmiał się i ruszył dalej.

– Czy wszystko w porządku?

– Ależ tak. Chłopcy będą tacy wzruszeni, kiedy wejdzie pan do środka.

Wysunął się dwa kroki do przodu i zdecydowanie szedł dalej w stronę kawiarni.

## Rozdział 27

Dopiero gdy wszedłem do kawiarni i poczułem ciepło bijące od kominka w drugim końcu sali, zdałem sobie sprawę, jak zimno zrobiło się na dworze. Wnętrze lokalu wyglądało inaczej, niż kiedy byłem tu ostatnim razem. Większość stolików zsunięto pod ścianę, tak by starczyło miejsca dla dużego, okrągłego stołu na środku sali. Siedziało przy nim około dwunastu mężczyzn, pijących piwo i zachowujących się z dużą swobodą. Wydawali się trochę młodszy od Gustava, choć prawie wszyscy byli już w zaawansowanym średnim wieku. Nieco dalej, przy bufecie, dwóch szczupłych mężczyzn w cygańskich strojach grało na skrzypcach skoczego walczyka. W kawiarni było jeszcze kilkoro innych gości, którzy – jakby świadomi, że znaleźli się na cudzej uroczystości – nie mieli chyba nic przeciwko temu, że muszą siedzieć na uboczu czy nawet w jakiejś ciemnej wnęce sali.

Kiedy weszliśmy do środka, boye hotelowi spojrzeli w naszą stronę z niedowierzaniem.

– Tak, przyjaciele, to naprawdę on – powiedział Gustav. – Przyszedł do nas we własnej osobie, aby życzyć nam powodzenia.

W całej kawiarni zapadła głęboka cisza i wszyscy – boye hotelowi, kelnerzy, muzycy, inni goście – wlepili we mnie oczy, po czym cała sala zagrzmiała gorącymi brawami. Zaskoczony takim przyjęciem poczułem, że jestem bliski łez. Uśmiechnąłem się, mówiąc: „Dziękuję. Dziękuję”, ale nieustające oklaski zagłuszyły mój głos. Boye hotelowi powstali z miejsc i nawet cygańscy grajkowie włożyli skrzypce pod pachy, aby dołączyć do owacji. Gustav poprowadził mnie do okrągłego stołu i kiedy usiadłem, oklaski w końcu ucichły. Muzycy podjęli przerwana melodię, ja zaś zauważyłem wokół siebie krąg podekscytowanych twarzy. Gustav, który usadowił się obok mnie, zaczął mówić:

– Przyjaciele, pan Ryder był łaskaw...

Zanim zdążył dokończyć, tęgi boy hotelowy z czerwonym nochalem nachylił się ku mnie i podniósł kufel z piwem.

– Pan nas uratował, panie Ryder – oświadczył. – Teraz inaczej potoczą się nasze dzieje. Moje wnuki zachowają po mnie inne wspomnienia. To dla nas wielki dzień.

Odwzajemniłem mu się uśmiechem, lecz w tym momencie czyjaś dłoń chwyciła mnie za ramię i zobaczyłem wychudzoną, nerwową twarz, wpatrującą się uważnie w moją.

– Ale zrobi to pan, panie Ryder – wyszeptał mężczyzna. – Proszę powiedzieć, że pan to zrobi. Kiedy nadejdzie ta chwila, kiedy skupi się pan na tych wszystkich ważnych sprawach, w obliczu tych wszystkich ludzi, nie zmieni pan zdania i...

– Jak śmiesz tak mówić? – przerwał mu ktoś i nerwowy mężczyzna zniknął nagle, jakby siłą odciągnięty do tyłu.

Potem usłyszałem jakiś głos za plecami:

– Oczywiście, że nie zmieni zdania. A ty myślisz, że z kim masz do czynienia?

Odwrociłem się, ażeby rozwiać wątpliwości nerwusa, ale wówczas ktoś inny uściskał moją dłoń ze słowami:

– Dziękujemy, panie Ryder. Dziękujemy.

– Panowie są dla mnie niezwykle uprzejmi – powiedziałem, uśmiechając się do wszystkich. – Ale... czuję się w obowiązku ostrzec panów, że...

W tym momencie ktoś popchnął mnie tak mocno, że omal nie wpadłem na osobę siedzącą obok. Usłyszałem, jak ktoś przeprosza, a ktoś inny mówi:

– Nie pchaj się tak!

Potem jeszcze inny głos powiedział blisko mnie:

– Wydawało mi się, że to pan siedzi tam, po drugiej stronie placu, i to właśnie ja napomknąłem o tym Gustawowi. Bardzo miło z pańskiej strony, że zechciał się pan do nas pofatygować. Dzisiejszy koncert na zawsze zapadnie nam w pamięć. To będzie przełomowa chwila w życiu każdego boya hotelowego w tym mieście...

– Proszę o chwilę uwagi – odezwałem się głośno. – Muszę panów przed czymś ostrzec. Zrobię w waszej sprawie wszystko, co w mojej mocy, muszę jednak panów ostrzec, że być może mój autorytet nie jest już taki jak kiedyś. Otóż...

Moje słowa utonęły w głośnym „hura!”, które wyrwało się z piersi kilku boyów hotelowych. Za drugim razem okrzyk podjęli pozostali boye, a wtedy nagle ucichła muzyka i trzeci ogłuszający okrzyk wydała już cała sala. Znow rozległy się oklaski.

– Dziękuję, dziękuję – powiedziałem szczerze wzruszony.

Kiedy aplauz zaczął wygasać, siedzący naprzeciwko mnie boy hotelowy z czerwonym nochem rzekł:

– Jest pan tu bardzo mile widziany. Jest pan znany i poważany, ale chcę, żeby pan wiedział, że my tutaj potrafimy się poznać na dobrym człowieku. Otóż to, pracujemy w tym fachu wystarczająco długo, żeby się nauczyć rozpoznawać przyzwoitych ludzi. Pan jest z gruntu przyzwoity, wszyscy to widzimy. Przyzwoity i dobry. Myśli pan może, że witamy pana tak ciepło, ponieważ obiecał nam pan pomóc. Naturalnie, jesteśmy panu wdzięczni. Ale

znam tu wszystkich i mogę powiedzieć, że naprawdę pana polubili, co byłoby niemożliwe, gdyby nie był pan przyzwoitym człowiekiem. Gdyby był pan zbyt zadufany albo nieszczerzy, od razu by to wyczuli. O tak. Oczywiście wtedy również byłiby panu wdzięczni, traktowałiby pana miło, ale nie czuliby do pana takiej sympatii. Zmierzam do tego, że nawet gdyby nie był pan taki sławny, gdyby był pan kimś obcym, kto znalazł się tu przypadkowo, skoro tylko byśmy się przekonali, że z pana porządny człowiek, skoro tylko wyjaśniłby pan, że znalazł się z dala od domu i szuka towarzystwa, przyjęlibyśmy pana z otwartymi ramionami. Przekonawszy się, że jest pan dobrym człowiekiem, powitalibyśmy pana nie inaczej niż przed chwilą. O tak, wcale nie jesteśmy tacy hermetyczni, jak sądzą miejscowi. Od tej chwili może pan uważać każdego z nas za swojego przyjaciela.

– To prawda – potwierdził ktoś z prawej strony. – Teraz jesteśmy pańskimi przyjaciółmi. Gdyby miał pan tu jakieś kłopoty, może pan na nas liczyć.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem. – Dziękuję. Wieczorem zrobię, co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Muszę was jednak ostrzec, że...

– Ależ proszę – był to głos Gustava, który mówił łagodnie prosto do mojego ucha – proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze. Czemu nie rozluźni się pan choćby na parę minut?

– Chciałbym tylko przestrzec pańskich przyjaciół...

– Pańska troska – ciągnął cicho Gustav – jest doprawdy godna podziwu. Ale niepotrzebnie się pan martwi. Proszę się odprężyć, choćby na parę minut. Niech pan spojrzy na nas... każdy z nas ma zmartwienia. Ja sam muszę zaraz wracać do sali koncertowej do pracy. Ale kiedy się spotykamy, cieszymy się, że jesteśmy razem, i zapominamy o naszych troskach. Odprężamy się i staramy się spędzić ten czas jak najmilej. – Następnie Gustav zawołał, przekrzykując gwar rozmów: – A teraz pokażmy panu Ryderowi, jak naprawdę potrafimy się bawić! Pokażmy mu!

Jego apel powitały radosne okrzyki i kolejny wybuch braw, które przerodziły się w rytmiczne oklaski dokoła naszego stołu. Cyganie zaczęli grać w rytm oklasków, a niektórzy z pozostałych gości również zaczęli klaskać. Zauważyłem też, że ludzie w innych częściach sali przerwali rozmowy i odwrócili się w naszą stronę, jakby szykowali się do obejrzenia długo oczekiwanego spektaklu. Jakiś ciemny, tyczkowaty mężczyzna, którego wzięłem za właściciela lokalu, wyłonił się z pomieszczenia na zapleczu i oparł się o futrynę drzwi, tak samo ciekaw rozwoju wypadków.

Tymczasem coraz bardziej rozbawieni boye hotelowi nie przestawali klaskać, a niektórzy dla podkreślenia rytmu walili nogą w podłogę. Potem zjawiono się dwóch kelnerów,

którzy zaczęli pospiesznie sprzątać ze stołu. Kufle, filiżanki, cukierniczki, popielniczki – wszystko to zniknęło w jednej chwili, po czym jeden z boyów hotelowych, mężczyzna z bujnym zarostem na twarzy, wszedł na blat stołu. Spod gęstej brody przeziarała jego zaczerwieniona – czy to wskutek zażenowania, czy może od alkoholu – twarz. W każdym razie stanąwszy na stole, uśmiechnął się szeroko i bez większych zahamowań zaczął tańczyć.

Był to dziwny, statyczny taniec, niemal bez odrywania stóp od podłoża, podkreślający nie tyle zwinność czy grację ruchów ludzkiego ciała, ile jego posągowość. Brodaty boy hotelowy przybrał postawę godną greckiego boga, wyciągnąwszy przed siebie ręce, jakby trzymał w nich niewidzialny ciężar. Przy wtórze oklasków i okrzyków zachęty zmieniał nieznacznie kąt nachylenia bioder albo obracał się powoli wokół własnej osi. Przez chwilę zastanawiałem się, czy taniec ów ma z założenia śmieszyć publiczność, ale pomimo ogólnego rozbawienia wkrótce uzmysłowiłem sobie, że w przedstawieniu tym nie ma cienia parodii. Podczas gdy przyglądałem się brodaczoowi, ktoś trącił mnie łokciem i powiedział:

– Oto nasz taniec, panie Ryder. Taniec Boyów Hotelowych. Na pewno już pan o nim słyszał.

– Tak – powiedziałem. – W istocie. Więc to jest ten słynny Taniec Boyów Hotelowych.

– Tak. Ale to dopiero początek. – Mój rozmówca wyszczerzył zęby w uśmiechu i znów trącił mnie łokciem.

Zauważyłem, że siedzący przy stole boye hotelowi podają sobie z rąk do rąk duży, brązowy karton, zbliżony rozmiarami do walizki. Biorąc pod uwagę łatwość, z jaką rzucono nim w powietrzu, można było przypuszczać, że pudło jest lekkie i puste. Karton krążył przez parę minut dookoła stołu, po czym – w odpowiednim momencie – ktoś rzucił nim w stronę brodacza. W całej tej procedurze uderzająca była jakaś wyćwiczona precyzja wykonania. Dokładnie w tej samej chwili, gdy brodaty boy hotelowy zmienił pozę i znów uniósł ramiona, tekturowe pudło poszybowało w powietrzu i wylądowało zgrabnie w jego rękach.

Brodacz zareagował tak, jakby chwycił kamienną płytę, a wśród widzów rozległ się niespokojny szmer. Przez sekundę wydawało się, że na pewno ugnie się pod ciężarem, potem jednak z wielką determinacją począł się prostować, aż w końcu stanął zupełnie prosto, przyciskając pudło do piersi. Wyczyn ten wywołał radosne okrzyki, a wówczas brodacz zaczął powoli podnosić pudło, póki nie uniósł ramion wysoko nad głową. Choć w rzeczywistości nie był to wcale żaden wyczyn, w jego ruchach dało się zauważyć jakąś godność i dramatyzm, które kazały mi się przyłączyć do głośnych wiwatów, jakby rzeczywiście podniósł jakiś ogromny ciężar. Potem brodaty boy hotelowy zaczął dość

zrećnie udawać, że ciężar staje się coraz lżejszy. Już wkrótce trzymał pudło w górze w jednej ręce, wykonując jednocześnie małe piruety, niekiedy przerzucając pudło przez ramię i chwytając je za plecami. W miarę zmniejszania się ciężaru, wśród boyów hotelowych rosło ożywienie. Oglądając coraz bardziej spektakularne wyczyny brodacza, jego koledzy patrzyli po sobie, uśmiechali się, dopingowali wzajemnie, aż w końcu jeden z nich – niski, krzepki mężczyzna z cienkim wąsem – zaczął się wdrapywać na stół.

Stół zachwiał się i przechylił, ale pozostali boje hotelowi zaśmiali się tylko, jak gdyby wszystko to było częścią przedstawienia, potem zaś przytrzymali stół, a niski, krzepki mężczyzna wdrapał się na blat. Brodacz nie od razu zauważył kolegę i dalej popisывał się łatwością z jaką manipulował pudłem, podczas gdy drugi mężczyzna stał za nim z markotną miną jak ktoś, kto czeka na swoją kolej, aby zatańczyć z partnerką, o którą jest zazdrosny. Wreszcie brodacz zauważył drugiego boya hotelowego i rzucił mu pudło. Chwytając je, niski, krzepki mężczyzna cofnął się chwiejnie, mogło się więc wydawać, że zaraz spadnie ze stołu. W ostatniej jednak chwili odzyskał równowagę i wyprostował się z wielkim wysiłkiem, trzymając pudło na plecach. Wówczas brodacz zaczął klaskać razem z innymi i uśmiechając się wesoło, zszedł ze stołu podtrzymywany przez kolegów.

Niski, krzepki boy hotelowy w zasadzie powtórzył taniec swojego poprzednika, uwydatniając jednak efekty komiczne. Wywoływał salwy śmiechu, strojąc miny i potykając się w najlepszym komediowym stylu. Patrząc na niego, czułem, jak rytmiczne klaskanie, cygańskie skrzypce, śmiechy, piski udanego zdumienia wypełniają nie tylko moje uszy, ale i wszystkie zmysły. Potem, gdy krzepkiego człowieczka zastąpił na stole trzeci boy hotelowy, poczułem, że ogarnia mnie fala ludzkiego ciepła. Uwagi Gustava wydały mi się nagle bardzo głębokie. Istotnie, po co się zamartwiać? Od czasu do czasu trzeba się przecież całkowicie odprężyć i zabawić.

Zamknąłem oczy i z lubością poddałem się atmosferze sali, na pół tylko świadom, że cały czas klaszczę i wystukuję rytm nogą. Nagle stanął mi przed oczami obraz moich rodziców w zaprzężonej w konie karecie, która zbliża się do trawnika przed gmachem filharmonii. Widziałem, jak przybyli goście – mężczyźni w czarnych garniturach, kobiety w futrach, szalach i biżuterii – przerywają rozmowy i odwracają się w stronę drzew, skąd dochodzi tętent końskich kopyt. Nagle błyszcząca kareta wdziera się w obręb światła, piękne konie przechodzą w kłus i się zatrzymują, a z ich chrapów unoszą się w wieczornym powietrzu obłoczki pary. Matka i ojciec wyglądają przez okno karety, a na ich twarzach malują się pierwsze oznaki podekscytowania, ale też pewna rezerwa, wewnętrzny opór wobec myśli, że wieczór może się zakończyć spektakularnym sukcesem. Potem, gdy ubrany w

liberię woźnica pospieszy pomóc im przy wysiadaniu, a przed kareta ustawi się szpaler dygnitarzy, aby ich powitać, rodzice przybiorą na twarze ten sam rozmyślnie spokojny uśmiech, który pamiętałem z dzieciństwa, kiedy zdarzało się im zaprosić gości na obiad albo kolację.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem na stole dwóch boyów hotelowych, którzy odgrywali zabawną scenkę. Ten, który trzymał pudło, słaniał się na wszystkie strony, sprawiając wrażenie, że zaraz spadnie ze stołu, po to, by w ostatniej chwili przerzucić pudło do partnera. Zauważyłem, że Boris – który widocznie przez cały czas siedział gdzieś w kawiarni – podszedł do stołu i z zachwytem obserwuje tańczących. Klaskał w ręce i śmiał się zawsze w odpowiednim momencie, jak ktoś, kto dobrze zna całą tę procedurę. Siedział między dwoma śniadymi boyami hotelowymi, którzy byli do siebie tak podobni, że wziąłem ich za braci. Kiedy na niego spojrzałem, Boris wymienił z jednym z nich jakąś uwagę, po czym mężczyzna się zaśmiał i uszczypnął go pieszczotliwie w policzek.

Poszukałem wzrokiem Gustava – nie było go już przy mnie – i zauważyłem, że podszedł do chłopca i szepcze mu coś na ucho. Jeden ze śniadych braci, położywszy rękę na ramieniu starszego boya hotelowego, namawiał go, żeby zatańczył. Gustav się uśmiechnął i potrząsnął skromnie głową, co tylko wzmogło namowy. Jego imię skandowała teraz niemal cała sala, a nawet ci, którzy zebrali się na placu przed kawiarnią. W końcu, uśmiechając się bezradnie do Borisa, Gustav wstał.

O parę lat starszy od innych Gustav miał większe trudności z wdrapaniem się na stół, pomogło mu w tym jednak wiele rąk. Stanąwszy na stole, wyprostował się i uśmiechnął do publiczności. Nerwowy boy podał mu pudło, po czym szybko zszedł na dół.

Taniec Gustava od początku różnił się od tego, który wykonywali jego poprzednicy. Zamiast udawać, że pudło jest ciężkie, bez trudu zarzucił je sobie na ramię i wzruszył ramionami. Rozległy się głośnie śmiechy i okrzyki: „Stary dobry Gustav!” oraz „Poradzi sobie!”. Gdy wciąż demonstrował ostentacyjnie lekkość pudła, jeden z kelnerów przedarł się do przodu i rzucił na stół prawdziwą walizkę. Padając na stół, walizka wydała głuchy odgłos, nie była więc pusta. Kiedy wylądowała u stóp Gustava, po sali przeszedł lekki szmer. Ludzie znów zaczęli skandować, jeszcze szybciej niż przedtem: „Gustav! Gustav! Gustav!”. Widziałem, że Boris obserwuje bacznie każdy ruch dziadka z ogromną dumą, klaszcząc zamasyście i wołając razem z innymi. Zauważywszy Borisa, Gustav znów się do niego uśmiechnął, po czym schylił się i chwycił rączkę walizki.

Kiedy Gustav – wciąż przygarbiony – uniósł walizkę na wysokość bioder, nie miałem już wątpliwości co do jej ciężaru. Gdy się wreszcie wyprostował, trzymając pudło na

ramieniu, a walizkę w rękę, zamknął oczy, a jego czoło zaszło jakby chmurą. Nikt jednak nie zauważył w tym nic niepokojącego – możliwe, że Gustav zachowywał się tak przed każdym ze swoich wyczynów – i niemilknące okrzyki i oklaski wciąż zagłuszały kwilenie skrzypiec. Rzeczywiście, chwilę potem Gustav otworzył oczy i znów uśmiechnął się do wszystkich. Następnie, podnosząc walizkę jeszcze wyżej, chwycił ją pod pachę i w tej pozycji, z walizką pod pachą i pudłem na przeciwnym ramieniu, zaczął tańczyć, powoli szurając stopami po stole. Przez piski i wrzaski słyszałem, jak ktoś dopytuje się przy wejściu:

– Co teraz robi? Nie widzę. Co teraz robi?

Potem Gustav podniósł walizkę jeszcze wyżej i tańczył dalej z walizką na jednym ramieniu i pudłem na drugim. Ponieważ walizka była dużo cięższa od pudła, przechylił się znacznie w jedną stronę, lecz poza tym wciąż poruszał się swobodnie, dość zwawym krokiem. Promieniejąc z radości, Boris krzyknął coś do dziadka, na co Gustav przekrzywił zabawnie głowę, wywołując tym nowe piski i wybuchy śmiechu.

Gustav wciąż jeszcze tańczył, gdy nagle uświadomiłem sobie, że coś się za mną dzieje. Od pewnego czasu ktoś z irytującą regularnością bódł mnie łokciem w plecy, lecz dotąd myślałem, że ludzie próbują po prostu więcej zobaczyć. Kiedy się jednak odwróciłem, okazało się, że tuż za mną dwóch kelnerów, opierając się naporowi tłumu, klęczy na podłodze i pakuje walizkę. Zdążyli już ją napełnić sporą ilością drewnianych szczap, przyniesionych zapewne z kuchni. Jeden z kelnerów układał szczapy ciasniej, podczas gdy drugi dawał niecierpliwie znaki w stronę zaplecza, wskazując rozdrażnionym gestem puste miejsca w walizce. Potem zauważyłem, że ludzie podają sobie z rąk do rąk nowe szczapy, po dwie, trzy naraz. Kelnerzy upychali je gorączkowo, aż wydawało się, że waliza zacznie zaraz pękać w szwach. Ale szczap wciąż przybywało, a kelnerzy z wyćwiczoną wprawą wpychali je do walizki. Być może udałoby im się zapakować dużo więcej, gdyby napór tłumu nie wyczerpał w końcu ich cierpliwości. Opuściwszy klapę, zapięli rzemienie i przepchnąwszy się obok mnie, postawili walizę na stole.

Boris rzucił okiem na nową walizkę, po czym spojrzał niepewnie na Gustava. Jego dziadek przebierał powoli nogami, niczym matador. Skupiony na utrzymaniu pudła i walizki na ramionach z początku nie zwrócił uwagi na nowe wyzwanie. Boris przyglądał się dziadkowi uważnie, czekając tylko chwili, gdy dostrzeże on drugą walizkę. Wszyscy inni również na to czekali, Gustav tańczył dalej, udając, że niczego nie zauważył. Niewątpliwie był to z jego strony zwykły trik! Zapewne igrał tylko z publicznością i Boris wiedział już, że za chwilę jego dziadek podniesie ciężką walizę, być może pozbywszy się uprzednio pustego pudła, zdawało się jednak, że Gustav wciąż niczego nie dostrzega, aż w końcu ludzie zaczęli

krzyżeć i wskazywać walizkę. Wreszcie Gustav ją zauważył, a jego twarz – wciśnięta między pudło a pierwszą walizkę – przybrała wyraz trwogi. Otaczający Borisa ludzie poczęli jeszcze żywiej się śmiać i klaskać w ręce. Gustav obracał się powoli, nie spuszczać oczu z nowej walizki, z niezmiennie zaszępioną miną, i Borisowi po raz pierwszy przemknęło przez myśl, że niepokój dziadka nie jest wyłącznie udany. Skoro jednak ludzie, którzy wiele razy widzieli ten numer w wykonaniu Gustava, śmiali się wesoło, Boris również się roześmiał i jął dopingować dziadka. Głos chłopca zwrócił jego uwagę i po raz kolejny dziadek i wnuk wymienili uśmiechy.

Gustav zdjął puste pudło z ramienia i z uroczą niemal pogardą cisnął je w tłum. Znow rozległy się śmiechy i wiwaty, a pudło, podawane z rąk do rąk nad głowami widzów, zniknęło w głębi sali. Gustav po raz kolejny zerknął na nową walizkę i poprawił pierwszą na ramieniu. Następnie przybrał zatroskaną minę – tym razem na pewno udając – podczas gdy Boris śmiał się wraz ze wszystkimi. Gustav zaczął zginać kolana. Robił to bardzo powoli, czy to wskutek zniedołężnienia, czy dla wzmożenia efektu, aż wreszcie przykucnął i wciąż trzymając pierwszą walizkę na ramieniu, wolną ręką chwycił rączkę tej, która stała u jego stóp. Potem powoli, stopniowo, przy wtórze oklasków, wyprostował się, unosząc cięższą walizkę.

Na jego twarzy malował się teraz ogromny wysiłek, w czym przypominał brodacza, gdy ten po raz pierwszy chwycił kartonowe pudło. Boris przyglądał się dziadkowi z dumą, od czasu do czasu odrywając od niego wzrok, żeby zerknąć na pełne podziwu twarze widzów, cisnących się wokół niego. Nawet cygańscy grajkowie próbowali zdobyć lepszy widok, zamaszystymi ruchami łokci przepychając się przez ciżbę ludzi. Jeden ze skrzypków przedarł się w ten sposób na sam przód, tak że grał teraz pochylony lekko nad stołem, przyciśnięty w pasie do jego blatu.

Gustav zaczął ponownie przebierać nogami. Ciężar dwóch waliz – zwłaszcza tej wypełnionej drewnianymi szczapami, której nie próbował nawet umieścić na ramieniu, gdyż było to niewątpliwie fizyczną niemożliwością – ograniczał jego skoczność niemal do zera, niemniej i tak wyglądało to imponująco i tłum oszalał z radości.

– Stary dobry Gustav! – krzyczeli wszyscy.

Boris, choć nie zwykł był zwracać się tak do swojego dziadka, także wołał na cały głos:

– Stary dobry Gustav! Stary dobry Gustav!

Gustav znow dosłyszał głos Borisa i choć tym razem nie odwrócił głowy – udawał bowiem, że jest zbyt zaaferowany walizkami – jego ruchy nabrały nowej lekkości. Ponownie zaczął się obracać powoli wokół siebie i wyprostował do końca plecy. W pozie tej przez

moment wyglądał jak wspaniały posąg, z jedną walizką na ramieniu, a drugą u biodra, obracając się przy wtórze muzyki i oklasków. Nagle się potknął, lecz prawie natychmiast odzyskał równowagę, a publiczność – wydawszy stłumione „uuu...” – nagrodziła to małe urozmaicenie śmiechem.

W pewnej chwili Boris zdał sobie sprawę, że za jego plecami panuje małe zamieszanie. Obejrzał się i ujrzał tych samych dwóch kelnerów, którzy krzątali się, odpychając ludzi, aby zyskać swobodę ruchów. Obaj klęczeli i mocowali się z czymś, co wyglądało jak duża torba na kije golfowe. W ich zachowaniu znać było irytację i zniecierpliwienie – być może denerwowali ich napierający zewsząd ludzie, którzy co chwila wrażli im kolana w plecy. Boris zerknął na dziadka, a następnie znów się odwrócił do tyłu i zobaczył, że jeden z kelnerów przytrzymuje szeroko otwartą torbę, jakby za chwilę miano włożyć do niej coś dużego. Istotnie, z tłumu wyłonił się drugi kelner, idąc tyłem, bezceremonialnie rozpychając ludzi i wlokąc po podłodze jakiś przedmiot. Przecisnąwszy się nieco do tyłu, Boris stwierdził, że to kawał żelastwa. Niewiele było widać – dziesiątki nóg zasłaniały widok – ale był to jakiś stary silnik, może od motocykla, a może od łodzi motorowej. Kelnerzy trudzili się, by wepchnąć go do torby, naciągając i tak już napięty materiał i szarpiąc zamek. Podniósłszy oczy, Boris zobaczył, że jego dziadek wciąż świetnie sobie radzi z dwiema walizkami, nie okazując potrzeby odpoczynku. Zresztą tłum i tak nie pozwoliłby mu teraz przerwać. Wokół niego zrobiło się małe zamieszanie, po czym kelnerzy podźwignęli torbę i położyli ją na stole.

Kiedy wiadomość o torbie obiegła tłum, wrzawa nieco się nasiliła. Gustav nie od razu zauważył torbę, gdyż akurat zamknął w skupieniu oczy, lecz wkrótce nawoływania widzów kazały mu się rozejrzeć. Jego wzrok zatrzymał się na torbie i na chwilę Gustav spowaźniał, ale zaraz się uśmiechnął i obracał się dalej. Następnie, podobnie jak przedtem, choć już bez tej łatwości, zsunął lżejszą walizkę z ramienia. Nim opadła do końca, Gustav nadludzkim wysiłkiem szarpnął rękę do góry, aż walizka poszybowała w stronę tłumu. Bez porównania cięższa od kartonu nie zakreśliła w powietrzu zgrabnego łuku, tylko grzmotnęła ciężko na blat stołu, nie doleciawszy nawet do rąk boyów hotelowych w pierwszym rzędzie. Podobnie jak pudło, szybko zniknęła w tłumie i znów wszyscy utkwili wzrok w Gustavie. Ponownie zaczęto skandować jego imię i staruszek przyjrzał się uważnie torbie złożonej u jego stóp. Uwolniwszy się od jednej z walizek – choć wciąż trzymał tę ze szczapami w środku – poczuł chwilowy przypływ energii. Nachmurzył czoło i patrząc na torbę, pokręcił z powątpiewaniem głową, prowokując tym jeszcze żywsze reakcje publiczności.

– Dalej, Gustavie, pokaż im! – krzyczał boy hotelowy stojący obok Borisa.

Gustav zaczął podnosić ciężką walizę na ramię, dopiero co uwolnione od ciężaru lżejszej. Robił to ostrożnie, z zamkniętymi oczami, przyklękawszy na jedno kolano. Potem zaczął się powoli prostować. Raz czy dwa zadrżały pod nim nogi, w końcu jednak stanął prosto, z walizką pewnie ustawioną na ramieniu, wyciągając wolną rękę w stronę torby. Nagle Borisa przeszył lęk i chłopiec krzyknął: „Nie!”, ale jego głos utonął w mieszaninie śmiechów i krzyków, ochów i achów publiczności.

– Dalej, Gustavie! – krzyczał jego sąsiad. – Pokaż im, co potrafisz! Pokaż im!

– Nie! Nie! Dziadku! Dziadku!

– Stary dobry Gustav! – wołano. – Dalej! Pokaż im, co potrafisz!

– Dziadku! Dziadku! – Boris wyciągał ręce nad stołem, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale stary boy hotelowy z poważną i skupioną miną wpatrywał się niezwykle intensywnie w pasek torby. Potem znów zaczął przyklękać, drżąc na całym ciele pod ciężarem złożonej na ramieniu walizy, i przedwcześnie sięgnął po pasek torby. Napięcie na sali rosło – być może ludzie czuli, że Gustav porywa się na zadanie, które przekracza nawet jego możliwości – nie psuło to jednak atmosfery ogólnej wesołości i wciąż skandowano owacyjnie jego imię.

Boris spojrzał błagalnym wzrokiem na otaczających go dorosłych, po czym szarpnął swojego sąsiada za rękę.

– Nie! Nie! Wystarczy! Dziadek już pokazał, co potrafi!

Brodaty boy hotelowy – jego to bowiem zaczepił Boris – spojrzał zdziwiony na chłopca.

– Nie martw się – powiedział ze śmiechem. – Twój dziadek jest wspaniały. Potrafi to i dużo więcej. Dużo więcej. Jest wspaniały. :

– Nie! Już dosyć! Wystarczy!

Ale nikt go nie słuchał, nawet brodac, który objął go po ojcowski ramieniem. Gustav tymczasem przykucnął już niemal, a jego palce dzieliło od paska torby zaledwie kilka centymetrów. Chwyił go i nie zmieniając pozycji, założył pasek na wolne ramię. Następnie przyciągnął torbę ku sobie i zaczął powoli wstawać. Boris krzyczał i walił pięściami w stół, aż w końcu został zauważony przez dziadka. Gustav zaczynał już prostować kolana, ale się zatrzymał i przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy.

– Nie. – Boris potrząsnął głową. – Nie. Już wystarczy.

Możliwe, że Gustav nie dosłyszał jego słów w ogólnej wrzawie, zdawało się jednak, że doskonale rozumie jego intencje. Skinął szybko głową, uśmiechnął się przelotnie, po czym znów zamknął oczy w skupieniu.

– Nie! Nie! Dziadku! – Boris znów pociągnął brodacza za rękę.

– Co się stało? – zapytał boy hotelowy ze łzami uciechy w oczach i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do Gustava, skandując jego imię jeszcze głośniejszym głosem niż przedtem.

Gustav prostował się powoli. Raz czy dwa jego ciało się zachybotowało, jakby za chwilę miało się wygiąć. Jego twarz nabiegła krwią. Zaciskał kurczowo zęby, jego policzki się wykrzywiły, a mięśnie karku naprężyły. Pomimo ogłuszającego hałasu słychać było ciężki oddech starego boya. Lecz wyglądało na to, że nikt prócz Borisa nie zwraca uwagi na jego wysiłek.

– Nie martw się, twój dziadek jest wspaniały! – zawołał brodac. – To nic takiego! Robi to co tydzień!

Gustav podnosił się coraz wyżej, z torbą przewieszoną przez jedno ramię i walizką na drugim. Wreszcie wyprostował się całkowicie. Na jego drżącej twarzy pojawił się wyraz triumfu i po raz pierwszy od wielu minut rytmiczne oklaski przeszły w dzikie owacje. Również skrzypce zwolniły tempo, co nadało melodii bardziej uroczysty charakter, stosowny do finału. Gustav obracał się powoli z półprzymkniętymi powiekami, a na jego twarzy malowała się mieszanina bólu i godności.

– Wystarczy! Dziadku! Dość! Dość!

Gustav obracał się dalej, chcąc zademonstrować swój wyczyn wszystkim obecnym. Nagle coś jakby w nim strzyknęło. Zatrzymał się i zachwiał lekko, jakby kołysał się na wietrze, ale już po chwili odzyskał równowagę i obracał się dalej. Dopiero gdy wrócił do pozycji wyjściowej, zaczął zdejmować walizkę z ramienia. Uznał, że jest zbyt ciężka, aby ciskać nią w publiczność i narażać kogoś na zranienie, spuścił ją więc z łomotem na stół, po czym zepchnął nogą w ręce kolegów.

Kawiarnia huczała nieprzerwanie od braw i wiwatów, a część ludzi zaczęła śpiewać jakąś pieśń – rzewną balladę z węgierskim tekstem – do melodii granej przez Cyganów. Pieśń podejmowało coraz więcej osób i już wkrótce śpiewała ją cała sala. Tymczasem Gustav zdjął z ramienia torbę. Nawet nie zadał sobie trudu, by ją zepchnąć ze stołu, jedynie uniósł na chwilę ręce – nawet ten gest kosztował go teraz wiele wysiłku – po czym zszedł pospiesznie ze stołu. Pomagało mu w tym wiele rąk, Boris zaś obserwował bezpieczny powrót dziadka na ziemię.

Sala wydawała się przejęta śpiewem. Balladę przenikała słodka, tęskna nuta i ludzie zaczynali splatać ręce, by kołysać się zbiorowo do taktu. Jeden z cygańskich skrzypków wszedł na stół, a zaraz po nim drugi i wkrótce ta dwójka przejęła kontrolę nad tłumem, który falował równo w rytm granej przez nich melodii.

Boris precyzyjnie się do dziadka, który stał w tłoku, ciężko dysząc. O dziwo, choć

jeszcze przed chwilą Gustav był w centrum zainteresowania wszystkich, teraz nikt nie zwracał uwagi na dziadka i wnuka, którzy obejmowali się czule z zamkniętymi oczami, nie kryjąc przed sobą ogromnej ulgi. Po dłuższej chwili Gustav uśmiechnął się do Borisa, ale chłopiec nie puszczał dziadka i nie otwierał oczu.

– Boris – powiedział Gustav. – Boris. Musisz mi coś obiecać.

Chłopiec nie odpowiedział, tylko wciąż tulił się do dziadka.

– Posłuchaj, Boris. Gdyby mi się coś stało, gdyby miało mi się coś stać, musisz mnie zastąpić. Widzisz, twoi rodzice to dobrzy ludzie. Ale czasem jest im ciężko. Nie są silni jak ty i ja. Więc jeśli coś mi się stanie, jeśli mnie zabraknie, powinieneś być silny. Będziesz musiał zaopiekować się mamą i tatą, udzielić swojej siły rodzinie, by utrzymać ją razem. – Gustav uwolnił Borisa z objęć i uśmiechnął się do niego. – Obiecujesz, Boris?

Zdawało się, że chłopiec się nad tym zastanawia, aż w końcu skinął poważnie głową. Po chwili obaj zniknęli mi z oczu w tłumie. Ktoś ciągnął mnie za rękaw, dopraszając się, bym chwycił go za ręce i przyłączył się do śpiewających.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że pozostali skrzypkowie również wdrapali się na stół, a zjednoczony pieśnią tłum krąży wokół nich. Do kawiarni wlało się jeszcze więcej osób i ścisk na sali osiągnął apogeum. Zauważyłem też, że drzwi na plac wciąż są otwarte i że na zewnątrz kołyszą się w mroku rozśpiewani ludzie. Chwyciłem pod ramię potężnego mężczyznę – boya hotelowego, jak się domyślałem – oraz otyłą kobietę, która prawdopodobnie dopiero co weszła do kawiarni, i wtłoczony między nich krążyłem ze wszystkimi wokół sali. Nie znałem pieśni, którą śpiewano, potem jednak zauważyłem, że większość obecnych również nie zna tekstu, tylko naśladuje niewyraźnie węgierskie słowa. I tak na przykład mężczyzna i kobieta po mojej prawej oraz lewej stronie śpiewali zupełnie różne rzeczy, w ogóle się tym nie przejmując. Wystarczyło posłuchać ich uważnie, aby stwierdzić, że oboje wyśpiewują bezsensowne słowa, nikomu to jednak nie przeszkadzało i po chwili ja sam uległem atmosferze sali i przyłączyłem się do śpiewu, wymyślając słowa, które w moim przekonaniu brzmiały z węgierska. Okazało się to zadziwiająco łatwe – do głowy przychodziło mi coraz więcej takich słów – i już wkrótce śpiewałem całym sercem.

W końcu, jakieś dwadzieścia minut później, zauważyłem, że tłum zaczyna powoli rzędnać. Dostrzegłem też kelnerów, którzy wycierali stoliki i przestawiali je z powrotem na swoje miejsca. Dość liczna jednak grupa zapamiętałych w śpiewie, splecionych ramionami osób ciągle krążyła wokół sali. Także Cyganie pozostali na swoim miejscu i nic nie wskazywało na to, by zamierzali przestać grać. Gdy zataczałem kolejne koło, pociągany i popychany przez kompanów, poczułem, że ktoś klepie mnie po ramieniu. Obejrzałem się i

zobaczyłem tyczkowatego mężczyznę, którego uznałem za właściciela kawiarni. Uśmiechał się do mnie i podczas gdy kołyszając się, sunąłem po sali, ten grzecznie podążał za mną posuwistym krokiem na lekko podkurczonych nogach, w czym przypominał mi nieco Graucho Marksa.

– Panie Ryder, wygląda pan na bardzo zmęczonego! – Wrzeszczał niemal wprost do mojego ucha, a i tak ledwie go słyszałem poprzez śpiew. – A czeka pana długi i ważny wieczór! Może by pan trochę odpoczął?! Mamy na zapleczu przytulny pokoik, moja żona przygotowała koce i poduszki, włączyła kominek! Będzie panu bardzo wygodnie! Położy się pan i zdrzemnie parę minut! Pokoik jest wprawdzie nieduży, ale bardzo cichy! Nikt nie będzie panu przeszkadzał, zapewniam! Będzie panu bardzo wygodnie! Naprawdę uważam, że powinien pan wykorzystać tę odrobinę czasu przed rozpoczęciem wieczoru! Tędy, proszę! Sprawia pan wrażenie bardzo zmęczonego!

Choć tańcząc i śpiewając, świetnie się bawiłem, uświadomiłem sobie, że istotnie jestem bardzo zmęczony, i propozycja ta wydała mi się całkiem rozsądna. Z każdą chwilą myśl o krótkim odpoczynku kusiła mnie coraz bardziej i gdy właściciel sunął za mną z uśmiechem, poczułem dla niego ogromną wdzięczność, nie tylko za tę miłą propozycję, ale też za prowadzenie tej wspaniałej kawiarni i jego wielkoduszność względem boyów hotelowych – bez wątplenia niedocenianych przez miejscową społeczność. Posłałem na obie strony pożegnalny uśmiech i uwolniłem się od towarzyszy zabawy, a właściciel kawiarni położył mi rękę na ramieniu i powiodł ku drzwiom w głębi sali.

Przeprowadził mnie przez ciemny pokój – pod ścianami majaczyły półki z zapasami – i otworzył kolejne drzwi, zza których wylewało się delikatne, ciepłe światło.

– To tutaj – powiedział, wprowadzając mnie do środka. – Proszę się wyciągnąć na sofie. Drzwi niech zostaną zamknięte. Jeśli zrobi się panu za ciepło, proszę zmniejszyć dopływ gazu tym pokrętkiem. Proszę się nie obawiać, to urządzenie jest w pełni bezpieczne.

Płomień kominka gazowego był źródłem światła w pokoju. W pomarańczowej poświacie dostrzegłem sofę, która wydawała się stęchłą, acz nieodrażający zapach, i zanim się spostrzegłem, drzwi zamknęły się za mną i zostałem sam. Położyłem się na sofie – była tak krótka, że musiałem podkurczyć nogi – i nakryłem kocem, przygotowanym dla mnie przez żonę właściciela kawiarni.

# CZEŚĆ IV

## Rozdział 28

Obudziłem się dręczony uczuciem, że spałem o wiele za długo. W pierwszej chwili przyszło mi nawet na myśl, że jest już rano i że przespałem całą wieczorną uroczystość, kiedy jednak usiadłem na sofie, stwierdziłem, że z wyjątkiem płomienia w gazowym kominku wszystko dokoła wciąż tonie w mroku.

Podszedłem do okna i uchylilem zasłonę. W dole ujrzałem wąskie podwórko, zastawione kilkoma dużymi kubłami na śmieci. Jakaś pojedyncza lampa świeciła blado, zauważyłem jednak, że i niebo jakby pojaśniało, i znów się wystraszyłem, że zaczyna świtać. Puściłem zasłonę i ruszyłem do wyjścia, gorzko żałując, że dałem się namówić właścicielowi kawiarni na odpoczynek.

Wszedłem do niewielkiego pomieszczenia, w którym wcześniej zauważyłem piętrzące się pod ścianami zapasy. Pokoik tonął teraz w ciemnościach. Szukając po omacku wyjścia, ze dwa razy wpadłem na coś twardego. W końcu trafiłem do głównej sali, gdzie jeszcze nie tak dawno radośnie śpiewaliśmy i tańczyliśmy. Przez okna wychodzące na plac wpadało trochę światła, w którym dostrzegłem fantastyczne kształty spiętrzonych na stołach krzeseł. Podszedłem do drzwi i wyjrzałem przez szybki na ulicę.

Na zewnątrz wszystko stało w bezruchu. Samotna latarnia na środku placu rzucała dokoła słabą poświatę, a na niebie znów dostrzegłem pierwsze oznaki świtu. Wyglądając na plac, czułem, jak wzbiera we mnie złość. Wyrzucałem sobie, że zamiast zająć się tym, co najważniejsze, dałem się wciągnąć w tyle różnych spraw, a na koniec przegapiłem zasadniczą część tego najważniejszego wieczoru w moim życiu. Do złości dołączyło uczucie bezsilnej rozpacz i przez chwilę byłem bliski łez.

Potem jednak, wciąż zapatrzony w nocne niebo, zacząłem się zastanawiać, czy owe oznaki świtu nie są jedynie wytworem mojej wyobraźni. Przyjrzawszy mu się uważniej, stwierdziłem, że wciąż jest bardzo ciemne, i przyszło mi na myśl, że pewnie nie jest jeszcze tak późno i niepotrzebnie ulegam panice. Jeśli tak, pomyślałem, mam jeszcze szansę zdążyć na większą część uroczystości i wziąć w niej udział.

Przez cały ten czas bezwiednie szarpałem za drzwi i dopiero teraz zauważyłem skomplikowany mechanizm zasuwek. Odblokowałem po kolei każdą z nich i wyszedłem na plac.

Po duchocie kawiarni uderzyła mnie fala ożywczego powietrza i gdyby czas nie naglił, z przyjemnością pospacerowałbym kilka minut po placu, aby uporządkować myśli. Zważywszy jednak na okoliczności, zmuszony byłem wyruszyć natychmiast w poszukiwaniu sali koncertowej.

Przez kilka minut przemierzałem szybkim krokiem puste uliczki, mijając zamknięte kawiarenki i sklepy, nigdzie jednak nie dostrzegłem zarysu kopuły. W świetle latarni Stare Miasto wyglądało urzekająco, lecz z każdą minutą coraz trudniej było mi opanować paniczny lęk. Spodziewałem się – chyba nie całkiem bezpodstawnie – natknąć po drodze na jakąś taksówkę albo na ludzi opuszczających jeden z nocnych lokali, którzy mogli mi wskazać drogę. Wyglądało jednak na to, że oprócz zbłąkanych kotów jestem jedyną żywą istotą w promieniu kilku kilometrów.

Przeszedłem przez tory tramwajowe i mszyłem dalej wzdłuż kanału, lecz wciąż nigdzie nie mogłem dostrzec gmachu filharmonii. Znad wody wiał chłodny wiatr i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że tylko oddalam się od celu. Postanowiłem skręcić w najbliższą uliczkę, gdy naraz usłyszałem czyjeś kroki i zobaczyłem wynurzającą się zza rogu kobietę.

Przyzwyczajony już do widoku pustych ulic przystanąłem z wrażenia. Moje zdumienie było tym większe, że kobieta miała na sobie długą, powłóczystą suknię wieczorową. Nieznajoma również się zatrzymała, po czym – widocznie mnie rozpoznając – ruszyła z uśmiechem w moją stronę. W świetle latarni dostrzegłem, że ma grubo ponad czterdzieści lat, może nawet przekroczyła już pięćdziesiątkę. Mimo że była nieco otyła, jej ruchom nie brakowało gracji.

– Dobry wieczór – odezwałem się. – Może zechciałaby mi pani pomóc. Szukam sali koncertowej. Czy idę w dobrym kierunku?

Kobieta zbliżyła się do mnie i znów się uśmiechnęła.

– Nie, trzeba iść w tamtą stronę – powiedziała. – Właśnie stamtąd wyszłam, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, ale chętnie pana zaprowadzę, panie Ryder. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, naturalnie.

– Będzie mi bardzo miło. Nie chciałbym jednak przerywać pani spaceru.

– Proszę się nie martwić, spaceruję już prawie od godziny. Doprawdy, należało poczekać i przybyć razem z innymi gośćmi, ale ubzdurałam sobie, że powinnam być obecna przy tych wszystkich przygotowaniach, na wypadek gdybym okazała się potrzebna. No i naturalnie nie mam nic do roboty. Przepraszam, nie przedstawiłam się. Jestem Christine Hoffman. Mój mąż jest kierownikiem hotelu, w którym się pan zatrzymał.

– Bardzo mi miło, pani Hoffman. Mąż wiele mi o pani opowiadał.

Natychmiast pożałowałem tej uwagi. Spojrzałem szybko na panią Hoffman, ale w wątlym świetle nie widziałem jej twarzy już tak wyraźnie.

– Tędy, panie Ryder – powiedziała. – To niedaleko.

Kiedy ruszyliśmy naprzód, wiatr wydał rękawy jej sukni. Po chwili odchrząknąłem i zapytałem:

– Czy z tego, co pani mówi, mogę wnosić, że wieczór jeszcze nie zaczął się na dobre? Że goście jeszcze nie przybyli?

– Goście? Ach nie. Sądzę, że pierwsi goście zjawią się dopiero za godzinę.

– Aha. To dobrze.

Szliśmy niespiesznie brzegiem kanału, spoglądając od czasu do czasu na odbijające się w wodzie latarnie.

– Jestem ciekawa, panie Ryder – powiedziała po chwili – czy mój mąż, kiedy panu o mnie opowiadał, dał panu do zrozumienia, że jestem... dość oziębła. Ciekawi mnie, czy odniósł pan takie wrażenie.

Zaśmiałem się.

– Przede wszystkim odniosłem wrażenie, że jest pani oddany całym sercem.

Szła dalej w milczeniu, tak że nie byłem pewien, czy moja odpowiedź w ogóle do niej dotarła. Po chwili rzekła:

– Kiedy byłam mała, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby mnie nazwać oziębłą. Gdy byłam dzieckiem, nie miałam w sobie nic z oziębłości. Nawet dziś nie potrafię o sobie tak myśleć.

W odpowiedzi wymamrotałem jakąś ogólnikową uwagę. Po chwili skręciliśmy w boczną uliczkę i w końcu ujrzałem kopułę gmachu filharmonii, rzęście oświetloną na tle czarnego nieba.

– Wciąż miewam o świcie te sny – mówiła pani Hoffman. – Zawsze o świcie. Sny o... o czułości. Niewiele się w nich dzieje, zwykle są to tylko oderwane obrazy. Na przykład patrzę, jak mój syn Stephan bawi się w ogrodzie. Kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy, panie Ryder, kiedy był mały. Kołłam jego smutki, dzieliłam z nim jego małe triumfy. Tak, kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy. A czasami śnię o moim mężu. Niedawno śniło mi się, że rozpakowujemy razem walizkę. Byliśmy w jakiejś sypialni i rozkładaliśmy rzeczy na łóżku. Być może był to pokój w zagranicznym hotelu, a może znajdowaliśmy się w domu. W każdym razie rozpakowywaliśmy walizkę i czuliśmy się tak... tak błogo. Robiliśmy coś wspólnie. Najpierw on coś wyjął, potem ja i tak na zmianę. Przez cały czas rozmawialiśmy,

właściwie o niczym szczególnym, ot tak, dla podtrzymania rozmowy. Ten sen miałam nie dalej jak przedwczoraj. Potem obudziłam się i leżałam, patrząc, jak za oknem wstaje świt, przepełniona uczuciem szczęścia. Pomyślałam, że być może wkrótce zdarzy się to naprawdę, może nawet jeszcze tego samego dnia. Nie musi to być, naturalnie, wyjmowanie rzeczy z walizki. Ale na pewno coś razem zrobimy, jeszcze tego samego dnia, na pewno nadarzy się okazja. Przekonana o tym zasnęłam ponownie, bardzo szczęśliwa. Potem nadszedł ranek. Dziwna sprawa, panie Ryder, zawsze się tak dzieje. Gdy tylko nadchodzi dzień, obezwładnia mnie ta dziwna moc. I jakkolwiek się staram, między mną a mężem zawsze układa się inaczej, niżbym chciała. Walczę z tym, panie Ryder, ale z biegiem lat krok po kroku ustępuję pola. To tak jakoś... samo na mnie spada. Mój mąż bardzo się stara, stara się mi pomóc, ale bezskutecznie. Kiedy schodzę na śniadanie, wszystko, co czułam przez sen, bezpowrotnie się ulatnia.

Ponieważ na chodniku stał rząd zaparkowanych samochodów, przez chwilę musieliśmy iść jedno za drugim, pani Hoffman kilka kroków przede mną. Kiedy znów się z nią zrównałam, zapytałam:

– Jak pani myśli, co to takiego? Ta moc, o której pani mówi?

Roześmiała się znienacka.

– Nie miałam na myśli żadnych nadprzyrodzonych mocy, panie Ryder, choć mogło to tak zabrzmieć. Najprościej byłoby uznać, że ma to związek z panem Christoffem. Przez jakiś czas sama w to wierzyłam. Zapewne tak uważa mój mąż. Jak wielu mieszkańców tego miasta, z początku myślałam, że to jedynie kwestia przelania naszych uczuć z pana Christoffa na kogoś bardziej wartościowego. Ale ostatnio nachodzą mnie wątpliwości. Powoli nabieram przekonania, że przyczyna tkwi we mnie. Że to coś w rodzaju choroby. Być może wiąże się to z procesem starzenia się. Ostatecznie w miarę jak się starzejemy, różne części naszego ciała zaczynają obumierać. Być może w pewnym momencie zaczynamy obumierać także emocjonalnie. Sądzi pan, że to możliwe? Tego się właśnie obawiam, obawiam się, że to prawda. Że pożegnamy pana Christoffa, po czym okaże się, że... przynajmniej w moim wypadku... nic się nie zmieniło.

Skręciliśmy w inną uliczkę. Chodniki były tu tak wąskie, że przeszliśmy na środek jezdni. Czułam, że kobieta czeka na moją odpowiedź, rzekłam więc:

– Pani Hoffman, uważam, że bez względu na naturę procesu starzenia się, najważniejsze, aby nie upadała pani na duchu. Aby nie poddawała się pani temu... temu czemuś.

Pani Hoffman spojrzała w niebo i przez chwilę nic nie mówiła.

– Te cudowne sny o świcie... – odezwała się w końcu. – Kiedy nadchodzi dzień i nic takiego się nie wydarza, często robię sobie gorzkie wyrzuty. Ale zapewniam pana, że jeszcze się nie poddałam. Gdybym się poddała, tak niewiele zostałoby mi w życiu. Jeszcze nie rezygnuję z moich snów. Wciąż marzę o ciepłym rodzinnym. Ale jest jeszcze coś, panie Ryder. Być może wydam się panu niemądra... jeśli tak, proszę mi o tym powiedzieć. Otóż mam nadzieję, że pewnego dnia odkryję to coś. Mam nadzieję, że to odkryję, a wówczas wszystkie lata, kiedy mnie to dręczyło, przestaną się liczyć, zostaną wymazane. Mam przeczucie, że wystarczy jedna chwila, jedna odpowiednia chwila, może nawet bardzo krótka. To tak, jakby nagle pękła lina, a na podłogę opadła gruba zasłona, ukazując zupełnie inny świat, pełen ciepła i słońca. Widzę, że podchodzi pan do tego bardzo sceptycznie, panie Ryder. Czy szaleństwem jest w to wierzyć? Że pomimo tylu lat wszystko może zmienić jedna chwila?

To, co wzięła za sceptycyzm, było w istocie czymś zupełnie innym. Kiedy mówiła, przypomniałem sobie o recitalu Stephana, a na mojej twarzy odmalowało się zapewne podniecenie. Powiedziałem, może nieco zbyt gorliwie:

– Pani Hoffman, nie chcę wzbudzać w pani płonnych nadziei, ale możliwe, że już wkrótce przeżyje pani coś, co być może okaże się taką chwilą, o jakiej pani mówi. Możliwe, że chwila taka nadarzy się już w najbliższej przyszłości. Coś, co panią zadziwi, zmusi do przewartościowań, ukaże wszystko w nowym, lepszym świetle. Coś, co rzeczywiście wymaże te wszystkie złe lata. Nie chcę wzbudzać w pani płonnych nadziei, mówię tylko, że to możliwe. Taka chwila może nadejść nawet dzisiaj, dlatego nie wolno pani upadać na duchu.

Ugryzłem się w język, przyszło mi bowiem na myśl, że niepotrzebnie kuszę los. Jakkolwiek próbka gry Stephana zrobiła na mnie duże wrażenie, młody człowiek mógł się przecież załamać pod presją chwili. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej żałowałem swoich słów. Kiedy jednak spojrzałem na panią Hoffman, zauważyłem, że nie jest ani zdziwiona, ani ożywiona. Po dłuższej chwili powiedziała:

– Kiedy spotkał mnie pan przed chwilą na ulicy, panie Ryder, tylko udawałam, że wyszłam odetchnąć świeżym powietrzem. W rzeczywistości chciałam się przygotować. Oczywiście możliwość, o której pan wspominał, nasunęła mi się na myśl już wcześniej. Taki wieczór. Tak, wszystko może się zdarzyć. Przygotowywałam się zatem. I nie wstydę się panu wyznać, że jestem trochę przerażona. Bo, widzi pan, w przeszłości zdarzały się już podobne chwile, lecz nigdy nie miałam dość siły, żeby je wykorzystać. Kto wie, ile jeszcze razy nadarzy się taka okazja? Toteż chciałam się przygotować jak najlepiej, panie Ryder. O, jesteśmy na miejscu. To tylne wejście. Zaprowadzi pana do kuchni. Pokażę panu wejście dla artystów. Ale nie pójdę z panem. Czuję, że potrzebuję jeszcze trochę powietrza.

– Bardzo się cieszę, że panią poznałem, pani Hoffman. Miło z pani strony, że zechciała mi pani towarzyszyć w tych trudnych dla pani chwilach. Oby wszystko ułożyło się dziś po pani myśli.

– Dziękuję, panie Ryder. Jestem pewna, że pan również musi przemyśleć wiele spraw. Rozmowa z panem to prawdziwa przyjemność.

## Rozdział 29

Kiedy pani Hoffman zniknęła w mroku, odwróciłem się i pospieszyłem ku drzwiom, które mi wskazała. Po drodze nasunęła mi się refleksja, że cała ta niepotrzebna panika, której niedawno doświadczyłem, powinna mnie nauczyć, iż pod żadnym pozorem nie wolno mi teraz odkładać zasadniczych spraw na później. Na chwilę przed wejściem do gmachu wszystko wydało mi się nagle bardzo proste. Oto nareszcie po tylu latach znów miałem zagrać przed moimi rodzicami. W tej sytuacji powinienem zrobić wszystko, aby mój występ wypadł możliwie najpełniej i najefektowniej. Nawet pytania i odpowiedzi miały drugorzędne znaczenie. Cały zamęt kilku poprzednich dni, wszystkie niepowodzenia okazałyby się zupełnie nieistotne, gdyby tego wieczoru udało mi się osiągnąć mój główny cel.

Szerokie, białe drzwi oświetlała od góry pojedyncza żarówka. Żeby je otworzyć, musiałem naprzeć całym ciałem, przez co omal się nie przewróciłem, wpadając do środka.

Chociaż pani Hoffman zapewniała mnie, że są to drzwi dla artystów, od razu odniosłem wrażenie, że wchodzę do gmachu przez drzwi kuchenne. W ostrym świetle jarzeniówek ujrzałem szeroki, obskurny korytarz. Zewsząd dobiegały krzyki i nawoływania, brzęk ciężkich metalowych przedmiotów, plusk wody i syk pary. Przede mną stał wózek towarowy, obok którego kłóciło się zajadle dwóch mężczyzn w fartuchach. Jeden z nich trzymał długi zwój papieru, który opadał niemal do jego stóp, i co chwila stukał weń palcem. Miałem zamiar im przerwać i zapytać, gdzie mogę znaleźć Hoffmana – chciałem bowiem dokonać inspekcji sali i sprawdzić fortepian, zanim zaczną się gromadzić publiczność – byli jednak głęboko pochłonięci sprzeczką, tak więc zdecydowałem się iść dalej.

Korytarz zakręcał łagodnie. Po drodze mijałem wielu ludzi, wszyscy jednak wyglądali na bardzo zajętych i lekko podenerwowanych. Ubrani na biało, spieszyli przed siebie z nieobecny wyrazem twarzy, targając ciężkie torby lub pchając wyładowane wózki. Nie miałem ochoty ich zatrzymywać, szedłem więc dalej z nadzieją, że w końcu dotrę do innej części gmachu, gdzie znajdę garderoby i – być może – Hoffmana albo kogoś innego, kto mógłby mnie oprowadzić po budynku. Nagle usłyszałem, że ktoś mnie woła, i odwróciwszy się, zobaczyłem, że biegnie za mną jakiś mężczyzna. Wydał mi się znajomy i po chwili poznałem w nim brodatego boya hotelowego, który poprzedniego dnia rozpoczął taneczną część wieczoru w kawiarni.

– Wreszcie pana znalazłem, panie Ryder – powiedział, ciężko dysząc. – Już trzeci raz obchodzę cały budynek. Trzyma się dzielnie, ale chcemy wezwać karetkę. Uparł się jednak, że nigdzie się nie ruszy, dopóki nie pomówi z panem. Tędy, proszę pana. Trzyma się dzielnie, dzięki Bogu.

– Kto się dzielnie trzyma? Co się stało?

– Tędy, proszę pana. Lepiej się pospieszmy. Przepraszam, panie Ryder, już wyjaśniam. Gustav zachorował. Mnie przy tym nie było, ale dwóch chłopców, Wilhelm i Hubert, pracowało razem z nim i to oni dali nam znać. Oczywiście przygnałem tu, jak tylko dostałem wiadomość, inni chłopcy tak samo. Gustav, zdaje się, pracował bardzo dobrze, ale potem wszedł do łazienki i długo nie wychodził. To do niego niepodobne, więc Wilhelm postanowił sprawdzić, co się stało. Kiedy wszedł do łazienki, Gustav stał nad umywalką ze zwieszoną głową. Wtedy jeszcze nie było z nim tak źle. Powiedział Wilhelmowi, że dostał małego zawrotu głowy, to wszystko, nie ma się czym przejmować. Wilhelm, jak to Wilhelm, nie wiedział, co robić, tym bardziej że sam Gustav twierdził, że nie ma się czym przejmować, sprowadził więc Huberta. Hubert rzucił okiem i od razu zdecydował, że Gustav musi się gdzieś położyć. Stanęli z obu stron, aby mu pomóc, i wtedy zauważyli, że stracił przytomność, na stojąco, przytrzymując się umywalki. Trzymał się jej kurczowo i Wilhelm mówi, że musieli odginać każdy palec po kolei. Potem Gustav jakby trochę oprzytomniał i chłopcy wzięli go pod pachy i wyprowadzili. A Gustav powtarzał, że niepotrzebnie robią zamieszanie, że z nim wszystko w porządku i że może pracować dalej. Ale Hubert nawet nie chciał o tym słyszeć. Położyli go w pustej garderobie.

Kroczył żwawo przede mną, przez cały czas mówiąc przez ramię, ale nagle urwał, żeby uskoczyć przed nadjeżdżającym wózkiem.

– Brzmi to bardzo niepokojąco – powiedziałem. – Kiedy dokładnie do tego doszło?

– Myślę, że jakieś parę godzin temu. Z początku nie wyglądał źle i twierdził, że potrzebuje tylko paru minut, żeby odpocząć. Zaniepokojony Hubert dał nam jednak znać i zaraz wszyscy się tu zjawiliśmy, co do jednego. Poszukaliśmy materaca, żeby miał się na czym położyć, i koca, ale wyglądał coraz gorzej i wspólnie doszliśmy do wniosku, że potrzebuje fachowej pomocy. Lecz Gustav nie chciał o tym słyszeć, nagle stał się nieugięty, domagał się rozmowy z panem. Nalegał, powiedział, że pójdzie do szpitala, jeśli tak postanowiliśmy, ale najpierw musi porozmawiać z panem. Marniał w oczach, a mimo to nie dał sobie przemówić do rozsądku, więc zaczęliśmy pana szukać. No i, dzięki Bogu, wreszcie udało mi się pana znaleźć. To już tu, ostatnie drzwi.

Wyobrażałem sobie, że korytarz ciągnie się nieprzerwanie dokoła budynku, teraz

jednak zauważyłem, że przecina go kremowa ściana. Ostatnie drzwi przed ścianą były uchylone. Zatrzymawszy się w progu, brodacz zajrzał ostrożnie do środka. Potem dał mi znak i weszliśmy razem do pokoju.

Za drzwiami stało kilkanaście osób i gdy weszliśmy, wszyscy obejrzeni się na nas, po czym skwapliwie usunęli się na bok. Byli to zapewne pozostali boye hotelowi, ale nie przyglądałem się im dokładniej, moje spojrzenie od razu bowiem przyciągnął Gustav.

Leżał na materacu rozłożonym na posadzce z terakoty, przykryty kocem. Jeden z boyów hotelowych klęczał przy nim i mówił coś łagodnie, ale na mój widok wstał. Po chwili pokój opustoszał, zamknęły się drzwi i zostałem sam na sam z Gustavem.

Nie było nawet krzesła, na którym mógłbym usiąść. Brakowało też okien i choć z otworu wentylacyjnego pod sufitem dochodziło monotonne buczenie, było duszno. Pod stopami czułem twardą i chłodną posadzkę. Lampa u sufitu była zgaszona albo zepsuta, tak że jedyne źródło światła stanowiły żarówki wokół lustra. Mimo to dość dobrze widziałem dziwnie poszarzałą twarz Gustava. Leżał nieruchomo na plecach, tylko od czasu do czasu wstrząsał nim jakiś bolesny skurcz i wtedy wciskał głowę głębiej w materac. Kiedy wszedłem do pokoju, uśmiechnął się do mnie, ale nic nie powiedział, zapewne oszczędzając siły na rozmowę w cztery oczy. Teraz rzekł słabym, lecz nadspodziewanie opanowanym głosem:

– Przepraszam, że pana niepokoję. Że też musiało mi się to przydarzyć. I to właśnie dzisiaj, gdy ma pan wyświadczyć nam tę wielką przysługę...

– Tak, tak – przerwałem mu szybko. – Ale proszę mi powiedzieć, jak się pan czuje. – Przykucnąłem obok niego.

– Chyba nie najlepiej. Zdaje się, że będę musiał iść do szpitala na małe badania. – Przerwał, a jego ciałem targnął kolejny skurcz. Zamknawszy oczy, przez parę sekund mocował się niemo z bólem. Potem podniósł powieki i powiedział: – Muszę z panem porozmawiać. Jest coś, o czym muszę z panem porozmawiać.

– Od razu chcę pana zapewnić – powiedziałem – że jestem niezmiennie oddany waszej sprawie. Tego wieczoru zamierzam uzmysłwić zebranym, jak niesprawiedliwie traktowali pana i pańskich kolegów przez te wszystkie lata. Mam zamiar zwrócić uwagę na rozliczne nieporozumienia...

Urwałem, zauważyłem bowiem, że Gustav usiłuje ściągnąć moją uwagę.

– Ani przez chwilę nie wątpiłem – odezwał się po chwili – że dotrzyma pan obietnicy. Jestem panu ogromnie wdzięczny, że zgodził się pan stanąć w naszej obronie. Chciałem jednak porozmawiać z panem o czym innym. – Zacisnął zęby, walcząc z kolejnym atakiem bólu.

– Nie jestem pewien – powiedziałem – czy nie byłoby rozsądniej, gdyby od razu poszedł pan do szpitala...

– Ależ nie, proszę. Potem może być za późno. Widzi pan, już czas najwyższy, żebym z nią porozmawiał. Mam na myśli Sophie. Muszę z nią porozmawiać. Wiem, że dziś będzie pan bardzo zajęty, ale widzi pan, nikt inny nie wie o tym, co jest między mną a Sophie, o naszej umowie. Rozumiem, że to dla pana niemały kłopot, ale czy nie zechciałby pan przejść się do niej i wszystko wytłumaczyć? Tylko pan może to zrobić.

– Przepraszam – powiedziałem szczerze zdziwiony – co takiego miałbym jej wytłumaczyć?

– Dlaczego nasza umowa... dlaczego należy ją w końcu zerwać. Niełatwo będzie ją o tym przekonać po tylu latach. Ale mógłby pan spróbować jej uzmysłwić, że czas z tym skończyć. Wiem, że to dla pana niemały kłopot, ale do pańskiego występu zostało jeszcze trochę czasu. Jak już mówiłem, jest pan jedyną osobą, która wie...

Urwał przeszyty kolejnym atakiem bólu. Widziałem, jak jego mięśnie naprężają się pod kocem, ale tym razem nie spuszczał ze mnie oczu, nawet gdy całym jego ciałem wstrząsał ból. Kiedy atak minął, odrzekłem:

– To prawda, zostało mi jeszcze trochę czasu do występu. Dobrze, zobaczę, co się da zrobić. Spróbuję ją przekonać. W każdym razie sprowadzę ją tu jak najszybciej. Miejmy jednak nadzieję, że wkrótce wróci pan do sił i że pański stan okaże się o wiele mniej poważny, niż pan myśli...

– Bardzo proszę. Będę panu szczerze zobowiązany, jeśli uda się panu ją tu sprowadzić. Oczywiście postaram się wytrwać do tego czasu...

– Tak, tak, już po nią idę. Proszę chwilę poczekać, będę się spieszyć.

Podniosłem się i ruszyłem ku wyjściu, ale zanim wyszedłem, pewna myśl kazała mi się cofnąć i ponownie podejść do leżącego na podłodze Gustava.

– A Boris? – zapytałem, przykucnąwszy ponownie. – Co z Borisem? Czy jego też mam przyprowadzić?

Gustav spojrział na mnie, wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Ponieważ przez dłuższą chwilę milczał, powiedziałem:

– Może lepiej, żeby nie widział pana w tym... w obecnym stanie.

Zdało mi się, że Gustav skinął nieznacznie głową, wciąż jednak nie otwierał oczu i się nie odzywał.

– W końcu – ciągnąłem – Boris ma określony wizerunek pańskiej osoby. Na pewno by pan chciał, żeby takim pana zapamiętał.

Tym razem Gustav już wyraźniej skinął głową.

– Chciałem się tylko upewnić – wyjaśniłem, wstając. – Dobrze, przyprowadzę samą Sophie. To nie potrwa długo.

Znowu podszedłem do drzwi i już naciskałem klamkę, gdy nagle Gustav zawołał:

– Panie Ryder!

Zawołał nie tylko zadziwiająco głośno, ale i z taką mocą w głosie, której bym się po nim nie spodziewał. Kiedy jednak na niego spojrzałem, znów leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami. Podszedłem do niego lekko zaniepokojony, ale Gustav otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Borisa także proszę przyprowadzić – powiedział bardzo cicho. – Nie jest już taki mały. Powinien mnie zobaczyć. Chłopak musi uczyć się życia, poznawać prawdę.

Jego powieki znów opadły, a rysy twarzy stężały, jakby znów zmagął się z bólem. Dostrzegłem jednak pewną różnicę i gdy na niego spojrzałem, zauważyłem, że staruszek płacze. Przyglądałem mu się przez chwilę, nie wiedząc, jak się zachować. W końcu dotknąłem delikatnie jego ramienia.

– Zaraz wracam – szepnąłem.

Kiedy wyszedłem z pokoju, pozostali boye hotelowi, którzy tłoczyli się w pobliżu drzwi, skierowali na mnie pytające spojrzenia. Zacząłem przeciskać się między nimi, mówiąc stanowczo:

– Uważajcie na niego, panowie. Muszę spełnić pilne życzenie chorego, tak więc chwilowo nie mogę z wami zostać. Przepraszam.

Ktoś zaczął mi zadawać jakieś pytanie, ja jednak oddaliłem się pospiesznie, nie oglądając się za siebie.

Postanowiłem jak najszybciej odnaleźć Hoffmana i nakłonić go, żeby bezzwłocznie zawiózł mnie do mieszkania Sophie. Po drodze uświadomiłem sobie jednak, że nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Co więcej, korytarz całkowicie zmienił charakter od czasu, gdy szedłem nim z brodatym boyem hotelowym. Wprawdzie tu i ówdzie wciąż natykałem się na wózki towarowe, ale większość mijanych osób stanowili bez wątpienia muzycy zaproszonej orkiestry. Z obu stron korytarza ciągnęły się rzędy garderób – przeważnie otwartych – przed którymi stali dwójkami lub trójkami muzycy, śmiejąc się i gawędząc, niekiedy nawołując z daleka. Raz po raz widziałem też zamknięte drzwi, zza których dobiegały dźwięki tego czy innego instrumentu, ale ogólnie biorąc, atmosfera wśród muzyków wydała mi się nader beztraska. Powziąłem już zamiar zapytania któregoś z nich, gdzie mogę znaleźć Hoffmana, gdy nagle przez uchylone drzwi do jednej z garderób dostrzegłem samego kierownika hotelu.

Zatrzymałem się i pchnąłem drzwi.

Hoffman stał przed wysokim lustrem, przypatrując się sobie uważnie. Był we fraku, a na twarzy miał gruby makijaż – zauważyłem, że na ramiona i kołnierz spadło trochę pudru. Mamrotał coś pod nosem, nie odrywając wzroku od swojego odbicia w lustrze. Gdy tak stałem w drzwiach, obserwując go, wykonał nagle dziwny manewr. Zgiąwszy się w pół, podniósł sztywno rękę, tak że łokieć miał odchylony na zewnątrz, i zaciśniętą pięścią uderzył się w czoło – raz, drugi, trzeci. Ani na chwilę nie oderwał oczu od lustra i nie przestał mamrotać. Potem wyprostował się i spojrzał na siebie bez słowa. W obawie, że za chwilę powtórzy cały manewr, odchrząknąłem pospiesznie i się odezwałem:

– Panie Hoffman.

Wzdrygnął się i wlepił we mnie oczy.

– Przeszkodziłem panu – powiedziałem. – Proszę o wybaczenie.

Hoffman powiódł dokoła błędnym wzrokiem, lecz zaraz odzyskał zwykłą pewność siebie.

– To pan, panie Ryder – rzekł z uśmiechem. – Jak się pan miewa? Ufam, że wyposażenie budynku nie budzi pańskich zastrzeżeń.

– Panie Hoffman, zaistniała pewna nieprzewidziana okoliczność. Potrzebny mi samochód, który jak najszybciej zawiózłby mnie w pewne miejsce. Chciałbym wiedzieć, czy uda się to załatwić natychmiast.

– Samochód, panie Ryder? Teraz?

– To nadzwyczaj pilna sprawa. Rzecz jasna, wrócę tu niebawem, żeby wypełnić moje zobowiązania.

– Tak, tak, oczywiście. – Hoffman wydawał się lekko zakłopotany. – Nic prostszego, samochód. Normalnie zapewniłbym panu również kierowcę albo sam chętnie bym pana odwiózł. Niestety, obecnie wszyscy moi ludzie mają pełne ręce roboty. Co do mnie, muszę osobiście dopilnować wielu spraw, a także przeciwiczyć kilka skromnych kwestii. Ha, ha! Jak panu wiadomo, mam wygłosić małe przemówienie. I choć mój wkład w porównaniu z pańskim czy pana Brodsky'ego, który notabene trochę się spóźnia, musi się wydać nader błahy, chciałbym wypaść jak najlepiej. Tak, pan Brodsky trochę się spóźnia, ale nie ma się czym martwić. To jego garderoba, właśnie przyszedłem ją obejrzeć. Bardzo dobra garderoba. Jestem przekonany, że pan Brodsky zjawi się tu lada moment. Jak pan wie, osobiście nadzorowałem jego... eee... powrót do zdrowia, miałem więc przyjemność obserwować, jakie czyni postępy. Cóż za motywacja, cóż za poczucie godności! Tak więc dziś, w tej decydującej chwili, mam do niego pełne zaufanie. Tak, pełne zaufanie. Na tym etapie nawrót

choroby byłby czymś nie do pomyślenia. To byłaby katastrofa dla całego miasta! I naturalnie moja osobista klęska. To oczywiście drobiazg w skali ogólnej, ale... proszę mi wybaczyć tę uwagę... oznaczałoby to mój koniec. Klęska w przededniu zwycięstwa. Cóż za upokorzenie! Nie mógłbym spojrzeć ludziom w oczy. Musiałbym się ukrywać. Ale po co ja tu roztaczam przed panem takie nieprawdopodobne wizje! Mam do pana Brodsky'ego pełne zaufanie. Przyjdzie.

– Tak, jestem pewien, że przyjdzie, panie Hoffman – powiedziałem. – Jestem też pewien, że cała dzisiejsza uroczystość zakończy się wielkim sukcesem...

– Tak, wiem! – wykrzyknął zniecierpliwiony. – Nie trzeba mnie utwierdzać w tym przekonaniu! Nawet bym o tym nie wspomniał, w końcu do rozpoczęcia zostało jeszcze mnóstwo czasu, nawet bym o tym nie wspomniał, gdyby nie... gdyby nie wydarzenia tego wieczoru.

– Jakie wydarzenia?

– Nie słyszał pan? No tak, niby skąd. Nic wielkiego. Wczesnym wieczorem nastąpił ciąg wydarzeń, w których wyniku kiedy parę godzin temu rozstawałem się z panem Brodskym, sączył whisky. Ależ nie, wiem, co pan sobie pomyślał. Nie, skądże!

Najpierw zapytał mnie o zdanie i po krótkim namyśle ustąpiłem, doszedłszy do wniosku, że w tych wyjątkowych okolicznościach odrobina alkoholu nie powinna mu zaszkodzić. Uznałem nawet, że jest wskazana. Może się myliłem, zobaczymy. Uważam jednak, że nie. Oczywiście, jeśli popełniłem błąd, cały wieczór przepadł, totalna klęska! Będę zmuszony ukrywać się do końca życia. Tak czy inaczej, sytuacja bardzo się skomplikowała i musiałem coś postanowić. Skończyło się na tym, że zostawiłem pana Brodsky'ego w jego domu ze szklaneczką whisky. Jestem pewien, że na tym poprzestał. Dręczy mnie tylko jedna myśl: że być może powinienem był zrobić coś z tą szafką. Zresztą na pewno przemawia przeze mnie nadmierna ostrożność. Przecież pan Brodsky poczynił ogromne postępy, bez wątpienia można mu zaufać, w pełni zaufać. – Mówiąc to, bawił się swoją muszką i teraz odwrócił się do lustra, żeby ją poprawić.

– Co dokładnie się dziś wydarzyło, panie Hoffman? – spytałem. – Jeśli panu Brodsky'emu coś się stało lub doszło do czegoś, co w jakikolwiek sposób może wpłynąć na całokształt spraw, to chyba należałoby powiadomić mnie o tym wcześniej. Zgodzi się pan ze mną, panie Hoffman?

Kierownik hotelu się zaśmiał.

– Ależ myli się pan, panie Ryder. Nie ma się czym martwić. Proszę na mnie spojrzeć, czy ja się martwię? Od tego wieczoru zależy cała moja reputacja, a przecież jestem spokojny i

ufny. Powiadam panu, nie ma najmniejszych powodów do obaw.

– A szafka, o której pan przed chwilą wspomniał?

– Szafka? Ach, miałem na myśli szafkę, którą odkryłem dziś w domu pana Brodsky’ego. Jak pan może wie, pan Brodsky mieszka od wielu lat w starym wiejskim domku na północ od miasta. Oczywiście gościłem tam już nieraz, ale ze względu na pewien nieład... pan Brodsky ma niewątpliwie własny sposób porządkowania rzeczy... nigdy nie obejrzałem sobie jego rezydencji zbyt dokładnie. Dopiero dziś wyszło na jaw, że został mu mały zapas alkoholu. Przysięgał, że o nim zapomniał. Dopiero gdy stało się to, co się stało, gdy powiedziałem, że w tej sytuacji, w tej wyjątkowej sytuacji, która wynikła w związku z panną Collins i tak dalej, tylko z tego powodu, widzi pan, po dobrym namyśle zgodziłem się z nim, że mimo pewnego ryzyka szklaneczka whisky na uspokojenie dobrze mu zrobi. Był zupełnie rozbity po spotkaniu z panną Collins. Dopiero gdy zaproponowałem, że przyniosę z samochodu swoją piersiówkę, pan Brodsky przypomniał sobie, że jest jeszcze jedna szafka, której nie opróżnił, i poszedł do... można to chyba nazwać jego kuchnią. Od paru miesięcy pan Brodsky dzielnie odnawia swoje mieszkanie. Sporo już zrobił, pozatykał wszystkie dziury, chociaż wciąż brakuje okien. Otworzył więc szafkę, która leżała bokiem na podłodze, a w środku stało kilkanaście starych butelek z alkoholem. Głównie whisky. Zdumienie pana Brodsky’ego było nie mniejsze niż moje. Przyszło mi, i owszem, na myśl, że należy coś z tym zrobić. Że powinienem zabrać butelki ze sobą albo wylać ich zawartość na ziemię. Ale sam pan rozumie, pan Brodsky mógłby poczuć się obrażony, przecież ostatnio wykazał się wielką odwagą i determinacją. A ponieważ dopiero co doznał małego szoku w związku z panną Collins...

– Przepraszam, panie Hoffman, może mi pan wyjaśni, co ma z tym wspólnego panna Collins?

– A, to jeszcze inna historia. Właśnie za jej sprawą znalazłem się u pana Brodsky’ego. Widzi pan, dziś musiałem mu przekazać nader przykrą wiadomość. Nie było to bynajmniej zadanie godne pozazdroszczenia. Prawdę mówiąc, jeszcze przed ich wczorajszym spotkaniem w zoo dręczyły mnie różne obawy. Niepokoiłem się mianowicie o pannę Collins. Kto by pomyślał, że sprawy między nimi potoczą się tak szybko, i to po tych wszystkich latach. Tak, niepokoiłem się. Panna Collins to wspaniała osoba, czuję dla niej najwyższy szacunek. Nie mógłbym patrzeć, jak jej życie znów się rozpada w kawałki. Widzi pan, panna Collins jest kobietą wielkiej mądrości, każdy w tym mieście zaświadczy, a jednak... gdyby pan tu mieszkał, na pewno by się pan ze mną zgodził... zawsze była w niej jakaś słabość. Zyskała sobie nasz wielki szacunek, wiele osób korzysta z jej cennych rad, jednocześnie jednak... jak

by to powiedzieć... zawsze traktowaliśmy ją z pewną dozą opiekuńczości. W miarę jak pan Brodsky... wracał do siebie, pojawiało się wiele problemów, których nie brałem wcześniej pod uwagę, toteż, jak mówię, zaczynałem się niepokoić, tak więc może pan sobie wyobrazić, co czułem, gdy w drodze powrotnej z próby całkiem niewinnie napomknął pan, że panna Collins zgodziła się spotkać z panem Brodskym i że pan Brodsky właśnie oczekuje jej na cmentarzu Świętego Piotra... To się nazywa tempo! Swego czasu pan Brodsky niemal dorównywał Valentino! Uznałem, że muszę coś z tym zrobić. Nie mogłem pozwolić, żeby życie panny Collins znów zamieniło się w koszmar, zwłaszcza gdybym ja sam miał się do tego przyczynić, choćby pośrednio. Tak więc kiedy tego wieczoru zgodził się pan łaskawie wysiąść na ulicy, korzystając ze sposobności, odwiedziłem pannę Collins w jej mieszkaniu. Naturalnie zdziwiła się na mój widok. Zdziwiła się, że zjawiam się u niej w takim dniu. Innymi słowy, sama moja obecność wiele mówiła. Natychmiast poprosiła mnie do środka, ja zaś przeprosiłem ją za tę nagłą wizytę i za to, że sprawę, którą przyszedłem z nią omówić, wyłuszczyć nie tak ostrożnie i taktownie, jak bym sobie tego życzył. Panna Collins okazała oczywiście wielką wyrozumiałość. „Domyślałam się, panie Hoffman, że ma pan dziś wiele pracy”, rzekła. Usiedliśmy w jej salonie, po czym od razu przeszedłem do rzeczy. Powiedziałem jej, że słyszałem o planowanym spotkaniu jej i pana Brodsky’ego. Panna Collins spuściła oczy, zupełnie jak mała dziewczynka. Potem powiedziała bardzo nieśmiało: „To prawda, panie Hoffman. Kiedy pan tu szedł, szykowałam się właśnie do wyjścia. Już od ponad godziny przymierzam ubrania, upinam włosy na różne sposoby. Czyż to nie zabawne, w moim wieku? Tak, to prawda, panie Hoffman. Był tu dziś rano i namówił mnie. Zgodziłam się z nim spotkać”. Powiedziała coś w tym rodzaju, a właściwie wymamrotała, nie tak, jak przystało na elegancką damę. A ja drążyłem sprawę, bardzo delikatnie, rzecz jasna. Taktownie zwróciłem jej uwagę na możliwe pułapki. Używałem zwrotów w rodzaju: „To nie takie proste, panno Collins”. Brnąłem do przodu tak ostrożnie, jak tylko pozwalał mi na to czas. Sądzę, że gdybym miał więcej czasu na wymianę kurtuazyjnych uwag i na pogawędkę towarzyską, poradziłbym sobie o wiele lepiej. Zresztą może efekt byłby podobny : i tak trudno byłoby się jej pogodzić z tym, co ją czeka. Pomimo całej mojej oględności, kiedy wreszcie unaocznilem jej całą prawdę, kiedy ostrzegłem: „Panno Collins, wszystkie dawne rany otworzą się na nowo i sprawią pani wiele bólu. To ponad pani siły. Czy już pani zapomniała? Znów chce się pani narażać na to samo? Wszystko, co pani wycierpiała... upokorzenie, ogrom bólu... wszystko to wróci ze zdwojoną mocą. Po tylu latach budowania nowego życia!”, kiedy przedstawiłem jej sprawy w tym świetle... nie było to wcale łatwe, powiadam panu... zobaczyłem, że coś w niej pęka, choć starała się okazywać spokój.

Zrozumiałem, że wracają do niej tamte wspomnienia, że otwierają się stare rany. Nie było to łatwe, powiadam panu, ale czułem, że mam obowiązek mówić dalej. W końcu powiedziała bardzo cicho: „Ale dałam mu słowo, panie Hoffman. Dałam słowo, że dziś się spotkamy. Liczy na mnie. Potrzebuje mnie, jak przed każdym ważnym występem”. Na co odparłem: „Bez wątpienia poczuje się rozczarowany. Postaram się jednak jakoś mu to wytłumaczyć. Zresztą w głębi serca będzie wiedział, podobnie jak pani, że to spotkanie nie jest wskazane. Że przeszłość najlepiej zostawić w spokoju”. Wtedy spojrzała przez okno, jakby we śnie, i powiedziała: „Ale on już tam pewnie czeka”. Odrzekłem na to: „Sam do niego pojedę, panno Collins. Wprawdzie jestem bardzo zajęty, ale sprawa ta wydaje mi się tak ważna, że nikomu nie mogę jej powierzyć. Załatwię ją sam. Pojadę natychmiast na cmentarz i wyjaśnię mu całą sytuację. Może być pani pewna, panno Collins, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby go pocieszyć. Spróbuję go namówić, żeby myślał o przyszłości, o tym wielkim wyzwaniu, które czeka go wieczorem”. Tak się mniej więcej wyraziłem, panie Ryder. I choć muszę powiedzieć, że przez chwilę wyglądała na zupełnie zdruzgotaną jest przecież kobietą rozsądną i przynajmniej w części musiała sobie zdawać sprawę, że mam rację. Dotknęła miękko mojego ramienia, poprosiła: „Niech pan do niego jedzie. Zaraz. Proszę zrobić, co w pańskiej mocy”. Podniosłem się i ruszyłem do wyjścia, ale przypomniałem sobie, że mam jeszcze jeden przykry obowiązek. „Byłbym zapomniiał, panno Collins”, powiedziałem. „W tych okolicznościach jestem skłonny uważać, że najlepiej będzie, jeśli tego wieczoru zostanie pani w domu”. Skinęła głową z trudem powstrzymując łzy. „Nie wolno lekceważyć jego uczuć”, ciągnąłem. „Po tym, co się stało, pani obecność na sali w tej decydującej chwili mogłaby niekorzystnie wpłynąć na stan jego ducha”. Ponownie skinęła głową dając mi do zrozumienia, że w pełni rozumie. Przeprosiłem ją i wyszedłem. I choć tyle pilnych spraw wciąż czekało na załatwienie... dostawy bekonu, chleba... miałem świadomość, że przede wszystkim należy dopilnować, aby pan Brodsky pokonał bezpiecznie tę ostatnią przeszkodę. Pojechałem więc na cmentarz. Zanim tam dotarłem, zrobiło się ciemno i musiałem kluczyć chwilę między grobami, nim udało mi się go znaleźć. Siedział na nagrobku wyraźnie przygnębiony. Kiedy zobaczył, że się do niego zbliżam, obrzucił mnie zmęczonym spojrzeniem i powiedział: „Wiem, po co pan przyjechał. Spodziewałem się tego. Wiedziałem, że to się nie uda”. Pomyśli pan pewnie, że ułatwiło mi to zadanie, ale powiadam panu, nie było to wcale takie proste. Przychodzić do niego z taką wiadomością. Kiwnąłem potakująco głową i powiedziałem, że tak, istotnie, nie przyjdzie. Po głębszym namyśle zmieniła zdanie. Co więcej, postanowiła, że nie pójdzie na wieczorny koncert. Nie uważałem za stosowne wdawać się w dalsze szczegóły. Wydawał się kompletnie przybity, odwróciłem więc wzrok i

przez chwilę udawałem, że studiuje sąsiedni nagrobek. „A, to grób pana Kaltza”, powiedziałem w stronę drzew, wiedziałem bowiem, że pan Brodsky cicho szlocha. „Kiedy go pochowaliśmy? Wydaje się, jakby to było wczoraj, a to już czternaście lat. Był taki samotny przed śmiercią”. Podtrzymywałem w ten sposób rozmowę, dając mu czas, żeby się wypłakał. Kiedy wyczułem, że zdołał opanować łzy, odwróciłem się do niego i zaproponowałem, żeby pojechał ze mną do sali koncertowej i przygotował się do występu. On jednak stwierdził, że jest jeszcze za wcześnie. Za bardzo by się denerwował, czekając tak długo za kulisami. Uznałem, że ma rację, i zaproponowałem, że odwiozę go do domu. Zgodził się i poszliśmy do wyjścia i dalej w stronę samochodu. Kiedy jechaliśmy szosą północną do jego domu, przez całą drogę wpatrywał się milcząco w okno, a w jego oczach od czasu do czasu wzbierały łzy. Zdałem sobie wówczas sprawę, że na tym nie koniec. Że sytuacja nie jest tak pewna, jak mogłoby się wydawać jeszcze parę godzin wcześniej. Wciąż jednak nie traciłem nadziei, panie Ryder, zresztą do tej pory jej nie straciłem. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Pan Brodsky odnowił dużą część domu, wiele pokoi jest teraz bardzo wygodnie urządzonych. Weszliśmy do salonu i kiedy zapalił światło, rozejrzałem się i spróbowałem go zająć lekką rozmową. Zaproponowałem, że przyślę do niego ludzi, którzy zrobią coś z grzybem na ścianach. Siedział w fotelu ze wzrokiem utkwionym w dal i zdawało się, że nie słyszy. Potem wyznał, że ma ochotę na drinka. Na małego drinka. Powiedziałem, że to nie wchodzi w grę. Odparł bardzo spokojnie, że nie chce się upić, tak jak dawniej. Że z takim pić skończył raz na zawsze. Ale właśnie doznał bolesnego zawodu. Pęka mu serce. Tak powiedział. Pęka mu serce, ale wie, jak wielka odpowiedzialność ciąży na nim tego wieczoru. Wie, że musi dobrze wypaść. Nie chce się upić, tak jak dawniej. To chyba widać? Popatrzyłem na niego i uznałem, że mówi prawdę. Ujrzałem człowieka zasmuconego i zawiedzionego, lecz przy tym w pełni odpowiedzialnego. Poznał siebie lepiej niż ktokolwiek inny i wie, czego mu trzeba. Teraz zaś stwierdza, że w tej krytycznej chwili jego organizm potrzebuje drinka. Żeby złagodzić skutki szoku, którego właśnie doznał. Żeby odzyskać równowagę, która pozwoli mu sprostać trudnemu zadaniu czekającemu go wieczorem. Panie Ryder, w pierwszych dniach niejednokrotnie prosił mnie o drinka, ale tym razem było to coś zupełnie innego. To było widać. Spojrzałem mu głęboko w oczy i spytałem: „Czy mogę panu zaufać, panie Brodsky? Mam w samochodzie trochę whisky. Jeśli dam panu kieliszek, czy mogę być pewien, że na tym pan poprzestanie? Jeden kieliszek i na tym koniec?”. Na co odparł, wytrzymując moje spojrzenie: „To nie to samo co przedtem. Przysięgam”. Poszedłem więc do samochodu, było bardzo ciemno, wiatr wył potępieńczo w koronach drzew, wziąłem flaszkę i wróciłem do pokoju, ale jego nie było już w fotelu. Znalazłem go w kuchni. Jest to właściwie

przybudówka, którą pan Brodsky przystosowuje obecnie do swoich potrzeb. Tak, znalazłem go w chwili, gdy otwierał szafkę, która leżała bokiem na podłodze. Zupełnie o niej zapomniał, wyjaśnił, kiedy mnie zauważył. A w środku stały butelki whisky. Pełno butelek. Wyjął tylko jedną, otworzył i nalał sobie trochę whisky. Potem, patrząc mi w oczy, wylał resztę na podłogę. Powinienem dodać, że podłoga w jego kuchni to właściwie klepisko, więc szczególnie nie nabrudził. A kiedy wylał zawartość butelki na ziemię, przeszliśmy z powrotem do głównego pokoju. Usiadł w fotelu i zaczął sączyć swoją whisky. Przyglądałem mu się uważnie i widziałem, że nie pije tak jak kiedyś. Już samo to, że mógł tak po prostu sączyć... Wiedziałem, że podjąłem słuszną decyzję. Powiedziałem, że muszę wracać. Że już i tak nie było mnie zbyt długo. Muszę dopilnować dostaw bekonu i chleba. Wstałem i w tym momencie obaj pomyśleliśmy o tym samym, czyli o szafce. Pan Brodsky spojrzał mi prosto w oczy i powiedział: „To już nie to samo co kiedyś”. To mi wystarczyło. Gdybym się upierał, żeby tam zostać, mógłby się poczuć urażony. Ale, jak już mówiłem, kiedy spojrzałem mu w oczy, czułem, że mogę mu zaufać. Wyszedłem, nie zastanawiając się nad tym więcej. Dopiero parę minut temu nasunął mi się cień wątpliwości. Rozum podpowiada mi jednak, że to wskutek napięcia przed tak ważnym wydarzeniem. Niebawem tu będzie, jestem tego pewny. I jestem przekonany, że ten wieczór zakończy się ogromnym sukcesem...

– Panie Hoffman – powiedziałem, nie kryjąc zniecierpliwienia – jeśli nie widzi pan nic niepokojącego w tym, że zostawił pan pana Brodsky’ego ze szklanką whisky w rękę, to pańska sprawa. Nie byłbym taki pewien, czy to była słuszną decyzją, ale w końcu zna pan sytuację lepiej ode mnie. Chciałbym jednak panu przypomnieć, że sam potrzebuję w tej chwili pomocy. Jak już wspominałem, niezbędny jest mi samochód, i to zaraz. To naprawdę pilna sprawa, panie Hoffman.

– Ach tak, samochód. – Hoffman rozejrzał się na boki w zadumie. – Byłoby najprościej, gdyby wziął pan mój. Stoi tam, zaraz za wyjściem awaryjnym. – Wskazał jakieś drzwi w korytarzu. – Zaraz, gdzie mam kluczyki? O, są. Kierownica ściąga lekko w lewo. Nosilem się z myślą, żeby to naprawić, ale przy takim nawale spraw... Samochód jest do pańskiej dyspozycji. Nie będzie mi potrzebny do jutra.

## Rozdział 30

Wsiadłem do dużego, czarnego samochodu Hoffmana i wyjechałem z parkingu na krętą drogę, z obu stron osłoniętą jodłami. Nie była to najwyraźniej główna droga wyjazdowa – nieoświetlona, pełna nierówności, zbyt wąska, aby wyminęły się na niej dwa pojazdy, nie zmniejszając prędkości. Prowadziłem ostrożnie, wyęzając wzrok, aby nie przeoczyć jakiegś przeszkody czy ostrego zakrętu. Wreszcie wjechałem na prosty odcinek drogi i w świetle reflektorów zobaczyłem, że przejeżdżam przez las. Przyspieszyłem i przez kilka minut przebijałem się przez mrok. Potem moją uwagę zwrócił jakiś jasny punkt za rzędem drzew po lewej stronie. Zwolniwszy, zdałem sobie sprawę, że patrzę na ścianę frontową gmachu filharmonii, rzęsiście oświetloną na lic nocnego nieba.

Choć patrzyłem na budynek z daleka i pod pewnym kątem, widziałem sporą część jego imponującej fasady. Po obu stronach głównego łuku ciągnęły się rzędy majestatycznych kamiennych kolumn i wysokich okien, wznoszących się ku ogromnej czaszy sklepienia. Byłem ciekaw, czy zaczęli już przybywać goście, i zatrzymawszy samochód, otworzyłem okno, żeby lepiej widzieć. Ale nawet gdy uniosłem się w fotelu, drzewa zasłaniały mi wszystko, co znajdowało się na poziomie ziemi.

Kiedy tak patrzyłem w stronę sali koncertowej, przyszło mi na myśl, że być może w tej właśnie chwili moi rodzice zajeżdżają przed gmach. Nagle stanął mi przed oczami wyrazisty obraz ich karety, jak – zgodnie z opisem Hoffmana – zaprzężona w dwójkę koni wyłania się z mroku na oczach zdjętej podziwem publiczności. W tej samej chwili, z głową wychyloną za okno, odniosłem wrażenie, że słyszę, jak kareta przejeżdża gdzieś niedaleko. Wyłączyłem silnik i wychyliwszy się jeszcze bardziej, ponownie wyęzyłem słuch. Wsiadłem z samochodu i stałem tak w środku nocy, nasłuchując.

Wiatr szumiał w koronach drzew. Nagle pochwyciłem te same słabe odgłosy: tętent kopyt, brzęk dzwoneczków, turkot drewnianych kół. Potem wszystko to utonęło w szeleście liści. Nasłuchiwałem jeszcze przez chwilę, ale nic już nie usłyszałem. W końcu się odwróciłem i wsiadłem z powrotem do samochodu.

Stojąc na drodze, czułem ogromny spokój bliski ukojenia, kiedy jednak zapaliłem silnik, ogarnęła mnie mieszanina frustracji, lęku i złości. Oto moi rodzice zajeżdżają właśnie na dziedziniec, a ja co? Nie dość, że nie jestem przygotowany do występu, to jeszcze oddalam

się od sali koncertowej w zupełnie innej sprawie. Jadąc przez las, zadawałem sobie pytanie, jak mogłem do tego dopuścić, i czułem, że wzbiera we mnie złość. Postanowiłem jak najszybciej załatwić, co mam do załatwienia, i wrócić pędem do sali koncertowej. Potem jednak uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, jak dojechać do mieszkania Sophie ani nawet czy jadę w dobrym kierunku. Zaczęło mnie ogarniać poczucie bezradności, ale jechałem dalej, wpatrzony w otchłań lasu, otwierającą się przede mną w świetle reflektorów.

Nagle na środku drogi zauważyłem dwie postacie wymachujące rękami. Wprawdzie kiedy się do nich zbliżyłem, ludzie ci odsunęli się na bok, wciąż jednak dawali mi znaki, żebym się zatrzymał. Zwolnwszy, zauważyłem na poboczu pięć czy sześć osób, skupionych wokół małego, przenośnego piecyka. W pierwszej chwili wziąłem ich za włóczęgów, potem jednak zobaczyłem elegancko ubraną kobietę w średnim wieku i siwowłosego mężczyznę w garniturze, którzy nachylali się do mojego okna. Inni, którzy siedzieli z tyłu wokół piecyka, na czymś, co wyglądało jak odwrócone skrzynki, zaczęli się podnosić i podchodzić do samochodu. Zauważyłem, że każdy z nich trzyma w ręku kubek.

Kiedy opuściłem okno, kobieta zajrzała do środka.

– Tak się cieszymy, że pan przyjechał – powiedziała. – Widzi pan, właśnie rozgorzała dyskusja i nie mogliśmy dojść do porozumienia. To nasz odwieczny problem, nieprawdaż? Nigdy nie możemy się dogadać, kiedy trzeba działać.

– Ale oczywiście – rzekł poważnym tonem mężczyzna w garniturze – wkrótce będziemy musieli coś ustalić.

Zanim zdążyli powiedzieć coś więcej, ktoś podszedł do nich od tyłu i nachylał się teraz, bacznie mi się przyglądając. Był to Geoffrey Saunders, mój dawny kolega szkolny. Poznawszy mnie, przecisnął się do przodu i zastukał w drzwi samochodu.

– Byłem ciekaw, kiedy znów cię zobaczę – rzekł. – Jeśli mam być szczerzy, zaczynałem się już na ciebie złościć. No wiesz, za to, że nie wpadłeś na herbatkę, tak jak obiecałeś. Ale nie czas, żeby się nad tym rozwodzić. Choć mimo wszystko to dość niegrzecznie z twojej strony. Zresztą nieważne. No, wysiądźże stamtąd. – Mówiąc to, otworzył drzwi i ustąpił na bok. Chciałem zaprotestować, ale nie dał mi dojść do słowa. – Dostaniesz ciepłej herbaty, a potem włączysz się do naszej dyskusji.

– Szczerze mówiąc, Saunders – odparłem – nie jest mi to w tej chwili na rękę.

– Nie wygłupiaj się, stary. – W jego głosie dała się słyszeć nutka irytacji. – Wiesz, sporo o tobie myślałem, odkąd spotkaliśmy się tamtego wieczoru. Wspominałem nasze szkolne czasy i tak dalej. Na przykład dziś obudziłem się z myślą o tamtym dniu... na pewno nie pamiętasz... kiedy znaczyliśmy razem trasę biegu dla młodszych kolegów. Szósta klasa, o

ile pamiętam. Pewnie sobie nie przypominasz, ale właśnie o tym myślałem, leżąc rano w łóżku. Staliśmy przed pubem na skraju pola i byłeś czymś strasznie poirytowany. No, wysiadźże, nie będę tak z tobą rozmawiał. – Wciąż dawał mi niecierpliwie znaki, żebym wysiadł. – No, nareszcie. – Kiedy nie kwapiąc się, wysiadałem z samochodu, wolną ręką chwycił mnie za łokieć, w drugiej trzymał kubek. – Tak, wróciłem myślami do tamtego dnia. Mglisty, październikowy poranek, jakich wiele w Anglii. Staliśmy bezczynnie, czekając, aż ci z trzeciej klasy wynurzą się zasapani z mgły. Pamiętam, że wciąż powtarzałeś: „Tobie to dobrze” i byłeś piekielnie nieszczęśliwy. W końcu więc powiedziałem: „Posłuchaj, stary, nie jesteś jedyną osobą na świecie, która ma kłopoty”. I zacząłem ci opowiadać o wczasach, na które wybraliśmy się całą rodziną... moi rodzice, mój braciszek i ja... kiedy miałem siedem czy osiem lat. Pojechaliśmy do jednej z tych angielskich miejscowości wypoczynkowych nad morzem, Boumemouth czy coś w tym rodzaju. A może to była wyspa Wight. Mieliśmy ładną pogodę i w ogóle, ale jakoś nie chciało się między nami układać. To oczywiście dość typowe dla wczasów rodzinnych, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, miałem tylko siedem czy osiem lat. No i któregoś dnia ojciec po prostu nie wytrzymał i odszedł. Ni stąd, ni zowąd. Przyglądaliśmy się czemuś na promenadzie, mama coś nam pokazywała, i nagle sobie poszedł. Nie krzyczał ani nic, tylko odwrócił się i odszedł. Nie wiedzieliśmy, co robić, więc ruszyliśmy za nim. I tak szliśmy: mama, mały Christopher i ja. Niezbyt blisko, jakieś trzydzieści metrów z tyłu, tak by nie stracić go z oczu. A ojciec szedł dalej, najpierw promenadą, później ścieżką wzdłuż klifów, mijając wylegających się plażowiczów. Potem skręcił w stronę miasta, przeszedł obok kortów tenisowych i domów handlowych. Szliśmy za nim przez dobrą godzinę. Wkrótce zaczęliśmy to traktować jako swego rodzaju zabawę. Mówiliśmy; „Patrzcie, już się nie gniewa. Po prostu się wygłupia!” albo: „Specjalnie trzyma tak głowę. Spójrzcie!” i śmialiśmy się bez końca. Rzeczywiście, przyjrawszy mu się uważnie, odnosiliśmy wrażenie, że celowo robi zabawne kroki. Powiedziałem małemu, że tato próbuje nas rozśmieszyć, i Christopher śmiał się do rozpuku, bo uznał to za świetną zabawę. Mama też się śmiała i mówiła: „Och, ale wasz tato ma pomysły, chłopcy!” i śmiała się dalej. Tylko ja, chociaż miałem zaledwie siedem czy osiem lat, tylko ja wiedziałem, że ojciec nie żartuje. Że bynajmniej mu nie przeszło i że być może denerwuje się coraz bardziej, ponieważ za nim idziemy. Bo chciał być może usiąść na ławeczce albo w kawiarni, ale nie mógł, ze względu na nas. Pamiętasz? Opowiedziałem ci to wszystko tamtego dnia. W pewnej chwili spojrzałem na matkę, bo chciałem, aby się to wreszcie skończyło, i wtedy zdałem sobie z czegoś sprawę: mama utwierdziła się ostatecznie w przekonaniu, że ojciec tylko się wygłupia. Mały Christopher wiele razy chciał podbiec do ojca i musiałem go powstrzymywać

na różne sposoby, mówiąc ze śmiechem: „Nie, tak nie wolno. To wbrew regułom. Musimy się trzymać z daleka, bo zepsujemy całą zabawę”. Ale mama wołała: „Czemu nie! Podbiegnij do niego i pociągnij za rękaw! Ciekawe, czy zdążysz wrócić, zanim cię złapie!”. A ja musiałem powtarzać, bo tylko ja wiedziałem, rozumiesz, tylko ja, musiałem powtarzać: „Nie, zaczekajmy. Zostańmy z tyłu”. Mój ojciec wyglądał zabawnie. Kiedy patrzyło się na niego z pewnej odległości, jego chód wydawał się cokolwiek śmieszny. Słuchaj no, stary, może byś sobie klapnął? Mam wrażenie, że jesteś zupełnie padnięty i strasznie zatroskany. Siadaj i pomóż nam podjąć decyzję.

Geoffrey Saunders wskazywał odwróconą pomarańczową skrzynkę w pobliżu piecyka. Istotnie, czułem się bardzo zmęczony i uznałem, że choć czeka mnie wiele pilnych zadań, mała przerwa i łyk kawy pomogą mi się z nich wywiązać jeszcze lepiej. Usadowiłem się niepewnie na skrzynce, czując, że drżą pode mną kolana. Ludzie obstąpili mnie życzliwie. Ktoś podał mi kubek z kawą, ktoś inny położył mi rękę na plecach, mówiąc:

– Niech się pan odpręży. Proszę zapomnieć o troskach.

– Dziękuję, dziękuję – powiedziałem i wzięwszy do rąk kawę, począłem pić łąpczywie, mimo że była gorąca.

Siwowłosa mężczyzna w garniturze przykucnął teraz przede mną i patrząc mi w twarz, rzekł łagodnie:

– Wkrótce musimy podjąć decyzję, a pan powinien nam w tym pomóc.

– Decyzję?

– Tak. Co do pana Brodsky’ego.

– Ach tak. – Pociągnąłem kolejny łyk kawy z cynowego kubka. – Tak, wiem. Mam świadomość, że teraz wszystko zależy ode mnie.

– No, to może za wiele powiedziane – rzekł siwowłosa mężczyzna.

Ponownie na niego spojrzałem. Był to człowiek opanowany i życzliwy, teraz jednak wyglądał bardzo poważnie.

– Nie powiedziałbym, że wszystko zależy od pana. W tej sytuacji każdy z nas musi wziąć na siebie część odpowiedzialności. Jak już mówiłem, uważam, że trzeba uciąć.

– Uciąć?

Siwowłosa mężczyzna skinął poważnie głową. W tejże chwili zauważyłem na jego szyi stetoskop i domyśliłem się, że jest lekarzem.

– Ach tak. – powiedziałem. – Trzeba uciąć. No tak.

Dopiero wtedy się rozejrzałem i zobaczyłem leżącą na ziemi niedaleko samochodu kupkę złomu. Przemknęło mi niejasno przez myśl, że to ja jestem odpowiedzialny za tę

plątaninę drutów i rurek, że nieświadomie spowodowałem wypadek. Podźwignąłem się ze skrzynki – natychmiast wyciągnęło się ku mnie kilka pomocnych rąk – i podszedłem do owej sterty żelastwa, która okazała się szczątkami roweru. Rama była niemiłosiernie pogięta i ku swemu przerażeniu w środku tej plątaniny dostrzegłem Brodsky'ego. Leżał na plecach i patrzył spokojnie, jak się do niego zbliżam.

– Pan Brodsky – wymamrotałem, spoglądając na niego.

– Ach, pan Ryder – odezwał się tonem niezdradzającym bynajmniej wielkiego bólu.

Odwrociłem się do siwowłosego mężczyzny, który stał tuż za mną, i powiedziałem:

– Jestem pewien, że to nie moja wina. Nie przypominam sobie, żebym spowodował wypadek. Jechałem po prostu...

Siwowłosa mężczyzna, kiwając ze zrozumieniem głową, dał mi znak, żebym przerwał. Potem, odciągawszy mnie na bok, rzekł cicho:

– Prawie na pewno próbował popełnić samobójstwo. Jest bardzo pijany. Bardzo, ale to bardzo pijany.

– Aha.

– Jestem pewien, że próbował popełnić samobójstwo, lecz osiągnął tylko tyle, że jego nogi zaplątały się w ramę roweru. Prawa noga jest prawie nietknięta, po prostu się zaklinowała. Lewa też się zaklinowała. Martwi mnie tylko jego lewe kolano. Nie wygląda najlepiej.

– Nie – przyznałem, zerkając do tyłu na Brodsky'ego. Widocznie to zauważył, gdyż rzucił w mrok:

– Cześć, Ryder.

– Dyskutowaliśmy nad tym, jeszcze zanim się pan zjawił – kontynuował siwowłosa mężczyzna. – Ja uważam, że trzeba ciąć. Tym sposobem możemy uratować mu życie. Podczas dyskusji coraz więcej osób przychyliło się do mojej opinii. Ale tamte dwie panie są przeciwne. I wszyscy są za tym, żeby poczekać jeszcze trochę na karetkę. Ale moim zdaniem ryzyko jest zbyt duże. Taka jest moja zawodowa opinia.

– Tak, rozumiem.

– Według mnie lewą nogę należy bezzwłocznie amputować. Jestem chirurgiem, ale, niestety, nie mam przy sobie odpowiednich narzędzi. Żadnych środków przeciwbólowych, nic. Nawet aspiryny. Widzi pan, byłem po dyżurze, po prostu wybrałem się na przechadzkę, tak jak ci pozostali dobrzy ludzie. Przypadkowo miałem w kieszeni stetoskop, ale nic więcej. Pańskie przybycie jednak może wszystko zmienić. Ma pan leki w samochodzie?

– W samochodzie? Szczerze mówiąc, nie wiem. Widzi pan, to pożyczony samochód.

- Wynajął go pan?
- Niezupełnie. Pożyczyłem od znajomego.
- Rozumiem. – Utkwił zamyślane spojrzenie w ziemi.

Widziałem, jak za jego plecami pozostali obserwują nas z napięciem. Wreszcie chirurg powiedział: – Czy mógłby pan przeszukać bagażnik? Może znajdzie się coś, co mogłoby się nam przydać. Jakiś ostry przedmiot, którym mógłbym dokonać operacji.

Zastanowiłem się chwilę, po czym rzekłem:

– Chętnie poszukam. Ale przedtem chciałbym zamienić parę słów z panem Brodskim. Widzi pan, znam go do pewnego stopnia i czuję, że powinienem z nim porozmawiać, zanim... zanim zostaną podjęte tak drastyczne środki.

– Dobrze – zgodził się chirurg. – Choć jako lekarz uważam, że już i tak zmarnowaliśmy bardzo dużo czasu, proszę więc się streszczać.

Ponownie podszedłem do Brodsky'ego i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Panie Brodsky... – zacząłem, ale natychmiast mi przerwał.

– Pomóż mi, Ryder. Muszę się z nią zobaczyć.

– Z panną Collins? Czy nie powinien pan raczej martwić się teraz o co innego?

– Nie, nie, muszę z nią porozmawiać. Teraz rozumiem. Teraz wszystko rozumiem. Myślę zupełnie jasno. Po tym wypadku... nie wiem, jechałem na rowerze, coś mnie potrafiło, jakiś pojazd, samochód czy co. Byłem pijany, tego akurat nie pamiętam, ale pamiętam całą resztę. Teraz rozumiem, wszystko jasne. To on. Od początku pragnął, żeby się nie powiodło. To on, to wszystko jego wina.

– Czyja? Hoffmana?

– Podlec jeden. Wcześniej się tego nie domyślałem, ale teraz przejrzałem go na wylot. Odkąd potrafił mnie tamten pojazd... nie wiem, co to było, samochód, ciężarówka... wszystko rozumiem. Przyszedł dziś do mnie, bardzo życzliwy. Czekałem na cmentarzu. Czekałem cierpliwie, z bijącym sercem. Czekałem przez te wszystkie lata. Nie wiedziałeś, Ryder? Tyle lat czekałem. Nawet kiedy byłem pijany, czekałem. W przyszłym tygodniu, powtarzałem sobie. W przyszłym tygodniu przestanę pić i pójde do niej. Poproszę, żeby spotkała się ze mną na cmentarzu Świętego Piotra. Mówiłem to sobie rok po roku. I dziś nadeszła ta chwila. Czekałem na nią przy grobie Pera Gustavssona. Siadywaliśmy tam czasem z Brunonem. Czekałem... piętnaście minut, pół godziny, godzinę. A potem zjawia się on. Dotyka mojego ramienia. „Zmieniła zdanie”, mówi. „Nie przyjdzie. Nie przyjdzie nawet na wieczorny koncert”. Miły jak zawsze. Słucham go. „Niech pan się napije whisky, to pana uspokoi. To wyjątkowa sytuacja”. „Jak to, przecież nie mogę napić się whisky”, mówię.

„Oszałał pan?”. „Ależ tak, niech pan się napije”, powiada. „Tylko trochę. To pana podniesie na duchu”. Myślałem, że robi to z życzliwości. Teraz rozumiem. Od samego początku zakładał, że się nie uda. Nie wierzył, że sobie poradzę. Jak mogło sobie poradzić takie... takie głównie jak ja. Tak właśnie myślał. Teraz jestem trzeźwy. Wypiłem tyle, że konia zwałoby z nóg, ale po wypadku całkowicie wytrzeźwiałem. Teraz wszystko rozumiem. To on. Jest gorszy ode mnie. Nie dam mu tej satysfakcji. Poradzę sobie. Pomóż mi, Ryder. Nie dam się. Teraz jadę do sali koncertowej. Pokażę im wszystkim. Ale ona musi przyjść. Muszę z nią porozmawiać. Pomóż mi, Ryder. Zawieź mnie do niej. Musi przyjść, siedzieć na sali. Wtedy sobie przypomni. Podlec jeden, ale w końcu go przejrzałem. Pomóż mi, Ryder...

– Panie Brodsky – wpadłem mu w słowo. – Jest tu chirurg. Będzie musiał pana operować. To może boleć.

– Pomóż mi, Ryder. Zabierz mnie do niej. To twój samochód? Twój? Zabierz mnie. Zabierz mnie do niej. Powinna być u siebie.

– Jak ja nienawidzę tego jej mieszkania! Tyle razy wystawałem przed jej oknem. Zabierz mnie do niej, Ryder. Zaraz.

– Panie Brodsky, chyba nie zdaje pan sobie sprawy ze swojego położenia. Nie mamy czasu. A ja jeszcze obiecałem chirurgowi, że przeszukam bagażnik. Zaraz wracam.

– Ona jest pełna obaw. Ale jeszcze nie jest za późno. Moglibyśmy opiekować się naszym zwierzakiem. Zresztą mniejsza teraz o to, mniejsza o zwierzaka. Byle tylko przyszła na koncert, o nic więcej nie proszę, byle tylko przyszła.

Zostawiłem Brodsky'ego i poszedłem do samochodu. Gdy otworzyłem bagażnik, zobaczyłem, że jest wypchany po brzegi różnorakimi kłopotami. Były tam połamane krzesło, para gumiaków, zbiór plastikowych pudełek. Potem znalazłem latarkę i kiedy oświetliłem wnętrze bagażnika, ujrzałem w rogu niewielką piłę. Choć wydawała się zabrudzona smarem, kiedy przejechałem palcem po stali, jej zęby okazały się całkiem ostre. Zamknąłem bagażnik i ruszyłem w stronę piecyka, wokół którego skupiła się cała grupa. Zbliżając się, słyszałem, jak chirurg mówi do pozostałych:

– Dziś położnictwo to nudna dziedzina, inaczej niż za moich studenckich czasów.

– Przepraszam – przerwałem mu. – Znalazłem coś takiego.

– Aaa – powiedział chirurg, odwracając się ku mnie. – Dziękuję. I co, porozmawiał pan już z panem Brodskym? No to świetnie.

Nagle zacząłem żałować, że dałem się do tego stopnia wciągnąć w całą tę sprawę, i wodząc dokoła wzrokiem, zapytałem, może nazbyt rozdrażnionym tonem:

– Czy miasto nie jest przygotowane na takie wypadki? Nie dysponuje odpowiednimi

środkami? Mówili państwo, że wezwali karetkę?

– Wezwaliśmy karetkę już ponad godzinę temu – odezwał się Geoffrey Saunders. – Z tamtej budki. Niestety, karetka dziś jak na lekarstwo z powodu wieczornej uroczystości.

Odwróciłem się we wskazanym przez niego kierunku i nieco dalej, pod lasem, ujrzałem już prawie niewidoczną na granicy drzew budkę telefoniczną. Widok ten przypomniał mi nagle o sprawie, którą właśnie załatwiałem, i przyszło mi do głowy, że gdybym zadzwonił teraz do Sophie, mógłbym nie tylko zapowiedzieć się z pewnym wyprzedzeniem, ale też dowiedzieć się od niej, jak dotrzeć do jej mieszkania.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałem, odsuwając się na bok. – Muszę natychmiast zatelefonować w ważnej sprawie.

Pospieszyłem w stronę lasu i wszedłem do budki. Podczas gdy przetrząsałem kieszenie w poszukiwaniu drobnych, przez szklane ścianki widziałem, jak chirurg – taktownie trzymając piłę za plecami – zbliża się powoli do leżącego twarzą ku ziemi Brodsky'ego. Geoffrey Saunders i inni krążyli niespokojnie, popatrując na swoje kubki albo na ziemię. Chirurg się odwrócił i coś do nich powiedział, a wówczas dwóch mężczyzn, Geoffrey Saunders i młody człowiek w brązowej skórzanej kurtce, podeszło do niego niechętnie. Przez kilka sekund wszyscy trzej stali nad Brodskym, wpatrując się weń ponuro.

Odwróciłem się i wykręciłem numer Sophie. Telefon dzwonił przez dłuższą chwilę, po czym w słuchawce odezwał się jej zaspany i lekko zaniepokojony głos. Wzięłem głęboki oddech.

– Posłuchaj – powiedziałem – chyba nie pojmujesz, ile mam spraw na głowie. Czy myślisz, że mi łatwo? Zostało mi już bardzo mało czasu, a wciąż jeszcze nie sprawdziłem sali koncertowej, bo wszyscy dokoła oczekują że zajmę się ich problemami. Myślisz, że to takie proste? Czy zdajesz sobie sprawę, czym jest dzisiejszy koncert? Dziś zjawią się moi rodzice. Tak jest! Nareszcie zdecydowali się przybyć! Może nawet już są. A ci wszyscy ludzie, zamiast zostawić mnie w spokoju, żebym mógł się przygotować, zlecają mi jedno zadanie po drugim. I jeszcze te przekłete pytania! Załatwili nawet elektroniczną tablicę. Uwierzyłybyś? Czego oni ode mnie oczekują? Im się wydaje, że to takie proste. Czego oni ode mnie chcą, i to w takim dniu? Znowu to samo: ludzie oczekują ode mnie cudów. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się na mnie rzucili. A ja, co ja mogę? Może nawet nie pozwolą mi zasiąść przy fortepianie. Albo też moi rodzice wyjdą jak tylko zaczną się napastliwe pytania...

– Uspokój się, proszę – powiedziała Sophie. – Wszystko będzie dobrze. Przecież nikt się nigdy na ciebie nie rzucił. Zawsze mówisz, że tak będzie, ale do tej pory, przez tyle lat, nikt się jakoś na ciebie nie rzucił...

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? To nie jest taki sobie zwyczajny wieczór. Dziś mają przyjechać moi rodzice. Jeśli na mnie wsiądą, to... to...

– Nikt na ciebie nie wsiądzie – znów przerwała mi Sophie. – Powtarzasz to za każdym razem. Dzwonisz ze wszystkich zakątków świata i mówisz to samo. „Rzucą się na mnie, wszystkiego się o mnie dowiedzą”. A potem co? Dzwonisz po paru godzinach i jesteś taki spokojny i zadowolony z siebie. Pytam, jak poszło, a w twoim głosie słychać lekkie zdziwienie, że w ogóle poruszam tę kwestię. Mówisz: „W porządku” albo coś w tym rodzaju. A potem przechodzisz do innych spraw, jakby nie było warto o tym mówić...

– Chwileczkę, o co ci chodzi? Jakie telefony? Czy pomyślałaś kiedyś, ile trudu sobie zadaję, żeby do ciebie zatelefonować? Nawet gdy jestem piekielnie zajęty, zawsze znajdę parę minut, żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. I to najczęściej ty wylewasz do słuchawki wszystkie żale. Nie bardzo wiem, co masz na myśli, sugerując, że rozmawiam z tobą w taki sposób, jak mówisz...

– Nie ma sensu się w to wdawać. Chciałam tylko powiedzieć, że tego wieczoru wszystko pójdzie dobrze...

– Łatwo ci mówić. Jesteś taka sama jak inni, w ogóle się nad tym nie zastanawiasz. Wydaje ci się, że wystarczy wyjść na scenę i cała reszta idzie gładko... – Nagle przypomniał mi się Gustav leżący na materacu w pustej garderobie i urwałem gwałtownie.

– Co się stało? – zapytała Sophie.

Opanowując emocje, odpowiedziałem po chwili:

– Mam dla ciebie złą wiadomość. Bardzo mi przykro.

Sophie milczała.

– Chodzi o twojego ojca – ciągnąłem. – Zachorował. Jest w gmachu filharmonii. Musisz tam zaraz jechać.

Znów urwałem, ale Sophie wciąż milczała.

– Trzyma się dzielnie – podjąłem po chwili. – Ale musisz natychmiast przyjechać. Boris też. Dlatego właśnie dzwonię. Mam samochód. Właśnie po was jadę.

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panowało milczenie.

– Przepraszam za wczoraj – powiedziała w końcu Sophie. – Mam na myśli przyjęcie w Galerii Karwinsky’ego. – Urwała i wydawało mi się, że znów zamilknie na dłużej, ale mówiła dalej: – Byłam żalosna. Nie musisz zaprzeczać, wiem, że byłam żalosna. Nie mam pojęcia, skąd się to bierze, ale w takich sytuacjach po prostu sobie nie radzę. Muszę się z tym pogodzić. Nie nadaję się do tego, żeby podróżować z tobą z miasta do miasta i towarzyszyć ci na przyjęciach. Po prostu nie potrafię. Przepraszam.

– Czy to ważne? – zapytałem łagodnie. – Już całkiem zapomniałem o tym wczorajszym przyjęciu. Kogo obchodzi, jakie wrażenie robisz na ludziach tego pokroju? To okropni ludzie, wszyscy bez wyjątku. A ty byłaś tam zdecydowanie najpiękniejszą kobietą.

– Nie wierzę – powiedziała i roześmiała się niespodziewanie. – Jestem już starszą panią.

– Ale za to pięknie się starzejesz.

– Też coś! – Zachichotała. – Jak śmiesz mówić mi coś takiego!

– Przepraszam – odparłem, śmiejąc się także. – Chciałem powiedzieć, że w ogóle się nie zestarzałaś. Nic po tobie nie widać.

– Nic po mnie nie widać?!

– Już sam nie wiem... – Zaśmiałem się z zakłopotaniem. – Może wyglądałaś mizernie i brzydko. Już nie pamiętam.

Sophie zaśmiała się po raz kolejny, po czym umilkła. Kiedy odezwała się ponownie, jej głos znów brzmiał poważnie.

– Ale byłam żałosna. Nie mogę ci towarzyszyć, dopóki taka jestem.

– Posłuchaj, obiecuję, że te podróże niedługo się skończą. Może nawet dzisiaj, jak dobrze pójdzie. Kto wie, może właśnie dziś.

– Chciałam cię też przeprosić, że jeszcze nic nie znalazłam. Obiecuję, że wkrótce coś upatrzę. Jakieś wygodne mieszkanie dla nas trojga.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, i przez kilka sekund oboje milczeliśmy. Sophie odezwała się pierwsza:

– Naprawdę nie gniewasz się za moje wczorajsze zachowanie? I że zawsze się tak zachowuję?

– Ani trochę. Na takich przyjęciach możesz się zachowywać, jak ci się żywnie podoba. I robić, co chcesz. To bez znaczenia. Jesteś więcej warta niż wszyscy ci ludzie razem wzięci.

Sophie nie odpowiadała.

– To również moja wina – dodałem po chwili. – Mam na myśli dom. Nie powinienem obarczać tym problemem wyłącznie ciebie. Jeśli wieczorem dobrze pójdzie, od jutra spróbujemy inaczej. Możemy poszukać czegoś wspólnie.

W słuchawce zapanowała cisza i przez chwilę nie byłem pewien, czy Sophie nie odeszła od aparatu. Ale potem powiedziała nieobecny, rozmarzonym głosem:

– Na pewno wkrótce coś znajdziemy, prawda?

– Na sto procent. Będziemy szukać wspólnie. Razem z Borisem. Na pewno coś

znajdziemy.

– I zaraz tu będziesz, tak? Żeby zabrać nas do taty?

– Tak. Przyjadę najszybciej, jak się da. Czekajcie w pogotowiu.

– Dobrze. – Jej głos, wciąż jakby nieobecny, nie zdradzał bynajmniej pośpiechu. – Zaraz obudzę Borisa. Dobrze.

Gdy wyszedłem z budki, odniosłem wrażenie, że na niebie widać już wyraźnie pierwsze oznaki świtu. Brodsky'ego obstała teraz gromada ludzi, a kiedy się do nich zbliżyłem, zauważyłem klęczącego chirurga, który piłował zawzięcie. Brodsky znosił niedolę w milczeniu, ale kiedy dotarłem do samochodu, wydał straszliwy jęk, który odbił się echem wśród drzew.

– Muszę już jechać – odezwałem się ni to do siebie, ni to do kogoś, na co zresztą nikt nie zwrócił uwagi. Dopiero kiedy zatrzasnąłem drzwiczki i uruchomiłem silnik, wszystkie twarze zwróciły się w moją stronę. Widniało na nich przerażenie. Zanim zdążyłem zamknąć okno, podbiegł do mnie Geoffrey Saunders.

– Posłuchaj – rzucił ze złością. – Posłuchaj. Nie możesz sobie teraz tak po prostu odjechać. Po operacji trzeba go będzie gdzieś zawieźć. Będzie nam potrzebny twój samochód, czy ty tego nie rozumiesz? Idiota by się domyślił.

– Posłuchaj, Saunders – powiedziałem twardo. – Rozumiem, że macie tu wielki problem. Chciałbym wam pomóc, ale zrobiłem już wszystko, co mogłem. Teraz mam na głowie własne zmartwienia.

– To dla ciebie typowe, stary – odparł. – Typowe.

– Słuchaj, nawet nie masz pojęcia. Naprawdę, Saunders, nie masz pojęcia. Mam więcej obowiązków, niż potrafisz sobie wyobrazić. Nie porównuj swojego życia z moim!

Przy ostatnich słowach mój głos przeszedł we wrzask. Chirurg przerwał pracę i patrzył teraz w moją stronę. Zdaje się, że nawet Brodsky zapomniał na moment o swoim bólu i przyglądał mi się z uwagą. Nieco zbity z tropu powiedziałem bardziej pojednawczym tonem:

– Przykro mi, ale mam do załatwienia bardzo pilną sprawę. Do czasu, gdy skończycie operację, a pana Brodsky'ego będzie można gdziekolwiek przewieźć, na pewno przyjedzie karetka. W każdym razie przepraszam, ale naprawdę nie mogę zwlekać ani chwili dłużej.

Powiedziawszy to, zamknąłem szybko okno i ruszyłem drogą przez las.

# Rozdział 31

Szosa biegła dalej przez las, który z czasem zaczął rzednąć, odsłaniając w oddali bladą poświatę brzasku. W końcu drzewa zniknęły zupełnie i wjechałem na opustoszałe miejskie ulice.

Na jednym ze skrzyżowań musiałem się zatrzymać na czerwonym świetle i czekając w zupełnej ciszy – w zasięgu wzroku nie było bowiem innych pojazdów – rozejrzałem się uważnie. Powoli zacząłem rozpoznawać dzielnicę, do której przywiodła mnie droga. Z ulgą stwierdziłem, że jestem niedaleko mieszkania Sophie; byłem nawet pewien, że ulica na wprost zawiedzie mnie do celu. Przypomniałem sobie także, że jej mieszkanie znajduje się nad zakładem fryzjerskim, i gdy zapaliło się zielone światło, przejechałem przez skrzyżowanie i jechałem dalej cichą ulicą, przyglądając się bacznie mijanym budynkom. Nagle zauważyłem przed sobą dwie postacie, które stały na krawężniku w wyczekującej postawie, i dodałem gazu.

Sophie i Boris mieli na sobie jedynie lekkie kurtki i wyglądało na to, że bardzo przemarzli na porannym chłodzie. Podbiegli do samochodu, a Sophie, nachyliwszy się, krzyknęła ze złością:

– Doczekać się nie można! Co tak długo?!

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Boris położył jej rękę na ramieniu, mówiąc:

– Nic się nie stało, zdążymy. Nic się nie stało.

Spojrzałem na chłopca. Trzymał w ręku dużą walizę, przypominającą lekarską torbę, co nadawało mu przesadnie poważny i przez to nieco komiczny wygląd. Niemniej w jego zachowaniu było coś, czym udało mu się uspokoić matkę.

Spodziewałem się, że Sophie usiądzie obok mnie, lecz wsiadła razem z Borisem do tyłu.

– Przepraszam – powiedziałem, zawracając – ale nie orientuję się jeszcze zbyt dobrze w okolicy.

– Kto z nim jest? – zapytała Sophie, a w jej głosie ponownie brzmiało zdenerwowanie.

– Czy ktoś się nim opiekuje?

– Jest ze swoimi kolegami. Są wszyscy, nikogo nie brakuje.

– Widzisz? – usłyszałem za sobą łagodny głos Borisa. – Mówiłem ci. Nie masz się co

martwić, wszystko będzie dobrze.

Sophie westchnęła ciężko, ale wyglądało na to, że Borisowi znów udało się ją uspokoić. Po chwili dodał:

– Jest pod dobrą opieką, Więc przestań się martwić. Jest pod dobrą opieką. Prawda?

Pytanie to niewątpliwie skierowane było do mnie. Rola, jaką sobie przypisał, zaczynała mnie już nieco drażnić, nie podobało mi się też, że siedzą razem z tyłu, niczym w taksówce, postanowiłem więc nie odpowiadać.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Wreszcie dotarliśmy do skrzyżowania, potem zaś próbowałem odtworzyć w pamięci trasę powrotną do tej samej leśnej drogi, która mnie tu przywiodła. Wciąż jeszcze jechaliśmy pustymi ulicami miasta, gdy Sophie powiedziała ledwie słyszalnie:

– To ostrzeżenie.

Nie byłem pewien, czy mówi do mnie, i właśnie miałem się do niej odwrócić, gdy podjęła równie cicho:

– Słyszysz, Boris? Musimy się z tym pogodzić, to ostrzeżenie. Dziadek się starzeje. Nie powinien się przemęczać. Nie ma się co oszukiwać.

Boris powiedział coś, czego nie dosłyszałem.

– Chodzi mi to po głowie już od jakiegoś czasu – ciągnęła Sophie. – Nic ci wcześniej nie mówiłam, bo wiem, jak bardzo... jak bardzo podziwiasz dziadka. Ale ostatnio sporo nad tym rozmyślam. Po tym, co się stało, nie ma sensu dłużej udawać. Dziadek się starzeje i nie powinien się przemęczać. Mam pewne plany, nic ci nie mówiłam, ale już od dłuższego czasu o tym myślę. Porozmawiam z panem Hoffmanem. O przyszłości Gustava. Zebrałam potrzebne informacje. Rozmawiałam z panem Sedelmayerem z hotelu Imperial i z panem Weissbergiem z Ambasadorów. Nie chciałam ci nic mówić, ale widziałam, że dziadek nie jest już taki silny jak dawniej. Toteż zaczęłam się rozglądać. Jeśli ktoś przepracował w hotelu tyle lat co twój dziadek, nic dziwnego, że oferuje mu się nieco inne zajęcie. Żeby nie musiał już tyle pracować. W hotelu Imperial pracuje jeden taki pan, dużo starszy od dziadka, zawsze można go spotkać w holu. Kiedyś prowadził kuchnię, ale kiedy był już za stary, żeby to robić, postanowili dać mu to zajęcie. Nosi wspaniałą liberię i siedzi za wielką mahoniową ladą z artykułami piśmiennymi w rogu holu. Pan Sedelmayer powiada, że jest z niego bardzo zadowolony i nie żałuje pieniędzy, które na niego wydaje. Goście, zwłaszcza stali, mieliby mu za złe, gdyby w holu zabrakło staruszka za tą ladą. Jego obecność nadaje całemu miejscu bardzo dystyngowany charakter. Pomyślałam, że porozmawiam o tym z panem Hoffmanem. Dziadek też mógłby robić coś takiego. Oczywiście mniej by zarabiał, ale dalej mieszkałby w

swoim pokoiku... jest do niego taki przywiązany... i miałby zapewnione wyżywienie. Może nawet sprawiliby mu taką ladę jak w Imperialu. Chyba że dziadek wołałby stać. W eleganckiej liberii, gdzieś w holu. Nie mówię, że to powinno nastąpić natychmiast. Ale w najbliższej przyszłości. Nie jest już taki młody, a to, co się stało, należy traktować jako ostrzeżenie. Nie można chować głowy w piasek, to donikąd nie prowadzi.

Sophie przerwała na chwilę. Dojechaliśmy już na skraj lasu. Poranne niebo nabrało teraz purpurowej barwy.

– Nie martw się – odezwał się Boris. – Dziadkowi nic się nie stanie.

Sophie odetchnęła głęboko.

– Poza tym będzie miał więcej wolnego czasu – powiedziała. – Nie będzie już taki zajęty: moglibyście spędzać razem więcej popołudni na Starym Mieście. Albo gdzie indziej, według uznania. Ale potrzebny mu jest ciepły płaszcz. Dlatego wzięłam go ze sobą. Czas najwyższy, żebym mu go dała. Trzymam go Już wystarczająco długo.

Coś zaszeleściło z tyłu. Zerknąłem w lusterko i zobaczyłem, że Sophie trzyma pod pachą ten sam miękki, brązowy pakunek z płaszczem ojca. W tym momencie musiałem zapytać ją o jakiś szczegół dotyczący naszej trasy, ona zaś jakby dopiero teraz mnie zauważyła. Pochyliła się i powiedziała tuż nad moim uchem:

– Spodziewałam się tego. W najbliższym czasie porozmawiam z panem Hoffmanem.

W odpowiedzi wymamrotałem coś potakująco i włączyłem światła, gdyż wjechaliśmy właśnie w ciemną strefę lasu.

– Inni potrafią – mówiła Sophie. – Żyją tak, jakby czas stał w miejscu. Ja tak nie umiem.

Przez kilka minut milczała, ale wciąż czułem jej bliskość i miałem niejasne wrażenie, że za chwilę dotknie palcami mojej twarzy.

– Pamiętam – powiedziała cicho. – Pamiętam tę pustkę po śmierci mamy.

Ponownie spojrzałem na jej odbicie w lusterku. Wciąż nachylała się ku mnie, lecz jej wzrok utkwiony był w ciemnej plamie lasu za oknem.

– Nie martw się – szepnęła, po czym znów zaszeleściła paczką. – Dopilnuję, żeby nam było dobrze. Nam trojgu. Dopilnuję.

\* \* \*

Zatrzymałem samochód na niewielkim parkingu na tyłach gmachu filharmonii, na wprost wejścia, nad którym paliła się wciąż nocna lampa. Choć nie były to te same drzwi, przez które wszedłem poprzednim razem, wysiadłem z samochodu i ruszyłem pospiesznie w ich stronę. Kiedy się obejrzałem, Boris pomagał matce wysiąść z samochodu. Uparł się, żeby

trzymać protekcyjnie rękę na jej plecach, i gdy razem spieszyli ku budynkowi, lekarska torba, którą ścisnął w drugiej ręce, obijała się niezdarnie o jego nogi.

Drzwi prowadziły bezpośrednio do długiego, okrężnego korytarza. Ruszyliśmy przed siebie, lecz prawie natychmiast musieliśmy usunąć się na bok, żeby przepuścić wózek towarowy, pchany przez dwóch mężczyzn. Było o dobrych kilka stopni cieplej niż przedtem i zaczynało się robić duszno. W pobliżu zauważyłem dwóch muzyków we frakach, którzy gawędzili po przyjacielsku w drzwiach jednej z garderób, i stwierdziłem z ulgą, że jesteśmy niedaleko pomieszczenia, w którym zostawiłem Gustava.

W miarę jak posuwaliśmy się do przodu, korytarz zaludniał się coraz gęściej członkami orkiestry. Większość z nich przebrała się już do występu, ale wciąż panowała wśród nich nader beztroska atmosfera. Śmiali się i nawoływali głośno, a w pewnej chwili omal nie wpadliśmy na muzyka, który wyłonił się ze swojej garderoby, trzymając wiolonczelę, jak trzyma się gitarę. Nagle ktoś powiedział:

– Och, toż to pan Ryder. Spotkaliśmy się już, pamięta mnie pan? – Cztery czy pięć osób, które zbliżały się ku nam z naprzeciwka, zatrzymało się na nasz widok. Wszyscy mieli na sobie stroje wieczorowe i od razu zauważyłem, że są pijani.

Mężczyzna, który przemówił pierwszy, podszedł do mnie, wymachując niedbale bukietem róż.

– Kilka dni temu, w kinie – dodał. – Przedstawił nas sobie pan Pedersen. Jak się pan miewa? Moi przyjaciele powiadają, że zachowałem się wówczas niestosownie i winien jestem panu przeprosiny.

– A tak, poznaję – powiedziałem. – Cieszę się, że znów pana widzę. Niestety, mam akurat bardzo ważną sprawę...

– Mam nadzieję, że pana nie uraziłem – ciągnął pijany mężczyzna, podchodząc bardzo blisko, tak że nasze twarze niemal stykały się ze sobą. – Nie chciałem być nieuprzejmy.

Jego kompani z trudem tłumili rozbawienie.

– Nie, nie uraził mnie pan – zapewniłem go. – Teraz jednak, jeśli mi pan wybaczy...

– Szukamy maestra – powiedział pijany mężczyzna. – Nie, nie pana. Naszego maestra. Mamy dla niego kwiaty, jak pan widzi. Na znak wielkiego szacunku. Nie wie pan, gdzie go można znaleźć?

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że pana Brodsky'ego nie ma jeszcze w tym budynku.

– Co? Jeszcze nie przybył? – Pijany mężczyzna odwrócił się do swoich kompanów. – Naszego maestra jeszcze nie ma. I co wy na to? – Znów odwrócił się do mnie. – Mamy dla

niego te kwiaty. – Ponownie potrząsnął bukietem, aż kilka płatków spadło na podłogę. – Od rady miejskiej. Wyraz naszej sympatii i szacunku. I przeprosiny, naturalnie. Tak długo go nie docenialiśmy. – Zduszone śmiechy się nasiliły. – Jeszcze go nie ma. Naszego ukochanego maestra. No cóż, w takim razie poczekamy sobie tu razem z panami muzykami. Albo wrócimy do bufetu. Co robimy, panowie?

Czułem na sobie niecierpliwe spojrzenia Sophie i Borisa.

– Przepraszam – mruknąłem i ruszyłem dalej. Mężczyźni za naszymi plecami znów wybuchnęli zduszonym śmiechem, postanowiłem się jednak nie odwracać.

W końcu dotarliśmy do spokojniejszej części korytarza, a na jego końcu ujrzeliśmy boyów hotelowych, stłoczonych przed wejściem do ostatniej garderoby. Sophie przyspieszyła kroku, zatrzymała się jednak na kilka metrów przed garderobą. Boye hotelowi, widząc, że się zbliżamy, szybko utworzyli szpaler, a jeden z nich – niski, krzepki mężczyzna z wąsem, którego pamiętałem z kawiarni Węgierskiej – wyszedł nam naprzeciw. Minę miał nietęgą i początkowo zwracał się tylko do mnie:

– Trzyma się dzielnie, proszę pana. Trzyma się dzielnie. – Następnie odwrócił się do Sophie i spuściwszy oczy, wymamrotał: – Trzyma się dzielnie, panno Sophie.

Sophie milczała, wpatrzona w lekko uchylone drzwi garderoby. Nagle powiedziała, jakby na usprawiedliwienie swojej obecności:

– Mam coś dla niego. O, to. – Podniosła paczkę. – Przyniosłam mu to.

Ktoś krzyknął coś przez uchylone drzwi, po czym z pomieszczenia wyłoniło się dwóch innych boyów hotelowych i stanęło w progu. Sophie się nie ruszyła i przez chwilę nikt nie wiedział, co powiedzieć lub począć dalej. Wówczas Boris wysunął się naprzód, trzymając torbę w wyciągniętej ręce.

– Proszę, panowie – powiedział. – Stańcie po jednej stronie. O, tutaj, bardzo proszę. – Gestykułując, odsunął boyów hotelowych od drzwi. Dwóch mężczyzn w progu stało z wyrazem rozbawienia na twarzach i Boris skinął im niecierpliwie ręką. – Proszę się przesunąć, panowie!

Odsunawszy mężczyzn na odpowiednią odległość, Boris zerknął do tyłu na matkę. Sophie postąpiła parę kroków do przodu, po czym znów się zatrzymała. Przez cały czas wpatrywała się z niepokojem w drzwi, które dwóch boyów hotelowych zostawiło na wpół otwarte. Znów zapanowała konsternacja i Boris ponownie pierwszy przerwał milczenie.

– Poczekaj tu, mamo – powiedział, a następnie odwrócił się i zniknął za drzwiami.

Napięcie Sophie wyraźnie opadło. Podeszła parę kroków bliżej i nachyliła się niemal swobodnie, żeby sprawdzić, czy uda jej się zobaczyć choć część garderoby. Widząc, że Boris

zamknął drzwi, wyprostowała się i czekała niczym w kolejce do autobusu, z pakunkiem w rękach.

Boris wyszedł po kilku minutach, wciąż trzymając torbę w ręku, i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

– Dziadek bardzo się cieszy, że przyszliśmy – powiedział cicho, patrząc na matkę. – Mówi, że bardzo się cieszy.

Wpatrywał się w Sophie w sposób, który z początku wydał mi się dość osobliwy. Potem uzmysłowiłem sobie jednak, że czeka na jej odpowiedź dla Gustava. Istotnie, po namyśle Sophie powiedziała:

– Powiedz mu, że coś dla niego przyniosłam. Prezent. Że za chwilę mu to dam. Tylko... tylko to coś przygotuję.

Kiedy Boris ponownie zniknął za drzwiami, Sophie zaczęła wygładzać zagniecenia na papierze pakowym. Być może oczywista zbędność tej czynności przywiodła mi nagle na myśl moje rozliczne zobowiązania. Przypomniałem sobie na przykład, że nie sprawdziłem jeszcze akustyki sali i że moje szanse na zrobienie tego maleją z każdą minutą.

– Zaraz wracam – powiedziałem do Sophie. – Muszę coś załatwić.

Nie zareagowała, tylko dalej gładziła swoją paczkę. Chciałem powtórzyć to samo głośniej, doszedłem jednak do wniosku, że niepotrzebnie ściągnę na siebie uwagę, i oddaliłem się dyskretnie w poszukiwaniu Hoffmana.

## Rozdział 32

Szedłem korytarzem, gdy naraz spostrzegłem jakieś zamieszanie. Przedemną tłoczyło się kilkanaście osób, krzycząc i wymachując rękoma. W pierwszej chwili pomyślałem, że w atmosferze rosnącego napięcia doszło do kłótni między pracownikami kuchni. Potem jednak zauważyłem, że grupa przesuwa się powoli w moim kierunku i że tworzy ją osobliwa mieszanka ludzi. Niektórzy byli w strojach wieczorowych, inni zaś – w kurtkach, płaszczach przeciwdeszczowych i dżinsach – wyglądali tak, jakby weszli tu prosto z ulicy. Było też wśród nich kilku muzyków.

Jeden z mężczyzn – ten, który krzyczał najgłośniej – wydał mi się znajomy i próbowałem sobie właśnie przypomnieć, skąd go znam, gdy usłyszałem, jak woła:

– Panie Brodsky, jestem zmuszony nalegać!

Wówczas rozpoznałem w nim siwowłosego chirurga, napotkanego niedawno w lesie, w środku zaś gromady dostrzegłem Brodsky'ego, który sunął z wolna przed siebie z pełnym determinacji uporem. Wyglądał strasznie. Skóra na jego twarzy i szyi zbieleła i pomarszczyła się nie do poznania.

– Ale on twierdzi, że nic mu nie jest! Czemu nie pozwoli mu pan decydować za siebie?! – odkrzyknął mężczyzna w średnim wieku. Kilka głosów natychmiast go poparło, lecz zaraz podniósł się chór protestów.

Tymczasem Brodsky sunął powoli do przodu, nie zważając na całe to zamieszanie wokół jego osoby. Początkowo miało się wrażenie, że tłum unosi go nad ziemią, ale kiedy się zbliżył, zobaczyłem, że porusza się o własnych siłach, podpierając się kulą. Jej nietypowy kształt zwrócił moją uwagę i przyjrząwszy się jej bliżej, zauważyłem, że Brodsky trzyma pod pachą złożoną deskę do prasowania.

Podczas gdy stałem, obserwując całą tę scenę, coraz więcej osób milkło taktownie na mój widok, tak że w miarę jak gromada zbliżała się do mnie, hałas przycichał. Chirurg jednakże krzyczał dalej:

– Panie Brodsky! Pański organizm doznał ogromnego wstrząsu! Nalegam, żeby pan usiadł i odpoczął!

Brodsky spoglądał w dół, koncentrując się na każdym kolejnym kroku, i przez jakiś czas mnie nie zauważał. Wreszcie, wyczuwszy jakąś zmianę w zachowaniu otoczenia,

podniósł oczy.

– Aa, Ryder – powiedział. – Jest pan.

– Jak się pan czuje, panie Brodsky?

– Dziękuję, dobrze – odrzekł spokojnie.

Ludzie usunęli się nieco na bok i Brodsky pokonał dzielącą nas odległość z większą łatwością. Kiedy wyraziłem swój podziw, że tak szybko nauczył się posługiwać kulą, spojrzął na deskę, jakby po raz pierwszy od dłuższego czasu przypomniał sobie o jej istnieniu.

– Człowiek, który mnie tu przywiózł – wyjaśnił – miał to akurat w swojej furgonetce. Może być. Mocne, można się dobrze podeprzeć. Jest tylko jeden szkopuł, panie Ryder: czasami się rozkłada, o tak.

Potrząsnął deską, która istotnie zaczęła się sama rozkładać. Brodsky chwycił ją zaraz, aby nie rozłożyła się do końca, było jednak jasne, że nawet niewielkie rozsuniecie stanowi dla niego poważne utrudnienie.

– Potrzebuję sznurka – rzekł Brodsky ze smutkiem. – Jakiejś linki, żeby to związać. Ale nie ma już na to czasu.

Spojrzawszy w dół, gdzie wskazywał Brodsky, mimowolnie się wzdrygnąłem na widok jego lewej nogawki, zawiązanej w supeł tuż pod udem.

– Panie Brodsky – powiedziałem, zmuszając się, by znów spojrzeć mu w oczy – na pewno nie czuje się pan teraz dobrze. Czy ma pan dość sił, żeby poprowadzić orkiestrę?

– Tak, tak. Nic mi nie jest. Poprowadzę orkiestrę i... i pokażę jej swoją klasę. Zawsze wiedziałem, że tak będzie. Nareszcie przekona się na własne oczy i uszy. Wcale nie zgłupiałem przez te wszystkie lata, cały czas nosiłem to w sobie. Dzisiaj mnie zobaczy, Ryder. To będzie wspaniały koncert.

– Mówi pan o panie Collins? Ale czy ona w ogóle przyjdzie?

– Przyjdzie, na pewno przyjdzie. Ten drań robił wszystko, żeby ją powstrzymać, zastraszyć, ale ona przyjdzie. Wreszcie przejrzałem jego grę. Byłem u niej, przeszedłem kawał drogi, ciężko było, ale na szczęście spotkałem tego dobrego człowieka – Brodsky rozejrzał się i pomachał ręką do kogoś spośród przybyłych z nim ludzi – który przejeżdżał tamtędy furgonetką i zawiózł mnie pod jej mieszkanie. Zapukałem do drzwi, pukałem tak przez jakiś czas. Jakiś sąsiad myślał, że powtarza się stara historia, wie pan, czasami dobijałem się do niej po nocach, aż musieli wzywać policję. Ale zawołałem: „Nie, głupcze, wcale nie jestem pijany! Miałem wypadek i teraz jestem zupełnie trzeźwy, wiem, co się wokół mnie dzieje!”. Krzychałem tak do tego tłustego jegomościa, jej sąsiada. „Teraz wszystko rozumiem, przejrzałem jego knowania!”, tak krzychałem. A potem ona podeszła do

drzwi, podeszła i słyszała, jak rozmawiam z jej sąsiadem. Zobaczyłem ją przez szybę, nie wiedziała, co robić, więc zostawiłem sąsiada i zacząłem mówić do niej. Słuchała, ale nie otworzyła drzwi od razu, dopiero gdy powiedziałem: „Słuchaj, miałem wypadek”, dopiero wtedy otworzyła. Gdzie krawiec? Gdzie on się podziewa? Miał szyć dla mnie marynarkę. – Brodsky się rozejrzył, a jakiś głos z tyłu powiedział:

– Zaraz tu będzie. O, już jest.

Spośród stojących wokół ludzi wyłonił się niewielki człowieczek z krawieckim centymetrem w ręku i zaczął mierzyć Brodsky'ego.

– Co to? Co to jest? – mamrotał niecierpliwie Brodsky. Potem powiedział do mnie: – Nie mam garnitur. Ponoć uszyli dla mnie jakiś garnitur, miał być dostarczony do mojego domu. Ale przecież miałem wypadek i nie wiem, co się z nim stało. Będą mi musieli uszyć nowy. Garnitur i białą koszulę, dzisiaj chcę się prezentować jak najokazalej. Nareszcie zobaczy, co tkwiło we mnie przez te wszystkie lata.

– Panie Brodsky – rzekłem – zaczął mi pan opowiadać o panie Collins. Czy mam rozumieć, że przekonał ją pan, aby mimo wszystko przyszła na koncert?

– Och tak, przyjdzie. Obiecała. Drugi raz nie złamię słowa. Nie przyszła na cmentarz, choć wytrwale czekałem. Ale to nie jej wina. To on, kierownik hotelu, ją zastraszył. Ale powiedziałem jej, że już za późno na strach. Baliśmy się przez całe życie i teraz musimy się wykazać odwagą. Z początku nie słuchała. „Coś ty zrobił?”, pytała w kółko. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle, prawie płakała, z twarzą w dłoniach, prawie płakała, nie przejmując się, że sąsiedzi mogą wszystko słyszeć. Głucha noc, a ona powtarza ciągle: „Leo, Leo”, tak, tak się teraz do mnie zwraca, „Leo, coś ty sobie zrobił w nogę? Krwawisz”. A ja jej na to: „To nic, nieważne. Wypadek, akurat przechodził tamtędy lekarz, nieważne”, powiedziałem jej. „Najważniejsze, żebyś przyszła na koncert. Nie słuchaj tego łajdaka, tego... tego hotelowego chłopca na posyłki. Zostało nam mało czasu. Dzisiaj zrozumiesz, co tkwiło we mnie od zawsze. Przez te wszystkie lata nie byłem wcale takim głupcem, za jakiego mnie uważałaś”. Ona mi na to, że nie może przyjść, nie jest gotowa, a poza tym to tylko rozjątrzy stare rany. A ja na to, żeby nie słuchała tego chłopca na posyłki, tego hotelowego cecia, jest już za późno. A ona wskazała na moją nogę i powiedziała: „Ale co się stało, twoja noga krwawi”, a ja na to: „Nieważne!”, krzyczałem. „Nieważne! Czy nie rozumiesz, że musisz przyjść, że musisz to dla mnie zrobić?! Musisz przyjść! Musisz przekonać się na własne oczy, musisz przyjść!”. W końcu uzmysłowiła sobie powagę moich słów. Widziałem jej oczy, jak coś się w nich zmienia, jak odpływa strach, a na jego miejsce pojawia się coś żywego, i już wiedziałem, że wygrałem, a ten hotelowy kiblarz przegrał. Powiedziałem do niej, już

spokojnie, powiedziałem: „Więc przyjdiesz?”. A ona skinęła głową i wiedziałem, że mogę na nią liczyć, odwróciłem się więc i odszedłem. Przyjechałem tutaj, ten dobry człowiek... Gdzie on jest?... Przywiózł mnie tu swoją furgonetką. Ale dotarłbym tu nawet pieszo, nie jest ze mną tak źle.

– Ależ panie Brodsky – powiedziałem – czy jest pan pewien, że może pan wystąpić na scenie? Przecież miał pan poważny wypadek...

Choć nie taka była moja intencja, uwaga ta wywołała kolejną burzę. Chirurg przecisnął się do przodu i zakrzyknął, uderzając pięścią w otwartą dłoń dla wzmocnienia swoich słów:

– Panie Brodsky, nalegam! Musi pan odpocząć, co najmniej parę minut!

– Dajcie mi spokój, nic mi nie jest! – krzyknął Brodsky i ruszył dalej. Nagle odwrócił się do mnie jeszcze raz i zawołał: – Jeśli zobaczysz tego chłopca na posyłki, powiedz mu, że tu jestem! Powiedz mu! Nie wierzył, że zajdę tak daleko, ma mnie za psie łajno! Powiedz mu, że tu jestem! Zobaczmy, czy się ucieszy! – Po tych słowach oddalił się w głąb korytarza, oblegany przez rozwrzeszczaną watahę.

\* \* \*

Ruszyłem w przeciwnym kierunku, w dalszym ciągu poszukując Hoffmana. Po korytarzu nie wałęsało się już tylu muzyków, co przedtem, a drzwi do wielu garderób były zamknięte. W pewnej chwili przyszło mi na myśl, żeby zawrócić i zajrzeć dyskretnie do tych pomieszczeń, które stały otworem, gdy naraz moim oczom ukazał się Hoffman.

Kroczył powoli ze zwieszoną głową, odwrócony do mnie plecami. Jakkolwiek z tej odległości nie słyszałem jego głosu, odgadłem, że ćwiczy swoje przemówienie. Kiedy podszedłem bliżej, przechylił się nagle do przodu, aż myślałem, że za chwilę się przewróci. Potem jednak zrozumiałem, że znów wykonuje ów dziwny ruch, który miałem już okazję obserwować, kiedy ćwiczył go przed lustrem w garderobie Brodsky’ego. Nachyliwszy się nisko, unióś rękę, odchylając łokieć, i jął się tłuc pięścią w czoło. Kontynuował tę czynność, póki nie stanąłem obok niego i nie odchrząknąłem. Wówczas wyprostował się gwałtownie i odwrócił w moją stronę.

– Ach, to pan, panie Ryder. Proszę się nie martwić, jestem pewien, że pan Brodsky zaraz tu będzie.

– Otóż to, panie Hoffman. Jeśli zastanawiał się pan właśnie, jak usprawiedliwić przed publicznością nieobecność pana Brodsky’ego, spieszę donieść, że nie zachodzi taka potrzeba. Pan Brodsky już tu jest. – Machnąłem ręką do tyłu. – Właśnie przybył.

Hoffman wydawał się szczerze zdumiony i aż zamarł z wrażenia. Ocknąwszy się,

powiedział:

– Och, to świetnie. Jaka ulga. Oczywiście ani przez chwilę... ani przez chwilę w to nie wątpiłem. – Zaśmiał się, wodząc dokoła wzrokiem, jakby miał nadzieję ujrzeć Brodsky'ego. Po chwili zaśmiał się znowu i dodał: – Wypada mi zatem odnaleźć go i się nim zająć.

– Zanim jednak pan to robi, panie Hoffman, chciałbym się dowiedzieć, co się dzieje z moimi rodzicami. Mam nadzieję, że są już na miejscu? A pański pomysł z kareta... zdaje się, że słyszałem jej turkot, gdy przejeżdżałem niedaleko gmachu... tuszę, że wywołał efekt, o jaki panu chodziło?

– Pańscy rodzice? – Hoffman znów wydawał się zakłopotany. Po chwili położył mi rękę na ramieniu i powiedział: – No tak, pańscy rodzice. Niech no pomyślę.

– Panie Hoffman, byłem pewien, że pan i pańscy koledzy odpowiednio się nimi zajmą. Oboje niedomagają...

– Tak, oczywiście. Nie musi się pan obawiać. Po prostu miałem tyle spraw na głowie, a w dodatku to małe spóźnienie pana Brodsky'ego, choć mówi pan, że właśnie przybył... Ha, ha... – Urwał i raz jeszcze zapuścił wzrok w głąb korytarza.

– Panie Hoffman, gdzie są obecnie moi rodzice? – zapytałem dość chłodno. – Czy pan się orientuje?

– Cóż, akurat w tej chwili, jeśli mam być szczery, nie potrafię... Ale mogę pana zapewnić, że są pod najlepszą opieką. Naturalnie, chętnie nadzorowałbym osobiście każdą sprawę, ale sam pan rozumie... Ha, ha. Panna Stratmann, tak, ona na pewno będzie wiedziała, gdzie są pańscy rodzice. Kazano jej śledzić uważnie wszystko, co się wokół nich dzieje. Co nie znaczy, że grozi im brak należytej troski z naszej strony. Wprost przeciwnie, byłem zmuszony prosić pannę Stratmann, aby baczyła, czy pańscy rodzice nie czują się zmęczeni gościnnością, która niezawodnie zewsząd ich otacza...

– Rozumiem, że nie ma pan pojęcia, gdzie się obecnie znajdują. A gdzie jest panna Stratmann?

– Na pewno gdzieś się tu kręci. Proponuję, abyśmy wspólnie poszukali pana Brodsky'ego i sprawdzili, jak sobie radzi. Jestem pewien, że po drodze natkniemy się na pannę Stratmann. Może nawet jest teraz w swoim biurze. W każdym razie – nagle jego głos stał się bardziej stanowczy – nic nie zdziałamy, stercząc tu bezczynnie. – Ruszył do przodu, a ja za nim. Odzyskawszy w pełni panowanie nad sobą, uśmiechnął się i powiedział: – Teraz już możemy być pewni, że wszystko pójdzie dobrze. Wygląda pan na człowieka, który wie, co robi. A skoro przybył pan Brodsky, nic już nie stoi na przeszkodzie. Wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Czeka nas wspaniały wieczór.

Nagle zwolnił kroku i zauważyłem, że wpatruje się w jakiś punkt przed nami. Idąc za jego spojrzeniem, zobaczyłem Stephana, który stał pośrodku korytarza z zatroskaną miną. Ujrzawszy nas, młody człowiek zbliżył się pospiesznie.

– Dobry wieczór, panie Ryder – odezwał się, po czym zniżając głos, powiedział do Hoffmana: – Ojczy, chciałbym zamienić z tobą parę słów.

– Spiesz się, Stephanie. Właśnie przybył pan Brodsky.

– Tak, słyszałem. Ale widzisz, tato, chodzi o mamę.

– Ach tak, o mamę.

– Chodzi o to, że mama ciągle jest w foyer, a ja mam wejście za piętnaście minut. Widziałem się z nią przed chwilą spacerowała po foyer, powiedziałem jej, że zaraz wchodzę, a ona na to: „Mam jeszcze kilka spraw na głowie, kochanie. Postaram się zdążyć na końcówkę twojego występu, ale najpierw muszę dopilnować paru spraw”. Tak powiedziała, choć nie sprawiała wrażenia szczególnie zajętej. Naprawdę, już najwyższy czas, żebyście ty i mama zajęli miejsca. Wchodzą za niecały kwadrans.

– Tak, tak, zaraz będę z powrotem. A jeśli chodzi o mamę, jestem pewien, że szybko się upora z tym, co ją zatrzymuje. Po co się tak denerwować? Idź do swojej garderoby i przygotuj się do występu.

– Ale jakie obowiązki mogą trzymać mamę w foyer? Nic nie robi, tylko stoi i rozmawia z przechodzącymi gośćmi. Niedługo zostanie tam zupełnie sama. Ludzie zajmują już miejsca na widowni.

– Myślę, że chce po prostu rozprostować nogi, zanim usiądzie na dobre. A teraz się uspokój, Stephanie. Musisz dobrze rozpocząć cały wieczór. Liczymy na ciebie.

Młody człowiek zastanowił się nad tym, po czym nagle jakby przypomniał sobie o mnie.

– Był pan dla mnie bardzo uprzejmy, panie Ryder – powiedział z uśmiechem. – Nie wiem, jak panu dziękować za pańskie wsparcie.

– Wsparcie? – Hoffman spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– O tak – rzekł Stephan. – Pan Ryder nie szczędził mi czasu ni pochwał. Wysłuchał mojej gry i tchnął we mnie więcej otuchy, niż dane mi było zaznać w ostatnich latach.

Hoffman spoglądał to na mnie, to na niego, a po jego wargach błąkał się pełen niedowierzania uśmieszek.

– Poświęcił pan swój czas, żeby posłuchać Stephana? – zapytał. – Jego?

– Owszem. Próbowałem powiedzieć to panu już wcześniej, panie Hoffman. Pański syn ma talent i bez względu na to, co wydarzy się tej nocy, jestem przekonany, że jego występ

wzbudzi sensację.

– Naprawdę pan tak myśli? Jednak fakt pozostaje faktem, że Stephan... – Hoffman, najwyraźniej zmieszany, zaśmiał się i poklepał syna po plecach. – No, no, może sprawisz nam dzisiaj niespodziankę, Stephanie.

– Mam nadzieję, ojciec. Tylko że mama ciągle jest w foyer. Może czeka na ciebie. Na takich uroczystościach kobietom nie wypada siedzieć samotnie na widowni. Być może tylko o to chodzi. Gdy wejdiesz na salę i usiądziesz, może do ciebie dołączy. Chodzi tylko o to, że zaraz zaczynam.

– Dobrze, Stephanie, zajmę się tym. Głowa do góry. A teraz idź do swojej garderoby i się przygotuj. Pan Ryder i ja musimy najpierw załatwić kilka spraw.

Choć Stephan nie wydawał się zachwycony, zostawiliśmy go i ruszyliśmy dalej.

– Powinienem pana ostrzec, panie Hoffman – powiedziałem po chwili. – Zdaje się, że pan Brodsky jest obecnie dość wrogo nastawiony do... do pana.

– Do mnie?

– Kiedy widziałem się z nim ostatnio, nie krył swojej irytacji. Tak jakby miał panu coś do zarzucenia. Czułem się w obowiązku pana uprzedzić.

Hoffman wymamrotał coś niezrozumiale pod nosem. W końcu za jednym z łagodnych zakoli korytarza ukazała się garderoba Brodsky'ego, przed którą sterczała gromadka ludzi. Kierownik hotelu zwolnił kroku, po czym się zatrzymał.

– Panie Ryder, przemyślałem dokładniej słowa Stephana i doszedłem do wniosku, że powinienem zobaczyć się z żoną i upewnić, czy wszystko w porządku. W tak nerwowej atmosferze, rozumie pan...

– Naturalnie.

– A zatem wybaczy pan. Chciałbym tylko pana prosić, aby... jeśli to możliwe... sprawdził pan, czy pan Brodsky ma się dobrze. Co do mnie – zerknął na zegarek – istotnie, najwyższy czas, żebym zasiadł na widowni. Stephan ma rację.

Hoffman zaśmiał się krótko i ruszył pospiesznie z powrotem.

Poczekalem, aż zniknie mi z oczu, po czym zbliżyłem się do grupy ludzi oblegających wejście do pokoju Brodsky'ego. Zdawało się, że niektórzy z nich stoją tam z czystej ciekawości, podczas gdy inni prowadzili półgłosem ożywione dysputy. Siwowłosa chirurg krążył w pobliżu drzwi, tłumacząc coś z naciskiem jednemu z muzyków i wymachując nerwowo ręką w stronę garderoby. Drzwi, jak stwierdziłem ze zdziwieniem, były szeroko otwarte, a gdy się do nich zbliżałem, wychyliła się zza nich głowa niskiego krawca, który zawołał: „Pan Brodsky potrzebuje nożyc! Dużych!”. Ktoś puścił się biegiem, a krawiec znów

zniknął za drzwiami. Przcisnąłem się przez ciżbę i zajrzałem do pokoju.

Brodsky, ubrany teraz w wieczorową marynarkę, siedział tyłem do wejścia, przyglądając się sobie w lustrze, podczas gdy krawiec marszczył i naciągał rękawy jego odzienia. Brodsky miał też na sobie białą koszulę – brakowało tylko muchy.

– A, Ryder – powiedział, gdy dostrzegł mnie w lustrze. – Wejdz, wejdz. Wiesz, już od dawna nie nosiłem takich rzeczy.

Wydał mi się o wiele spokojniejszy niż wtedy, gdy widziałem go ostatnim razem. Przypomniała mi się owa władczość, którą emanował na cmentarzu, przemawiając do żałobników.

– Teraz, panie Brodsky? – zapytał krawiec, prostując plecy. Przez parę sekund obaj kontemplowali marynarkę w lustrze. Wreszcie Brodsky pokręcił głową.

– Nie, trzeba jeszcze trochę ściągnąć – stwierdził. – Tu i tu. Za duże luzy.

– Już się robi, panie Brodsky. – Krawiec zdjął pospiesznie marynarkę i ukłoniwszy mi się przelotnie, zniknął za drzwiami.

Brodsky wciąż wpatrywał się w lustro, obmacując swój sterczący kołnierzyk. Następnie wziął do ręki grzebień i przeczesał włosy, posmarowane – jak zauważyłem – jakimś błyszczącym płynem.

– Jak się pan teraz czuje? – zapytałem, podchodząc bliżej.

– Dobrze – powiedział powoli, nie odrywając wzroku od włosów. – Czuję się dobrze.

– A pańska noga? Jest pan pewien, że może pan wystąpić z tak ciężką raną?

– Moja noga to nic. – Odłożył grzebień i przyjrzał się rezultatowi swoich zabiegów. – Nie jest tak źle, jak mogło się wydawać.

Podczas gdy Brodsky wypowiadał te słowa, widziałem w lustrze, jak chirurg – który przez cały czas kręcił się przy drzwiach – przestępuje próg pokoju z miną kogoś, kto nie może się już dłużej powstrzymać. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Brodsky krzyknął groźnie do lustra:

– Nic mi nie jest! Rana to drobiazg.

Chirurg cofnął się ku wyjściu, po czym dalej wpatrywał się gniewnie w plecy Brodsky'ego.

– Ależ panie Brodsky – powiedziałem cicho. – Przecież właśnie stracił pan nogę. To nie taki drobiazg.

– To prawda, straciłem nogę. – Brodsky znów zajął się swoją fryzurą. – Ale to było wiele, wiele lat temu, Ryder. Może jeszcze w dzieciństwie. Tak dawno, że nawet dobrze nie pamiętam. Ten głupi konował nic nie zauważył. Przy wypadku zaklinowała się moja sztuczna

noga. Ten głupiec nawet tego nie zauważył. I on się nazywa chirurgiem! Tak się już przyzwyczałem do braku nogi, jakbym nigdy jej nie miał. Ile to już lat? W tym wieku zaczyna się już zapominać. Przestaje to zresztą obchodzić. Człowiek żyje się z raną jak ze starym kumplem. Co prawda, od czasu do czasu trochę mi dokucza, ale mam ją już od tylu lat... Stało się to pewnie, kiedy byłem mały. Może to był wypadek kolejowy. Gdzieś na Ukrainie, w śniegu. Któż to wie? Teraz to nieważne. Już dawno się przyzwyczałem do tego, że mam tylko jedną nogę. To nic strasznego, można sobie poradzić. Ten głupi konował odpiłował mi drewnianą nogę. Tak, lała się krew, rana ciągle krwawi, potrzebuję nożyc, Ryder. Nie, nie do rany, do nogawki. Do tej tutaj. Przecież nie mogę dyrygować z pustą nogawką. Ale ten medyczny idiota, ten niedorobiony łapiduch, odciął mi drewnianą nogę, więc co mi teraz pozostaje? Muszę... – składając palce jak nożyce, udał, że tnie materiał nieco powyżej kolana – muszę coś z tym zrobić. Tak, żeby wyglądało w miarę elegancko. Nie dość, że ten głupiec zniszczył mi drewnianą nogę, to jeszcze zahaczył o kikut. Rana już dawno tak nie krwawiła. Idiota z poważną miną. Ma się za bardzo ważną osobę, a odciął mi drewnianą nogę. I zaciął końcówkę kikuta. Nic dziwnego, że nie chce przestać krwawić. Wszędzie krew. Ale straciłem ją już wiele lat temu. Bardzo dawno temu, tak mi się teraz wydaje. Miałem całe życie, żeby się do tego przyzwycząć. Ale wystarczył jeden idiota z piłą, żeby znowu zaczęła krwawić. – Spojrzał na dół i wtarł coś butem w podłogę. – Posłałem po nożyce. Muszę się prezentować jak najlepiej, Ryder. Nie jestem próżny. Nie z próżności to robię. Człowiek musi wyglądać porządnie w takiej chwili. No i będzie ona. Zobaczy mnie dziś i zapamięta na wszystkie lata, które nam jeszcze zostały. Co do orkiestry, nie mogę narzekać. O, pokażę panu. – Sięgnął po batutę i podniósł ją do światła. – Dobra batuta. Coś w niej jest, to się czuje. To bardzo ważne. Dla mnie zawsze najważniejszy był szpic. Szpic musi być, tak, tak. – Utkwił wzrok w batucie. – Upłynęło dużo czasu, ale się nie boję. Dzisiaj im pokażę. Żadnych kompromisów, chcę iść na całość. Tak jak mówisz, Ryder. Max Sattler. Co za idiota z tego konowała! Woźny szpitalny, nie lekarz!

Ostatnie słowa wykrzyczał do lustra niemal z lubością. Chirurg, który słuchał tego wszystkiego w najwyższym osłupieniu, wycofał się wstydliwie za drzwi.

Pozbywszy się go, Brodsky po raz pierwszy dał po sobie poznać zdenerwowanie. Zamknął oczy i przechylił się na bok, oddychając ciężko. Ale do pokoju wtargnął nagle mężczyzna z nożycami w ręku.

– No, nareszcie – rzekł Brodsky, odbierając od niego nożyce. Kiedy mężczyzna wyszedł, położył je na półce przed lustrem i zaczął się podnosić z krzesła, przytrzymując się oparcia.

Wstał i wyciągnął ręką w stronę deski do prasowania, która stała oparta o ścianę tuż przy lustrze. Postąpiłem naprzód, aby mu pomóc, lecz on z zadziwiającą zręcznością dosięgnął deski i wsunął ją pod ramię.

– Sam widzisz – powiedział, spoglądając ze smutkiem na pustą nogawkę. – Muszę coś z tym zrobić.

– Mam zawołać krawca?

– Nie, nie, on nie będzie wiedział, co zrobić. Sam sobie poradzę.

Brodsky nie odrywał oczu od swej pustej nogawki. Kiedy tak na niego patrzyłem, przypomniały mi się inne pilne sprawy wymagające mojego udziału. Przede wszystkim należało wrócić do Sophie i Borisa i dowiedzieć się, jak się czuje Gustav. Niewykluczone, że z podjęciem jakiejś ważnej decyzji dotyczącej Gustava czekano do mojego powrotu. Odchrząknąłem.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Brodsky, pójdę już sobie.

Brodsky wpatrywał się dalej w swoją nogawkę.

– To będzie wspaniały wieczór, Ryder – powiedział cicho. – Zrozumie, nareszcie zrozumie.

## Rozdział 33

Sytuacja przed garderobą Gustava nie zmieniła się zbyt wiele podczas mojej nieobecności. Co najwyżej boye hotelowi odsunęli się nieco dalej od drzwi i stali teraz po drugiej stronie korytarza, naradzając się po cichu. Sophie natomiast stała dokładnie tam, gdzie ją zostawiłem, z paczką w rękach, wpatrzona w uchylone drzwi. Widząc, że się zbliżam, jeden z boyów hotelowych podszedł do mnie i rzekł półgłosem:

– Trzyma się dzielnie, panie Ryder. Ale Josef poszedł po lekarza. Uznaliśmy, że nie możemy dłużej czekać z założonymi rękami.

Skinąłem głową i zapytałem cicho, zerkając na Sophie:

– Nie weszła?

– Jeszcze nie. Ale jestem pewien, że lada moment wejdzie. Przyglądaliśmy się jej przez chwilę.

– A Boris? – zapytałem.

– Och, był u niego już parę razy.

– Parę razy?

– Tak. Teraz też tam jest.

Znowu skinąłem głową, po czym podszedłem do Sophie. Nie zauważyła mojego powrotu i kiedy dotknąłem delikatnie jej ramienia, drgnęła przestraszona. Po chwili zaśmiała się jednak i powiedziała:

– Jest tam, w środku. Tata.

– Uhm.

Zmieniła nieco pozycję, przechylając się na bok, jakby próbowała zobaczyć więcej przez szparę w drzwiach.

– Nie dasz mu płaszcza?

Sophie spojrzała na pakunek.

– Ależ tak. Tak, właśnie chciałam... – Urwała i znów pochyliła się na bok. – Boris? Boris! Wyjdź na minutkę! – zawołała.

Po kilku sekundach z pokoju wyłonił się Boris, starannie zamykając za sobą drzwi. Wydawał się bardzo opanowany.

– No i? – spytała Sophie.

Boris spojrział na mnie, po czym powiedział, odwracając się do matki:

– Dziadek mówi, że mu przykro. Kazał powiedzieć, że mu przykro. – Wahał się przez chwilę. W końcu dodał miękko: – Wejdę jeszcze raz. Na pewno powie więcej.

– Ale czy to wszystko, co ci teraz powiedział? Że mu przykro?

– Nie martw się, wejdę jeszcze raz.

– Chwileczkę. – Sophie zaczęła zdzierać papier z paczki. – Zanieś to dziadkowi. Daj mu to. Sprawdź, czy dobrze leży. Powiedz, że zawsze mogę co nieco poprawić.

Strzępy papieru opadły na podłogę, Sophie podała chłopcu brązowy płaszcz. Boris wziął go bez ceregieli i wrócił do garderoby. Ponieważ ciężki płaszcz wyraźnie ograniczał swobodę jego ruchów, Boris zostawił drzwi na w pół otwarte i wkrótce z pokoju dobiegły odgłosy rozmowy. Sophie nie ruszyła się z miejsca, widziałem jednak, że wyteża słuch, żeby wychwycić przynajmniej pojedyncze słowa. Boye hotelowi wciąż trzymali się w stosownej odległości, ale i oni wpatrywali się z napięciem w drzwi.

Nie minęło parę minut, gdy Boris znów wyszedł na korytarz.

– Dziadek ci dziękuje – powiedział do Sophie. – Jest teraz bardzo szczęśliwy. Mówi, że jest bardzo szczęśliwy.

– To wszystko, co powiedział?

– Powiedział, że jest szczęśliwy. Brakowało mu płaszcza, a teraz, gdy go już ma, mówi, że to dla niego bardzo wiele znaczy. – Boris zerknął za siebie i dodał: – Mówi, że jest z niego bardzo zadowolony.

– To wszystko? Nie mówił... nie mówił, czy dobrze leży? Czy podoba mu się kolor?

Ponieważ w tym momencie patrzyłem na Sophie, nie zauważyłem, co takiego zrobił Boris. Wydawało mi się, że nic szczególnego, po prostu namyślał się przez chwilę nad odpowiedzią. Ale Sophie krzyknęła nagle:

– Dlaczego to robisz?!

Chłopiec wybałuszył oczy w osłupieniu.

– Dlaczego to robisz? Wiesz, co mam na myśli. O, właśnie to! – Chwyciła Borisa za ramię i zaczęła nim gwałtownie potrząsać. – Zupełnie jak jego dziadek! – zwróciła się do mnie. – Naśladuje jego gesty! – Potem odwróciła się do boyów hotelowych, którzy patrzyli na nią z niepokojem. – Wziął to od dziadka! Widzieliście ten ruch ramieniem? Ile w nim zarozumiałstwa, ile samozadowolenia. Widzicie? Dokładnie jak jego dziadek! – Wpiła wzrok w Borisa i znowu nim potrząsnęła. – Myślisz, że jest taki wspaniały, co? Co?

Boris wyrwał się z jej uścisku i zatoczył parę kroków do tyłu.

– Widziałeś? – spytała Sophie. – Zawsze tak robi. Zupełnie jak jego dziadek.

Boris cofnął się jeszcze o parę kroków, schylił się, podniósł z podłogi torbę lekarską, którą przyniósł ze sobą, i zasłonił się nią obronnym ruchem. Myślałem, że zaraz wybuchnie płaczem, ale w ostatniej chwili udało mu się opanować łzy.

– Nie martw się... – odezwał się i urwał. Podniósł czarną torbę nieco wyżej. – Nie martw się. Ja... Ja... – Poddał się w końcu i rozejrzał dokoła. Niedaleko za jego plecami znajdowała się sąsiednia garderoba. Odwrócił się błyskawicznie i wbiegł do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Zwariowałaś? – powiedziałem do Sophie. – Chłopak jest wystarczająco zdenerwowany.

Sophie milczała przez chwilę. Nagle westchnęła i podeszła do drzwi, za którymi zniknął Boris. Zapukała i weszła do środka.

Usłyszałem głos chłopca, ale choć Sophie zostawiła drzwi otwarte, nie mogłem zrozumieć, co mówi.

– Przepraszam – usłyszałem odpowiedź Sophie. – Nie chciałam.

Boris powiedział coś, czego również nie dosłyszałem.

– Nie, nie, jest, jak trzeba – powiedziała łagodnie Sophie. – Jesteś wspaniały. – Po krótkiej przerwie dodała: – Teraz muszę iść porozmawiać z dziadkiem. Muszę.

Boris zaczął coś mówić nieco rozwlekłe.

– Nie, na pewno nie – przerwała mu po chwili Sophie. – Będzie dla ciebie miły. Obiecuję. Poproszę go do środka. Ja zaś muszę porozmawiać z dziadkiem. Jeszcze zanim przyjedzie lekarz. – Sophie wyszła z pokoju i zamknęła drzwi, a następnie podeszła do mnie i powiedziała cicho: – Wejdz tam, proszę, i zaczekaj razem z nim. Jest podenerwowany. Ja muszę iść porozmawiać z tatą. – Nim zdążyłem się ruszyć, położyła mi rękę na ramieniu, mówiąc: – Tylko proszę, okaż mu trochę ciepła. Tak jak dawniej. Tak bardzo mu tego brakuje.

– Przepraszam, nie wiem, co masz na myśli. Jeśli jest zdenerwowany, to dlatego, że...

– Proszę cię – przerwała mi Sophie. – Być może wszystko działo się z mojej winy, ale teraz dajmy temu spokój. Wejdz tam, proszę, i posiedź z nim trochę.

– Posiedzę z nim, a jakże – powiedziałem chłodno. – Czemu nie? A ty lepiej idź do ojca. Zapewne wszystko słyszał.

Wszedłem do pokoju, w którym schronił się Boris, i ze zdziwieniem stwierdziłem, że wnętrze pomieszczenia zupełnie nie przypomina innych garderób, które miałem sposobność oglądać z korytarza. Rzędy ławek oraz duża tablica na ścianie upodabniały pokój do szkolnej klasy. Obszerne pomieszczenie było słabo oświetlone, wszędzie zalegały gęste cienie. Boris

siedział w jednej z tylnych ławek i kiedy wszedłem, spojrzał na mnie przelotnie. Nie odezwawszy się do niego słowem, rozejrzałem się dokoła.

Na tablicy dostrzegłem bezładne bazgroły i przez chwilę zastanawiałem się, czy były one dziełem Borisa. Kiedy przechadzałem się między pustymi ławkami, przyglądając się planszom i mapom zawieszonym na ścianach, chłopiec dobył z piersi ciężkie westchnienie. Obejrzałem się i zobaczyłem, że trzyma swoją czarną torbę na kolanach i usiłuje z niej coś wyciągnąć. W końcu wyjął okazałą księgę i położył ją przed sobą na ławce.

Odwróciłem się i kontynuowałem obchód pokoju. Kiedy znów na niego zerknąłem, kartkował strony książki z wyrazem zachwytu na twarzy i domyśliłem się, że po raz kolejny przegląda podręcznik „złotej rączki”. Nie czując najmniejszej złości, odwróciłem się od niego, by przyjrzeć się plakatowi, który przestrzegał przed niewłaściwym użyciem rozpuszczalnika. Nagle dobiegł mnie z tyłu głos Borisa:

– Ta książka naprawdę mi się podoba. Można się wszystkiego nauczyć.

Spróbował powiedzieć to niby do siebie, ale ponieważ stałem stosunkowo daleko od niego, musiał nienaturalnie podnieść głos. Postanowiłem nie odpowiadać i dalej wędrowałem po pokoju.

Po chwili Boris westchnął ponownie.

– Czasami mama bardzo się denerwuje – rzekł.

I tym razem nic nie wskazywało na to, że zwraca się bezpośrednio do mnie, toteż nadal milczałem. Poza tym kiedy w końcu odwróciłem się ku niemu, udawał, że jest pogrążony w lekturze. Przeszedłem do sąsiedniego rogu, gdzie znalazłem wiszącą na ścianie planszę z nagłówkiem: „Zguby”. Poniżej znajdowała się długa lista zgubionych przedmiotów, zapisana wszystkimi możliwymi charakterami pisma i podzielona na trzy kolumny: data, opis zguby i nazwisko właściciela. Nie wiadomo dlaczego, lista wydała mi się dość zabawna i przez chwilę studiowałem ją z uwagą. Autorom górnych pozycji przyświecały niewątpliwie poważne intencje – zgubiono pióro, figurę szachową, portfel. Mniej więcej od połowy zaczynały się pozycje żartobliwe. Ktoś utrzymywał, że zgubił trzy miliony dolarów, a inny zapis głosił, że Czyngis-chan stracił kontynent azjatycki.

– Ta książka naprawdę mi się podoba – powiedział Boris z tyłu. – Można się wszystkiego nauczyć.

Nagle moja cierpliwość prysła jak bańka mydlana. Dopadłem do jego ławki i walnąłem pięścią w drewniany blat.

– Po co ty to czytasz? – spytałem. – Co ci nagadała twoja matka? Wmówiła ci pewnie, że to wspaniały prezent. Bzdura. To ci powiedziała? Że wybrałem ją dla ciebie po długim

namyśle? Popatrz tylko, popatrz! – Spróbowałem wyrwać mu książkę, ale uczeplił się jej kurczowo obiema rękoma. – Toż to stary, bezwartościowy poradnik, którego ktoś chciał się pozbyć. Myślisz, że z takiej książki można się czegoś nauczyć?

Wciąż usiłowałem wydrzeć mu książkę, ale Boris – przechyliwszy się nad ławką – zapierał się całym ciałem. Przez cały czas zachowywał irytujące milczenie. Szarpnąłem raz jeszcze, chcąc odebrać mu książkę raz na zawsze.

– Posłuchaj, to bezwartościowy prezent. Zupełnie bezwartościowy. Kupiony bez zastanowienia, bez uczucia, ot tak sobie. Ma to wypisane na każdej stronie. A ty myślisz, że sprawiłem ci wspaniały prezent! Dawaj, no, dawaj!

Być może z obawy, że poradnik za chwilę się rozleci, Boris podniósł nagle ręce i książka zawisła beładnie w mojej dłoni. Wciąż się nie odzywał i zrobiło mi się trochę głupio z powodu mojego wybuchu. Rzuciłem okiem na książkę, którą trzymałem za okładkę, i cisnąłem ją w odległy kąt pokoju. Uderzyła o ławkę i spadła gdzieś w cieniu. Od razu poczułem się lepiej i wziąłem głęboki oddech. Kiedy znów spojrzałem na Borisa, siedział sztywno, wpatrzony w tę część pokoju, w której upadła książka. Potem wstał i ruszył pospiesznie, by ją odnaleźć, lecz zanim dotarł do połowy drogi, z korytarza dobiegł naglący głos Sophie:

– Boris, chodź tu na chwilę. Tylko na chwilę.

Boris się zawahał, spoglądając raz jeszcze w stronę podręcznika, po czym wyszedł z pokoju.

– Boris – słyszałem głos Sophie – wejdź i zapytaj dziadka, jak się teraz czuje. I zapytaj, czy mam coś poprawić przy płaszczu. Dolne guziki mogą być źle przyszyte. Może trzepotać na wietrze, jeśli dziadek postoi dłużej na moście. Idź, zapytaj, ale nie siedź za długo, zapytaj tylko i zaraz wracaj.

Kiedy wyszedłem na korytarz, chłopiec zdążył już zniknąć w garderobie Gustava, a moim oczom ukazał się znajomy widok: Sophie, wyraźnie spięta, stała w tym samym miejscu, wlepiając oczy w drzwi garderoby; nieco dalej stali boye hotelowi, obserwując ją z zatroskanymi minami. Na twarzy Sophie malował się jednak wyraz udręki, którego przedtem nie zauważyłem, i nagle poczułem przyływ czułości. Podeszedłem do niej i objąłem ją ramieniem.

– Wszyscy przeżywamy ciężkie chwile – powiedziałem łagodnie. – Bardzo ciężkie chwile.

Zacząłem przyciągać ją ku sobie, ale odepchnęła mnie nagle i dalej wpatrywała się w drzwi. Zaskoczony takim potraktowaniem powiedziałem do niej ze złością:

– Posłuchaj, w takich chwilach wszyscy powinniśmy się wspierać.

Sophie nie odpowiadała, a po chwili z garderoby wyłonił się Boris.

– Dziadek mówi, że płaszcz jest dokładnie taki, o jakim marzyłem, a podoba mi się tym bardziej, że dostałem go od mamy.

– Ale czy mam coś poprawić? – zachnęła się Sophie. – Czemu nie chce mi powiedzieć? Zaraz będzie tu lekarz.

– Mówi... mówi, że płaszcz bardzo mi się podoba.

– Zapytaj go o dolne guziki. Jeśli zamierza nadal wystawać na wietrze na środku mostu, muszą się dobrze zapinać.

Boris namyślał się przez chwilę, po czym skinął głową i ponownie wszedł do garderoby.

– Słuchaj – powiedziałem do Sophie – chyba nie wyobrażasz sobie, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na moich barkach. Czy ty rozumiesz, że za chwilę wchodzę na scenę? Będę odpowiadał na szereg trudnych pytań dotyczących losów tutejszej społeczności. Będzie nawet tablica elektroniczna. Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Ty się tu martwisz o guziki i inne duperele. Ale czy pomyślałaś, ile nerwów mnie to wszystko kosztuje?

Sophie odwróciła się do mnie z udręczoną miną i już miała coś powiedzieć, kiedy znów pojawił się Boris. Tym razem bardzo poważnie popatrzył matce w oczy, ale się do niej nie odezwał.

– No i co powiedział? – spytała Sophie.

– Mówi, że płaszcz bardzo mi się podoba. Mówi, że przypomina mi płaszczyk, który mama nosiła, jak była mała. Podobny kolor. Mówi, że na tamym płaszczyku był wymalowany niedźwiadek.

– Czy muszę coś poprawiać?! Dlaczego nie da mi jasnej odpowiedzi?! Zaraz będzie lekarz!

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy – wtrąciłem – jak wielu ludzi na mnie liczy. Będzie tablica elektroniczna, wszystko. Chcą, żebym po każdej odpowiedzi podchodził do brzegu sceny. Mnóstwo nerwów. Chyba nie...

Urwałem, słysząc zza drzwi wołanie Gustava. Boris odwrócił się błyskawicznie i wpadł do garderoby. Staliśmy z Sophie przez dłuższą chwilę w oczekiwaniu na jego powrót. Kiedy znów się pojawił, przeszedł obok, nie patrząc nawet w naszą stronę, i zatrzymał się przed grupą boyów hotelowych.

– Proszę, panowie. – Wykonał zapraszający gest. – Dziadek prosi was do środka.

Pragnie, abyście przy nim byli.

Boris ruszył przodem, a po chwili wahania boye hotelowi podążyli skwapliwie jego śladem. Wymijali nas gęsiego, a ten i ów mamrotał coś do Sophie z zakłopotaniem.

Kiedy ostatni z nich wszedł do pokoju, spróbowałem zajrzeć do środka, nie udało mi się jednak dostrzec Gustava, gdyż boye hotelowi stali w przejściu, zasłaniając widok. Trzy czy cztery osoby zaczęły mówić jednocześnie i już miałem podejść bliżej, gdy nagle Sophie przemknęła obok mnie i weszła do pokoju. Wywołało to poruszenie i wszyscy ucichli.

Zbliżyłem się do drzwi. Ponieważ boye hotelowi utworzyli szpaler, aby przepuścić Sophie, nareszcie ujrzałem Gustava leżącego na materacu. Górną część jego ciała okrywał teraz brązowy płaszcz, spod którego wyglądało to samo co przedtem szare prześcieradło. Nie miał poduszki i wyraźnie brakowało mu sił, żeby podnieść głowę, ale spoglądał na córkę z łagodnym uśmiechem.

Sophie zatrzymała się dwa, trzy kroki przed materacem. Ponieważ stała do mnie tyłem, nie widziałem jej twarzy, zdawało się jednak, że przygląda się ojcu z uwagą. Wreszcie, po dłuższym milczeniu, odezwała się do niego:

– Pamiętasz, jak kiedyś przyszedłeś do szkoły? Przyniosłeś mi strój kąpielowy. Zapomniałam zabrać go z domu i przez cały ranek się denerwowałam, nie wiedziałam, co zrobić, a potem zjawился się z tym niebieskim workiem na sznurku i wszedłeś prosto do klasy. Pamiętasz, tato?

– Nareszcie będzie mi ciepło – powiedział Gustav. – Brakowało mi takiego płaszcza.

– Miałeś tylko pół godziny przerwy, więc biegłeś całą drogę z hotelu. Wszedłeś do klasy, trzymając w ręku tamten niebieski worek.

– Zawsze byłem z ciebie dumny.

– Martwiłam się przez cały ranek. Nie wiedziałam, co zrobić.

– To bardzo dobry płaszcz. Co za kołnierz. A tu wszędzie prawdziwa skóra.

– Przepraszam – usłyszałem za sobą czyjś głos, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem młodego człowieka w okularach i z lekarską torbą, który usiłował precyzyjnie się do środka. Tuż za nim ujrzałem jeszcze jednego boya hotelowego, którego pamiętałem z kawiarni Węgierskiej. Mężczyźni weszli do pokoju, a młody lekarz podszedł szybko do Gustava, ukląkł przy nim i zaczął go badać.

Sophie przyglądała się lekarzowi w milczeniu. Potem – jakby uznawszy, że teraz kto inny zasługuje na uwagę jej ojca – cofnęła się parę kroków. Boris podszedł do niej i przez chwilę stali obok siebie, niemal się dotykając, Sophie jednak, skupiona bez reszty na przygarbionych plecach lekarza, nie zauważyła chłopca.

W tym momencie przypomniałem sobie nagle o wielu innych sprawach, którymi należało się zająć przed występem, i uznałem, że nadarza się dobra okazja, by się niepostrzeżenie wymknąć. Wycofałem się cichutko na korytarz i już miałem ruszyć na poszukiwanie Hoffmana, gdy usłyszałem za plecami jakiś szmer i poczułem, że ktoś chwycił mnie szorstko za ramię.

– A ty gdzie się wybierasz? – zapytała Sophie poirytowanym szeptem.

– Przykro mi, ale ty chyba nic nie rozumiesz. Mam mnóstwo pracy. Będzie tablica elektroniczna, wszystko. Strasznie dużo ode mnie zależy. – Mówiąc to, usiłowałem wyswobodzić ramię z jej uścisku.

– A Boris? Potrzebuje cię. Oboje cię potrzebujemy.

– Do ciebie najwyraźniej nic nie dociera! Moi rodzice! Nie rozumiesz, że lada chwila przybędą tu moi rodzice?! Mam tysiąc spraw na głowie! Nie masz pojęcia, nie masz najmniejszego pojęcia! – Wreszcie udało mi się wyrwać. – Nie martw się, wrócę – rzuciłem przez ramię pojednawczym tonem, oddalając się pospiesznie. – Wrócę jak najszybciej.

## Rozdział 34

Idąc szybkim krokiem przez korytarz, ujrzałem naraz kilkanaście osób stojących w kolejce wzdłuż ściany. Zauważyłem, że wszyscy ubrani są w kuchenne fartuchy i o ile mogłem się zorientować, czekają na swoją kolej, żeby się wgramolić do małej, czarnej szafy. Zaciekawiony zwolniłem, aż w końcu zawróciłem i skierowałem się w ich stronę.

Szafka, jak mogłem teraz stwierdzić, była wysoka i wąska, jak schowek na szczotki do zamiatania, zawieszona na ścianie około pół metra nad posadzką. Prowadziło do niej kilka stopni i sądząc po zachowaniu czekających w kolejce, w środku znajdował się pisuar albo kranik z pitną wodą. Kiedy jednak podszedłem bliżej, zobaczyłem, że mężczyzna stojący właśnie na górze pochyła się do przodu, wypinając tylną część ciała na zewnątrz, i najwyraźniej przetrząsa zawartość szafki. Inni tymczasem machali niecierpliwie rękami i wołali, żeby się pospieszył. Kiedy mężczyzna wynurzył się w końcu z szafki i spoglądając w skupieniu za siebie, szukał pierwszego stopnia, ktoś z kolejki krzyknął i wskazał w moim kierunku. Wszystkie głowy zwróciły się ku mnie i po chwili kolejka poszła w rozsypkę, ponieważ wszyscy rzucili się w moją stronę. Mężczyzna, który właśnie wygramolił się z szafki, zszedł na dół najszybciej, jak potrafił, po czym ukłoniwszy mi się, wykonał zapraszający gest w jej stronę.

– Dziękuję – powiedziałem – ale zdaje się, że inni czekają na swoją kolejkę.

Rozległ się chór gromkich protestów i kilkanaście par rąk dosłownie wepchnęło mnie na schody.

Wąskie drzwi szafki zdążyły się zamknąć i kiedy ponownie je otworzyłem – ponieważ wychylały się na zewnątrz, musiałem balansować ostrożnie na ostatnim stopniu – stwierdziłem ze zdumieniem, że z zawrotnej wysokości patrzę na widownię. W budce brakowało całej tylnej ścianki i gdybym miał ochotę zaryzykować, mógłbym – wychyliwszy się i wyciągnąwszy rękę dostatecznie daleko – dotknąć sufitu sali. Widok był niewątpliwie imponujący, całe to rozwiązanie jednak wydało mi się bezsensownie ryzykowne. Szafka przechylała się lekko do przodu, tak że nieostrożny widz mógł się zatoczyć niebezpiecznie blisko krawędzi. Tymczasem jedynym zabezpieczeniem przed upadkiem była linka przeciągnięta na wysokości pasa. W żaden sposób nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, po co umieszczono tę szafę w takim miejscu – chyba tylko po to, by można było zawieszać flagi i

różne inne ozdoby nad głowami widzów.

Ostrożnie postawiłem stopy wewnątrz szafki, po czym – chwyciwszy się kurczowo framugi drzwi – spojrzałem w dół.

Niemal trzy czwarte miejsc było już zajęte, lecz światła wciąż się paliły. Wszyscy rozmawiali i pozdrawiali się wzajemnie. Niektórzy machali do swoich towarzyszy, siedzących w odległych rzędach, inni tłoczyli się w przejściach, śmiejąc się i gawędząc. Przez dwa główne wejścia nieustannie napływała publiczność. Rzędy stojaków do nut na podium dla orkiestry błyszcząły w świetle, a na samej scenie – kurtynę zostawiono rozsuniętą – stał samotny fortepian z podniesioną klapą. Gdy mój wzrok padł na instrument, na którym już wkrótce miałem zagrać ten najdonioślejszy z moich koncertów, uderzyła mnie nagle myśl, że nie mogę liczyć na inną, lepszą okazję, aby sprawdzić akustykę sali. Znów ogarnęła mnie bezsilna złość na siebie, że tak nieefektywnie wykorzystałem czas od chwili przybycia do tego miasta.

Kiedy tak wodziłem wzrokiem po sali, zza kulis wyłonił się Stephan Hoffman. Jego pojawienia się na scenie nie poprzedzała żadna zapowiedź, nie przyciemniono też świateł. Ponadto w zachowaniu Stephana nie było śladu celebry. Ze skupioną miną podszedł szybko do fortepianu, nie zerknąwszy nawet na publiczność. Nic więc dziwnego, że większość osób na sali okazała niewielkie zainteresowanie, nie uznając nawet za stosowne przerwać rozmów. Wprawdzie pierwsze grzmiące takty *Szklanych pasji* wywołały pewne zdziwienie, niemniej już po paru sekundach zdecydowana większość słuchaczy doszła widocznie do wniosku, że młodzieniec sprawdza jedynie fortepian albo system nagłośnienia. Potem, zaledwie po kilku początkowych taktach, coś przyciągnęło wzrok Stephana i jego gra straciła impet, jakby ktoś wyciągnął nagle wtyczkę z kontaktu. Śledził wzrokiem jakiś ruchomy punkt w tłumie, tak że w końcu grał z głową wykręconą prawie zupełnie do tyłu. Dopiero wtedy zauważyłem, że obserwuje dwie osoby, które opuszczają widownię i – wychyliwszy się nieco bardziej – dostrzegłem jeszcze Hoffmana i jego żonę, zanim zniknęli mi z pola widzenia.

Stephan przerwał grę i okręciwszy się na stołku, odprowadzał rodziców spojrzeniem. Tym samym, jak się zdawało, utwierdzał wszystkich w przekonaniu, że bierze jedynie udział w sprawdzaniu akustyki. Istotnie, przez chwilę wyglądał – wypisz, wymaluj – jak ktoś, kto czeka na znak od pracowników technicznych w drugim końcu sali, i nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, gdy w końcu wstał ze stołka i zszedł ze sceny.

Dopiero gdy znalazł się za kulisami, poddał się przemożnemu uczuciu wściekłości. To, że opuścił scenę zaledwie po kilku taktach, odbierało całemu wydarzeniu pozory wszelkiej realności i prawie o tym nie myślał, gdy zbiegał po drewnianych schodach i mijał

kolejno szereg zakulisowych przejść.

Kiedy dotarł na korytarz, wtopił się w tłum rozgorączkowanych pomocników i pracowników obsługi. Ruszył w stronę holu, gdzie miał nadzieję znaleźć rodziców, ale nie uszedł daleko, gdyż ujrzał ojca, który nadchodził sam z naprzeciwka z głęboko zamyślonym wyrazem twarzy. Kierownik hotelu zauważył Stephana dopiero wtedy, gdy o mało co na niego nie wpadł. Zatrzymał się i spojrzął ze zdumieniem na syna.

– Co? Ty nie grasz?

– Ojczy, dlaczego wyszliście z sali? Gdzie mama? Źle się czuje?

– Ach, mama. – Hoffman westchnął ciężko. – Twoja matka uznała, że wypada jej opuścić salę. Naturalnie dotrzymałem jej towarzystwa i... Cóż, będę szczery, Stephanie. Pozwól, że ci to powiem. Byłem skłonny podzielać jej zdanie. Nie opierałem się temu pomysłowi. Nie patrz tak na mnie, Stephanie. Tak, zdaję sobie sprawę, że cię zawiodłem. Obiecałem dać ci tę szansę, możliwość zagrania przed całym miastem, przed wszystkimi naszymi przyjaciółmi i znajomymi. Tak, obiecałem ci to. Być może to ty mnie o to prosiłeś, być może myślałem akurat o czym innym, kto wie, jak do tego doszło? Nieważne. W każdym razie się zgodziłem, obiecałem, nie chciałem łamać słowa, to moja wina. Ale musisz spróbować zrozumieć, Stephanie, co my, twoi rodzice, czujemy w tym momencie. Jak trudno jest nam patrzeć...

– Chcę porozmawiać z mamą – powiedział Stephan i ruszył przed siebie.

Na ułamek sekundy Hoffman zamarł z przerażenia, potem zaś nieco brutalnie chwycił syna za ramię, śmiejąc się przy tym z zażenowaniem.

– To niemożliwe, Stephanie. Chodzi o to, że mama udała się do toalety. Ha, ha. Tak czy inaczej, uważam, że powinienes dać jej trochę czasu, żeby mogła to sobie przetrawić, że tak powiem. Ale coś ty zrobił? Dlaczego nie grasz? Zresztą może to i lepiej. Skończy się na kilku kłopotliwych pytaniach.

– Ojczy, będę grał jeszcze raz. Tylko proszę, idź na swoje miejsce. I namów mamę, żeby zrobiła to samo.

– Och, Stephan, Stephan. – Hoffman pokręcił głową i położył rękę na ramieniu syna. – Możesz być pewien, że oboje wysoko cię cenimy. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Ale co do muzyki, tej twojej odwiecznej *idee fixe*... Ani mama, ani ja nigdy nie mogliśmy się zdobyć na to, żeby ci to powiedzieć. Nie chcieliśmy pozbawiać cię marzeń. Ale to tutaj – Hoffman wskazał w kierunku widowni – to była straszliwa pomyłka. Nie powinniśmy byli do tego dopuścić. Spójrzmy prawdzie w oczy, Stephanie. Twoja gra jest pełna uroku. Nie brak ci swego rodzaju biegłości. Zawsze lubiliśmy słuchać, jak grasz w domu. Ale muzyka, wielka

muzyka, na poziomie, jakiego wymaga ten wieczór... widzisz, to już zupełnie co innego. Nie, nie przerywaj mi. Usiłuję ci coś powiedzieć, coś, co powinienem był ci powiedzieć już dawno temu. Widzisz, to jest publiczna sala koncertowa. Publiczność koncertowa to nie to samo co rodzina i przyjaciele, którzy słuchają cię z życzliwym nastawieniem w prywatnym salonie. Prawdziwa publiczność koncertowa przyzwyczajona jest do pewnego standardu wykonawczego, do profesjonalizmu. Jak mam ci to wyjaśnić, Stephanie?

– Posłuchaj mnie, ojciec – wpadł mu w słowo Stephan. – Bardzo dużo ćwiczyłem. Wprawdzie dość późno zdecydowałem się na utwór, który za chwilę zagram, ale ćwiczyłem bez wytchnienia i gdybyś tylko zechciał przyjść i posłuchać...

– Stephan, Stephan. – Hoffman znów pokręcił głową. – Gdybyż to zależało wyłącznie od ćwiczeń, gdyby tylko o to chodziło. Ale z tym trzeba się urodzić. Natura nie wszystkich obdarza talentem i musimy się z tym pogodzić. To straszne, że muszę ci to mówić w takiej chwili, zwłaszcza że tak długo cię zwodziliśmy. Ale widzieliśmy, jaką ci to sprawia radość, i nie mieliśmy serca powiedzieć ci tego wprost. To nas nie usprawiedliwia, wiem. To straszne, serce mi się kraje, gdy to mówię, naprawdę. Mam nadzieję, że nam przebaczysz. Zgoda na twój występ przed całym miastem to była straszliwa pomyłka. Mama i ja za bardzo cię kochamy, żeby móc na to spokojnie patrzeć. Nie moglibyśmy patrzeć, jak... jak nasz ukochany syn wystawia się na pośmiewisko. Wreszcie przeszło mi to przez gardło, odkryłem karty. Okrutne słowa, ale w końcu ci powiedziałem. Myślałem, że może uda mi się wytrzymać. Że potrafię wysiedzieć wśród uśmiezków politowania i złośliwych chichotów. Ale jak przyszło co do czego, twoja mama uznała, że to ponad jej siły, moje zresztą też. Cóż to? Dlaczego mnie nie słuchasz? Nie rozumiesz, że to mi sprawia ogromny ból? Niełatwo mówić tak otwarcie, nawet do własnego syna...

– Proszę cię, ojciec, błagam. Przyjdź i posłuchaj, chociaż przez parę minut, potem ocenisz. Mama również. Proszę, namów mamę. Wreszcie się przekonacie, jestem pewien...

– Pora wracać na scenę, Stephanie. Twoje nazwisko jest wydrukowane w programie. Już raz pojawiłeś się na scenie. Teraz musisz przynajmniej spróbować. Pokazać im wszystkim, że przynajmniej się starałeś. Posłuchaj, co ci powiem. Nie przejmuj się, jeśli będą chichotać, nawet jeśli będą śmiać się w głos, jakby zamiast głęboko poruszającego utworu serwowano im jakąś zabawną farsę, nawet wówczas pamiętaj, że twoi rodzice są dumni, że miałeś chociaż dość odwagi, by dotrzeć do końca. Musisz iść i to przetrzymać, Stephanie. Ale postaraj się nam wybaczyć, za bardzo cię kochamy, żeby na to patrzeć. Twojej matce pękłoby chyba serce, Stephanie. Idź już, zostało mało czasu. Idź, idź.

Hoffman obrócił się na pięcie, z dłonią na czole, jakby kręciło mu się w głowie od

migreny, i w tej pozycji oddalił się o kilka kroków. Nagle wyprostował się gwałtownie i obejrzał na syna.

– Stephanie – powiedział surowo – pora wracać na scenę.

Stephan patrzył przez chwilę na ojca, po czym – widząc, że nie ma szans go przekonać – odwrócił się i ruszył korytarzem przed siebie.

\* \* \*

Gdy znów pokonywał labirynt zakulisowych przejść, dręczyły go rozmaite myśli i uczucia. Naturalnie czuł się zawiedziony, że nie udało mu się przekonać rodziców, aby wrócili na widownię. Ponadto gdzieś na samym dnie duszy obudziła się w nim na nowo – po raz pierwszy od kilku lat – owa dojmująca obawa, że mimo wszystko ojciec ma rację, że istotnie padł ofiarą gigantycznego złudzenia. W miarę jednak jak zbliżał się do sceny, szybko wracała mu pewność siebie, a wraz z nią naszała go natarczywa ochota, by samemu się przekonać, na co go stać.

Wchodząc ponownie na scenę, Stephan zauważył, że światła są lekko przyciemnione. Niemniej na widowni wciąż było jasno i wiele osób jeszcze nie usiadło. Tu i ówdzie podnosiła się fala ludzkich głów, gdy ktoś przeciskał się do swojego miejsca. Kiedy młody człowiek zasiadł przy fortepianie, gwar przycichł tylko nieznacznie. Stephan odczekał chwilę, aby uspokoić nerwy, po czym uderzył w klawisze z tą samą co przedtem siłą i precyzją, wywołując nastrój pośredni między szokiem i uniesieniem, tak niezbędny na początku *Szklanych pasji*.

Nim dotarł do połowy krótkiego prologu, publiczność w większości umilkła. Przed końcem pierwszej części na sali zapadła całkowita cisza. Ci, którzy stali w przejściach i rozmawiali, zastygli w bezruchu zapatrzeni na scenę. Wszyscy ci, którzy już siedzieli, słuchali w skupieniu. Przy jednym z wejść utworzył się mały tłok, ponieważ ostatnie z napływających osób zatrzymały się w drzwiach. Kiedy Stephan rozpoczął drugą część, technicy zgasili światła i nie mógł już dłużej obserwować publiczności. Nie ulegało jednak wątpliwości, że salę ogarnia coraz większe zdumienie. Zapewne nie małą rolę odgrywał też element zaskoczenia: oto jeden z młodych, dobrze znanych im ludzi potrafi wznieść się na takie wyżyny technicznych umiejętności. Pomijając jednak sprawność wykonawczą, w grze Stephana była jakaś niespotykana moc, której nie sposób było się oprzeć. Ponadto miałem wrażenie, że wiele osób upatruje w tym nieoczekiwanym wstępie do wieczoru swego rodzaju wróżby. Jeśli to tylko preludium, czego można się spodziewać w dalszej części koncertu? Czy mimo wszystko okaże się on punktem zwrotnym w życiu miasta? Zdawało się, że niejedna zastygła twarz wyraża niemo takie właśnie pytania.

Stephan zakończył tęskną, leciutko ironiczną interpretacją kody. Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki, na parę sekund zapanowała głęboka cisza, a następnie zerwała się burza oklasków. Słyszając to, młody człowiek skoczył na równe nogi. Na jego twarzy malował się zachwyt i jeśli czuł się zawiedziony, że jego rodzice nie są świadkami tego sukcesu, nie dawał nic po sobie poznać. Ukłonił się parokrotnie przy wtórze oklasków, po czym – być może przypomniawszy sobie nagle, że jego wkład ma stanowić zaledwie skromną część całego programu – pospiesznie wycofał się za kulisy.

Owacje trwały jeszcze przez jakiś czas, by w końcu przejść w pełen podniecenia szmer. Zanim jednak ludzie zdążyli podzielić się ze sobą wrażeniami, zza kulis wyłonił się mężczyzna o surowej twarzy i srebrzystych włosach. Gdy powoli i wyniośle zbliżał się do mównicy ustawionej z przodu sceny, zorientowałem się, że jest to ten sam człowiek, który przewodniczył bankietowi wydanemu na cześć Brodsky'ego pierwszego dnia mojego pobytu w mieście.

Publiczność szybko ucichła, lecz mężczyzna o surowym wyrazie twarzy milczał przez kilkadziesiąt sekund, przyglądając się zgromadzonym z lekkim niesmakiem. Wreszcie westchnął z przymusem i powiedział:

– Jakkolwiek życzę państwu dobrej zabawy, chciałbym przypomnieć, że nie zebraliśmy się tu po to, by oglądać kabaret. Za dzisiejszą uroczystością kryją się bardzo poważne problemy. Pamiętajmy o tym. Problemy decydujące o naszej przyszłości, o istocie naszej wspólnoty.

Przez kilka następnych minut mężczyzna o surowej twarzy powtarzał to samo na różne sposoby, raz po raz robiąc pauzy, podczas których wodził wzrokiem po sali ze ściągniętymi brwiami. Zacząłem tracić zainteresowanie i przypomniawszy sobie, że za mną czekają chętni do skorzystania z szafki, postanowiłem zwolnić miejsce. Kiedy jednak próbowałem ostrożnie wydostać się z ograniczonej przestrzeni, uświadomiłem sobie, że mężczyzna o surowej twarzy poruszył nowy temat, a ściślej mówiąc, że zapowiada czyjeś wejście.

Rzeczona osoba była nie tylko „opoką całej sieci bibliotecznej miasta”, ale też potrafiła „oddać kształt kropli rosy na koniuszku jesiennego liścia”. Mężczyzna o surowej twarzy po raz ostatni rzucił publiczności pogardliwe spojrzenie, po czym wymamrotał jakieś nazwisko i majestatycznym krokiem opuścił scenę. Widownia zaczęła bić brawo, bardziej mężczyźnie o surowej twarzy niż osobie, którą zapowiadał. Ta ostatnia pojawiła się na scenie dopiero po jakiejś minucie, witana dość mizernymi oklaskami.

Był to schludny, łysy człowieczek z wąsami. W rękę trzymał teczkę, którą umieścił na

mównicy. Potem wyjął plik kartek i zaczął je przekładać, ani razu nie podnosząc wzroku na widownię. Na sali zaczynało narastać zniecierpliwienie. Znowu opanowała mnie ciekawość i uznawszy, że stojący w kolejce mogą jeszcze trochę poczekać, ostrożnie wróciłem na swoje miejsce na skraju szafki.

Kiedy wreszcie łysy mężczyzna się odezwał, jego głos przetoczył się grzmiąco przez salę, ponieważ mówca stanął za blisko mikrofonu.

– Chciałbym dziś zaprezentować wybór wierszy ze wszystkich trzech okresów mojej twórczości. Wiele z tych utworów poznali już państwo na moich wieczorkach w kawiarni Adele, ale mam nadzieję, że zechcą państwo wysłuchać ich jeszcze raz w tak uroczystych okolicznościach. Już teraz zdradzę państwu, że na koniec przygotowałem małą niespodziankę. Coś, co... mam nadzieję... sprawi państwu pewną przyjemność.

Ponownie zaczął przekładać papiery, a na widowni podniosło się kilka wyciszonych rozmów. Wreszcie łysy mężczyzna zdecydował się przejść do rzeczy i zakasłał głośno do mikrofonu, przywracając ciszę.

Wiele z jego wierszy było rymowanych i stosunkowo krótkich. Były wśród nich wiersze o rybach w parku miejskim, o zamieciach śnieżnych, o stłuczonych szybach zapamiętanych z dzieciństwa – a wszystkie czytał dziwnie wysokim, śpiewnym głosem. Przez kilka minut błądziłem myślami gdzie indziej, potem zaś zorientowałem się, że część publiczności, bezpośrednio pod moim punktem obserwacyjnym, wdała się w rozmowę.

Z początku rozmówcy starali się jeszcze miarkować, ale z czasem natężenie ich głosów rosło. Wreszcie – podczas gdy łysy mężczyzna recytował poemat o kotach, które w ciągu iluś lat miała jego matka – hałas można było zidentyfikować jako rozmowę towarzyską sporej grupy osób, prowadzoną normalnymi niemal głosami. Przewyciężywszy lęk, przysunąłem się do samej krawędzi szafki i trzymając się oburącz drewnianej framugi, spojrzałem w dół.

Rozmowa istotnie dochodziła z tej części widowni, która znajdowała się bezpośrednio przede mną, lecz – jak się okazało – brało w niej udział mniej osób, niż przypuszczałem. Siedmiu czy ośmiu słuchaczy postanowiło zignorować poetę i konwersowało w najlepsze, niektórzy nawet odwrócili się w tym celu do tyłu. Już miałem się im przyjrzeć dokładniej, gdy kilka rzędów dalej spostrzegłem pannę Collins.

Ubrana była w tę samą elegancką czarną suknię, którą miała na bankiecie pierwszego wieczoru, a na ramiona również zarzuciła szal. Patrzyła na łysego mężczyznę życzliwym wzrokiem, z głową przechyloną lekko na bok i podbródkiem wspartym na jednym palcu. Obserwowałem ją przez chwilę, ale w jej wyglądzie nie znalazłem nic, co nie świadczyłoby o

głębokim spokojem i opanowaniem.

Powróciłem wzrokiem do hałaśliwej gromady i zauważyłem, że jeden z mężczyzn rozdaje właśnie karty. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że trzon grupy stanowią ci sami pijani mężczyźni, których spotkałem pierwszego wieczoru w kinie i – ponownie – całkiem niedawno na korytarzu.

Partyjka przebiegała coraz hałaśliwiej, aż w końcu wszyscy jej uczestnicy wydawali gromkie okrzyki lub wybuchali głośnym śmiechem, czym ściągali na siebie karcące spojrzenia innych. W końcu jednak na sali zaczęło rozbrzmiewać coraz więcej rozmów, choć może nie tak głośnych.

Łysy mężczyzna nie dawał po sobie poznać, że cokolwiek zauważył, i wciąż recytował z zapalem jeden wiersz za drugim. Mniej więcej po dwudziestu minutach od wejścia na scenę przerwał i składając kilka kartek, powiedział:

– A teraz przechodzimy do drugiego okresu mojej twórczości. Jak niektórym z państwa wiadomo, okres ten zapoczątkowało pewne przełomowe wydarzenie. Wydarzenie, po którym moje dotychczasowe środki wyrazu przestały się sprawdzać. Odkryłem mianowicie, że żona nie dochowuje mi wierności.

Zwiesił głowę, jakby to wspomnienie wciąż napawało go smutkiem. Wtedy to któryś z karcarzy zawołał:

– A może to ty przestałeś się sprawdzać?!

Jego kompani wybuchnęli śmiechem, po czym ktoś inny krzyknął:

– Cóż, tak krawiec kraje, jak mu materii staje!

– Temu to chyba w ogóle nie staje! – spuentował pierwszy karcarz.

Te komentarze, wyraźnie przeznaczone dla szerszego grona słuchaczy, wywołały sporo chichotów. Trudno powiedzieć, ile z tego dotarło do uszu łysego mężczyzny, w każdym razie przerwał i nie patrząc w stronę krzykaczy, znów przełożył kilka luźnych kartek. Jeśli miał zamiar dodać coś jeszcze do charakterystyki drugiego okresu swojej twórczości, rozmyślił się i zaczął ponownie recytować.

Drugi okres jego twórczości nie różnił się zasadniczo od pierwszego i zniecierpliwienie wśród publiczności narastało z każdą chwilą. Toteż kiedy kilka minut później jeden z pijanych mężczyzn krzyknął coś, czego nie dosłyszałem, duża część sali zaśmiała się bez żenady. Łysy mężczyzna chyba dopiero teraz zauważył, że traci kontrolę nad słuchaczami, i podniósłszy oczy w pół zdania, stał, mrugając intensywnie w świetle reflektorów, jakby w szoku. Naturalną reakcją byłoby natychmiastowe opuszczenie sceny. Chcąc zachować twarz, mógł przeczytać jeszcze trzy albo cztery wiersze i dopiero potem

zejść. Łysy mężczyzna wybrał jednak zupełnie inne rozwiązanie. W odruchu paniki zaczął czytać dalej w znacznie szybszym tempie, z myślą, jak można przypuszczać, by możliwie najszybciej skończyć zaplanowany występ. Skutek był taki, że jego interpretacje stały się mało czytelne, natomiast jego wrogowie, widząc, że grunt pali mu się pod nogami, nabrali odwagi. Padały coraz to nowe uwagi – nie tylko z ust karciarzy siedzących pode mną – którym za każdym razem odpowiadał śmiech całej sali.

Wreszcie łysy człowieczek podjął próbę odzyskania posłuchu wśród publiczności. Odłożył teczkę i nic nie mówiąc, patrzył błagalnym wzrokiem z mównicy. Ludzie, z których wielu śmiało się głośno, ucichli – może nie tyle ze skruchy, ile z ciekawości. Kiedy łysy mężczyzna odezwał się ponownie, jego głos nabrał nieco stanowczości:

– Obiecałem państwu małą niespodziankę – powiedział. – Oto ona. Powstał dopiero tydzień temu. Napisałem go specjalnie na tę wielką okazję i zatytułowałem po prostu: *Brodsky Zwycięzca*. Jeśli państwo pozwolą.

Mężczyzna po raz kolejny zaszeleścił kartkami, ale tym razem widownia czekała w milczeniu. Potem pochylił się i zaczął recytować. Po kilku wersach podniósł szybko oczy i zdumiał się, widząc, że sala wciąż pogrążona jest w ciszy. Czytał dalej, a w miarę jak to robił, nabierał animuszu, tak że już wkrótce machał górnolotnie rękoma, aby podkreślić kluczowe frazy.

Spodziewałem się, że autor nakreśli w wierszu ogólny portret Brodsky'ego, tymczasem okazało się, że poświęcił go wyłącznie jego walce z nałogiem. W pierwszych strofach porównywał Brodsky'ego do rozmaitych postaci mitycznych. Zawierały one takie sceny, jak Brodsky ciskający ze szczytu pagórka włócznie na napierające wojsko, Brodsky mocujący się z wężem morskim, Brodsky przykuty do skały. Publiczność wciąż słuchała z pełnym szacunkiem, niemal w nabożnym skupieniu. Zerknąłem na pannę Collins, lecz nie dostrzegłem żadnych istotnych zmian w jej zachowaniu. Tak jak przedtem obserwowała poetę z zaciekawionym, acz trochę nieobecny wyrazem twarzy, dotykając palcem podbródka.

Po kilku minutach poemat zmienił charakter. Skończyły się odniesienia mitologiczne, a w ich miejsce pojawiły się prawdziwe wydarzenia z niedawnej przeszłości Brodsky'ego, które – o ile mogłem się domyślać – nabrały cech lokalnej legendy. Większość tych aluzji, rzecz jasna, była dla mnie nieczytelna, niemniej dostrzegałem próbę przewartościowania i uszlachetnienia roli Brodsky'ego w każdym z opisywanych epizodów. Ta część poematu wydała mi się o wiele lepsza literacko od poprzedniej, wprowadzenie jednak tak konkretnych i powszechnie znanych faktów skończyło się tym, że łysy mężczyzna znów stracił kontrolę nad słuchaczami. Na wzmiankę o „przystankowej tragedii” ponownie rozległy się chichoty,

które się nasiliły, gdy łysy mężczyzna opisywał, jak Brodsky – „otoczony i znużony walką” – musiał w końcu „podać się za budkę telefoniczną”. Kiedy zaś zaczął mówić o „bezprzykładnej odwadze, okazanej podczas wycieczki szkolnej”, cała sala zarżała jak jeden mąż.

Odtąd stało się jasne, że już nic nie zdoła uratować łysego mężczyzny. Końcowe strofy, wychwalające nowo nabytą trzeźwość Brodsky’ego, niemal z każdym kolejnym wersem wywoływały wybuchy śmiechu. Kiedy ponownie spojrzałem na pannę Collins, zauważyłem, że jej palec uderza szybko w podbródek, lecz pod każdym innym względem wydawała się równie opanowana, jak zawsze. Łysy mężczyzna, ledwo słyszalny pośród śmiechów i okrzyków, doczytał poemat do końca i składając kartki pełnym oburzenia gestem, zszedł dumnie ze sceny. Część widowni, czując widocznie, że posunęła się za daleko, nagrodziła go dość sownie oklaskami.

Przez kilka następnych minut scena była pusta, toteż wkrótce publiczność rozgadała się na dobre. Przyjrzawszy się twarzom tych, którzy siedzieli bezpośrednio przede mną, nie bez zdziwienia stwierdziłem, że choć niektórzy wymieniali rozbawione spojrzenia, wielu sprawiało wrażenie rozszluszczonych i słało groźne znaki innym osobom na sali. Nagle jednak na scenę padło światło punktówki i pojawił się Hoffman.

Kierownik hotelu, nie kryjąc wściekłości, szybko i bez ceregieli podszedł do mównicy.

– Proszę państwa! – krzyknął, gdy akurat ludzie zaczęli się uciszać. – Proszę! Nie wolno nam zapominać o doniosłości tego wieczoru. By zacytować pana von Wintersteina, to nie kabaret.

Ta ostra reprimenda nie spotkała się z przychylnym przyjęciem w niektórych częściach sali. Spod mojego punktu obserwacyjnego dało się słyszeć ironiczne „Ooo...”. Ale Hoffman kontynuował:

– Przede wszystkim jestem wstrząśnięty uporem, z jakim tak wielu z was trwa przy całkowicie nieaktualnym wizerunku pana Brodsky’ego. Pominąwszy wiele innych zalet poematu pana Zieglera, główne jego założenie... to mianowicie, że pan Brodsky raz na zawsze pokonał demony, które go niegdyś prześladowały... nie ulega wątpliwości. Ci z państwa, którzy postanowili wyśmiać tak sugestywne wyłożenie tego faktu, już wkrótce... tak, za kilka minut... zaczerwienią się ze wstydu. Tak, ze wstydu! Podobnie jak ja czerwieniłem się przed chwilą za nasze miasto!

Przy tych słowach walnął pięścią w pulpit i w swojej obłudzie zaskakująco duża część publiczności zaczęła mu bić brawo. Hoffman, z widoczną ulgą, lecz nie wiedząc, jak

zareagować na takie przyjęcie, uklonił się niezgrabnie raz i drugi. Potem, nim brawa całkowicie wygasły, zebrał się w sobie i oświadczył głośno do mikrofonu:

– Panu Brodsky’emu należy się bezwzględnie czołowe miejsce w społeczności tego miasta! Powinien być duchowym i kulturalnym mentorem naszej młodzieży. Światłem przewodnim dla tych z nas, którzy, choć może dojrzałsi, to przecież pogubili się i pogrążyli w tych mrocznych chwilach naszej historii. Na takie miejsce zasługuje pan Brodsky! Spójrzcie na mnie! Narażam swoje dobre imię, swoją wiarygodność, gdy wam to mówię! A dlaczego muszę to powiedzieć? Już za chwilę przekonacie się na własne oczy i uszy. Nie tak miała wyglądać moja zapowiedź i żałuję, że zaszła taka konieczność. Ale nie zwlekajmy dłużej. Proszę powitać na scenie naszych wielce szanownych gości, Stuttgarcką Orkiestrę Fundacji Nagla, którą poprowadzi dziś nasz bohater, pan Leo Brodsky!

Hoffman zszedł ze sceny żegnany dłuższą kanonadą oklasków. W ciągu kilku następnych minut nic się nie działo, potem zaś podium dla orkiestry zalało światło i zaczęli wchodzić muzycy. Powitał ich kolejny wybuch braw, a następnie zapanowała pełna napięcia cisza, podczas której członkowie orkiestry zajmowali miejsca, stroili instrumenty i poprawiali stojaki pod nuty. Zdawało się, że nawet hałaśliwi karciarze pode mną dostrzegają powagę sytuacji, odłożyli bowiem karty i patrzyli uważnie przed siebie.

Wreszcie muzycy usadowili się na swoich miejscach, a na scenę, w pobliżu kulis, padło światło reflektora. Przez kolejną minutę nic się działo, po czym zza sceny dobiegł głuchy stukot. Rozbrzmiewał coraz głośniejszy, aż w końcu w kręgu światła pojawił się Brodsky. Przystanął, być może po to, by publiczność mogła obejrzeć jego strój.

Zapewne niejeden widz z trudem go rozpoznał. W wieczorowym garniturze i śnieżnobiałej koszuli, z ufryzowanymi włosami, prezentował się zaiste imponująco. Niestety, efekt psuła nieco ordynarna deska do prasowania, której wciąż używał zamiast kuli. Ponadto gdy ruszył w stronę pulpitu – a przy każdym jego kroku deska stukała głucho o posadzkę – zauważyłem ręcznie wykończoną, pustą nogawkę jego spodni. Nic dziwnego, że nie chciał, aby materiał zwisał luźno, ale miast zawiązać nogawkę pod kikutem, Brodsky obciął ją nierówno parę centymetrów poniżej kolana. Zapewne idealnie eleganckie rozwiązanie nie istniało, taki jednak kraj nogawki wydał mi się zbyt ostentacyjny, jakby Brodsky próbował ściągnąć uwagę publiczności na swe kalectwo.

Mimo to gdy przemierzał scenę, wszystko, jak się zdawało, przeczyło moim domysłom. Spodziewałem się, że na widok stanu Brodsky’ego publiczność wstrzyma z wrażenia oddech, a tymczasem chwila ta nigdy nie nastąpiła. O ile mogłem się zorientować, ludzie w ogóle nie zauważyli braku nogi i po prostu czekali w milczeniu, aż Brodsky stanie za

pulpitem.

Wskutek wyczerpania bądź zdenerwowania jego chód z deską do prasowania pod pachą nie był już tak płynny jak wówczas, gdy widziałem go na korytarzu. Słaniał się na boki i przyszło mi na myśl, że taki sposób poruszania się może skłaniać publiczność – wciąż nieświadomą jego okaleczenia – do podejrzeń o zamrozenie alkoholowe. Zatrzymał się na kilka metrów przed pulpitem i spojrzał ze złością na deskę, która – jak zauważyłem – znów zaczęła się rozkładać. Potrząsnął nią i ruszył dalej. Uszedł jeszcze parę kroków, gdy nagle coś w niej pękło. Deska zaczęła rozsuwać się pod nim akurat w chwili, gdy opierał się na niej całym ciężarem, i Brodsky – wraz z deską – runął na podłogę.

Publiczność zareagowała w dość dziwny sposób. Nie podniosły się, jak można było oczekiwać, zaniepokojone okrzyki, za to na sekundę lub dwie zapadła nieprzychylna cisza. Potem po sali przeszedł pomruk, rodzaj zbiorowego „hmm”, jakby powstrzymywano się z wnioskami w obliczu niezbyt zachęcających poszlak. Także trzech pracowników zaplecza, którzy ruszyli na pomoc Brodsky’emu, robiło to z widocznym ociąganiem, a nawet z leciutkim niesmakiem. W każdym razie zanim zdążyli do niego podejść, Brodsky, mocując się z deską do prasowania, krzyknął ze złością, żeby odeszli. Mężczyźni przystanęli, po czym zaczęli przypatrywać się Brodsky’emu nie bez złośliwej satysfakcji.

Brodsky w dalszym ciągu szamotał się na podłodze. Chwilami wydawało się, że usiłuje się podnieść, to znów ze stara się oswobodzić jakąś część garderoby zaplątaną w konstrukcję deski. W pewnej chwili posłał wiązaną przekleństw, skierowaną prawdopodobnie do deski, lecz aż nazbyt wiernie przekazaną przez system nagłośnienia. Ponownie zerknąłem na pannę Collins i zobaczyłem, że siedzi teraz pochylona na swoim miejscu. Gdy jednak zmagania Brodsky’ego zaczęły się przeciągać, znów odchyliła się do tyłu i podparła brodę palcem.

W końcu Brodsky zdołał postawić deskę w pozycji złożonej i podciągnął się do góry. Stał dumnie na zdrowej nodze, zaciskając obie dłonie na desce, ze sterczącymi po bokach łokciami, jakby miał ją za chwilę podnieść. Utkwił spojrzenie w trzech pracownikach zaplecza i gdy zaczęli się wycofywać za kulisy, zwrócił oczy na widownię.

– Wiem, wiem – zaczął. Choć nie mówił głośno, mikrofony umieszczone wzdłuż rampy chwytały jego głos, tak że było go całkiem dobrze słychać. – Wiem, co sobie myślicie. Ale się mylicie. – Spojrzał w dół i znów zamyślił się nad swoim strapieniem. Wyprostował się jeszcze bardziej i zaczął głaskać dłonią wyściełaną powierzchnię deski, jakby dopiero teraz odkrył jej pierwotne przeznaczenie. W końcu znów spojrzał na widownię i rzekł: – Pozbądźcie się podobnych myśli. To – skinął głową w kierunku podłogi – to był tylko

nieszczęśliwy wypadek, nic więcej.

Przez widownię przeszedł kolejny pomruk, po czym znowu zapadła cisza.

Przez następnych parę chwil Brodsky stał nieruchomo, przewieszony przez deskę, wpatrując się w pulpit dyrygenta. Domyśliłem się, że szacuje odległość, jaka pozostała mu do przejścia, i rzeczywiście, po chwili podjął wędrówkę. Poruszał się w ten sposób, że unosił całą deskę i opuszczał ją z hukiem, wlokąc swoją jedyną nogę z tyłu. Początkowo wywołało to zdumienie publiczności, ale w miarę jak Brodsky posuwał się naprzód, niektórzy – uznawszy widocznie, że mają do czynienia z wyczynem cyrkowym – zaczęli bić brawo. Reszta sali szybko podchwyciła, tak że pozostałą część drogi Brodsky przebył przy wtórze rzęсистych oklasków.

Dotarłszy do celu, wypuścił deskę i chwytając się półokrągłej poręczy wokół pulpitu, zaczął się ustawiać. Oparł się ostrożnie o poręcz, po czym wziął batutę do ręki.

Oklaski za numer z deską ustały i znów zapanowała atmosfera milczącego oczekiwania. Muzycy również patrzyli na niego cokolwiek nerwowo. Tymczasem Brodsky niemal delektował się uczuciem, jakim napawało go to, że oto po tylu latach znów stoi na czele orkiestry. Przez jakiś czas uśmiechał się i rozglądał na boki, wreszcie podniósł batutę. Muzycy przyjęli odpowiednie postawy, lecz Brodsky ponownie zmienił zdanie i opuściwszy batutę, odwrócił się do publiczności. Uśmiechnął się dobrodusznie i powiedział:

– Uważacie mnie za niechlujnego pijaka. Zaraz zobaczymy, czy nie stać mnie na nic więcej.

Ponieważ od najbliższego mikrofonu dzieliła go pewna odległość, nie do wszystkich dotarły jego słowa. Tak czy inaczej, po chwili znów podniósł batutę i orkiestra uderzyła w szorstkie półtony otwierające *Pionowość* Mullery'ego.

Taki wstęp nie wydał mi się szczególnie ekscentryczny, ale bez wątplenia zaskoczył publiczność. Wielu słuchaczy aż podskoczyło w fotelach, a kiedy wydłużone dysonanse przeciągały się do szóstego i siódmego taktu, na niektórych obliczach dostrzegłem emocje graniczące z paniką. Nawet niektórzy muzycy spoglądali z niepokojem to na dyrygenta, to w nuty. Ale Brodsky dalej podkreślał napięcie, przez cały czas utrzymując przesadnie wolne tempo. Kiedy doszedł do dwunastego taktu, dźwięki wybuchły, by po chwili opaść trzepotliwie. Publiczność wydała coś w rodzaju westchnienia, po czym muzyka znów zaczęła narastać.

Brodsky podpierał się sporadycznie wolną ręką, ale do tego czasu zdążył już wpaść w swego rodzaju trans, który pozwalał mu utrzymywać równowagę przy minimalnym oparciu. Kołysał tułowiem. Machał żywiołowo rękoma. W trakcie początkowych pasaży pierwszej

części zauważyłem, że niektórzy muzycy ślą publiczności pełne skruchy spojrzenia, jakby chcieli powiedzieć: „Tak, naprawdę tak kazał nam to zagrać!”. Z czasem jednak muzycy ulegli wizji Brodsky’ego. Najpierw dała się porwać sekcja skrzypiec, a potem stopniowo coraz więcej członków orkiestry zatracalo się w grze. Jeszcze zanim Brodsky wprowadził ich do pełnej melancholii drugiej części, cała orkiestra wydawała się bezwarunkowo podporządkowana jego woli. Także słuchacze przestali się wiercić i siedzieli wbici w fotele.

Brodsky wykorzystał luźniejszą formę drugiej części, aby zapuścić się w jeszcze bardziej egzotyczne rejony, i nawet ja, obyty z wszelakimi ujęciami Mullery’ego, uległem fascynacji. Brodsky niemal przewrotnie lekceważył zewnętrzną strukturę utworu – powierzchowne ukłony kompozytora w stronę tonalności i melodii – by w zamian skupić się na osobliwych żyłkach ukrytych tuż pod muszlą. Była w tym jakaś perwersja, swego rodzaju ekshibicjonizm, tak jakby sam Brodsky czuł się głęboko zażenowany istotą tego, co odstawia przed publicznością, ale nie mógł się oprzeć pokusie, aby brnąć dalej. Efekt był deprymujący, lecz nieodparty.

Ponownie przyjrzałem się ludziom na sali. Ta prowincjonalna publiczność z całą pewnością dała się urzec sztuce Brodsky’ego i przyszło mi na myśl, że wbrew moim wcześniejszym obawom pytania, na które miałem odpowiadać, nie okazały się aż tak trudne. Skoro bowiem Brodsky’emu udało się przekonać publiczność swoim występem, moje ewentualne odpowiedzi nie odgrywały już tak decydującej roli. Pozostawało mi jedynie podpisać się pod tym, na co publiczność i tak już przystała, a zatem, pomimo braków w moim ogólnym rozeznaniu, nic nie stało na przeszkodzie, bym wywiązał się należycie z zadania, rzucając kilka dyplomatycznych, niekiedy dowcipnych uwag. Gdyby natomiast występ Brodsky’ego wywołał wśród publiczności zamęt i zwątpienie, to niezależnie od mojej pozycji i doświadczenia, miałbym się nad czym potrudzić. Na widowni wciąż jeszcze panowała nerwowa atmosfera i przypominając sobie gniewny niepokój trzeciej części, byłem ciekaw, co się wydarzy, kiedy Brodsky do niej dotrze.

Wówczas to przyszło mi nagle na myśl, żeby poszukać na widowni moich rodziców. Prawie w tej samej chwili uzmysłowiłem sobie, że skoro nie zauważyłem ich do tej pory, wielokrotnie przepatrując twarze obecnych, prawdopodobieństwo, że ujrzę ich teraz wśród publiczności, jest znikome. Niemniej jednak nachyliłem się, niemal ryzykując upadek, i powiodłem wzrokiem po widowni. Niektórych części sali i tak nie zdołałem dojrzeć, choćbym nie wiem jak się wyginał, toteż doszedłem do wniosku, że prędzej czy później będę musiał zejść na dół. Nawet jeśli nie odnajdę rodziców, być może dotrę przynajmniej do Hoffmana albo panny Stratmann i zażądam informacji o miejscu pobytu moich rodziców. Tak

czy owak, nie mogłem sobie pozwolić na to, by w dalszym ciągu obserwować występ z góry, i odwróciwszy się ostrożnie, zacząłem wychodzić z szafki.

\* \* \*

Kiedy znów stanąłem na schodach, zobaczyłem, że kolejka na dole znacznie się wydłużyła. Czekają w niej teraz co najmniej dwadzieścia osób i poczułem się winny, że tak długo siedziałem w szafce. Stojący w kolejce rozmawiali z ożywieniem, ale na mój widok umilkli. Zszedłem na dół, wybąkałem jakieś przeprosiny i ruszyłem żwawo przed siebie, gdy tymczasem następna osoba zaczęła się wspinać ochoczo na schody wiodące do szafki.

W korytarzu panował teraz znacznie większy spokój, głównie dlatego, że ustał ruch tragarzy. Co kilkanaście metrów natykałem się na nieruchomy wózek, wyładowany po brzegi: przy niektórych stali mężczyźni w fartuchach, paląc papierosa lub pijąc ze styropianowych kubków. Wreszcie zatrzymałem się i zapytałem jednego z nich, którędy dotrę najszybciej do sali głównej, ten zaś wskazał jakieś drzwi za moimi plecami. Dziękując mu, otworzyłem drzwi i ujrzałem przed sobą mroczną klatkę schodową.

Schodziłem co najmniej pięć pięter w dół. Następnie pchnąłem masywne drzwi wahadłowe i znalazłem się w ogromnej hali za sceną. W ponurym świetle dostrzegłem prostokątne, malowane dekoracje – zamczysko, księżycowe niebo, las – oparte o ścianę. Nad moją głową wisiała płatanina stalowych lin. Docierały tu dość wyraźnie odgłosy muzyki, ruszyłem więc w tym kierunku, starając się omijać skrzynkowate przedmioty na mojej drodze. W końcu, wdrapawszy się na kilka drewnianych stopni, zorientowałem się, że stoję bezpośrednio za sceną. Już chciałem się odwrócić – miałem bowiem zamiar wyłonić się dyskretnie gdzieś na parterze – gdy nagle jakaś nowa, zagadkowa nuta w rozbrzmiewającej dokoła muzyce kazała mi się zatrzymać.

Nasłuchiwałem przez chwilę, po czym postąpiłem naprzód i zajrzałem za pofałdowaną kotarę. Uczyniłem to, rzecz jasna, bardzo ostrożnie, zależało mi bowiem na tym, aby publiczność nie wypatrzyła mojej twarzy i nie zaczęła klaskać. Tymczasem ujrzałem Brodsky'ego i orkiestrę pod ostrym kątem, sam pozostając niewidoczny dla ludzi z widowni.

Zauważyłem, że wiele się zmieniło, gdy wędrowałem po budynku. Brodsky, jak się domyślałem, posunął się za daleko, do brzmienia orkiestry bowiem zakradła się owa techniczna niepewność, która tak często znamionuje rozdźwięk między dyrygentem i zespołem. Twarze muzyków – miałem wreszcie okazję przyjrzeć się im z bliska – wyrażały niedowierzanie, rozterkę, a nawet niesmak. Kiedy moje oczy przywykły do blasku reflektorów, zapuściłem wzrok w głąb sali, ku widowni. Widziałem jedynie parę pierwszych rzędów, lecz nie było wątpliwości, że ludzie wymieniają zaniepokojone spojrzenia, pokasują

nerwowo, kręcą głowami. Na moich oczach pewna kobieta wstała i ruszyła ku wyjściu. Brodsky jednak wciąż dyrygował z wielką pasją i wyglądał tak, jakby zdecydowany był posunąć się jeszcze dalej. Nagle zobaczyłem, jak dwóch wiolonczelistów wymienia znaczące spojrzenia i potrząsa głowami. Była to wyraźna oznaka buntu, której Brodsky nie mógł nie zauważyć. Jego interpretacja nabrała teraz cech maniackich i muzyka zmierzała niebezpiecznie ku perwersji.

Dotychczas nie widziałem prawie twarzy Brodsky'ego – oglądałem głównie jego plecy – ale w miarę jak jego skręty i wygibasy nabierały coraz większego impetu, miałem okazję przyjrzeć się dokładniej jego obliczu. Dopiero wtedy zaświtało mi w głowie, że jego zachowanie może wynikać z czegoś zupełnie innego. Przyglądając się uważnie, jak jego ciało skręca się i kurczy w swoim wewnętrznym rytmie, zdałem sobie sprawę, że już od pewnego czasu Brodsky zmaga się z okropnym bólem. Gdy tylko doszedłem do tego wniosku, wszelkie oznaki zaczęły go potwierdzać. Brodsky z trudem prowadził orkiestrę, a jego twarz wykrzywiało coś więcej niż sama tylko pasja.

Poczułem się w obowiązku coś zrobić i błyskawicznie oceniłem sytuację. Brodsky musiał przebrnąć jeszcze przez półtorej części tego trudnego utworu oraz przez skomplikowany epilog. Korzystne wrażenie, jakie wywarł na słuchaczach na samym początku, szybko się zacierało. W każdej chwili publiczność mogła znów wymknąć się spod kontroli. Im dłużej o tym myślałem, tym wyraźniej rysowała się przede mną konieczność przerwania koncertu. Zacząłem się zastanawiać, czy powinienem w tym celu wejść na scenę. Byłem zapewne jedyną osobą na sali, która mogła to zrobić w taki sposób, by publiczność nie odczuła tego jak ostatecznej klęski.

Przez następnych kilka minut nic jednak nie zrobiłem, głowiłem się bowiem, jak dokonać tej interwencji. Czy powinienem wyjść na scenę, wymachując rękoma, dając muzykom do zrozumienia, żeby przestali grać? Mogłoby to nie tylko wypaść bardzo arogancko, ale też wywołać katastrofalne wrażenie, że wyrażam swoją dezaprobatę. Może raczej należało poczekać do andante, a potem ukazać się skromnie, uśmiechając się uprzejmie do Brodsky'ego i do orkiestry, krocząc w rytm muzyki, jakby moje wejście było od początku zaplanowane. Niewątpliwie publiczność powitałaby mnie owacją, a wówczas mógłbym – nieustannie się uśmiechając – nagrodzić oklaskami najpierw Brodsky'ego, a potem orkiestrę. Należało tylko mieć nadzieję, że Brodsky okaże się na tyle przytomny, by „wyciszyć” muzykę i przejść do ukłonów. Przy mojej obecności na scenie prawdopodobieństwo, że publiczność postawi Brodsky'ego w kłopotliwej sytuacji, było znikome. Być może mój przykład – przez cały czas będąc bił brawo i się uśmiechał, jakby Brodsky zaprezentował

właśnie wykonanie niezaprzeczalnej piękności – sprawi, że wspomnienie wcześniejszej części występu odżyje wystarczająco, by znów przekabacić publiczność na jego stronę. Brodsky złożyłby stosowną liczbę ukłonów, a gdy wreszcie odwróci się do wyjścia, ludzie zobaczyliby, jak służę mu życzliwie pomocą, na przykład składając deskę do prasowania i podsuwając mu ją, aby mógł wciąż używać jej zamiast kuli. Później odprowadziłbym go za kulisy, raz po raz oglądając się za siebie, aby zachęcać publiczność do dalszych braw i tak dalej. Wiedziałem, że cała akcja ma szanse powodzenia, pod warunkiem że bezbłędnie oceniłem sytuację.

Wówczas jednak wydarzyło się coś, co prawdopodobnie wisiato w powietrzu już od dłuższego czasu. Brodsky zakreślił batutą duży łuk i niemal jednocześnie wymierzył drugą ręką cios w przestrzeń. W tej samej chwili stracił równowagę. Osunął się parę centymetrów w dół i runął na przód sceny, pociągając za sobą pulpit, deskę do prasowania, partyturę, stojak, wszystko.

Spodziewałem się, że ludzie rzucą się mu na pomoc, tymczasem okrzyk, który towarzyszył jego upadkowi, przeszedł w krępującą ciszę. Gdy Brodsky wciąż leżał nieruchomo twarzą w dół, na widowni znów podniósł się głuchy pomruk. Wreszcie jeden ze skrzypków odłożył instrument i ruszył w jego kierunku. Kilkanaście innych osób – pracowników zaplecza, muzyków – podążyło za nim, ale gdy obstępowali leżącego, w ich zachowaniu dało się zauważyć pewne wahanie, jakby spodziewali się ujrzeć coś z gruntu godnego potępienia.

Wtedy mniej więcej odzyskałem przytomność umysłu – wcześniej bowiem zastanawiałem się, jaki efekt mogłem wywołać, pojawiając się przed orkiestrą – i pospiesznie wkroczyłem na scenę, aby dołączyć do grupy spieszącej Brodsky’emu na pomoc. Gdy się zbliżałem, skrzypek wydał okrzyk i padłszy na kolana, zaczął badać Brodsky’ego z większym przekonaniem. W końcu podniósł na nas oczy i powiedział przerażonym szeptem:

– Mój Boże, przecież on stracił nogę! Aż dziw, że wytrzymał tak długo, zanim zemdlął.

Z kilkunastu piersi wyrwał się naraz okrzyk zdumienia, po czym wszyscy spojrzeli po sobie. Jakoś wszyscy założyli z góry, że publiczność nie może się o niczym dowiedzieć, tak więc zacieśniliśmy krąg wokół Brodsky’ego, aby go zasłonić. Ci, którzy stali najbliżej, naradzali się po cichu, czy należy znieść go ze sceny. Potem ktoś dał znak i kurtyna zaczęła się zasuwac. Szybko okazało się, że Brodsky leży dokładnie na linii kurtyny, i zaraz kilka par rąk przewlekło go w głąb sceny, a chwilę potem połówki kurtyny zamknęły się za nimi.

Zabieg ten częściowo przywrócił Brodsky’emu przytomność i kiedy skrzypek obrócił

go na plecy, otworzył oczy i przyjrzał się bacznie każdemu po kolei. Nagle powiedział głosem, którego przede wszystkim przebijała senność:

– Gdzie ona jest? Dlaczego nie ma jej przy mnie?

Znów spojrzeliśmy po sobie.

– Panna Collins – ktoś wyszeptał. – Na pewno ma na myśli pannę Collins.

Skoro tylko wypowiedział te słowa, za naszymi plecami dało się słyszeć dyskretne chrząknięcie. Odwróciwszy się, ujrzeliśmy pannę Collins, która stała między połami kurtyny. Wciąż sprawiała wrażenie bardzo opanowanej i patrzyła w naszą stronę z wyrazem uprzejmego zainteresowania. Jedyne jej dłonie, splecione na piersi nieco wyżej, niż można by się spodziewać, świadczyły, że targa nią burza uczuć.

– Gdzie ona jest? – zapytał Brodsky ponownie i zaczął śpiewać pod nosem.

Skrzypek podniósł na nas oczy.

– Pijany czy co? Na pewno czuć alkohol.

Brodsky przestał śpiewać i powtórzył, zamykając oczy:

– Gdzie ona jest? Dlaczego nie przychodzi?

Tym razem panna Collins się odezwała, niezbyt głośno, ale bardzo wyraźnie:

– Jestem tu, Leo.

Powiedziała to niemal z czułością w głosie, kiedy jednak utworzył się szpaler, aby mogła do niego podejść, nie ruszyła się z miejsca. Dopiero widok Brodsky'ego na podłodze przywołał na jej twarz strapiony wyraz. Brodsky znów zaczął nucić z zamkniętymi oczami.

Nagle odemknął powieki i rozejrzał się uważnie dokoła. Jego spojrzenie powędrowało najpierw w stronę kurtyny, być może w poszukiwaniu publiczności. Widząc, że kurtyna jest zasunięta, przyjrzał się otaczającym go twarzom, by w końcu spojrzeć na pannę Collins.

– Obejmijmy się – powiedział. – Pokażmy światu. Kurtyna... – Dźwignął się z wysiłkiem i zawołał: – Przygotujcie kurtynę do otwarcia! – Następnie rzekł cicho do panny Collins: – Podejź i obejmij mnie. Przytul mnie. Potem niech rozsuna kurtynę. Pokażemy światu. – Powoli osunął się z powrotem na podłogę. – Chodź – wymamrotał.

Wydawało się, że panna Collins chce coś powiedzieć, ale nagle zmieniła zdanie. Zerknęła na kurtynę, a w jej oczach pojawił się strach.

– Niech widzą – powiedział Brodsky. – Niech zobaczą, że w tej ostatniej chwili byliśmy razem. Że nigdy nie przestaliśmy się kochać. Pokażmy im. Kiedy otworzy się kurtyna, wtedy zobaczą.

Panna Collins wpatrywała się w niego jeszcze przez jakiś czas, po czym ruszyła w jego kierunku. Ludzie usunęli się dyskretnie na bok, a niektórzy odwrócili oczy w inną stronę.

Zatrzymała się o krok przed nim i odezwała się lekko drżącym głosem:

– Jeśli chcesz, możemy się trzymać za ręce.

– Nie, nie. To koniec. Obejmijmy się jak należy. Niech widzą.

Panna Collins wahała się przez sekundę, a następnie zbliżyła się do niego i przyklękła. Zauważyłem, że do oczu napłynęły jej łzy – Kochana moja – powiedział Brodsky cicho. – Obejmij mnie jak kiedyś. Moja rana tak bardzo boli.

Nagle panna Collins cofnęła rękę, którą właśnie zaczęła wyciągać, i wstała. Popatrzyła chłodno na Brodsky'ego, po czym szybkim krokiem wróciła w stronę kurtyny. Wydawało się, że Brodsky nie zauważył jej odwrotu. Leżał wpatrzony w sufit, z szeroko rozwartymi ramionami, jak gdyby spodziewał się, że za chwilę poczuje w nich pannę Collins.

– Gdzie jesteś? – zapytał. – Niech zobaczą. Kiedy rozsuną kurtynę. Niech widzą, że w tej ostatniej chwili byliśmy razem, Gdzie jesteś?

– Nie pójdę, Leo. Tam, dokąd odchodzisz, musisz iść sam.

Brodsky najwyraźniej wyczuł zmianę w jej tonie, gdyż – choć wciąż wpatrywał się w sufit – opuścił bezwładnie ręce.

– Ta twoja rana – powiedziała cicho panna Collins. – Zawsze ta twoja rana. – Jej twarz wykrzywiła się szkaradnie. – Boże, jak ja cię nienawidzę! Jak ja cię nienawidzę za to, że zmarnowałeś mi życie! Nigdy, przenigdy ci tego nie wybaczę! Ta twoja rana, twoja głupia rana! Oto twoja prawdziwa miłość, Leo, twoja rana, wielka miłość twojego życia! Już ja wiem, jak to będzie, nawet gdybyśmy spróbowali, nawet gdyby udało się nam zbudować coś od nowa. Muzyka też, nic by się nie zmieniło. Nawet gdybyś zdobył dzisiaj ich akceptację, zyskał pozycję w tym mieście, wszystko byś zniszczył, zburzyłbyś wszystko dokoła, jak już to raz uczyniłeś. A wszystko z powodu tej rany. Zarówno ja, jak i muzyka służymy ci jedynie za kochanki, u których szukasz pocieszenia. Ale zawsze wrócisz do swojej jedynej, prawdziwej miłości. Do swojej rany! A wiesz, co mnie tak złości? Słuchasz, Leo? Ta twoja rana to nic specjalnego, żaden wyjątek. Nawet tu, w tym mieście, są ludzie, którzy mają gorsze. Mimo to każdy z nich jakoś daje sobie radę, z takim hartem ducha, do jakiego nigdy w życiu nie byłeś zdolny. I jakoś żyją, i do czegoś dochodzą. A ty, Leo? Spójrz na siebie. Wciąż tylko pielęgnujesz swoją ranę. Słuchasz mnie? Słuchaj, chcę, żebyś usłyszał każde słowo! Ta rana to wszystko, co ci teraz zostało. Kiedyś starałam się dać z siebie jak najwięcej, ale nie interesowało cię to. Drugi raz nie popełnię tego błędu. Zmarnowałeś mi życie. Jak ja cię nienawidzę! Słyszysz, Leo? Spójrz na siebie. Powiem ci, co się teraz z tobą stanie. Odchodzisz w straszne miejsce, mroczne i samotne, i nie pójdę tam z tobą. Idź sam! Idź sam z tą twoją głupią raną!

Brodsky od jakiegoś czasu machał ociężale ręką. Teraz, gdy panna Collins przerwała, powiedział:

– Mógłbym... mógłbym znów być dyrygentem. Ta muzyka przed chwilą, zanim się przewróciłem... To było coś. Słyszałaś? Mógłbym znów dyrygować...

– Czy ty mnie słuchasz, Leo? Nigdy nie będziesz prawdziwym dyrygentem. I nigdy nim nie byłeś, nawet wtedy. Nigdy nie będziesz mógł służyć mieszkańcom tego miasta, nawet gdyby tego pragnęli. Ponieważ nie obchodzi cię ich życie. Taka jest prawda. Twoja muzyka zawsze będzie dotyczyć tej głupiej ranki, nigdy nie będzie czymś więcej, czymś głębszym, czymś cennym dla innych ludzi. Ja przynajmniej mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że robiłam, co mogłam. Że starałam się pomóc tym biedakom najlepiej, jak mogłam. A ty co? Spójrz na siebie. Zawsze dbałeś tylko o swoją ranę. I dlatego nigdy, nawet wtedy, nie byłeś prawdziwym muzykiem. I nigdy nim nie będziesz. Słuchasz mnie, Leo? Chcę, żebyś to usłyszał. Na zawsze pozostaniesz szarlatanem. Tchórzliwym, nieodpowiedzialnym oszustem...

Nagle zza kurtyny wyskoczył jakiś tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy.

– Pańska deska do prasowania, panie Brodsky! – oświadczył radośnie, trzymając ją w wyciągniętych rękach, następnie, wyczuwając atmosferę, wycofał się nieśmiało.

Panna Collins popatrzyła na intruza, po czym rzuciła Brodsky'emu ostatnie spojrzenie i wybiegła przez szczelinę w kurtynie.

Twarz Brodsky'ego wciąż zwrócona była ku sufitowi, ale jego powieki znów opadły. Precisnąwszy się do przodu, ukląkł obok niego i przyłożył ucho do jego piersi.

– Nasi marynarze – mamrotał. – Nasi marynarze. Nasi pijani marynarze. Gdzie oni teraz są? Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

– To ja, Ryder – powiedziałem. – Musimy jak najszybciej sprowadzić pomoc dla pana, panie Brodsky.

– Ryder. – Otworzył oczy i spojrzał na mnie. – Ryder. Może ona ma rację.

– Proszę się nie martwić, panie Brodsky. Wspaniale pan poprowadził orkiestrę. Zwłaszcza przez dwie pierwsze części...

– Nie, nie, Ryder. Nie to miałem na myśli. Teraz to już mało ważne. Miałem na myśli co innego. Że idę sam. W mrok i samotność. Może to prawda. – Nagle uniósł głowę z podłogi i spojrzał mi głęboko w oczy. – Nie chcę odchodzić, Ryder – wyszeptał. – Nie chcę odchodzić.

– Spróbuję sprowadzić ją z powrotem, panie Brodsky. Jak mówiłem, zwłaszcza dwie pierwsze części cechowała nadzwyczajna inwencja. Jestem pewien, że można się z nią

dogadać. Proszę mi wybaczyć, zaraz wracam.

Uwolniłem ramię z jego uścisku i szybkim krokiem ruszyłem w stronę kurtyny.

## Rozdział 35

Ze zdziwieniem ujrzałem wielkie zmiany na widowni. Zapalono światła i praktycznie rzecz biorąc, nie było już publiczności. Co najmniej dwie trzecie osób opuściło salę, a ci, którzy zostali, rozmawiali, stojąc w przejściach. Nie miałem jednak czasu przyglądać się szczegółowo tej scenie, zaraz bowiem dostrzegłem pannę Collins, która zmierzała ku wyjściu środkowym przejściem. Zszedłem ze sceny i ruszyłem pospiesznie za nią, przeciskając się przez ciżbę. Akurat gdy miała wyjść, zbliżyłem się do niej na tyle, aby usłyszała moje wołanie.

– Panno Collins! Proszę chwilę zaczekać!

Obejrzała się i odnalazłszy mnie wzrokiem, wbiła we mnie harde spojrzenie. Nieco zbity z tropu zatrzymałem się w pół drogi. Poczulem nagle, jak opuszcza mnie cała stanowczość, z którą postanowiłem ją dogonić i nakłonić do rozmowy. Nie wiedzieć czemu, spuściłem nieśmiało oczy, a kiedy je podniosłem, zobaczyłem, że już sobie poszła.

Jeszcze przez chwilę stałem w tym samym miejscu, zastanawiając się, czy głupio zrobiłem, pozwalając jej tak po prostu odejść. Z czasem moją uwagę zaczęły przyciągać toczące się naokoło rozmowy. Zaciekawiała mnie zwłaszcza wymiana zdań wśród sześciu czy siedmiu starszych ludzi, którzy stali z prawej strony. Jakiś mężczyzna mówił:

– Zdaniem pana Schustera nie było dnia, żeby był trzeźwy. Jak zatem można oczekiwać, że nabierzemy szacunku do takiego człowieka, choćby miał nie wiadomo jaki talent? Jaki przykład daje naszym dzieciom? Nie, nie, sprawy zdecydowanie zaszły za daleko.

– Na przyjęciu u hrabiny – powiedziała jakaś kobieta – z całą pewnością był pijany. Jedynie dzięki bardzo sprytnym zabiegom udało im się to ukryć.

– Przepraszam – wtrąciłem – ale ogromnie się państwo mylą. Zaręczam, że informacje, które państwu przekazano, są nieprawdziwe.

Byłem przekonany, że już sama moja obecność nakaże im milczenie. Tymczasem oni spojrzeli na mnie życzliwie – jak gdybym zapytał tylko, czy mogę do nich dołączyć – i powrócili do rozmowy.

– Nikt nie ma zamiaru ponownie stawiać Christoffa na piedestale – rzekł pierwszy mężczyzna. – Ale, jak mówisz, to wykonanie rzeczywiście ocierało się o zły smak.

– Ocierało się o perwersję. Tak jest, ocierało się o perwersję.

– Przepraszam – wtrąciłem się ponownie do rozmowy, tym razem dobitniej. – Tak się składa, że bardzo uważnie słuchałem tego, co pan Brodsky zdołał osiągnąć, zanim upadł, i mój osąd różni się od waszego. Moim zdaniem pokazał coś nowego, śmiałego, co w gruncie rzeczy bliskie jest samej istocie utworu.

Posłałem im lodowate spojrzenie, lecz oni znów spojrzeli na mnie życzliwie, a niektórzy zaśmiali się uprzejmie, jakbym zażartował.

– Nikt nie broni Christoffa – powiedział pierwszy mężczyzna. – Przejrzeliśmy go na wylot. Ale kiedy słucha się czegoś takiego jak przed chwilą, wszystko jawi się w odpowiednich proporcjach.

– Widocznie – dodał inny mężczyzna – Brodsky wierzy, że Max Sattler miał rację. Otóż to. Zresztą chodził dziś cały dzień i to powtarzał. Mówił pewnie pod wpływem alkoholu, ale skoro jest permanentnie pijany, musimy założyć, że tak właśnie myśli. Max Sattler. To wyjaśnia bardzo wiele z tego, co słyszeliśmy przed chwilą.

– Christoff miał przynajmniej wycucie struktury. Jakiś system, na którym można się było oprzeć.

– Panowie! – krzyknąłem. – Napawacie mnie wstrętem!

Nawet się nie obejrzeli. Opuściłem ich z wściekłością.

Kiedy wracałem tym samym przejściem, wszyscy dokoła komentowali to, co się przed chwilą wydarzyło. Zauważyłem, że wiele osób mówi z samej tylko potrzeby opowiedzenia o swym przeżyciu, jak komentowałyby na przykład pożar albo wypadek. Kiedy dotarłem do pierwszych rzędów, ujrzałem dwie zapłakane kobiety oraz trzecią, która starała się je pocieszyć słowami: „Już dobrze, już po wszystkim. Już po wszystkim”. W powietrzu unosił się silny aromat kawy, a ten i ów gość trzymał w dłoni spodek i filiżankę, popijając tak, jakby w gorącym napoju szukał ukojenia.

Wtedy właśnie przyszło mi na myśl, że powinienem wrócić na wyższe piętro, by sprawdzić, co dzieje się z Gustavem. Przepisnąłem się przez tłum i wydostałem się na zewnątrz wyjściem awaryjnym.

Znalazłem się w cichym, pustym korytarzu, który – podobnie jak ten u góry – łagodnie zakręcał. Ten wszakże bez wątplenia przeznaczony był dla publiczności – podłogę pokrywał miękki dywan, z lamp sączyło się ciepłe, stonowane światło, a ścianę zdobił rząd obrazów w złoconych ramach. Zaskoczony tą pustką przez chwilę nie mogłem się zdecydować, w którą stronę skręcić. Kiedy wreszcie ruszyłem dalej, usłyszałem, że ktoś woła mnie z tyłu:

– Panie Ryder!

Odwróciłem się i zobaczyłem Hoffmana, który stał nieco dalej i machał do mnie ręką. Zawołał mnie po raz drugi, lecz z niewiadomych powodów pozostał na swoim miejscu, tak że w końcu zmuszony byłem zawrócić.

– Panie Hoffman – powiedziałem, podchodząc do niego. – Cóż za niefortunny bieg wydarzeń.

– Klęska. Nieodwracalna klęska.

– Doprawdy, wielki pech. Mimo to, panie Hoffman, nie należy się załamywać. Czynił pan nadludzkie wysiłki, aby ten wieczór się udał. I jeśli wolno mi zaznaczyć, na scenie pojawię się jeszcze ja. Zapewniam pana, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby odzyskać kontrolę nad biegiem wypadków. Zastanawiałem się też, czy nie byłoby lepiej zrezygnować z pytań i odpowiedzi. Sądzę, że wystarczy, jeśli wygłoszę po prostu krótką, stosowną mowę, w której uwzględnię wydarzenia tego wieczoru. Mógłbym na przykład powiedzieć, że powinniśmy zachować w sercach przesłanie zawarte w nadzwyczajnej interpretacji pana Brodsky'ego, który w środku występu padł ofiarą choroby, i że należy pozostać wiernym duchowi tego wykonania czy coś w tym rodzaju. Będę się streszczał, rzecz jasna. Potem mógłbym na przykład poświęcić swój recital panu Brodsky'emu albo jego pamięci, zależnie od stanu jego zdrowia...

– Panie Ryder – powiedział Hoffman poważnym tonem. Odniosłem wrażenie, że w ogóle mnie nie słuchał, tylko czekał na okazję, aby wpaść mi w słowo, pogrążony we własnych myślach. – Panie Ryder, chciałbym coś z panem omówić. Drobiazg.

– O co chodzi, panie Hoffman?

– Drobiazg, przynajmniej dla pana. Ale dla mnie i mojej żony to dość ważna sprawa.

Nagle jego twarz wykrzywiła wściekłość i zamachnął się gwałtownie. Myślałem, że ma zamiar mnie uderzyć, lecz po chwili się zorientowałem, że wskazuje jakiś punkt w korytarzu. W matowym świetle dojrzałem postać kobiety, która – odwrócona do nas tyłem – nachylała się ku niszy w ścianie. Wisiało tam lustro i jej głowa dotykała niemal szkła, tak że jej postać odbijała się ukosem. Podczas gdy się jej przyglądałem, Hoffman – uznawszy widocznie, że jego pierwszy gest umknął mojej uwagi – ponownie machnął ręką i wyjaśnił:

– Mówię o albumach mojej żony.

– Ach tak, albumy pańskiej żony. Tak, była na tyle miła... Ale, panie Hoffman, nie pora teraz...

– Jak pan pamięta, panie Ryder, obiecał pan do nich zajrzeć. I umówiliśmy się dla pańskiej wygody, tak by nikt się panu nie narzucał w niestosownej chwili... Pamięta pan?... Umówiliśmy się, że da mi pan znak, gdy pan uzna, że jest gotów przejrzeć albumy. Pamięta

pan?

– Oczywiście, panie Hoffman. I miałem szczerzy zamiar...

– Śledziłem pana bardzo uważnie, panie Ryder. Za każdym razem, gdy widziałem, jak spaceruje pan po hotelu, chodzi po foyer albo pije kawę, myślałem: „O, zdaje się, że ma chwilkę. Może teraz”. I czekałem na znak, wpatrywałem się w pana uporczywie, ale na próżno. No i proszę, pańska wizyta dobiega końca, za parę godzin odlatuje pan do Helsinek na kolejny występ. Raz po raz nachodziła mnie myśl, że przegapiłem pański znak, że odwróciłem na sekundę oczy i spoglądając na pana ponownie, wziąłem końcówkę umówionego znaku za jakiś inny gest. Jeśli tak jest w istocie, jeśli kilkakrotnie dawał mi pan znaki, lecz okazałem się za mało spostrzegawczy, żeby je zauważyć, to naturalnie pokajam się bez skargi, bez wstydu, bez godności, padnę przed panem na twarz. Twierdzą jednak, że ani razu nie dał mi pan umówionego znaku. Innymi słowy, że okazał pan... – Zerknął na postać w korytarzu i zniżył głos. – Okazał pan mojej żonie lekceważenie. Proszę, oto one.

Dopiero wówczas zauważyłem, że trzyma w ramionach dwa opasłe tomy, które wyciągnął teraz ku mnie.

– Proszę. Oto owoce oddania mojej żony dla pańskiej wspianiałej kariery. Jakże ona pana podziwia... To widać. Proszę tylko spojrzeć na te strony! – Spróbował otworzyć jeden z albumów, jednocześnie trzymając drugi pod pachą. – O, tu, proszę. Nawet malutkie wycinki z obskurnych czasopism. Wzmianki na pana temat. Widzi pan, jak bardzo jest panu oddana? O, tu, proszę! I tu, i tu! A pan nie może nawet znaleźć czasu, żeby zajrzeć do tych albumów. I co ja mam jej teraz powiedzieć? – Znow wskazał na stojącą w pobliżu postać.

– Przykro mi – zacząłem. – Strasznie mi przykro. Ale, widzi pan, do mojego rozkładu zajęć wkraść się pewien zamęt. Miałem szczerzy zamiar... – Nagle uznałem, że w całym tym zamieszaniu przynajmniej ja jeden muszę zachować zimną krew. Urwałem w pół zdania, po czym powiedziałem dość stanowczym tonem: – Myślę, panie Hoffman, że pańskiej żonie łatwiej przyjdzie przyjąć moje przeprosiny, jeśli usłyszy je z moich ust. Miałem już przyjemność poznać ją wcześniej tego wieczoru. Gdyby mnie pan teraz do niej zaprowadził, być może udałoby się nam załatwić tę sprawę od ręki. Później, rzecz jasna, muszę biec na scenę, żeby powiedzieć kilka słów o panu Brodskim i dać swój recital. Zwłaszcza moi rodzice mogą się niecierpliwić.

Moje słowa sprawiły Hoffmana w zakłopotanie. Po chwili, próbując od nowa wznieść w sobie gniew, zawołał:

– Niech pan spojrzy na te strony! Proszę, niech pan tylko spojrzy! – Ale ponieważ żar zdążył już wygasnąć, spojrział na mnie dość nieśmiało. – No to chodźmy – powiedział cicho,

tonem świadczącym o tym, że poniósł wstrząsającą porażkę. – Chodźmy.

Nie ruszył się jednak i odniosłem wrażenie, że na chwilę pogрузił się w jakichś odległych wspomnieniach. W końcu jednak podążył zdecydowanym krokiem ku swojej żonie, a ja za nim.

Kiedy byliśmy już blisko, pani Hoffman odwróciła się w naszą stronę. Przystanąłem kilka metrów za Hoffmanem, ale omijając męża wzrokiem, spojrzała prosto na mnie i się odezwała:

– Miło znów pana widzieć, panie Ryder. Niestety, wydarzenia potoczyły się inaczej, niżbyśmy sobie życzyli.

– Obawiam się, że ma pani rację – powiedziałem i postąpiwszy krok do przodu, dodałem: – Poza tym, droga pani, z tych czy innych względów zaniedbałem, jak się wydaje, kilka spraw, którymi chciałem się zająć.

Spodziewałem się, że podchwyci aluzję, lecz tylko przyglądała mi się z zainteresowaniem, czekając na ciąg dalszy. Hoffman odchrząknął.

– Wiedziałem, o czym marzysz, kochanie. – Z wątlým uśmiechem podniósł albumy, po jednym w każdej ręce.

Pani Hoffman spojrzała nań z przerażeniem.

– Oddaj mi te albumy – powiedziała szorstko. – Nie miałeś prawa! Oddaj mi je.

– Ależ kochanie... – Hoffman zachichotał i spuścił oczy.

Pani Hoffman wciąż wyciągała ku niemu rękę, a na jej twarzy malowała się wściekłość. Kierownik hotelu wręczył jej jeden album, potem drugi. Jego żona rzuciła okiem, aby się upewnić, że to rzeczywiście jej albumy, po czym ogarnęło ją zażenowanie.

– Pomyślałem, kochanie – wymamrotał Hoffman – że nie stanie się nic złego... – Znowu urwał i się zaśmiał.

Pani Hoffman posłała mu lodowate spojrzenie i odwróciła się ku mnie.

– Bardzo przepraszam, panie Ryder – powiedziała – że mój mąż niepotrzebnie zawracał panu głowę takimi głupstwami. Życzę miłego wieczoru.

Wzięła albumy pod pachę i ruszyła przed siebie, nie uszła jednak zbyt daleko, gdy Hoffman wykrzyknął nagle:

– Głupstwa?! O nie, to nie głupstwa! Album o Kosminskim to też nie jest głupstwo. Ani album o Stefanie Hallerze. To nie są głupstwa! Gdyby tylko! Chciałbym wierzyć, że to głupstwa!

Jego żona się zatrzymała, lecz nie odwróciła głowy. Hoffman i ja wpatrywaliśmy się w jej plecy, podczas gdy ona stała nieruchomo w matowym świetle korytarza. Hoffman

postąpił parę kroków w jej kierunku.

– Ten wieczór to ruina. Po co udawać, że tak nie jest? Po co mnie znosić? Rok po roku, gafa po gafie. Po Festiwalu Młodzieżowym twoja cierpliwość dla mnie z pewnością była na wyczerpaniu. Ale nie, wytrzymałaś ze mną jeszcze trochę. Potem Tydzień Wystaw. Wciąż mnie znosiłaś. Dałaś mi kolejną szansę. To prawda, błagałem cię, wiem. Żebrałem o jeszcze jedną szansę. Nie miałaś serca mi odmówić. Jednym słowem, zgodziłaś się na dzisiejszy koncert. I co mam do pokazania? Ten wieczór to niewypał. Nasz syn, nasz jedyny syn, wystawia się na pośmiewisko najdostojniejszych obywateli miasta. To był mój błąd, wiem. Zachęcałem go. Do ostatniej chwili wiedziałem, że powinienem go powstrzymać, ale zabrakło mi siły. Pozwoliłem mu brnąć do samego końca. Uwierz mi, kochanie, nigdy nie miałem takiego zamiaru. Od początku sobie powtarzałem, że powiem mu jutro, że jutro się rozmówimy, kiedy będzie więcej czasu. Jutro, jutro, wciąż to odkładałem. Tak, przyznaję, okazałem słabość. Jeszcze dziś sobie wmawiałem: powiem mu za parę minut, ale nie, nie potrafiłem, on zaś brnął dalej. Tak, nasz syn Stephan wyszedł na scenę i przed całym światem grał na fortepianie! Pośmiewisko! Ha, ale gdyby tylko to! Całe miasto wie, kto odpowiada za przygotowanie tego wieczoru. I całe miasto wie, kto wziął na siebie odpowiedzialność za wyzdrowienie pana Brodsky’ego. Nie przeczę, nie udało mi się, nie potrafiłem go uwolnić od nałogu. Ten facet to pijak, powinienem był przewidzieć, że to na nic. W tej właśnie chwili cały wieczór wali się nam na głowę. Nawet pan Ryder, nawet on nie może go już uratować. Jego obecność pogłębia tylko nasze zażenowanie. Najwybitniejszy pianista świata, sprowadzam go tutaj, i po co to wszystko? Żeby uczestniczył w naszej hańbie? Czemu pozwolono moim niezdarnym łapskom dotykać takich świętości jak muzyka, sztuka czy kultura? Ty, z kulturalnej rodziny, mogłaś poślubić każdego.

Popełniłaś kolosalny, tragiczny błąd. Ale jeszcze nie jest za późno. Wciąż jesteś piękna. Na co czekasz? Jakich jeszcze dowodów ci trzeba? Odejdź ode mnie, odejdź. Znajdź sobie kogoś, kto będzie ciebie wart. Jakiegoś Kosminsky’ego, Hallera, Rydera, Leonhardta. Że też popełniłaś taki błąd! Odejdź ode mnie, błagam, odejdź. Czy wiesz, jak okropnie być strażnikiem twojego więzienia? Nie, gorzej, kulą u twojej nogi? Odejdź ode mnie, odejdź! – Nagle Hoffman się pochylił i podnosząc pięść, wykonał ten sam ruch, który widziałem już dwukrotnie tego wieczoru. – Kochana, moja kochana, odejdź ode mnie. Straciłem pozycję. Od dziś przynajmniej nie muszę już więcej udawać. Wszyscy będą wiedzieli, nawet najmniejszy dzieciak w mieście. Widząc, jak drepczę za swoimi sprawami, będą wiedzieli, że nic nie mam. Ani talentu, ani wrażliwości, ani finezji. Odejdź ode mnie, odejdź. Jestem wół, wół, wół. – Powtórzył swój gest, wypychając dziwacznie łokieć, gdy uderzał się w czoło.

Potem padł na kolana i załkał. – Ruina – mamrotał przez łzy. – Kompletna ruina.

Pani Hoffman się odwróciła i spoglądała na męża z uwagą. Nie wydawała się bynajmniej zaskoczona tą sceną, a w jej oczach pojawił się wyraz czułości, niemal tęsknoty. Z wahaniem postąpiła jeden, potem drugi krok ku skulonej sylwetce Hoffmana. Potem wyciągnęła powoli rękę, jakby chciała pogłaskać go po głowie. Dłoń zawisała nad jego głową, ani razu jej nie dotykając. Po chwili pani Hoffman cofnęła rękę, odwróciła się na pięcie i zniknęła w głębi korytarza.

Hoffman łkał dalej, najwyraźniej nieświadomy poczynań swojej żony. Obserwowałem go przez chwilę niepewnie, nie wiedząc, jak się zachować. Nagle uzmysłowiłem sobie, że zaraz muszę wyjść na scenę. Przypomniało mi się też w przypiływie emocji, że dotychczas nie udało mi się nigdzie odnaleźć śladu obecności moich rodziców. Moje uczucia względem Hoffmana, które dotąd graniczyły ze współczuciem, odmieniły się gwałtownie. Zbliżyłem się do niego i krzyknąłem mu do ucha:

– Całkiem możliwe, panie Hoffman, że doprowadził pan swój wieczór do ruiny! Ale mnie proszę w to nie mieszać! Zamierzam wyjść na scenę i dać koncert. Postaram się, jeżeli to możliwe, przywrócić biegowi wypadków jaki taki porządek! Ale najpierw, panie Hoffman, chciałbym ustalić raz na zawsze: co się dzieje z moimi rodzicami?!

Hoffman podniósł oczy i nie bez zaskoczenia stwierdził, że jego żona sobie poszła. Patrząc na mnie z lekką irytacją, wstał z kolana.

– Czego pan chce? – zapytał znużonym głosem.

– Moi rodzice, panie Hoffman. Gdzie oni są? Zapewniał mnie pan, że będą pod dobrą opieką. Ale przyglądając się widowni, nigdzie ich nie spostrzegłem. Zaraz wychodzę na scenę i życzę sobie, aby moich rodziców usadowiono wygodnie na przeznaczonych dla nich miejscach. Żądam odpowiedzi: gdzie oni są?

– Pańscy rodzice? – Hoffman wziął głęboki oddech i zmęczonym gestem przeczesał włosy. – Musi pan zapytać pannę Stratmann. To ona miała czuwać nad ich dobrem. Ja byłem odpowiedzialny za ogólne ramy uroczystości. A skoro, jak pan widzi, zawiodłem na całej linii, nie może pan oczekiwać, że odpowiem panu na to pytanie...

– Tak, tak – powiedziałem, niecierpliwiąc się. – A gdzie jest panna Stratmann?

Hoffman westchnął i wskazał coś za moimi plecami. Odwróciłem się i ujrzałem drzwi.

– W środku? – zapytałem szorstko.

Hoffman skinął głową, po czym zatoczył się ku wnętrzu, w której wcześniej stała jego żona, i utkwiał oczy w lustrze.

Zastukałem stanowczo do drzwi. Ponieważ nikt nie odpowiadał, spojrzełem z naganą

na Hoffmana, który pochylał się nad parapetem wnęki. Już miałem wylać na niego więcej  
jadu, gdy zza drzwi dobiegł głos zapraszający mnie do środka. Po raz ostatni zerknąłem na  
przygarbioną postać Hoffmana i otworzyłem drzwi.

## Rozdział 36

Znalazłem się w obszernym, nowoczesnym biurze. Zupełnie nie przypominało innych pomieszczeń, które widziałem w budynku. Był to rodzaj aneksu, na pozór skonstruowanego w całości ze szkła. Światło było zgaszone i zauważyłem, że nareszcie zaczęło świtać. Łagodne plamy wczesnoporanego słońca sunęły z wolna po chwiejnych stertach papierzyk, szufladkach kartoteki, teczkach i informatorach porzucanych na biurkach. W pomieszczeniu stały w sumie trzy biurka, lecz zastałem tu jedynie pannę Stratmann.

Wyglądało na to, że pracuje, tym bardziej więc mnie zdziwiło, że pogasiła światła, gdyż przy bladej poświacie wypełniającej wnętrze z ledwością dało się czytać albo pisać. Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mi na myśl, było takie, że zgasiła na chwilę światło, aby popatrzeć, jak słońce wylania się zza odległej linii drzew. Istotnie, kiedy wszedłem do środka, siedziała przy biurku ze słuchawką w rękę wpatrzona nieobecny wzrokiem w wielkie szyby.

– Dzień dobry, panie Ryder – powiedziała, odwracając się ku mnie. – Zaraz się panem zajmę. – Po czym rzuciła do słuchawki: – Tak, mniej więcej za pięć minut. Kiełbaski też. Powinni zacząć smażyć nie dalej jak za parę minut. I owoce. Już powinny być gotowe.

– Panno Stratmann – odezwałem się, podchodząc do jej biurka. – Są ważniejsze sprawy niż ta, kiedy zacząć smażyć kiełbasek.

Spojrzała na mnie przelotnie.

– Zaraz się panem zajmę, panie Ryder. – I znowu zaczęła mówić do słuchawki, notując coś jednocześnie.

– Panno Stratmann – rzekłem ostrzejszym tonem. – Muszę panią prosić, aby przerwała pani rozmowę i posłuchała, co mam do powiedzenia.

– Proszę chwilkę poczekać – powiedziała panna Stratmann do słuchawki. – Mam tu jedną sprawę do załatwienia. Sekunda. – Położyła słuchawkę i wbiła we mnie wzrok. – O co chodzi, panie Ryder?

– Panno Stratmann, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, zapewniała mnie pani, że będę na bieżąco informowany o wszystkim, co dotyczy mojej wizyty. Że będzie mi pani szczegółowo objaśniać mój program oraz charakter moich rozmaitych zobowiązań. Wierzyłem, że można na pani polegać. Niestety, z przykrością muszę stwierdzić, że nie

spełniła pani moich oczekiwań.

– Panie Ryder, nie wiem, czym zasłużyłam sobie na taką tyradę. Czy jest coś konkretnego, z czego nie jest pan zadowolony?

– Z niczego nie jestem zadowolony, panno Stratmann. Brakowało mi ważnych informacji, kiedy były mi potrzebne. Nie informowano mnie o nagłych zmianach w programie wizyty. W decydujących momentach nie otrzymałem wsparcia ani pomocy. W rezultacie nie zdołałem się przygotować do swoich zadań tak, jak bym sobie życzył. Mimo to mam zamiar wyjść za chwilę na scenę i ratować, co się da, na razie bowiem wieczór ten nie wróży wam nic dobrego. Przedtem jednak mam do pani jedno proste pytanie: gdzie są moi rodzice? Jakiś czas temu przybyli tu karetą, ale gdy szukałem ich na widowni, nigdzie ich nie było. Nie umieszczono ich w żadnej z łóż ani na żadnym z honorowych miejsc w pierwszych rzędach. Tak więc ponawiam moje pytanie, panno Stratmann: gdzie oni są? Dlaczego nie otoczono ich troskliwą opieką, jak mi pani obiecała?

Panna Stratmann przyjrzała mi się uważnie w blasku budzącego się dnia i westchnęła.

– Od dłuższego czasu chciałam o tym z panem pomówić, panie Ryder. Bardzo się ucieszyliśmy, gdy parę miesięcy temu zawiadomił nas pan, że pańscy rodzice mają zamiar przybyć do naszego miasta. Nie posiadaliśmy się z radości. Ale muszę panu przypomnieć, panie Ryder, że wiadomość o ich przyjeździe otrzymaliśmy od pana i tylko od pana. Od trzech dni, a zwłaszcza dzisiaj, stoję na głowie, żeby ustalić miejsce ich pobytu. Wielokrotnie telefonowałam na lotnisko i na dworzec kolejowy, do przewoźników autokarowych i do każdego hotelu w tym mieście, ale nikt ich nie widział. Tak więc, panie Ryder, to raczej ja muszę pana zapytać: czy aby jest pan pewien, że mieli przyjechać?

W miarę jak mówiła, zaczęły się we mnie budzić wątpliwości i nagle poczułem, że coś we mnie pęka. Aby ukryć skrępowanie, odwróciłem się i spojrzałem na wschodzące słońce.

– No cóż – powiedziałem wreszcie. – Byłem przekonany, że tym razem przyjadą.

– Był pan przekonany. – Panna Stratmann, której dumę zawodową musiałem dotkliwie zranić, przeszła mnie pełnym wyrzutu spojrzeniem. – Czy pan zdaje sobie sprawę, panie Ryder, ile trudu zadali sobie wszyscy w związku z oczekiwanym przybyciem pańskich rodziców? Pomoc medyczna, powitanie, konie i karetą. Grupa miejscowych pań przez wiele tygodni układała specjalny program pobytu pańskich rodziców w mieście. Więc był pan przekonany, że przyjadą?

– Ależ oczywiście – powiedziałem, próbując pokryć zmieszanie śmiechem. – Nie narażałbym innych na tyle zachodu, gdybym nie był absolutnie pewien. Istotnie – znów się zaśmiałem – istotnie, byłem przekonany, że tym razem nareszcie przyjadą. Chyba miałem

podstawy, aby przypuszczać, że tym razem przyjadą. Przecież jestem u szczytu swoich możliwości. Jak długo jeszcze mam się tulać po świecie? Bardzo mi przykro, jeśli niepotrzebnie naraziłem kogoś na kłopot, ale tak przecież być nie może. Na pewno gdzieś tu są. Poza tym słyszałem ich karetę. Kiedy zatrzymałem się w lesie, słyszałem, jak nadjeżdża powóz. Sam słyszałem, na pewno gdzieś tu są, bez wątpienia, mam podstawy...

Opadłem na stojący obok fotel i poczułem, że moją piersią wstrząsa szloch. W jednej chwili przypomniałem sobie, jak nikłe były szanse przybycia moich rodziców do miasta. Nie mogłem zrozumieć, skąd się wzięła moja pewność w tej sprawie, tak że kategorycznie żądałem wyjaśnień najpierw od Hoffmana, a teraz od panny Stratmann. Szlochałem jeszcze przez jakiś czas, póki się nie zorientowałem, że panna Stratmann stoi nade mną.

– Panie Ryder, panie Ryder – powtarzała łagodnie. Kiedy w końcu udało mi się opanować łzy, powiedziała życzliwie: – Nie wiem, czy ktoś już panu o tym wspomniał, ale pańscy rodzice gościli niegdyś w naszym mieście, ładnych parę lat temu.

Przestałem szlochać i podniosłem na nią zapłakane oczy. Uśmiechnęła się do mnie, po czym podeszła niespiesznie do szyby i ponownie utkwiała wzrok w porannym niebie.

– Zapewne spędzali razem wczasy – dodała, zapatrzona w dal. – Przyjechali pociągiem i zostali tu dwa, trzy dni, by zwiedzić miasto. Jak mówiłam, działo się to dość dawno temu, kiedy nie był pan jeszcze tak sławny jak dziś. Co nie znaczy, że ludzie o panu nie słyszeli, i ktoś, być może któryś z pracowników hotelu, zapytał ich, czy są z panem spokrewnieni. No wie pan, to samo nazwisko i ta sama narodowość. W ten właśnie sposób wyszło na jaw, że to miłe, starsze angielskie małżeństwo to pańscy rodzice. Może nie wywołało to takiego poruszenia, jakiego można by oczekiwać obecnie, niemniej jednak otoczono ich bardzo troskliwą opieką. Potem zaś, w miarę jak pańska sława zataczała coraz szersze kręgi, ludzie przypomnieli sobie o wizycie pańskich rodziców. Sama niewiele pamiętam, byłam wtedy bardzo mała. Pamiętam jednak, że ludzie wiele rozprawiali o tym wydarzeniu.

Utkwiłem uważne spojrzenie w jej plecach.

– Panno Stratmann, czy mówi mi to pani, aby mnie pocieszyć?

– Ależ skąd, to wszystko prawda. Każdy potwierdzi moje słowa. Jak mówiłam, byłam wtedy mała, wiele osób może jednak panu o tym opowiedzieć. Poza tym zachowały się liczne dokumenty.

– A czy wydawali się szczęśliwi? Czy śmiali się i spędzali miło czas?

– Bez wątpienia, panie Ryder. Z relacji naocznych świadków wynika, że czuli się tu bardzo dobrze. Wszyscy zapamiętali ich jako przemiłą parę. Otaczali się wzajemnie troską i

życzliwością.

– Ale... ale ja pytam, czy byli pod dobrą opieką. O to panią pytam...

– Oczywiście, że tak. I miło spędzali czas. W czasie swojego pobytu w mieście byli bardzo szczęśliwi.

– Skąd pani wie? Przecież sama pani przed chwileczką mówiła, że była wtedy mała.

– Opowiadam to, co zachowało się w pamięci zbiorowej.

– Jeśli w tym, co pani mówi, jest choć trochę prawdy, dlaczego dotychczas nikt mi o tym nie wspomniał?

Panna Stratmann się zawahała i ponownie spojrzała na drzewa i wschód słońca.

– Nie wiem – powiedziała cicho, potrząsając głową. – Nie wiem, jak to możliwe. Chociaż ma pan rację. Ludzie nie mówią o tym tak często, jak można by się spodziewać. Ale to wszystko prawda, zapewniam pana. Pamiętam to wyraźnie z czasów swojego dzieciństwa.

Z zewnątrz zaczęły dobiegać pierwsze ptasie tryle. Panna Stratmann wciąż wpatrywała się w odległą linię drzew, pogrążona być może w innych wspomnieniach z dzieciństwa. Obserwowałem ją przez chwilę, po czym rzekłem:

– Mówi pani zatem, że dobrze ich tutaj traktowano.

– O tak. – Panna Stratmann powiedziała to niemal szeptem, wciąż nie odrywając oczu od widoku za szybą. – Jestem pewna, że traktowano ich bardzo dobrze. Zdaje się, że to była wiosna, a wiosną jest tu tak ładnie. No i Stare Miasto, sam pan widział, jakie to czarujące miejsce. Ludzie napotkani przypadkowo na ulicy pokazywali im zapewne różne ciekawe rzeczy. Zabytkowe budynki, muzeum rzemiosła, mosty. A jeśli zatrzymali się gdzieś na kawę i małe co nieco, ale nie wiedzieli, co zamówić, na przykład z powodu kłopotów językowych, kelner albo kelnerka na pewno służyli im pomocą. O tak, z całą pewnością dobrze się tu czuli.

– Ale powiedziała pani, że przyjechali koleją. Czy ktoś pomógł im nieść bagaże?

– Bagażowi na dworcu niechybnie zaraz im pomogli. Zanieśli cały bagaż do taksówki, a o resztę zadbał kierowca taksówki, który zawiózł ich prosto pod hotel. Jestem pewna, że nie musieli nawet myśleć o bagażu.

– Do hotelu? A do którego?

– To był bardzo wygodny hotel, panie Ryder. Jeden z najlepszych, jakie działały wówczas w mieście. Na pewno im odpowiadał. Nie żałowali ani jednej spędzonej tam minuty.

– Mam nadzieję, że leżał z dala od głównych traktów. Moja matka nie cierpi ryku samochodów.

– W tamtych czasach, rzecz jasna, motoryzacja nie stanowiła jeszcze takiego

problemu jak obecnie. Pamiętam, że kiedy byłam mała, często skakałam przez skakankę albo grałam w piłkę z koleżankami na środku osiedlowej ulicy. Dziś nie ma mowy, żeby dzieci bawiły się na drodze! O tak, często się tam bawiliśmy, niekiedy całymi godzinami. Ale wracając do pańskiego pytania, panie Ryder – panna Stratmann odwróciła się do mnie z tęsknym uśmiechem na twarzy – hotel pańskich rodziców leżał z dala od drogi. To był iście sielankowy hotel. Już nie istnieje, ale jeśli pan chce, mogę panu pokazać jego zdjęcie. Chce pan zobaczyć? Hotel, w którym zatrzymali się pańscy rodzice?

– Bardzo chętnie, panno Stratmann.

Uśmiechnęła się ponownie i podeszła do swojego biurka.

Myślałem, że zaraz otworzy szufladę, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie i podeszła do ściany w głębi biura. Wyciągnęła rękę, pociągnęła za sznurek i zaczęła rozwijać coś, co wyglądało jak ogromna ścienna mapa. Po chwili okazało się, że nie była to mapa, lecz gigantycznych rozmiarów barwna fotografia. Opuszczała ją coraz niżej, niemal do samej podłogi, póki nie rozległo się szczęknięcie zablokowanego wałka. Następnie wróciła do swojego biurka, włączyła lampę i skierowała wiązkę światła na zdjęcie.

Przez jakiś czas przyglądaliśmy się w milczeniu fotografii. Hotel wyglądał jak pomniejszona wersja owych bajkowych pałaców, które w ubiegłym stuleciu stawiali zwariowani władcy. Stał na krawędzi stromej doliny, pokrytej paprocią i wiosennym kwieciami. Zdjęcie, zrobione przy słonecznej pogodzie z przeciwnej strony doliny, miało przyjemną kompozycję, w sam raz na widokówkę lub do kalendarza.

– Jeśli się nie mylę, pańscy rodzice mieszkali w tym pokoju – usłyszałem głos panny Stratmann. Wyjęła skądś wskaźnik i pokazywała nim okno w jednej z hotelowych wieżyczek.

– Mieli bardzo ładny widok, widzi pan?

– Tak, rzeczywiście.

Panna Stratmann opuściła wskaźnik, ale ja wciąż wpatrywałem się w okno, próbując sobie wyobrazić widok, jaki się zeń roztaczał. Zwłaszcza moja matka cieszyłaby się z takiego widoku. Nawet gdyby miała jeden ze swoich złych dni i musiała leżeć od rana do wieczora w łóżku, widok taki niewątpliwie przyniósłby jej ogromną ulgę. Patrzyłaby, jak hulający w dolinie wiatr kołysze krzewami paproci i listowiem poskręcanych drzewek na przeciwległym stoku doliny. Byłaby również zadowolona ze sporej połaci odkrytego nieba. Nagle na najbliższym planie fotografii zauważyłem biegnący w poprzek dolnego prawego rogu kawałek drogi, z której prawdopodobnie fotograf robił zdjęcie. Drogę tę niewątpliwie widać było z pokoju matki. Miałaby więc sposobność obserwować z daleka życie miejscowych ludzi. Może akurat przejeżdżał tędy śmieszny samochód albo wóz dostawczy, a może nawet

chłopska furmanka; mogły się nadarzyć traktor lub też gromadka wędrujących dzieciaków. Takie obrazki musiały mieć zbawienny wpływ na jej nastrój.

Gdy przyglądałem się oknu na fotografii, znów zebrało mi się na płacz. Nie tak gwałtowny jak przedtem, lzy jednak dość obficie wzbierały mi w oczach i spływały po policzkach. Panna Stratmann spostrzegła je, ale tym razem uznała, że nie ma potrzeby ich powstrzymywać. Uśmiechnęła się do mnie łagodnie i zwinęła fotografię.

Nagle rozległo się stukanie do drzwi i aż podskoczyłem w fotelu. Panna Stratmann również drgnęła, po czym powiedziała: „Przepraszam, panie Ryder” i podeszła do drzwi.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że do pokoju wchodzi mężczyzna w białym uniformie, ciągnąc za sobą wózek na kółkach. Zatrzymał go w samym progu, przez co drzwi pozostały otwarte, i spojrzał na poranne niebo.

– Zapowiada się ładny dzień – stwierdził, uśmiechając się do nas. – Pani śniadanie. Postawić na biurku?

– Śniadanie? – Panna Stratmann sprawiała wrażenie zaskoczonej. – Przecież śniadanie miało być podane dopiero za pół godziny.

– Pan von Winterstein kazał podać je już teraz, proszę pani. I słusznie, moim zdaniem. Ludziom potrzebne jest teraz śniadanie.

– Och. – Panna Stratmann wciąż wyglądała na zaskoczoną. Zerknęła na mnie, jakby szukając wsparcia, po czym spytała mężczyznę: – Czy tam... wszystko w porządku?

– Już wszystko dobrze, proszę pani. Oczywiście po tym, jak pan Brodsky zemdłał, wybuchła mała panika, ale teraz wszyscy są zadowoleni i dobrze się bawią. Widzi pani, pan von Winterstein wygłosił przed chwilą udaną mowę w foyer, o wspaniałym dziedzictwie naszego miasta, o tym wszystkim, z czego powinniśmy być dumni. Nawiązał do naszych wielorakich osiągnięć w przeszłości, zwrócił uwagę na wielkie nieszczęścia nawiedzające inne miasta, o które my tutaj nie musimy się martwić. Tego nam było trzeba, proszę pani. Szkoda, że pani tego nie słyszała. Zaraz poprawiło się nam mniemanie o samych sobie i o naszym mieście i teraz wszyscy dobrze się bawią. O, proszę spojrzeć, widać parę osób. – Wskazał na coś za szybą i rzeczywiście, w bladej poświacie dnia majaczyło kilka postaci, które stapały powoli po trawie, niosąc ostrożnie talerzyki i rozglądając się za miejscem do siedzenia.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałem, podnosząc się z fotela. – Muszę iść grać. Spóźnię się. Jestem pani wdzięczny, panno Stratmann, za pani życzliwość, za wszystko. Ale teraz proszę mi wybaczyć.

Nie czekając na odpowiedź, przycisnąłem się obok wózka i wyszedłem na korytarz.

## Rozdział 37

Blade światło poranka rozjaśniało teraz ponury mrok korytarza. Zerknąłem na wnękę z lustrem, gdzie zostawiłem Hoffmana, ale już go tam nie było. Ruszyłem szybkim krokiem w stronę widowni, mijając obrazy w złożonych ramach. Po drodze napotkałem jeszcze jednego kelnera z wózkiem śniadaniowym, który pochylał się, aby zapukać do drzwi, ale poza tym korytarz świecił pustką.

Spieszyłem naprzód, wypatrując tego samego wyjścia awaryjnego, które zaprowadziło mnie na korytarz. Czułem nieprzewartą chęć, aby jak najszybciej rozpocząć recital. Bez względu na to, jak przykry zawód spotkał mnie przed chwilą w żadnym wypadku nie umniejszał on mojej odpowiedzialności wobec tych, którzy od wielu tygodni oczekiwali na moment, gdy zasiądę przy fortepianie. Innymi słowy, moją powinnością było zagrać tego wieczoru przynajmniej nie gorzej niż zwykle. Postąpić inaczej – nagle poczułem to bardzo wyraźnie – byłoby równoznaczne z otwarciem dziwnych drzwi, przez które wypadłbym w jakąś mroczną, nieznaną przestrzeń.

Po pewnym czasie zorientowałem się, że ta część korytarza nie jest mi znana. Tapeta miała tu granatowy kolor, zamiast obrazów wisiały podpisane fotografie. Zrozumiałem, że przegapiłem drzwi, których szukałem. Dostrzegłem jednak w pobliżu inne drzwi, na których widniał napis „Scena”, i postanowiłem z nich skorzystać.

Przez kilka sekund posuwałem się po omacku, aż znów znalazłem się przy wejściu dla wykonawców. Na środku pustej sceny ujrzałem fortepian, oświetlony blado jednym czy dwoma reflektorami. Zauważyłem też, że kurtyna wciąż jest zasunięta, i po cichutku wszedłem na scenę.

Spojrzałem na miejsce, gdzie przedtem leżał Brodsky, ale po dyrygencie nie było śladu. Potem znów zerknąłem na fortepian, nie wiedząc, co począć dalej. Gdybym po prostu usiadł na stołku i zaczął grać, pracownicy techniczni mieliby może dość oleju w głowie, żeby rozsunąć kurtynę i włączyć reflektory. Istniało wszakże prawdopodobieństwo – nie wiadomo, co tu się działo – że wszyscy pracownicy techniczni opuścili swoje stanowiska i kurtyna pozostałaby zasunięta. Ponadto, kiedy ostatnim razem widziałem publiczność, ludzie stali w przejściach, z ożywieniem dyskutując. Uznałem zatem, że najlepiej będzie wyjść przed kurtynę i zapowiedzieć swój występ, dając zarówno publiczności, jak i pracownikom

technicznym czas na przygotowanie się. Ułożyłem naprędce krótki tekst, po czym bez ceregieli podszedłem do szpary między zasłonami i rozchyliłem ciężką materię.

Spodziewałem się wprawdzie, że na widowni będzie rozgardiasz, ale to, co ujrzałem, zupełnie zbiło mnie z tropu. Nie było żywej duszy, a co więcej, zniknęły również fotele. Przyszło mi na myśl, że sala wyposażona jest w jakiś mechanizm, dzięki któremu za jednym pociągnięciem dźwigni fotele chowają się pod podłogę, a widownia może służyć jako parkiet taneczny czy coś w tym rodzaju, zaraz jednak przypomniałem sobie wiek budynku i uznałem, że nie jest to zbyt prawdopodobne. Doszedłem zatem do wniosku, że fotele były składane i że zostały wyniesione w ramach zabezpieczeń przeciwpożarowych. Tak czy owak, przede mną rozpościerała się ogromna, mroczna pustka. Nie paliły się żadne światła, za to tu i ówdzie usunięto duże, prostokątne panele sufitowe, tak że na podłogę padały blade snopy dziennego światła.

Gdy spróbowałem przeniknąć wzrokiem ponure światło, wydało mi się, że w głębi sali dostrzegam kilka postaci, które stały w krąg, jakby się naradzając. Mogli to być pracownicy fizyczni, którzy kończyli właśnie uprzątnięcie sali. Potem usłyszałem kroki, gdy jeden z nich zaczął się oddalać od reszty.

Stałem na brzegu sceny, zastanawiając się, co robić. Prawdopodobnie spędziłem w biurze panny Stratmann znacznie więcej czasu, niż myślałem – może całą godzinę – aż w końcu publiczność straciła nadzieję, że kiedykolwiek się pokażę. Wystarczyłoby jednak ogłosić moje przybycie, by w ciągu paru minut na nowo zgromadzić gości na widowni, a wówczas – pomimo braku miejsc siedzących – mógł odbyć się w pełni zadowolający koncert. Nie wiedziałem jednak, dokąd się wszyscy udali, i uzmysłowiłem sobie, że najpierw musiałbym odszukać Hoffmana lub osobę, która przejęła po nim kierownictwo, aby omówić kolejne posunięcie.

Zszedłem ze sceny i ruszyłem w głąb sali. Nie uszedłem daleko, gdy zacząłem tracić orientację w ciemności, i zbaczając nieco, skierowałem się w stronę najbliższego snopa światła. Nagle wyrosła przede mną jakaś postać.

– Och, przepraszam – usłyszałem. – Proszę mi wybaczyć.

Poznałem głos Stephana i powiedziałem:

– Czołem. Więc chociaż pan nie wyszedł.

– A, to pan, panie Ryder. Przepraszam, nie widziałem pana. – Jego głos zdradzał zmęczenie i przygnębienie.

– Doprawdy, ma pan wszelkie powody, by okazywać więcej radości – powiedziałem.

– Grał pan wspaniale. Publiczność była do głębi wzruszona.

- Tak, tak. Przyjęli mnie bardzo ciepło, jak sędzę.
- No cóż, gratuluję. Po tylu staraniach musi pan czuć głęboką satysfakcję.
- Tak, chyba tak.

Ruszyliśmy przez mrok ramię w ramię. Światło dzienne z sufitu raczej pogarszało widoczność, zamiast ją poprawiać, lecz Stephan kroczył pewnie przed siebie.

– Wie pan, panie Ryder – odezwał się po chwili – jestem panu niezmiernie wdzięczny. Udzielił mi pan wielkiego duchowego wsparcia. Ale nie da się ukryć, że nie stanąłem dziś na wysokości zadania. Przynajmniej nie jak na moje standardy. Publiczność nagrodziła mnie wprawdzie dużymi brawami, ale tylko dlatego, że nie spodziewano się żadnej rewelacji. Mam jednak świadomość, że przede mną jeszcze długa droga. Moi rodzice mają rację.

– Pańscy rodzice? Wielkie nieba, nie powinien pan zwracać sobie nimi głowy.

– Nie, nie, panie Ryder, pan nie rozumie. Widzi pan, moi rodzice stawiają poprzeczkę bardzo wysoko. Publiczność była dla mnie niezwykle miła, ale co tu dużo mówić, ci ludzie nie znają się za dobrze na tych sprawach. Zobaczyli, jak chłopak z miasta gra na pewnym poziomie, i wielce się tym przejęli. Ale chciałbym, aby wartość mierzono uczciwą miarą. I wiem, że tak robią moi rodzice. Podjąłem decyzję, panie Ryder. Wyjeżdżam. Muszę wyjechać do większego miasta, studiować pod kierunkiem kogoś takiego jak Lubetkin czy Peruzzi. Teraz widzę, że w tym mieście nigdy nie osiągnę poziomu, do jakiego dążę, nie tutaj. Proszę zobaczyć, jaką owację urządzili po dość przeciętnym, cokolwiek by mówić, wykonaniu *Szklanych pasji*. To przeważało. Przedtem nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale można by mnie chyba nazwać dużą rybą w małym stawie. Powinienem wyjechać na jakiś czas. Przekonać się, na co mnie naprawdę stać.

Szliśmy dalej, a nasze kroki odbijały się echem w pustej sali.

– Brzmi to całkiem rozsądnie – przyznałem. – Więcej, jestem przekonany, że ma pan słuszność. Przeprowadzka do większego miasta, większe wyzwanie na pewno dobrze panu zrobi. Musi się pan jednak dobrze zastanowić, u kogo studiować. Jeśli pan chce, pomyślę, jak mógłbym panu pomóc.

– Byłbym panu wdzięczny do końca życia, panie Ryder. Tak, muszę się przekonać, jak daleko mogę zajść. A potem, któregoś dnia, wrócę tu i pokażę im. Pokażę, jak należy grać *Szklane pasje*. – Zaśmiał się, ale wciąż daleko mu było do wesołości.

– Jest pan młodym, uzdolnionym człowiekiem. Wszystko przed panem. Doprawdy, powinien pan być pełen optymizmu.

– Pewnie tak. Pewnie jestem trochę zniechęcony. Jeszcze wczoraj nie zdawałem sobie sprawy, jak daleka droga przede mną. Ubawi się pan, ale wie pan co, roilo mi się, że dzisiaj

dopnę swego. Widać po tym, co takie miejsce potrafi zrobić z człowiekiem. Zaczyna się myśleć na małą skalę. Tak, roilo mi się, że dzisiaj osiągnę wszystko, co było do osiągnięcia! Sam pan widzi, jaki byłem niemądry. Moi rodzice mają całkowitą rację, muszę się jeszcze wiele nauczyć.

– Pańscy rodzice? Proszę posłuchać, radzę panu zapomnieć na razie o rodzicach. Jeśli wolno, naprawdę nie wiem, jak oni mogą...

– To tu. – Przystanęliśmy przed jakimś otworem w ścianie, a Stephan zaczął rozsuwać zawieszoną nad nim zasłonę. – Tędy, proszę.

– Przepraszam, co to takiego?

– Palmiarnia. Och, pan może jeszcze nie słyszał o palmiarni. Jest bardzo sławna. Została wzniesiona sto lat po gmachu filharmonii, ale teraz dorównuje mu niemal sławą. Tu właśnie udali się wszyscy na śniadanie.

Wyszliśmy na korytarz, gdzie po jednej stronie ciągnął się długi rząd okien. Przez najbliższe z nich dostrzegłem jasny błękit porannego nieba.

– Jedna sprawa – powiedziałem, kiedy ruszyliśmy dalej. – Ciekaw jestem, co się stało z panem Brodskym. W jakim jest stanie. Czy... czy zszedł?

– Pan Brodsky? Skądże znowu, na pewno wyzdrowieje. Dokąds go zabrali. Słyszałem, że do Kliniki Świętego Mikołaja.

– Do Kliniki Świętego Mikołaja?

– To taki przytułek dla rozbitków życiowych. Ludzie w palmiarni właśnie o tym rozprawiali, mówiąc: „No cóż, tam jest jego miejsce, tam wiedzą, jak sobie radzić w podobnych wypadkach”. Jeśli mam być szczery, trochę mnie to zszokowało. Powiem panu w tajemnicy, panie Ryder, że to też przyczyniło się do mojej decyzji. Sądzę, że czegoś równie wspaniałego jak dzisiejszy występ pana Brodsky’ego te mury nie słyszały już od wielu, wielu lat. W każdym razie od czasu, gdy potrafię świadomie oceniać muzykę. Ale widział pan, co się stało. Odrzucili ją, przestraszyli się. Była zbyt wielka, aby mogli ją kiedykolwiek przyjąć. Ulżyło im, kiedy się przewrócił. Teraz wiedzą, że pragną czegoś innego, mniej radykalnego.

– Co nie różniłoby się zbytnio od tego, do czego przyzwyczaił ich pan Christoff – odpowiedziałem.

Stephan zastanowił się nad tym.

– Czegoś troszkę innego. Przynajmniej innego nazwiska. Teraz mają świadomość, że pan Christoff to nie to. Chcą czegoś troszkę lepszego. Ale... ale nie tego.

Za oknami widać było rozległy trawnik, a w oddali zza drzew wychylało się poranne słońce.

– Jak pan sądzi, co teraz będzie z panem Brodskim? – spytałem.

– Z panem Brodskim? Cóż, wyląduje na swoim dawnym miejscu. Najpewniej skończy jako miejscowy pijak. W każdym razie na pewno nie dopuszczą, aby był kimś więcej, nie po dzisiejszym występie. Jak powiadam, zabrali go do Kliniki Świętego Mikołaja. Wychowałem się tu, panie Ryder, i na swój sposób ciągle Kocham to miasto. Ale teraz mam wielką ochotę wyjechać.

– Może powinienem coś zrobić? Na przykład przemówić do ludzi w palmiarni. Powiedzieć parę słów o panu Brodskim. Wykazać, że się mylą.

Stephan rozważał tę myśl przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie warto, panie Ryder.

– Ale mnie również się to nie podoba. Nigdy nie wiadomo, parę słów z moich ust...

– Wątpię, panie Ryder. Teraz nie posłuchają nawet pana. Nie po występie pana Brodsky'ego. Przypomniawszy im o wszystkim, czego się lękają. Poza tym w palmiarni nie ma mikrofonów ani sprzętu, ani nawet podium, z którego można przemawiać. Nikt by pana nie słyszał w tej wrzawie. Widzi pan, palmiarnia jest dość duża, prawie taka sama jak sala główna. Licząc na skos, będzie miała... w linii prostej, nie uwzględniając po drodze stolików i gości, i tak wyjdzie co najmniej pięćdziesiąt metrów. To bardzo obszerne pomieszczenie, zobaczy pan. Na pańskim miejscu, panie Ryder, odprężyłbym się i zjadł spokojnie śniadanie. Przecież teraz ma pan na głowie Helsinki.

Rzeczywiście, palmiarnia była ogromna. W tej chwili rozświetlała ją słońce. Ludzie siedzieli przy stolikach bądź stali w małych grupkach, gawędząc sobie wesoło. Niektórzy pili kawę albo sok, inni jedli z talerzy lub półmisek i kiedy przeciskaliśmy się w tłoku, czułem kolejno zapach świeżych bułeczek, filetów rybnych, bekonu. W tłumie uwijali się kelnerzy, roznosząc talerze i dzbanki z kawą. Wszędzie dokoła ludzie witali się radośnie i uderzyła mnie myśl, że panuje tu atmosfera podobna do towarzyszącej zjazdom szkolnym albo rodzinnym. A przecież byli to ludzie, którzy widywali się codziennie. Widocznie wydarzenia tego wieczoru kazały im zrewidować pogląd na samych siebie i na całą społeczność, a wynikający stąd nastrój z tych czy innych względów skłaniał ich do wspólnego świętowania.

Przekonałem się teraz, że Stephan miał rację. Nie było większego sensu przemawiać do tego tłumu ani tym bardziej zapraszać ich wszystkich z powrotem na widowie, by wysłuchali mojego recitalu. Naraz poczułem głód i zmęczenie, postanowiłem więc spocząć i się posilić. Kiedy się jednak rozejrzałem, spostrzegłem, że nigdzie nie ma wolnych krzeseł. Ponadto zauważyłem, że Stephan nie idzie już obok mnie, lecz rozmawia z ludźmi siedzącymi przy jednym ze stolików, który dopiero co minęliśmy. Podczas gdy wszyscy witali się z nim

ciepło, spoglądałem na niego, oczekując, że mnie przedstawi, ale rozmowa szybko go wciągnęła i wkrótce on także zaczął zachowywać się wesoło.

Postanowiłem zostawić go w tym towarzystwie i ruszyłem dalej przez tłum. Miałem nadzieję, że prędzej czy później któryś z kelnerów zauważy mnie i podbiegnie z talerzem i filiżanką kawy, a potem wskaże mi być może jakieś wolne miejsce. Ale choć kilkakrotnie ten czy inny kelner zmierzał szybkim krokiem w moim kierunku, za każdym razem przeciskał się obok mnie i zmuszony byłem patrzeć, jak obsługuje innych.

W pewnej chwili zorientowałem się, że stoję obok głównego wejścia do palmiarni. Ktoś otworzył drzwi na oścież i spora część zgromadzonych wyległa na trawnik. Wyszedłem na zewnątrz, gdzie zaskoczył mnie chłód. Tutaj także ludzie stali w grupkach, rozmawiali, pili kawę czy jedli na stojąco. Niektórzy zwrócili twarze ku słońcu, podczas gdy inni się przechadzali, by rozprostować nogi. Jedna grupka usiadła nawet na mokrej trawie, rozłożywszy dokoła talerze i dzbanki niczym na pikniku.

W pobliżu zauważyłem wózek na kółkach oraz pochylającego się nad nim kelnera. Czując, że mój głód się wzmacnia, ruszyłem w jego stronę i już miałem dotknąć jego ramienia, gdy odwrócił się nagle i przemknął obok mnie, niosąc trzy duże talerze, na których zdążyłem dostrzec jajecznicę, kiełbaski, grzyby i pomidory. Patrzyłem, jak oddala się szybko, postanowiłem więc nie odstępować wózka ani na krok, dopóki nie wróci.

Oczekując na jego powrót, obserwowałem całą scenę i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że zupełnie niepotrzebnie martwiłem się o to, czy sprostim różnym wymogom, jakie stawiało mi to miasto. Jak zwykle moje doświadczenie oraz instynkt z powodzeniem wystarczyły, by pokierować moimi krokami. Rzecz jasna, byłem nieco rozczarowany przebiegiem wieczoru, im dłużej jednak o tym myślałem, tym głębszego nabierałem przekonania, że uczucia takie są zupełnie nie na miejscu. Skoro jakaś społeczność potrafi osiągnąć stan pewnej równowagi bez pomocy z zewnątrz, tym lepiej.

Ponieważ po kilkunastu minutach kelner wciąż się nie zjawiał, a tymczasem mój zmysł powonienia drażniły nieustannie różne zapachy unoszące się znad gorących garnków na wózku, uznałem, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym obsłużył się sam. Wziąłem do ręki talerz i już się nachylałem, aby na dolnej półce wózka poszukać sztućców, gdy wtem spostrzegłem, że za moimi plecami stoi kilkanaście osób. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem grupę boyów hotelowych.

Wyglądało na to, że stawili się przede mną w pełnym składzie – wszyscy, którzy wcześniej zebrali się przy łożu bóleści Gustava. Kiedy się odwróciłem, niektórzy z nich spuścili oczy, lecz inni intensywnie się we mnie wpatrywali.

– Wielkie nieba – powiedziałem, próbując jakoś ukryć to, że właśnie chciałem nałożyć sobie śniadanie. – Co się stało? Właśnie chciałem iść na górę, aby się dowiedzieć, co z Gustavem. Myślałem, że zabrali go już do szpitala i że jest w dobrych rękach. Tak, miałem iść na górę, jak tylko... – urwałem, widząc ich smutne miny.

Brodaty boy hotelowy wystąpił przed kolegów i odchrząknął z zakłopotaniem.

– Odszedł od nas blisko pół godziny temu. Miewał wprawdzie kłopoty ze zdrowiem, ale był bardzo silny, tak więc nikt się tego nie spodziewał.

– Bardzo mi przykro. – Wiadomość ta istotnie przejęła mnie wielkim żalem. – Naprawdę, niezmiernie mi przykro. Jestem wam wdzięczny, że przyszliście mi to powiedzieć. Jak widać, znałem go zaledwie od paru dni, ale okazał mi wiele dobroci, pomagał mi nosić torby i w ogóle.

Zauważyłem, że koledzy spoglądają na brodacza wyczekująco. Brodacz wziął głęboki oddech.

– Ma się rozumieć, panie Ryder – powiedział – odszukaliśmy pana, bo wiedzieliśmy, że będzie pan chciał się o tym dowiedzieć jak najszybciej. Ale oprócz tego – nagle opuścił wzrok ku ziemi – ale oprócz tego, widzi pan, Gustav, zanim odszedł, do ostatniej chwili się dopytywał, czy wygłosił pan już swoje przemówienie. Tych kilka zdań, które obiecał pan powiedzieć w naszej sprawie. Do samego końca czekał na tę wiadomość.

Teraz wszyscy boye hotelowi spuścili oczy i oczekiwali w milczeniu na moją odpowiedź.

– Ach tak – odezwałem się. – Więc nie wiecie, co się wydarzyło na sali.

– Idziemy prosto od Gustava – wyjaśnił brodacz. – Dopiero co go zabrali. Proszę nam wybaczyć, panie Ryder. To bardzo nieładnie z naszej strony, że nie słuchaliśmy pańskiego przemówienia, wiem o tym, zwłaszcza jeśli nie omieszkał pan spełnić swojej małej obietnicy...

– Chwileczkę – wpadłem mu łagodnie w słowo. – Dziwię się, że panowie o niczym nie wiedzą, ale w końcu, jak mówicie, w tych okolicznościach... – Zawiesiłem głos, po czym nabrałem powietrza w płuca i powiedziałem z większym zdecydowaniem: – Bardzo mi przykro, nie tylko jednak moje przemówienie na wasz temat, lecz i wiele innych zaplanowanych na dzisiaj rzeczy nie doszło do skutku.

– Więc powiada pan... – Brodacz urwał i zwiesił głowę, nie kryjąc wielkiego zawodu. Pozostali boye hotelowi, którzy dotąd wpijali się we mnie wzrokiem, znów pospuszczali oczy. Nagle jeden ze stojących dalej wykrzyknął z ledwo tłumionym gniewem:

– A Gustav tak się dopytywał! Do samego końca! „Są już wieści od pana Rydera?”

pytał. Bez przerwy się o to dopytywał.

Jego koledzy szybko go uciszyli i na dłuższą chwilę zapadło całkowite milczenie. Wreszcie brodaty boy hotelowy powiedział wciąż wpatrzony w trawę u swoich stóp:

– To i tak nie ma znaczenia. Nie ustaniemy w naszych wysiłkach, a nawet je podwoimy. Nie zawiedziemy Gustava. Zawsze był dla nas inspiracją, a jego odejście niczego nie zmienia. Przed nami żmudna droga, nigdy nie było łatwo, a już tym bardziej teraz. Ale nie obniżymy naszych standardów ani na jotę. Pamiętając Gustava, będziemy przy nich trwać. Pańskie przemówienie, rzecz jasna, niewątpliwie... niewątpliwie by nam pomogło, ale cóż, skoro uznał pan, że to nie był odpowiedni moment...

– Proszę posłuchać – odparłem, czując, że tracę cierpliwość. – Wkrótce dowiedzą się panowie, co zaszło. Doprawdy, jestem zdumiony, że panowie nie poczynili dotąd żadnych kroków, aby dowiedzieć się czegoś więcej o istotnych problemach waszej społeczności. Co więcej, panowie chyba nie zdają sobie sprawy z mojego trybu życia. Z tego, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na moich barkach. Nawet teraz, gdy tak sobie rozmawiamy, muszę myśleć o moim następnym występie w Helsinkach. Jeśli coś nie ułożyło się po waszej myśli, cóż, bardzo mi przykro. Nie macie jednak prawa mnie nachodzić i zawracać mi głowy...

Słowa zamarły mi na ustach. Nieco dalej, po prawej, biegła ścieżka łącząca gmach filharmonii z pobliskim lasem. Już od jakiegoś czasu ludzie wypływali nieprzerwanym strumieniem z budynku i znikali za drzewami, zmierzając prawdopodobnie do swoich mieszkań na kilkugodzinny odpoczynek przed rozpoczęciem dnia. Właśnie zauważyłem w tłumie Sophie i Borisa, którzy szli przed siebie zdecydowanym krokiem. Chłopiec znów obejmował matkę opiekuńczo, lecz poza tym przygodnemu obserwatorowi nic nie zdradzało ich przygnębienia. Spróbowałem dojrzeć ich twarze, ale byli zbyt daleko, a po chwili zniknęli wśród drzew.

– Przepraszam – powiedziałem nieco łagodniej, odwracając się do boyów hotelowych.  
– Muszę panów opuścić.

– Nie obniżymy naszych standardów – rzekł cicho brodac, nie podnosząc głowy. – Kiedyś nam się uda, zobaczy pan.

– Proszę mi wybaczyć.

Ruszałem akurat naprzód, gdy nadbiegł kelner, rozpychając starszków, aby się dostać do wózka. Przypomniawszy sobie, że wciąż jeszcze trzymam za plecami swój talerz, wcisnąłem go kelnerowi do ręki.

– Fatalna obsługa – oświadczyłem chłodno i oddaliłem się pospiesznie.

## Rozdział 38

Ścieżka przecinała las prosto, tak że całkiem wyraźnie widziałem wysoką, żelazną bramę na jej drugim końcu. Sophie i Boris pokonali już zaskakująco dużą część drogi i choć biegłem za nimi ile sił w nogach, po kilku minutach odległość między nami prawie się nie zmniejszyła. Poza tym przeszkadzała mi grupka młodych ludzi idących przede mną, którzy – gdy próbowałem ich wyprzedzić – albo przyspieszali kroku, albo rozchodzili się na boki, zajmując całą szerokość ścieżki. Wreszcie, widząc, że Sophie i Boris dotrą za chwilę do ulicy, puściłem się biegiem i przedarłem się przez grupę młodzieży, nie przejmując się, co sobie o mnie pomyśla.

Biegłem dalej równym tempem, gdy jednak Sophie i Boris przechodzili przez bramę, wciąż byłem za daleko, żeby ich zawołać. Zanim dopadłem bramy, zabrakło mi tchu w piersiach i musiałem się zatrzymać.

Wyszedłem na jeden z bulwarów blisko centrum miasta. Poranne słońce padało na przeciwległy chodnik. Sklepy były jeszcze zamknięte, ale po ulicy kręciło się już sporo przechodniów, którzy spieszyli do pracy. Nagle z lewej strony zauważyłem ludzi wsiadających do tramwaju, a wśród nich, na szarym końcu, Sophie i Borisa. Znów puściłem się truchtem, musiałem jednak źle oszacować odległość, gdyż – mimo że biegłem dość szybko – dopadłem do tramwaju dopiero w chwili, gdy wszyscy już wsiedli i pojazd miał ruszać. Jedyne na widok mojej gorączkowej gestykulacji motorniczy zatrzymał na chwilę pojazd, a ja wdrapałem się do środka.

Tramwaj szarpnął gwałtownie do przodu, podczas gdy chwiejnym krokiem przemierzałem wagon. Miałem potworną zadyszkę, więc z ledwością zauważyłem, że tramwaj jest w połowie pusty, i dopiero gdy opadłem na jedno z tylnych siedzeń, uzmysłowiłem sobie, że musiałem minąć Sophie i Borisa. Nie przestając sapać, wychyliłem się i rozejrzałem po tramwaju.

Tramwaj składał się z dwóch odrębnych części, oddzielonych pośrodku wyjściem. Z przodu siedzenia ustawione były w dwa rzędy skierowane ku sobie. Sophie i Boris siedzieli razem po nasłonecznionej stronie, niedaleko kabiny motorniczego. Ich widok zasłaniaли mi częściowo pasażerowie, którzy stali przy wyjściu uczepleni skórzanych pasków, toteż wychyliłem się jeszcze dalej. W tym momencie mężczyzna z naprzeciwnika – w naszej części

tramwaju siedzenia ustawione były parami naprzeciw siebie – klepnął się w udo i powiedział:

– Zapowiada się kolejny słoneczny dzień.

Miał na sobie schludną, acz skromną kurtkę na zamek i wyglądał na wykwalifikowanego robotnika – powiedzmy na elektryka. Uśmiechnąłem się do niego przelotnie, on zaś zaczął mi opowiadać o budynku, w którym on i jego koledzy pracowali od kilku dni. Słuchałem go niezbyt uważnie, uśmiechając się od czasu do czasu lub kiwając głową. Tymczasem więcej ludzi wstawało z miejsc i tłoczyło się przy wyjściu, coraz skuteczniej zasłaniając mi Sophie i Borisa.

Potem tramwaj się zatrzymał i pasażerowie wysiedli, odsłaniając mi widok. Boris, jak zawsze opanowany, trzymał jedną rękę na ramieniu Sophie i mierzył innych podróżnych podejrzliwym wzrokiem, jakby stanowili zagrożenie dla jego matki. Twarz Sophie wciąż była dla mnie niewidoczna. Widziałem jednak, że co kilka sekund wymachuje niecierpliwie ręką, jakby opędzała się od natrętnego owada latającego jej przed nosem.

Już miałem zmienić nieco pozycję, aby ich lepiej widzieć, gdy nagle dotarło do mnie, że elektryk przeszedł jakoś do tematu swoich rodziców. Oboje mają już ponad osiemdziesiąt lat, mówił, i choć stara się ich odwiedzać każdego dnia, staje się to coraz trudniejsze ze względu na obecną pracę. Nagle strzeliła mi do głowy pewna myśl i wpadłem mu w słowo:

– Przepraszam, ale skoro już mowa o rodzicach, zdaje się, że moi przyjechali kiedyś do tego miasta. Wie pan, jako turyści. Ale to już było ładnych parę lat temu. Chodzi o to, że osoba, która mi o tym opowiadała, była wówczas dzieckiem i nie pamięta ich za dobrze. Pomyślałem więc, że skoro już rozmawiamy o rodzicach, cóż, nie chcę pana urazić, ale domyślam się, że ma pan już ponad pięćdziesiąt lat, i jestem ciekaw, czy może pan pamięta cokolwiek z czasów ich wizyty.

– Całkiem możliwe – przyznał elektryk – ale musiałby ich pan opisać.

– No cóż, moja matka jest dość wysoką kobietą. Ciemne włosy do ramion. Lekko haczykowany nos. Sprawia przez to wrażenie osoby nieco surowej, nawet gdy nie ma takiego zamiaru.

Elektryk namyślał się przez chwilę, patrząc na uciekające za oknem miasto.

– Tak – powiedział, kiwając głową. – Tak, zdaje się, że pamiętam taką panią. Zabawiła tu zaledwie parę dni. Zwiedzała miasto i tak dalej.

– Otóż to. Pamięta pan?

– Tak, wyglądała na miłą kobietę. To było... ho, ho... co najmniej trzynaście, czternaście lat temu. Może jeszcze dawniej.

Z zapałem pokiwałem głową.

– To by się zgadzało z tym, co mówiła panna Stratmann. Tak, to była moja matka. Proszę mi powiedzieć, czy podczas pobytu tutaj sprawiała wrażenie zadowolonej?

Elektryk zamyślił się głęboko, po czym rzekł:

– Jak pamiętam, podobało jej się tutaj. W gruncie rzeczy – spostrzegł mój zatroskany wzrok – w gruncie rzeczy jestem pewny, że tak. – Wyciągnął rękę i poklepał mnie przyjaźnie po kolanie. – Jestem pewny, że jej się tu podobało. Zresztą, jak się zastanowić, czy mogło być inaczej?

– Nie, chyba nie – powiedziałem i odwróciłem się do okna. Promienie słońca pełzały po wnętrzu tramwaju. – Chyba nie. Tyle że... – Westchnąłem ciężko. – Szkoda, że wtedy o tym nie wiedziałem. Szkoda, że nikt mi nie powiedział. A mój ojciec? Czy wydawał się zadowolony?

– Pański ojciec? Hm. – Elektryk splótł ramiona i zmarszczył lekko brwi.

– Był już pewnie całkiem chudy – powiedziałem. – Siwiejące włosy. Chodził w swojej ulubionej marynarce. Taka z tweedu, seledynowa, skórzane łąty na łokciach.

Elektryk namyślał się dalej. Wreszcie pokręcił głową.

– Przykro mi, ale pańskiego ojca jakoś nie pamiętam.

– Ależ to niemożliwe. Panna Stratmann zapewniała mnie, że przyjechali razem.

– I pewnie ma rację. Tyle że ja nie przypominam sobie pańskiego ojca. Pańską matkę tak. Ale pańskiego ojca... – Znowu pokręcił głową.

– Przecież to absurd! Co moja matka miałaby tu robić sama?

– Ależ ja wcale nie mówię, że nie było z nią pańskiego ojca. Po prostu go nie pamiętam. Proszę się tak nie denerwować. Gdybym wiedział, że się pan tak zdenerwuje, tobym nie był taki szczery. Mam okropną pamięć, wszyscy mi to mówią. Nie dalej jak wczoraj zostawiłem torbę z narzędziami u szwagra, gdzie jadłem lunch. Straciłem czterdzieści minut, żeby po nią wrócić. Torbę z narzędziami! – Zaśmiał się. – Sam pan widzi, że mam fatalną pamięć. Jestem ostatnią osobą, której można zaufać w tak ważnej sprawie. Z całą pewnością pański ojciec był tu z pańską matką. Zwłaszcza że inni tak mówią. Naprawdę, jestem ostatnią osobą, na której można polegać.

Ale nie patrzyłem już na niego; mój wzrok znowu powędrował ku przedniej części tramwaju. Boris poddał się w końcu emocjom. Tulił się teraz do matki, a jego ramionami wstrząsał szloch. Poczulem nagły impuls, żeby do niego podejść, i przeprosiwszy zdawkowo elektryka, wstałem i ruszyłem do przodu.

Byłem już blisko, gdy nagle tramwaj zakręcił ostro i dla utrzymania równowagi musiałem się złapać pobliskiego słupka. Kiedy znów spojrzałem w stronę Sophie i Borisa,

okazało się, że wciąż nie zdają sobie sprawy z mojej obecności, chociaż stałem teraz tuż obok nich. W dalszym ciągu trzymali się w objęciach, spuściwszy oczy. Po ich dłoniach i ramionach pełzały słoneczne plamy. W tym wzajemnym ukojeniu było tyle intymności, że – jak uznałem – nawet ja nie miałem w owej chwili prawa im przeszkadzać. Gdy tak na nich patrzyłem, pomimo ich oczywistej żałości zacząłem odczuwać swoistą zazdrość. Przynależem się nieco bliżej, tak że niemal czułem ich uścisk.

Wreszcie Sophie otworzyła oczy. Obrzuciła mnie spojrzeniem bez wyrazu, podczas gdy chłopiec szlochał dalej na jej piersi.

– Przepraszam – odezwałem się w końcu. – Przepraszam za wszystko. Dopiero się dowiedziałem o twoim ojcu. Naturalnie zaraz za tobą pobiegłem...

Jakiś dziwny wyraz na jej twarzy kazał mi zamilknąć. Przez chwilę przyglądała mi się chłodno, po czym rzekła zmęczonym głosem:

– Zostaw nas. Zawsze trzymałeś się z dala od naszej miłości. A teraz nie podzielasz naszego smutku. Zostaw nas. Odejdź.

Boris odkleił się od niej i zwrócił oczy w moją stronę. Potem powiedział do matki:

– Nie, nie. Musimy trzymać się razem.

Sophie pokręciła głową.

– Nie, to nie ma sensu. Zostaw go, Boris. Niech jeździ po świecie, niech służy innym mądrością i doświadczeniem. Tego mu trzeba. Pozwólmy mu na to.

Boris spojrział z zakłopotaniem na mnie, a potem z powrotem na matkę. Być może chciał właśnie coś powiedzieć, ale w tym momencie Sophie wstała.

– Chodź, Boris. Musimy tu wysiąść. Boris, chodź.

Istotnie, tramwaj zwalniał i inni pasażerowie również podnosili się z miejsc. Kilka osób przecisnęło się obok mnie, a za nimi Sophie i Boris. Wciąż uczepiony słupka patrzyłem za odchodzącym Borisem. W pewnej chwili zerknął za siebie i usłyszałem, jak mówi:

– Ale musimy trzymać się razem. Musimy.

Za nim ukazała się twarz Sophie. Popatrzyła na mnie z dziwną obojętnością, a potem usłyszałem jej głos:

– Nigdy nie będzie należał do nas. Musisz to zrozumieć, Borisie. Nigdy nie pokocha cię jak prawdziwy ojciec.

Znowu ktoś przycisnął mnie do słupka, spiesząc ku wyjściu. Podniosłem rękę.

– Boris! – zawołałem.

Chłopiec, opierając się naporowi tłumu, znów się na mnie obejrzał.

– Boris! Pamiętasz naszą przejażdżkę autobusem? Jechaliśmy nad sztuczne jezioro.

Pamiętasz, jak było fajnie? Jacy wszyscy byli dla nas mili? Dawali nam prezenciki, śpiewali. Pamiętasz, Boris?

Ludzie zaczęli wysiadać. Boris rzucił mi ostatnie spojrzenie i zniknął. Jeszcze kilka osób przepchnęło się ku wyjściu, po czym tramwaj ruszył dalej.

Wróciłem na swoje miejsce. Kiedy siadałem naprzeciwko elektryka, uśmiechnął się do mnie wesoło. Po chwili się zorientowałem, że nachyla się ku mnie i klepie mnie po ramieniu, i wówczas dopiero uświadomiłem sobie, że szlocham.

– Proszę posłuchać – mówił. – Z początku wszystko wydaje się straszne. Ale potem to mija, nic nie jest takie straszne, jak wygląda. Głowa do góry. – Przez parę następnych minut częstował mnie podobnymi frazesami, podczas gdy ja szlochałem dalej. Potem usłyszałem, jak mówi: – A może zje pan śniadanie? Zje pan coś jak my wszyscy. Zaraz poczuje się pan lepiej. No dalej, niech pan sobie coś nałoży.

Podniosłem oczy i zobaczyłem, że elektryk trzyma na kolanach talerz, na którym leżą napoczęty rogal i kawałek masła. Na jego kolanach było pełno okruszków.

– O – powiedziałem, prostując się i opanowując łzy. – Skąd pan to wziął?

Elektryk wskazał coś nad moim ramieniem. Odwróciwszy głowę, zobaczyłem tłum pasażerów stojących na końcu tramwaju, gdzie znajdowało się coś w rodzaju bufetu. Zauważyłem też, że w całej tylnej części tramwaju zrobiło się tłoczno, a wszędzie dokoła podróżni jedzą i piją. W porównaniu z innymi śniadanie elektryka było dość skromne: widziałem, że niektórzy zmagają się z dużymi porcjami jaj, bekonu, pomidorów i kiełbasek.

– No dalej – powtórzył elektryk. – Niech pan idzie i przyniesie sobie śniadanie. A potem pogadamy o pańskich kłopotach. Albo, jeśli pan chce, o wszystkim zapomnimy i porozmawiamy o czym innym. O czymś, co poprawi panu humor. Na przykład o piłce nożnej albo o kinie. O czym pan chce. Ale najpierw niech pan sobie weźmie coś do jedzenia. Wygląda pan, jakby od dawna nic nie jadł.

– Zgadł pan – powiedziałem. – Jak się nad tym zastanowię, to rzeczywiście, już od dawna nie miałem nic w ustach. Ale proszę mi łaskawie powiedzieć, dokąd my właściwie jedziemy?

Muszę wracać do hotelu, żeby spakować rzeczy. Widzi pan, dziś mam samolot do Helsinek, niedługo muszę być w hotelu.

– Och, ten tramwaj zawiezie pana właściwie wszędzie. Nazywamy to poranną pętlą. Później jest jeszcze wieczorna pętla. Dwa razy dziennie tramwaj objeżdża całą trasę. Tak, tym tramwajem zajędzie pan wszędzie, dokąd pan chce. Tak samo wieczorem, choć wtedy atmosfera jest już zupełnie inna. Tak, to cudowny tramwaj.

– Wspaniale. Cóż, przepraszam na chwilę, chyba jednak pójdę za pańską radą i zjem śniadanie. Ma pan rację, już na samą myśl czuję się lepiej.

– No, już lepiej – powiedział elektryk i podniósł rogała w geście pozdrowienia.

Wstałem i poszedłem na tył tramwaju. Owionęły mnie rozmaite zapachy. Kilka osób właśnie się obsługiwało, lecz zerkając im przez ramię, zobaczyłem półkolisty bufet, urządzony pod tylną szybą tramwaju. Stało tam niemal wszystko, czego dusza zapragnie: jajecznica, jaja sadzone, różne wędliny, podsmażane ziemniaki, grzyby, gotowane pomidory. Był też duży talerz z rolmopsami i innymi daniami rybnymi, dwa ogromne kosze rogali i bułek wszelkiego rodzaju, szklana misa pełna owoców, mnóstwo dzbanków z kawą i różnymi sokami. Ci, którzy tłoczyli się wokół bufetu, czekali niecierpliwie, żeby się dostać do jedzenia, niemniej jednak panowała wśród nich prawdziwie serdeczna atmosfera: ludzie podawali sobie potrawy i wymieniali wesołe uwagi.

Wziąłem talerz, spoglądając jednocześnie przez tylną szybę na oddalające się ulice miasta, i poczułem, że mój nastrój poprawia się jeszcze bardziej. W końcu sprawy nie potoczyły się tak źle. Mimo pewnych rozczarowań, które spotkały mnie w tym mieście, jedno nie ulegało wątpliwości: moja obecność została w pełni doceniona – podobnie jak wszędzie indziej, gdzie dotychczas zawitałem. No i proszę, mój pobyt dobiegł prawie końca, a przede mną stoi suto zastawiony bufet ze wszystkim, czego mógłbym sobie zażyczyć na śniadanie. Szczególnie obiecująco wyglądały rogałe. Sądząc po tym, jak pochłaniali je stojący dokoła pasażerowie, mogłem być pewien, że są świeżuteńkie i najwyższej jakości. Ale też na cokolwiek padł mój wzrok, wyglądało co najmniej zachęcająco.

Zacząłem nakładać na talerz wszystkiego po trochu. Wyobraziłem też sobie, jak siedzę znów na swoim miejscu, konwersując przyjemnie z elektrykiem i zerkając między jednym a drugim kęsem na poranne ulice. Pod różnymi względami elektryk był dla mnie w tym momencie wymarzoną rozmówcą, życzliwym, a jednocześnie dalekim od natręctwa. Widziałem, jak bez pośpiechu zajada swojego rogała. Sprawiał wrażenie, jakby usadowił się tam na dłuższy czas. Skoro tramwaj krążył po zamkniętej trasie, gdyby nasza rozmowa sprawiała nam przyjemność, byłby prawdopodobnie gotów przepuścić swój przystanek, żeby wysiąść dopiero następnym razem. Nic też nie wskazywało na to, że bufet zostanie wkrótce zamknięty, toteż od czasu do czasu moglibyśmy przerwać rozmowę, żeby znów sobie nałożyć coś na talerze. Już słyszałem, jak namawiamy się wzajemnie do jedzenia. „To co, jeszcze po jednej kiełbasce? Proszę mi dać talerz, przyniosę panu”. Siedzielibyśmy tak, jedli i wymieniali poglądy na temat piłki nożnej i nie tylko, a słońce wznosiłoby się coraz wyżej i wyżej, rozjaśniając ulice i naszą stronę tramwaju. Dopiero kiedy byśmy się zmęczyli, najedli i

nagadali, elektryk spojrziałby na zegarek, westchnął i zauważył, że znów dojeżdżamy do przystanku koło hotelu. Ja również bym westchnął i wstał niechętnie, strzepując z kolan okruchy. Uścisnęlibyśmy sobie dłonie i się pożegnali, życząc sobie dobrego dnia – on powiedziałby, że też zaraz wysiada – po czym dołączyłbym do pogodnych pasażerów zbierających się przy wyjściu. Kiedy tramwaj by się zatrzymał, pomachałbym elektrykowi na pożegnanie i wysiadł przekonany, że mogę lecieć do Helsinek z dumą i wiarą we własne siły.

Nalałem sobie pełną filiżankę kawy i trzymając ją ostrożnie w jednej ręce, a obficie napełniony talerz w drugiej, ruszyłem z powrotem w stronę swojego miejsca.